

# Życiorys własny przestępcy



URKE-NACHALNIK

## *Życiorys własny przestępcy*

*Wszystkim tym, których los zepchnął w otchłań wyrzutków społeczeństwa, a którzy dążą ku poprawie, pracę tę poświęca*

Autor

*„Trzeba mieć więcej odwagi do przyznania się do zła niż do popełnienia go”.*

I

Nim przystąpię do opowiadania historii mego życia, która jest jedną z najsmutniejszych, uważam za niezbędne choćby w streszczeniu powiedzieć, jakie okoliczności sprowadziły mnie z drogi uczciwej. Jednak proszę Czytelnika o wybaczenie, że opis tych okoliczności rozpocznę od wizji mego przyjścia na świat.

Oto widzę jak przez mgłę małe miasteczko, rozrzucone nad brzegiem Narwi. W centrum tego miasteczka, w samym prawie rynku stoi murowany, piętrowy dom — który ze swego powierzchniowego wyglądu odznacza się od innych, podobnych jemu domów tym, że posiada ganek z dwiema ławkami przy wejściu do sklepu. Nad sklepem widnieje napis: „Targowla muki”<sup>1</sup> na nazwisko kobiece N. N.

Właścicielem tego domu jest mężczyzna wysokiego wzrostu, mający lat trzydzieści, o zdrowym wyglądzie i łagodnych, rozbijających oczach. Przymioty te cechują zwykle ludzi posiadających nadzwyczajną siłę. Żona jego to kobieta lat dwudziestu pięciu, o inteligentnym wyglądzie, typowa blondynka. Ta poniekąd dobrana para należy do żydowskiej inteligencji tego małego miasteczka.

W jednym z pięknych dni czerwca 1897 r. w domu tym, widzę w wyobraźni, sklep jest zamknięty z powodu narodzin pierwszego syna. Widzę panującą tam nie do opisania radość. Krewni i znajomi składają rodzicom życzenia.

Widzę, jak w sypialnym pokoju leży na łóżku matka, cała w bieli, a triumfalny uśmiech macierzyński igra na jej twarzy, nieco przybladłej. Ja leżę w powijkach przy jej prawym boku. Ojciec zaś stoi na środku pokoju i przyjmuje życzenia. Jest poważny i zamyślony. W oczach zaś jego widać blask szczęścia.

Widzę oczyma wyobraźni, jak ludzie do tego domu wchodzi i wychodzą, a na każdej z tych twarzy spostrzegam szczerą czy też dobrze udane zadowolenie.

Przed domem skupia się coraz więcej ludzi omawiających fakt mych urodzin. Słyszę też głosy urywanych rozmów:

— Bóg się zlitował i wysłuchał ich, dając im syna.

Dalej słyszę szepty:

— Bogaty ma zawsze szczęście.

Słuchająca Żydówka kiwa głową i nabożnie podnosząc ręce do góry, mówi:

— Prawdziwy cud, pięć lat po ślubie, nu, nu, On jest wszechmogący, u Niego nie ma rzeczy niemożliwych.

Inna znowu błada Żydówka, o kruczonych włosach i wyglądzie starożytnej niewolnicy, wstydliwie i nieśmiało rozgląda się wokół i szeptem zapytuje:

— Czy to prawda, że ona była u cadyka cudotwórcy z Libawy i że wróciła miesiąc temu?

<sup>1</sup>Targowla muki (ros.) — handel mąką. [przypis edytorski]

Widzę, jak otyła Żydówka odprowadza ją na stronę i z tajemniczą miną mówi:

— Nikt nie dokona takich cudów, jak cadyk z Libawy. Moja kuzynka piętnaście lat nie rodziła, a gdy za radą rabina pojechała do niego, to wkrótce także porodziła syna.

— Może i mnie warto pojechać do niego — rozpromieniając się, podchwytuje błada Żydówka. — Jak pani wiadomo, i ja jakoś nie... — Tu, zniżając głos, dodaje: — Już siedem lat po ślubie!...

— Ty, moja droga — odpowiada tamta z politowaniem — jesteś za biedna, ażebyś mogła z jego łaski korzystać.

Te i inne podobne rozmowy toczą się na temat mego przyjścia na świat.

Ósmego dnia mego życia widzę w domu ruch i przygotowania do uroczystości. W tym to dniu miał się odbyć rytuał wprowadzenia mnie w szeregi wyznawców zakonu Izraela. Izba błyszczą czystością, świece w mosiężnych i srebrnych lichtarzach płoną na stołach. W innym pokoju, gdzie leży matka, słychać śmiech kobiet. Pełno tam krewnych i sąsiadek. Mężczyźni siedzą w pierwszym pokoju, naokoło stołów ustawionych w półkole. Ojciec i krewni pełnią obowiązki gospodarzy domu, starając się każdego przybyśza posadzić na właściwym miejscu, zależnie od stanowiska, jakie zajmuje w hierarchii małego miasteczka.

Rabin z siwą, długą brodą, o pięknie zakręconych pejsach siedzi na honorowym miejscu i coś recytuje na głos, a wszyscy słuchają w skupieniu.

Naraz drzwi szeroko się otwierają, a Żyd o abrahamowym, imponującym wyglądem wnosi mnie, leżącego na poduszce, ja zaś jak gdyby przeczuwając, co mnie czeka, wrzeszczę na cały głos. Poduszka ze mną przechodzi z rąk do rąk. Jakiś rudy Żyd nachyla się nade mną ze swoim nożem rytualnym, a następnie brudnymi rękoma przystępuje do operacji... Dziecięcy mój głos zamarł na ustach i w izbie zapanowała niczym niezmacona cisza. Stary rabin odprawia modły, poruszając bez szelestu ustami, a po chwili, jakby obudzony ze snu, przerywa panującą ciszę okrzykiem: „*Mazel-tow!* — *Mazel-tow!*” (Daj, Boże, szczęścia). Wszyscy obecni ściskają dłoń ojca i składają życzenia:

— Daj, Boże, żeby zdrów się chował!

— Daj, Boże, doczekać jego zaślubin!

— Daj, Boże, żeby wyrósł na cadyka!

— Daj, Boże, doczekać czasów Mesjasza!

Ojciec przyjmuje je z rozpromienionym obliczem, a matka dopomina się o mnie, co natychmiast zostało wypełnione i znów znalazłem się przy jej boku.

Po ukończeniu uroczystości rytualnych na stole pojawiają się rozmaite potrawy i trunki. Zaczyna się biesiada. Wznoszą toasty na moją cześć, sypią się przy tym tłuste dowcipy, a także nie omijają okazji, by porozmawiać o miejscowym życiu i interesach, przeciągając biesiadę do późnej nocy.

## II

Od wspomnianego dnia, tj. od dnia, gdym został doliczony do wyznawców Mojżesza<sup>2</sup>, upłynęło lat pięć. Są to najmiłsze lata nie tylko mojego dzieciństwa, ale i całego życia. W tym to czasie rozstrzygnął się mój los co do początkowej nauki.

Pamiętam to jak dziś: w rocznicę ukończenia piątego roku życia, przy obiedzie spostrzegłem, że matka i ojciec coś knują przeciwko mnie, przemawiali się ze sobą. Z pochwyconych słów zrozumiałem, że rozmowa dotyczy mnie, ale o co idzie, nie wiedziałem. Później dowiedziałem się, że był to spór o moją przyszłość. Ojciec, pragnąc we mnie rozwinąć rozum, a nie żadne baśni o cudach, diablach i czarach, chciał, żebym uczęszczał do szkoły publicznej, jaka była w miasteczku. Matka zaś, będąc córką chasydzką<sup>3</sup>, święcie wierzyła w to, że Pan Bóg obdarzył ją synem za pośrednictwem cadyka nie na to, aby go wychować na goja, lecz na sługę Boga. Pragnęła koniecznie, a nawet twierdziła, że

<sup>2</sup>Mojżesz — postać biblijna, prorok, który wyprowadził Izraelitów z niewoli egipskiej; żył prawdopodobnie w XIII wieku p.n.e. (według Biblii dożył 120 lat). [przypis edytorski]

<sup>3</sup>chasydzi — spolszczone hebr. *chasidim*, dosł.: pobożni; nazwa zwolenników chasydyzmu, ruchu mistyczno-religijnego, który powstał w Polsce w drugiej poł. XVIII w., a którego założycielem był rabi Israel Baal Szem Tow (1700–1760) z Podola; chasydyzm przeciwstawił się rabinicznemu judaizmowi, kładąc nacisk na osobistą modlitwę; mistyczne zjednoczenie z Bogiem miały zapewnić ekstatyczne śpiewy i tańce. [przypis edytorski]

będę cadykiem, a przynajmniej rabinem. W tym to celu obstawała przy tym, bym rozpoczął naukę od tradycyjnego chederu<sup>4</sup>. Nie mogąc się pogodzić między sobą, uradzili się zapytać mnie, co wolę: szkołę czy cheder.

Ojciec jak i matka, pragnąc mnie ująć każdy na swą stronę, prześcigali się w podarkach i łakociach. Że zaś tego dnia, gdy miał zadecydować o swym losie, matka podarowała mi ładnego konika i ołowianego żołnierza, a do tego plitkę czekolady<sup>5</sup>, więc zostając pod jej wpływem, udzieliłem swej zgody na uczęszczanie do chederu.

Pamiętam ów dzień, gdy matka po raz pierwszy zaprowadziła mnie do chederu. Widzę siebie, jak przez mgłę, jako małego chłopca siedzącego w chederze, wciśniętego przy dużym stole między kilkunastu pędraków ubranych różnobarwnie, zależnie od zamożności tych, którzy przyczynili się do ich istnienia.

Jesteśmy schyleni nad książką i wykrzykujemy różnymi głosami. Na środku chederu, na brudnej, z gliny ubitej podłodze, siedzi w rozmaitych pozach kilka dziewczynek. Bawią się one, każda na swój sposób. W kącie chederu, wśród dymu przebija sylwetka żony rebe, która coś pod nosem gdera na męża. Izba to nieduża, mieszcząca się w suterenie. Nigdy nie była wietrzona. Stałe zapelniający ją uczniowie oddychali dymem i wyziewami. Dym niemilosiernie gryzł w oczy, a przy tym było tam duszno i gorąco nie do wytrzymania.

Nad tą gromadką dzieci królował rebe, stojąc w środku chederu, wyprostowany, nieomal groźny. W prawej ręce trzymał swoje berło dziesięcioramienne, wszechwładny kańczug<sup>6</sup>. Od czasu do czasu próbował rebe swej nieograniczonej władzy, śmigając po plecach bliżej siedzących chłopców, więcej dla wprawy, niż z potrzeby. Wszyscy zbijaliśmy się w kupkę, tak że szpilki nie zdołałby nikt między nas wcisnąć. Rebe, chcąc nas rozłączyć, śmigał kańczugiem po głowach i wywijał nim groźnie w powietrzu.

Tak wyglądał przybytek wiedzy, któremu ojciec był przeciwny, a gdzie jednak z powodu mej zgody, wydobytej za pomocą podarków, musiałem przebywać codziennie od godziny ósmej rano do dziewiątej wieczorem. Jeden dzień był podobny do drugiego: żadnych zmian. Rebe nigdy nie pozwalał otwierać okien, twierdząc, że może postradać głos, którym upiększał co sobotę nabożeństwo w bóżnicy. Słońce także nigdy do naszego chederu nie zajrzało, albowiem w pobliżu stał chlew, w którym rebe trzymał swój żywy inwentarz, składający się z dwóch kóz i czterech kozłat. Kozy rebe były istną plagą dla całego miasteczka. Wieśniacy okoliczni, przyjeżdżając do kościoła lub do miasta po sprawunki, nie mogli się opędzić przed tymi żarłokami. Wszędzie było ich pełno; nieraz i nasze śniadanie, które przynosiliśmy z domu, porywały z okna, rebe bowiem życzył sobie, żebyśmy je tam kładli; czy robił to z rozmysłem, nie wiadomo. Dla kóz jednak ułatwiało to sytuację. Pomagały nam w spożyciu śniadania. Rebe zaś twierdził, że na całym świecie nie ma pocziwszego stworzenia nad kozę. — Karmić nie trzeba, a smaczne mleko daje.

Bek tych kóz i krzyk dzieci tak mi nieraz dokuczał, że chętnie uciekłbym z tego rajy tam, gdzie pieprz rośnie, ale strach przed rebem był większy niż wszystko i to przykuwało mnie do miejsca. Bywały jednak i takie dni, że swobodnie oddychaliśmy na świeżym powietrzu. Bawiliśmy się wówczas na podwórzu, a słońce otaczało nas swą opieką, rzucając na nas swoje ciepłe promienie. Niestety takich dni było niewiele. Zależały one od ilości tradycyjnych ślubów, w których rebe brał udział, odgrywając w nich większą rolę: mianowicie śpiewał nowożeńcom jako „badchon”<sup>7</sup>.

W takie dni uwalniał nas od swego towarzystwa, pozwalając bawić się na podwórku chederu. Nosiło ono cechy śmietnika, ale dla nas było miłe, bo posiadało wszystko, czego nam było potrzeba do zabawy. Nic więc dziwnego, że uważnie śledziliśmy za nowymi ogłoszeniami zaręczyn.

Wówczas to, mimo młodego wieku, w naszych dziecięcych głowach stawało już pytanie, na co ludzie się żenią. Każdy z nas tłumaczył to zagadnienie na swój sposób, aż syn szewca jako najstarszy, a liczył dziesiąty rok życia, wystąpił naprzód i zaczął opowiadać, że on wie, dlaczego ludzie się żenią, opierając się na spostrzeżeniach u swych rodziców.

<sup>4</sup>cheder — elementarna szkoła o charakterze religijnym dla dzieci żydowskich. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>plitka czekolady (z ros.) — tabliczka czekolady. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>kańczug — skórzany bicz, narzędzie chłosty. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>badchon — rodzaj komika, występującego na żydowskiej uroczystości weselnej. [przypis edytorski]

Opowiadał, jak to ojciec i matka zachowywali się po nocach. Co do mnie, stanowczo temu zaprzeczyłem i ogłosiłem go kłamcą. Srulek, tak było mu na imię, nie dał za wygraną i przyszedł zaraz nam pokazać, jak się to robi. On, rzecz jasna, mianował się „tatem”, a na „mamę” wybrał jedną z dziewczynek. Tu jednak zaszła pewna przeszkoda: chcąc bowiem się żenić, trzeba mieć koniecznie łóżko. Tak przynajmniej twierdził Srulek. Widząc jego niepewność bez łóżka, jednogłośnie uznaliśmy, że połamany kufer, stojący przy oknie, śmiało może zastąpić łóżko. Dziewczyna wszakże, nie mając najmniejszego pojęcia, o co chodzi, odmówiła posłuszeństwa i do kufra nie weszła. Wówczas Srulek ujął ją wpół i siłą pakował do kufra, czemu dziewczyna broniła się zajadle, a widząc przewagę nad sobą, wybuchła takim przerażającym płaczem, jak gdyby nas wszystkich wzywała na pomoc. Bez chwili namysłu stanąłem w jej obronie, co spowodowało bójkę między mną a Srulem. W rezultacie zostałem zwycięzcą i zabawa nie doszła do skutku.

Gdy rebe powrócił i dowiedział się o zajściu, wyliczył mi dziesięć kańczugów w taką część ciała, od czego, jak mówił, głowie nic się nie stanie, a nawet jeszcze rozumu nabierze.

To małe zdarzenie do dnia dzisiejszego tkwi w mojej pamięci, gdyż dziewczynka owa odegrała pewną rolę w moim późniejszym życiu, o czym dalej wspomnę.

### III

W chederze mimo wszystko uczyłem się dobrze. Rebe chwalił mnie przed matką i ręczył, że wyrośnie ze mnie „wielki człowiek”, a biedna matka była tego pewna i święcie mu wierzyła. Tak samo i matki wszystkich uczniów wierzyły w opinię rebeego, bo i faktycznie los każdego dziecka zależał od niego. On jeden przepowiadał przyszłość. Każdemu z osobna wypowiadał się zwykle: „Z tego wyrośnie *apykejres*<sup>8</sup> — z tego goj — rabin z ciebie już nie będzie” itd. A co do dziewczynek, to na pytanie matek, odpowiadał zwykle machnięciem ręki i mruknięciem czegoś niezrozumiałego pod nosem, tak jak gdyby o tym stworzeniu nie warto było nawet mówić.

Rebe najwięcej złych wróżb wystawiał tym dzieciom, których rodzice byli nieregularni w opłacie za naukę, a ponieważ moi rodzice na czas płacili, a czasem z góry, więc wychwalał mnie, że jestem „cudownym dzieckiem” do nauki. Co prawda i szturchańca oberwałem nieraz, ale tłumaczył to koniecznością twierdząc, że każdy wychowawca, który naprawdę dba o los ucznia, musi go bić, bo inaczej wyrośnie na „goja”.

Pewnego dnia przypadek otworzył mi oczy; od tej chwili zwątpiłem w prawdziwość rebeego. Spowodowała to następująca okoliczność: jedna z matek przyprowadziła do chederu syna lat sześć, o kruczych włosach i delikatnej twarzyczce; po omówieniu warunków i wyjściu matki z chederu chłopiec stał w miejscu, jakby skamieniał, oczy miał szeroko otwarte, usta mu drgały nerwowo. Smutny był to obrazek; żal mi się chłopca zrobiło, gdy zobaczyłem, jak dzieci otoczyły go naokoło, a Srulek zabrał mu małe zawiniątko, w którym były dwie bułki i ogonek śledzia. Z tego Srulek wydzielił coś ponad połowę, tłumacząc się, że każdy daje dla „Rudego” część swego posiłku.

Muszę tu jednak objaśnić, kim był ten „Rudy”; był to wielki, spasiony kot. Temu kotu co dzień przymusowo składaliśmy ze swego pożywienia coś w rodzaju dziesięciny. Odbierał ją Srul, upoważniony do tego przez rebeego. Srulek był więc opiekunem „Rudego” i ponieważ baliśmy się go, więc bez żadnego szemrania pozwalaliśmy na zabieranie sobie pewnej części pożywienia. Srulek ów był niezmiernym brudasem, o chytrych oczach, brzydki na wygląd. Na samo wspomnienie o nim każde dziecko odczuwało wstręt, a jednak co rano każdy musiał się z nim spotkać, bo z chwilą przybycia Srulek zaraz rozpoczynał rewizję, kontrolując, co kto posiada. Niektóre dzieci zamożniejszych rodziców przynosiły ze sobą buteleczkę mleka, z którego ponad połowę bez słowa skargi zaraz musiały oddać do wielkiej, blaszanej miednicy. Taką codzienną daninę od wielu dzieci miał rzekomo wchłaniać w siebie „Rudy”, o czym ma się rozumieć, wszyscy byli święcie przekonani.

Oto widząc, jak Srulek po odebraniu śniadania nowo przybyłemu dziecku kieruje się do przyległej izby, gdzie wcale nie było okien, a do której wstęp nam był wzbroniony za wyjątkiem Srula, pobiegłem za nim, postanawiając policzyć się ze Srulem za jego podły postęp.

<sup>8</sup>*apykejres* — heretyk, sceptyk. [przypis edytorski]

W owym pokoju, który podobny był raczej do nory, rebe trzymał swe potomstwo, składające się z pięciu synów i dwóch córek. Najstarszy z chłopców liczył lat dziesięć, a wyglądał na lat sześć; z córek jedna liczyła lat sześć, a druga cztery; były one wcale niepodobne do braci, bo dość ładne jak na dzieci wychowane w tak cuchnącej norze. Kiedy wszedłem niepostrzeżenie za Srułkiem do tej izby-nory, ukazał mi się przykry widok. W izbie paliła się lampa naftowa, bez szkła, tak zwany „kopc”. W wątłym świetle ledwo mogłem odróżnić sprzęty tam się znajdujące. W kącie, przy łóżku siedziały na ziemi dzieci rebego w brudnych koszulach, a dopiero co przybyły Srulek siedział w środku i wszystko, co uzbierał, dzielił na równe części. Każdemu dał jedną porcję, dla siebie zaś zatrzymał „danie” zabraną nowo przybyłemu. To, co stanęło przed moimi oczyma, zbyt dokładnie objaśniło mnie o postępowaniu rebego; nie namyślając się długo, skoczyłem do Sruła i zacząłem okładać go pięściami. Powstał pisk i lament, usłyszawszy to, rebe wpadł do izby, złapał mnie za kołnierz i okładając kulakami, wyniósł z pokoju i rzucił w kąt grożąc, że jeszcze mnie ukarze.

Chłopczyk, przyczyna zajścia, stał jeszcze bardziej odurzony — utkwiał we mnie duże, czarne oczy, jakby chciał się spytać: co to za rwetes i co ma robić? Wtem rebe zawołał go po imieniu: chłopczyk spojrział na mnie jeszcze raz i nie poruszając się, pozostał nadal na swym miejscu. Wówczas rebe spojrział na mnie z łaskawym uśmiechem i ująwszy struchlałego malca za rękę, poprowadził w stronę stołu, tam wziął go na kolana i wskazując na otwartą książkę, przed nim leżącą, zapytał: „Co to jest?” Zamiast odpowiedzi, chłopiec wybuchnął płaczem. Rebe więc począł go uspokajać: „No, no, nie bój się, patrzaj — to nazywa się *syder*”<sup>9</sup>. „Syder” — powtórzył chłopiec. Rebe, pokazując mu następnie literę, dodał: „A to jest *alef*”<sup>10</sup>. „Alef” — powtórzył malec. Rebe tłumaczył dalej: „A to jest *bejs*”<sup>11</sup>. Chłopczyk znów rozplakał się. Rebe, pragnąc go uspokoić, pocieszał go, wreszcie mówi: „Berul, nie płacz! Gdy się będziesz dobrze uczył, to ci anioł Gabriel rzuci z nieba kopiejkę na cukierki”. Obiecanka ta zainteresowała mnie tym bardziej, że rebe każdemu nowo przybyłemu obiecywał ten podarek anielski, a który, co ciekawsze, często się sprawdzał. Co prawda wątpilem mocno w te cudowne zdarzenia, tym bardziej wówczas niewiara się spotęgowała, gdy przekonałem się, kto zjada dziesięćcinę. Więc siedząc w kącie, przez nikogo nie spostrzeżony, zacząłem pilnie obserwować rebego, równocześnie patrząc w sufit, by móc się przekonać, skąd spada kopiejka anielska. Wątpliwość moja co do prawdopodobności rebego pobudzała mą czujność. Wtem, o zgrozo... własnymi oczyma zobaczyłem, jak rebe włożył na jarmułkę kopiejkę, obejrzał się wkoło, kiwnął głową i kopiejka spadła z brzękiem na stół przy samym „syderze”. „Weź ją!” — rzekł rebe do malca. — „To anioł Gabriel rzucił ci na cukierki, a jak się będziesz dobrze uczył, to ci jeszcze więcej da”.

Malec wziął kopiejkę, obejrzał ją ze wszystkich stron, tak jak gdyby nie wierzył w ten cud i po chwili odrzekł: „Ja mam taką samą kopiejkę w kieszeni. Matka mi ją dała. A anioł Gabriel skąd ma taką kopiejkę, jak moja mama?” Rebe spojrział badawczo na malca, puścił go z kolan i mruknął: „Ty za mądry jesteś — już rabin z ciebie nie będzie!...”

#### IV

Po tym zdarzeniu nie chciałem więcej chodzić do tego chederu i za parę dni opuściłem go na zawsze, ażeby wstąpić do osławionego chederu, w którym uczył rebe Jankiel. Uczył on z pięciu ksiąg i sływał z tego, że dzieci bały się go jak ognia.

Jakkolwiek pierwsza młodość i pierwszy cheder nie był szczęśliwy, to dalsze lata mego życia, które spędziłem w kilku chederach, były o wiele smutniejsze, lecz rozpisywać się o tym nie będę, a ogólnikowo powiem, że dziecko żadnego narodu nie przechodzi tak okropnych mąk w szkołach, jak dziecko żydowskie w tych „starotypowych” chederach. A trzeba wiedzieć, iż jeden cheder jest podobny do drugiego, jak dwie krople wody.

Nakreśliłem kilka obrazków z życia w pierwszym chederze po to, żeby czytelnik miał dostateczne wyobrażenie o chederach w ogóle. Przebywałem w chederach do dwunastego roku życia. Przez cały czas mojej nauki nie dowiedziałem się nawet, ile jest części świata.

<sup>9</sup>*syder* (hebr.) — modlitewnik. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*alef* — pierwsza litera alfabetu hebrajskiego. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*bejs* — druga litera alfabetu hebrajskiego. [przypis edytorski]

Nigdy mnie o tym nie uczono. Czyż warto jest w takich mądrych chederach, gdzie mowa jest tylko o „Jehowie” i o „narodzie wybranym”, mówić o podobnych głupstwach?

Przez cały czas mojej nauki w chederach ojciec mój ani razu mnie nie odwiedził, ani też się nie zapytał, jak się uczę lub co już umiem. A jednak nie ganił. Matka starała się za to mną interesować i często opowiadała mu o mych postępach w nauce, przy czym zapewniała, że uczę się dobrze, co było poniekąd prawdą, gdyż garnąłem się do nauki.

Po ukończeniu przeze mnie dwunastu lat życia, matka postanowiła mnie wysłać po dalszą wiedzę. Takową miałem otrzymać w osławionym „jeszywecie”<sup>12</sup> w Ł.<sup>13</sup> Ojciec najzupełniej z tym się zgodził, zrezygnowawszy ze wszystkiego, co dotyczy mego wychowania umysłowego. Nie zaniedbał mnie tylko pod względem rozwoju fizycznego. Każdą chwilę wolną, gdy był w domu, bo często rozległe interesy trzymały go poza domem, poświęcał mi, urządzając tak zimą, jak i latem w dni pogodne przejażdżki i spacer. W czasie tych spacerów uczył mnie ćwiczeń gimnastycznych na swój sposób, a także nauczył mnie pływać. Wszystko to dodatnio wpływało na moje zdrowie, które było narażone na szwank przez długie przesiadywanie w brudnych i smrodliwych chederach. A ponieważ byłem nad wiek rozwinięty, a dzięki troskliwości ojca byłem zdrowy, przesiadywanie więc w ciemnych chederach niewiele mi szkodziło.

Z tych chwil nauki pamiętam jeszcze to, że czulem zawsze wstręt do wszystkich niesfornych chłopców. Zachowywałem się dość przyzwoicie i wzorowo. Czasu nigdy nie marnowałem, próżnowanie nie było mi wcale znane, gdyż w wolnych chwilach w domu pomagałem matce w sklepie. Kochałem ją nad życie i starałem się jej dopomóc, w czym tylko mogłem. Pokochałem ją jeszcze bardziej od chwili, gdy zaczęła chorować na ataki serca. Choroba ta powstała z przestachu. Powody zaś owego przestachu są niepowszednie, więc muszę je tu zanotować.

Liczyłem wówczas lat osiem. W pewien wieczór sobotni, gdy siedzieliśmy przy wieczerzy, w nastroju świątecznym, do pokoju wpadła przestraszona służąca; usta miała rozwarła, jak gdyby chciała coś mówić, ale głosu nie mogła wydobyć z gardła. Nim ojciec zdołał wstać z krzesła, wkroczyło dwóch bandytów z rewolwerami w rękach, i grożąc nimi ojcu pod samym nosem, zażądali wydania pieniędzy. Na widok niespodziewanych gości osłupieliśmy z przerażenia, ojciec tylko zachował zimną krew i zapytał ich, co to ma znaczyć. Odpowiedź brzmiała:

— Żądamy dziesięć tysięcy rubli, bo inaczej wszystkich wymordujemy.

Ojciec zupełnie spokojnie rzekł:

— Tyle nie mam w domu, ale trzy tysiące mogę dać zaraz.

Bandyci spojrzeli po sobie i po chwili zgodzili się na to pod warunkiem, że ojciec o niczym nie będzie meldował policji. Ojciec się zgodził. Wstał od stołu i wskazując na przyległy pokój, dodał:

— Z powodu szabasu przy sobie nie mam pieniędzy, lecz są one w sypialnym pokoju.

Dla nieproszonych gości to bynajmniej nie utrudniało sytuacji, bez namysłu więc kazali się prowadzić do wspomnianego pokoju. My zostaliśmy, nadal odrętwiali, nie wiedząc, co się wokoło dzieje. Nagle w pokoju sypialnym padły strzały. Odgłos ich obudził nas z letargu. Powstał wówczas pisk i krzyk nie do opisania. Matka zemdlła, a brat i siostra, o których jeszcze nie wspomniałem, przytuleni do omdlałej matki, płakali. Ja, jako najstarszy, górowałem krzykiem nad wszystkimi. Służąca pierwsza odzyskała równowagę i energię. Chwyciła lichtarz, podskoczyła do okna i wybijając szyby, zaczęła wzywać pomocy.

W kilka minut później w domu było pełno ludzi, a na czele stał żandarm. Matkę przyprowadzono do przytomności. Twarz ojca była nieco przybladła. Zamieszanie powoli ustało zupełnie i oto okazało się, że ojciec rzucił się z rewolwerem na nieostrożnych bandytów w czasie doręczania pieniędzy. Napaść ojca zmusiła ich do ucieczki, podczas której oddali kilka strzałów. Na szczęście chybili. Powyżej opisanego zdarzenia na słabe nerwy matki wpłynęło nadzwyczaj ujemnie i pozostawiło ślad w postaci częstych ataków serca.

Nie od rzeczy będzie, gdy wspomnę, iż po tym napadzie na nas nastąpiły inne w okolicy. Wszystkie były dokonane wyłącznie na domy żydowskie. Prawie cały więc rok 1905

<sup>12</sup>jeszywet (jeszywa) — szkoła, w której kształci się kandydatów na rabinów. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>w Ł. — autor kształcił się w Łomży. [przypis edytorski]

żyliśmy w ciągłej trwodze. Nas, dzieci, gdy tylko ociągaliśmy się z udaniem do snu, służąca straszyla zwykle złodziejami i bandytami. Miało to ten skutek, iż co rychlej udawaliśmy się do swej sypialni.

A jednak los podrwił ze mnie!...

## V

W 1910 roku, gdy rozpocząłem trzynasty rok życia, zasób mej wiedzy obejmował tyle, iż znałem dobrze, jak mnie zapewniali, *Pięcioksiąg*, *Księgi proroków*, początki *Talmudu* i różne inne jeszcze mądrości, które są dostępne tylko dla syna wybranego narodu. Umiałem także pisać po żydowsku i hebrajsku. Z nauk świeckich znałem cztery działania, co ma wystarczyć Żydowi w jego życiu na tym świecie. Tego wszystkiego uczyli w chederze bez żadnego planu, bo i czegoś mieli mnie więcej nauczyć, gdy jestem pewny, że sam rebe nie znał gramatyki, a nawet żargonu. Jednak po studiach, jakie otrzymałem w chederze, uchodziłem w miasteczku za półmędrca, wobec tego rodzice postanowili po dalszą wiedzę wysłać mnie do wspomnianego już poprzednio słynnego jeszywetu w Ł.

Po ostatecznej decyzji co do dalszych mych nauk, pewnego dnia zapanował w domu nastrój bardzo podniosły. Matka promieniała z radości, że jej marzenia stopniowo się realizują. Jej pierwszy syn idzie po drodze tej, która prowadzi do zostania rabinem, a nawet cadykiem. Sama przymierzała na mnie dwa garnitury i palta, które domowy krawiec przyniósł już gotowe do podróży. Służąca, na której rękach wychowywałem się, krzątała się około mnie i znosiła różne specjały i łakocie, umieszczając je w mojej podróźnej walizie, a naznosiła tyle, że aż matka musiała ją powstrzymać w zapale, gdyż nie dałoby się to wszystko zapakować.

Brat, o dwa lata młodszy ode mnie, patrzył na mnie z zazdrością. Maskując swe uczucia, wraz z dziewięcioletnią siostrą oglądał każdą rzecz, zanim została umieszczona w walizie. Przygotowania do niedalekiej podróży czyniły wrażenie, jakbym miał się udać na drugą półkulę świata, a nie o dwadzieścia jeden kilometrów od domu.

Nareszcie nastąpiła chwila mego wyjazdu. Biedna matka ostatnią noc nie spała, spędziła ją nad moim łóżkiem, całowała mnie i ze łzami rozczenia udzielała praktycznych uwag, jak się mam zachowywać w życiu, ażeby Bóg i ludzie byli ze mnie zadowoleni.

Pamiętam, już dniało, gdy objęła mnie za głowę i patrząc mi czule w oczy, chciała coś powiedzieć, lecz nie miała odwagi, po chwili pocałowała mnie w czoło i puściła z objęć. Wpatrywała się nadal we mnie, tak że nie mogłem jej wzroku wytrzymać i opuściłem głowę. Raptem złapała mnie za rękę i zmienionym ze wzruszenia głosem przemówiła w te słowa:

— Synu mój... Zapamiętaj sobie dobrze to, co ci teraz powiem. Wiesz i rozumiesz, że cię miłuję i kocham nad życie, dlatego pragnę powiedzieć ci to, czego może inna matka na moim miejscu nie powiedziała dwunastoletniemu chłopcu, ale ja wiem i przeczuwam, że jesteś nad wiek umysłowo i fizycznie rozwinięty i nie jesteś brzydkim dzieckiem, więc pamiętaj: wystrzegaj się mieć do czynienia z kobietami, bo z tej strony wyczuwam dla ciebie największe nieszczęście, a gdy dorośniesz do lat osiemnastu, dam ci piękną dziewczynkę, która warta będzie twojego serca, a do tego czasu omijaj każdą kobietę! Omijaj!... Rozumiesz? Po pierwsze, jest to śmiertelny grzech, a po wtóre, można także zachorować na taką chorobę, na którą nie ma żadnego lekarstwa i trzeba w bólach, wśród mąk potem umierać. Staraj się natomiast dobrze się uczyć, ażebyś wyszedł na człowieka. Pamiętaj, bym się na tobie nie zawiodła, bobym tej hańby nie przeżyła, gdyż wiesz, że ojciec się z nas podśmiewa, staraj się, żeby on nie triumfował nad nami. Twój ojciec jest dobry i pragnie tak samo jak ja twego dobra, lecz on mnie nie rozumie wcale. O, patrz — dodała, pokazując mi fotografię jej ojca, która wisiała nad moim łóżkiem — to jest twój dziadek. Niech spoczywa w spokoju. Dobrocią i uczciwością odznaczał się od innych. Znał *Talmud* na pamięć. Idź też w jego ślady, a duch jego niech czuwa nad tobą i strzeże od złego i od wszystkich pokus tego świata. — Dalej ucałowała podobiznę swego ojca, a następnie podała ją mnie do pocałowania.

Dziś, gdy rozmyślam nad tym, że tak pobożna kobieta, jaką była moja matka, nie omieszkała mi wyjaśnić jako niespełna trzynastoletniemu chłopcu, jak groźne są nieraz skutki przygodnych miłostek i wreszcie udzieliła pod tym względem przestróg, zmuszony



jestem wierzyć w to, że matka musiała zapewne w natchnieniu odczuwać, skąd jej dziecku największe grozi niebezpieczeństwo. I rzeczywiście moje wykolejenie w dużej mierze przypisać należy kobietom.

Tak, matko droga, twoje ostrzeżenia były trafne, ale na nic nie zdały się, ja, marnotrawny syn, twoich proroczych słów nie uszanowałem... Przebacź więc, kochana mamo, że dopiero będąc dorosłym człowiekiem, zdaję sobie teraz sprawę z tego, czego jako trzy-nastoletni chłopiec nie rozumiałem...

Na dworze już gościł poranek i słońce zaglądało do okien, gdy drzwi do mojego pokoju roztworzono i na progu ukazał się mój ojciec — zastał nas w rozczuleniu. Uśmiechnął się tylko ironicznie, odzywając się zarazem do matki: „Może już dosyć będzie tych wskazówek, niechaj się szykuje, bo za godzinę wyjeżdżamy”.

Ubrałem się prędko, a matka odeszła przygotować śniadanie. W czasie spożywania owego ojciec bacznie mnie obserwował, a gdy śpieszyłem się w jedzeniu, upomniał mnie lakonicznie, że powinienem od dzisiaj spokojnie i taktownie zachowywać się przy stole, gdyż będę stołował się u obcych ludzi, przy czym zwrócił mi kilka uwag, dotyczących zachowania się przy stole w obcym domu. Nim ukończyliśmy śniadanie, bryczka była już gotowa do odjazdu.

Ojciec wstał od stołu i począł się szykować do podróży, poszedłem i ja wkrótce za jego przykładem. Do bryczki zaprzęgnął chłopiec stajenny pięknego bułanka, ulubionego konia ojca. Domownicy i sąsiedzi otoczyli nas kołem, żegnając nader życzliwie, a kilku kolegów z chederu żegnało mnie wprost ze łzami w oczach. Matka pod pretekstem, że zapomniała mi coś dać, odwołała mnie na stronę i doręczyła mi małe zawiniątko. Żegnała zaś w te słowa:

— Synku mój, masz tu jednego rubla na drobne wydatki, a w papierku dziesięć rubli w złocie. Schowaj je sobie na pamiątkę od twej matki i żebyś nigdy ich nie wydał, chyba w większej biedzie. Kiedy wrócisz do domu, to zawsze mi je pokażesz: będzie to dla mnie znakiem, że szanujesz mą wolę.

Na ostatku, błogosławiąc mnie, obsypała pocałunkami. Czułe to pożegnanie prze-rwał dopiero ojciec, nagłąc do wyjazdu. Szlochając w głos, wsiadłem do bryczki, a ojciec ledwo zdołał odsunąć żegnających się ze mną. Nareszcie, wśród okrzyków pożegnalnych i przesyłanych pozdrowień chusteczkami, wyjechaliśmy za miasto.

## VI

Był to piękny, wiosenny poranek. Jadąc, rozglądałem się ciekawie dokoła. Świergot ptasząt, jak i radosne igranie promieni słonecznych usposabiały mnie nader uroczyście. Zda-wało mi się, że cały świat uśmiecha się ku mnie, a słońce wyjątkowo dla mnie tak jasno świeci. Będąc tak optymistycznie nastrojony, patrzyłem na ten świat z wielką ufnością, a krajobraz, przesuwany się przed moimi oczyma, usposobił mnie marzycielsko.

Widziałem, jak powracam do domu w sobolowej czapce na głowie jako rabin, jak stoję w bóżnicy i wygłaszam wiernym płomienne kazanie, ci słuchają w skupieniu, a matka w galerii bóżniczej, gdzie są zwykle odgródzone kobiety, nie może oczu oderwać ode mnie, syna swego, a wszystkie kobiety tam się znajdujące, patrzą na nią z uszanowaniem jako na matkę rabina. Widziałem też ojca, który siedział w tej chwili wraz ze mną na bryczce, a który nie wierzył w to wszystko, co matka we mnie widziała, jak stoi w bóżnicy i jak twarz jego, obecnie pochmurna, promienieje z radości.

Wizje te zachęcały mnie do spełnienia pragnień matki, a rozmyślając o tym, postanowiłem, że muszę zostać rabinem na przekór ojcu, by nie miał powodu triumfować. Nagle jakieś zwątpienie w to postanowienie obudziło się we mnie. Czy naprawdę mam powo-lanie na rabina? Czy będę mógł przeciwstawić się złemu i przeciwnym myślom, które — jak czułem — instynktownie się we mnie budzą?

Nie wiem i do dziś dnia nie mogę sobie tego wytłumaczyć, dlaczego, będąc jeszcze małym chłopcem, czułem jakiś niewytłumaczony pociąg do tego, co mi inni wyjątkowo zabraniali i ostrzegali, że tego nie wolno czynić.

Zrozumiałem, że nie tą drogą powinienem kroczyć w życiu i że nic z tego nie będzie, bo w mej duszy było pełno wstrętu do tego chederu. A więc czy jeszywet, do którego obecnie jadę, nie okaże się taki sam? Na odwrót, w tej chwili pragnąłem chodzić do

szkoły świeckiej i z zazdrością wspominałem o mym ciotecznym bracie, który był w tych samych latach co i ja, a uczęszczał do szkoły handlowej i od którego, gdy przyjeżdżał na wakacje lub święta, nie odstępowałem na krok, słuchając jego różnych opowiadań, które odczytywał mi z książek. Czasem pożyczał mi kilka książek w języku żydowskim, a najbardziej imponowała mi jego czapka z zielonym otokiem, czarny mundurek i płaszcz z zielonym obszyciem.

W duchu przyznawałem zupełną rację ojcu, gdyż on chciał mnie tak samo do tej szkoły posłać, lecz zanadto kochałem matkę, żeby się sprzeciwić jej woli. Rozmyślając tak, przypomniałem sobie o pieniądzech, które otrzymałem od matki w chwili odjazdu. Nie posiadając jeszcze nigdy takiej sumy do rozporządzenia, nasuwały mi się różne pytania, co by można za nie nabyć<sup>14</sup>. Przychodziły mi różne myśli. Między innymi rozmyślałem, czy będę mógł użyć je na wstęp do kina czy teatru, chociaż o nich wiedziałem niewiele, gdyż tylko tyle, co mi cioteczny brat opowiadał. Jednocześnie też powstały wątpliwości, czy mnie jako przyszłemu rabinowi przystoi tam uczęszczać. Dużo jeszcze i innych pokus, o których słyszałem od tegoż ciotecznego brata, stanęło przede mną, pociągając ku sobie.

Takie mniej więcej refleksje przesuwają się przez głowę i na podobnych rozmyślaniach upłynął czas mej podróży, a nawet nie minęły i one wtedy, gdy już wjeżdżaliśmy między forty, przez które trzeba przejeżdżać, zanim się wejdzie do miasta Ł., a następnie przez duży most położony nad Narwią.

Ojciec przez cały czas podróży nie odzywał się do mnie ani słowem, lecz przy wjeździe do miasta, gdy zaczął go rozpytywać o tym lub owym, chętnie udzielał objaśnień. A pytań tych było bez końca, bo to wszystko, co ujrzałem, wjeżdżając do miasta, było dla mnie dziwem. Co prawda czytałem coś niecoś o wielkich miastach, ale nie mogłem sobie wyobrazić większego miasta na całym świecie jak to, do którego wjeżdżałem.

Budynki trzy i czteropiętrowe zaimponowały mi przesadnie swym wyglądem, byłem gotów twierdzić, że większych budynków nawet w Ameryce, o której słyszałem, nie ma. Jednym słowem Ł. tak w mojej wyobraźni wyolbrzymiała, że machinalnie złapałem za rękaw ojca, jakbym się bał, że chmura ludzka, którą zobaczyłem, porwie mnie z sobą.

Egzaltacja ta była wynikiem pobytu w chederze, w którym wychowywali i karmili różnymi strachami o szatanach przyjmujących postać pięknych kobiet, żeby człowieka skusić oraz o diabłach przebierających się za Niemców w cylindrach. Podobne legendy są na porządku dziennym, a wspominają o nich na każdej lekcji.

Po przybyciu do zajazdu, który mieścił się w starym rynku, ojciec wskazał mi wejście do niego. Zostałem przyjęty przez otyłą Żydówkę. Była tak zadowolona, że nie wiedziała, gdzie mnie posadzić. Po chwili wszedł ojciec, zapytał, czy nie jestem głodny, czemu zaprzeczyłem. Zostawił więc mnie samemu sobie, gdyż otoczyli go w tej chwili kupcy, z którymi rozprawiał o handlu i innych sprawach. Wszyscy go ciekawie słuchali.

W zajazdzie, w którym zatrzymaliśmy się, odbywała się giełda zbożowa. W obrębie zajazdu mieścił się też szereg magazynów mąki, cukru i innych towarów. Były to głównie składy naszych i innych firm. Oprócz tego posiadał ojciec także kilka filii w okolicznych miasteczkach.

W dwie godziny później, gdy już ojciec załatwił ważniejsze sprawy, udaliśmy się do głównego dyrektora jeszywetu. Dyrektor „rosajszywe”<sup>15</sup> przyjął ojca z należnym szacunkiem jako dobroczyńcę tej instytucji, mnie zaś obrzucił badawczym wzrokiem, tak że dreszcze przeszły przez całe ciało. Był to człowiek w podeszłym wieku, o okazałej tuszy, z rudą, wielką brodą do pasa, przetykaną już bielejącymi włosami. Podał mi rękę, którą nieśmiało uścisnąłem, myśląc sobie w duchu: „Znów rudy”. Miałem szczęście do rudych nauczycieli, a na sam widok rudej brody jakiś niewytłumaczony strach mnie ogarniał.

Po chwili obserwacji zaczął się wypytywać, czego się uczyłem, a na odpowiedź, ile mam lat, mocno się zdziwił, gdyż faktycznie wyglądałem na lat szesnaście, a nawet siedemnaście dzięki silnej budowie ciała. Potem podał mi wielką książkę *Talmud*, żebyem przeczytał odnośny rozdział.

<sup>14</sup>Nie posiadając jeszcze nigdy takiej sumy do rozporządzenia, nasuwały mi się różne pytania, co by można za nie nabyć — błąd logiczny; poprawnie: „Ponieważ nie posiadałem jeszcze nigdy takiej sumy do rozporządzenia, nasuwały mi się różne pytania, co by można za nią nabyć”. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>rosajszywe — rektor jesziwy. [przypis edytorski]

Po godzinnym rozmyślaniu opowiedziałem zadany rozdział, sam nie bardzo wierząc w prawdziwość tego, co mówiłem — w chederach bowiem rebe nigdy nie dbał o to, czy wykład jego został rozumiany, więcej mu chodziło o to, żeby powtarzać słowo w słowo to, co on wygłaszał, nic więcej.

Gdy skończyłem opowiadanie, rosajszywe kiwnął głową, mlasnął wargami i tarł nie-miłosiernie swą brodę. Z tego rozumiałem, że nie jest zadowolony. Ojciec widać rozumiał moją sytuację, bo sięgnął do portfela, wyjął dwa banknoty po dwadzieścia pięć rubli i tym poparł mój egzamin. Rosajszywe momentalnie wypogodził swoje oblicze i zostałem przyjęty do pierwszej klasy, co w moim wieku nie każdemu się udawało. Boże, dokąd to człowiek nie dostanie się za pieniądze!

Rozmawiali ze sobą jeszcze kilka minut, a następnie pożegnaliśmy się i wróciliśmy do zajazdu na obiad.

Przez cały czas od wyjazdu z domu ojciec, jak już podkreśliłem, odpowiadał tylko na moje pytania, a ze swej strony nie rozpoczynał żadnej rozmowy, przy obiedzie zaczął mi się bacznie przypatrywać, podobnie jak w domu i dopiero po długiej chwili przemówił do mnie słów kilka:

— Widzę po tobie i wiem, że nie masz ochoty do dalszej nauki. Pewnie wołałbyś siedzieć w domu i być przy handlu. Ale cóż? Matka twoja uparła się i chce koniecznie widzieć cię rabinem. Co do mnie, wiem z góry, że nie masz do tego powołania, jednak pamiętaj o tym, coś przyrzekł matce. Ucz się wzorowo, zrób to dla niej. Może ona ma rację i lepiej widzi twoje powołanie niż ja.

Po obiedzie zaprowadził mnie ojciec na stację, gdzie miałem zamieszkać. Udzieliwszy jeszcze kilku pożytecznych słów i wskazówek, pożegnał mnie i wyjechał do domu, pozostawiając mnie samego aż do następnej niedzieli. Po odjeździe ojca posmutniałem, tęskniłem już za domem.

Następnego dnia o godzinie ósmej musiałem już być w jeszywecie na rannej modlitwie, po której rozpoczynały się rozwlekłe wykłady *Talmudu*. Tak rozpocząłem nowy okres życia.

## VII

Budynek, gdzie mieścił się jeszywet, stał mniej więcej w środku miasta na obszernym, wybrukowanym placu, w pobliżu siedziby głównego dyrektora.

Sam jeszywet składał się z dużej sali, tak dużej, iż budowniczy dla podtrzymania sufitu powstawił szereg słupów. Przy ścianie naprzeciw drzwi schodowych stał na wywyższeniu „*Oren kojdesz*” (arka przymierza) i ołtarz. Z obu stron sali stały rzędy ławek, na których nawet wśród nocy można było widzieć uczniów rozmaitego wieku, ba, nawet brodaczy, zaczytanych w *Talmudzie*.

W jeszywecie tym były cztery oddziały. Każdy oddział miał swój dzień wykładowy i tak: oddział pierwszy co dzień, oddział drugi co drugi dzień, oddział trzeci dwa razy w tygodniu, a oddział czwarty składał się ze słuchaczy, którzy po większej części uczyli się samodzielnie. Między tymi ostatnimi byli nawet tacy, którzy mogli być już rabinami. Nieraz patrzyłem z zazdrością na te ascetyczne postacie, gdyż z pierwszego oddziału tak prędko nikt się nie dostaje do czwartego, w każdym z oddziałów musi się uczyć przynajmniej po kilka lat.

W oddziale pierwszym wykładał starzec z siwą brodą, o natchnionej twarzy. Wykładał powoli i rozumiale, a gdy trafiliśmy na rozdział w *Talmudzie*, w którym traktowano o stosunkach mężczyzn do kobiet, kazał przepuścić jedną lub dwie strony, ażeby tego tematu nie poruszyć. My jednak ze swej strony nie szczędziliśmy wysiłku, by skrycie przejrzeć, co tam się kryje. Pod strachem i bojaźnią czytaliśmy zakazany artykuł, lecz niestety, nie zawsze dało się to zrozumieć i dlatego treść tam zawartą różnie sobie tłumaczyliśmy. Biedny był jednak ten, kto dał się złapać nauczycielowi przy studiowaniu i rozstrzyganiu podobnych kwestii, każdy więc pilnował się jak tylko mógł i trzymał się na ostrożności, jakby popełniał jakąś zbrodnię.

Starzec ten bynajmniej nie był dziwakiem, iż takich tematów nie wykładał. W jeszywecie wypływało to ze zwyczaju, by nie mówić o tym, co uznają za niezrozumiałe dla młodzieży. Uważali, iż poruszając drażliwe tematy zamiast uchronić od grzechu, wskazu-

je się tylko łatwiejszą do niego drogę. Widzą największe zło w tym właśnie, co dotyczy takiego nieczystego stworzenia, jakim jest w ich rozumieniu kobieta...

Pomimo wszystko bardzo mi się podobał nastrój i porządek, jaki tam panował. Dumny też byłem z tego, że z dwustu uczniów byłem najmłodszy wiekiem. Nie mniej przyjemniejsza była świadomość, iż przez kolegów byłem lubiany. Lecz z drugiej strony tęskniłem do słońca, lasów i Narwi, które opuściłem. Przymusowe, bezustanne ślęczenie nad *Talmudem* męczyło mnie niezmiernie, pragnąłem wytchnienia i naprawdę czułem się wtedy szczęśliwy, gdy po ukończonych wykładach opuszczałem ponure mury jeszywetu.

Rodzina, u której mnie umieszczono na stacji, była małżeństwem bezdzietnym, składała się z siedemdziesięcioletniego, pobożnego starca i jego żony, zaledwie dwadzieścia dziewięć lat liczącej. Dziewczyna ta pochodziła z naszego miasteczka, a nawet mieszkała niegdyś w domu mych rodziców, zajmowała się wówczas udzielaniem języka żydowskiego i hebrajskiego dziewczętom. Cztery lata temu wyszła za mąż za starca, który ożenił się na złość swoim dorosłym wnukom. Odwiedzali go oni jednak często, zachęceni do tego jego majątkiem, który im po śmierci przypadła, a był pokaźny, bo składał się z murowanego, trzypiętrowego domu i wielkiego, galanteryjnego sklepu.

Ożenił się, jak twierdził, jedynie dlatego, by mieć nowego spadkobiercę, mniej narętnego. Ten to cel dodał mu odwagi, by za pomocą „szadben”<sup>16</sup> i majątku ożenić się z tak młodą kobietą, niebrzydka i wykształconą.

Była ona przyjaciółką mojej matki i dlatego znalazłem się pod jej opieką. Mąż jej po całych dniach przebywał poza domem, gdyż nie dowierzał swoim dzieciom, które brały udział w interesie. Ona zaś jako macocha, nie żyjąc w zgodzie z nimi, rzadko kiedy odwiedzała sklep.

Wieczorem, gdy ten zdzieciniały starzec wracał do domu, patrzył podejrzliwie na swój skarb i na mnie, jak widać, nie był zadowolony, a nieraz wyraźnie okazywał ku mnie swoją niechęć. Co prawda, ona więcej zajmowała się mną niż mężem. Toteż czułem się niezłe pod jej opieką. Nieraz w jego obecności tak czule zwracała się do mnie, że starzec patrzył na mnie takimi oczyma, jakby pragnął odgadnąć nasze myśli i zbadać przyczynę, która tak zbliżyła nas ku sobie. Wzroku tego poczułem się obawiać. Lecz nie mogłem wówczas zrozumieć, o co mu chodzi...

Ta czuła opieka z jej strony wywołała wdzięczność, później przywiązanie, a nareszcie zaczęło kielkować coś w rodzaju miłości.

Opiekunka moja w chwilach, gdy znajdowaliśmy się sami, oględnie zapoznawała mnie z teorią miłości. Po pewnym czasie te rozmowy zaczęły na mnie działać do tego stopnia, że zacząłem za nią chodzić jak lunatyk. Pewnego dnia, a było to przed „Świętami Trąbki”<sup>17</sup>, kiedy to wierzący powinien po północy udać się do bóżnicy na modlitwę „slyches”<sup>18</sup>, starzec, spełniający przez całe życie uświęconą tradycję, wstał nieco wcześniej i począł się ubierać. Nie zapomniał też o mnie. Starł się mnie obudzić, abym się udał do jeszywetu także na modlitwę. Niestety, byłem tak zaspany, że nie mogłem zrozumieć, o co chodzi. Postał więc chwilę nade mną, a widząc, że się przekręciłem na drugi bok, twarzą do ściany, zostawił mnie w spokoju i sam się udał na modły. Wtem poczułem na sobie czyjąś rękę. Spojrzałem, była to moja opiekunka w nocnej koszuli, piersi były zupełnie odkryte, uśmiechnęła się zalotnie i pieszczotliwie przemówiła:

— Dlaczego nie poszedłeś na slyches?

Dotykając zaś ręką mojej głowy, dodała:

— Jaką masz gorączkę, głowa pewnie cię boli?

Nic jej nie odpowiedziałem, czułem jednak, że mnie ogarnia uczucie błogie, a zarazem wydała się ona dla mnie tak piękna w tej chwili, że nie mogłem od niej oczu oderwać. Siedziała tak czas dłuższy na krawędzi łóżka w kuszącej pozie. Wreszcie uniosła mą głowę i przytuliła do piersi. Bezwiednie, jakby popychany przez jakąś siłę, całowałem ją i wbrew woli zacząłem błądzić palcami po jej ciele, czyniłem to wszakże z jakąś obawą w duszy, jak gdybym się znalazł w objęciach szatana. Sumienie mi mówiło, że postępowanie moje

<sup>16</sup>szadben — swat. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>Święta Trąbek — Rosz ha-Szana, święta żydowskiego Nowego Roku, przypadają na wrzesień/październik. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>slyches (slicha) — modlitwa o przebaczenie, którą Żydzi odmawiają od północy do rana przez dziesięć dni, począwszy od uroczystości „Trąbek” do Dnia Sądnego. [przypis edytorski]

jest śmiertelnym grzechem... „Opiekunka” jednak moja nie dała mi długo zatrzymać się nad tymi refleksjami. Obsypywała mnie wciąż pieszczotami, dla mnie dotąd nieznanymi, tłumacząc, co to jest miłość...

Te stosunki z nią przywiązały mnie tak do niej, że na każde jej skinienie byłbym gotów w ogień skoczyć. Czasami wszakże, gdy siedziałem przy *Talmudzie* w jeszywie, budził się we mnie wstręt do podobnych zabaw. Miałem zamiar wszystko opowiedzieć ojcu albo swojemu rebemu. Niestety, jedno jej spojrzenie wystarczyło, bym oddał się jej w objęcia.

## VIII

Tak upłynęło pierwsze półrocze nauki. Uczyłem się wzorowo, więc rebe twierdził, że jeżeli dalej będę się tak uczył, to wkrótce zostaną przeniesiony do drugiego oddziału.

O godzinie czwartej każdego dnia opuszczałem jeszywet, gdyż była to godzina obiadu, a każdy jeszywetanin udawał się na swój „dzień”, by zjeść obiad. Jest tam bowiem zwyczajem, że biedni uczniowie stołują się co dzień w innym domu żydowskim<sup>19</sup>, a dla tych, którzy nie mają wszystkich „dni” w tygodniu, specjalnie gotuje się kocioł w jeszywie. Ci biedacy, których karmi kocioł, wyglądają bardzo źle, gdyż te obiady są kraszone najwyżej cebulą i pietruszką. Na temat tego pokarmu krążą różne dowcipy wśród słuchaczy. Między innymi pamiętam taki:

— Mojsze, masz dziś dzień?

— Nie, jem dzisiaj z kotła.

— A wiesz, co dzisiaj na obiad?

— Nie wiem, a ty wiesz?

— Miałbym nie wiedzieć? — odpowiada z goryczą dowcipniś o ascetycznym wyglądzie, czteroletni stołownik kotła. — Dziś na obiad jest „cymes”<sup>20</sup> okraszony cebulowymi łzami.

Dla pełni obrazu jeszywetu muszę tu parę słów poświęcić „szamesowi”<sup>21</sup>, ważną rolę odgrywającemu w naszej gromadzie. Szamesem był ruchliwy Żydek o czarnej, koziej bródce, ślepy na jedno oko, który jednak wszystko widział. Nieraz bywało, że dojrzał i złapał zgłodniałego biedaka, który się pośpieszył „wypić” swój obiad i stanął jeszcze raz w ogonku, by nabrać tego specjału po raz drugi.

Otóż ten to szames, oprócz oficjalnej funkcji zarządzania kotłem, prowadził jeszcze własny handel, składający się z rozmaitych środków żywnościowych dozwolonych nam do spożywania na śniadanie.

Po ukończeniu rannej modlitwy, która trwała przeszło godzinę, niemal wszyscy udawali się do rudery w podwórzu jeszywetu, stojącej prawie do połowy w ziemi. Po prawej stronie, przy wejściu do rudery była jedna olbrzymia izba, w której było więcej okien wybitych niż całych. W izbie tej stało kilka żelaznych łóżek z brudnymi siennikami. Było to pomieszczenie dla bezdomnych uczniów, czyli — że tak się wyrażę — wytrwałych kandydatów na rabinów i zbawców Izraela. Po lewej stronie mieścił się sklepik szamesa, czyli bufet. Co rano można było spotkać stojącą za bufetem żonę szamesa, osobkę ciężkiej wagi.

Wzdychała zawsze nabożnie, jak grzesznik przed śmiercią. Pomagała jej w pracy osiemnastoletnia córka Zełda, która obsługiwała każdego z tajemniczym uśmiechem na zmysłowych wargach.

Klienci jedli nabyte śniadanie, składające się z chleba, mleka, kawy, bułki, masła lub śledzi, na stojąco. Ryby i gęsie wątróbki należały już do delikatesów. Na nabywców tych ostatnich patrzono jak na wielkich łakomców, a co gorsza, nawet rozrzutników. Można także było często widzieć takiego biedaka, co zamiast „dnia” u ludzi, otrzymał od nich pięć kopiejek na całodzienne utrzymanie. Śniadanie takiego „kapitalisty” najczęściej składało się z gotowanego grochu, który nabywał za dwa grosze.

W każdą niedzielę, gdy ojciec przyjeżdżał do Ł., to zwykle poświęcał kilka minut, by mnie odwiedzić. Gdy go do godziny czwartej po południu nie było, wiedziałem, że nie

<sup>19</sup>stołują się co dzień w innym domu żydowskim — stąd przyjęte wśród uczniów znaczenie wyrazu „dzień”. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>cymes — potrawa z marchwi, żydowski specjał sobotni. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>szames — służa jeszywetu, rodzaj kościelnego. [przypis edytorski]

ma czasu. Udawałem się wtenczas sam do hotelu, gdzie w jego pokoju, na znanym mi miejscu leżała zwykle paczka dla mnie, przysłana przez matkę. Były to prawie zawsze same smakołyki.

Ojciec podczas odwiedzin u mnie był zwykle tak zajęty swymi myślami o interesach, że nie spostrzegał tej wielkiej zmiany, jaka we mnie zachodziła i jak bardzo źle wyglądam.

Upłynęło pół roku. Nadchodziły święta, większość uczniów wracała do rodzin na czas świąteczny, toteż z utęsknieniem czekałem tej chwili, by ujrzeć drogą swą matkę. Nareszcie w jeszywecie ogłosili, że kto chce, może jechać do domu. Tego dla mnie nie potrzeba było dwa razy powtarzać. Tego samego dnia byłem jednym z pasażerów, który udawał się do rodzinnego miasteczka.

Droga ta była bardzo nudna, furmanka, którą jechałem z piętnastoma osobami toczyła się po roli, ciągnęła ją para koni, a raczej szkielety końskie. Żydek, znany mi furman, którego pradziadek po tej drodze jeszcze furmanił, całą prawie drogę wykrzykiwał na biedne koniska. Przy tym okładał je batem, gdzie popadło. Żał mi ich było, więc dla ulżenia tym szkapiskom więcej szedłem pieszo niż jechałem, drepcząc w błocie za furmanem.

Pasażerowie byli mi wszyscy znani, więc musiałem im się popisywać z mej mądrości, którą nabyłem w jeszywecie. Zadawali mi oni wiele pytań z *Talmudu* — choć z niechęcią, musiałem na wszystko odpowiadać.

Jazda ta była dla mnie prawdziwą torturą i dziwiłem się, jak ludzie mogą jeździć w ten sposób. Na niekorzyść tych pasażerów muszę to powiedzieć, że żaden z nich nawet pod górę nie szedł, chociaż patrzyli, jak wraz z furmanem pchałem wóz, by koniom ulżyć. Bo po cóż to, czy nie zapłacili dwadzieścia pięć kopiejek za tę przyjemność?

Biedny furman prosił i błagał ich, by zeszli z wozu, później groził, wreszcie doszło do wzajemnego obsypywania się obelgami i przekleństwami. Po pięciogodzinnej takiej jeździe nareszcie ujrzałem wieżycę kościoła naszego miasteczka, która trzy wiorsty przed miasteczkiem była już widoczna. Dopiero tu wsiałem z furmanem, a konie ruszyły jakoś zwawiej, pewno przypomniały sobie obrok, który na nich oczekiwał.

Późna już była noc, gdy zapukałem do drzwi rodzinnego domu.

## IX

Pierwszą osobą, która mi otworzyła drzwi, była naturalnie matka. Witając mnie, powtarzała:

— Ach, moje drogie dziecię, miałam przeczucie, że cię dziś ujrzę. Nie mogłam też zasnąć. — Przyciągając mnie zaś ku sobie, dodała — Chodź, niech przy świetle przyjrzę ci się, jak wyglądasz.

A gdy bliżej mi się przyjrzała, krzyknęła:

— Boże, jaki ty czarny, mizerny, co tobie jest?

Na ten rozpaczliwy okrzyk wszyscy domownicy, nie wiedząc, co się stało, powstawali na nogi. Ojciec przywołał mnie chłodno i rzucił uwagę:

— Co ci się tak śpieszyło, czy nie mogłeś zaczekać na mnie? Przecież w niedzielę byłbym cię przywiózł. — Mierzył mnie przy tym od nóg do głowy zaspanymi oczyma. Nie zdążyłem nawet odpowiedzieć, gdy już stała miednica z wodą, bo i rzeczywiście byłem cały obłocony.

Po umyciu i przebraniu matka posadziła mnie na kanapie przy piecu i zakrzętała się koło wieczerzy, przypatrując mi się jednocześnie tak, że nie mogłem jej wzroku wytrzymać, próbowała przy tym nawiązać rozmowę na temat, który mnie niezmiernie drażnił. Czyżby domyślała się, jakie stosunki łączyły mnie z jej przyjaciółką? Na samą myśl o tym drżałem. Próbowwała matka dość niezręcznie wszelkich sposobów, żeby mnie wy badać. Ja jednak, ogarnięty wstydem i strachem milczałem, co ją jeszcze więcej drażniło, a tym samym upewniało w domysłach.

Po dwugodzinnej rozmowie z matką udałem się na spoczynek, ale nie mogłem zasnąć. Było mi jakoś ciężko na duszy, albowiem będąc nader przywiązany do matki, za nic w świecie nie chciałem sprawić jej bólu, tym bardziej przez wyznanie przyczyny swego tak mizernego wyglądu. Przypomniałem sobie wówczas jej ostrzeżenie przed kobietami. Dusza mi zamierała z bólu i żalu na samo wspomnienie, że ja, beniaminek matki, nie uszanowałem jej przestróg. Wprawdzie niezdolny byłem ocenić należycie swego wy-

stępkę, którego powodem była żona starca, jednak rozumiałem, że zaszło ze mną coś takiego, że gdyby matka o tym wiedziała, to kto wie, jakie skutki by z tego wynikły i jak rozczarowałaby się swą przyjaciółką, której powierzyła z całym zaufaniem swego syna.

Przewracałem się z boku na bok, jakbym leżał na żarzącym się węglu, nie mogłem zasnąć. Z drugiego pokoju dolatywał mnie jakiś szmer rozmowy, coraz to gwałtowniejszej. Była to sprzeczka ojca z matką. Nadstawiłem uszu i zrozumiałem, że spór dotyczy mnie, ale treści nie mogłem uchwycić. Zatopiony w rozmyślaniu, zasnąłem, lecz sen był niespokojny, albowiem zaczęły mnie dręczyć majaczenia. Po jakimś czasie przebudziłem się, drżąc cały, i dopiero nad ranem zasnąłem na powrót, lecz znów wpadłem w labirynt snów niedorzecznych. Obudziłem się zlany zimnym potem, zupełnie złamany na duchu. Matka stała nade mną przestraszona. Wygadywałem podobno niestworzone rzeczy. Zapytała, czym nie chory. Nie odpowiadając, zasnąłem po raz trzeci.

Były to początki ciężkiej choroby. Został sprowadzony znany w Ł. doktor K. Po zbadaniu orzekł, że jestem przemęczony i potrzebuję wytchnienia. Przepisał lekarstwo. Nie chciałem go wszakże brać do ust. Matka wszystkim wolny czas spędzała przy moim łóżku i cicho płakała; widać przypisywała sobie winę tego, co się stało.

Nadeszła jesień, a z nią i święta żydowskie. Miasteczko nasze dużo straciło ze swego uroku. Wszędzie było pełno błota i kałuż. Pomału wracałem do zdrowia, wstawałem już z łóżka. Wielka jednak zaszła zmiana we mnie. Stałem się milczący i nieufny, ślad tego został w dalszym mym życiu.

Od kilku tygodni byłem już „*bał-micwe*”<sup>22</sup>, to znaczy, że ukończyłem lat trzynastcie a więc przepisy religijne wymagały, abym przy rannej modlitwie miał na sobie „*tfilem*”<sup>23</sup>. Nie czyniłem tego wszakże, gdyż rytuał też wymagał pewnych wiadomości i przygotowań, w uzyskaniu czego przeszkodziła mi choroba. Zacząłem więc co dzień uczęszczać na dwie godziny do podrabina, który wykladał mi, co to jest „*tfilem*” i jakie odpowiedzialności spadają na mnie od chwili ukończenia trzynastego roku życia. Tak samo matka pragnęła, abym nauczył się „*droszy*”<sup>24</sup>, którą bym mógł wygłosić w dzień „*Sudy*”<sup>25</sup> na swoją cześć.

Podrabin między innymi tłumaczył mi, że do tego czasu wszystkie grzechy, jakie popełniłem, szły na rachunek moich rodziców. A teraz za złe uczynki odpowiadać będą przed „*Jehową*” własną głową. Tłumaczył mi też *Haj-odom* (Życie człowieka) i co jest grzechem, a co nie. Opowiadał przy tym takie straszne rzeczy, że włosy mi dęba stawały, mówił np., że jak tylko przekroczyć przykazanie Jehowy, zostaną zupełnie zgubiony... Tu jakby się namyślił chwilę i ciągnął dalej:

— Bóg tak powiedział do człowieka: „Dwie drogi dałem ci, życie i śmierć. Wybieraj życie!” Tak Bóg radzi człowiekowi. Życie ludzkie jest w ręku Boga, gdyż od głowy człowieka ciągnie się niewidzialna nić aż do tronu jego, gdy zgrzeszy, to Bóg może ukarać karą „*kores*”, tj. przecina nitkę, a człowiek momentalnie umiera.

Słuchając tego, mimo woli pomacałem się po głowie. Opisał mi też całą zgrzyotę gehenny (piekła), a powiedział mi to z takim przekonaniem, jak gdyby wszystko to na własne oczy widział, a gdy zauważył, że bladłem przed taką odpowiedzialnością, wówczas dodawał na pocieszenie:

— Wszystko złe spada wtedy, gdy nie wykonasz jego przykazania. Lecz o ile człowiek prowadzi życie cnotliwe, to nagroda jest tak wielka, że jak jeden rabin określił: „piękniejsza jedna godzina z rozkosznego życia pozagrobowego niż całe życie doczesne”.

Tu opisał mi wygląd raję z takim zapałem i przekonaniem, jakby przed chwilą z niego wrócił.

— Każdy cadyk — ciągnął wytrwale — otrzyma od Jehowy na własność „*szaj ej tomis*”, czyli 310 światów.

<sup>22</sup>*bał-micwe* a. *bar-micwa* — w trzynastym roku życia chłopiec według pojęć religijnych staje się odpowiedzialny za swoje czyny. Moment ten święci się specjalną uroczystością. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>*tfilem* (*tęfilin, filakterie*) — pasy zawierające wewnątrz cytaty z Biblii. Od trzynastego roku życia Żyd podczas modlitw wkłada je na ramię powyżej łokcia i na głowę. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*drosza* (*drasza, drasz*) — uczony komentarz do odczytanych przez siebie fragmentów Tory i Talmudu, który chłopiec wygłasza w dniu *bar-micwy*. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*Suda* — uroczysty poczęstunek z okazji *bar-micwy*. [przypis edytorski]

Naiwnie zapytałem go, skąd Bóg tyle światów weźmie, rebe przeszył mnie tak piorunującym spojrzeniem, że postanowiłem w myśli nigdy już nie stawiać podobnych pytań. Po chwili wszakże odrzekł:

— Bóg wszystko może!

Nauka ta na szczęście trwała nie dłużej niż miesiąc, kto wie, czy moje nerwy wytrzymałyby dłużej. Nasłuchałem się takich strasznych rzeczy przez czas tych lekcji, że nieswojo się czuję na samo wspomnienie o tym.

Wówczas się czułem tak nieszczęśliwy po tym miesiącu nauki, że znów zachorowałem ze strachu przed życiem, które mnie czeka.

Choroba tym razem jednak nie trwała długo. Matka nalegała na mnie, to groźbami, to prośbą, żebym powiedział, co mi tak dolega, gdyż doktor orzekł, że nic mi nie jest, a cierpię tylko moralnie, na co nie zna lekarstwa.

Wreszcie nadszedł dzień „Sudy”. W domu znów był świąteczny nastrój. Wygłosiłem wyuczoną, mało mi jednak zrozumiałą „droszę”. Złożono mi za to różne życzenia i podarki. Ojciec podarował srebrny zegarek ze złotym łańcuszkiem, a matka rozpromieniona obiecała, że na moim weselu podaruje mi złoty zegarek. Uczta trwała do późnej nocy, a gdy miałem udać się na spoczynek, matka ucałowała mnie i prosiła, bym jej obiecał, że na wiosnę znów wrócę do jeszywetu. Chętnie się zgodziłem.

Przyznać się muszę, iż nie dlatego się zgodziłem, że pociągała mnie chęć do nauki, lecz że miałem na myśli powrót na tę samą stację. Upomnienia i ostrzeżenia rebege, że obecnie za wszystkie grzechy sam odpowiadam, choć ostudzały nieco mój zapał, to wszakże nie mogły zwyciężyć moich uczuć.

Chociaż i wiedziałem, że nawet patrzeć na kobietę jest śmiertelnym grzechem, a tym bardziej to, co zaszło na stacji, to jednak pocieszałem się tą myślą, że za dawne grzechy odpowiadać będą rodzice. To znów na przemian skrucha ogarniała mnie, że rodzice mogą być niesprawiedliwie ukarani za moje grzechy i żal mi się ich robiło. Ale to życie na stacji było bardzo jakoś przyjemne i dlatego, nie słuchając żadnych głosów wewnętrznych, zdecydowałem się tam wrócić.

Długo rozmyślałem o tym, dlaczego to wszystko, co jest dla mnie tak pociągające i kuszące, jest grzechem. Dziewczeta na przykład są takie miłe stworzenia, a zakazane jest przez *Talmud* pod groźbą strasznych mąk w piekle nawet patrzeć na nie.

Albo z Frankiem na przykład zabraniają mi się kolegować, mówią, że on jest goj. A co to jest Żyd? Za nic nie mogłem tego zrozumieć. Nieraz przypatrywałem mu się ciekawie z myślą, że może spostrzegę różnicę między sobą a nim. Ale gdzie tam! Nawet na odwrót, znalazłem wiele, co przemawiało na jego korzyść. Jest ładniejszy, odważniejszy i miłszy ode mnie. Co do reszty, tak samo się śmieje i płacze, z wyglądu jest podobny do mnie, składa się z tych samych części ciała co i ja, ba, nawet mówi po żydowsku nie gorzej ode mnie. Więc co jest właściwie za różnica między mną a Frankiem? Aha! Przypomniało mi się, że rebe uczył, iż szatan przebiera się w różne postaci, by zgubić człowieka. A może więc Franek jest tym szatanem i przyszedł, by moją duszę zgubić? Ale w tej chwili oddałem tę myśl, śmiejąc się w duchu z tego. Wszak Franek jest synem rzeźnika i mieszka obok nas, znam ojca jego, matkę i jego siostrę Władkę. Są to dobrzy ludzie, gdy przychodzę do Franka, zawsze częstują mnie cukierkami.

Żadną miarą jednak nie mogłem zrozumieć, dlaczego matka zabrania mi tam cokolwiek jeść. Nader trudne było do spełnienia to żądanie matki, gdy mnie zaproszono do nęcącej zapachem kielbasy i kotletów, które tam często podawano do stołu. Ale cóż? Nie wolno, bo to jest hazer<sup>26</sup>. Co prawda nie tak zakaz matki trzymał mnie z dala od tych pachnących potraw, jak to, iż święcie wierzyłem, że gdy dotknę do ust hazer, momentalnie się udławię. Strach więc przed karą był większy od wszystkiego.

Pewnego razu Franek ze swą siostrą chcieli mi gwałtem do ust włożyć hazer. Bronilem się z całych sił. Wówczas oni ze złości, że nie chcę jeść, natarli mi słoniną całą twarz. Boże! Co to też było! Gdy wyrwałem się z ich rąk, myłem twarz kilka razy, nawet piachem próbowałem szorować, ale prędko przestałem, bo okropnie ta operacja bolała.

Gdy się matka o tym dowiedziała, zabroniła mi stanowczo tam chodzić. Tylko ojciec wraz z ojcem Franka, gdy tylko mnie ujrzeli, nie mogli się powstrzymać od śmiechu.

<sup>26</sup>hazer (*chazir*) — świnia. [przypis edytorski]



Jednak do tego Franka coś mnie ciągnęło, nie upłynął tydzień od tej awantury, a już ślizgałem się z nim i jego siostrą po Narwi. Nie mogłem po prostu żyć bez nich, nie pomógł nawet kańczug rebego, który upominał, że z gojem nie wolno nic mieć wspólnego. Rebe nic nie wskórał. Z Frankiem wciąż byliśmy nierozłącznymi przyjaciółmi. Na tę przyjaźń i Żydzi w miasteczku patrzyli krytycznie.

Z myślą o zakazie przyjaźni z Frankiem absolutnie nie mogłem się już pogodzić! Nie mogłem zrozumieć, dlaczego zabraniają mieć z gojem stosunki. Aż jednego dnia zdobyłem się na odwagę i w chederze spytałem rebego, co za różnica jest między gojem a Żydem? Wtedy rebe nam obszernie objaśnił:

— Gdy nadejdzie koniec świata, zjawi się Mesjasz. Stanie on jedną nogą na cmentarzu, a drugą na bóżnicy i zadmie w róg, aż cała ziemia zadrży. On zaś zawoła wielkim głosem, który będzie słychać z jednego końca świata na drugi: „Zmartwychwstanie zmarłym!” W tej chwili strach ogarnie wszystkich jeszcze żyjących. Znaki ukażą się na niebie i ziemi. Archanioł Gabriel Żydów odprowadzi do „Erec Izrael”<sup>27</sup>, a umarli Żydzi powstaną i podziemnymi gankami przejdą też do „Erec Izrael”. Goj zaś żaden nie zmartwychwstanie. Żydzi wówczas zapanują na całym świecie. Goje natomiast przestaną zupełnie istnieć.

Tu triumfującym wzrokiem spojrział na nas, dumny z tego, że odkrył przed uczniami wielką tajemnicę, a trzymając się za siwą brodę, dodał:

— Między gojem a Żydem jest jeszcze ta różnica, że żaden goj nie posiada duszy. Po śmierci wędruje prosto do gehenny<sup>28</sup>. Dlatego też każdy z nas w codziennej modlitwie ranej dziękuje Jehowie za to tymi słowami: „Błogosławiony jesteś, Boże nasz, królu świata, że nie stworzyłeś mnie gojem!”

Czytelnik więc zrozumie, że od tego dnia, gdy rebe odkrył mi tę tajemnicę o duszach, mimo woli przyjaźń moja z Frankiem stopniała. Głupota rebego górowała nad naszą przyjaźnią.

Przebac mi, kochany Franku, że pogardziłem wówczas twoją szlachetną przyjaźnią, gdyż byłem święcie przekonany, że ty nie masz duszy... Ja zaś, jako należący do narodu wybranego, posiadając duszę, czy mogłem być przyjacielem takiego jak ty człowieka bez duszy?...

Po przejściu choroby na razie do jeszywetu nie pojechałem. Miałem pozostać do wiosny w domu. Przez ten czas brałem lekcje hebrajskiego i żargonu u prywatnego nauczyciela. Warto, żebyśmy się bliżej temu oryginałowi przyjrzel.

Był to człowiek średniego wzrostu, lat czterdzieści sześć, o chudej, czarnej brodzie. Oczy u niego pełne smutku świeciły dziwnym, jasnym blaskiem. Ubierał się stale jednakowo, a to w wytarty, miękki kapelusz, wyszarzały garnitur i brudny kołnierzyk z krawatem prawidłowo zawiązanym, zimą zaś kompletował tę garderobę paltem z aksamitnym kołnierzykiem, które było już tak stare, że rzeczoznawca nie byłby w stanie określić jego koloru.

W miasteczku krążyły o nim różne legendy. Był on bardzo wykształcony i władał kilkunastoma językami. Nikt nie znał wszakże jego pochodzenia. Z powodu jego dziwaczego zachowania się, wszyscy twierdzili, że jest wariatem. Pomimo to miał wstęp do najbogatszych domów, gdzie udzielał dzieciom lekcji, pobierając od ucznia po trzy ruble miesięcznie. Mając ich około dwudziestu, mógł świetnie żyć, a jednak żył w nędzy. Pieniądze, które otrzymywał, rozdawał pierwszemu lepszemu. Dlatego też wyznaczono mu za opiekuna starą kobietę, ta więc się nim zaopiekowała i odbierała należne mu pieniądze. On sam nie upominał się nigdy o wynagrodzenie.

W wolnych chwilach za miejsce przechadzek obierał sobie cmentarz żydowski i katolicki. Oglądał tam stare nagrobki lub rozmawiał ze sobą, a jak ludzie opowiadali, z umarłymi. W domu rozmawiał zwykle ze sobą głosem, w którym czuć było jakiś żal. Nieraz też chodziliśmy pod jego okna, by go posłuchać, lecz niestety nie mogliśmy nic zrozumieć. Gdy wspomnę dziś o nim i jego życiu, zapominam o swoim własnym cierpieniu. Tak! Ten człowiek przeszedł przez jakiś dramat życia, który go zламаł ostatecznie. Temu człowiekowi jednak mam do zawdzięczenia bardzo wiele: obudził on we mnie uczucie dla piękna przyrody, jak i poezji ojczystej.

<sup>27</sup> *Erec Izrael* (hebr.) — ziemia Izraela. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *gehenna* (*gebenom*) (hebr.) — piekło. [przypis edytorski]

Nauka u tego człowieka trwała niedługo, gdyż wkrótce zmarł on na suchoty galopujące. Nielitościwa śmierć zabrała go nam w tak stosunkowo młodym wieku. Przeniósł się więc w zaświaty. Może tam znalazł ukojenie za swój żal i będzie mógł się wypowiedzieć przed tym, który go zrozumie.

Całe miasteczko, bez różnicy wyznania, nosiło żałobę po nim. Ci wszyscy, co go znali za życia, żalowali go niezmiernie. Majątkiem jego w postaci rękopisów o treści naukowej zajęła się policja. Między starymi szpargałami znaleziono też kilka zagranicznych dyplomów wyższych uczelni. Pochowany został ten dzielny człowiek na starym, żydowskim cmentarzu przy samym brzegu Narwi, gdzie za życia często przebywał. Teraz może o nim już nikt nie wspomina.

Kochany nauczycielu, a jednak ja, jeden z tych najniezwyklejszych uczniów, o Tobie do grobu nie zapomnę, bo byłeś jedynym człowiekiem który mnie, młodzieńca błądzącego i słabego, zrozumiał. Gdyby śmierć tak prędko nie wyrwała Cię z szeregów żyjących, może... dziś nie byłbym tak nieszczęśliwy. Ty na pewno nadałbyś inny kierunek memu życiu.

Cześć Twojej pamięci!

## XI

Nadszedł rok 1911 i życie w domu płynęło zwykłym trybem, a ja przyszedłem ostatecznie do zdrowia. Zacząłem więc opuszczać mieszkanie, by odetchnąć świeżym powietrzem nadchodzącej wiosny. Nie omieszkalem też pobiec nad brzeg Narwi, by przyglądać się, jak powłoka lodowa zaczęła się ruszać. Słychać też już było świergot ptasząt, a lasy powoli zmieniały kolor. Przyroda rwała się ku życiu. Były to ostatnie dni marca. W miasteczku panował ruch. Zapach macy czuć było wokoło. Nadchodziły bowiem tradycyjne święta żydowskie „Pejsach”<sup>29</sup>. W samym rynku mieszkańcami byli wyłącznie Żydzi, co chwila można było widzieć, jak z jakiegoś domu wynoszą kosze macy o różnych rozmiarach, przykryte białym prześcieradłem. Co dziesiąty dom piecze mace, więc śpiew i śmiech młodych dziewcząt tam zatrudnionych zewsząd dolatywał do uszu przechodnia.

Getto żydowskie rwie się do życia. Najbiedniejszy jest zadowolony z tych świąt macy, gdyż bezpłatnie otrzymuje wtedy wszystko, czego wymaga rytuał. A także prorok Eliasza odwiedza biedaka, by wypić u niego swój kielich lichego wina, jak u bogacza wina „Karmel”. U nas w domu panuje ruch. Biorę w nim czynny udział i pomagam domownikom.

Ojciec teraz najwięcej przebywał we młynie, położonym o siedem wiorst od naszego miasteczka. Na trzy dni przed świętami wrócił do domu. Był jakoś podrażniony. Krzyczał, przeklinał na wszystkie strony, a przy byle jakiej i okazji denerwował się. Dziwiło mnie to bardzo, gdyż sprzeczne było z jego charakterem. Mnie, najstarsze z dzieci, jakby naumyślnie upatrzył, by na każdym kroku prześladować i cynicznie przezywać „jeszywe bocher”<sup>30</sup>. Gdy matka próbowała go uspokoić, to ją nawet raz odepchnął tak brutalnie, że upadła mdlejąc. Gdy patrzyłem na to, cała moja czternastoletnia dusza zbuntowała się przeciwko ojcu. Do dzisiejszego dnia obraz ten pozostawił w mej pamięci wrażenie niezatarte. Ojciec co prawda zaraz potem przeproszał matkę, a ta święta kobieta przebaczała mu, ja jednak w głębi duszy nigdy mu tego nie przebaczyłem.

Nadszedł wreszcie pierwszy dzień świąt. W domu zamiast nastroju świątecznego panowała jakaś naprężona atmosfera. Ojciec był czymś nadzwyczaj zajęty. Całe osiem dni świąt chodził jak obłąkaniec. Przeglądał wciąż jakieś rachunki i książki. Matka też co tam liczyła.

Nareszcie dowiedziałem się, co było przyczyną tego zdenerwowania. Otóż ojciec stał pod groźbą bankructwa — brat jego, związany z ojcem finansowymi sprawami, zrujnował się doszczętnie w interesach i uciekł do Ameryki. W następstwie kilka piekarń ogłosiło także bankructwo, każda narażała ojca na kilka tysięcy rubli. Epilogiem tego było wystawienie na licytację parowej cegielni stryja, z lasem i zabudowaniami. Po spieniężeniu tego wszystkiego brakowało jeszcze piętnastu tysięcy rubli, by pokryć długi stryja. Ojciec

<sup>29</sup> *Pejsach (Pesach)* — najważniejsze i najstarsze święto żydowskie, obchodzone na pamiątkę wyzwolenia Izraelitów z niewoli egipskiej; zwane Paschą, a czasem też Żydowską Wielkanocą. [przypis edytorski]

<sup>30</sup> *jeszywe bocher* — wychowanek jeszywy. [przypis edytorski]

zaczął więc układy z wierzycielami, które odbywały się u nas w domu, a podczas których nie obeszło się bez awantur.

Widząc to, wierzyciele ojca pośpieszyli także po swoje długi. Pamiętam jak dziś ten przykry dzień. Było to w sobotę wieczorem. Wierzyciele zgłosili się naraz po swe należności. We wszystkich pokojach pełno było ludzi. Powierzyli oni w swoim czasie ojcu swe zaoszczędzone pieniądze na procent, uchodził on bowiem za majątnego człowieka. Teraz zaś, gdy usłyszeli o bankructwach, nie orientując się w sytuacji i nie pytając, czy i ojciec należy do grona upadłych firm, przyszl i krzyczeli, by im natychmiast zwrócił krwawo zapracowane pieniądze.

Ojcu nie dawali dojść do słowa i kto wie, jak by to się skończyło, gdyby w porę nie przybył ksiądz proboszcz Ch., staruszek szanowany w całym miasteczku nawet przez Żydów, jego uwadze nie uszło żadne poważniejsze zdarzenie w okolicy.

Po zauważeniu go wszyscy ucichli i skierowali swe oczy w stronę przybyłego.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — powitał ich staruszek.

Na te słowa obecni, nie wyłączając i Żydów, porwali czapki z głów. Po serdecznym przywitaniu się ze zgromadzonymi ksiądz porozumiał się z ojcem. Potem zwrócił się do obecnych i przemówił:

— Panowie, opamiętajcie się! Strach przed stratą waszych pieniędzy opętał was do tego stopnia, że sami nie wiecie, co robicie. P. F... cz<sup>31</sup> w zupełności jest w stanie pokryć wszystkie swoje zobowiązania w każdej chwili. Możecie więc iść w spokoju do domu, a w poniedziałek o godzinie szóstej wieczór każdy, o ile chce wycofać swe pieniądze, niech przyniesie weksle czy kwity, a otrzyma należność z procentami.

Spojrzeni po sobie pytająco z pewnym niedowierzaniem, wątpiąc, czy nie będzie już za późno. Myśleli, że jak stryj zrobił plajtę, to i ojca może spotkać to samo. Spostregłszy wahanie, ksiądz proboszcz jeszcze raz zapewnił ich, że każdy otrzyma swą należność i że on za to bierze na siebie odpowiedzialność. To ich ostatecznie upewniło. Jeden za drugim zaczęli opuszczać mieszkanie. Po tym zajściu, w rezultacie zostało kilka połamanych krzesel.

W poniedziałek o umówionej godzinie ojciec zaczął wypłacać wszelkie należności swym wierzycielom. Każdy otrzymał swoje co do grosza. Większa część prosiła ojca, aby z powrotem wziął pieniądze na procent, lecz ojciec stanowczo odmawiał.

Wspominając dość często przykrą sytuację ojca z owej soboty, zadawałem sobie pytanie, czy ten szanowny staruszek, który wybawił ojca z opresji i zażegnał większą awanturę, także nie posiadał duszy, jak to rebe określił. Mocno zwątpiłem w prawdopodobność rebeego.

Zastanawiałem się również często nad tą sprzecznością, która zabrania Żydom zawierać bliższą łączność z gojami, a jednak w życiu jest inaczej, bo z nimi się łączą i współpracują. Patrzyłem na to codziennie. W domu naszym stałymi gośćmi byli ludzie rzekomo nie posiadający duszy, a jednak mile widziani, bo od nich zależały nasze interesy. Nie mogłem wówczas należycie zrozumieć tego, że w chederze uczą, by się z nimi nie stykać, a w domu bez nich obejść się nie mogą, a ojciec prowadzi z nimi największe interesy.

Muszę jeszcze o jednym z tych ludzi bez duszy wspomnieć, szlachetność jego bowiem pozostawiła we mnie niezatarte wspomnienia. Był nim hr. K.<sup>32</sup>, człowiek nader dobry. On to założył straż ogniową w miasteczku, której był naczelnikiem.

Przyjazd jego do nas był zazwyczaj związany z pewną ceremonią, gdy bowiem nadjeżdżał swą karetą zaprzęgniętą w czwórkę ładnych koni, lokaj stawał przed gankiem, a hrabia, nie wysiadając, głosem doniosłym sylabizował nazwisko ojca, a nawet śpiewał te sylaby tak długo, aż ktoś nie usłyszał. Wówczas ojciec i matka śpieszyli ku drzwiom, witając go mniej więcej słowami: „najniższy sługa jaśnie wielmożnego pana hrabiego” i powtarzali to przy otwieraniu drzwi licznych pokoi, prowadząc go do salonu. Hrabia krokiem wolnym posuwał się naprzód i wreszcie siadał na podsuniętym fotelu. Podczas rozmowy żartował, rzucając tłuste dowcipy zagraniczne, które często przez słuchaczy nie były rozumiane. Odwiedziny te były dość częste, gdyż hrabia przesiadywał większą część roku w Monte Carlo. Zmuszony więc był biedak w progi ojca często zaglądać. Wizyta

<sup>31</sup>F... cz — Szmul Farbarowicz, ojciec autora. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>hr. K. — hrabia Kuberski. [przypis edytorski]

jego u nas nie trwała dłużej niż dwadzieścia minut. Czas ten regulował, kładąc swój złoty zegarek na stole. Był bardzo punktualny. Punktualność jego nieraz przysporzyła ojcu zmartwienia. Zdarzało się to wówczas, gdy hrabia potrzebował większej sumy na termin.

Przyszły już i święta. Wiosna zapowiadała się przepięknie. Wszyscy jeszcze byli pod wrażeniem przebytych dopiero co świąt. Biedacy kończyli resztki macy, a zamożniejsi spieszyli do dentysty, by leczyć zęby. Była to przymusowa kuracja po macach, którymi w przeciągu siedmiu dni przymusowo się odżywiali.

Pewnego dnia przed wieczorem matka znów wzięła się za mnie. Musiałem pokazać otrzymane od niej dziesięć rubli w złocie. Spojrzawszy na datę roku, oddała mi z powrotem, dodała jeszcze rubla na własny użytek, przy czym zawiadomiła, że tym razem sama pojedzie ze mną do Ł. i pomyśli, gdzie ma mnie umieścić. Przy tym wyjazd został wyznaczony na następny dzień.

Próbowałem delikatnie wspomnieć, że pragnąłbym pozostać na tej samej stacji, lecz matka badawczo spojrzała na mnie i zaznaczyła, że nim zdecyduje, musi najpierw pomówić z moją byłą opiekunką, teraz nic nie wie. Zapewniła mnie wszakże, że mogę być spokojny, gdyż otrzymam dobrą stację.

## XII

Po raz drugi szykowanie do wyjazdu. Od różnych przyjaciół z naszego domu znów wysłuchiwałem morały, tylko już z mniejszym zapałem zносиła ta sama służąca dla mnie smakołyki. Tym razem musiała ją matka upominać, co ma przyszykować. Zdaje mi się, że ona pierwsza wówczas zwątpiła w moją gwiazdę rabinowską. Ta poczciwa kobieta była jedyną zwolenniczką matki i przytakiwała zawsze jej poczynaniom. Czyżby ona mnie przejrzała na wylot i wiedziała, że z planów matki zostaną nici?...

W dniu wyjazdu wiosna była już w pełni i śliczny roztaczała obraz. Lasy pachniały świeżością, a ja po raz pierwszy w życiu ujrzałem prawdziwego leśnego zwierza, jak zwinnie przeskakiwał z drzewa na drzewo. Matka wyjaśniła mi, że to jest wiewiórka, co było mi zresztą obojętne. Nie przejąłbym się i nazwą lwa, gdyż ani o jednym, ani o drugim nic nie wiedziałem. W chederze i w słynnym jeszywecie, dokąd obecnie wracałem, o takich głupstwach nie wspominają.

Druga ta moja podróż, już w towarzystwie matki, mniej mnie zachwycała. Byłem jakoś zubożniały na otoczenie. Świat tym razem wydawał mi się mniej imponujący. Przez cały czas zajęty byłem jedną myślą i starałem się odgadnąć zamiar swej rodzicielki co do oddania mnie znów pod opiekę przyjaciółki. Przeczynałem, że tego nie zrobi. Próby matki w kierunku nawiązania ze mną rozmowy w tej sprawie nie dochodziły do skutku. Jechaliśmy więc, całą drogę prawie nie rozmawiając ze sobą.

Było już po południu, gdy przybyliśmy do Ł. Zatrzymaliśmy się w hotelu. Po całym przywitaniu się matki z otyłą właścicielką hotelu, udaliśmy się wprost do dawnej mej stacji. Przyjaciółka rzuciła się do matki z otwartymi rękami, a następnie całowała ją tak czule, że matka ledwo uwolniła się z jej silnych ramion. Po przywitaniu tym spojrzała na mnie, jakby dopiero mnie zauważyła, a podając mi rękę, którą wahajaco przyjąłem, zapytała:

— A co z tobą?... Fe!... — dodała z uśmiechem — rzucić naukę i chorować to nieładnie. Kto chce się uczyć, nie marnuje czasu na choroby.

Mówiąc to, śmiała się głośno. Matka nie spuszczała z nas oczu. Gospodyni zaprosiła nas do drugiego pokoju i tyle różnych zadawała pytań, że matka nie mogła dojść do słowa. Za chwilę przybył starzec. Żona jego przedstawiła go matce. Małżonek, gdy mnie ujrzał, zachmurzył się, a następnie zagadnął matkę, czy ma zamiar zostawić mnie na stacji, a gdy matka odrzekła, że tylko pragnie uregulować rachunek i zabrać moje rzeczy, momentalnie rozpozgodził się. Natomiast opiekunka, słysząc to, zachmurzyła się i nie krępując się nas, poczęła kłótnie z mężem o jakieś kolczyki.

Dalsza rozmowa przyjaciółek w cztery oczy musiała być bardzo naprężona, bo gdy matka wyszła z pokoju, w którym była na poufnej rozmowie, chwyciła mnie za rękę i pociągnęła za sobą tak silnie, że się przeląknem. Wyglądało to tak, jakby chciała mnie uchronić od złego. Natomiast opiekunka rzuciła za mną takie wymowne spojrzenie, że

zawahałem się, czy pójść za matką, czy też rzucić się do jej nóg. Była w tej chwili szatańsko piękna.

Starzec, gdy opuściliśmy mieszkanie, rzucił straszne przekleństwo za mną.

Do dziś pozostało dla mnie tajemnicą, o czym rozmawiały ze sobą przyjaciółki. Lecz od tej chwili zauważyłem, że matka stała się dla mnie jakby inna... Od tego czasu nie rozprawiała ze mną tak czule i nie pieściła pocałunkami przy pożegnaniu, jak to było dawniej.

W jeszywecie zostałem przyjęty do tej samej klasy. Matka, odjeżdżając, ofiarowała trzy worki mąki dla „ludzi bez dnia”. Ja zamieszkałem w hotelu, w którym zatrzymywała się zwykle rodzina, gdy przyjeżdżała do Ł. Stołowałem się w dni powszednie u pewnego piekarza, któremu ojciec dostarczał mąkę, w soboty zaś u jednego z przyjaciół ojca.

Pokój, w którym zamieszkiwałem, był ładny, ale smutny. Nieraz nawet bałem się zasnąć.

W niedziele jak zwykle przyjeżdżał ojciec i przywoził mi różne łakocie. Od pewnego czasu zauważyłem, że ojciec jest rozgoryczony. Zapytałem go o powody. Wiadomość, jakiej mi udzielił, była dla mnie bardzo przykra. Matka wyjeżdżała za granicę celem przeprowadzenia kuracji, czuła się bowiem źle. Prosiłem ojca, by zezwolił mi pojechać do domu, odwiedzić ją, lecz stanowczo się temu sprzeciwił, obiecując wszakże, że matka będzie przed wyjazdem u mnie, albowiem tak czy owak musi tędy przejeżdżać.

Rychło też spotkałem u siebie matkę. Zajechała do mnie na pożegnanie. Płakała bez przerwy. Całowałem ją i obiecywałem uczyć się pilnie. Ona dała mi do zrozumienia, że kto wie, czy doczeka tego dnia, kiedy zostanę rabinem. Twierdziła nawet, że na pewno tego widzieć już nie będzie. Płakałem wtedy i przysięgałem, że będę się starał osłodzić jej życie. Pisała do mnie często.

Od tego czasu upłynęły dwa miesiące. Matka w listach prosiła, bym pisał o sobie jak najwięcej. Czyniłem temu zadość.

W jeszywecie byłem jak w domu. Miałem przyjaciół, lecz tylko dlatego, że miałem pieniądze. Najbardziej pyszniłem się swoim zegarkiem. Miałem też ku temu okazję, gdyż co chwila koledzy pytali mnie, która godzina.

Między kolegami miałem jednego z trzeciego oddziału, syna fabrykanta z Łodzi. Był on o trzy lata starszy ode mnie, a chodziły o nim pogłoski, że spaceruje z dziewczętami i goli sobie brodę. Ja co prawda nie wierzyłem w oszczerstwa rzucane na niego, lecz jakie było moje zdziwienie, gdy na zapytanie, czy prawdą jest, co o nim mówią, otrzymałem potwierdzenie, a co gorsza przyznał mi się, że nie tylko sam to czyni, lecz goli innych. Po tym wyjaśnieniu nie omieszkał mnie bliżej wtajemniczyć w te sprawy, tak ściśle przez rytuał zabronione.

Pewnego piątku zawołał mnie na sam strych jeszywetu, gdzie już siedziało ośmiu uczniów z trzeciego i czwartego oddziału. Po zaryglowaniu drzwi zaczęli się golić, po kolei prosząc mnie, bym ich mydlił, bo sam nie miałem jeszcze co golić.

Początkowo próbowałem ich upomnieć, że to śmiertelny grzech się golić, lecz oni wyśmiali mnie, a mojego kolegę, co był głównym organizatorem fryzjerni, upominali, że takich głupich wtajemnicza, mogą ich jeszcze wydać. Lecz ten zapewnił, że zna mnie, że nie ma się czego obawiać, jest też pewny, iż niezadługo i ja się będę golił, czemu stanowczo zaprzeczyłem.

Taki stan rzeczy trwał dość długo. W każdy piątek po cichu i dyskretnie wtajemniczeni sunęli bezszelestnie po schodach aż na sam strych. Był tam pokój przeznaczony na stare książki. Otwierano go przy pomocy dobranego klucza. Nikogo tam nie wpuszczano bez hasła, a hasło co piątek było inne. Golić się zaczęli wtedy dopiero, gdy wszyscy byli już obecni. Pokój ten nie tylko służył na fryzjernię, ale także palono tam papierosy, nawet grano w karty, starsi opowiadali przy tym o kobietach, opierając swe twierdzenia na *Talmudzie*, mianowicie, że rozkosze, jakie kobieta daje mężczyźnie, równają się rozkoszom raj. Śmiali się ze mnie, ponieważ byłem najmłodszy i rumieniłem się, słuchając o tych „*nibul pe*”<sup>33</sup>. Nie wiedzieli oni, że rumieniłem się ze wstydu, przypominając sobie pobyt na pierwszej stacji. Śmiałem się zarazem z nich w duchu, że rozprawiają o tym, o czym nie mają pojęcia i dlatego jedynie fantazjują.

<sup>33</sup>*nibul pe* (z hebr.) — opowiadania niemoralne. [przypis edytorski]

Często też jeden drugiemu się zwierzał, iż swatają mu ładną dziewczynkę — o brzydkiej nikt nie wspominał — i że nawet ją widział bez jej wiedzy<sup>34</sup>, lecz mały posag. Znalazł się wówczas jeden, który twierdził, że gdyby pokochał naprawdę kobietę, to by się nawet ożenił bez posagu, lecz natychmiast go wszyscy wyśmiali.

Był i taki, co na temat miłości pisał już wiersze i nam po kryjomu czytał, przy czym gdy objaśniał o miłości, tak się zapalał, że musieliśmy go uspokajać, bojąc się, by nas kto nie podsłuchał. Twierdził on, że nie tylko ładne i cnotliwe można kochać, ale też brzydkie i lekkich obyczajów. Znalazł się i taki, który przysiągł, że na własne oczy widział w Warszawie kobietę lekkich obyczajów i że go nawet zapraszała do swojego mieszkania. „Ładna była” — mówił — „i szatan mnie opętał tak, że już gotów byłem udać się z nią, gdy wtem stanęła mi przed oczyma matka, co przed rokiem umarła, musiałem więc uciekać z całych sił, by nie ulec pokusom”.

Temu opowiadaniu przysłuchiwaaliśmy się niedowierzająco. Przyszedł mu jednak nasz poeta z pomocą i wyjaśnił nam, że Bóg daje jakiś znak człowiekowi w ostatniej chwili, by go powstrzymać od złego. O podobnym wypadku jest nawet opowiadanie w *Talmudzie*. Wszyscy nalegaliśmy, aby nam opowiedział tę powiastkę, na co się chętnie zgodził, gdyż nie zawsze chcieliśmy go słuchać.

— Otóż żył sobie człowiek, który był zawsze pilny w noszeniu „cicis”<sup>35</sup>. Usłyszał on, że w jednym z miast zamorskich mieszka kobieta, która oddaje się za złotych czterysta, płatnych z góry. Posłał więc jej oznaczoną kwotę, wyznaczając termin swego przyjazdu. Gdy stanął u jej drzwi, służąca zameldowała go swej pani. Ta kazała go zaraz wprowadzić, a gdy wszedł, ujrzał siedem łóżek, jedno nad drugim: sześć ze srebra, połączonych ze sobą drabinką srebrną i jedno łóżko złote, połączone z tamtymi drabinką złotą. Kobieta weszła do górnego łóżka i obnażając się, oczekiwała gościa. Gość począł wchodzić na drabinkę, wtem jego czworo „cicis” uderzyło go w twarz. Zszedł więc prędko i usiadł na ziemi. Widząc to, ona zawołała: „Przysięgam ci, że nie wpierw cię puszcę od siebie, dopóki nie powiesz, co za feler ujrzałeś u mnie”. Na to on odrzekł: „Przysięgam ci także, że takiej pięknej kobiety jak ty nie widziałem jeszcze w życiu. Dano mi wszakże jedno przykazanie, które ustanowił nasz Bóg do przestrzegania, a nazywa się „cicis”. W tym to przykazaniu Bóg nam powiedział dwa razy: „Jestem waszym Bogiem. Jam jest, który później będę się domagał rachunku. Wynagradzać będę za dobre uczynki, a za złe będę karał”. Słyszając to, owa kobieta rzekła: „Ja cię nie puszcę, póki nie powiesz, skąd pochodzisz, jak się nazywasz, jak się nazywa twój rebe i szkoła, w której się uczysz”. Napisał jej to wszystko i opuścił ją natychmiast. Po tym zdarzeniu kobieta owa wszystkie swe dobra rozdzieliła na trzy części: jedną część przekazała państwu, drugą rozdała biednym, a resztę wzięła ze sobą oprócz tych siedmiu łóżek i udała się do wskazanego jeszywetu do rebego. „Rebe Hijo!” — rzekła. — „Rozkazuj, a przyjmę religię waszą”. Rebe odrzekł: „Córko, może ci się spodobał który z moich uczniów?” Ona mu wtedy podała pismo, a rebe powiedział: „Idź, bierz, co sobie kupiłaś. Na tym samym łóżku, na którym mieliście spać w grzechu, będziecie teraz spać za moim przyzwoleniem. To jest zapłata za dobre uczynki, zapłata na tym świecie, a na tamym kto wie, jaka jest nagroda...”

Po skończeniu tej powiastki nasz poeta dodał jeszcze od siebie wyjaśnienie, że tego człowieka Bóg uratował w ostatniej chwili, za spełnienie zaś jego przykazania dał mu kobietę za żonę. Po namyśle dodał: „Czy nie lepiej się żenić i bez grzechu mieć to, co jest najrozkoszniejsze na świecie?...”

### XIII

Nie zdążyliśmy jeszcze ochłonąć z wrażenia, gdy ktoś zapukał do drzwi. Zapanowała cisza jak za dotknięciem różdżki. Zapukano jeszcze raz. Nikt się jednak z nas nie odzywał. Źle, co robić? Wtem, o zgrozo, ktoś kluczem otwiera drzwi. Strach nas opanował nie do opisania, gdyż dowody naszych przestępstw, jak brzytwy, miseczki z mydłem, kilka książek treści beletrystycznej itd. mieliśmy przy sobie. Rozmyślaliśmy nad tym, kto to może być.

<sup>34</sup>nawet ją widział bez jej wiedzy — Chasyd rzadko ma możliwość ujrzeć swą narzeczoną przed dniem zaręczyn. O doborze pary decydują rodzice. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>cicis (cyces) — frędzle od chusty, element rytualnego stroju żydowskiego. [przypis edytorski]

Upłynęła męcząca chwila i oto w drzwiach stanął szames w całej swej okazałości, uśmiechając się chytrze i mrugając przy tym swym zdrowym okiem.

— No i co? Ładnie wszyscy pogoleni! Muszę iść po rosajszywę, niech wie, kogo on tu ma...

I chciał już zawrócić. Wtem główny organizator całej imprezy, to jest mój przyjaciel, ujął go za kołnierz i przykładając pięść do nosa, począł recytować słowo za słowem:

— Pamiętaj, jeżeli komu piśniesz chociaż słówko, to ci drugie oko wydlubię.

Wszyscy struchleli, widząc taki obrót rzeczy. Szames zbladł jak trup, bo tak silnie ujął go za kłapy, że o mało go nie udusił. Skończyło się na tym, że każdy z nas, a była to sama jeszywecka śmietanka, dał mu po pięćdziesiąt kopiejek, za co miał milczeć. Po wtóre musiał się liczyć z tym, że najwięcej targował właśnie od nas za te specjały, które co dzień na śniadanie jego żona z córką nam sprzedawały, dał więc spokój!

Od chwili wykrycia naszej kryjówki obraliśmy sobie na schadzki inne miejsce. Było ono już daleko poza murami szkolnymi. Tam za to bez obawy praktykowaliśmy wszelkie przez zakon i regulamin jeszywetu zakazane sprawy.

Życie tym razem w jeszywecie szło mi niezłe. Miałem wesołych kolegów. W towarzystwie ich dość często, wprawdzie pod wielkim sekretem, udawałem się co sobotę do Turka na kawę i ciastka. Zastanawiając się nieraz nad tymi występkami, czyniłem sobie każdorazowo wyrzuty, że chcąc być rabinem, nie można tak się prowadzić. Ale cóż, byłem tylko człowiekiem, więc i skłonny do grzechu.

Pewnego sobotniego wieczoru, gdy wyszedłem na spacer do ogrodu, ujrzałem, że przy kinie gromadzą się ludzie, więc i ja też się zatrzymałem. Czytając afisz, nic nie mogłem zrozumieć, co składa się na program, ale za to przemawiały do mnie obrazki. Rozglądając się wokoło, czy nie widzi mnie ktoś ze znajomych, wślizgnąłem się do środka i stanąłem przy kasie. Niecierpliwie czekałem na bilet z myślą, że gdyby mnie ktoś ze znajomych ujrzał, miałbym się z pyszna. Nareszcie dostałem bilet i wszedłem do poczekalni. I to, com ujrzał, zdziwiło mnie ogromnie. Nie dowierzałem własnym oczom. Zdjąłem więc szkła, lecz wzrok mój mnie nie mylił. Oto ujrzałem córkę dyrektora jeszywetu w towarzystwie mego przyjaciela Z., tego właśnie, który nas golił. Gdy mnie ujrzeni, zbliżyli się, witając. Powitanie nasze jednak było takie, jakbyśmy się spotkali w piekle, wierząc, że za życia byliśmy najcnotliwszymi ludźmi. Po porozumieniu się obiecaliśmy sobie dla wspólnego dobra nasze spotkanie zostawić w tajemnicy.

Zawstydzony siedziałem w czasie seansu w pobliżu pięknej córki głowy jeszywetu. Śmiała się cały czas, trącając swego przyjaciela, istne żywe srebro i nawet pozwalala się całować, gdy było ciemno. To całowanie się denerwowało mnie bardzo i nie wiedziałem, gdzie mam patrzeć, czy na ekran, czy na całujących się obok.

Ta przyjaciółka z pierwszego seansu wyszła później za mąż za prawdziwego rabina i dziś jest rabinową, a co jeszcze mi kolega powiedział w sekrecie o niej, to nikomu już tego nie powiem...

Pomimo wszystkich mych dziecięcych wybryków, w nauce byłem jednak pilny i rosajszywe obiecał, że po skończeniu półrocza nauki przeprowadzi mnie do drugiej klasy. Nie omieszkałem o tym donieść matce. Wiedziałem, że nic dla niej nie jest miłsze niż moje postępy w nauce. Była jeszcze za granicą. Pisała do mnie nieomal co dzień, a do domu raz na tydzień. Doszło nawet do tego, że gdy ojciec przyjechał w niedzielę, to pytał mnie, co słyhać u matki. Żalił się przy tym, że do niego nie pisze. W jeszywecie płynęło życie spokojnie, nie było tam żadnego bicia za występki, jeżeli uczeń coś przeskrobał, to bywał tylko przedstawiony przed rosajszywą, a ten umiał tak długo do ucznia przemawiać, że najzagorzalszy grzesznik musiał okazać skruchę, o czym też sam przekonałem się rychło.

## XIV

W pewną sobotę po kolacji jak zwykle udałem się na spacer, ale tym razem nie sam, tylko w towarzystwie piętnastoletniej dziewczynki. Była to córka tego piekarza, u którego się stołowałem. Trzeba to wiedzieć, iż od pewnego czasu między nami zawiązała się nić sympatii. Sprzyjało temu odpowiednie traktowanie mnie w ich domu, gdzie przyjmowany byłem jak własny syn. Częste pogawędki w domu były nam niewystarczające, więc

umówiliśmy się, że w każdą sobotę po kolacji oczekiwać mnie będzie na wyznaczonym miejscu, gdyż, jak już wspomniałem, w soboty jadałem u przyjaciela, a zarazem współnika ojca. Spacerów nasze odbywały się po nieoświetlonych ulicach. Unikaliśmy spotykania się z ludźmi. Ku temu były dwa powody: mnie jako uczniowi jeszywetu było zabronione nie tylko spacerować z dziewczętami, ale nawet patrzeć w ich stronę, a ona obawiała się, by się rodzice nie dowiedzieli, iż tak wcześniej garnie się do chłopców.

Towarzystwo jej było dla mnie niebezpieczną igraszką. Na tych bowiem przechadzkach zawsze ktoś nas spotkał, a między innymi widział nas nawet szames pomimo swej ślepoty na jedno oko. Znając mą przyjaciółkę, nie omieszkał więc podzielić się swymi spostrzeżeniami z jej ojcem, a następnie mając porachunki ze mną o należenie do spisku na strychu, pośpieszył zawiadomić i *mazgijacha* (moralnego opiekuna), a ten znów doniósł o wszystkim rosajszywie. A oto pewnego wieczoru zostałem zawezwany do jego pokoju. Nie wiedząc jeszcze o niczym, z wesołą miną stawilem się, myśląc, że już przejdę do drugiej klasy.

Niestety, wystarczył jeden moment spojrzenia, by się domyślić, że źle jest ze mną. Każdy wszak z nas wiedział o tym, że gdy staje przed rosajszywą, a ten ma swe okulary zsunięte na koniec nosa i rękoma targa się za brodę, a oczyma patrzy w jakąś książkę, tak że widzi doskonale przybysza, a jeżeli jeszcze i mruczy, to zły znak.

Stałem kilka minut, nie śmiejąc nawet oddychać. Stawiałem sobie pytania, co to być może, a że grzechów miałem sporo, nie wiedziałem, o które jestem podejrzany.

Wreszcie podniósł głowę znad książki, którą się zastawiał, maskując tym swoją obserwację, co dokładnie spostrzegłem. Począł mi teraz patrzeć śmiało w oczy. Ja ze swej strony starałem się ten wzrok wytrzymać, ale daremnie, miał wzrok taki przenikliwy, że oczy spuściłem. Widać na to tylko czekał, zerwał się ze swego miejsca, ręce podniósł ku niebu, jakby szukał tam pomocy, szeptał coś przy tym. Twarz jego, niedawno tak groźna, stała się łagodna. Oczy były jakby zwilgotniałe od łez. Począł znów patrzeć na mnie, lecz tak jakby mnie o coś błagał. Żał mi się go zrobiło i już chciałem się rzucić do jego stóp i wyznać wszystko, co uważałem za grzech, lecz on jakby wyczuł mój zamiar, kazał mi usiąść naprzeciw siebie. Machinalnie rozkaz wypełniłem. Tu prawą ręką począł sobie czoło nacierać, jakby coś chciał sobie przypomnieć i niespodziewanie spytał:

— Wiele masz lat, synu?

— Czternasty rok kończę na drugi miesiąc — odpowiedziałem.

Pokiwał głową, jakby zwątpił w prawdziwość moich słów, a następnie postawił mi pytanie już śmiało:

— W zeszlą sobotę wieczorem, po kolacji, gdzie byłeś?

— Na spacerze, rebe.

— Czy sam spacerowałeś?

Przy tym pytaniu patrzył mi przenikliwie w oczy.

— *Niszt-alejn*<sup>36</sup> — ledwie wykrztusiłem sylaby z gardła.

— Wiem, synu, że nie sam! Więc kto był z tobą?

Na to pytanie zapłonąłem ze wstydu jak pochodnia, w głowie poczęło mnie coś palić i ciążyć. Żebym mógł, chętnie bym się w tym momencie zapadł pod ziemię. Ale cóż, trzeba odpowiedzieć, przedstawiłem go sobie jako wszechwiedzącego, albowiem nie przyszło mi na myśl, że temu wszystkiemu był winien szames. Wybełkotałem więc: „*mit — am — ej — du!*”<sup>37</sup>. I rzecz dziwna, zamiast spodziewanego przekleństwa i kary, łagodnie pytał dalej:

— A co ona za jedna, może siostra?

Po tym pytaniu zacząłem z ulgą oddychać, pragnąłem na to już odpowiedzieć: „tak”. Już otworzyłem usta, lecz zamiast powiedzieć „tak”, powiedziałem „nie”.

— A więc synu kto to był, może któraś z krewnych?

Znów opanowała mnie chęć, by dać odpowiedź twierdzącą, lecz tę myśl od siebie oddaliłem i postanowiłem mówić prawdę, nie zważając na to, jaką dostanę karę.

Zacząłem opowiadać mu całą historię. Naturalnie to, co uważałem za zbyteczne, pozostawiłem w ukryciu. Ale gdzie tam, nic mi się nie udało skryć. Po półgodzinnym ba-

<sup>36</sup>*Niszt-alejn* (jid.) — nie sam. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>*mit am ejdu!* (jid.) — z dziewczyną. [przypis edytorski]



daniu wiedział już tyle co i ja, a nawet więcej niż ja. Teraz począł mnie łagodnie upominać i strofować. Słowa jego, chociaż upłynęło od tego czasu wiele lat, pamiętam doskonale:

— Czy ty wiesz, synu — zapytał — za co Adam, rodzic nasz, został wygnany z raju i kto spowodował pierworodny grzech?

— Wiem, rebe, Ewa.

— Tak, synu, kobieta.

— Czy wiesz, synu, kto zdradził Samsona<sup>38</sup>?

— Dałyło<sup>39</sup>, rebe.

— Tak, synu, kobieta.

— A wiesz, co za przyczyna była do bratobójczej wojny Żydów, w której cały ród Beniamina prawie że wygasł i że znikł dwunasty szczep Izraela i że w tej bratobójczej wojnie zginęło z obydwóch stron przeszło sześćdziesiąt tysięcy ludzi, najlepszy kwiat rycerstwa<sup>40</sup>?

Nad odpowiedzią na to pytanie musiałem się trochę namyśleć, póki sobie nie przypomniałem całego faktu z dwudziestego rozdziału *Sędziów*.

— Tak, rebe, przez kobietę.

— A kto był przyczyną, że nasz mądry król Salomon<sup>41</sup> zgrzeszył przed Bogiem, czy nie kobieta<sup>42</sup>?... Czy ty, synu, znasz księgi Salomona, tego znawcy dusz kobiecych, czy wiesz, że Salomon trzymał aż tysiąc żon po to tylko, by jak w laboratorium przeprowadzać różne eksperymenty, ażeby trafne orzeczenia o kobietach wystawić? „Synu mój — mówi Salomon — czy to jest możliwe, żeby człowiek trzymał ogień na swoich kolanach i żeby ubranie jego się nie zapaliło? Czy możliwe, żeby człowiek spacerował boso po żarzących się węglach i sobie nóg nie poparzył?” Tak, ten który się zadaje z kobietą, ponosi złe skutki i bezkarnie to się nie obejdzie!

Nie będę opowiadał o tym wszystkim, co mi naopowiadał, dając za przykłady opowiastki z *Talmudu*. Zaznaczę jedynie, że po czterogodzinnej, przykrew dla mnie pogawędce, dałem mu rękę „*tkias-kaf*”<sup>43</sup>, że dopóki będę uczęszczał do tego jeszywetu, nie będę spacerował z kobietami, a nawet będę się starał je omijać. Wrażałem przy tym swą zupełną skrucę. Za karę dał mi trzy „*mis-merym*”, tj. co drugi dzień miałem całą noc nie spać i uczyć się w jeszywecie „*szewet musser*” (nauka o strofowaniu i pokucie). Na tym się skończyła cała awantura i co prawda jakiś czas trzymałem się tak, że córka piekarza płakała ciągle z tego powodu, że zupełnie od niej stronił. Czyż mogłem przemawiać do niej i powiedzieć jej przyczynę? Wszak parzyła mnie jeszcze ręka, którą podałem, przez co przyrzekłem, że nawet mówić z tymi stworzeniami nie będę, za które, chociaż były bardzo pociągające, tak mnie prześladowano. Tak zawsze przeszkadzali mi kogoś kochać! Gdy był to goj, nie mogłem go kochać, bo goj nie ma duszy, gdy kobieta, to także niebezpieczna i tak zawsze, co mi się spodobało, było właśnie najgorsze.

W tydzień potem nadchodziły znowu „Święta Trąbki”. W jeszywecie ogłosili znów, że kto chce, może się udać na święta do domu. Za zgodą matki, która wracając z kuracji, była u mnie, postanowiłem tym razem nie jechać do domu na święta ze względu na egzaminy, które miałem zdawać do drugiej klasy.

W całym jeszywecie zostało nas sześćdziesiąt procent. Po większej części zostali ci, którzy nie mieli do kogo jechać. Codziennie od pierwszego dnia miesiąca „*Elel*”<sup>44</sup> z większą gorliwością odprawiano modły i po całych nocach siedzieliśmy nad *Talmudem*. Gorliwie się modląc, skupiłem się, aby przypomnieć sobie grzechy z całego roku. Po raz pierwszy miałem stanąć przed sądem, żeby zdać rachunek ze swych złych występków, które po skończeniu trzech lat życia, od chwili „bałmicwy” uczyniłem. Wierzyłem w to,

<sup>38</sup> Samson — biblijny bohater i siłacz żydowski. [przypis edytorski]

<sup>39</sup> Dałyło (*Dalila*) — kochanka Samsona, która zdradziła wrogom, Filistynom, tajemnicę jego siły; w wyniku czego został pojmany i oślepiiony. [przypis edytorski]

<sup>40</sup> Co za przyczyna była do bratobójczej wojny Żydów... — z powodu zgwałcenia i śmierci kobiety w mieście Gibe'a, doszło do krwawej wojny domowej między plemionami Izraela; opowiada o tym biblijna Księga Sędziów. [przypis edytorski]

<sup>41</sup> Salomon — według Biblii król i prorok Izraela, słynący z mądrości. [przypis edytorski]

<sup>42</sup> Kobieta — Według Biblii, Salomona przywiodły do niewierności wobec Boga „żony obcoplemienne” (Neh. 13,26–27). [przypis edytorski]

<sup>43</sup> *tkias-kaf* (hebr.) — przysięga dokonywana przez podanie ręki. [przypis edytorski]

<sup>44</sup> *elel* (*elul*) — w żydowskim kalendarzu przypada na sierpień i wrzesień. [przypis edytorski]

że jedno jest dla mnie wyjście z tej sytuacji: a to błagać Boga z całego serca o przebaczenie. Więc w sercu swym rzeczywiście nosiłem skruchę.

W święta przy modlitwie „*Unsane tejkef*” (znaczenie dnia) płakałem przygnębiony. Po „Trąbkach” podczas „*Aseres imej trzuwe*” (dziesięć dni pokuty) aż do sądnego dnia siedziałem w nocy do godziny trzeciej nad *Talmudem*. W „Sądny Dzień”<sup>45</sup> wieczorem przy modlitwie byłem tak wyczerpany i przejęty, że zemdlałem. Modlitwa dnia tego szczególnie działała na wyobraźnię. Wymawiałem słowa modlitwy „*Misper haj odom*” (rachunek z życia człowieka) z całym przejęciem się powagą chwili, bo czyż te słowa nie mogą działać na umysł dziecka karmionego nimi jedynie?

— „Władco świata, Ojciec miłosierdzia i przebaczenia, któryś zawsze gotów przyjąć nawróconych. Ty stworzyłeś człowieka po to, żeby mu osłodzić jego życie...” itd.

Cały „Sądny Dzień” poświęciłem. Po tych strasznych dniach wybladłem nie do poznania, ale jakoś łatwiej na duszy mi było, byłem pewny, że Bóg był łaskawy, gdy mnie sądził. Dałem sobie słowo, że więcej już nie zgrzeszę. Niestety, należałem do ludzi o słabym charakterze i dlatego słowa nie dotrzymałem.

Po świętach miałem egzamin do klasy drugiej.

Popeliłem znów z półtora tuzina świeżych grzechów, a najwięcej z powodu tego, że lubiłem spoglądać na spotykane kobiety, a nawet spoglądałem na gojki. Nieraz, idąc trotuarem, starałem się patrzeć w dół, widziałem wówczas nóżki, których widok zmuszał mnie, by zobaczyć właścicielkę tych pięknych nóżek. I oto pewnego dnia spotkałem na ulicy dawną mą opiekunkę. Nie widziałem jej od chwili, gdy byłem z matką u niej. Przyglądała mi się ciekawie, a ja stałem, patrząc na nią jak skamieniały i nie mogąc wymówić słowa. Była jeszcze piękniejsza niż dawniej. Miała na sobie eleganckie futro i kapelusz najnowszej mody. Ona też pierwsza przemówiła do mnie:

— Co, kochany, gniewasz się na mnie? Nieładnie, żeś mnie nie odwiedził, pewnie matka ci zabroniła, co? Ja cię jednak jeszcze Kocham, nie gorzej niż twa zacołana matka. Chodź więc do mnie. Męża już nie mam. Zrobił mądrze, przenosząc się na tamten świat, już cztery miesiące temu. Ty przez ten czas wyrosłeś i wypiękniałeś! Chodź! Czemu nic nie mówisz?

Ja wybelkotałem coś o tkias-kaf, którą dałem, jednak poszedłem za nią do znanego mi domu. I od tego dnia co wieczór byłem jej gościem. Tym razem ona już nie potrzebowała mnie atakować i prawić o miłości, teraz już wszystko zrozumiałem...

## XV

Po roku nieobecności znów przyjechałem na święta „Paschy” do domu. Wszyscy byli ze mnie zadowoleni, nawet siostrzyczka, która przyszła na świat w czasie mej nieobecności, też zdawała się uśmiechać do mnie. Matka patrzyła na mnie jak na jakiś skarb, ciesząc się, że dość poważny jak na swój wiek, tym bardziej, że dobra opinia przyszła za mną z jeszywetu. Widziałem, że czuje się szczęśliwa, patrząc na mnie. Ach, biedna matka, nie domyślała się, jakie syn wówczas już prowadził życie. Dobroć i zaślepienie macierzyńskie nie pozwoliły jej spostrzec zła, które już we mnie zapuściło swe korzenie. Pamiętam, jednego razu coś zbroiłem i siostra matki poczęła mnie strofować. Słyszając to, matka natychmiast upomniała się za mną. Wtedy tamta odpaliła:

— Ty mu za dużo pozwalasz. Zobaczysz, że wychowasz go jeszcze na katorżnika.

Boże, co to wówczas było, matka rzuciła się na nią i gdyby ona nie uciekła, kto wie, na czym by się ta awantura skończyła. Po tym zajściu dłuższy czas ze sobą nie rozmawiała. Tak broniła mnie matka przed jakimkolwiek zarzutem.

W domu naszym, o ile pamiętam, zawsze najweselszymi świętami była Pascha. Jeździłiśmy wówczas w gości do krewnych, a ja do znajomych ojca, wyznania nieżydowskiego, dokąd też nieraz nosiłem dla poczęstunku macę i wino, za co w zamian otrzymywałem ładne owoce i jaja pomalowane na różne kolory.

Pamiętam dobrze ten podniosły nastrój, jaki panował u nas w pierwsze dwa dni świąt przy obrzędzie „sejder” (uczta wieczorna). Ojciec siedział zawsze na honorowym miejscu, oparty na śnieżnobiałych poduszkach, w pozycji półleżącej, według wymagań. Matka,

<sup>45</sup>*Sądny Dzień (Jom Kipur)* — jedno z najważniejszych i najbardziej uroczystych świąt żydowskich, o charakterze pokutnym. [przypis edytorski]

jako królowa tego święta, cała w bieli, siedziała po lewej stronie ojca, my zaś, dzieci, na pół śpiące, siedzieliśmy przy nich, śledząc każdy ich ruch z zaciekawieniem i naśladować w wykonaniu. Po każdym kilkuminutowym opowiadaniu ojca o wyzwoleniu z niewoli „egipskiej” popijaliśmy smaczne wino. Ach! Piękne to wspomnienia z lat dziecięcych, lat bez troski, lat, które nigdy już nie wrócą... Wiele takich wspomnień mam przed oczyma, ale po cóż je wygrzebywać z pamięci i czuć się jeszcze więcej nieszczęśliwym niż obecnie. Wszystko zostało stracone bezpowrotnie.

Jedno jeszcze zdarzenie z lat dziecięcych wygrzebuje z pamięci. A było to tak:

W roku 1905 podczas świąt Paschy bawiłem się z nierozłącznym towarzyszem zabaw Frankiem i jego siostrą Władką. Często waliśmy się przy tym specjalami świątecznymi.

W pewnym momencie zapadła decyzja, iż urządzimy zabawę w rodzaju wojny polsko-rosyjskiej. Naturalnie Franek mianował się dowodzącym wojsk polskich, składających się z około dwudziestu dzieci żydowskich i gojów. Ja musiałem przynieść z domu kilka skrzynek po drożdżach, z których porobiliśmy szable. Do reszty skrzynek przywiązaliśmy sznurki i zaprzęgliśmy „konie”. Miały one służyć za wozy do amunicji, którą znowu zastępował piach i kamienie. Jedną ze skrzynek napełniliśmy macą mającą imitować niedostępne suchary, bo Franek uznał, że to na wojnie jest koniecznie potrzebne.

Od Wodza dostałem rozkaz zamienienia się w konia i to nie zwykłego, lecz dla wodza. Byłem z tego zaszczytu naprawdę dumny, na dowód czego rżałem na całe gardło i wyrzucałem nogami tak, że wódz chwalił mnie i ledwo mógł mnie utrzymać za kantar<sup>46</sup>, który założony miałem na szyję. Dowództwo nad obozem rosyjskim objęła Władka, blondynka o wesołym, łobuzerskim spojrzeniu. Trzymała nas dość krótko, tak że jednogłośnie powierzono jej to stanowisko, nie zważając, że jest dziewczyną.

Terenem, na którym się miała odbyć wojna, był obszerny rynek. Nareszcie po kilkugodzinnym szykowaniu się z obu stron, na co spoglądały niemal wszystkie starsze dzieci z miasteczka, zawrzał przed wieczorem bój. Po kilku minutach obrzucania się nawzajem kamieniami i piachem ruszyliśmy do ataku na Rosjan. Powstał krzyk, pisk i tumult. W rezultacie Władka razem ze swym koniem, za którego służył jej niestety także Żydek, została wzięta do niewoli, z chwilą tą cała jej zdeorganizowana armia dostała się też do niewoli. Franek jeździł dumnie, a ja, chcąc udawać, jak przystoi na konia, wodza i zwycięzcę, rzucałem głową, nie mogąc ustać na jednym miejscu.

Po skończeniu bitwy Franek zaśpiewał: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Ja, mimo zakazu Franka, że jako koń nie mogę się posługiwać mową, tak byłem upojony tą zabawą i zwycięstwem, że zacząłem mu wtórować, sam nie rozumiejąc, co za znaczenie posiadają te słowa.

Wtem pieśń się urwała, ktoś za mną krzyknął z bólu. Uczulem, że jest wolny od cugli. Nie zdążyłem się wszelako oglądnać, co się stało, gdy ktoś mnie ciągnął, bijąc po plecach. Krzyknąłem z bólu i upadłem na ziemię.

Leżeliśmy obaj z wodzem, a ktoś okładał nas batem. Był to strażnik Matwiej, postrach naszego miasteczka.

Po wymierzeniu nam kilku nahałek podniósł nas brutalnie i uchwyciwszy za kołnierze zaprowadził do domu, spisując protokół, a gdy rodzice wręczyli mu rubla, zniszczył go, zapowiadając rodzicom, by nas pouczyli, że podobnych pieśni nie wolno śpiewać. Zastrzegł przy tym, że gdy jeszcze raz zaśpiewamy, to nas zastrzeli.

Tak się zakończyła nasza wojna. Zamiast ogłoszenia nas zwycięzcami, zhańbiono nas batem... Oprócz tego mój ojciec, jak i Franka, musieli zapłacić za kilka szyb, które w czasie naszej wojny kamieniami wytlukiliśmy.

Za motyw do naszej zabawy posłużyły nam manifestacje, które kilka dni temu odbyły się w naszym miasteczku, zorganizowane przez patriotów polskich, a przede wszystkim przez ziemiaństwo, które poubierane w stroje narodowe, chodząc śpiewało pieśni narodowe.

Po niejakiem czasie policja miejscowa i żandarmeria, która stała w naszym miasteczku z powodu bliskości granicy niemieckiej, rozpuściła pogłoskę między Żydami, że Polacy zabierają się zrobić pogrom na Żydów, dlatego przyjdzie pułk kozaków, by do tego nie dopuścić. Było to wierutne kłamstwo, gdyż współzycie nasze było nader życzliwe. Jak

<sup>46</sup>kantar — uзда. [przypis edytorski]

się potem okazało, pogłoskę tę rozpuścili jedynie dlatego, by uzyskać sprzymierzeńców w rzekomych walkach z Polakami.

Polacy jednak, nie zwracając uwagi na pułk kozaków, zwołali powtórny manifest, tym razem o wiele większy. Podczas pochodu kozacy stali w pozycji wyczekującej, lecz nie zaczepieni przez nikogo, sami bali się sprowokować manifestantów. Później jeszcze było wiele manifestacji, po których Rosjanie kilku znacznych obywateli wywieźli w głąb Rosji, a między innymi i hr. K. Wszystkie te manifestacje ze względu na swój charakter utkwiły mi w pamięci, choć wówczas liczyłem dopiero osiem lat życia.

Drugiego dnia po świętach poszedłem z ojcem do kancelarii gminy, gdzie mi wydano dowód osobisty (paszport). Na moje pytanie, do czego mi będzie służył, ojciec wyznał wreszcie, że tymczasem pojedę do jeszywetu w B.<sup>47</sup>, by uzupełnić dotychczasowy zasób wiedzy.

Po powrocie do domu matka wezwała mnie do siebie. Podczas rozmowy zwróciła mi uwagę, że obecnie rozpocznę życie z dala od domu, bez opieki rodziców, zmuszony więc będę przyzwyczaić się do życia samodzielnego. Zaznaczyła przy tym, że do tego jeszywetu uczęszcza kuzyn, pod opieką którego będę pozostawał i który będzie mi pomagał w nauce.

W dwa dni później ojciec odwiózł mnie koniem do stacji K., skąd już sam rozpocząłem podróż do miejsca przeznaczenia. Miałem więc uczęszczać do słynnego jeszywetu utrzymywanego ze składek amerykańskich.

Pożegnanie moje z matką było nadzwyczaj serdeczne, ścisła mnie mnóstwo razy. Żegnając się, rzewnie płakała, wyczuła, że mnie już więcej nie zobaczy. Ostatnie słowa, jakie słyszałem od niej, to były ostrzeżenia:

— Pamiętaj, abyś był człowiekiem...

## XVI

Do stacji K. jechaliśmy całą noc, popasując po drodze w kilku miejscach.

Nad ranem stanęliśmy przed zajazdem. Po ulokowaniu się poszliśmy z ojcem na ranną modlitwę do bóżnicy. Po powrocie i spożyciu śniadania udaliśmy się na stację. Po wykupieniu biletu ojciec wręczył mi go wraz z dwunastoma rublami, pouczył mnie jeszcze, jak się mam zachować w podróży, udzielił mi również kilku rad życiowych, przy czym dopiero teraz wyjaśnił mi, dlaczego jadę tak daleko.

Ojciec wiedział o moich wszystkich występkach, zaczynając od Turka, a kończąc na romansie z moją opiekunką.

Tym razem więc on był inicjatorem, żeby mnie wysłać do innego jeszywetu, przy czym powiedział mi, że matka o niczym nie wie, a nie opowiada jej tego, bo nie chce jej smucić, a z naciskiem dodał: „Czuję, że te pieniądze, co wydaję na ciebie, abyś został rabinem, są jakby rzucane w błoto”. To pożegnanie z ojcem było dla mnie nader przykre, jednak ucałował mnie, co mnie tak wzruszyło, że na głos rozplakałem się.

Nareszcie pociąg ruszył z miejsca. Stałem przy oknie, patrzyłem na ojca, jak oddalał się szybko, widziałem dłuższy czas jego wysoką postać wyróżniającą się między ludźmi, w chwilę potem i on zniknął. Zrobiło mi się przykro, a stojąc przy oknie, rozmyślałem o matce, ojcu i swym rodzinnym mieście.

Po chwili usiadłem, rozglądałem się, czy nie zobaczę kogoś z „naszych”. Niestety, sami goje tam byli. Opanował mnie jakiś strach, ścisłałem więc nerwowo swe walizki i siedziałem nieruchomo.

Nareszcie minęła pierwsza stacja, a mnie się nic złego nie stało między tymi ludźmi, ba, nawet jeden zaczął mnie wódką częstować, a był bardzo niezadowolony, że nie chciałem pić. Gdy natarczywość z jego strony nie ustawała, ze strachu wypilem trochę, przy tym wyjąłem klopa, dar matki, częstując go wzajemnie. Uprzedziłem go, gdyż zamierzał już poczęstować mnie szynką.

Nareszcie o godzinie dwunastej w nocy pociąg stanął na miejscu przeznaczenia. Nie zdążyłem wysiąść z wagonu, gdy usłyszałem, że ktoś mnie woła po imieniu. Rozglądając się, zobaczyłem tego, co mnie wołał, witając mnie, przedstawił się jako kuzyn. Po odebraniu bagażu rozglądałem się ciekawie, on zawołał na dorożkę i pojechaliśmy do miasta.

<sup>47</sup>B. — chodzi o Bychów nad Dnieprem, w obwodzie mohylewskim; obecnie Białoruś. [przypis edytorski]

Kuzyn był ubrany po europejsku. Wyglądał na lat dwadzieścia cztery. Ze swej powierzchowności nie wyglądał wcale na przyszłego rabina. Po drodze zapowiedział mi, że mam go słuchać bezapelacyjnie, co mi się trochę nie podobało, ale nic nie odrzekłem. Nazajutrz wystarał mi się o stancję. Zamieszkałem u samotnej kobiety, której mąż był w Ameryce. Miałem swój pokój, stołowałem się na miejscu za wynagrodzeniem trzech rubli tygodniowo. Było mi tam dobrze. A jednak, gdy przyszedł mnie odwiedzić mój opiekun, chciał natychmiast mnie stamtąd zabrać, nie wiem, co mu się nie spodobało, lecz tej nagłej decyzji stanowczo się sprzeciwiłem.

Od chwili przyjazdu czułem, że mój opiekun nie był zadowolony z mego przybycia. Później się dopiero dowiedziałem, że z powodu swych miłostek nie miał czystego sumienia, nie chciał, by o tym w domu wiedzieli. Z tego powodu przyjazd mój nie był mu na rękę, a jednak później doskonale się zrozumieliśmy, wychwalaliśmy w listach jeden drugiego jak najlepiej.

Po kilku tygodniach uczęszczania do jeszywetu zabrałem się gorliwie do nauki, co pozwalało mi zapomnieć o samotności i rodzicach.

Większa część uczniów uczyła się samodzielnie. Było kilku „*prusim*” (takich, którzy opuścili żony, a nawet dzieci, by zagłębiać się w *Talmudzie*). Był także jeden „*ilu*”<sup>48</sup> między nami. Przepowiadano mu większą karierę na polu rabinowskim, a nawet twierdzono, że będzie cadykiem. Był to fanatyk w wieku około dwudziestu pięciu lat, nadzwyczaj wynędzniały, przygarbiony skutkiem stałego schyłania się nad *Talmudem*. Oczy iskrzyły mu się fanatycznie jakimś blaskiem, umartwiał swe ciało dwa razy tygodniowo, a nieomal po całych nocach można go było widzieć stojącego nad pulpitem z oczyma wpatrzonymi w *Talmud*. Za spanie starczało mu, gdy głowę oparł na księdze i zdrzemnął się trochę. Tylko w sobotę spał całą noc i jadł, jak należy.

Jedyny raz miałem sposobność z nim rozmawiać, mowa jego była łagodna, mówił stale o śmierci i o nicości tego świata. Lubiliśmy go wszyscy słuchać, lecz on nader niechętnie się wynurzał. Po sali przechodził cicho jak cień, starając się zawsze być najmniej widzianym, chował się w kącie przy samym ołtarzu i tam rozmyślał. Tylko w sobotę i święta opuszczał swe miejsce, by świętować według przykazań.

Do jeszywetu uczęszczało nas stu pięćdziesięciu. Mój kuzyn trzymał mnie przy sobie, objaśniając mi to, czego nie mogłem zrozumieć. I żeby nie on, to nie zostałbym ze swą wiedzą jeszcze tam przyjęty. Było jednak przyjęte, że starsi słuchacze trzymali na swą odpowiedzialność takich jak ja.

Jeszywet mieścił się opodal Dniepru. Rosajszywe był podobny do swego kolegi w Ł. jak dwie krople wody. *Mazgijach*<sup>49</sup> był o piorunującym spojrzeniu, a szames dopełniał składu administracji tego domu.

Wykłady odbywały się raz na tydzień, czasami ten ilu wykladał „*muser*”<sup>50</sup>, wszyscy wtenczas ze łzami w oczach go słuchali. Gdy mówił, był raczej podobny do człowieka biblijnego niż z XX wieku. W wolnych chwilach zbieraliśmy się jak zwykle u szamesa, który sprzedawał te same smakołyki co w Ł. Można było dostać wszystko, zaczynając od gotowanego grochu, a kończąc na wątróbce gęskiej, nad program można było nabyć pieczone kartofle i placki gryczane. I tu było dużo uczniów bez „dnia”. Jednym słowem znalazłem się w tym samym środowisku, które niedawno opuściłem. Na podwórzu jeszywetu stała stara rudera, w której jedna połowa była przeznaczona dla ludzi bez „dnia” i nocy. Mogli oni tam na brudnym barłogu przenocować. Drugą połowę zajmował od wielu lat szewc, łaciarz, który za pięć kopiejek reperował obuwie przyszłym zbawcom Izraela.

Był to niegroźnie dziobaty, czterdziestoletni Żyd, bieda panowała u niego niezwykle, żona była podobna do niego, dzieci na szczęście nie mieli. Tym razem Bóg był sprawiedliwy, bo dziecko nigdy nie wychowałoby się w tym smrodzie. Był on gorliwym chasydem i zwolennikiem cadyka z Libawy, który obsadził go na tym stanowisku nadwornego szewca, nie zważając na biedę. Był zawsze wesoły. Żona jego prała biedniejszym uczniom bieliznę, handlując przy tym nadgniłymi owocami.

W domu nie posiadał żadnego sprzętu oprócz połamanego warsztatu, stołka i stołu, jakiejś skrzyni i kupki barłogu w kącie, umiał za to opowiadać o różnych cudach, ja-

<sup>48</sup>ilu — geniusz. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>*Mazgijach* (*Maszgijach*) — opiekun duchowy uczniów w jesziwie. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>*muser* — zasady moralne. [przypis edytorski]

kich cadyk dokonuje, o czym ma się rozumieć lubiliśmy słuchać, jako przyszli zastępcy cadyków.

Pamiętam, jak go raz zapytano, dlaczego, gdy tak wierzy w cuda, nie prosi Boga lub cadyka, by stał się bogatym. Na to pytanie uśmiechnął się smutno i z przekonaniem odpowiedział nam:

— Nie jestem wart jego łaski.

Wówczas zażartowałem, stawiając mu takie pytanie:

— Reb Lejzer — (tak się nazywał) — gdyby cadyk z Libawy kazał wam stać się złodziejem, czy byście go usłuchali?

Spojrzał na mnie, a odkładając zabłocony chodak, który trzymał w ręku, po chwili namysłu odrzekł stanowczym tonem:

— Wszystko, co by cadyk rozkazał, bez wahania uczyniłbym.

Przerwałem mu:

— A nawet i hazer jeść?

Wszyscy się roześmiali.

— Tak — odrzekł. — Jednym słowem, wszystko najgorsze uczyniłbym, gdyby on rozkazał, nawet w ogień wskoczyć! A wiecie dlaczego? Bo on już najpierw wie, co z tego wyniknie, dlatego to, co rozkaże, jest na pewno dobre, choćby na razie wyglądało, że jest złe. Ot — dumal — gdybym miał teraz trochę czasu, opowiedziałbym wam o jednym wypadku.

My wszyscy, a było nas z dziesięciu, gdyż w piątek to było, a każdy tego dnia ma wolny czas, zaczęliśmy nalegać, aby nam opowiadał, więc ustąpił i kazał nam wierzyć, że to, co powie, jest prawdziwy fakt. Daliśmy mu słowo, że wierzymy we wszystko, co tylko opowiada i że śmiało może opowiadać, co też uczynił.

## XVII

„W jednym dużym mieście w Polsce żył chasyd bardzo bogaty. Miał kilka fabryk i własny bank. Co roku na *Jonim noroim* (święta nowego roku i sądny dzień) jeździł do swego cadyka, któremu przekazywał poważne sumy na humanitarne cele, tak upływały lata. Pewnego roku przyjechał bardzo smutny na święta do cadyka. Po świętach miał już odjechać, gdy cadyk go błogosławił, rozplakał się i zaczął mu opowiadać, że źle stoi w tym roku: stracił bardzo dużą część majątku i prosił o radę, w jaki sposób poprawić stan rzeczy. Cadyk spojrzał na niebo, a następnie przemówił do niego w te słowa:

— Słuchaj, Chaim, ja mam dla ciebie radę, że znów będziesz bogaty, ale wiem, że ty tego nie będziesz chciał zrobić.

Chaim odpowiedział:

— Rebe, o ile ja nie będę chciał uczynić tego, to ja nie chcę o tym wiedzieć...

Pożegnawszy się wyjechał z powrotem do domu.

Na drugi rok znów przyjechał i rzucił się do nóg starca.

— Rebe, ratuj! Już większe pół majątku straciłem, co robić?

Cadyk kazał mu wstać i rzekł:

— Mówiłem ci, że mam jedno wyjście dla ciebie, ale przekonany jestem, że ty tego nigdy nie uczynisz, więc lepiej, żebyś nie wiedział o tym.

Chaim, ciągle smutny i przygnębiony, wrócił do domu.

Po roku znów przyjechał, wyglądał bardzo wynędzniały, upadł do nóg rebego.

— Rebe, już straciłem cały majątek, żona i dzieci wołają o chleb, nędzarzem jestem, ratuj!

Cadyk mu odrzekł:

— Przecież mówiłem ci już i mogę to powtórzyć!

— Rebe — wołał Chaim — rozkazuj, a wszystko zrobię, by nie umrzeć z głodu.

— Dobrze — odrzekł cadyk — więc słuchaj: Jedź do domu i stań się złodziejem!

— Złodziejem mam być? — krzyknął. — Nigdy, przenigdy, umrę z głodu z żoną i dziećmi, a złodziejem nie będę...

— Powiedziałem ci — mówił rebe — że nie będziesz chciał tego zrobić, więc trudno, innego ratunku nie widzę dla ciebie.

Chaim wyjechał smutny i załamany z postanowieniem, że raczej zginie, a ręki nie wyciągnie po cudzą własność.

W domu upłynęło mu już dwa tygodnie od przyjazdu, żona i dzieci prosiły o chleb. Co robić? A tego by nie zrobił, ale żona, dzieci, cóż one winne? „Dla nich to muszą zrobić — myślał — nie mogę patrzeć na ich łzy”. Ale tu powstało u biedaka pytanie: „Jak ja się wezmę do tego, przecież na ulicy pieniądze nie leżą, żeby można było ukraść, więc nawet gdybym już zdecydował się, to nie potrafię... Ale cóż, trzeba próbować”. Najpierw pomodlił się, a później ubrał się odświętnie w pozostałą kapotę i sznurek rytualny do opasania się. Poszedł na strych, wynalazł kawałek gwoźdźnia i czekał do północy. „Trudno, spróbuję”.

O północy, gdy udał się na wyprawę, całe miasto już spało. Czaił się przy murach domów, nareszcie z bijącym sercem zaczął przy jednym sklepie obmacywać zamek, nie wiedząc nawet, co robi. Wtem zamek się otworzył, wszedł więc do środka i wyciągnął z bufetu szufladę. Pełno tam było złotych, srebrnych i drobnych monet. Wyszukał miedziane pięć kopiejek i tak powiedział: „Boże! Pożyczam te pięć kopiejek na chleb, a gdy się wzbogacę, to oddam”. Z tym opuścił sklep. Rano, gdy właściciel wstał, narobił krzyku, gdyż zastał drzwi otwarte. Przybyła policja i okazało się, że brakuje tylko pięciu kopiejek. Policja łamała sobie głowę, co to może być.

Na drugą noc tak samo i tak po kolei, krzyk po mieście powstał, że co noc włamanie do innej firmy i nawet z żelaznych kas ginie tylko miedziane pięć kopiejek. To doniosło się do generała-gubernatora. Rozkazał on, by przy każdym sklepie postawić żołnierza na wartę, lecz i to nic nie pomogło. Pięć kopiejek jak ginęło przedtem, tak i teraz, a sztaby i zamki były otwarte. Generał-gubernator wydał rozkaz, żeby osobiście do niego przyprowadzić na śledztwo żołnierzy, co stali na warcie przy okradzionych sklepach. Żołnierz taki zaklinał się, przysięgał, że czuwał bezustannie, a nikogo nie zauważył. Generał postanowił rzecz sam wy badać. Wieczorem przebrał się za nocnego złodzieja i wyszedł na zwiady. Kroczył po bogatych ulicach, gdzie zwykle dokonywano pięciokopiejkowe kradzieże, nic nie spostrzegł. Już wracał do domu, gdy ujrzał Żyda, jak śmiało podchodził do sklepu jubilerskiego, żelazne drzwi momentalnie ustępują, a on wchodzi do środka.

Więc generał podążył za nim, widział, jak otworzył kasę ogniotrwałą, wyszukał pięć kopiejek i powtarzał jak zwykle, że pożycza tylko na chleb. A gdy się wzbogaci, to odda z procentem. Generał wsunął się po cichu za nim i kładąc mu rękę na ramieniu, rzekł:

— Nie lękaj się, ja też jestem złodziejem, więc jesteśmy koledzy po fachu i mnie nie powinieneś się obawiać.

Widząc, jak ten się przeląkł jego przybyciem, ciągnął dalej:

— Widzę, że potrafisz zamki otwierać, więc zróbmy spółkę. Na co ci brać po pięć kopiejek, nie bądź głupi. No, zgoda?

Żyd nie chciał się zgodzić, tłumaczył, że on nie jest żaden tam złodziej i że tylko pożycza i chciał wyjść. Generał wtedy rzekł do niego:

— O ile nie weźmiesz mnie za współnika, to cię wydam policji, jak wolisz?

Przy tym ujął go za kołnierz, ten nie chciał być skompromitowany, zgodził się pod warunkiem, że z tego sklepu nic więcej nie weźmie. Generał się roześmiał.

— Ja mam lepszą robotę, jak się tym razem uda, to będziemy najbogatszymi ludźmi w mieście, a więc słuchaj: już dawno szukam takiego jak ty, żeby potrafił być niewidzialnym i potrafił wszelkie przeszkody usunąć! Otóż znalazłszy ciebie, mój dawny plan wykonamy. W naszym mieście mieszka, jak ci wiadomo, generał-gubernator, bardzo bogaty. U niego w skarbie leży samą gotówką milion rubli, a drogich kamieni bez liczby, więc idźmy razem. Ja tam znam każdy zakątek w pałacu i wiem, gdzie skarbiec. Dostaniesz się do niego niedostrzeżony przez żołnierza, który pilnuje tego skarbu. Podzieliwszy się, zostaniemy bogatymi raz na zawsze, zgoda?

Żyd nie chciał się z początku zgodzić, lecz uległ pod różnymi groźbami. Udali się więc do pałacu. Po wejściu do środka generał wskazał mu drogę do skarbcu, a sam został i przytuliwszy się do muru ogrodzenia, czekał jego powrotu. Po upływie pół godziny Żyd wrócił z niczym. Generał ze złości go spytał, co to ma znaczyć. Na to mu Żyd odrzekł:

— Byłem już przy samym skarbcu, wtem usłyszałem, jak człowiek wyglądający na lokaja rozmawiał z żołnierzem, który stał na warcie: „Gdy generał przyjdzie — mówił

pierwszy — to mu dam herbaty lub kawy z trucizną. A później okradniemy skarb i uciekniemy za granicę”. Żołnierz się na to zgodził. Więc co ja miałem zabrać? Nie, nie mogę, lepiej napisać do generała, by nie pił herbaty. Wszak generał jest dobrym człowiekiem. Żal mi go...

Generał próbował jeszcze nalegać, by udał się z powrotem, ale nadaremnie.

Nareszcie rzekł do niego: „Ja z takim głupim złodziejem nie chcę już mieć nic wspólnego” i rozeszli się.

Gdy generał przyszedł do pałacu, już dniało, wszedł do swego gabinetu i zadzwonił na lokaja, żeby mu dał coś do napicia. Lokaj zapytał, co generał sobie życzy: herbaty czy kawy?

— Herbaty — odrzekł generał.

Za chwilę podał mu herbaty, wówczas zapytał lokaja, czy ona jest dość słodka.

— Tak, jest — odrzekł lokaj, a generał, przeglądając niby papiery, rzekł niedbale:

— Skosztujcie!

Lokaj zawałał się, generał spojrział na niego i groźnie wydał rozkaz, żeby skosztował. Ten chciał cofać się do drzwi. Generał krzyknął, na to wezwanie wpadło kilku żołnierzy, którym kazał natychmiast lokaja okuć w kajdany razem z żołnierzem, co stał przy skarbcu, a następnie podał psu trochę herbaty, by przekonać naocznych świadków. Pies nie zdążył połknąć, gdy momentalnie padł martwy na podłogę. Po tym zajściu generał wydał rozkaz, żeby posłać kilku żołnierzy po tego a tego Żyda, gdyż wiedział już, gdzie zamieszkuje. Gdy go prowadzili przez ulice, zakutego w kajdany, nikt ze znajomych nie mógł się domyślić, o co tego cnotliwego człowieka posądzają. Nikomu nie przyszło nawet na myśl, że jest to pięciokopiejkowy złodziej, którego policja tak długo tropiła. Gdy przedstawili go generałowi, rozkazał go rozkuć i spytał, czy go poznaje, ten odrzekł, że nie. Wówczas generał zwrócił się do niego z tymi słowami:

— Pamiętasz, dziś w nocy to ja byłem tym złodziejem, a następnie nadałem ci tu robotę u generała, którym jestem, chciałem cię wypróbować, to mi uratowało życie. Żeby nie ty, te łotry by mnie otruły, więc tobie zawdzięczam ocalenie. Za to ode mnie masz pół tych pieniędzy, to jest pół miliona rubli, tak jakbyśmy to ukradli do spółki.

Wręczył Żydowi zaraz te pieniądze i od tego dnia stał się on bogatszy, niż był przedtem. Pooddawał wszystkie pożyczki po pięć kopiejek z wysokim procentem.

Oto cel cadyka, który kazał mu stać się złodziejem. Już przewidywał, co z tego wyniknie. Przeto, gdy on rozkaże, co robić, choćby to chwilowo wydawało się niedobre, trzeba jednak bezzwłocznie wykonać”.

Wszyscy byliśmy zachwyceni tą opowieścią i mnie utkwiła ona w pamięci tak, że dosłownie ją powtórzyłem. Takie różne historyjki nam często opowiadał, a naiwnych słuchaczy nigdy mu nie brakowało.

## XVIII

Wieczorem mój kuzyn dawał mi lekcje hebrajskiego, jakiś czas żyliśmy w zgodzie, jednak długo to nie trwało, za dużo rozporządzał mną, więc pewnego dnia wywiązała się kłótnia i od tego czasu żyliśmy już w niezgodzie.

Z domu często otrzymywałem listy, najwięcej od matki, najmilszy był dla mnie dzień, gdy otrzymywałem wiadomość z domu, ojciec tylko pozdrowienie przysyłał, a od czasu do czasu kilka rubli. Tak upłynęło nieomal pół roku, nadszedł sierpień, za miesiąc miałem zamiar jechać do domu, już przeszło tydzień oczekiwałem na odpowiedź, czy mam przyjechać na święta, jednak odpowiedź jakoś nie nadchodziła, dziwiło mnie to tym bardziej, że nie było tygodnia, żebym nie otrzymał jednego listu.

Pewnego wieczoru, gdy siedziałem nad *Talmudem* i rozmyślałem, zbliżył się do mnie mazgijach, wypytał mnie o różne rzeczy, czego nigdy nie robił. A gdy odchodził ode mnie, spostrzegłem, że jakiś papier mu wyleciał. Podniosłem go, chcąc mu doręczyć, a on kazał mi przeczytać, co to za papier i naumyślnie oddalił się, spostrzegłem, że był to telegram. Papier wyleciał mi z rąk i straciłem przytomność.

Gdy przyprowadzili mnie do przytomności, zostałem odprowadzony przez kuzyna i jednego kolegę na stację, rwałem sobie włosy z głowy. Biłem głową o ścianę. Żeby nie czuwali nade mną, to bym na pewno się zabił, nie mogłem się pogodzić z faktem, że moja



ukochana matka już nie żyła, że została rażona atakiem serca i że jestem sierotą. Teraz wydawało mi się, że już nie mam dla kogo żyć i uczyć się, nie pomagały słowa pocieszenia różnych znajomych, płakałem po całych nocach.

Siedem dni żałoby przesiedziałem w jeszywecie nad modlitwami i psalmami za duszę mej ukochanej matki, zobojętniałem na wszystko, nie chciałem jeść, gwałtem więc przymuszano mnie do jedzenia. Po dwóch tygodniach rozchorowałem się tak, że mój kuzyn wysłał telegram, aby ktoś przyjechał.

Na drugi dzień już czuwała przy moim łóżku i pielęgnowała mnie siostra matki, teraz oboje, co spojrzeliśmy na siebie, to płakaliśmy. Zdrowy mój organizm przetrwał jednak chorobę i przychodziłem powoli do siebie, chciałem natychmiast udać się do domu, wyplakać się na jej grobie. Ale ciotka stanowczo nie pozwoliła mi do domu jechać.

Nawet na święta ciotka tłumaczyła mi, bym nie jechał, gdyż w domu bardzo smutno. Ojciec z rozpaczy, by nie patrzeć na sieroty, z których najmłodsza siostra liczyła dziesięć miesięcy, wyjechał w głąb Rosji. Obiecała jednak, że gdy w domu się trochę uspokoi, to mi napisze i wtedy będę mógł przyjechać. Musiałem jej ulec, po dwóch tygodniach pielęgnowania wyjechała z powrotem do domu.

Smutno mi teraz płynęły dni. Wreszcie nadeszła zima. Śmierć matki odczuwałem aż zanedo — z domu coraz mniej listów, pieniądze też jakoś nie nadchodziły. Dziesięć rubli pamiątkowych już dawno wydałem. Pisałem do domu raz i drugi, jednak nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Wszystko to świadczyło, jakby ktoś miał przyjechać do mnie. W tym mniemaniu oczekiwałem każdego wieczora przybycia pociągu, łudząc się nadzieją, że może kogoś z rodziny ujrzę — daremnie.

Pewnego jednak wieczoru spotkałem znajomego handlarza, Polaka pana S., który nieraz był gościem ojca. Ucieszyłem się też z tego spotkania niezmiernie. Opowiedziałem mu przy tej okazji o swym położeniu. Zostawił mi dziesięć rubli, obiecał, że gdy tylko wróci do domu, załatwi moje prośby. Zdziwiło mnie, że on nic nie wiedział o śmierci mojej matki. Sądziłem, że o tym powinien wiedzieć cały świat.

Nareszcie otrzymałem piętnaście rubli od ojca z zastrzeżeniem, że teraz ma inne kłopoty na głowie i dlatego powinienem sam sobie radzić bez jego pomocy, starając się o „dnie”, gdyż dalej na własnym stołowaniu nie będzie mógł mnie utrzymać. Dodał przy tym, bym w ogóle jak najmniej żądał od niego pomocy.

Popłakałem się przy czytaniu tego listu, ale cóż, trudno, postanowiłem się postarać o „dnie” i w tym celu udałem się na kraniec miasta, wiedząc, że tam najprędzej można je uzyskać, albowiem każdy „jeszywetanin” starał się o „dnie” jak najbliżej jeszywetu.

Po wielkich trudach i upokorzeniach otrzymałem na jednej z ulic przedmieścia poniedziałek, wtorek, środę i jeden dzień płatny w wysokości dziesięciu kopiejek, na drugiej zaś ulicy czwartek.

Pierwszy mój dzień wypadł w czwartek. Gdym przybył, gospodyni sama mnie obsługiwała przy stole. Kobieta ta była już nie pierwszej młodości, zachęcała mnie do jedzenia, a widząc, że się nią krępuję, wyszła do drugiego pokoju, skąd dolatywały mnie stłumione śmiechy. Jedząc, podziwiałem ten obficie zastawiony stół, cieszyłem się z tak dobrego miejsca. Po spożyciu obiadu, gdym odmawiał modlitwy, gospodyni weszła ponownie do pokoju, obserwowała mnie chwilę, a przy wychodzeniu podała mi w papierze drugie śniadanie, prosząc, bym przyjął. Obiad wyznaczyła mi na godzinę piątą punktualnie, do czego się ściśle stosowałem. Po spożyciu obiadu otrzymałem piętnaście kopiejek na kolację, a to dlatego, bym nie potrzebował wieczorem iść taki szmat drogi i błędzić po bezludnym przedmieściu.

Z „dnia” tego byłem niezmiernie zadowolony. Do najgłodniejszych dni w tygodniu zaliczałem wtorki, a tym „hojnym karmicielem” był zamożny właściciel oliwiarni. Bywało, że obiad dano na pięknych talerzach ze srebrną łyżką, na której widniał monogram G. S., lecz pokarm na tych talerzach był w znikomych porcjach. Podawano też chleb w bochenku, nęcący niezmiernie swym zapachem, niestety, zwykle zapominano podać noża, a przez grzeczność, która była niczym innym jak naigrzaniem się ze mnie, pytano, dlaczego chleba sobie nie ukroję. Wstydząc się poprosić o nóż, odchodziłem od stołu zwykle głodny.

Po pewnym czasie zmądrzałem. Kupiłem za trzy kopiejki nóż (cyganek) i tym już kroilem sobie chleb. Wówczas mój karmiciel chwycił się innego sposobu: przestał mianowicie podawać chleb w bochenku, kładł teraz na talerz jeden lub dwa kawałki, a czasem były to nawet odpadki. Nadal więc wychodziłem głodny. Nic więc dziwnego, że na dzień czwartkowy czekałem jak na zbawienie, uzupełniałem wtedy braki w swoim organizmie z całego tygodnia. Toteż mimo oddalonego miejsca szedłem tam zawsze z ochotą.

Tak upłynęło kilka czwartków, aż pewnego dnia przyszedłem trochę wcześniej na śniadanie niż zwykle. Przystępując próg jadalnego pokoju, ujrzałem na środku stojące łóżko, a w nim moją gospodynię, obok której leżał jakiś rosły mężczyzna. Znalazłszy się w tak przykrew sytuacji, stanąłem zawstydzony, nie wiedząc, co robić ze sobą, dopiero po pewnej chwili cofnąłem się, by jak najprędzej opuścić ten dom. Widząc to, gospodyni prosiła mnie, bym się zatrzymał w kuchni, aż się ubierze, co też uczyniłem.

W chwilę później spożywałem śniadanie obsługiwany znów przez swą karmicielkę, ubraną w różowy szlafrok. Z jej zachowania się widziałem, że się mnie krępuje. Podczas śniadania mężczyzna ów, którym był rosyjski oficer, kpił sobie z niej, nie krępując się moją obecnością. Przymknąwszy oczy, by nie patrzeć na to zgorzenie, starałem się jak najprędzej spożyć podany mi posiłek i postanowiłem w duchu, że już nigdy tu nie wrócę. Po śniadaniu, nie odmówiwszy nawet modlitwy, wyszedłem. Za mną wyszła też gospodyni i gorąco mnie przeproszała. Nie odpowiadając nic, oddaliłem się szybko od tego domu. Do tej chwili nigdy nie uwierzyłbym, że ta dobra i szlachetna karmicielka jest zarazem właścicielką domu rozpusty, a do tego sama się oddaje, gdy przyjdzie kto z lepszych gości.

Wówczas nie miałem jeszcze pojęcia o tym, że na tej ulicy istnieje cały szereg czerwonych domków, w których w dzień okiennice są zamknięte, a wieczorem przed każdym z nich pali się czerwona latarnia.

Bo i skąd ja, słuchacz jeszywetu, mogłem o tym wiedzieć? Nie miałem też wyobrażenia o orgiach, jakie się odbywały w pokoju, w którym jadłem.

Zal mi było pozbyć się tego dobrego „dnia”, ale świadomość, że ta kobieta może mi nawet podawać jedzenie trefne, odstręczała mnie. Po przyjsciu do jeszywetu pragnąłem zapomnieć o tym przykrym zajściu, zabrałem się gorliwie do nauki, postanowiłem zrezygnować z tego „dnia”.

Niestety, przed moimi oczyma cały czas stał ten widok, jaki zastałem przy wejściu... Rozmyślając o tym, nasuwały mi się wspomnienia z czasów mojego pobytu na pierwszej stacji i chwile spędzone w objęciach gospodyni. Wszystkie te wspomnienia pragnąłem zagłuszyć głośnym studiowaniem *Talmudu*. Daremnie! — chorobliwa wyobraźnia nie pozwalała mi o tym zapomnieć.

W takim stanie walki wewnętrznej oczekiwałem pory obiadowej. Starąłem się w siebie wmówić, że przecież tam iść nie mogę. Nie wolno mi! Z tym rozsądkiem walczył żołądek. On też i zwyciężył. W oznaczonym czasie poszedłem na obiad, przy którym obsługiwała mnie ona, jak zawsze, a nawet czulej.

Pewnego czwartku przy obiedzie zaczęła się interesować moimi stosunkami rodzinnymi. Opowiadałem jej wszystko, rozczulałem się przy tym nad stratą matki, którą tak kochałem. Ona też zwierzyła się przede mną ze swego położenia, narzekając na ludzi, którzy wciągnęli ją w to bagno niemoralności.

Po tym zwierzeniu się kazała mi co dzień przychodzić, prosiła mnie, bym jej opowiedział swe kłopoty, a ona postara się mną zaopiekować jak matka. Zawahałem się nad tą propozycją, gdyż od śmierci matki, którą tak kochałem, stałem się naprawdę pobożnym i gorliwym uczniem jeszywetu. Byłem przekonany, że tym przyczynię się do uszczęśliwienia matki w raju. Wierzyłem święcie w to, codziennie odmawiałem za jej duszę odpowiednie modlitwy.

Propozycja ta, nad wyraz nęcąca, wszakże zwyciężyła, od dnia tego stałem się jej wychowankiem. Dłużej też przesiadywałem u niej i jakoś nie spieszyło mi się do jeszywetu. Tego nagłego przywiązania z mojej strony nie mogłem sobie wytłumaczyć. To nowe życie spowodowało, że zacząłem zaniedbywać naukę, lecz strzegłem się z tym przed moim kuzynem, który miał baczne oko na mnie.

Przypadek jednak zrządził, że wkrótce pozbyłem się tego opiekuna. Został on nagle wezwany do domu z powodu choroby ojca, co zdaje się było tylko wykrętem, a prawdziwa

przyczyna leżała w tym, że dowiedzieli się o jego miłostkach, więc postanowiono go ożenić z odpowiednią panną i do tego z dużym posagiem.

Po jego wyjeździe, nie mając nikogo, kto by miał baczne oko na moje postępy, zaniedbałem się zupełnie w nauce, a czas wolny spędzałem na pogawędkach u mojej opiekunki. Coś nieokreślonego przykuwało mnie do niej, nie zdawałem sobie sprawy, do czego może doprowadzić to jakby współżycie.

Bywało często, że gdy siedziałem u niej wieczorem, podczas rozmowy naszej odwoływano ją do drugiego pokoju, do którego nigdy nie chciałem zajrzeć. Rozumiałem, że tam dzieją się rzeczy niezgodne z *Talmudem*. Oddalając się, opiekunka prosiła mnie zawsze, bym na nią poczekał, lecz nie mogąc się jej nieraz doczekać, bez pożegnania wracałem do domu. Opuszczałem wtedy z żalem ten pokój. W wypadku zaś, gdy zaraz wracała, spostrzegłem, że zachodziła w niej jakaś zmiana, żal mi jej było i wówczas zwracałem się do niej z prośbą, by porzuciła to życie występne. Tłumaczyłem, jak wielki grzech ona popełnia przez takie życie. A także o mękach w piekle nieraz wspomniałem.

Uśmiechnęła się wtedy smutno, mówiąc:

— Dzieciaku cnotliwy, nie bądź głupi, nic złego mi się nie stanie! A gdy będziesz starszy, zrozumiesz wtedy, że życie zmusza nieraz do grzechu.

Po pewnym czasie, widząc, że jej nie nawrócę na drogę uczciwą, wróciłem do jeszywetu i postanowiłem, że już nigdy tam nie pójdę.

W tym czasie zmieniłem też stancję, gdyż nie miałem czym opłacać komornego. Musiałem korzystać z łaski pewnego stolarza, który uważał za stosowne przyjść mi z pomocą jako uczniowi jeszywetu.

Niestety, moje postanowienie całkowitego zerwania z opiekunką N. było słabe. Nie oparłem się długo pokusie i wróciłem do niej. Tak upływał dzień za dniem i miesiąc za miesiącem. Ona otoczyła mnie swą opieką i nie tylko karmiła, lecz widząc zniszczone moje ubranie i obuwie, kupiła nowe. Mając taką opiekę, nie odczuwałem biedy, przykro mi jednak było i miałem żal do ojca, że zupełnie o mnie zapomniał. Pocieszałem się jednak myślą, że może to jest chwilowa próba, czy potrafię sobie dać radę w biedzie i wytrwać w nauce. Myślałem, że potem obdarzy mnie nadal swą opieką.

## XIX

W takich warunkach powitałem rok 1913. Zima tego roku dała mi się dobrze we znaki. Mając dwie lekcje po 1 rublu 50 kopiejek za naukę pisania po żydowsku i hebrajsku, starczało mi to na drobne wydatki.

„Dnie”, które były nadal skromne, porzuciłem i po większej części jadałem u swej opiekunki. To nadużywanie jej dobroci usprawiedliwiał fakt, że zacząłem jej udzielać nauki pisania. Cieszyło mnie niezmiernie to, że robiła w nauce nadzwyczaj szybkie postępy, ale dziś, gdy o tym myślę, jestem przekonany, że ona umiała pisać, był to z jej strony wybieg, by mogła mi wydatniej pomóc materialnie.

Czułem nieraz, że ta opieka jest nieodpowiednia dla mnie, że idę złą drogą, dochodziło nieraz do tego, że po całych dniach nie zaglądałem do jeszywetu, za co grożono mi wydaleniem. Co gorsze, bywało, że nieraz nawet „Kadysz” (modlitwę za umarłych) zaniedbywałem, a przecież obowiązkiem mym było cały rok za matkę tę modlitwę odmawiać. Toteż miałem nieraz gorzkie wyrzuty sumienia.

W chwilach takich wracałem do jeszywetu, błagając Boga, by dał mi siły do walki ze złem. Odprawiałem pokutę, zagłębiając się w *Talmud* nawet po nocach. Wierzyłem w tę przestrożę, którą *Talmud* przytacza w słowach: „Gdy cię spotka szatan, to zaciągnij go do domu modlitwy, a nawet wtedy, gdyby on był tak twardy jak kamień lub żelazo, to go skruszysz”. Więc i ja szukałem ratunku, wysilając siłę woli, by usiedzieć nad *Talmudem*. Ta walka nigdy nie trwała ponad dwa lub trzy dni, po niej jakby mnie coś gnało, pędziłem do domu z czerwoną latarnią...

Wtedy ona czyniła wymówki, dlaczego o niej zapomniałem. Starłem się na nowo wmówić jej, że idzie drogą prowadzącą do gehenny i dlatego prosiłem ją, by zawróciła z drogi zła. Gdy jej tak perswadowałem, słuchała mnie pilnie, nie przerywając, lecz gdy skończył, wybuchała niepohamowanym śmiechem.

Po takich rozmowach powstał we mnie pewien wstręt do murów jeszywetu, chodziłem jak lunatyk. Koledzy zaczęli stronić ode mnie, spostrzegając we mnie dziwną zmianę.

Po pewnym czasie mego zaniedbywania w nauce zostałem zawezwany przed dyrektora jeszywetu. Po dwóch godzinach strofowania mnie i badania, co powoduje mój upadek, zapowiedział mi, że o ile się nie poprawię, to stanowczo mnie usunie z jeszywetu, o czym doniesie memu ojcu. Płacząc, obiecywałem swą poprawę, jednak nie przyznałem się do tego, co powoduje moje opuszczenie się w nauce. Byłem już o tyle mądrzejszy, że zamiast się przyznać jak w Ł., przeciwnie, starałem się wykręcić kłamstwem, co mi się też udało. Co prawda, ten rosajszywe był mniej uzdolnionym badaczem duszy ludzkiej, dlatego udało mi się to kłamstwo.

Zbliżała się wiosna. Piękno natury podziało na mnie dodatnio. Zacząłem szczerze pracować nad swą poprawą, wróciłem do nauki i gorliwie studiowałem *Talmud*. Zrozumiałem teraz bezpodstawność mego zamiaru nawrócenia opiekunki. Przestałem do niej chodzić, żywiłem się z „kotła”, przy czym otrzymywałem stałą zapomogę jeszywetu po 20 kopiejek tygodniowo.

By wytrwać i nie ulec znów pokusie, postanowiłem opuścić to miasto i na święta udać się do domu z zamiarem niewracania tutaj nigdy.

Pragnąłem jechać do domu, by dowiedzieć się, co wpłynęło na to, że od śmierci matki nikt nie pisał do mnie, ani też nie interesował się moim życiem. Takie postępowanie ojca bolało mnie bardzo. Pragnąłem więc uchylić rąbek tej tajemnicy i uzyskać z powrotem przychylność ojca.

Na kilka dni przed świętami „Paschy” wybrałem się więc w podróż koleją w rodzinne strony. Niestety, nie mając odpowiednich funduszy, musiałem zgodzić się zostać pasażerem z prawem jazdy pod ławką za zgodą pana konduktora, który za tę przyjemność pobierał 75 kopiejek; stanowiło to jedną czwartą ceny biletu.

Miejsce to było nader nieprzyjemne, duszność, smród i kurz dokuczały mi niezmiernie, jednak na opuszczenie tego miejsca brak mi było odwagi, trzymałem się więc ściśle słów konduktora, że da mi znać, kiedy będę mógł wyjść ze swego ukrycia. Po kilku godzinach tej męczącej podróży zasnąłem. Wkrótce jednak obudzony zostałem mocnym szarpnięciem. Ktoś ciągnął mnie za nogi, złorzecząc zwyczajem rosyjskim. Był to pan kontroler, który się potknął tak silnie o moje nogi, że upadł.

Zaspany i przestraszony tym nagłym przebudzeniem i do tego okładany kulakami, ledwo zrozumiałem, o co chodzi. Ten sam konduktor, który pobrał ode mnie 75 kopiejek, trzymał mnie teraz mocno za kołnierz wykrzykując, bym pokazał bilet. Gdy zaczął się tłumaczyć, że pan konduktor wziął ode mnie pieniądze, wówczas szarpnął mną tak mocno, że nie byłem w stanie dalej nic mówić. Wreszcie oddano mnie w ręce żandarma. Ten przede wszystkim zapytał o dokumenty. Po wylegitymowaniu zostałem odesłany transportem do powiatu.

Po pewnym czasie przybył po mnie furman z rodzinnego miasta. Na znak gwarancji postawił trzy znaki na dużym arkuszu papieru, po czym zabrał mnie do domu. Po drodze rozmyślałem, co też mnie czeka po roku nieobecności.

Pragnąc dowiedzieć się, co słychać w domu, zapytałem się furmana, lecz ten niechętnie odpowiadał na moje pytania, zbywając mnie półsłówkami, z czego wynioskowałem, że nie jest on przychylny dla naszego domu. Był to ten sam furman, z którym swego czasu jechałem na pierwsze święta z jeszywetu, idąc koło wozu. Miał on tym razem o wiele lepsze konie, toteż nie potrzebowaliśmy iść pieszo. Jazda była wolna i pozwalała na swobodne kiwanie się.

Między jadącymi było kilka osób znajomych, które z politowaniem patrzyły na mnie jako na sierotę, a nawet wśród kobiet znalazły się takie, które poczęły wychwalać zalety mej matki. Zewsząd padały pytania, tak, że nie wiedziałem, na które wprawdzie mam odpowiedzieć.

Między nami jechał też aptekarz z miasteczka, Polak. Zainteresował się mną, a gdy go poinformowano, że kształcę się na rabina, zadał mi kilka pytań: „Za którego króla do Polski przybyli Żydzi? Jak nazywa się ta część świata, gdzie leży Palestyna?” I wiele innych. Niestety, na żadne z tych pytań nie potrafiłem odpowiedzieć.

Po tym egzaminie zaczął się śmiać, a gdy mu na jego pytanie, ile mam lat, odpowiedziałem, że siedemnaście, wówczas wybuchnął śmiechem tak głośnym, że wszyscy spoj-

rzeli na niego ze zdziwieniem. Widząc moją smutną minę, zagadnął mnie: „Co w ogóle was tam uczą w jeszywecie?” A gdym zawstydzony i na to pytanie nie miał odpowiedzi, przyszedł mi z pomocą jeden sklepikarz J. i wytłumaczył mu, że ucą tam o Jehowie i rzeczach poważnych, dlatego nie potrafię odpowiedzieć na te pytania. Aptekarz śmiał się jeszcze bardziej, obrażony tym J. rozpoczął wówczas dyskusję na temat nauki świeckiej. W tej bowiem J. uchodził w naszym miasteczku za mędrca. Przy każdej sposobności zwykł był popisywać się swą uczonością, a nawet, jak sam twierdził, napisał pewnego razu prośbę do samego policmajstra, z czego był dumny. Dyskusja przybierała coraz gwałtowniejsze formy, tak że dochodziło do kłótni. J. wreszcie nazwał aptekarza antysemitą, na co znów ten odparł, że wobec takiego rozumowania jest głupszy niż konie ciągnące wóz.

Co do mnie, to muszę przyznać, że pomimo mej kompromitacji, jaka mnie spotkała z powodu jego egzaminu, odczuwałem, że on ma rację i jeżeli nawet krytykuje system nauki w jeszywetach, to nie przez antysemityzm, lecz ze względu na niepraktyczny system.

Cały czas dyskusji siedziałem cicho, nie wtrącając się do niej, przygnębiony myślałem o domu i o tym, co mnie w nim czeka.

Była już północ, w miasteczku panowała cisza, gdyśmy stanęli na środku rynku. Wychodząc z budy, aptekarz podał mi rękę, mówiąc: „Idziemy razem, gdyż mieszkam obok was”. Po drodze pocieszał mnie, że to nie moja wina, radził przy tym, bym na przyszłość starał się pogłębić wiedzę w tym kierunku, z tą zachętą pożegnał mnie.

Gdym wszedł w podwórze i spojrział w okna mieszkania rodziców, załkało we mnie serce z żalu za matką. W myślach pragnąłem rozwiązać zagadkę, co za kobieta mi ją zastępuje i jaką też dla sierot będzie opiekunką — matką. Modliłem się w duchu, by Bóg natchnął ją dobrym dla nas uczuciem.

Podczas tego rozmyślania wspomniałem o przestrodze matki, jakiej mi udzieliła z racji mego ostatniego pożegnania. Słowa jej: „Pamiętaj, żebyś był człowiekiem” paliły mnie, bo czułem, że nie idę tą drogą, ale wkraczam na przeciwną. Chwilę potem zapukałem w okno kuchni. Otworzyła mi drzwi dawna służąca, ściskając mnie, rozplakała się. Za jej przykładem zaszlochałem na głos.

Powitanie ojca było tak chłodne, że wyczułem jego niezadowolenie z mego przybycia. Za chwilę ujrzałem wysoką, młodą kobietę w szlafroku. Przyglądała mi się chwilę, później uściskała mnie bardzo czule, czulej niż ojciec. Zrozumiałem, że ona od dziś będzie zastępowała mi matkę i na to wspomnienie wybuchnąłem ponownie płaczem, czując żal do ojca, iż wprowadził inną kobietę do domu naszego. Spostrzegłem, że ojciec odmłodził i że jest prawie zadowolony z obecnego położenia, ba, nawet zalecało od niego zapachem perfum, co się nigdy dawniej nie zdarzało.

## XX

Obudziwszy się rano, spostrzegłem nowy garnitur, kamaszki i bieliznę, przyszykowane obok łóżka. Dzień ten przeszedł mi na wspomnieniach, a wieczorem rozpoczęły się uroczystości świąteczne. Nastroj przy stole panował na pozór taki sam jak dawniej, tylko miejsce obok ojca zajęła inna kobieta. Gdym spojrział na ten fotel, w którym dawniej siedziała matka i z którego wzrokiem ogarniała swą gromadkę, wybuchnąłem znowu płaczem, a ze mną brat i siostra. Płacz ich nie był tak serdeczny, ale wyczuwałem, że i im brak ukochanej matki.

Ojcu, jak zauważyłem, potoczyły się także łzy. Macocha, widząc ten nasz ból, wstała, a zasłoniwszy sobie twarz chusteczką, wyszła do drugiego pokoju. Ojciec począł nas uspokajać, co mu niełatwo ze mną poszło. Długo jeszcze łkałem, nim zapanował spokój. Pierwszy raz w swym życiu odczułem szczerą, ojcowską miłość. Tego wieczoru otaczał mnie naprawdę czułą opieką. Tłumaczył mi, że krok ten uczynił dlatego, byśmy nie zostali bez zupełnej opieki.

Smutno też upłynęły te pierwsze święta „Paschy” po śmierci matki, chociaż macocha starała się okazać nam tyle dobroci, byśmy bólu nie odczuwali tak srogo. Niestety, chociaż brat i siostra mniej odczuwali brak matki, ja jednak nie mogłem nakłonić się, by obdarzyć macochę swym zupełnym zaufaniem.

Po świętach dowiedziałem się od ojca, co wpłynęło na oziębienie się stosunków między nami. Oto kuzyn w jednym z listów skarżył się na mnie, że mając się dobrze, za-

niedbuję naukę. Radził więc ojcu, żeby mnie w biedzie podtrzymał, to prędzej wyjdę na człowieka, oprócz tego doniósł o wielu moich wybrykach. Gdym się o tym wszystkim dowiedział, opanował mnie taki gniew na niego, że wszystko, co tylko o nim wiedziałem, powiedziałem ojcu.

Ojciec, śmiejąc się z mej złośliwości, zapytał mnie, co myślę nadal ze sobą robić. Na to nic nie odpowiedziałem. Z braku mej odpowiedzi wyciągnął ojciec wniosek, że pragnę zostać w domu. Wobec tego stanu ojciec wypowiedział swe zdanie, jak zamierza mną nadal pokierować: „W domu zostać nie możesz” — mówił — „więc oddam cię na praktykę, bo tej mądrości jeszywetowej, zdaje się, masz dosyć”. Ostatnie jego słowa były dość złośliwie wypowiedziane.

Nie wiem sam, czy już wówczas czułem niechęć do wszelkiej pracy fizycznej. Nie chciałem jednak zostać żadnym rzemieślnikiem. Rozmyślając zaś nad tym, dlaczego ojciec nie chce mnie w domu, całą winę złożyłem na macochę. Posądziłem ją, że to jej pomysł. Pragnąc zaś dowiedzieć, że nie uda jej się ten podstęp, odpowiedziałem ojcu w tonie stanowczym, iż postanowiłem wrócić do jeszywetu, by spełnić dane przyrzeczenie matce.

Odpowiedź moja ojcu nie spodobała się. Rozgniewał się na mnie i odparł, że mogę jechać, gdzie chcę, ale ani jednego grosza od niego więcej nie dostanę, jest bowiem przekonany, że ze mnie rabina nie będzie. Na tym skończyła się moja sprzeczka z ojcem.

Na drugi dzień po tej rozmowie posłany zostałem przez ojca do jednego z dłużników po odbiór osiemdziesięciu dwóch rubli za mąkę. Gdym pieniądze odebrał, powstała w mej głowie szalona myśl: „Masz pieniądze, możesz jechać, gdzie chcesz...” Z początku sama ta myśl przestraszyła mnie, lecz przypomniane słowa ojca: „możesz jechać, gdzie chcesz” wywołały w mej wyobraźni takie rozgorzenie, że myśli moje uporczywie biegły ku temu, by udać się w świat. Z tym teraz walczyły słowa przykazania: „Nie kradnij”. Lecz i na to ostrzeżenie znalazło się wyjaśnienie w moim pojęciu, mianowicie, że pieniądze są ojca, a więc przywłaszczając je sobie, nikomu krzywdy nie zrobię. Tak walcząc ze sobą, zamiast iść do domu, udałem się za miasto.

Piękny to był dzień. Nie zdając sobie sprawy z tego, co czynię, dokąd krocę, znalazłem się na drodze wiodącej do miasta R. Takiej sumy nie posiadałem nigdy przy sobie, toteż dodawało mi to bodźca, że dam sobie w życiu radę. Rozmyślając tak i co chwila sprawdzając, czy mam wszystkie pieniądze przy sobie, znalazłem się przy promie odległym od miasta o dwie wiorsty. Przewoźnik, przypatrując mi się bacznie, wypytywał się, dokąd idę. Poznał mnie, gdyż bywał w naszym domu. Chcąc uniknąć prawdy, kłamałem, jak tylko mogłem. Opowiedziałem, że ojciec posłał mnie w ważnej sprawie do majątku G., do pana dziedzica. Majątek ten wymieniłem, wiedząc, iż leży po drodze odległej stąd o dwa kilometry.

Sam się dziwiłem swoimi zdolnościami do tak gładkiego kłamstwa, nikt mnie przecież tego nie uczył i było to przeciwne mojemu charakterowi. Przyszło mi tu na myśl zdanie z *Talmudu*: „*Awejro greres awejro.*” (grzech pociąga grzech!).

A może zawrócić, póki jeszcze czas, pomyślałem, zdając sobie sprawę z mojego czynu i skutków, jakie za sobą pociągnie, jaki to na przykład będzie rwetes w domu i jakie znów będą plotki chodząc po miasteczku. Lecz jakby popychany jakąś złą, nie znaną mi siłą, po przebyciu Narwi szedłem wciąż dalej i dalej. Minąłem wielką wieś G. i zbliżałem się do miasteczka R., położonego o dziesięć kilometrów od naszego domu.

W miasteczku dowiedziałem się, że niedaleko stąd znajduje się stacja kolejowa i że pociąg odchodzi raz na dobę, przystając na tej stacji na krótką tylko chwilę. Toteż dołączyłem się do kilku pasażerów udających się na kolej i po zapłaceniu 10 kopiejek zająłem miejsce na furmance, która tam zdążyła. Przybyliśmy za wcześnie. Musieliśmy czekać na pociąg do godziny dwunastej w nocy.

Dziwna rzecz, pod moimi stopami, rzec można, paliła się ziemia. Gdy tylko ktośkolwiek zapytał, dokąd jadę lub nawet tylko spojrzął, zdawało mi się, że już wie, com za jeden, skąd jestem, że już czyta na moim obliczu słowo „złodziej” i gotów jest oddać w ręce groźnego „Matwieja”. Lękałem się własnego cienia. Pożałowałem teraz, że uczyniłem nieopatrzny krok. Ale cóż, zawrócić było już niemożliwe. W naszym miasteczku zapewne teraz o niczym innym nie mówią, jak tylko o mojej ucieczce. A więc „mosty spalone”, co ma być, niech będzie. Dłużej zatrzymałem się na myśli, dokąd mam się

udać. Jedno już wszakże było zdecydowane, że do posępnych murów jeszywetu nie wrócę. Pójdę w świat... Wszystko jedno dokąd! Czułem pieniądze w kieszeni, a więc jakoś tam będzie...

Za dwa dni znalazłem się w dużym, obcym dla mnie mieście, w Wilnie. Większą część dnia wałęsałem się bez celu po ulicach, gdy zaś odczuwałem głód, zachodziłem do tej lub innej herbaciarni. W jednej z nich zawarłem znajomość z Żydkiem, który twierdził, że pochodzi z moich stron. Wierzyłem mu, gdyż opowiadał mi o ludziach, których znałem. Po półgodzinnej rozmowie tak mnie ujął, że już zwierzyłem mu się z moich podróźniczych zamiarów, a także z tego, że posiadam pieniądze i skąd je posiadam. Słyszając to, Żydek tak wielką zapalał do mnie przyjaźnią, iż postanowił razem ze mną udać się w świat.

Od tej chwili nie odstąpił mnie już na krok. Wieczorem zaś zaprowadził mnie do pewnego domu na jedną z dalszych ulic, gdzie miała mieszkać rzekoma jego krewna i gdzie mogę być bezpieczny przed ewentualnym pościgiem ojca.

Przyjęła mnie młoda kobieta. Po zaznajomieniu z nią mój przygodny znajomy objaśnił mi, że mogę tu być jak u siebie w domu. Następnie przeprosił i wyszedł pod pozorem załatwienia jakichś niecierpiących zwłoki spraw.

Gdy znaleźliśmy się sami, młoda kobieta, uśmiechając się tajemniczo, poprosiła, bym zajął miejsce obok niej na kanapie. Propozycja nieco mnie zdziwiła, jednak po pewnym wahaniu uczyniłem zadość jej życzeniu. Zauważyłem, iż jest nadzwyczaj ładna, tak przynajmniej mi się zdawało. Toteż z przyjemnością odpowiadałem na jej zapytania, a gdy w pewnej chwili ujęła mnie za rękę i pociągnęła bliżej do siebie, zbytnio nie opierałem się. Zachęta zaś jej, bym był śmiały, do reszty mnie pobałamuciła, tak że bliski byłem, by skorzystać z jej propozycji...

Nagle szarpnięcie przyprowadziło mnie do przytomności. Obejrzałem się. Przede mną stał mężczyzna nie znany mi, w starszym już wieku, w groźnej postawie. Kobieta, przerażona, odskoczyła ode mnie; a ja, nie orientując się wcale w tym, co zaszło, siedziałem bezradny, zdziwiony i przestraszony.

On zaś, podnosząc pięść nad moją głowę, krzyczał: „Ty szczeniaku jeden... przyszedł mi tu żonę bałamucić!... Ja cię nauczę rozumu!...” Kobieta, widząc grożące mi niebezpieczeństwo, rzuciła się między nas i zasłoniła mnie sobą.

Cała historia skończyła się tym, że za chwilę zostałem wyrzucony na ulicę „goły”, jak to mówią „jak święty turecki”, gdyż zabrano mi w trakcie tego cały mój kapitał. Zrozumiałem wtedy, że padłem ofiarą tego, co ludzie nazywają „złodziejem”, o takich złodziejach już coś niecoś słyszałem u mej opiekunki Nr 2.

Sprytnie obmyśloną tę komedię, a niemniej też i dobrze zagraną przez kompanów, zapoczątkował mój przygodny znajomy z kawiarni.

Później, gdy sam już należałem do tego świata i poznałem arkany i sztuki złodziejskie i gdy nieraz przyszło się spotkać z tym „zacnym” towarzystwem”, śmiano się ze mnie i z mej dawnej naiwności. Sam z tego wówczas się śmiałem i uznawałem ich zasadę, że „z frajera dusza won, jak z konia para”, co mniej więcej odpowiadało temu, iż kto daje się nabrać, trzeba go wykorzystać do ostatka.

Nastąpiły smutne dni. Zostałem bez grosza. Nie wiedziałem, co ze sobą począć. Łaziłem bezcelowo po ulicach, przystawałem przed wystawami sklepów, najdłużej zaś przed tymi, gdzie wystawione były artykuły spożywcze, głód bowiem odczuwałem od dawna. Nie lepiej też przedstawiała się sprawa z noclegiem. Wreszcie zdecydowałem się przeno-cować w domu modlitwy. Tam się więc udałem. Po przybyciu rychło zwróciłem na siebie uwagę szamesa. Spostrzegł, iż jestem tu obcy, gdyż przesiedziałem tu dłużej niż czyni to nawet najbardziej pobożny Żyd, wówczas zainteresował się mną bliżej. Zawarliśmy znajomość.

Był to człowiek lat około pięćdziesięciu. Wydał mi się bardzo sympatyczny. To i owo opowiedziałem mu o sobie. Jak widać, podobałem mu się, w wyniku bowiem tej znajomości dopuścił mnie do pomocy w swoich czynnościach, a więc podmiatałem, robiłem porządek itd.

Otrzymałem za to od szamesa pożywienie. Po naszej pracy zwykle odpoczywaliśmy, spędzając czas na pogawędkach. Otóż pewnego razu posunąłem swe wynurzenia do tego stopnia, iż przyznałem mu się, że byłem uczniem jeszywetu, pomijając ma się rozumieć fakt okradzenia ojca, ograniczając się zaś tylko do krótkiej wzmianki, że byłem synem

zamożnych rodziców, a teraz jestem sierotą. Słyszac to, szames poderwał się z miejsca i poczał mi czynić wymówki, dlaczego tak długo o tym skrywałem, bo on wówczas całkiem inaczej by mnie traktował i nie pozwoliłby wykonywać prostej roboty, która nie przystoi dla ucznia jeszywetu. I rzeczywiście od tego momentu sytuacja moja zmieniała się na lepsze.

Wkrótce za staraniem szamesa otrzymałem posadę nauczyciela języka żydowskiego na prowincji, dokąd też i pojechałem...

## XXI

Był początek maja. Przybyłem do wsi G.<sup>51</sup>, która leżała nad brzegiem Niemna, otoczona z dwóch stron pięknym lasem i pagórkami. Było to miejsce kuracyjne, specjalnie wyróżnione przez Żydów. Dom, a raczej willa, którą mi wskazano, otoczona była szklaną werandą i wyróżniała się ód innych. Po wejściu tam otoczony zaraz zostałem przez liczną rodzinę, z mężczyzną lat czterdzieści sześć na czele, wspaniale się prezentującym. Mój przyjazd był spodziewany, zostałem bardzo życzliwie przyjęty.

Po wstępnej znajomości zaproszono mnie do stołu i częstowano herbatą z konfiturami. Właściciel w toku rozmowy delikatnie wypytywał mnie, skąd pochodzę, pytał o stosunki rodzinne, a wreszcie poruszył sprawę mojego wykształcenia. Moje odpowiedzi wypadły jak najlepiej, gdyż egzaminator, widziałem, był zadowolony i zaraz też przeszedł do omówienia warunków. Co do mnie, pomyślny wynik przewidziałem już na wstępie rozmowy, albowiem zauważyłem, że o wiele mocniejszy jestem w nauce od swego egzaminatora, gwarancją na to były te głośne zachwyty obecnych, wyrażone po każdej mojej trafnej odpowiedzi. Ocena mego wyglądu zewnętrznego, jak widziałem, niemniej wypadła dla mnie korzystnie, dowodem czego były częste, dyskretnie rzucane w moją stronę spojrzenia córki właściciela willi.

Umowa stanęła na tym, że do świąt Nowego Roku miałem otrzymać 50 rubli wynagrodzenia, przez cały zaś ten czas utrzymanie i mieszkanie kolejno, najpierw u pana B., potem i u niego.

Od tego dnia musiałem poświęcić kilka godzin dziennie na nauczanie czterech uczniów pięciorga ksiąg Mojżesza i Proroków oraz pisania po żydowsku i hebrajsku.

Gdy ujrzałem moich uczniów, prawie że się zląkłem. Jeden, chociaż miał tylko piętnaście lat, wyglądał na wiele starszego, był przy tym wyższy ode mnie. Drugi wprawdzie był trochę niższy, ale za to silnej budowy, wyglądał na atletę. Jeżeli zaś przyjąć pod uwagę to, że obaj byli wygimnastykowani pod kierownictwem studenta, który im wykladał świeckie<sup>52</sup>, więc uzasadnionym będzie, gdy spostrzegając taki stan rzeczy, w duchu wówczas pomyślałem sobie, że z takimi uczniami trzeba być ostrożnym, gdyż przy lada okazji mogą mi sprawić lanie.

Jak przyszłość wszakże wykazała, obawy moje były płonne, gdyż moi uczniowie w czasie lekcji zachowywali się wzorowo i bynajmniej żadnych złych zamiarów względem mnie nie okazywali, na odwrót, nawet po lekcjach zaszczycali mnie swoją przyjaźnią i uważali za godnego towarzysza swych zabaw, z rzadka się tylko śmiejąc z mojej niezgrabności, gdy na przykład trzeba było dosiąść konia lub gdy nieodpowiednio kierowałem łódką. Poza tym jednak dopisywałem im wszędzie, a więc bądź to w harcach na polach lub na łowieniu ryb, czy to zbieraniu jagód w lesie. Życie w tym uroczym zakątku Kowieńszczyzny płynęło mi bez troski i przyjemnie.

Wspominając o czterech uczniach, wyszczególniłem tylko dwóch, a więc muszę dodać, że dwóch innych było dziećmi niemniej zamożnego sąsiada pana B. O nich wszakże nic szczególnego powiedzieć nie mogę, gdyż byli to młodzieńcy nie odznaczający się niczym osobliwym. Wspomnieć za to muszę o ich mamie. Otóż była to osóbką ciężkiej wagi, ważyła bowiem ni mniej ni więcej, tylko 112 kg. Była matką pięciorga dzieci, czterech synów i jednej córki. Nie przeszkadzało to jednak wcale, by pani B. uważała siebie za wcale jeszcze powabną osóbkę. Kłopot jej tylko sprawiała stale przybierająca tusza.

Pewnego nawet razu, uważając mnie już zupełnie za domownika i sądząc zapewne, iż o tych mądrościach wyczytałem w *Talmudzie*, zapytała, co ma czynić, ażeby pozbyć się

<sup>51</sup>wieś G. — zapewne: Giełgudyszki. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>wykladał świeckie — wykladał przedmioty świeckie. [przypis edytorski]



otyłości. Daleki będąc od medycyny, nie mogłem, rzecz zrozumiała, zdobyć się na żadną praktyczną radę.

Widząc moje zakłopotanie, zaproponowała, ażebym sprawdził osobiście rozmiary jej otyłości i podniósł ją. Gdy zawstydzony tą nagłą propozycją, nie ruszyłem się z miejsca, wówczas szarpnęła mnie za ramię zmuszając, bym zadość uczynił jej prośbie. Na szczęście z tej kłopotliwej sytuacji wybawiła mnie córka, która akurat niespodziewanie weszła do pokoju.

Od tego czasu starałem się, by nigdy już nie zostać z nią sam na sam. Możliwe, że nic mi złego z jej strony nie groziło. Jednak nie dochodząc i rzeczywistych jej zamiarów, za przyjemniejsze uważałem obcowanie z jej córką.

Córka było to siedemnastoletnie śliczne dziewczę, wychowane wśród piękna przyrody, jak barwny polny kwiatek mający swymi wdziękami byle owada. W tym wypadku też coś podobnego zachodziło. Wyjątkowo tylko który chłopiec we wsi nie był w tej dziewczynie zakochany.

Najbardziej zaś rzucało się to w oczy w stosunku do najstarszego syna państwa L. Ten chłopiec w pięknej Sarze zakochany był wprost, jak to mówią, na zabój. Matka jak mogła, tak strzegła swego skarbu, ale ponieważ była osobą, jak wiemy, z powodu otyłości mało ruchliwą, więc nie zawsze mogła córkę upilnować. Łatwo jej to przychodziło tylko wtedy, gdy córka wbiegła do mojego pokoju na pogawędkę. Rychło to spostrzegła i zaraz ją odwoływała. Zresztą obawa matki co do córki zupełnie była nieuzasadniona. Dziewczyna wprawdzie flirtowała prawie z każdym, jednak dalej od tego nic nie zaszło. Miłość głębsza nie zarzucała na nią jeszcze swoich sieci. Jej śpiew zaś roznosił się wokół, raniąc serca chłopców, żenując czasem starszych, gdy na przykład wyśpiewywała naiwnie zwrotki popularnej rosyjskiej piosenki: „*Na czto mnie żenitcja, kogda nocz mala*”<sup>53</sup> itd.

Co się tyczy syna państwa L., to rodzice na romans ten zapatrywali się nieprzychylnie i nie przydawali takowemu większej wagi i znaczenia, albowiem dalecy byli od tego, by dopuścić do związku małżeńskiego z córką pani B., solidnej co do tuszy, mniej wszakże podobno solidnej w innym kierunku. Oto pod wielkim sekretem dowiedziałem się, że wokół krążą plotki, jakoby ojcem pięknej córki nie był Żyd...

Z powodu mojej zażyłości z uczniami miałem niejedną przykrą chwilę ze strony najmniej spodziewanej. Oto w tejże wsi żył na stałe osiadły i ożeniony z miejscową dziewczyną mężczyzna lat trzydziestu, dość przystojny, który praktykował w zawodzie nauczyciela. Zorganizował on tu sobie szkołę, coś na kształt chederu, w którym grupował dwadzieścioro dzieci rodziców mniej zamożnych i wykladał im nauki początkowe. W jego to osobie spotkałem ostrego krytyka swoich postępów. Po bliższej znajomości, gdy się przekonał, że w niczym mu nie ustępuję w wiedzy, a nawet obszerniej od niego dużo rzeczy wiem, zaczął z innej beczki. Przy każdym spotkaniu wymawiał mi, że nieodpowiednio się prowadzę, że nie powinienem brać udziału w zabawach moich uczniów, że w ogóle moje zachowanie kompromituje powagę nauczyciela itd. Do pewnego czasu słuchałem cierpliwie tych wywodów, nic sobie z tego nie robiąc, gdy zaś ponawiały się one coraz częściej i ostrzej, wówczas dałem mu taką odprawę, że w pierwszej chwili skoczył nawet do bicia, widząc wszakże mój spokój i gotowość odparcia ataku, opanował się i oddalił.

Od tego czasu zaprzestał osobliwych napadów, za to przy lada sposobności oczerniał mnie przed innymi i rozpowszechniał wprost niewiarygodne plotki.

Cierpiałem z tego powodu bardzo, lecz tłumiąc w sobie gniew, znosiłem i nie reagowałem zupełnie.

Nadszedł lipiec. Przeszedłem na utrzymanie do bogatego p. L. Do tego czasu rzadko tam bywałem.

Związane to zwykle bywało z przyjazdem p. L., który mając rozległe interesy, więcej przebywał poza domem. Przy szklance herbaty, mając mnie przed sobą, pan L. lubił zazwyczaj pofilozofować i popisać się swoją uczonością. Znajdował we mnie cierpliwego słuchacza. W niczym mu nie przeczyłem. Lubiał mnie za to. Przed żoną miał ponoć oświadczyć, że jestem rozsądny chłopak.

Zdarzało się też, że czytałem po hebrajsku i tłumaczyłem po żydowsku. Słuchano mnie z ciekawością. Wśród moich słuchaczy znajdowała się również córka gospodarza.

<sup>53</sup>*Na czto mnie żenitcja, kogda nocz mala* (ros.) — Na co mi się żenić, gdy noc krótka. [przypis edytorski]

Najwięcej mnie ona intrygowała, gdyż ani razu nie zaszczyciła mnie rozmową, a nawet zapytaniem. Czekala zapewne, ażebym pierwszy to uczynil. Nie mialem wszakże do tej pory takiej sposobności, gdyż zawsze stroniła od towarzystwa i nigdy nie przyjmowała udziału w naszych zabawach i wycieczkach.

Teraz więc, gdy przyszedłem do tego domu, sytuacja gruntownie się zmieniła, sposobność taka lada moment mogła się nadarzyć. Widziałem, że z mojego przybycia jest zadowolona.

Moi chlebowadcy, państwo L., byli ludźmi bardzo dobrymi, a do tego zamożnymi. On był właścicielem majątku ziemskiego oraz kupcem leśnym. Dzięki jego ruchliwości cała ogromna wieś miała dość spore poboczne dochody w prowadzonym przez niego przemyśle drzewnym.

Umieszczono mnie w pięknym, jasnym pokoju. W nim odrabiałem lekcje z moimi uczniami. Oprócz tego pracowałem tutaj parę godzin dziennie nad uporządkowaniem obszernej, zaniedbanej biblioteki, składającej się z wszelkiego rodzaju dzieł w języku hebrajskim, nie wyłączając też innych. Lubiłem to zajęcie, gdyż oglądając wszystkie książki, spostrzegłem wśród nich sporo naukowych, a także z beletrystyki. Zainteresowałem się zwłaszcza tymi ostatnimi, albowiem wprowadzały mnie w zupełnie obcą krainę i rozszerzały znacznie horyzont mojego dotychczasowego myślenia.

Do tego czasu, pozostając w rygorze chederów i jeszywetów, prawie że nie miałem sposobności mieć w rękach jakiej bądź książki poza religijną. Powiedziałem: „prawie”, był bowiem wyjątek, opisać go tu muszę: po pierwsze dlatego, że jest charakterystyczny ze względu na poznanie stosunków jeszyweckich, po wtóre pamiętam jeszcze o karze, jaka mnie wówczas za czytanie „nielegalnej” książki spotkała.

Syn fabrykanta, ten właśnie, który szukał zwolenników do golenia, przyniósł do jeszywetu książkę pod tytułem *Don Kichot* w żydowskim przekładzie. Rzecz naturalna, ten owoc zakazany był przez wtajemniczonych czytany z ogromnym zainteresowaniem i to w trakcie odbywających się talmudycznych wykładów. *Talmud* dość był obszerny, by w jego objęciach zmieścił się mały stosunkowo *Don Kichot* i ukrył go przed niedyskretnymi oczyma. Zresztą, gdy ktoś z obcych zanadto się zbliżał, wówczas współprzestępca kaszaniem przestrzegał o niebezpieczeństwie i już zaczynało się śpiewnym głosem wymawiać cytaty z przewróconej rychło stronicy *Talmudu*. Raz jednak fortel się nie udał i sam rosajszywe złowił mnie na gorącym uczynku. W wyniku [tego] nieszczęsny *Don Kichot* powędrował wprost do pieca. Egzekucja odbyła się na poczekaniu w naszych oczach. Ja zaś za karę musiałem w nocy nie spać, tylko się uczyć i rękę dać „tkias-kaf”, że nigdy podobnych książek nie wezmę do rąk.

Teraz więc, gdy mi nikt tego nie bronił, wchłaniałem w siebie co dzień treść którejkolwiek z tych książek, poświęcając na to większą część nocy. Dziwna rzecz, najwięcej interesowały mnie książki o treści kryminalnej, toteż tych najwięcej czytałem.

## XXII

Tak upłynęło parę tygodni. W domu tym czułem się więcej skrępowany niż w domu B. Panowała tu sztuczna powaga, jaką zwykle daje się zauważyć u dorobkiewiczów, małpujących arystokrację. Złośliwi szepotali sobie na ucho, że pan L. przed laty pracował u ludzi i że przez jakąś nieczystą spekulację doszedł do posiadania majątku pewnego szlachcica.

Piękna córka Sonia, osiemnastoletnia blondynka, jak przystało na latorośl dziedzicowa dużego majątku, nosiła się pysznie i chodziła sztywno, jakby „kij połknęła”.

W domu rozmawiała tylko po rosyjsku lub po francusku, tak przynajmniej domyślałem się, gdyż języka francuskiego wówczas jeszcze nie słyszałem. Jednak muszę przyznać, że duma i powaga, jakimi się przyoblekła, „pasowały” do jej osoby. Była jakby urodzona na wielką panią. Nikt by na pierwszy rzut oka nie powiedział, że jest semickiego pochodzenia. Wybitnej urody, jaką się odznaczała, nie powstydziliby się niejedna księżniczka.

Przy stole zawsze siedziałem w pobliżu niej. Obserwowała mnie nieraz swymi dużymi, czarnymi jak węgiel oczyma, przed siłą ich spojrzenia musiałem zawsze rumienić się. Często też z tego powodu odchodziłem od suto zastawionego stołu głodny, gdyż sądziłem, że nie dość taktownie zachowuję się przy stole i że ona to zauważa.

Jak się spodziewałem, okazja do rozmowy z Sonią rychło się nadarzyła. Przychodziła bowiem często do pokoju, w którym uczyłem się, by korzystać z biblioteki tam się znajdującej. Pamiętam, gdy po raz pierwszy do mnie przemawiała, zapytując się o jakąś książkę, czułem się jak wniebowzięty. Później to zadowolenie miałem coraz częściej. Razu pewnego nawet zaprosiła mnie do swego pokoju, chcąc zapewne pokazać przepych, z jakim był urządzone. Poszedłem za nią nieśmiało i faktycznie zostałem olśniony tym, co zobaczyłem. Pełno tam było drogich dywanów, haftowanych poduszek i innych fatalaszków, nazwać ich nie potrafiłbym. Pośpieszyła Sonia objaśniać mi, iż pokój jest urządzone w stylu wschodnim. Widząc zaś mój zachwyty, zapragnęła jeszcze bardziej zadowolić swą próżność, zaprosiła mnie więc, bym usiadł na jednej z poduszek.

Nie śmiać odmówić, spełniłem jej życzenie i usiadłem „po turecku”. Śmiała się. Zaczęła żartować i nagabywać mnie dwuznacznikami. Jako nauczyciel religii udawałem, że nic z tego nie rozumiem, przeto milczałem.

Za chwilę wszedł student. Posypały się tłuste dowcipy jeszcze gęśniej. Część z nich była skierowana pod moim adresem, które chociaż częścią po francusku były wypowiedziane, zrozumiałem z dość dużo mówiących gestów i mimiki.

Zdziwiony i zażenowany tym, co widziałem, siedziałem na tureckiej poduszce, nie śmiać się ruszyć z miejsca. Jeszcze raz mogłem się przekonać, że pozory często mylą. Powaga i duma Soni były tylko udane.

Od tego dnia często już miałem możliwość rozmowy z obiektem mojej sympatii. Jeszcze bardziej zainteresowała się mną Sonia po wypadku, jaki się zdarzył wkrótce potem.

Obiad. Siedzimy wszyscy przy stole, wtem sługa wprowadza podróżnego. Spojrzałem w stronę przybyłego i... oniemiałem. Poznałem w nim leśnego kupca z naszego miasteczka, częstego bywalca i przyjaciela naszego domu. Zaraz też wzrok jego spoczął na mnie. Stał chwilę, niemniej ode mnie zdziwiony, a potem jak nie krzyknie: „A ty co tu robisz?” Nu — myślę — zginąłem! Czułem, jak blednę i ciarki po mnie przechodzą. Przybyły zbliżył się i podał na przywitanie rękę. Ucisnąłem ją, nie pozbywając się wszakże jeszcze strachu.

Wszyscy ze zdziwieniem w milczeniu obserwowali tę scenę. Nareszcie gospodarz go zagadnął:

— Skąd pan zna naszego nauczyciela?

— Jak to? — odparł zagadnięty. — Ja bym Szmula syna nie znał?

I tu zamiast zdemaskowania mnie, jakiego oczekiwałem, wyniósł mnie, jak to mówią, pod niebiosa, rozgadał się o moim pochodzeniu, o zamożności ojca, wspomniawszy nawet, że jako dziecko na rękach mnie nosił, jednym słowem z jak najlepszej strony przedstawił moją osobę słuchającym.

W trakcie tego opowiadania spojrzałem na Sonię. Spotkałem, jak mi się zdawało, jej wzrok taki serdeczny, ciepły i szczery, że aż mi serce zamarło z błogości uczucia...

Gdy minęło pierwsze wrażenie z tak nieoczekiwanego spotkania, skorzystałem ze sposobności, by rozmówić się z kupcem na osobności. Prosiłem go nade wszystko, by zamilczał o mojej ucieczce i okradzeniu ojca. Obiecał to, jednakże strofował za ucieczkę i za to, że do tego czasu nic nie napisałem ojcu. Opowiedział przy tym, że ojciec bardzo się martwi, lecz zapewne mi przebaczy, jeżeli go o to poproszę. W przeciągu paru dni, które tu spędził, potrafił mnie przekonać o konieczności napisania do ojca listu. Przyrzekłem, że to uczynię.

Wypadek ten spowodował, że wszyscy zaczęli na mnie inaczej patrzeć, uchodziłem bowiem dotychczas za sierotę, nie mającego rodziny. Co zaś najbardziej mnie uradowało, to widoczna przychylność, jaką zdradzała względem mnie Sonia.

Stosownie do danego przyrzeczenia zabrałem się do napisania ojcu listu. Włożyłem w pracę tę wszystkie swe zdolności pisarskie, jako też i tyle uczucia, że zdawało się, kamienie by wzruszyć musiał, a cóż dopiero ojca. Dwa dni go potem nosiłem, nim zdecydowałem się wysłać. Czyż jestem w stanie opisać, z jaką niecierpliwością oczekiwałem odpowiedzi? Zapomniałem zupełnie, co mnie otacza, tylko o tym myślałem, jaka to będzie odpowiedź od ojca i czy w ogóle nadejdzie. Aż tu pewnego dnia, w tydzień potem przybiega do mnie rozpromieniona Sonia i wręcza list.

Drżącymi rękoma rozerwałem kopertę i cały zatopiłem się w czytaniu. Sonia przez ten czas usiadła obok i obserwowała mnie bacznie, chcąc z mojej twarzy wyczytać, jakie wrażenie wywrze na mnie treść listu. Wiadomość była dobra, więc podzieliłem się z nią.

Od tej chwili przyjaźń nasza z Sonią jeszcze bardziej się zacieśniła. Nie mówię już o tym, że i na jej rodzicach firmowa koperta wywarła dodatnie wrażenie, więc zyskałem na powadze.

Chodziłem już teraz często z Sonią na spacer. Przeżywała mnie żartobliwie „rebe”. Przy stole nie krępowałem się już zupełnie i jadłem do sytości. W ogóle traktowano mnie w tym domu jako domownika. Nie od rzeczy będzie, gdy przytoczę tu następujący fakt.

Pewnego piątku zaszedłem do kuchni. Kucharka żartem poprosiła mnie, żebym poszedł do szopy po trochę drzewa, gdyż ona nie może odejść od garnków. Chętnie się zgodziłem. W szopie było ciemno. Gdy postąpiłem kilka kroków od drzwi, raptem poczułem, że tracę grunt pod nogami i wpadłem w dół...

Gdy odzyskałem przytomność, zobaczyłem, iż leżę już w moim pokoju, a wokół mnie stoją zgrupowani domownicy. Byłem mocno potłuczony. Okazało się, że otwór w lodowni nie był zasłonięty, a ja, nie zauważywszy tego z powodu gęstego zmierzchu w szopie, wpadłem na kupę lodu.

Wypadek sam w sobie był tragiczny. Później żartowano ze mnie z tego powodu jeszcze dość długo. Wtedy jednak, widząc mnie potłuczonego, otoczono troskliwą opieką i pielęgnowano. Kucharka płakała i prosiła o przebaczenie jej, twierdziła, że ona tu była przyczyną tego zdarzenia.

Choroba moja trwała kilka dni, oprócz potłuczenia przeziębilem się, leżąc czas pewien na lodzie. Doglądano mnie jak własne dziecko, a najwięcej troskliwości okazała Sonia. Nie odstępowała mnie na krok. W domu nawet z tego powodu zaczęto z niej żartować, że jest zakochana w „rebem”. Najwięcej docinków pod naszym adresem rzucali bracia Soni.

Przyznać tu należy, że żartobliwe te uwagi były poniekąd słuszne. Od tego bowiem wypadku stosunki przyjaźni z Sonią stały się bardziej jeszcze zażyłe. Po moim wyzdrowieniu nie było dnia, byśmy nie udawali się we dwójkę na spacer, bądź to na łąki, bądź do lasu. Włóczęgi te przeciągały się nieraz do późnego wieczora. Trzymając się za ręce, często bez słowa jednego, bądź to brodziliśmy po wydeptanych przez letników ścieżkach, bądź odpoczywaliśmy na miękkiej, leśnej murawie, zaśluchani w szmer Niemna lub w tajemniczy szmer lasu, harmonizujący z naszymi uczuciami. Z rzadka tylko tę ciszę wieczorną przerywał ptak przebudzony lub echo głosu człowieka.

Czułem się szczęśliwy. Pokochałem Sonię gorącym uczuciem pierwszej, prawdziwej miłości.

Upłynęło parę tygodni. Częste nasze wycieczki zwróciły wreszcie uwagę domowników. Zabronili Soni sam na sam odbywać ze mną spacer. Mało to jednak zmieniło stan rzeczy. Po kryjomu w dalszym ciągu naznaczaliśmy sobie schadzki. Czyż mogło być inaczej? Nie mogłem się obejść bez tego, by tę dziewczynę przynajmniej kilka razy dziennie zobaczyć. We śnie i na jawie tylko o niej marzyłem. Szczęście moje tym bardziej się potęgowało, że pewny byłem wzajemności uczuć. Bardziej szczęśliwego człowieka nie wyobrażałem sobie pod słońcem.

A jednak przypadek zrządził, że złote sny rozwiały się jak mgła. Jak to było, opowiem.

Pewnego dnia nad wieczorem rozniosła się wieść po wsi, że zaginął jeden z letników. Chodziło tutaj o pewnego starca, właściciela jednego z banków w Kownie, który w rannych jeszcze godzinach udał się do lasu i do tej pory nie wrócił. Sądzone, że zablądził. Postanowiono więc z całą wsią udać się na jego poszukiwania. Rzecz naturalna, że byłem jednym z pierwszych, należących do tej wyprawy. Sonia, jak czytelnik się zapewne domyśla, zaraz też znalazła się obok mnie.

Las napełnił się poszukującymi. Co chwila tu i ówdzie rozlegały się wołania: „uhu”, „uhu!” Echo podchwytowało te głosy i roznosiło je we wszystkich kierunkach, tworząc taki zgiełk, że zmarły by go usłyszał.

Zaginiony też, być może, słyszał ten rwetes, ale jakoś się nie odzywał... Zresztą nie będą długo tu o nim się rozpisywał. Poinformuję od razu czytelnika o jego losie. Otóż znaleziono go w lesie martwego, zmarł według orzeczenia lekarzy na udar serca. Miał przy sobie większą sumę pieniędzy. Tych jednak dusza ulatująca do Abrahama nie wzięła ze sobą, więc pozostały dla spadkobierców.

Wróć tu wszakże do celu opowiadania. Z początku z Sonią wzięliśmy czynny udział w tych poszukiwaniach, nawet krzyczeliśmy na równi z innymi na całe gardło. Stopniowo jednak odłączyliśmy się od reszty towarzystwa i szliśmy po skraju lasu, brzegiem Niemna. Zaprzestaliśmy krzyku i zajęliśmy się sobą...

Było już zupełnie ciemno. Wrześniowy wieczór otulił las i rzekę czarownym urokiem. Krzyki dawno już nie dochodziły naszych uszu. Przytuleni do siebie szliśmy wciąż naprzód, wsłuchani w odwieczny szmer otaczającej nas przyrody i wdychaliśmy pełną piersią balsam ziół i żywicy.

Weszliśmy na mały pagórek, podobny do wyspy, wśród morza zieleni. Przystanąła. Czula się zmęczona. zaproponowała odpoczynek. Usiedliśmy. Jeszcze bardziej przytuliła się do mnie. Od rzeki wiało chłodem i wilgocią. Okryta tylko lekkim szalem, drżała z zimna. Zdjąłem więc z siebie płaszcz i otuliłem nim moją towarzyszkę.

Mając swą wybrankę przy boku, słysząc nawet bicie jej serca, czułem się szczęśliwy bez granic i pragnąłem, by wieczór ten trwał wiecznie.

Z marzeń wytrąciła mnie jej prośba, bym opowiedział jej coś o sobie. Zacząłem więc opowiadać o rodzinie, o matce, o domu, o ojcu na razie zamilczałem, to bowiem wspomnienie zawsze mi przywodziło na pamięć mój brzydki występki z pieniędzmi. Jednak mnie zdziwiło, że Sonia słucha mnie lub rzuca to lub inne pytanie raczej dla przepędzenia czasu niż z zainteresowania.

Poczułem się nieswojo. Zmieszałem się i zamilkłem. Wtem, o zgrozo, własnym uszom nie dowierając, usłyszałem takie oto pytanie:

— Powiedz mi, rebe — od dawna byliśmy bowiem na ty — czy spróbowałaś już ty kiedy kobietę?

Oniemiałem z przerażenia. Zdawało mi się, że las zwałił mi się na głowę.

Nie mogło się pomieścić w moim mózgu, by kochana moja Sonia mogła o coś podobnego zapytać. Absolutnie nie mogłem zrozumieć, do czego ona zdążyła. Co do mnie, nigdy nie przyszło mi na myśl, bym miał skrzywdzić ubóstwianą dziewczynę... Pomimo iż gorzała we mnie ku niej miłość ogromnym płomieniem, zachowywałem się jak niewolnik wobec swej królowej...

— Powiedz!... Powiedz!... — nalegała, ściskając mi namiętnie rękę. — Nu, prędeż! Prędeż!... — powtarzała.

— N-i-e... n-i-g-d-y! — mimo woli wykrztusiłem z siebie drżącym od wzruszenia głosem.

— A czy chcesz teraz spróbować? — spytała naiwnie, tuląc się całym ciałem do mnie.

Ja, zamiast odpowiedzi, nerwowo zacząłem szarpać jej ubranie... Stało się... Biorąc na świadków gwiazdy, które tak ładnie nad nami migotały, las i Niemen, które widziały misterium miłości, przysięgałem, że kochać ją będę do grobu i nic nas nie zdoła rozłączyć. Roześmiała się tylko głośno w odpowiedzi na moje wynurzenia miłosne, a po chwili odparła:

— Wszystko to jednak zbyt cenne... Trzymaj tylko język za zębami... Gdy tylko zdarzy się okazja, znów będę twoja!...

Struchlałem, słysząc te słowa. Żadną miarą nie mogłem zrozumieć ich znaczenia. Sądziłem do tego czasu, iż dziewczyna, a zwłaszcza taka jak Sonia, akt miłości powinna traktować jak coś świętego, a przynajmniej tak ważnego, że w zamian musi żądać od mężczyzny zrównoważenia w postaci szczerych uczuć gwarantujących pewne widoki na przyszłość.

Lekkość, z jaką Sonia potraktowała tę sprawę, zupełnie mnie wytrąciła z równowagi. Nie mogłem zebrać się z myślami. A ona na przekorę mnie, jakby nic nie zaszło, śmiała się i całą powrotną drogę żartowała z mojej naiwności, wieńcząc to wszystko cyniczną uwagą, że podarłem jej m...

Było już po północy, gdy wróciliśmy do domu. Wszyscy już spali. Cichaczem wemknąłem się do pokoju i położyłem do łóżka. O śnie wszakże nie mogło być mowy. Pod zbyt silnym pozostawałem wrażeniem tylko co przebytej przygody. Po raz setny przeżywałem ją w myśli, stale jednak opierałem się o mało mi pojętą ścianę słów: „Wszystko to jest zbyt cenne, trzymaj tylko język za zębami!...

W jednym wszakże byłem w całkowitej zgodzie, a to w świadomości, iż pierwszy raz w życiu skosztowałem prawdziwej rozkoszy, którą daje kobieta... Przyznałem zupełną

Raj

ślusznosc *Talmudowi*, gdy podobne przeżycia określa słowami: uczucie to równa się rozkoszy raj. Nie znałem wprawdzie „raju”, lecz już teraz mogłem mieć o nim mniej więcej dokładne wyobrażenie i przyznać trzeba, że być na stałe w raju to bardzo przyjemna rzecz. Zazdrościłem już w duchu tym, których po śmierci od razu tam przeprowadzają.

Te i inne myśli plątały mi się po głowie, nareszcie wyczerpany i zmęczony zasnąłem.

Śniło mi się, że jestem w raju. Siedzę wśród pięknych dziewcząt, zupełnie nagich, o kształtach starożytnych bogiń, widzianych przez mnie na obrazkach w jednej z ksiązek biblioteki i rozkoszuję się ich widokiem. Dziewczęta, jedna przed drugą, starają się mnie ku sobie zwabić swoimi wdziękami... Chwytam w objęcia pierwszą z brzegu... Namietnie przyciągam ku sobie... a ona otacza mnie ramionami... Czuję, jak rozkosz i błogość rozlewa się po moich członkach... i budzę się. Ciemny pokój uświadamia mnie rychło, jak daleki jestem od rzeczywistości, więc zły jestem sam na siebie i staram się uspokoić.

Gdzie tam! Wyobrażenia, raz rozpętana, fantastyczne wciąż snuje obrazy i ani chwilę nie daje wytchnienia mózgowi. Rodzą się myśli i plany, na wykonanie których za nic w świecie przedtem bym się nie ważył.

Przychodzi mianowicie szalona myśl i coraz bardziej staje się natrętną, by udać się do pokoju Soni.

Nie mogę już walczyć dalej z tajemną siłą, jaka mnie popycha do tego czynu, a więc wstaję po cichu z łóżka i skradając się jak cień, poprzez korytarz i pokój jadalny zdążam ku jej sypialni. Z głośnym biciem serca, ominąwszy wszystkie przeszkody, stanąłem u drzwi swoich zamierzeń. Zamarłem nasłuchując, wydało mi się bowiem, iż słyszę jakieś szepty. Przylgnąłem do drzwi i cały obróciłem się w słuch.

Nie, nie pomyliłem się. Nie było to złudzenie. Wyraźnie usłyszałem cichy szepet i stłumiony śmiech dwojga osób. W pewnym momencie zrozumiałem nawet, do kogo ten szepet należy.

Nie miałem już wątpliwości. W pokoju ubóstwianej mej Soni znajdował się student, typowy mężczyzna, lat dwudziestu pięciu, u którego pobierała lekcje francuskiego.

Teraz dopiero zdałem sobie sprawę, jaki związek mogły mieć częste jego wizyty w pokoju Soni, które odbywał każdego dnia. Na tyle naiwny wówczas byłem, że nie dopuszczałem myśli, by te wizyty powtarzały się także w nocy, zresztą nie były one związane z żadną trudnością, gdyż pokój studenta położony był obok pokoju Soni.

Ból rozczarowania ścisnął mnie za serce, uchwyciłem się drzwi, by nie upaść. Czulem, jak lzy żalu utraconego szczęścia podchodzą mi do gardła i tamują oddech. Wreszcie chwiejnym krokiem postąpiłem w stronę pokoju studenta. Ten był pusty. Rozrzucone w nieładzie ubranie leżało na krzesłach i podłodze. Wyszedł więc w bieliźnie.

Żar mnie ogarnął, krew pulsowała przyśpieszonym tempem, rozpierając żyły, w skroniach, zdawało się, młoty kowalskie pracują.

Teraz rozumiałem już, co oznaczały słowa: „to jest zbyt uczucie... tylko trzymaj język za zębami...”. Więc ona mnie nie kocha... Jest tylko rozpustnicą!

Do tej chwili sprzeczne uczucia zawiedzionej nadziei i zazdrości, co jak huragan mną miotały, zaczęły przeradzać się w jedno, w piekło zrodzone pragnienie... pragnienie zemsty! Zacząłem gorączkowo szukać sposobności wykonania raz powstałej i na chwilę nie opuszczającej mnie myśli.

Nie wiedziałem jeszcze, na czym ma polegać moja zemsta. Lecz postanowiłem coś dokonać. Wtem wzrok mój zatrzymał się na złotym zegarku wiszącym na ścianie, który swym błyskiem jakby drażnił mnie i naigrawał się z mej bezsilności.

„Bierz go” — szeptał głos jakiś kuszący. — „Tam pod poduszką leży jeszcze portfel z pieniędzmi... bierz! Po słodkich kurczach miłosnych dotknie go ta utrata dotkliwiej. Pobyt twój tutaj tak czy owak stanie się nieznośny. Zawsze i wszędzie, na każdym kroku sztychł on z ciebie i naigrawał się, byłeś stale obiektem złośliwych jego docinków... wszak i przedtem nie mogłeś znieść jego widoku... a teraz po tym, czego jesteś świadkiem... bierz i uciekaj!”

Ogarnięty tymi myślami zbliżyłem się do łóżka i sięgnąłem po zegarek. Po cichu, a sprawnie zdjąłem go ze ściany, z nie mniejszą też zręcznością, jakbym był już fachowym złodziejem, wydobyłem portfel i gnany strachem wysunąłem się za drzwi i tą samą dro-

gą wróciłem do swego pokoju. Tu w okamgnieniu ubrałem się, zebrałem naprędce swe manatki i jak wąż wysliznąłem się na ulicę.

Było już po północy. Szedłem, nie, wprost biegłem, gnany nieznanym mi jeszcze strachem, przed siebie. Gorąco biło ze mnie, a na przemian chłód mnie przejmował, drżałem cały. Nieznany ciężar dławił mą czaszkę, a do nóg jakby olów przywiązano. W pewnych momentach stawałem i ruszyć się prawie nie mogłem, drepcąc na miejscu. Nadludzkie wysiłki czyniłem, by nie upaść. W ustach mi zaschło, a serce waliło tak mocno i szybko, że po prostu oddech tamowało.

Byłem teraz zły sam na siebie, że ze mnie taki tchórz. Czegóż warte są takie nerwy, gdy tak nieznośnie dopuszczają cierpienia? Ach, żeby to się już skończyło...

Droga, którą obrałem, prowadziła do przystanku kolejowego odległego o dziesięć kilometrów. Jednej już teraz myśli się trzymałem, by jak najprędzej tam się dostać! Zadośćuczynienie uczuciu zemsty, dowodem czego był zegarek i wypchany portfel, dodawało mi bodźca i pchało wciąż naprzód, naprzód.

Strach wszakże pogoni paraliżował moje członki, chwilami nogi odmawiały posłuszeństwa i musiałem odpoczywać. Próbowałem zapomnieć o tym co się stało, lecz sumienie na przekór wszelkim moim usprawiedliwieniom nie chciało milczeć, a w uszach wciąż brzmiało: Złodziej...! Złodziej...! Wróć... póki jeszcze czas!...

Jak opętany zrywałem się z miejsca i znowu gnałem bez tchu, wciąż dalej i dalej ku zbawiennej, zdawało się, stacji...

Nareszcie szyny kolejowe i wątle, oświetlone budynki stacji zamajaczyły przede mną, odetchnąłem więc z ulgą i wolnym już krokiem zdążałem ku celowi.

## XXIII

Wewnątrz stacji lampa naftowa skąpe rzuciła błyski, a dym machorki, unosząc się w powietrzu, jeszcze bardziej zgęszczał mrok tam panujący. Po dłuższym czasie mogłem dojrzeć tych, którzy oczekiwali na pociąg.

Na ziemi przy swoich tłumokach leżało kilkudziesięciu „czubaryków” i kilka kobiet. Żaden z oczekujących pasażerów nie był ubrany po miejsku. Rozglądałem się nieufnie po poczekalni i starałem się znaleźć jakiś najdalszy kąt, gdzie bym nie zwracał na siebie uwagi. Przede wszystkim wszakże postanowiłem dowiedzieć się, kiedy odchodzi pociąg. W tym celu podszedłem do kiwającej się ze snu baby. Po dłuższym mruczeniu objaśniła wreszcie, że pociąg ma przybyć dopiero za dwie godziny. Uświadamiając sobie, że tak długi pobyt na stacji może być dla mnie niebezpieczny, porzuciłem pierwotny zamiar pozostania i postanowiłem czas ten przepędzić poza jej obrębem. Skierowałem się w tym celu ku drzwiom. Wtem nagle jak spod ziemi wyrósł przede mną strażnik.

— *Wy kuda?*<sup>54</sup> — zapytał.

Oniemiałem z przerażenia i nie mogłem ust otworzyć.

Strażnik, widząc mój przerażenie, tym bardziej powziął podejrzenie i ku zdziwieniu nielicznych nocnych pasażerów, ujął mnie za kołnierz i poprowadził do dyżurki.

Na nasz widok drzemiący nad stołem żandarm leniwie wznosił głowę, zły widocznie, że przerwano mu słodki sen, wlepił we mnie złe, krwią nabiegłe oczy. Strażnik pośpieszył mu zameldować, że przyprowadził w mojej sobie podejrzanego osobnika, który zapewne ma coś na sumieniu... bo chciał się skryć, a na dobytek nie ma paszportu.

Żandarm, słuchając przydługiego nieco raportu, ziewnął kilkakrotnie i przeciągnął zdrętwiałe członki, znać niezupełnie dowierzał intuicji wywiadowczej strażnika, gdy jednak usłyszał „*niet paszporta*”, poruszył się na krześle żwawiej i rzucił: „obszukać!”

Byłem zgubiony. Tyle przeżyć, tyle nowych emocji, jakie przeżyłem niedawno, a tu znowu towarzystwo złego strażnika i niemniej straszego żandarma — to było na moje nerwy jak na jeden raz za dużo.

Nie odpowiadając na zadawane mi pytania, beczalem na cały głos, a lzy strumieniem ciekły po moich policzkach.

Pierwszy na stół powędrował zegarek, a za nim i portfel, w którym jak mogłem się teraz przekonać, było 30 rubli i jakieś papiery. Wszystko to z wielkim zainteresowaniem

<sup>54</sup> *Wy kuda?* (ros.) — wy dokąd? [przypis edytorski]

oglądali strażnik i żandarm, a zwłaszcza zegarek, co do którego zgodnie orzekli, że jest „złoty”.

Teraz obaj już byli pewni, że mają w swoich rękach „wora”<sup>55</sup>.

Nie mogąc bliżej dojść, skąd te rzeczy i czyje, gdyż jak wspomniałem wyżej, płakałem cały czas, żandarm kazał mi tymczasowo do wyjaśnienia sprawy zamknąć do „kozy”.

Gdy tylko drzwi za mną z trzaskiem się zamknęły, szlochając, upadłem na podłogę i zacząłem rwać sobie włosy na głowie i lamentować.

Przed oczyma moimi w całej grozie stanął obraz mojego położenia. Przypomniało mi się, jak to jeszcze stosunkowo niedawno byłem małym chłopakiem, oczkiem matki, stojącej zawsze w mojej obronie, jak wtedy bez troski płynęło mi życie, wreszcie cheder... jeszywet... gdzie zawsze był wyróżniany jako dobry uczeń. A potem... potem... stanęła na mojej drodze kobieta... a więc *Talmud* ma słuszność, gdy mówi, że „wszystko zło pochodzi od kobiety”.

Cóż powiem im na swe usprawiedliwienie?!

Świt szary począł bielić już ściany, a ja leżałem jeszcze w swym bólu na brudnej podłodze karcu<sup>56</sup> dalekiej stacyjki nadniemeńskiej...

„Co robić!... Co robić!” — powtarzałem wciąż i nie mogłem na niczym się zatrzymać, gdyż widziałem się winnym tego, co zaszło. Jakże żałowałem teraz swego lekkomyślnego czynu i jakże daleki byłem od tej zemsty, której w ową godzinę dałem się opętać.

Zmęczony wrażeniami, bliski omdlenia, zamknąłem oczy i pogrzeżyłem się w sen, niemniej przykry niż rzeczywistość. Potworne czupiradła o groźnych pazurach i olbrzymich szczękach z zawieszonymi orderami na kosmatych cielskach, zda się, gonią mnie z wyższych piętér ponurego gmachu do lochów ciemnych i każdej chwili, już, już rozszarpać mnie gotowe...

Budzę się złany potem, zrywam się na równe nogi i w pierwszej chwili nie wiem, co jest ze mną.

Rychło jednak uświadamiam sobie, gdzie jestem. Brudem obrośnięte, sklecone z desek nary, na których mnóstwo nożem wyciętych dat i napisów, pajęczyna w kątach, pluskwy rozgniecione na ścianach. Zacząłem teraz pomału rozmyślać nad położeniem i zastanawiać się, w jaki sposób się uratować...

Wzrok mój zatrzymał się na zakratowanym oknie. Włazłem na nary i zacząłem oglądać i macać kraty. Przypomniały mi się teraz czytane opisy w książkach kryminalnych o uciezkach złodziei przez zakratowane okno. Tu jednak o tym nie mogło być mowy. Pręty żelazne były zbyt grube, bym mógł je rozgiąć rękoma, nic z narzędzi nie miałem, ażeby przepiłować, a zresztą, gdybym przystąpił do tej operacji, na pewno usłyszano by mnie. Tu wpadło mi na myśl, by spróbować przesunąć się między kratami, pręty bowiem były rozstawione dość rzadko.

I rzeczywiście, chociaż z trudnością, to jednak udało mi się precyzyjnie przesuwać głowę, lecz gdy usiłowałem przesunąć się całym ciałem, nie mogłem tego w żaden sposób skutecznie. Wtem, co to?... Słyszę zbliżające się kroki. Chcę cofnąć się w tył i... o zgrozo!... Głowa jakby napęczniała, uszy zawadzają... Nie mogę tego dokonać. Szarpnąłem raz i drugi, na ból już nie zważam, na nic... próżny wysiłek... Drzwi się otworzyły i o uszy moje odbił się szyderczy śmiech studenta...

Z nadmiaru bólu i wstydu straciłem przytomność. Po dłuższych ceregielach i szyderczych uwagach udało im się wreszcie wydobyć mnie z tej pułapki. W wyniku tego z uszu sączyła się krew, a czoło mocno było podrapane. Parę porządnych kopniaków dopełniło i tak już smutne zakończenie ucieczki.

Ach, ten wstyd!... Nikt sobie nie może wyobrazić, jak wielki jest wstyd złodzieja, gdy go złapią po raz pierwszy! Później, gdy już uchodzi za recydywistę, wstyd w daleko mniejszym odczuwa się stopniu.

Wyżej opisany wypadek był pierwszy w mojej karierze złodziejskiej, było to też pierwsze przyłapanie mnie, a więc przeżyty wstyd był tak olbrzymi, tak mnie palił, tak mocno z tego powodu cierpiałem, iż nie mogę tych uczuć opisać słowami. Trzeba to samemu

Złodziej

<sup>55</sup>wora (ros.) — złodziej. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>karc — karczer; tu: cela w areszcie. [przypis edytorski]



przeżyć, by mieć o tym dokładne wyobrażenie. Zresztą uczciwego człowieka może to mało interesować. Mając to na względzie, przejdę do opowiadania dalszych wypadków.

Po spisaniu protokołu zostałem na drugi dzień zakuty w kajdany na ręce i odstawiony do powiatu, a stamtąd już powędrowałem prościuteńko do więzienia.

Pamiętam też, jak dziś, straszny ten dla mnie dzień 15 września 1913 roku, gdy policjant prowadził mnie do więzienia. Po drodze płakałem gorzkimi łzami. Policjant, człowiek widać dobrego serca, co w policji rosyjskiej należało do wyjątków, pocieszał mnie, że mnie uwolnią i że wszystko jak najlepiej się skończy. Gdy się dowiedział, że już trzeci dzień nic nie jadłem, kupił po drodze za własne pieniądze kilka bułek i dał mi je dla zaspokojenia głodu. Czas na posiłek już był najwyższy, gdyż ledwo za sobą ciągnąłem nogi.

Nikomu z nowych opiekunów na policji nie przyszło na myśl, że chociaż przestałem być uczciwym człowiekiem, to jednak jeść jeszcze nie przestałem...

W kancelarii więziennej było pośępnie i szaro. Szaro jak w mojej duszy. Przez niskie zakratowane okno, zasłonięte wysokim parkanem, tylko skąpo przebijało światło dzienne. Na dworze było ciepło, a tu chłód tak przejmował mnie do kości, że cały drżałem. Barczysty jegomość przywołał mnie do stołu, oglądał od stóp do głowy i zaczął coś zapisywać, co chwila wydając komendę: „Stój prosto!... Podnieś łeb!... Pokaż zęby!... Pokaż palce!...”

Następnie kazał rozebrać się do koszuli. Zawahałem się. W tejsze jednak chwili poczulem, jak czyjaś silna ręka schwyciła mnie za kołnierz i odciągnęła w bok, nad uchem zabrzmiał gardłowy głos:

— *Czto, nie ponimajesz, czta tiebie skazano?*<sup>57</sup>

Był to klucznik więzienia. Obracał i wyginał mnie na wszystkie strony i nie upłynęło parę minut, jak zostałem dokładnie zrewidowany i popchnięty w stronę podejrzanego i obmacanego ubrania.

— Ubieraj się i marsz!...

Znalazłem się za drzwiami. Przeszedłem długi, ponury korytarz i stanąłem w centrali, skąd w formie krzyża rozchodziły się także ponure korytarze z licznymi obok siebie drzwiami..

— Dmoch! — zawołał mój przewodnik — *Wazmi jewo*<sup>58</sup> pod numer 93.

Zaraz też pojawił się dozorca Dmoch i obrzuciwszy mnie badawczym spojrzeniem, kazał iść przed sobą na trzecie piętro.

Tam zatrzymaliśmy się przed jednymi drzwiami, a za chwilę „fachowo” wepchnięty, znalazłem się już poza nimi w ponurej celi. Usłyszałem za sobą trzask drzwi i zgrzyt zamka. A potem nastąpiła niczym niezmacona cisza. A więc rozpocząłem inne, nieznane mi życie, życie w więzieniu...

W celi zimno było nie do wytrzymania. Przypadłem całym ciałem do ściany wilgotnego muru, slaniając się na nogach, z piersi urywało się spazmatyczne łkanie.

Jak długo to trwało, nie wiem. Pomału się uspokoiłem i zacząłem rozglądać się dokoła. Uświadomiłem sobie, w jakim strasznym znajduję się miejscu.

Zatopiłem się w rozmyślaniach nad swym losem. Strach śmiertelny mnie ogarnął. Ratunku już nie było. Biegałem z rozpaczą od ściany do ściany.

Gorzkie moje rozmyślania przerwał ruch jakiś za drzwiami. Przystanąłem w oczekiwaniu. Wtem kłapa z małego okienka w drzwiach celi opadła z hałasem i stamtąd usłyszałem: „*kipiatok!*”<sup>59</sup>

Nic z tego krzyku nie wyrozumiałem i nie ruszyłem się z miejsca. Wówczas czyjaś twarz przysunęła się do otworu i teraz wyraźnie po polsku, chociaż rosyjskim akcentem, powtórzono:

— Dawaj dzbanek na *kipiatok!*

Obejrzałem się po celi. Na półce stał około litrowy miedziany dzbanek. Ten więc podałem mu w najlepszej myśli, że otrzymam gorący napój w postaci herbaty, która mnie pokrzepi.

Za moment miałem już go z powrotem napełniony do połowy i gdy tylko kłapa się zatrasnęła, przywarłem do dzbanka ustami... Nie zdążyłem jednak przełknąć kilku kropli,

<sup>57</sup> *Czto, nie ponimajesz, czta tiebie skazano?* (ros.) — co, nie rozumiesz, co ci powiedziano? [przypis edytorski]

<sup>58</sup> *wazmi jewo* (ros.) — weź go. [przypis edytorski]

<sup>59</sup> *kipiatok* (ros.) — wrzątek. [przypis edytorski]

a już wypłułem. Była to wstrętna, ciepła woda. Odstawiłem. Czekałem czas jakiś, sądząc, iż przyniesie jeszcze suchej herbaty do zasypania i cukier. Ale gdzie tam. Wodę zupełnie ostygłą wylałem więc do kubła. Obudziło mnie uczucie głodu...

Na próżno czekałem na posiłek. Wreszcie zniecierpliwiony do ostatka zacząłem gwałtownie stukać w drzwi. Raptem kłapa opadła i w jej otworze ukazała się ta sama głowa, która ugościła mnie „kipiatkom”.

— A ty czego, j... twoja mać, walisz?

— Jeść mi się chce — krzyczałem ze zdenerwowania.

— A ha, ha — śmiał się — za piętnaście minut będzie dzwonek na spanie, a ty z jedzeniem wyjeżdżasz. Jutro rano dopiero dostaniesz.

— Jak to — próbowałem protestować — dziś nie dostałem nic więcej, jak trochę ciepłej wody.

— Widzę, że ty frajer... Zapewne po raz pierwszy siedzisz — rzekł do mnie z pogardą. — U nas jest taki porządek, że rano dają półtora funta chleba i barszcz, o dwunastej obiad, a potem o trzeciej *kipiatok*. Kto ma cukier i herbatę i do tego z domu majdan, to żyje... a kto nie ma tego, to... wachę<sup>60</sup> pije — śmiał się ze swojego dowcipu.

Widząc mój smutny wygląd, udobruchał się i wdał się ze mną w dalszą pogawędkę:

— Skąd jesteś? — zapytał. — Za co cię tutaj wtrynili, wcale nie wyglądasz na złodzieja.

Opowiedziałem mu o wszystkim.

— To źle... — mówił. — Z sześć miesiaków zadecyduje.

A widząc, że nie rozumiem go, powtórzył już bez obcych dla mnie wyrazów: Do sześciu miesięcy murowane.

Dalej wspomniał o sobie, że ma trzy lata za zabójstwo, co słysząc, mimo woli odsunąłem się od drzwi. Widząc to, uśmiechnął się:

— Nie bój się — powiada. — To zdarzyło mi się tylko raz w życiu i to przy wódce, więcej to się nie powtórzy... wołę kraść niż zabijać. A może masz co opylić? — zagadnął.

A widząc, że niedokładnie go rozumiem pośpieszył objaśnić, że jest starszym „*korydorszczykiem*”<sup>61</sup> i że to on właśnie wszystko kupuje.

— Nie, nie mam — stwierdziłem ze smutkiem — wszystko zabrali...

— Jak to — mówił — nie masz? A ubranie, skoki<sup>62</sup>, bieliznę, a sak<sup>63</sup>?... Możesz to wszystko sprzedać, a w zamian ja ci dam trochę gorsze ubranie i dopłacę pieniędzy, które się przydadzą.

— Nie, nie mam... — pośpieszyłem odrzucić propozycję.

— Zobaczmy!... Jak trochę posiedzisz, to sam poprosisz.

Coś widać jeszcze skombinował, bo zaraz też zapytał:

— Ty palisz?

— Nie, nie palę! — odrzekłem.

— Ano, to trochę dłużej potrwa... Ale przyjść do mnie musisz... nie tacy jak ty tu byli frajerzy i do mnie przyszli.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale usłyszał zbliżające się kroki dozorczy, zdążył tylko półgłosem dorzucić: „*zeks*”<sup>64</sup> przymknął kłapę. Nie zdążyłem oddalić się od drzwi, gdy usłyszałem na korytarzu gromki okrzyk:

— *Rozkryt’ krawat i... spa-a-t’! spa-at’*<sup>65</sup>!

Okrzyk ten niósł się po korytarzach jak jedno nieprzerwane echo, przenikał dalej do głębi duszy i napawał jakimś niepojętym rozdrażnieniem i rozpaczą. Później dały się słyszeć zbliżające się odgłosy otwieranych kłap, a wreszcie w moich drzwiach kłapa się otworzyła i w otwór zajrzała czyjaś twarz z nasuniętą na nos urzędową czapkę. Na moment spoczęły na mnie iskrzące oczy, za chwilę już rozległo się charakterystyczne trzaśnięcie i szum od celi mojej oddalił się.

A więc muszę iść spać głodny — pomyślałem. Łzy zakręciły mi się w oczach, ale cóż

Więzienie, Jedzenie

<sup>60</sup>*wacha* — woda. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>*korydorszczyk* (z ros.) — korytarzowy. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>*skoki* — buty. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*sak* — worek, torba. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>*zeks* — uwaga! [przypis edytorski]

<sup>65</sup>*Rozkryt’ krawat i... spa-a-t’* (ros.) — otworzyć łóżka i spać. [przypis edytorski]

Więzienie, Matka, Wyrzuty sumienia

miałem począć? Była zaledwie czwarta godzina po południu, a już kazano iść spać. Chcąc nie chcąc, zabrałem się do tej czynności. Przede wszystkim opuściłem z haka do ściany przymocowaną jedną stroną żelazną ramę z dwiema nóżkami, co właśnie nosiło miano „krawat”. Leżał tam brudny siennik i trochę słomy, także poduszka i podarty koc.

Rozebrałem się i ze wstrętem ułożyłem się na to „madejowe” łóże!

Daleko było, bym mógł zasnąć, a więc wraz z upływem myśli posępnych błądziłem oczyma po otaczających mnie nielicznych, lecz oryginalnych przedmiotach. Były to: stół żelazny i takiż stołek o dwóch nogach, przymurowany do ściany, w kącie bliżej drzwi „kibel” do naturalnych potrzeb... na ścianie półka, a na niej miska cynowa z uszkami, dalej znany już miedziany dzbanek, łyżka drewniana, a między nimi książka z przepisami więziennymi. W drugim znów kącie miednica i szmata, poza tym nic więcej... Brudne, gołe ściany i... myśli posępne... męczące... tortury.

Co ojciec powie, gdy się dowie o moim postępku?... Dobrze... stokroć dobrze, że matka już nie żyje i uniknęła wstydu i hańby po takim synu... Tak, kochana matko, twój synek rozpieszczony nie będzie ani cadykiem, ani rabinem... ba, nawet gorzej, — nie będzie już uczciwym człowiekiem... Natomiast twój syn będzie się włóczył po więzieniach. Straż pilna będzie czuwać i krążyć nad nim we dnie i nocy jak wrony około padliny. W wizji strasznej widziałem się jako jeden z tych ludzi, których z góry już natura przeznaczyła na zagładę...

Przewracałem się z boku na bok. Głód i czarne myśli nie pozwalały mi zasnąć.

Czułem, że mam gorączkę. Ubrałem się na powrót i zacząłem wędrówkę po celi.

Niedługo to jednak trwało. Otworzyła się tym razem po cichu kłapa i nocny klucznik zwrócił mi groźnie uwagę, że mam natychmiast położyć się spać. Pośpieszyłem wykonać rozkaz i położyłem się znowu do niedawno opuszczonego łóżka.

Ból głowy rozsadzał mi czaszkę. Nie mogłem uleżeć. Usiadłem więc i ścisnąwszy skronie dłońmi, zastygłem w bezruchu.

W myślach panował chaos: złodziej... dom... jeszywet... Sonia... student... głód... więzienie... matka... złodziej... złodziej... majaczyło wciąż w kółko, a ja nieświadomy byłem ich związku i kolejności.

Jak długo trwał ten stan rzeczy, trudno określić. Noc już panowała, a ja z oczyma otwartymi, gubiąc się w czasie i miejscu, leżałem skulony i drżący na swym barłogu.

Szmer jakiś podejrzany wyrwał mnie z odrętwienia. Naprężyłem słuch. Nie, to zapewne mi się zdawało. Fakt ten jednak, czy złudzenie, skierował myśli moje w innym kierunku.

Przypomniały mi się słyszane i czytane straszne przygody więźniów, ogryzionych przez szczury, kończących swój żywot w inny, niemniej haniebnym sposobem, pokutujące dusze, które długo jeszcze potem wędrują po miejscach więzienia i tortur, brzęczą kajdanami i wydają żalose westchnienia.

Dreszcz zimny mnie przeszedł, a rozgorączkowana fantazja wciąż nowe, nie dające się opisać, snuła obrazy.

Tej strasznej nocy, w murach więziennych spędzonej, do grobu już nie zapomnę! W rozpaczy zaciągnąłem derkę na głowę. Zamknąłem oczy. Cierpiałem ciałem, cierpiałem na duszy wprost męki okropne. Nareszcie wpadłem w stan odrętwienia. Wyczerpany bez miary zasnąłem.

## XXIV

Obudzony zostałem silnym szarpnięciem. Ze strachu nie mogłem się orientować, gdzie właściwie się znajduję.

Drugie szarpnięcie jeszcze silniejsze i ciągnięcie ze mnie koca doprowadziły mnie do przytomności. Nade mną stał wąsaty klucznik i mruczał coś pod nosem, czego nie rozumiałem. Domyślałem się wszakże, że mam co rychlej wstać, ubrać się i uprzątnąć celę.

Domysły były dobre, gdyż dozorca, wychodząc, zostawił otwarte drzwi, zza których doleciał mnie ruch i gwar. Za chwilę byłem już ubrany i gdy wyniosłem kibel na korytarz, moim oczom przedstawił się nieznany mi widok. Na środku korytarza stał ten sam klucznik z miną generała, przed którym defiluje wojsko i wprost ryczał to na tego, to

Więzień, Cierpienie

na owego próbującego zatrzymać się dla przemówienia słów kilku z współtowarzyszem niedoli lub doręczenia czegoś jeden drugiemu.

Patrzyłem z politowaniem na tych ludzi białych, wynędzniałych i obrośniętych, większa ich część była obdarta. Dawniejszy wstręt wpojony we mnie do tego rodzaju ludzi, zmienił się teraz we współczucie. Zrozumiałem, że pomiędzy nimi jest sporo nieszczęśliwców, podobnych do mnie, których samo życie zaprowadziło na drogę występku, a narzecie i do tych murów.

I dziwna we mnie zaszła zmiana. Ci ludzie, beznadziejnie włócząc nogami, otwarli mi oczy na nowy świat, obrócili drugą stronę medalu i włąli we mnie inne pojęcie o życiu...

Zrozumiałem, iż człowiek po to widać istnieje, by cierpieć... Od tej chwili nie reagowałem już na żadne dolegliwości. Pogodziłem się z losem, gdyż uświadomiłem sobie, że takich jak ja ludzi, a raczej ludzkich cieni, są tu setki. Zlałem się z tym morzem ludzkiego cierpienia i popłynąłem jego prądem.

Do niedawna jakże było inaczej!

Przechodząc koło więzienia, uważałem te ponure domy za doniosły dobytek kultury. Widziałem w więzieniach instytucję wysoce pożyteczną, gdzie zamykają podobnych do tych, którzy w swoim czasie dokonali napadu na nasz dom lub jeszcze większych zbrodniarzy. Byłem zupełnie tego pewny, że poza więziennymi murami... są groźni zwyrodnialcy.

A teraz... pomijając już siebie, widzę tu ludzi wyglądających zupełnie normalnie.

Inaczej sobie przedstawiałem wygląd zbrodniarzy... Wracając do opisu „uborki”<sup>66</sup>, muszę tu wspomnieć o charakterystycznych obrazach, jakie dają się często w trakcie onych czynności zanotować.

Otóż więźniowie, przebiegając z kiblami wzdłuż korytarza, załatwiali między sobą w okamgnieniu różne handlowe wymiany. Rzecz naturalna, że tytoń odgrywa rolę amerykańskiego dolara i cel pożądania palaczy.

Klucznik, spostrzegając niejedno, biega z miejsca na miejsce jak opętany, tupie nogami, krzyczy, wygania z klozetu, gdzie się zwykle tworzy centrum tej giełdy, grozi, aż wreszcie nikt już na korytarzu nie zostaje i cele są pozamykane. Taki dziesięciominutowy targ więzienny odbywał się dwa razy dziennie.

Czy trzeba mówić, iż moje pojawienie się na korytarzu zostało przez wszystkich zauważone?

Do uszu moich zaraz też dotarły podawane półgłosem między więźniami uwagi:

— Patrz, świeży frajer.

— Młody nygus, a fest ubrany...

— Beniek będzie miał co opylić...

Jeden z nich zagadnął mnie:

— Co słyhać na wolności?...

Zbierałem się dać mu stosowną odpowiedź, lecz klucznik nas zatrzymał i okazało się, że znów jestem zamknięty i oddzielony od ludzi, od świata i powietrza.

Nade wszystko głód dotkliwie męczył mnie od samego przebudzenia się. Zazdrościłem teraz tym, którzy, jak widziałem, mają znajomych i między sobą się dzielą. A mnie, pomimo że jestem tak bardzo głodny, nie ma kto pożywić. Wszystkie twarze są mi obce.

Wtem kłapa się otworzyła:

— Trzymaj — ktoś krzyknął.

To korydorszczyk Beniek podał mi śniadanie składające się z chleba i żuru.

Łapczywie się rzuciłem na otrzymany pokarm, lecz pierwszy już nagryziony kęsek chleba co prędzej wypłułem... Spojrzałem na zupę — tam po wierzchu pływały wstrętne mi wówczas skwarki — „chazer”. Wylałem więc co rychlej z wierzchu, by nawet nie patrzeć na takie zgorzenie...

Co robić... co robić?! Tak być nie może... Od trzech dni nic jeszcze nie jadłem. Krzychałem sam do siebie i do czterech ścian mego grobu. Rozpacz mnie ogarnęła. Tego wszak jeść nie mogę — medytowałem sobie — a tu ledwie na nogach się trzymam. Gorzko zacząłem płakać i beznadziejnie już tylko wołałem: Mamo... mammo!

<sup>66</sup>uborka (z ros. gwary więziennej) — czynność sprzątania wader z nieczystościami, inaczej „kiblowanie”. [przypis edytorski]

Głód wszakże był silniejszy od wszelkich talmudycznych zakazów... Wreszcie obojętny na wszystko, zwalczając siebie, zjadłem trochę chleba i resztę żuru.

Zaspokoiwszy nieco głód, rozglądałem się bacznie po celi, obejrzałem szczegółowo każdą rzecz, jakby chcąc się przekonać, czy tu da się żyć.

Następnie podszedłem do okna. Było ono wysoko. Wlazłem więc na łóżko, lecz i teraz nie sięgnąłem jeszcze o tyle, by móc wyrzeć na świat. Pragnąc wszakże to skutecznie, uchwyciłem się za ramę i po długim wysiłku wdrapałem się wyżej i usiadłem na framudze. By nie spaść, trzymałem się mocno kraty.

Słońce przywitało mnie radośnie i oblało mi twarz jasnym, ciepłym promieniem. Z błęgiego uczucia przymknąłem na chwilę oczy. Następnie wzrok mój poprzez kraty i czerwony wysoki mur strzelił hen, w daleką przestrzeń.

Z jakąś ogromną tęsknotą spoczęły moje oczy na schludnych domkach, na drzewach i polu. Wśród nich wije się droga. Ludzie po niej idą. Tam gromadka młodzieży, tu dwie kobiety i starzec... tam znowu chłop coś niesie... przy nim baba drepce.

Jakże w duchu zazdrościłem tym wolnym ludziom. Świeże powietrze, jakby wstydząc się, iż tak długo zapomniało o mnie tam, w cuchnącej jamie, teraz ożywczą falą muskało rozpalone czoło i całowało oczy... Toteż piłem je całymi haustami, piłem aż do utraty przytomności. Biedne serce biło mi silnie, jakby pragnęło wyskoczyć.

Jakiś ptak przeleciał blisko okna i odwrócił moją uwagę z dotychczasowego obiektu obserwacji. Ach!... Gdybym tak mógł wyfrunąć stąd na podobieństwo ptaka...

Wzrok mój teraz błędził w bliższej perspektywie i przebiegał z punktu na punkt. W pewnej chwili ujrzałem na podwórku więziennym niesamowity wprost dla mnie widok. Naokoło trawnika kręciło się ze dwudziestu ludzi. Każdy miał na sobie do niemożliwości wprost porwane ubranie. Jedni z nich skakali i śmiali się, inni znów płakali. Widziałem, jak z okien rzucano kawałki chleba lub cukru, a nawet i całe zawiniątka. Wówczas ten, któremu udało się to osiąść, wykrzykiwał coś niezrozumiale i odtańcowywał chaotyczny taniec, wyrażając tym swe zadowolenie. Niektórzy z tych dziwnych ludzi mieli na sobie coś w rodzaju worków z otworem dla głowy, lecz bez rękawów, by ręce były unieruchomione.

Gromadę tych nieszczęśliwych istot doglądał strażnik z bykowcem w ręku. Doglądał pilnie, gdyż co chwila komuś groziło uzbrojoną w bolesne narzędzie prawicą. Wyjątkowo zaś tylko się uśmiechał, gdy jakiś dowcipny wybryk któregoś z nich przypadł mu do gustu.

Ci grozę budzący, kręcący się wokoło spacerowicze to byli chorzy umysłowo. Widok ich tak mnie przejął i tyle mi strachu nawiał, a jednocześnie tak zajął uwagę, iż nie słyszałem „konwoja”, który krzyczał na mnie z dołu, bym zlął z okna.

Zauważyłem go dopiero wtedy, gdy już skierował w moją stronę gotowy do strzału karabin.

Skoczyłem na asfalt celi, a za mną posypały się kawałki stłuczonego szkła.

Nim się zorientowałem, co się stało, poczułem, jak czyjaś ręka uchwyciła mnie za kołnierz i jednocześnie otrzymałem uderzenia w bok. Wypchnięto mnie z celi.

Doszedłem do przytomności dopiero wtedy, gdy przedstawiony zostałem przed groźne oblicze naczelnika więzienia.

Z raportu klucznika wynikało, że zdążyłem już tu popełnić ogromne przestępstwo. Po pierwsze: włączając na okno, przekroczyłem przepisy więzienne, po wtóre: ociągałem się z wypełnieniem rozkazu, gdy mi kilkakrotnie kazano zejść, po trzecie: stukłem szybę, po czwarte — co tam zresztą składało się na dalsze punkty, nie słyszałem, gdyż rozpląkałem się głośno. Sam siebie się zląkłem, nie przypuszczałem bowiem, że jestem takim przestępcą... Zdziwiłem się nawet, że aż do tego czasu pozostawałem na wolności.

Naczelnik nakrzyczał na mnie, ile weszło, widząc, że nie reaguję, spuścił z tonu i spytał już łagodnie, czy mam pieniądze w depozycie. Gdy zaś przecząco pokręciłem głową, ponownie przybrał groźną postawę i bez dłuższego namysłu wyrzucił:

— *Siem sutok w karcer*<sup>67</sup>!

Nie wiedziałem jeszcze, co to jest za kara, zrozumiałem, iż musi to być coś bardzo okropnego. Zamierzałem więc prosić, wreszcie błagać o sfolgowanie, chciałem powiedzieć, iż po zbawcze pieniądze napiszę do ojca, że mi ich nie odmówi, lecz nim zdobyłem się na wymówienie mych myśli, groźny naczelnik już zdążył krzyknąć:

<sup>67</sup> *siem sutok w karcer* (ros.) — na siedem dni do karceru. [przypis edytorski]

— *Wziat' jowo*<sup>68</sup>!

Rozkaz ten został momentalnie wykonany. Ręka klucznika znowu spoczęła na moim kołnierzu i tą samą drogą odprowadzony i wrzucony zostałem do celi. W głowie mi wirowało.

Oparłem się o ścianę i zamarłem w bezruchu. Wokół panowała śmiertelna cisza. Znikąd nie dochodziło żadne echo. Oparty o zimny mur wsłuchiwałem się w jęki własnej duszy.

Co robić! Co robić! — szeptałem bezradnie.

„*Siem sutok w karcer... siem sutok...*” — jak natrętna osa wciąż w koło mózg mój wierciło.

Strach przed nieznanym „karcerem” był wprost nie do opisania. Wyobraźnia moja rysowała wszelkie tortury... Zacząłem się modlić...

— Boże! Boże! — wołałem — wybaw mnie stąd, a przysięgam, że wrócę do jeszywetu i nigdy już nie przekroczę Twoich przykazań. Wreszcie w rozpaczy przywoływałem śmierć, byle raz już wyzwolić się z cierpień. To znowu na przemian odmawiałem na pamięć znane mi modlitwy i psalmy.

Tak upłynęło do obiadu. Podano kapustę z kartoflami, a po wierzchu — o zgrozo! — znowu pływały skwarki. Odruchowo chciałem wylać ten przeklęty „chazer”, ale ostry głód, jaki wzbudził we mnie widok pokarmu, wstrzymał mnie od wykonania tego i ograniczyłem się na razie do wyrzucenia skwarek.

Drewnianą łyżką wyłowilem jeden kartofel i przymrużywszy oczy włożyłem go w usta. Zasmakował mi. Stopniowo więc zjadłem wszystkie kartofle, a nawet spróbowałem kapusty, tej jednak nie mogłem przełknąć, wydała mi się wstrętna.

Szczupły ten obiad dopełniłem resztkami chleba, który rano nie smakował. Nie najadłem się wprawdzie do syta, ale jednak humor mój znacznie się poprawił i wstąpiła nadzieja.

Gdyby nie ten karcer — pomyślałem — do którego lada moment mogą mnie zaprowadzić, byłoby jeszcze znośniej... Ten karcer nie dawał mi spokoju.

Gdy tak sobie medytowałem, na korytarzu powstał hałas. Usłyszałem trzask otwieranych drzwi i głośne wykrzykniki:

— *Na pragulku*<sup>69</sup>! — *Na pragulku!*

Za chwilę i moje drzwi się otworzyły. Wytknąłem głowę. Na korytarzu wzdłuż ścian ujrzałem stojących ludzi.

Byli to więźniowie śledczy. Najbliższy mój sąsiad, człowiek lat czterdziestu sześciu, z brodą do pasa i długimi włosami, od dawna widocznie nie spotykającymi się z nożycami, ubrany był w kozuch. Zauważywszy mnie, zbliżył się nieznacznie do mnie. Widząc to, mimo woli się cofnąłem, gdyż wygląd jego mnie wprost przestraszył. Pomyślałem, że to zapewne największy zbrodniarz, co widząc, tamten uśmiechnął się tylko łagodnie i zapytał, skąd jestem i za co siedzę. Kazał mi stanąć przy sobie w rzędzie, który się właśnie na środku korytarza formował.

— Dokąd idziemy? — zapytałem.

— Na podwórce, na pół godziny spaceru — pośpieszył objaśnić.

Ucieszyłem się, że przynajmniej odetchnę świeżym powietrzem. Zanim doszliśmy do drzwi wyjściowych, zdążyłem mu częściowo opowiedzieć o sobie i o sprawie, która mnie tutaj przywiodła. Dalszą rozmowę przerwała rewizja, której musieliśmy się poddać przy wyjściu na podwórko.

Tam, w odstępnie pięciu kroków jeden od drugiego, zaczęliśmy krążyć wokół trawnika. Pośrodku zaś tam i z powrotem chodził strażnik w linii prostej i dawał baczenie, by więźniowie między sobą nie rozmawiali lub nie podawali jeden drugiemu jakichś przedmiotów.

Mój nowy znajomy, nawiązując do przerwanej rozmowy, udzielił mi na wstępie kilku cennych, wskazówek, jak się mam zachowywać, by nie zwrócić na siebie uwagi strażnika, a potem zapytał, co słychać na wolności.

<sup>68</sup> *Wziat' jowo* (ros.) — zabrać go. [przypis edytorski]

<sup>69</sup> *na pragulku* (ros.) — na spacer. [przypis edytorski]

Uczeń ze mnie był pojętny, gdyż kontynuowałem rozmowę jak stary aresztant. Mówiłem tylko wtedy, gdy strażnik obrócony był tyłem do nas lub tak maskowałem poruszenia ust i tak zachowywałem się, jakbym w ogóle nie miał języka w gębie.

Zrobiliśmy kilka okrażeń. Swoją drogą, dowiedziałem się, iż mój sąsiad jest adwokatem S. L., że ma sprawę polityczną i że siedzi już trzy lata w śledztwie.

Słyszając to, dziwiłem się w duchu, jak to jest możliwe, by będąc adwokatem, przesiedzieć aż trzy lata w śledztwie, i czy w ogóle jest możliwe, by człowiek mógł siedzieć aż trzy lata. Nie zapytałem jednak o przyczynę, gdyż zaraz potem znów rozmowa przeskoczyła na moją osobę.

Radził mi napisać do ojca. Twierdził, iż mogę odpowiadać z wolnej stopy, a w ten sposób aż do rozprawy mogę mieć wolność za kaucją lub za porękę. Mówił, że sędziemu śledczemu mam wszystko opowiedzieć od a do zet, nic nie skrywać.

Rad tych wysłuchałem z wielką uwagą. Postanowiłem się do nich ściśle zastosować. Lżej mi się zrobiło na sercu. Wstąpiła we mnie nadzieja. Przypomniał mi się „karcer”. Pośpieszyłem więc mu opowiedzieć o całym zajściu, o karze siedmiu dni i zapytałem też, co to takiego.

Nachmurzył się, gdy mu to opowiadałem, z ust jego słyszałem jakieś przekleństwo pod adresem naczalstwa i Moskalów, a wreszcie, gdy skończyłem, powiedział mi, żebym wieczorem zameldował, że on, S. L., adwokat, zapłaci za mnie 50 kopiejek za potłuczenie szyby.

— A więc nie pójde do karceru!

Nie wiedziałem, jak mam dziękować swemu dobroczyńcy. Wyrazy podziękowań bez związku popłynęły z ust moich, gotów byłem rzucić mu się na szyję i uściskać go.

Tak się zapomniałem, że nawet nie zauważyłem, jak strażnik dłuższą już chwilę mnie obserwuje. Kazał przystanąć. A gdy wszyscy mnie ominęli wówczas dał znak, bym szedł za nimi. Tym sposobem zostałem rozłączony ze swym przyjacielem.

Zawiązana wszakże przyjaźń nie wygasa. Po powrocie ze spaceru załadował pakunek i przesłał mi go. Był to funt cukru, herbata i biały chleb z masłem. Rzuciłem się na to z wilczą żarłocznością.

Gdy się najadłem, humor mój całkiem się już poprawił. Spróbowałem nawet gwizdnąć. Jacy to dobrzy ludzie siedzą w więzieniu — pomyślałem o swym znajomym. Żal mi było tego człowieka.

I pomyśleć tylko, że to jest goj... Raz na zawsze postanowiłem wyrwać z siebie wpojone w dzieciństwie pod tym względem pojęcie... Zrozumiałem, że byłem oszukiwany.

W celi więziennej każdy umysł, choćby to był istny typ lombrozowski<sup>70</sup>, jest skłonny do filozofowania. Ulegając temu prawu, oddałem się rozmyśleniom. Zastanowiłem się nad wieloma rzeczami, które mi przedtem nawet na myśl nie przychodziły. Świat, na który tam, na wolności, patrzyłem oczyma niedoświadczonego młodzieńca tu, w celi więziennej, zaczął przyjmować inne barwy i formy.

A co dziwniejsze, moje obecne życie, w więzieniu zaczęło mnie pociągać swą tajemniczością. Dochodziłem do przekonania, że życie w więzieniu na też swój urok. Zmieniły się też pojęcia i zapatrywania i w innym kierunku. Na przykład: słowo „złodziej”, gdzie bądź słyszane, wywoływało we mnie przedstawienie bardzo strasznego człowieka. Właściwie nie potrafiłem sobie tego wytłumaczyć, w każdym bądź razie byłem zdania, że takiego człowieka mógłbym rozróżnić spośród tysiąca innych. Teraz już zupełnie inaczej o tym myślałem. Czy dlatego, że sam nim byłem?

Rozmyślenia moje zostały przerwane otworzeniem się klapy.

— *Dzierży*<sup>71</sup>! — rozległo się.

Podsłoczyłem ku drzwiom. To korydorszczyk podawał mi dzbanek i garnuszek i kazał prędko opróżnić naczynie. Przysłał mi to wszystko mój sąsiad, otrzymywał on co dzień z wolności obiady, a więc i o mnie nie zapomniał.

Zwróciłem naczynie i prosiłem, by podziękował w moim imieniu.

<sup>70</sup>typ *lombrozowski* — osoba wyglądająca jak degenerat. Określenie to pochodzi od doktryny włoskiego lekarza i kryminologa Cesare Lombroso. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>*dzierży* (ros.) — trzymaj. [przypis edytorski]

— *Charaszo, skązu*<sup>72</sup> — powiedział z tajemniczą miną i oddalił się. Za chwilę wrócił wszakże i zapytał, czy pałę.

— Nie — powiedziałem. — Nie pałę.

Bardzo mnie z tego powodu żałował. Po raz drugi doznając z tej strony zawodu, korydorszczyk podrapał się za uchem i już bez dłuższych komentarzy przystąpił do rzeczy. Dał mi mianowicie do zrozumienia, że wszystko mi załatwi, jeżeli mu oddam swoją bieliznę i skoki. Zanim skończył swe wywody, już mu podawałem pożądane przedmioty. Był zadowolony.

Po jakimś czasie przyniósł mi w zamian podarte trzewiki i czerwoną koszulę. Włożyłem je ze wstrętem, ale cóż miałem robić? Mój los w jego rękach — pomyślałem. Korydorszczyk w mojej wyobraźni wydawał się osobą tak wpływową i tak wiele znaczącą, iż sądziłem, że od niego nawet zależy moja wolność.

Od chwili załatwienia tego interesu korydorszczyk okazywał mi szczególniejsze współczucie. Co parę minut zaglądał do mnie i zaszczycał swą rozmową. W moim położeniu było i to coś warte.

Nie poprzestając na tym, przyniósł mi także kilka porcji „byki”<sup>73</sup>. Tych jednak nie przyjąłem, tłumacząc, iż mięsa takiego nie wolno mi jeść. Śmiał się z moich wywodów i twierdził, że gdy dłużej tu posiedzę, przyzwyczaję się do „byki”, a nawet i do skwarków.

Prorokowanie to rzeczywiście wkrótce się sprawdziło. Upłynął tydzień, a ja już jadłem „byki” bez żadnych skrupułów. W parę zaś dni później, gdy się przekonałem, że po spożyciu zakazanego mięsa nic złego mi się nie stało, nabrałem odwagi i zacząłem jeść skwarki.

Byłem już starym aresztantem.

Nauczyłem się też pukać w ścianę do sąsiada i doskonale to urozmaicało monotonię płynące życie więzienne i czyniło je znośnym. Przyjaciół mój też o mnie pamiętał, czasami wydzielał część swego obiadu i przysyłał przez korydorszczyka. Czyż trzeba mówić, jak wielką sympatią obdarzyłem tego człowieka? W te najgorsze dla mnie dni okazał tyle dobroci i serca, iż wdzięczność dla niego noszę w duszy nawet dzisiaj, po wielu latach, gdy nie wiem nawet, czy żyje on jeszcze, nosić też ją będę do samej śmierci. On bowiem jedyny poratował mnie w najkrytyczniejszym czasie. Nie wiem, czy bez niego przeżyłbym to nieszczęście.

Droga mego życia i później szła nieraz przez manowce i dużo gorzkich chwil przeżyłem, miałem też czasem przyjaciół, jednak ci następni chyba nie byli tak szczerzy lub być może cierpienie nie takie już wywierało na mnie wrażenie, albowiem pamięć o nich częściowo już się zatarła i rzadko tylko ich obrazy przed oczyma przepłyną.

„Dużo daje, kto w czas daje”.

## XXV

Od owej pamiętnej dla mnie strasznej nocy upłynęło kilka tygodni. Był już październik. W celi było tak zimno, iż zapewne pies urwałby się z łańcucha, gdyby go tutaj przywiązano.

Przytuliłem się do dwóch rur w kącie celi służących za piec, lecz były one chłodne i nic nie grzały. Smutny, zgorzkniały, po raz setny zacząłem rozważać swe oplakane położenie.

Siedzę oto głodny, obdarty... W ślad za trzewikami i bielizną rychło też powędrowała i reszta do wszechwładnego korydorszczyka. W zamiaru za to otrzymałem łachy.

Byłem pewny, że to wszystko było dziełem klucznika i że on był głównym kupcem. Gdy bowiem korydorszczyk miał coś do załatwienia, to drzwi mojej celi, jakby przez zapomnienie pozostawiały czas pewien otwarte.

Najbardziej dotknęło mnie wywiezienie mojego przyjaciela. Był moim sąsiadem zaledwie trzy tygodnie. Gdy zapytywałem o niego korydorszczyka, to powiedział mi, że wywieziono go w głąb Rosji i że go zapewne powieszają. Żał mi się go zrobiło nie do opisania. Modliłem się za niego.

Nareszcie przy końcu października, pewnego popołudnia zostałem zawezwany do sądziego śledczego. Wiedziałem już, że jest to człowiek bardzo zły, toteż gdy szedłem po korytarzu, byłem w wielkim strachu, gdy zaś przed nim stanąłem, cały drżałem.

<sup>72</sup>*charaszo, skązu* (ros.) — dobrze, powiem. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>*byka* — porcja mięsa więziennego, twardego jak drzewo. [przypis edytorski]



Bez dłuższych wstępów rozpoczęło się męczące dla mnie badanie. Z płaczem opowiadałem, jak to było owej nocy. O romansie wszakże, jako łownym powodzie mej kradzieży, nie wspomniałem ani słowa. Miałem już tyle rozumu, że oszczędziłem jej wstydu. Uczucie miłości, które pomimo wszystko nie wygasło w moim sercu dla Soni, też wielce się ku temu przyczyniło.

Po skończonym badaniu zapytał mnie sędzia, czy mam kogo, kto by złożył dwieście rubli kaucji.

— Tak, mam ojca — odpowiedziałem.

Kazał mi napisać do domu i powiadomić o jego decyzji, to jest, iż po położeniu tych pieniędzy zostanę zwolniony. Następnie zostałem z powrotem zaprowadzony do celi. Przez całą noc nie mogłem zasnąć. Zamiast cieszyć się nadzieją odzyskania wolności, przeciwnie... jakiś nieograniczony ogarnął mnie smutek.

Dzień za dniem przesuwiał się w mojej pamięci, poczynając od wypadku, gdy uciekłem z domu, aż do chwili obecnej. Zauważyłem w sobie wielkie zmiany, zmiany na gorsze: powierzchownie wyglądałem jak oberwaniec, fizycznie zmizerniałem. Wątle już w sobie czułem siły, w duszy jeszcze gorsze otworzyły się szczyby, wola osłabła, lenistwu się poddałem, w modlitwie nawet zaniedbałem się, usta moje już nie wymawiały słów modlitwy tak często niegdyś powtarzanych, a które przynosiły mi pociechę i ukojenie.

Słaby duch mój splątany był brudnymi myślami i wyrwać się z tych sieci nie byłem zdolny. Gorzko płakałem nad swym upadkiem.

Nazajutrz wstałem chory i pełen apatii. Po śniadaniu otrzymałem papier na list. Był to dla mnie ciężki moment. Dotychczas bowiem nie pisałem do ojca. Mówiłem sobie, iż wolę umrzeć niż powiadomić go o swym upadku. Teraz jednak, gdy przyszło do rzeczy, gdy rozumiałem, iż od niego zależy moja wolność, zdecydowałem się napisać.

Obszerny mój list był cały zalany łzami. Pozwolili mi go napisać po żydowsku. W ocen-zurowaniu bowiem nie było kłopotu — sędzia śledczy był przechrztą. Po drugie, sądzono zapewne, że mogę napisać coś takiego, co jeszcze być może zataiłem w śledztwie.

Po upływie tygodnia od wysłania listu, zacząłem się niepokoić. Po całych dniach stawałem przy drzwiach, nasłuchując pilnie, czy nie zawołają mnie na wolność. Gdy tylko wywołano jakie bądź nazwisko, zaraz myślałem, że to już mnie wołają. Doszło do tego, iż nawet po nocach się zrywałem i podbiegałem do drzwi. Znów zaczęły nawiedzać mnie we śnie straszne zjawy. Matkę zaś śniłem noc w noc. Prawie zawsze przedstawiało mi się, że stoi nade mną i płacze, a gdy ze strachu przebudzałem się, długo nie mogłem dojść do świadomości, gdzie się znajduję i co ze mną się dzieje.

Coraz częściej nadchodziło zwątpienie, czy ojciec w ogóle zainteresuje się moim losem.

A gdy nawet i wyratuje mnie stąd — myślałem — to jak przeżyję wstyd przed ojcem, a następnie co powiedzą ludzie, gdy się dowiedzą, że ten, który miał zostać rabinem, został... złodziejem?

W duchu już żałowałem, że napisałem do ojca. A wcale mi na myśl nie przyszło, że i bez mego listu ojciec po moim zaarrestowaniu został wezwany na policję i że już całe miasteczko o niczym innym nie mówi, jak o moim upadku.

Ach, te wyrzuty sumienia... jakże one straszne, gdy człowiek jeszcze jest zdolny je odczuwać, a szlachetne uczucia niezupełnie wygasły.

Myślałem też o tym, jakie będzie to spotkanie się z ojcem. Pamiętam dobrze, iż gdy wracałem z jeszywetu, to nawet wówczas nie okazywał zbytnej radości, a cóż dopiero, gdy wrócę z więzienia...

Zapomniałem teraz o sobie. Widziałem tylko jego ból i żal. A potem jego gniew. Znałem, jak straszny jest gniew ojca, pomimo że na takiego nie wyglądał.

Pragnąłem wolności, a zarazem instynktownie jej się obawiałem. Przeczuwałem, że od chwili, gdy przekroczę progi więzienia, jakieś fatum będzie mnie prześladować i że czeka mnie straszny los.

Ach, te przeczucia... Już wówczas miałem wrażenie, że jestem jedynym z tych ludzi, którzy przez jakieś siły wyższe z góry są skazani na ciągłe nieszczęścia i zagładę.

Miałem powody tak myśleć. Na przykład tak wczesna śmierć matki. Gdyby ona żyła, kto wie, czy bym doszedł do takiej ruiny. Jeden ten wypadek pociągnął inne, coraz to gorsze w swoich skutkach. I tak przez szereg długich lat.

Te słowa na przykład piszę, siedząc nie w wygodnym fotelu lub krześle, nie w pokoju według własnego smaku urządzonym, ani w ogrodzie, czy też na łonie przyrody, gdzieś w lesie lub nad rzeką... nie, piszę je, znajdując się w domu „rozmyślań”, w domu, w którym właściwie człowiekowi wszystko odebrane oprócz rozkoszy, nie... oprócz męki myślenia, to jest tego, czego już właściwie odebrać nie jest w stanie żaden najbardziej wyrafinowany system pozbawienia człowieka darów danych mu przez naturę.

Gdy teraz zaczynam kontrolować w myślach swoją przeszłość i odgrzebywać sceny z mojego dzieciństwa, bądź też z lat młodości, sam się dziwię, jak będąc wychowany w atmosferze bądź co bądź moralnej, gdzie siódme Boskie przykazanie było ściśle przestrzegane, mogłem stać się tym, kim jestem...

Sam nie wiem, w jaki sposób zostałem podłym zbrodniarzem, za którego się obecnie sam uważam, pomimo że do dnia dzisiejszego szlachetniejsze porywy we mnie nie wygasły. Ach życie! Życie!... Jaki gorzki jest napój w kielichu, który dla mnie przeznaczono i zapewne nie pofolguje los, aż nie wypiję go do dna.

Zresztą dość tej filozofii. Na czym to ja się zatrzymałem? Aha! Czekałem na zwolnienie, którego się i doczekałem.

Jeden z dni wytężonego oczekiwania i kolejno następującego po nim zwątpienia stałem u drzwi swej celi. Nagle usłyszałem wywołanie mojego nazwiska. Zelektryzowało mnie. Sądziłem, że się przesłyszałem. Wszak przez ten ostatni tydzień stale mi się wydawało, że wywołują moje nazwisko. Ale nie, po raz drugi dokładnie już usłyszałem, że mnie wołają.

Serce z radości o mało nie wyskoczyło. Wolność! — huczało w uszach. Więc za chwilę mnie tutaj nie będzie. Ostatnim spojrzeniem objąłem swój grób z mocnym postanowieniem, że już nigdy, przenigdy tutaj nie wrócę...

Nawet mi na myśl nie przyszło, że w podobnych grobach nie tylko tygodnie, ale długie lata... ba, połowę swego życia będę przechowywany...

Usłyszałem wyraźnie zbliżające się kroki. Wstrzymałem oddech. Nie, nie mylę się. Zatrzymały się u moich drzwi. Odskoczyłem ku oknu. Zgrzytnął klucz i... w progu ukazał się klucznik.

— *Zabrać wsio swojo*<sup>74</sup> i marsz! — zarecytował. — *Skoryje*<sup>75</sup>! — krzyknął, widząc, że się nie ruszam z miejsca. Spróbowałem go jeszcze spytać, czy to na wolność.

— *Nie znaju*<sup>76</sup> — odparł.

Zrozumiałem, że tak jest, gdyż następnie odebrali ode mnie więzienną bieliznę z workowego płótna.

Już wtedy zauważyłem, że dozorczy więzienni niechętnie wypuszczają swoich wychowanków. W późniejszym czasie jeszcze bardziej utwierdziłem się w tym przekonaniu.

Zaprowadzono mnie do kancelarii. Tam mocno się przeląknę, gdyż oddano mnie w ręce konwoja. Ten pośpieszył mi oznajmić, że idziemy do policmajstra. Gdy go także zapytałem, czy zostanę zwolniony, otrzymałem znowu odpowiedź: „*nie znaju*”.

W mej głowie znowu różne wirowały myśli. Nie umiałem sobie tego wytłumaczyć. Do po-lic-maj-str! — powtarzałem. Ten wyraz nic nie wyjaśnił. Co to za jeden być może ten policmajster?

Wszelkie przypuszczenia kotłowały się wówczas w mojej „frajerskiej” głowie. Nieobeznany jeszcze byłem z aparatem sprawiedliwości.

Po drodze rozglądałem się po ludziach, swobodnie kroczących chodnikami. Radowała mnie myśl, że znów będę należał do tych wolnych ludzi, rozporządzających sobą według własnej woli i upodobania. Znów będę jadał w domu smaczne, koszerne potrawy, których prawie dwa miesiące byłem pozbawiony. Tu dopiero pomyślałem o swym ubiorze.

Wyglądałem strasznie. Miałem na sobie jakieś tranty<sup>77</sup>. Buty podarte, posklejane z licznych kawałków. Gdybym przynajmniej miał swój płaszcz. Ale i ten zabrał Beniek za sto trzydzieści kawałków cukru. Gorzałem ze wstydu. Ale cóż robić?

<sup>74</sup>*Zabrać wsio swojo* (zniekształcony ros.) — zabrać wszystko swoje. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>*Skoryje* (ros.) — szybko. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>*Nie znaju* (ros.) — nie wiem. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>*tranty* — lachmany. [przypis edytorski]

Po przejściu szeregu ulic byliśmy u celu. Był to obszerny budynek, siedziba policmajstra i urzędów. Zostałem wprowadzony do pokoiku na drugim piętrze. A za chwilę wprowadzono mnie do pokoju policmajstra.

Gdy tylko wszedłem, stanąłem jak wryty, przy stole policmajstra siedział mój ojciec. Ani spojrzął w moją stronę. Nie wiedziałem, co robić. Stałem tak chwilę, a jak mi się zdawało, wieczność całą, wreszcie pierwszy przemówił policmajster. Nie zrozumiałem nawet co, gdyż w tym momencie zatrzymało się na mnie spojrzenie ojca. Było to spojrzenie przesywające swą mocą, unicestwiający mnie w proch. Z twarzy jego pełnej pogardy wyczytałem okrutny, potępiający wyrok. Takiego wyrazu twarzy u niego jeszcze nigdy nie widziałem, nawet w największym gniewie. Nie zapomnę go też do grobu. Z głośnym szlochaniem rzuciłem mu się do nóg. Odepchnął mnie tylko nogą jak bezdomnego psa i obojętnie nadal rozmawiał z policmajstrem.

Dziwnym trafem okoliczności ojciec dobrze się z nim znał. To też było powodem, iż policmajster zaszczylił mnie swą uwagą i teraz wobec ojca zaczął mnie strofować, że wstydi robię ojcu i całej rodzinie, że nawet on się wstydzi za ojca itd.

— *Takoj perjadocznyj czelowiek*<sup>78</sup> — mówił, wskazując na ojca — *a tut takoj syn*<sup>79</sup>. Tu radził ojcu, że o ile nie poprawię się, to niech mnie odda do poprawczego domu. Ojciec pogrążony we własnych myślach nie odpowiedział. Policmajster więc ciągnął dalej:

— Jeśli tak dalsze budiesz wiesti siebia, nasz car styditsja budiet toboj i na wojennuju służbu nie wozmiot!<sup>80</sup>

Jeszcze dużo innych moskiewskich moralów prawil, nie słyszałem ich wprawdzie dostatecznie, gdyż cały czas płakałem.

Po godzinnej rozmowie policmajster pożegnał się z ojcem po przyjacielsku, a mnie pogroził, mówiąc, iż głupstwo, które zrobiłem, ojca dużo kosztuje...

Słyszałem, jak jeszcze na odchodnym powiedział, że postara się całą tę sprawę zatuszować.

Po drodze do stacji kolejowej ojciec zaprowadził mnie do sklepu z ubraniami. Tam polecił mnie ubrać od stóp do głowy. Sam zaś wyszedł. Wychodząc, zwrócił kupcowi uwagę, by na mnie miał baczenie, gdyż mogę jeszcze coś ukraść. Słyszając to, zapłonąłem od wstydu. Rychło też wrócił z powrotem. Gdy uregulował rachunek, byłem już blisko drzwi, aby jak najprędzej opuścić to miejsce, gdzie wiedzą, kim jestem.

Ojciec, widząc moje chęci, postanowił tym głębiej mnie zawstydzić. W tym celu opowiedział wszystko najgorsze, co było mu wiadome. Obecnych było sporo, przyglądali mi się ciekawie, cmokali wargami, kiwali głowami, czynili te lub inne uwagi. A starsza kobieta, jak widać właścicielka sklepu, zaczęła mi prawić morały. Potem zaś pocieszyła ojca, mówiąc, że jestem młody, więc głupi i że się na pewno później poprawię.

Za zdemaskowanie przed obcymi ludźmi poczułem do ojca ogromny żal. Zdawało mi się, że na całym świecie nie mam nad ojca większego wroga... Już teraz strzeliła do głowy myśl, by uciec jak najprędzej od domu, choćby na kraniec świata i być panem siebie.

Podpadło mi wszakże, że aby plan ten urzeczywistnić, potrzeba pieniędzy. Myśl zrazu nieśmiała, potem coraz uporczywiej zaczęła kielkować, że pieniądze te trzeba zdobyć przez kradzież u ojca.

I im byłem bliżej domu, tym wyraźniej dojrzewało we mnie to postanowienie. Chodziło tylko o obmyślenie szczegółów.

Drogę powrotną odbyliśmy pociągiem. Każda z najmniejszych stacji przysparzała coraz liczniejszych znajomych ojca, mnie zaś coraz więcej wstydu i upokorzenia. Ojciec bowiem, jakby się uwziął na mnie, każdemu opowiadał o moim występku. Sam się dziwiłem temu gadulstwu, albowiem ojciec był z natury małomówny.

Siedziałem przy nim jak na żarzących się węglach. Gdybym się go nie bał, dawno bym uciekł, rezygnując nawet z okradzenia go. Bo i pomyśleć tylko, co za tortury musiałem przeżyć, słuchając, jak każdemu z osobna prawil o nieszczęściu, które go z mojej przyczyny spotkało.

Wskazując na mnie palcem, prawil:

<sup>78</sup>*takoj perjadocznyj czelowiek* (ros.) — taki porządny człowiek. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>*a tut takoj syn* (ros.) — a tu taki syn. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>*Jeśli tak dalsze budiesz wiesti siebia...* (ros.) — jeśli i dalej będziesz tak postępował, nasz car będzie się ciebie wstydził i do wojskowej służby nie weźmie. [przypis edytorski]

— Skąd to się u niego wzięło? Matka nie była złodziejką. W całej rodzinie nie ma nawet takiego, który by stał przed sądem. A tu naraz masz tobie... mój syn złodziejem... tfu!

W tym miejscu kilkakrotnie powtarzanej historii zwykle spluwał na podłogę i rzucał na mnie pełen nienawiści wzrok.

W przedziale, łatwo zrozumieć, prócz znajomych byli też ludzie obcy. Ci, gdy ojciec opowiadał, patrzyli na mnie, jakbym zamordował co najmniej stu ludzi, a drugie tyle jeszcze miał zamiar zamordować.

W końcu drogi byłem bliski omdlenia. Było mi gorąco i duszno. Z trudnością oddychałem, tak mi to wszystko było nieznośne, iż w duchu prosiłem Boga o jakiś cud, chociażby miała to być kolejowa katastrofa. Zdawało mi się, że wszyscy ludzie są moimi wrogami.

Tej drogi z więzienia do domu pod czułą opieką ojca zapewne już nigdy nie zapomnę. Tyle wstydu nigdy jeszcze ani przedtem, ani potem nie przeżyłem.

A i zaprawdę byłem wtedy jeszcze zdolny się wstydzić... W późniejszym życiu w coraz mniejszym pojawiała się to stopniu.

Tak, tak... biedny mój ojciec zapewne sądził, że w ten sposób obrzydzi mi występne życie. Taktyka ta wszakże minęła się z celem i raczej przyspieszyła zrzucenie losu.

Życie w domu po tym, co zaszło, przedstawiało się dla mnie nie do pozazdroszczenia. Więzienie wobec tego, co mnie czekało, było niczym. Teraz dopiero zaczęło się dla mnie piekło — myślałem.

Nie zapomniałem też i o karze cielesnej, która mnie, jak byłem pewny, nie ominie. Dreszcz mnie po skórze przeszedł na samo wspomnienie o gniewie ojca.

Wobec takiego położenia, czyż trzeba się dziwić, w jakim kierunku popłynęły moje myśli? Niekoniecznie trzeba być tchórzem, by się bać takiej sytuacji, w jakiej ja się wówczas znajdowałem.

W tak gorzkich rozmyślaniach przyjechałem do domu.

## XXVI

Każdy patrzył tu na mnie jak na wilka. Na ulicy wytykano mnie palcami. W miasteczku zaraz po moim przybyciu zawrzało jak w ulu. Różni znajomi pod pretekstem jakiego bądź interesu, często gęsto zaglądali do nas, byle tylko mnie oglądać. Ojciec przyjął za zasadę każdemu z osobna opowiadać o swoim nieszczęściu. Co gorsze, w domu pilnowano mnie na każdym kroku, bym czego — jak oni mówili — nie ściągnął. Przy wspólnym stole do obiadu zabronili mi siadać, gdyż tak postanowił ojciec.

— Nie chcę go widzieć na oczy — mówił.

Spżywałem więc mój posiłek w kuchni. Macochy, pomimo iż starała się być dla mnie dobra, nienawidziłem. Zresztą przyczyny tego nie zdołałem wytłumaczyć. Nieprzyjazne względem niej uczucie powstało samorzutnie. Ta obca mi kobieta zajęła miejsce ubóstwianej matki — tu chyba trzeba szukać początku.

Brat i siostra patrzyli na mnie, jakby wątpili, czy rzeczywiście ja jestem ich rodzonym bratem.

Począłem stronić od wszystkich. Większą część dnia spędzałem sam. Lubilem jeszcze też zachodzić do pokoju, gdzie leżała mała siostrzyczka. Tam, przy jej kolebce spędzałem nieraz po kilka godzin. Kochałem ją całą pełnią braterskiego uczucia. Ta bowiem jedna nie umiała jeszcze nienawidzić.

Na mieście zupełnie się nie pokazywałem ze wstydu. Dawni moi koledzy stronili ode mnie. Życie takie stawało się nieznośne. Toteż coraz częściej zastanawiałem się nad tym, jakby tu co ukraść i uciec. Lecz mieli mnie zawsze na oku.

Pewnego dnia zauważyłem, jak mi się zdawało, że nie zwracano na mnie uwagi, po cichutku prześlizgnąłem się do pokoju, gdzie w komodzie zwykle były przechowywane pieniądze.

Zanim wszakże tam zdążyłem wejść, głuchoniema służąca takiego narobiła hałasu, iż musiałem co rychlej zniknąć. Nie przypuszczałem, że nawet ona jest zdolna do sprawowania nade mną nadzoru.

Upłynęło kilka tygodni. Ojciec po dawnemu był dla mnie nieprzejednany.

Postanowienie zrealizowania kradzieży i ucieczki coraz bardziej się we mnie potęgowało. O niczym innym nie myślałem. Czekałem tylko sposobności, wreszcie pewnej soboty postanowiłem ponownie spróbować szczęścia.

Wybrałem sobotę, gdyż wiedziałem, iż w ten dzień ojciec nie nosi przy sobie pieniędzy. W tym zaś wypadku miałem jeszcze i tym ułatwioną orientację, iż w piątek wieczorem udało mi się podejrzeć, jak ojciec, przebierając się, wsunął portfel pod materac.

— Teraz albo nigdy — pomyślałem.

Gdy tylko ojciec wyszedł, nie tracąc ani chwili, wsmyknąłem się do sypialni. Wyciągnąłem z kryjówki portfel. Tak był wypchany, iż ojciec wiązał go nawet sznurkiem. Powziąłem zamiar, by tylko część z tych pieniędzy sobie przywłaszczyć. W tym celu zabrałem się do rozwiązywania sznurka. Wtem usłyszałem czyjeś kroki. Schowałem portfel pod marynarkę i skierowałem się ku drzwiom. Zetknąłem się w nich z głuchoniemą służącą. Narobiła znów takiego hałasu, iż co rychlej rzuciłem się do ucieczki w stronę drzwi wiodących na ulicę. Lecz o zgrozo! Te same się otworzyły i stanął w nich ojciec.

Ojciec wybierał się do bóżnicy, lecz chwilę zabawił przed domem. Słyszac zaś krzyk służącej, pospieszył do wnętrza i mnie właśnie przydybał na gorącym uczynku.

— Co tam masz? — zapytał.

I nie czekając na odpowiedź, sięgnął za marynarkę i wyciągnął portfel. Widząc obiekt mej kradzieży, zbladł. Wreszcie chwycił mnie drugą ręką za kołnierz i unosząc w powietrze, wniósł w głąb mieszkania. Tu cisnął na podłogę i oddychając ciężko, stał dłuższą chwilę nade mną, milczący i groźny, jakby namyślając, się, czy już ma mnie stratować jak robaka. Leżałem skulony u nóg jego, nie śmiąc się ruszyć. Wszyscy domownicy skupili się wokół i nie śmieli przerwać tej złowrogiej ciszy. Nareszcie ojciec, chwytając się za głowę, odzywa się do macochy:

— Patrz — mówił, wskazując na portfel. — O Boże, zgubiłby nas na wieki! Ja go zabiję! — krzyczał i rzucił się na mnie.

W tym jednak momencie stanęła między ojcem a mną macocha. Zaczęła mu perswadować. Ja ze swej strony zebrałem się na odwagę i zacząłem się tłumaczyć, że chciałem wyjąć tylko kilka rubli, a resztę odłożyć. Nic nie pomogło.

Ojciec był święcie przekonany, że chciałem go zgubić przez kradzież całej zawartości portfela, a więc dziesięciu tysięcy rubli, które przygotował na wykupienie kilku wagonów cukru i mąki.

Między mną a ojcem stanęła ściana raz na zawsze nie do przebycia.

Skończyło się na tym, że ojciec mnie tak obił, że kilka dni kurowałem się w łóżku. Był nawet doktor zawezwany. Słyszałem, jak ten wyrzucał ojcu:

— Jak można tak skatować dziecko...!

Groził nawet, że gdy to się powtórzy, wytoczy ojcu sprawę.

Ojciec usprawiedliwiał się uniesieniem. Wszak kradzież tych pieniędzy groziła mu ruiną, coż więc dziwnego, że się zapomniał.

— Zresztą diabli go nie wezmą — zawyrokował.

W końcu, chcąc raz skończyć przykrą dla niego rozmowę, odpalił:

— Jak ma być złodziejem, to wolę widzieć go w grobie...

Po tym zdarzeniu w miasteczku znów zawrzało jak w ulu. Nowina ta była niepowszednia. Każdy tłumaczył to na swój sposób. Większość mnie potępiała. Byli wszakże i tacy, co mi współczuli. Mówili: „Biedny sierota, ojciec, mając młodą żonę, chce się pozbyć dzieci”.

Znalazł się nawet śmiałek, który powtórzył to ojcu w oczy. Nie zdążył tego jednak dokończyć, bo już został wyrzucony za drzwi.

Co do mnie, to w ogóle nie rozumiałem, co się z ojcem dzieje... Ten człowiek herculesowej siły, zwykle łagodny i potulny, nigdy tak się nie unosił jak teraz. Pomimo wszystko, czasem żał mi było ojca. Bunt się jednocześnie we mnie rodził z powodu tej zmiany. Więc wszystko zło przypisywałem zawsze uśmiechniętej, pięknej macosze. Jej widok mimo woli wywoływał we mnie drgania nerwów, nieprzychylny skurcz twarzy. Czułem instynktownie, że ta kobieta mnie nienawidzi, chociaż nie daje tego po sobie poznać. Możliwe, że zbyt srogo ją osądziłem. Straciłem matkę! Przez tę zaś kobietę miłość ojca.

W owym czasie ojciec budował nowy, murowany dom. Zaniechałem swych planów. Myśli zwróciłem w innym kierunku. Postanowiłem zdobyć zaufanie ojca. Staralem się być użyteczny.

Będąc fizycznie silnie zbudowany, wziąłem się do pracy. Pomagałem przy budowie. Wozilem cegły, dźwigałem ciężary, kopałem.

By wykazać poprawę i skruchę, uczęszczałem na nabożeństwa. W sobotę zaraz po obiedzie zabierałem się do bóżnicy. Tam zagłębiałem się w *Talmudzie*, dla pozorów wszakże... W rzeczywistości zaś na wzór dawnej nauki w jeszywecie chowałem w *Talmudzie* jaką bądź książkę beletrystyczną lub inną. I wtedy tylko zaprzestawałem tej lektury i zaczynałem śpiewnym głosem recytować ustępy świętej księgi, gdy wierni zaczynali się zbierać na przedwieczorną modlitwę.

Przychodził i ojciec. Spostrzegłem nieraz, iż patrzy na mnie ukradkiem i twarz jego wówczas nieco się rozpogadzała. Jeszcze wyraźniej mogłem to zauważyć, gdy wokół mnie tworzyło się liczniejsze grono brodaczy, którzy w skupieniu mnie słuchali.

Pragnąc go jeszcze bardziej umocnić w jego zaufaniu, co dzień w czasie przerwy między modlitwą przedwieczorną a wieczorną, to jest zanim na niebie pojawiła się pierwsza gwiazda, co stanowiło zwykle około godziny, siedziałem w wielkim skupieniu nad wieczną księgą.

Wszystko jednak na nic. Wysiłki moje nie przyniosły pożądanego skutku. Ojciec, jak i przedtem, patrzył na mnie z pogardą. W domu stale mnie napiętnowali. Robotnicy, zatrudnieni przy budowlu, na mój widok uśmiechali się dwuznacznie i ironicznie. W miasteczku wszyscy ode mnie stronili, jakby od trędowatego.

Taka sytuacja stała się wprost nie do wytrzymania. Cóż dziwnego, iż coraz częściej wracała uporczywa myśl o ucieczce.

Ale jak to wykonać, gdy tak jestem pilnowany, a po wtóre miałem tę sprawę z pięniędzmi. O ile pierwsze dało się pokonać, to bez tych ostatnich, rozumiałem, daleko nie zajdę.

W takim położeniu przetrwałem do Nowego Roku.

## XXVII

Nadszedł rok 1914. Rok, który zadecydował o losie i istnieniu milionów ludzi. Rok, w którym zapadł na nich wyrok śmierci, a co gorsze, kalectwa i to na tych samych ludzi, którzy rok ten witali radośnie razem z tymi, którym potem kosztem innych udzielone zostały zaszczyty i bogactwa.

Zaczyznałem osiemnasty rok życia. Jest to niedużo. A jednak tego życia miałem już dosyć. W chwilach dotkliwego smutku powtarzałem więc za biblijnym Jobem<sup>81</sup>: „Bodajby zginął dzień, w którym się narodziłem i noc, w którą rzeczono: począł się mężczyzna!” Bywało w chederze, że gdy czytałem ten ustęp biblijny, łzy mi w oczach stawały na myśl, ile to musiał wycierpieć biedny ten człowiek.

Wówczas jeszcze nie wyobrażałem sobie, że są i współcześni Jobowie, z tą wszelako różnicą, iż Job przed swym cierpieniem zaznał dużo dobrego i był bogaty. Zresztą ten legendarny Job długo nie cierpiał. Otrzymał rychło nagrodę...

A dziś?...

Niejednemu to pytanie ciśnie się na usta od chwili, gdy już rozumie język swej karmicielki, aż do grobu. I nigdy nie otrzymuje odpowiedzi, ani też nie zazna lepszej chwili.

Ja jestem jednym z takich Jobów, z tą różnicą, że tamtego ukarał Bóg, mnie zaś ludzie... Następnie Job uważał, że cierpi niezasłużenie, a ja przyjmuję moje cierpienia za całkowicie słuszne, ba, nawet na większe zasłużyłem.

Pomimo tego, co się rzekło, proszę czytelnika, by mną nie pogardził. Z całą ufnością zdaję się na Twój sąd. Do Ciebie on należy i z góry przystaję na jego wyrok.

Czyja jest wina, że stałem się złodziejem, zbrodniarzem?... Nieraz zastanawiałem się nad tym, kto ponosi winę, że stałem się szkodliwą jednostką dla społeczeństwa, dla tych samych, którym z czasem miałem nieść pociechę duchową i ukojenie w nieszczęściu. Wtedy zdaje mi się, że składam się z dwóch istot. Czyli inaczej mówiąc, to wszystko zło, które popełniłem w życiu, popełnił raczej mój sobowtór, niż ja, niedoszły rabin...

<sup>81</sup>Job — Hiob. [przypis edytorski]

Tak, tak, Drogi Czytelniku, nawet i dziś po tylu latach przebytych w świecie występku i brudu, nie mogę się pogodzić z myślą, że jestem tym, za którego mnie uważają i to słusznie. Ale zaklinam Cię! Pomimo mych zbrodni, które zamierzam Ci wszystkie opisać, nic nie tając przed Tobą, nie zlekniij się, czytając to wszystko, i nie osądz mnie z góry! Bądź sprawiedliwy!

Zechciej mnie wysłuchać do końca. Świadomość, iż w Tobie mam bezstronnego sędziego, być może doda mi sił, że pozbędę się tego drugiego „ja” które źle czyni. Zostanie wówczas moje prawdziwe „ja”, które — zaręczam Ci! — zaprawdę nie jest zdolne nawet muchy skrzywdzić, a cóż dopiero człowieka!

Czuję to, iż jestem marnym filozofem, a w moich wywodach brak nawet jakiegokolwiek logiki. Przebacz! Uwzględnij, iż pisząc te słowa, znajduję się sam, samiuteńki w ponurej więziennej celi, z oknem przysłoniętym żelaznymi kratami. Cella podobna raczej do grobu niż do pomieszczenia dla żywego, zdrowo myślącego człowieka... Ponuro, szaro wszędzie. Jest teraz godzina druga, a więc niedawno po obiedzie. A jednak jestem już głodny. Czyż dziwić się więc należy, że trochę bredzę? Naprawdę po obiedzie więziennym jest marne natchnienie i filozofowanie.

No więc usprawiedliwiłem się już i lżej jest mi teraz wrócić do tematu, to jest do miejsca, skąd zacząłem filozofować.

I tak mamy rok 1914. Od tego przekłętego roku datuje się też i mój zupełny upadek. Zaraz po Nowym Roku odbyła się familijna rada. Brał w niej udział nawet stryj, który specjalnie w tym celu zawezwany przez ojca przyjechał z Rosji.

Długo się pocili nad tym, co zrobić ze mną, by uratować całą rodzinę od hańby. Wreszcie zapadła stanowcza decyzja, by oddać mnie do jakiego bądź rzemiosła. To jedno wszakże uczynili ustępstwo, iż raczyli zapytać, do jakiego rzemiosła mam wielką chęć. Zawezwali mnie w tym celu do siebie i podkreślili nieodwołalność swego postanowienia. Zaznaczyli, iż w żaden sposób dłużej pozostawać w domu nie mogę.

Ja nic nie odpowiedziałem, gdyż bolało mnie to, że chcą koniecznie mnie się pozbyć. Wówczas przywołał mnie stryj bliżej do siebie i dobrotliwie zapytał, czy chcę zostać piekarzem. O ile tak, to on zaryzykuje i weźmie mnie do siebie, pod warunkiem wszakże, że mu nie przyniosę wstydu.

Stryj mój był prawdziwym typem dorobkiewicza. Chorował także na inteligenta. A nawet, żeby na takiego wyglądać, uważał za potrzebne zakładanie sobie złotych binokli, co zresztą dodawało mu powagi. Cztery lata temu ożenił się bardzo bogato, biorąc w posagu dużą, dobrze prosperującą piekarnię i handel zbożowy.

Ten człowiek wytrwale dążył do celu. Był on przed żeniactwem jednym z pracowników swego przyszłego teścia, bogatego kupca w mieście S. U tego kupca były trzy córki. Otóż jedną z nich stryj właśnie rozkochał w sobie. Ojciec dziewczyny jednak ani słyszeć nie chciał o tym małżeństwie.

Stryj, świadomy tego, iż wraz z ładną córką ma też mu przypaść niemniej ładny posazek, nie dał za wygraną i przed czasem dobrał się już do „miodu”... W rezultacie wytworzyła się sytuacja, iż kupiec był nawet zadowolony, że stryj zgodził się na żeniactwo, zanim ludzie mogli spostrzec, iż córeczka jakoś z dnia na dzień staje się pełniejsza... Ten to czcigodny stryjcio teraz zapewne mnie się wstydził. Ale chcąc pocieszyć starszego brata, zgodził się mnie ostatecznie zabrać do siebie i wyprowadzić „na człowieka”. Ja, chociaż, niechętnie, ale nie widząc innego wyjścia, wyraziłem zgodę.

Tegoż jeszcze wieczora wyruszyliśmy w drogę. Opisywać podróży nie będę, gdyż niczym się ona nie odznaczyła. Cały czas zatopiony byłem we własnych myślach. Na drugi dzień stanęliśmy już na miejscu. Ciotka, jak się zresztą spodziewałem, z mojego przybycia nie bardzo była zadowolona. Zaraz na następny dzień stryj zaprzął mnie do pracy. Nie omieszkał przy tym wygłosić odpowiedniej mowy: „Jak będziesz pilny w pracy” — mówił — „to wstawię się za tobą u ojca i zrobimy cię kupcem. A fach, którego się nauczysz, nie zaszkodzi, w życiu wszystko może się przydać. Uważaj, ja też w swoim czasie pracowałem u ludzi, a teraz... czy to mi zaszkodziło zostać kupcem?” Tu znacząco odchrząknął i poprawił binokle. Resztę morałów, które jeszcze mi prawił, mało już rozumiałem, gdyż były zaprawione różnymi naukowymi terminami i porównaniami.

Od tego więc dnia zacząłem pracować w piekarni i to, przyznać się muszę, dość chętnie. Czeladź, której było kilku, z początku, traktowała mnie z pewną niechęcią, a przynajmniej odnosiła się do mnie nieufnie. Wpływało to z dwóch przyczyn. Po pierwsze, tak już jest przyjęte w żydowskich piekarniach, że czeladnicy traktują terminatorów bardzo źle. A że ten lub ów z tych ostatnich oberwie po grzbiecie „spranzlem”, to nic, jest to na porządku dziennym. Chłopiec tak zahukany, zapracowany, wypełnia każde najmniejsze zlecenie czeladnika bez szemrania. Zimą sypia on zwykle gdzieś na piecu przy muzyce świerszczy, a latem w brudnym kącie, gdzieś w pobliżu „bajty”<sup>82</sup>. I gdyby to jeszcze wyspał się. O tym wszakże nie może być mowy. Na to nie ma czasu. Cztery godziny snu na dobę jest już wiele!

Widziałem tych chłopców o bladych twarzach, z zaczerwienionymi oczyma, jak snuli się nocną porą, podobni raczej do lunatyków niż do ludzi normalnych.

Nic też dziwnego, że gdy taki niewolnik staje się wreszcie czeladnikiem, a nawet właścicielem piekarni, stara się wówczas odbić na cudzej skórze to, co przecierpiał sam.

W tym wszakże wypadku, w stosunku do mnie czeladnicy nie odważyli się zastosować tej samej miarki, którą stosowali względem dwóch innych terminatorów. Wiedzieli bowiem, że jestem familiantem<sup>83</sup> gospodarza. Z tym faktem, chcąc nie chcąc, musieli już się pogodzić. Drugą przyczyną niepewności wpływała z tego właśnie, że mieli dochody postronne, o czym zapewne stryj nie wiedział. Otóż obawiali się, iż mogą ich zdradzić.

Po kilku tygodniach lody między nami stopniały.

Przekonali się bowiem, że z przywilejów pokrewieństwa bynajmniej nie korzystam. W pracy zaś niemniej od innych jestem pomocny. Bo i faktycznie nie zakładałem rąk. Po kilkunastu godzinach pracy, wymęczony, spocony, umazany w mące i cieście, wyglądałem jak nieboskie stworzenie. Stryj bynajmniej z tym się nie liczył, że u osiemnastoletniego chłopca przepracowanie może wywrzeć zły wpływ na zdrowie.

Niemal co dzień musiałem naładować z kilkadziesiąt i więcej ciężkich worków mąki na wozy lub takowe rozładować w szybkim tempie, razem z innymi, gdyż na pośpiechu zależało. Że czynność ta nie miała nic wspólnego z piekarskim fachem, o to też stryjowi nie chodziło<sup>84</sup>.

Nigdy się nie skarżyłem. Co gorsza, patrzyli na mnie niechętnie. Przy lada sposobności stryj nie omieszkiał mi wytknąć, że podjął się bardzo niepewnej gry, ryzykując przyjąć mnie, jako złodzieja i byłego więźnia, do siebie do porządnego domu i że jego żona, a moja ciotka czyni mu wymówki, że przyjmując mnie, sprofanował dom.

Muszę tu powiedzieć, że stryj mój był bardzo cnotliwy. Nie przeszkadzało mu to wszakże, by mnie jako familianta użyć do „uczciwej pracy”, jak na przykład: do mieszania żytnich otrąb lub mąki mniej wartościowego gatunku i pszennych otrąb z pewną ilością piasku.

Takiego „prima” gatunku otrąb lub mąki przychodziło nieraz przygotować dwieście worków i więcej. Praca to była nie lada, gdyż wszystko to trzeba było dokładnie przemieszać i z powrotem powsypywać do worków. Szło to do Niemiec. Do sfabrykowania i do przygotowania takiego transportu mnie tylko dopuszczono. Stryj widać był tego pewien, że go nie zdradzę.

Po każdej takiej pracy ze dwa dni potem ledwo powłóczyłem nogami i nie mogłem swobodnie oddychać. Lecz cóż było robić? Wszystko to było dla mego dobra... Chcieli wszak ze mnie „zrobić człowieka”... W sobotę mogłem zaledwie odpocząć i przyjmowałem wygląd człowieka.

A więc cierpiełem.

Lecz cierpliwość moja rychło się wyczerpała. Będąc z natury popędliwy, zacząłem się buntować. Wreszcie nastąpił wybuch.

Pewnego ranka, zaraz po ukończeniu nocnej pracy, stryj kazał mi, bym się udał do spichlerza i przygotował transport otrąb. Miałem je zmieszać, jak wyżej wymieniłem, a następnie rozważyć po jednym cetnarze<sup>85</sup> do worków.

<sup>82</sup>bajta — drewniana dzieła do wyrabiania ciasta. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>familiant — członek rodziny. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>o to też stryjowi nie chodziło — sens: to też stryja nie obchodziło. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>cetnar — jednostka wagi, wynosząca około 50 kg. [przypis edytorski]



Czułem się niezdrow, byłem też niewyspany. Z niechęcią więc, chociaż bez słów sprzeciwu, udałem się do wypełnienia powierzonych funkcji. Na wpół śpiący zabrałem się do pracy. Z ogromnym tylko wysiłkiem przemogłem siebie. Powieki same się zamykały. Wreszcie, nie mogąc przewyciężyć ogarniającego mnie snu, zwałem się na opróżnione worki i zasnąłem twardym snem. Jak długo spałem, nie wiem. Obudziły mnie jakieś dziwne, nieludzkie dźwięki. Otworzyłem powieki. To, co ujrzałem zaspanym wzrokiem, nie od razu dało mi możliwość uświadomić sobie, co się właściwie w pobliżu mnie odbywa... Widziałem tylko i słyszałem, jak jakieś stworzenia o krótkich nogach i długich uszach gospodarują po całym spichlerzu. Ten i ów nurkuje w ogromnej kupie otrąb, inny ciągnie za koniec worka z mąką, a jeszcze inny wprost wlał na wpół do worka... i sterczy już stamtąd wałkowany zad i krótki, zakręcony w fajkę ogon.

Rozwarłem szeroko źrenice i... dreszcz zgrozy mnie przeszedł na sam widok spustoszenia, jakie porobiło to „gojowskie bydło”. Był to bowiem cały tabun świń okolicznych gospodarzy z przedmieścia. Dziwić się wypada, skąd w tych „chazerowych” stworzeniach znalazło się tyle czelności, by całą kupą pakować się do nieco uchylonych drzwi żydowskiego spichlerza...

Zerwałem się na nogi, chwyciłem szufłę i dalejże wyganiać nieproszonych gości, krzyżąc pod ich adresem wcale niepoehlebne wyrazy. Ale gdzie tam!... Ani mój krzyk, ani też razy, jakich nie szczędziłem, nie przyniosły pożądanego skutku. Jak widać, były przyzwyczajone do tak niedelikatnego obchodzenia się, a zapewne i do obfitości jedła, wywierało to hipnotyczny wpływ, dość, że w żaden sposób nie mogłem poradzić sobie z natrętami. Widząc to, wybiegłem z krzykiem na podwórze. Za chwilę w stronę spichlerza z pranzłami w rękach biegła już czeladź ze stryjem na czele, a za nimi nadążała stróżka.

Stryj, gdy ujrzał obraz zniszczenia, o mało nie zemdlął.

— Gwałt! Gwałt! — krzyczał — może ze dwieście rubli szkody!... Pozabijać te pskudniki!

Stróżka z miotłą zagroziła sobą drzwi. My zaś przypuściliśmy atak na świnię. Uderzenia padały, gdzie popadło. Powstał harmider nie do opisanego. Krzyki atakujących i hałas oraz kwik świń mieszały się ze sobą i tworzyły piekielny wprost zgiefk. Jeżeli zaś do tego dodać gęsty tuman mącznego pyłu, jaki uzupełnił całe zamieszanie, że aż ciemno było, wówczas czytelnik będzie mniej więcej miał wyobrażenie, co się tam działo.

W trakcie uganiań się, jedna ze świń wpadła stryjowi między nogi, unosząc czas pewien, a w końcu go obaliła. Stryj, padając, jeszcze większego narobił hałasu. Pospieszaliśmy mu na ratunek. Nic mu się wszakże złego nie stało. Uniósł się na nogi cały i zdrów, gdyż upadł na miękkie otręby. Przeklinał jednak, na czym świat stoi, mnie i świnię. Widząc wreszcie, że egzekucja nie doprowadzi do niczego, a raczej jeszcze więcej przyniesie szkody, postanowił z tym skończyć i rozkazał stróżce otworzyć drzwi. Mało to jednak pomogło. Rozjuszony zwierzęta, nie widząc wolnego wyjścia, olbrzymimi susami unosiły się po stosach otrąb i mąki. Jedna ze świń zabrała się nawet po schodach na piętro. Tam, spostrzegłszy małe okienko wychodzące na podwórko, rzuciła się ku niemu. Otwór jednakże był nieco za mały. Wcisnąwszy się więc do połowy, świnię zawisła w powietrzu. Widząc to, stryj począł wołać na nas, byśmy pośpieszyli na ratunek świni, gdyż zabicie jej jeszcze więcej przysporzy mu kłopotu. Nikt jednak z nas nie ośmielił się tknąć stu-procentowego trefnego stworzenia. Wówczas stryj, nie zwlekając, przez chustkę do nosa chwycił sam świnię za ogon i co sił ciągnął ku sobie.

Świnię darła się wniebogłosy. Stryj spluwał, lecz ciągnął za ogon. My, widząc, że sam nie da rady, idąc za jego przykładem, wzięliśmy się na odwagę i chwyciliśmy świnię za tylne nogi. Staraliśmy się ją ciągnąć i zapobiec samobójstwu. Lecz gdzie tam! Bestia wparła się przednimi nogami, ostatnim wysiłkiem przemogła przeszkodę przytrzymujących ją ram okiennych oraz naszych rąk i... runęła w dół. Oniemieliśmy z przerażenia. Lecz cóż, stało się...

Po zlikwidowaniu zajścia jakże mocno zdziwiliśmy się, gdy po wyjściu na podwórze nie zastaliśmy śladu po samobójcy... A więc i ze świni jest nieraz dobry skoczek. Stryj sapał ze złości. Myślałem, że się wścieknie. Wreszcie odnalazłem i podałem mu zgubione binokle. Spojrzał na mnie piorunującym wzrokiem. Że był zły, nic dziwnego! Spichlerz

wyglądał, jakby przeszedł po nim huragan. Co rychlej więc, pozostawiając biadającego stryja, wyniosłem się cichaczem z miejsca katastrofy i udałem się do piekarni na piec.

Był to mój pokój sypialny, za materac zaś służyły wypróżnione worki. Położyłem się na to łóżko i już drzemałem, gdy wtem ktoś szarpnął mnie za nogę, wołając, bym szedł natychmiast uporządkować ślady po katastrofie. Był to stryj. Odpowiedziałem, że jestem chory i że chce mi się spać, więc nie pójdę. Znowu zabrałem się do spania, ale stryj nie dał za wygraną i szarpnął mnie tym razem już za rękaw, wlaźł po drabce<sup>86</sup> wyżej i mógł sięgnąć dalej.

Tego było za wiele. Poderwałem się z miejsca i, sam nie zdając sobie sprawy ze swego czynu, trzasnąłem stryja w ucho.

Wynik tego uderzenia był dla mnie zgoła niespodziewany. Bezpośrednio po nim spadły bowiem binokle, a za chwilę w ślad za nimi, jak długi i sam stryj.

Jaki rejwach potem nastąpił, trudno opisać. Stryj miotał się jak opętany. Na krzyk jego zbiegli się nie tylko domownicy, lecz i sąsiedzi. Ciotka lamentowała:

— Mówiłam ci, że ten złodziej nieszczęście nam sprowadzi... Dobrze ci tak!... Ty nigdy nie chcesz mnie słuchać!

A gdy już wyczerpała spory zapas odpowiednich wykrzykników, przeszła do opowiadania, co to ze mnie za „ptaszek” i jakie wyrządziłem im szkody w spichlerzu.

Przestraszony leżałem nieruchomo, nie śmiać nawet głośno oddychać.

Co robić? — przemknęło mi przez głowę. — A więc już i po karierze piekarsko-tragarskiej! Co dalej? Zdawałem sobie sprawę, że muszę stąd się wynosić. Ale dokąd?

Do domu za nic w świecie nie mogłem wracać. Tam by mnie nie przyjęto. A więc dokąd?... Dokąd?...

Dziwiłem się, że mnie dotychczas pozostawiono w spokoju i nikt mnie z pieca nie ściąga, ani też nie bije...

Z tymi niewesołymi myślami zasnąłem. Do obiadu, jak to zwykle bywało, nikt mnie jednak nie budził.

Przebudziłem się sam, gdy już zmierzchało.

Pot kroplisty okrywał moje ciało, a głowa była jakby nalana ołowiem.

Czułem, że mam gorączkę. Spróbowałem się unieść, lecz nie mogłem. Zawirowało mi w głowie. Opadłem bezsilnie i straciłem świadomość, co się w ogóle ze mną dzieje i gdzie jestem...

Gdy odzyskałem przytomność, leżałem już nie na piecu, lecz w łóżku. Koło mnie zaś krzątała się jakaś dziewczyna. Poznałem ją, była to młodsza siostra gospodyni, Rachela. Rozglądałem się ciekawie wokoło siebie, nie mogąc zrozumieć, co takiego mogło zająść, że leżę teraz na piętrze w pokoju stryja, w miękkiej, czyściutkiej pościeli i w takiejże bieliźnie.

Moje przytomne obudzenie się, widać dziewczynę uradowało. Od niej też dowiedziałem się, iż w tym pokoju znajduję się już od kilku dni, że przywołany doktor uznał zapalenie mózgu. Następnie opowiedziała mi, jak to stryj stał nad moim łóżkiem i płakał, wyrzucając sobie, że kazał mi tak ciężko pracować, że nawet ciotka zapomniała o wszystkim i przesiadywała przy moim łóżku i jak mogła, pielęgnowała.

Słyszając to, nie mogłem sobie darować, że wobec stryja byłem tak brutalny. Zacząłem się wobec Racheli tłumaczyć, że sam nawet sobie nie zdaję sprawy, jak to się stało, że uderzyłem stryja.

Rachela pocieszała mnie, mówiąc, że stryjostwo już się nie gniewają, bo doszli do przekonania, że uczyniłem to, będąc chorym. Zresztą przekonam się o tym z własnych ich słów. To mówiąc, pobieгла po stryjów.

Za chwilę byli już u mnie.

Zalewając się łzami, chwyciłem ich za ręce i całowałem, prosząc o przebaczenie. Nie dali po sobie poznać, by czuli do mnie jakąś urazę, na odwrót, cieszyli się, że minął kryzys i przeszło niebezpieczeństwo. Nigdy nie przypuszczałem, by byli tak dobrzy dla mnie. Żal mi teraz było stryja, który z sińcem pod okiem był przy mnie i przyjaźnie się uśmiechał. Wspomniiał, iż zabierali się już posłać telegram do ojca z wiadomością, że umieram.

<sup>86</sup>drabka — drabina. [przypis edytorski]

Możliwe, że później żalowali, że nie umarłem... Sam też żałuję! Uratowano mnie dla cierpień i niedoli. Młodość i silny organizm przemogły chorobę i prędko doszedłem do zdrowia.

Przyszedł kwiecień.

Wiosna zapowiadała się ślicznie. Żadnej pracy stryj mi nie poruczał. W ogóle od czasu choroby stosunek do mnie całkowicie się zmienił. Stryjostwo byli dla mnie nadzwyczaj przychylni. A jednak nie mogłem patrzeć im w oczy. Wstydzilem się swego względem stryja postępku. Byłem stale smutny. Widząc to, starali się mnie pocieszać. Rachela zaś nie zaprzestała swej nade mną opieki i po chorobie. Troszczyła się o mnie jak rodzona siostra. Była to sympatyczna, osiemnastoletnia dziewczyna, dość wykształcona.

Pomimo tkliwej troskliwości, jaką mnie teraz otaczano, czułem się, jak i wspomniałem, nieswojo i z dniem każdym stawałem się posępniejszy.

Aż razu pewnego, stryj przywołał mnie do siebie i delikatnie dał mi do zrozumienia, że o ile pragnę powrócić do domu, to on nie ma nic naprzeciw. Owszem, przyznaje nawet, że uczynił głupstwo, chcąc mnie wyrobić na piekarza.

— Za delikatnie matka cię wychowała — mówił — a ja tego właśnie nie wziąłem pod uwagę. Po chorobie powinieneś odpocząć. A tu u mnie tylko się nudzisz.

Tu spojrział na mnie uważnie, jakby się chcąc przekonać, jakie wrażenie wywrą jego słowa.

Nieśmiało przytaknąłem głową na znak zgody. A więc sprawa mojego powrotu po tej rozmowie była przesądzona... Na drugi dzień ciotka wręczyła mi sześć rubli na drogę.

## XXVIII

Do domu jednak nie było mi spieszo. Zaraz po pożegnaniu, co się też odbyło bardzo grzecznie, wyszedłem na ulicę, lecz nie dlatego, by się udać na kolej. Prawie dzień cały spędziłem na bezcelowym wałęsaniu się po mieście.

Sprzyjała temu śliczna pogoda, jaka panowała w ów pamiętny dla mnie dzień na początku maja 1914 roku.

Było ciepło. Sprzyjała też pogoda ducha. Pomimo bowiem oplakanego położenia, w jakim się znajdowałem, czułem się bardzo zadowolony z obrotu rzeczy.

Nareszcie nie mam nad sobą żadnej władzy i opieki! — myślałem. Widziałem siebie wolnym i wyobrażałem sobie, że mogę już zrobić, co mi się podoba... Tu muszę podkreślić, że od maleńkich już lat niechętnie podlegałem czyjejś woli. Nie lubiłem nawet nudzącej i troskliwej opieki rodziny. Spotykając jakąś bezdomną sierotę, zazdrościłem jej wolności.

Teraz więc, gdy wyrwałem się z krępujących mnie więzów, poczułem się szczęśliwy. Postanowiłem stąd odjechać, lecz nie do domu, a dalej od niego, gdzie by mnie nikt nie znał i ja nikogo...

Za cały dobytek miałem małe zawiniątko mieszczące cztery pary bielizny, garnitur od święta, w kieszeni zaś siedem rubli i pięćdziesiąt kopiejek. Przyszłość nie trwożyła mnie, wszakże wierzyłem, że jakoś to będzie i życie się urządzi.

Przed wieczorem zaszedłem do jednej z restauracji i obstałowałem kolację. Siedząc, rozglądałem się wokoło i obserwowałem wchodzących i wychodzących gości. Publiczność ta była niewyszukana. Składali się na nią przeważnie robotnicy, furmani i drobni handlarze. Restauracja służyła zarazem jako zajazd dla przyjeżdżających do miasta bliższych i dalszych gospodarzy wiejskich.

Większość z obecnych, jak widać, tworzyła stałych tutejszych bywalców, gdyż pozdrawiali jeden drugiego jak starzy znajomi i bez dłuższych wstępów wdawali się w rozmowę.

Ośmielony widokiem szczerych twarzy, spróbowałem również nawiązać rozmowę z najbliższym swym sąsiadem, furmanem. Z chęcią mi odpowiadał. Od niego też się dowiedziałem, że jego karetka za godzinę odjeżdża w stronę miasta O...sy.

Dziś bym nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego wówczas ta właśnie wiadomość dodała mi bodźca, ażeby wraz z nim udać się do tego miasta.

Jak pomyślałem, tak też i uczyniłem. Za godzinę, czy nieco więcej, siedziałem już obok dorożkarza na koźle. Dla skrócenia czasu długiej podróży wdałem się z dorożkarzem w rozmowę. W trakcie tejże zwierzałem się mu z moich kłopotów. Słuchał mnie

uważnie. W pewnym zaś momencie zapytał, czy umiem obchodzić się z końmi. Częściowo spodziewając się, do czego zdąży, bez zająknięcia odpaliłem, że się znam. Ażeby zaś jeszcze bardziej w tym jego utwierdzić, skłamałem dalej, że ojciec mój też był furmanem. Spojrzał na mnie trochę niedowierzająco, lecz zaraz rzekł: „Jeżeli więc chcesz, wezmę cię do koni — mam ich dziesięć. Mam też kilka dorożek. Wynajmuję je do obsługiwania ludzi. Jeżeli nie będziesz głupi, będzie ci u mnie dobrze. Jeżeli się nadasz, to zatrzymam cię nawet na stałe”. Bez wahania na propozycję przystałem.

Następnie wysłuchałem jeszcze dłuższego pouczenia, jak się mam obchodzić z końmi, jakie będą moje obowiązki itd. W końcu przeszedł znów do wybadania mnie, skąd jestem i kim są moi rodzice. Nagadałem mu niestworzonych rzeczy, z czego to tylko było prawdą, iż jestem sierotą, z tą wszelako różnicą, iż powiedziałem mu, że i ojca nie mam. Po każdej mej odpowiedzi kiwał jakoś niewyraźnie głową, możliwe nawet, że nie wierzył w to, że jestem synem dorożkarza. Nie przeszkodziło to jednak, byśmy doszli do ostatecznego porozumienia.

Po całonocnej podróży, późnym rankiem stanęliśmy wreszcie na miejscu. A po krótkim odpoczynku objąłem nowe dla mnie funkcje dorożkarza. Zanim wszakże opowiem o dalszych swych przygodach, muszę słów parę powiedzieć jeszcze o swym szefie.

Otóż był to człowiek olbrzymiego wzrostu i herkulesowej siły. Czarny zarost i długa broda czyniły go raczej podobnym do Cygana niż do Żyda. Na jego okrzyk drżeli nie tylko ludzie, lecz i konie. Był pracowity. Rzadko widziałem, by odpoczywał. Stałe furmanił między miastami O...sy a S. Trakt ten obsługiwało sześć jego najlepszych koni. Do pomocy miał tam tylko chłopaka.

Mnie się dostał kary koń, były „dragon”. Byłem z nim zapewne w jednych latach, a więc, gdy ja byłem jeszcze młodzieńcem i można powiedzieć rozpoczynałem życie, biedny ten koń od dawna już był emerytem i wiódł mało pochlebny żywot żydowskiej szkapy. Los nasz i dola były jednakowe. Mieliśmy wozic z dworca pasażerów.

Gdy już konia zaprząłem, gospodarz uważał za potrzebne jeszcze gruntowniej wtajemniczyć mnie w arkana dorożkarskiego zawodu.

— Grunt — mówił — koń. Pasażerowi należy zaimponować brawurowym podjechaniem dorożką. A więc... Nie oszczędzać bata, gdy zdechnie, kupi się drugiego... Swoją drogą samemu trzeba się starać, by koń był nakarmiony.

Tu spojrział na mnie wymownie, niepewny, czy zrozumiałem, o co mu chodzi. Kiwnąłem głową na znak, że go dokładnie rozumiem. Wszak nie na próżno siedziałem w więzieniu.

— Pamiętaj — ciągnął dalej — jak nie będziesz głupi, to na kieliszek pejsachówki zawsze zarobisz. Z pasażerami trzeba się obchodzić bardzo dobrze i nic im zginąć nie powinno... lecz na stacji... gdy ci czasem coś uda się ściągnąć, to nie szkodzi... tylko ostrożnie, bo to pachnie kryminałem.

— Jeżeli zdarza się obcy pasażer, należy kroić taknę potrójnie. A gdy się targuje, upuść tylko wtedy, gdy brak gości... W tym ostatnim wypadku można nawet zgodzić się i poniżej taksy.

Po ukończeniu wykładu poklepał mnie po ramieniu, aż mi w stawach zatrzęszczało i kazał ruszać.

A więc zostałem dorożkarzem.

Z początku to zajęcie przypadło mi do gustu. Lecz po upływie miesiąca miałem już tego dosyć. Nie zadowalały mnie już skąpe dochody, jakie ciągnąłem z dorożkarskiego fachu. Krąg moich znajomych znacznie się zwiększył, a w związku z tym i rozchody. Zazdrościłem moim rówieśnikom, widziałem, że są ładnie ubrani; że spacerują i bawią się wesoło z ładnymi dziewczętami i gdy większe nawet rachunki bynajmniej ich nie krępują.

Domyśliłem się, skąd niektórzy z nich czerpią swe dochody.

Zapragnąłem także beztroskiego życia. Walczyłem czas pewien ze sobą. Czulem, że wcześniej czy później ulegnę pokusom.

I rzeczywiście, ani się spostrzegłem, jak przez zbieg niezależnych ode mnie okoliczności, zostałem stopniowo wciągnięty do wspólnictwa w wyprawach groźących w razie niepowodzenia kryminałem.

Pewnego razu z polecenia swego szefa miałem zawieźć trzech „porządnych gości”, jak się wyraził mój gospodarz, z osiemnaście kilometrów. Byli nimi młodzi ludzie, faktycznie porządnie ubrani, sympatyczni i weseli.

Na „miejsce” przyjechaliśmy o godzinie dwunastej w nocy. Mówię „miejsce”, chociaż określenie to niezupełnie ściśle, albowiem kazano mi zatrzymać się na drodze przy jakimś przydrożnym drzewie i czekać na ich powrót. Pouczyli mnie przy tym, jak mam się zachować w razie „poruty”<sup>87</sup>. Odchodząc, rozdzielili między siebie jakieś oryginalne, jak zauważyć zdołałem, przedmioty, których nazw wówczas jeszcze nie znałem.

Gdy odeszli, zostałem sam na koźle, pełen trwogi i różnych niewesołych myśli. Lękałem się nawet poruszyć. Czas dłużył się nieznośnie. Mijały godziny, a ich jeszcze nie było. Łowiłem uchem najslabsze odgłosy, aż wreszcie usłyszałem pospieszne kroki i z cieniów ustępującej już nocy wyłoniły się sylwetki moich pasażerów. Dźwigali ze sobą dość wielką walizę.

Wskoczyli do dorożki i kazali wyrwać co koń wyskoczy. Nie trzeba było mi tego dwa razy powtarzać, gdyż sam chciałem co rychlej opuścić to miejsce, gdzie tyle przeżyłem strachu i niepewności. Smagałem więc batem wypoczętą parę „szefowskich” koni, którymi tym razem powoziłem, poderwała z kopyta i rychło daleko już byliśmy od miejsca „roboty”.

Konie zwolniły bieg. Miałem teraz możliwość przysłuchać się uważnie prowadzonej za mną rozmowie. Nie miałem już wątpliwości co do rodzaju „roboty”. Czynili między sobą otwarcie te lub inne „fachowe” uwagi. Najbardziej zaś przekonywającym był podarek, jaki mi uczyniono w postaci srebrnego zegarka i złotego łańcuszka. Dla odprężenia nerwów obdarzono mnie jeszcze wódką i kawalkiem kielbasy.

Do podobnych wypraw z polecenia swego gospodarza należałem kilka razy. Wszystkie one jakoś szczęśliwie się kończyły. Każdorazowo otrzymywałem odpowiednie wynagrodzenie pieniężne i różne cenne drobne rzeczy. Przyznać się jednak tu muszę, iż pożytku z tego łatwego nabytku nie miałem. Zazwyczaj przegrywałem wszystko w karty w spelunkach świata przestępczego, dokąd to dzięki poznanym koleżkom coraz częściej zacząłem zaglądać.

Z przegranej nic sobie nie robiłem. Wiedziałem, iż za parę dni znowu „zarobią”. Bardziej byłem zadowolony z tego, że mnie *zaszczycono* zaufaniem i jestem gościem tej lub innej „meliny” złodziejskiej.

Pierwsza głębsza znajomość z tym światem na wolności, z którego przedstawicielami zetknąłem się pobieżnie tylko w murach więzienia, teraz wywarła na mnie ogromne wrażenie i pociągnęła ku sobie swą tajemniczością. Spodobał mi się ten beztrojski tryb życia, jaki ci ludzie wiedli, nie oglądając się na jutro.

Sam już nie wiem, jak to się stało, że pewnego dnia powiedziałem swemu pracodawcy, iż dalej nie będę u niego furmanił.

Słyszając to, bynajmniej się nie dziwił. Domyślił się moich zamiarów. Że jednak przewyższałem jego wymagania i byłem mu korzystny, spróbował sprawę załatwić kompromisowo. Ot, więc obiecał mi podwyższyć pensję. Następnie zaczął tłumaczyć, że chcąc być złodziejem, trzeba też czymkolwiek się trudnić, przynajmniej tak „dla oka”, by policja się nie czepiała. Bo jak tylko „hinty”<sup>88</sup> poznają, że któryś „kinderuje”<sup>89</sup> zawodowo, wówczas nie dadzą już spokoju i na każdym kroku zaczną go prześladować. Wciąż domagają się „mone”, tak że już tylko na nich przychodzi wtedy pracować.

— Ja sam praktykowałem to na własnej skórze — mówił w zamyśleniu. — Za młodu siedziałem też w kiciu dwa razy. A później Bóg mi dał „zarobić” pewną sumkę. Ożeniłem się i zacząłem furmanić. Z początku hinty próbowali mnie jeszcze prześladować, lecz widząc, że pracuję, co dawało pozory, że wiodę już uczciwe życie, zostawili mnie w spokoju. A jednak teraz jak wiesz: więcej się zarabia niż dawniej. Posłuchaj mnie, a będzie ci dobrze. Dla oka bądź u mnie, a z boku będziesz mógł zarabiać i niczyjej uwagi na siebie nie zwrócisz. Wiem, że „Cwajnos”<sup>90</sup> namawia cię, żebyś był u niego za „koni-

<sup>87</sup> *poruta* — przychwylenie złodzieja na kradzieży; również hasło ostrzegawcze. [przypis edytorski]

<sup>88</sup> *hint* — policjant. [przypis edytorski]

<sup>89</sup> *kinderować* — kraść. [przypis edytorski]

<sup>90</sup> *Cwajnos* — przewisko. [przypis edytorski]

ka<sup>91</sup>. Jego siostrzyczka od dawna już ostrzy na ciebie zęby. A więc ich sprawa, że chcesz ode mnie odejść. Lecz jak jestem Żydem, wierzaj mi, że na wolności długo nie pohulasz. Przystąpienie do jego szajki rychło cię zgubi, bo hinty go dobrze znają.

Wszystkie te tłumaczenia nie zmieniły jednakże mojego postanowienia. Rozmowa z „Cwajnosem”, jak i domyślał się mój gospodarz, wpłynęła na stanowczość mojej decyzji. Od tego pierwszego zaś dowiedziałem się, co następuje:

— Na próżno ryzykujesz — mówił „Cwajnos”. — Dolę z wypraw zabiera twój pan, siedząc w domu, i to dolę równą. Jest też zarazem paserem, a więc bogaci się na złodziejskiej krwi. Tobie przypadają w udziale zaledwie marne grosze. Nic im nie mówisz, a więc uważają cię za porządnego chłopaka. Z tego też powodu nie zechce gospodarz tak łatwo cię od siebie puścić. Wie też, iż na tobie mógł polegać, poruczając wszystkie te jazdy. Lecz ty nie bądź frajer. Tyś wart więcej. Z ciebie jeszcze będzie porządny „jęke”<sup>92</sup>, masz wszystkie ku temu dane. Trzeba tylko, żebyś popadł w dobre ręce. Bo widzisz, w naszym fachu potrzebna jest siła fizyczna i zimna krew, jak też trzymanie języka za zębami. Te cechy posiadasz, jak zauważyłem, więc dlatego mi się spodobałeś. Zdecydowałem się nawet przyjąć cię do siebie.

Dał mi też do zrozumienia, że i siostra jego również mną się zainteresowała.

Czy wobec takich argumentów mogłem u dorożkarza zostać? Przyznać się tu nawet muszę, że nie tak chęć pozostania kompanem „Cwajnosa” mnie pociągała, jak czarne oczy jego osiemnastoletniej siostry mnie oczarowały. One też były głównym powodem, że wymówiłem posadę.

Tego jeszcze samego dnia w domu „Cwajnosa” wraz z kompanami zawarta została przyjaźń. Według wszelkich prawideł opróżniono kilka butelek sznapsa i zagrychy na bruderszaft. Zaraz też przeszedłem pod czułą opiekę siostrzyczki „Cwajnosa” i przyznać muszę, że poczułem się jak w raj.

Tu muszę powiedzieć słów parę o zacnym towarzystwie, w kółku którego się znalazłem. Otóż „Cwajnos”, jak go zwali towarzysze i pod którym to pseudonimem figurował w kartotekach policyjnych, był zawodowym włamywaczem, lat około trzydziestu. Mieszkał on wraz z matką i dwiema siostrami, z których jedna była „kontrolną”<sup>93</sup> i uprawiała swój fach z powodzeniem. Inaczej mówiąc była „oficerską” i z byle łapserdakiem, jak twierdziła, nigdy by nie poszła. A ponieważ w tym mieście stało dużo wojska, w którym wszak są i oficerowie, więc interes szedł gładko.

Mój udział atoli w nich można nazwać tylko biernym i ograniczał się do wypicia kilku kieliszków wódki, gdyż zajęty byłem swoją Hanką. U jej boku słodko mi upłynął ten miodowy miesiąc.

Hanka dopiero praktykowała. Nie była ona na tyle zepsuta, co jej siostra. Sama mi się zwierzyła, że miała już narzeczonego, który ją uwiódł. Dała więc sobie słowo, że od mężczyzn będzie się trzymała z daleka. Ponieważ jednak, jak się przyznała, bardzo jej się spodobałem, więc postanowiła jeszcze jednego wypróbować. Jeżeli się przekona, że wart jestem jej serca, wówczas pokocha mnie naprawdę i będę ostatnim mężczyzną, któremu jeszcze zaufa.

## XXIX

Pierwsze dni w tym „porządnym domu” czułem się trochę nieswojo. Krępowały mnie nadzwyczajne panujące tutaj „obyczaje”, czyli raczej nieobyczajność. Po kilku jednak dniach stałem się śmielszy i brałem powoli udział w orgiach, jakie się tutaj często po nocach odbywały pod wytrwałym kierownictwem starszej siostry.

Szwagier „Cwajnos” uznał za potrzebne dać mi odpocząć. Przez ten czas słuchałem za to jego fachowych wykładów. I przyznać muszę, słuchałem ich z większą uwagą, aniżeli kiedyś tam w jesywecie.

Przy wykładzie przybierał minę surowego profesora, co go czyniło prawie śmiesznym, jeżeli nie karykaturalnym. Nie spostrzegając jednak tego, przyjmował odpowiednie pozy

<sup>91</sup>konik — uczeń złodziejski. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>jęke — złodziejasek. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>kontrolna — rejestrowana prostytutka. [przypis edytorski]

i z wielką znajomością rzeczy pokazywał mi, jak się należy brać do dzieła, jaki użytek robić z tego lub innego instrumentu, jak zrywać kłódkę, jak pracować wytrychem itd. itd.

Częściowo mogłem praktykę przeprowadzić już tam, na miejscu. W tym celu dawał mi wytrych i zamykał przede mną drzwi. Po kilkakrotnej próbie wywiązałem się z egzaminu jak najlepiej. Profesor był ze mnie zadowolony.

W przeciągu zaś kilku lekcji doskonale już opanowałem „gryf”<sup>94</sup>, jak operować tak mało skomplikowanymi wytrychami, jakimi są wytrych pojedynczy i „maskas”<sup>95</sup>.

— Pamiętaj — mówił — że dobry złodziej powinien umieć dokonać wszelkiej kradzieży, poczynając od najmniejszej, a kończąc na ogniotrwałym pudle. Grunt, byś potrafił z początku władać szabrem<sup>96</sup> i skłuczyć<sup>97</sup> zwykły zamek, do czego służą „pojedynczy” i „maskas”. Później łatwiej już będzie poznać wszelkie inne, jak patentowe, angielskie, francuskie itd. A co najważniejsze, to pamiętaj, byś nie był „kapusiem”. Wiedz też o tym, że „hint” jest najgorszym naszym wrogiem. Gdy nawet bierze u nas „blat”<sup>98</sup> to i wówczas mu nie ufaj. Ty nie patrz na to, że pije razem z nami. On jest dobry do czasu. Dziesięć razy tobie sfolguje, gdy zaś za jedenastym nie dasz mu w łapę, już cię „lignie”<sup>99</sup> i wpakuje do „kicia”. No powiedz — zaśmiał się — ty jeszcze nie wiesz, co to jest więzienie, lecz ja już je znam dobrze. Niech je cholera weźmie, br-br-br.

Otrząsał się przy tym, jakby go dreszcze przeszły.

Zawahałem się, czy mam mu odpowiedzieć, że ja to niby już nie frajer jestem, bo siedziałem „w kiciu”.

Po namyśle opowiedziałem o swoim zajściu. Zdziwiłem się jednak, gdy zauważyłem, że zamiast pochwały, jakby cień rozczarowania przebiegł mu po twarzy. Przyglądał mi się uważniej i rzucił niechcący, że wołałby widzieć mnie jako „frajera”.

Przyznałem mu słuszność. Zrozumiałem bowiem, iż zależało mu na tym, by jego pomocnicy jak najmniej byli znani policji.

Po przejściu teoretycznego kursu czekałem z niecierpliwością, a zarazem lękiem, kiedy zostaną wezwany do współpracy i wykazania się w praktyce.

Długo nie czekałem.

Pewnego dnia z rana „Cwajnos” kazał się przyszykować. Napomknął przy tym, że na jednej z paradnych ulic jest „robota”. Zabraliśmy potrzebne statki<sup>100</sup> i udaliśmy się na miejsce. Czas pewien spacerowaliśmy przed dużą, czteropiętrową kamienicą. Mistrz co chwila spoglądał na zegarek niecierpliwł się. Widocznie coś nie „sztymowało”<sup>101</sup>.

Jego niewyraźne zachowanie się poczęło też działać na mnie. Serce biło gwałtownie i nie mogłem zebrać myśli. Było to pierwsze świadome przygotowanie się do kradzieży, którą miałem właśnie popełnić pod kierownictwem i za wskazówkami „Cwajnosy”.

Przed oczyma znów stanęła cała moja przeszłość. Matka, ojciec, cheder, opiekunka, pobyt na wsi, pierwsza miłość i więzienie, wreszcie piekarnia stryja... historia ze świniami... Kto wie, gdyby nie te ostatnie, możliwe, iż dalej mieszałbym spokojnie otręby. Czulem teraz, że schodzę zupełnie na złą drogę i źle czynię. Ja, w którym matka pokładała tyle nadziei, upadłem teraz tak nisko... Wyrzuty sumienia zaczęły nurtować w głębi duszy, wołać wielkim głosem, bym zawrócił, póki jeszcze czas.

Idąc za tym wołaniem, chciałem już czmychnąć gdziekolwiek i uciekać jak najdalej. Lecz w tym decydującym momencie zaatakowały już siły inne, siły złe i te po krótkiej walce zwyciężyły. Moja wola, jak zahipnotyzowana owca przed wilkiem, ścisnęła się w sobie, gdy tylko pokazały się na miejscu oczy matki i oczy kochanki — nęcące swą przepastną głębią i wróżące bezkresną słodycz...

Ona zapewne teraz niecierpliwie wygląda za okno, oczekując mego powrotu... a może tylko obfitego łupu?... Myśl sprzeczną podpowiedziała odpowiedź. A zresztą po co ja tak łamię głowę, co tam będzie. Czyż nie jednaki koniec czeka tak mnie... jak... i...

<sup>94</sup>gryf — w gwarze przestępczej: umiejętność, technika, zdolność. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>maskas (maskast) — wytrych z dwoma zębami do skomplikowanych zamków. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>szaber — narzędzie do wyłamywania; łom. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>skłuczyć — otworzyć narzędziami. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>blat — łapówka. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>lignąć — wydać, zdradzić. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>statki — wytrychy, narzędzia złodziejskie. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>sztymować — pasować. [przypis edytorski]

Wyrwało mnie z tych rozmyślań zakaszanie współnika, który tuż za mną kroczył. Obejrzałem się. Mrugnął na mnie znacząco, bym skręcił za nim. Dojrzał bowiem przed sobą kogoś z „hintów” i nie chciał, żeby go tu zauważono.

Za chwilę weszliśmy w jakiś korytarz i dalej po schodach na drugie piętro. Tu pociągnął mnie współnik za sobą, pokazując mi jakieś drzwi. Spojrzałem. Napis: „Inżynier budowniczy S. P.” Wspólnik zaglądał przez dziurkę od klucza, po czym zawrócił, pociągając mnie za sobą.

— Słuchaj, a uważaj dobrze — rzekł do mnie półszepem, gdy wyszliśmy na ulicę. — Masz teraz okazję, by wykazać swe zdolności i dobrze też zarobisz. Pamiętaj dobrze o tym, co ci teraz powiem. Drzwi, które ci wskazałem, prowadzą do pięciopokojowego mieszkania. Właścicielem jest bogaty inżynier, stary kawaler. Uważaj! Co rano, punktualnie o godzinie dziewiątej wychodzi on do swego biura na odległą ulicę. W domu nikt wtedy nie pozostaje, tylko za jakąś godzinę, może półtorej, przychodzi starsza kobieta i już gospodaruje tam po całych dniach. Zrozum, że ja już parę skoków zdarłem, chodząc tu, by wystawić tę robotę i wypatrzeć taką chwilę, kiedy go będzie można najlepiej „zrobić”. Po dłuższych obserwacjach doszedłem do przekonania, że tylko zaraz z rana. A jak nie rano, to już nigdy... Więc słuchaj! Zaraz on wyjdzie z domu do biura. Ja go znam dobrze. Odprowadzę go do samego biura. A ty tam wtedy wpadniesz na śmiałego<sup>102</sup>. Nie masz się co obawiać. Grunt być śmiałym, a reszta się już sama ułoży.

Tu spojrzął na zegarek, przy czym pociągnął mnie do muru, jakby chciał mnie ukryć.

— Uważaj! — ciągnął wytrwale. — Za piętnaście minut będzie już dziewiąta. On też się zaraz pokaże. A ja go będę miał na oku, jak się tylko oddali od domu. Nie trać ani chwili. Każda sekunda jest droga i może tu zaważyć. Spokojnie, cichutko otwórz drzwi tym oto wytrychem. Uważaj, za daleko do zamka nie wsuwaj. Patrz, tu jest znak, a przy przekręceniu podnieś go trochę w górę. Mogę ci też, brachu, i to jeszcze powiedzieć, że zauważyłem, że „dziubus”<sup>103</sup> też się tu kręci. Cholera go wie, skąd mógł wywachać tę robotę. Ja już od dwóch miesięcy tu spekuluję, a nikomu słówka nie pisałem. Wstyd, gdybyśmy dali sobie sprzed nosa zabrać majątek. Mówię ci, że majątek...

Tu mocno mi ścisnął rękę, której przez cały czas rozmowy nie wypuszczał ze swych rąk i chwilę się zamyślił, po czym ciągnął dalej:

— Pamiętaj i o tym, tam są dwa wchody: jedno drzwi, które ci wskazałem, prowadzą do środka przez kuchnię. A jeszcze są tam drzwi z ulicy, które też prowadzą do pokoi. Na wszelki wypadek otwórz i tamte. Zrób sobie drogę. Gdy usłyszysz, że ktoś się zbliża z drzwi frontowych, uciekniesz tylnymi i odwrotnie. Pamiętaj też pilnie, że w sypialnym pokoju stoi biurko. Przeszukaj je dobrze. Zawsze tam są pieniądze i może biżuteria. Z szaf, co lepsze futra, garnitury spakuj. Zresztą wszędzie przeszukaj dokładnie. A co jest cennego, drap i więcej nic. Tak — westchnął. — Szkoda, że ja sam nie mogę tam być. Jeden obraz tam jest o wielkiej wartości. Ale ty się na tym nie znasz. Trudno, a ja muszę jego pilnować. Może kiedy ja sam jeszcze tam wpadnę.

Nagle szarpnął mnie i mruknął przez zęby:

— Jazda, już można!

I prędko się ode mnie oddalił. Stałem chwilę. Widziałem, jak jakiś starszy jegomość wyszedł z tego domu, wywijając laską, a współnik podążył za nim.

Przez cały czas wykładu serce waliło mocno, tak, że teraz nie byłem zdolny ogarnąć myślą wszystkich jego przestróg i uwag. Wszak jedno tylko uświadomiłem sobie, że każda minuta tu droga i że trzeba działać. Za chwilę niepostrzeżenie wsunąłem się na korytarz.

Już stałem przy drzwiach i sięgnąłem po wytrych. Wtem usłyszałem kroki, zbliżające się z trzeciego piętra. Ktoś schodził po schodach. Uczyniłem wszystko, co leżało w mojej mocy, aby nie zdradzić swego zdenerwowania i udałem, że idę na trzecie piętro.

Jakiś chuderlawy, wysoki jegomość przeszedł koło mnie i zatrzymał się chwilę. Miałem też wrażenie, że zdradziłem się ze swymi myślami. Poszedł dalej. Zawróciłem, gdy usłyszałem, że zszedł na dół. Zbliżyłem się znów do drzwi. Instynktownie rozglądałem się, chwytając najmniejszy szmer u dołu. Ruch uliczny doleciał mnie jakby z innego świata. Począłem nerwowo palcami majstrować przy zamku.

<sup>102</sup>na śmiałego — śmiało, bez obawy. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>dziubus — niesolidarny złodziej, zdradzający tajemnice. [przypis edytorski]



Drzwi były otwarte.

Myśli o wielkich pieniądzach, które tu na mnie oczekiwały i o nagrodzie kochanki dodawały mi odwagi.

Wszedłem do kuchni i wreszcie dotarłem do sypialnego pokoju. Posadzka, przez którą szedłem, wydawała mi się bagnem, w którym utkwili moje nogi. Dławiło mnie coś w gardle. Patrzyłem po obrazach i nie mogłem oczu od nich oderwać.

Zdawało mi się, że ci ludzie patrzą na mnie groźnie i lada chwila zejną ze ścian, by się rzucić na mnie. Zawahałem się chwilę. Trwało to jednak ułamek sekundy. Zrozumiałem, że za daleko posunąłem się już, że o zawróceniu teraz bez łupu nie może być mowy.

Przystąpiłem do rabowania.

W rogu sypialnego pokoju ujrzałem przemocowaną do ściany kasę. Stałem przy niej bezradny. Zdziwiłem się, że współnik mi o tym nie wspomniał. Przerzuciłem tam także rzeczy, których bym i tak nie mógł zabrać. Sam nie wiedziałem już, po co to robię. Byłem jakby w gorączce. Zapomniałem, gdzie się właściwie znajduję. Z szafy wyrzuciłem na rozłożone prześcieradło futra, garnitury, co mi tylko w ręce popadło.

Nie zdawałem sobie zupełnie sprawy, że kradnę w tej chwili. Zapomniałem też objaśnienia współnika, co należy szukać. Czyniłem to wszystko popychany jakąś nadludzką mocą. Jakby moja wola zupełnie tu nie istniała.

Nagle poczułem jakby czyjś wzrok utkwiony we mnie. Twarz moja płonęła, wargi drgały nerwowo. Przyłożyłem rękę do czoła i błędnymi oczyma wodziłem wokoło.

— Co to?...

Zaledwie o trzy kroki ode mnie stał ten sam jegomość, którego współnik odprowadził. Uśmiechał się zjadliwie, patrzył na mnie zdziwiony. W prawej jego ręce spostrzegłem rewolwer.

— Stać i nie ruszać się z miejsca, bo zabiję jak psa! — krzyczał groźnie.

Stałem, patrząc na niego, nie mniej niż on zdziwiony. Ręce bezwładne opuściłem, duszno mi się stało. Poczułem, że wszystka krew napływa mi do mózgu. Z oczu ciekły łzy.

On ciekawie obserwował mnie długą chwilę i rzekł:

— No, panie złodzieju, trudno, nie udało się, rozpaczać nie ma tu co. Cóż robić, nieszczęście chodzi po ludziach. Przepraszam, że przeszkodziłem w pracy — tu uklonił mi się nisko. — Proszę teraz pofatygować się i z powrotem porozkładać i porozwieszać wszystko na swoje miejsce, tak jakby tu nigdy nic nie zaszło.

Widząc zaś, że drzę na całym ciele i nie ruszam się z miejsca, dodał mniej już szyderczym tonem:

— Nie, panie złodzieju, wam złego tu nic nie zrobię, gdy odpowiecie prawdę na moje pytania. Jak będziesz, kawalerze, kłamał, to przymuszony będę cię oddać w ręce policji.

Zrobiłem ruch, jakbym mu się chciał rzucić do nóg i prosić o łaskę, gdyż widziałem się już wrzucony do więzienia i wyobraziłem sobie „korydorszczyka”, który na nowo mnie rozbiera. Chciałem go błagać o ratunek.

Powstrzymał mnie ruchem ręki.

— No, no, widzę, że odgadłem, że jeszcze nie jesteś zupełnie zepsutym chłopcem i mogą jeszcze z ciebie być ludzie. No, powiedz więc, kto cię tu posłał. To twój pomysł nie jest, by mnie okraść. Gadaj prędzej, kto cię tu posłał? Tylko prawdę mów!

Milczałem jak mur. Wpatrywał się we mnie tak bystro, że musiałem głowę opuścić, a gdy widział, że nie odpowiadam, wyciągnął zegarek.

— Kawalerze, widzę, że uparcie milczysz, co? Żal ci wydać kamratów? Patrz — do dał — za dziesięć minut, jeśli nie powiesz, zwołam policję. Tam już ci gębę otworzą. A tymczasem proszę ułożyć wszystko na swoje miejsce. Później porozmawiamy o tym.

Myślałem: czy to możliwe, żeby ten człowiek, którego chciałem okraść, mnie uwolnić? Nie dowierzałem mu zupełnie. Jednak zdziwiło mnie to, że do tego czasu jeszcze się na mnie nie rzucił i że tak łagodnie, choć szyderczo, rozprawia ze mną. Widząc zaś, jak rewolwer włożył do kieszeni, przyszedłem znów trochę do siebie, a nerwy powoli uspokoiły się i zacząłem na zimno rozmyślać, co tu też mam mu „zalewać” na swoje usprawiedliwienie. O wydaniu współnika nie mogło być nawet mowy. Raczej umrzeć, a tego nie zrobić. Myśleć o tym nie chciałem. Co by Hanka wtedy powiedziała?

Tak mniej więcej myślałem podczas wypełniania rozkazu. Tu muszę przyznać, że mimo dobrej chęci z mojej strony, nie potrafiłem ułożyć dużo rzeczy na właściwym miejscu. Przy tej czynności kroczył on za mną krok w krok. Widząc zaś moją niepewność, rzekł żartobliwie, podnosząc na mnie wzrok, w którym mimo wszystkiego mieszał się brak zaufania, a zarazem uczucie strachu.

— Jak widzę, masz słabą pamięć. No więc pomogę ci, kawalerze. — Pokazywał mi przy tym, gdzie co należy ułożyć. A gdy już skończyłem, zagadnął mnie: — Czy już wszystko w porządku?

— Jeszcze nie — odparłem i wyciągnąłem z kieszeni portfel, który zabrałem z zamkniętej szuflady biurka. Na widok portfela zbladł i odebrał mi go z ręki. Sam nie wiem, co tam takiego było, że widok portfela go tak wzruszył. Zauważyłem też, że przez cały czas trzymał prawą rękę w kieszeni. Widać chciał mi dać do zrozumienia, że nie zapomniał o ostrożności i przestrzec, żebym nie próbował czasem uciekać.

Następnie rozkazał, abym dobrze przeszukał swoje kieszenie, czy czasem czegoś jeszcze nie zapomniałem wyłożyć. Uczyniłem to. Gdy już wszystko było skończone, znów wziął się do mnie, by mnie wy badać. Starł się przybrać groźną minę i rzekł:

— Teraz porozmawiamy, kawalerze. A najpierw powiedz i pokaż, jak ty tu wszedłeś i czym otworzyłeś drzwi i biurko, a później będziesz rozmawiał na ten temat dalej.

Chcąc nie chcąc, wskazałem, czym i jak drzwi otworzyłem. Obejrzał też wytrychy na wszystkie strony.

— Doskonały pomysł — mruczał pod nosem.

Następnie rozkazał, bym usiadł przy stole, na krześle, naprzeciw niego, co też wstydliwie uczyniłem, domyślając się, że dopiero zacznie się nudne badanie.

— Skąd ty jesteś? — zapytał po chwili milczenia.

— Z miasta Łodzi — skłamałem.

— Rodzice twoi czym się trudnią?

— Nie mam rodziców, jestem sierotą.

— A co tu robisz w tym mieście i kto cię tu przywiózł, abyś kradł? Gadaj mi zaraz!

— Sam przyjechałem, aby odnaleźć rodzinę, która tu miała mieszkać.

Przy tym opowiedziałem mu zmyśloną, smutną historię, której już nie pamiętam, bym mógł ją dokładnie opisać. Dość, że poczułem, że moje opowiadanie zrobiło na nim wrażenie. Zamyślił się bowiem nieco. Wtedy jakaś kobieta weszła. Domyśliłem się, co to za kobieta.

— Dzień dobry! Co, pan inżynier w domu? — spytała zdziwiona. — Ja naprawdę złękłam się, zastając drzwi otwarte. Myślałam, że broń Boże, złodzieje już tu gospodarują...

Na mnie patrzyła zdziwiona. Pewno mój zewnętrzny, przestraszony wygląd dał ku temu powód.

— Mogę pani przedstawić gościa — rzekł inżynier, śmiejąc się. — Choć nieproszony, ale za to dość miły.

Przy tym opowiedział, co ja za jeden.

— Co pani powie na to — ciągnął triumfującym tonem. — Rano, gdy wyszedłem z domu, by się udać do biura, coś mnie tchnęło już przy samych drzwiach, by zawrócić. No i moje przecucie mnie nie zawiodło. Oto kogo zastałem — pokazał palcem na mnie — w najlepsze, przy opróżnianiu szaf. Był tak pochłonięty swoją pracą, że nie słyszał nawet, gdy tu wszedłem. No i przeszkodziłem człowiekowi w pracy.

Śmiał się teraz wesoło, a nawet prawą rękę wyciągnął już z kieszeni. Kobieta patrzyła na mnie chwilę przestraszona i zagadnęła:

— Co pan myśli z nim zrobić? Trzeba zatelefonować na policję — dodała.

Inżynier zaprzeczył ruchem głowy i odparł:

— Po cóż policję? Ja wolę widzieć złodzieja w domu niż naszą rosyjską policję. Dopiero gdyby oni tu przybyli, to mogłoby naprawdę coś zginąć.

— Panie inżynierze — prosiła baba — pan zawsze lubi żartować... Ot, kto to słyszał coś podobnego? Siedzi sobie złodziej przy panu inżynierze, jakby jakiś porządny człowiek. To naprawdę nie do pomyślenia...

Przy tym załamała ręce, jakby z rozpacz. Jeszcze więcej kobieta lamentowała, gdy inżynier rozkazał, by mi podano poczęstunek. Sam nalał mi kieliszek wina i kazał wypić, jak się wyraził, dla odprężenia nerwów. Poczęstunku nie przyjąłem.

Słuchając tego wszystkiego, doznałem różnych uczuć. Zdawało mi się, że ten okrutny człowiek tylko bawi się ze mną jak kot z myszką, a lada chwila rzuci się na mnie, by mnie zabić albo oddać w ręce policji. Nie mogłem zrozumieć, do czego on właściwie zdąża.

Wtem niespodzianie stanął i przybrał groźną postawę, groźniejszą niż przedtem. Myślałem, że teraz już koniec ze mną.

Był to człowiek w sile wieku, dobrze zbudowany, tak że dałby mi na pewno radę. Mimo woli też zerwałem się ze swego krzesła i stanąłem w pozycji obronnej. Mierzyliśmy się oczyma krótką chwilę, po czym zbliżył się bardziej do mnie. Prawa jego dłoń znowu spoczywała w kieszeni i rzekł stanowczymi tonem:

— Dosyć tej komedii! Powiedz, kto cię tu przysłał. Jak nie, to źle będzie z tobą.

W rękę jego zabłysnął rewolwer.

Daremnie bym silił się opisać tu mój strach, którego się wtedy najadłem. Jednakże nic nie pomogło. Wspólnika nie wydałem. Prawdopodobnie dlatego tylko, że strach odjął mi mowę.

Widziałem już siebie leżącego martwym na podłodze. Wtem poczułem, że uchwycono mnie za kołnierz i bez oporu z mojej strony popchnięto w stronę drzwi. Nie wiem sam, jak się to stało, że znalazłem się na ulicy.

### XXX

Byłem tak pobałamucony tym wszystkim, co ze mną tu zaszło, że chwilę stałem na ulicy jak lunatyk, nie wiedząc, czy śnię, czy to wszystko na jawie. Jakiś przechodzień mnie trącił. Odzyskałem przytomność umysłu i ruszyłem przed siebie.

Teraz na trzeźwo mogłem rozważyć swą dziwną przygodę. Z pierwszą chwilą, gdy go ujrzałem stojącego nade mną z rewolwerem w ręku, doznałem wrażenia, że już wybija moja ostatnia godzina.

Słyszałem już nieraz opowiadania o samosądzie na złodziejach pochwyconych na gorącym uczynku i o tym, że w najlepszym razie oddają ich w ręce policji. Ten nie tylko ze mnie nie skrzywdził, a nawet puścił wolno. Nie mogłem wszakże zrozumieć, dlaczego, gdy odmówiłem przyjęcia poczęstunki, tak się unosił. Dziwiła mnie też cała jego rozmowa ze mną. Albo, gdy mi zabrał wytrych i mówił, że schowa sobie to na pamiątkę.

Później, gdy mi groził rewolwerem, bym wydał współnika, pomyślałem, że to wariat jakiś. Jednak przyznam się, że głęboko gdzieś w duszy jakiś wielki szacunek wyrósł dla tego człowieka. Przypomniałem też sobie, że w jego pokoju sypialnym nad biurkiem wisiał krzyż, na który patrzyłem z jakimś zabobonnym lękiem. Więc to nie był Żyd, pomyślałem. Jednak mnie, Żyda i do tego złodzieja, nie skrzywdził. W mojej głowie nie mogło się to wszystko pomieścić. Szedłem przed siebie automatycznym krokiem i popychany przez przechodniów, zupełnie nie zdałem sobie sprawy, gdzie jestem i dokąd idę.

Powoli przypomniał mi się współnik. Złość mnie ogarnęła. To wszystko on winien — myślałem. — Miał go pilnować i mnie dać znać, zanim się zbliży. Więc on nie dba wcale o moją skórę. Gdy tam wszedłem, na pewno zabrał się do domu i czeka na łup. Ja go nauczę — pomyślałem. — Nie jestem takim frajerem, za jakiego mnie ma. Tu znowu myślałem, co Hanka powie na to. Na pewno mnie wyśmiej, gdy przyjdę do domu z gołymi rękoma.

Przypomniałem sobie, że przed udaniem się na „robotę”, była dla mnie tak bardzo dobra, jak nigdy przedtem. Pewnie powodem tego był obfity łup, który miałem przynieść. A teraz? Wstyd mnie ogarnął, że okazałem się taki niedołężny.

Wyrzucałem teraz sobie w duchu, że za długo tam gapilem się, najpierw w korytarzu, a potem już w środku, zatrzymując się myślami na obrazach, przez co też nie udało się. To znów złość mnie ogarnęła na inżyniera. Wołałem w tej chwili, by oddał mnie w ręce policji, jeśli mnie miał tak lekko traktować. Widać uznał mnie za niezdolnego, by go okraść. To skłoniło mnie do powątpiewania w swoją siłę i odwagę, czy w ogóle ja będę zdolny kiedykolwiek kogoś okraść i czy nie minąłem się z powołaniem.

Nie pachniał mi wprawdzie chleb złodziejski. Zdawało mi się tylko, że już nic innego mi nie pozostaje. W domu mnie nienawidzą. Do pracy czułem się niezdolny. Skosztowałem już zakazanych owoców życia i nieźle mi pachniały. Ale żeby ich pożądać, trzeba mieć dużo pieniędzy. Jedyne sposoby zdobycia ich widziałem tylko w kradzieży i zaprzysięgłem sobie, że je zdobędę. Zdawało mi się, że całe szczęście ludzkie leży w pieniądzu i tylko w pieniądzu. Miałem sposobność przekonać się o tym już w tak stosunkowo krótkim czasie i to od chwili przebycia różnych chwilek po nocnych domach rozpusty, dokąd jako dorożkarz nieraz przywoziłem gości. Nigdy przedtem w mojej wyobraźni nawet sobie nie przedstawiałem, że coś podobnego może istnieć. Najwięcej z zakazanych owoców pociągały mnie kobiety. A żeby być mile widzianym i trafić do ich przekonania, zrozumiałem, że trzeba mieć tylko pieniądze, morze pieniędzy.

Do domu przybyłem już po południu. Jak wielce się zdziwiłem, gdy Hanka padła mi w objęcia.

— Jesteś, mój drogi! — mówiła wzruszona. — Myśmy cię tu już oplakali. Brat mówił, żeś „zasypany”. Nie zdążył cię ostrzec, zanim frajer poszedł. Powiedz, kochany, co się stało?

Opowiedziałem całą naprędce zmyśloną historię, że ledwo uciekłem i że frajera pobiliśmy itd. Chciałem w jej oczach uchodzić za bohatera, co się też udało. Ścisnęła, całowała mnie, szepcząc:

— Mówiłam bratu, że ty nie taki frajer, abys dał się nakryć. Zadowolona jestem z ciebie — rzekła wesoło.

— Gdzie jest brat? — spytałem.

— Brat pobiegł na policję — odparła — i do „machera”<sup>104</sup>. Może da się coś zrobić, mówił, by cię wyrwać.

— Zaczekaj — dodała — polecę go zawiadomić, że ty jesteś cały i zdrow.

I wybiegła na ulicę.

Za godzinę przyszedł wspólnik. Przed nim nie tailem nic. Robiłem mu wyrzuty, że mnie nie ostrzegł. Wypytywał mnie o szczegóły. Gdy skończyłem sprawozdanie, nachmurzył się i stanowczym głosem odparł:

— Ja muszę tego frajera zrobić i ja go zrobię, rozumiesz, za jaką bądź cenę. Dziś mu się udało mnie zaskoczyć i ciebie tam nakryć. Więcej takie coś mu się nie uda. Niech wie, że my nie żartujemy... Na „ślam” go muszę zrobić<sup>105</sup>. Może i nawet kasę zrobię — dodał w zamyśleniu.

Wspólnik, widząc, że nie podchwytuję jego zapału, spojrzał na mnie podejrzliwie.

Oznajmiłem niepewnym głosem, że nie pójdę tam więcej, że nie mogę!...

— Zresztą — rzekłem — i tak tam teraz nic nie zrobimy, pewno po tym zajściu będzie wszystkie wartościowe rzeczy trzymał w kasie ogniotrwałej. Na własne oczy ją widziałem... Nikt na świecie nie otworzy jej — dodałem z przekonaniem.

— Wiedz o tym raz na zawsze, frajerze, że to, co jeden człowiek zbuduje, to drugi się taki znajdzie, co potrafi zepsuć, choćby i kasę. Ty pomimo wszystko, jak widzę, jesteś głupi jak but. Nie martw się, nie takich cwanych frajerów jak ten inżynierek udało mi się zrobić i jego pudło jest zero dla mnie. Niejedno już takie rozprułem — dodał.

Patrzyłem na niego niedowierzająco, słysząc jego przechwałki. Byłem wówczas pewny, że żadna siła na świecie nie potrafi z takiej żelaznej fortecy coś ukraść. On zaś, widząc moją głupią minę, ciągnął dalej:

— Niech cię o to makówka nie boli. Nie jestem „Cwajnosem”, jeśli go nie zrobię jeszcze w tym tygodniu. On nie będzie się spodziewał naszej wizyty tak prędko, więc najlepiej może nam się udać.

— Nie, nigdy tam nie pójdę! Już raz zapowiedziałem to i powtarzam. Nie chcę po raz drugi wpaść w jego ręce — dodałem.

Wspólnik na te ostatnie moje słowa szyderczo i jakoś tajemniczo uśmiechnął się. Doszło między nami do ostrej wymiany słów. Siostra jego, ta kontrolna, była obecna przez cały czas naszej rozmowy. To mnie mocno dziwiło, gdyż sam uczył mnie, że kobieta, choćby z własnych sióstr, nie powinna o niczym wiedzieć. Teraz ona zaczęła nas godzić.

<sup>104</sup>*macher* — pośrednik między złodziejami a policją. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>*zrobić na ślam* — okraść podczas snu. [przypis edytorski]

Dopiero dowiedziałem się z jej ust, co za przyczyna była, że inżynier mnie uwolnił. Ona to nadała tę robotę, gdyż ten sam inżynier, mówiła, był jej stałym gościem.

### XXXI

Minęło znów kilka dni. Brałem też udział w „grasowych”<sup>106</sup> robotach, gdyż mój herszt „Cwajnos” nie próżnował. Gdy nie było co lepszego do roboty, rozsyłał nas po mieście, a my staraliśmy się, by próżno nie wracać. Takie różne rzeczy codziennego użytku zawsze udało nam się skraść. Sam jednak nie brał udziału w takich wyprawach, tylko czuwał z daleka. Gdy zaś który z „koników” zasypał się, wówczas „Cwajnos” interweniował. Interwencja zależała od samego „konika”. O ile był to zdolny „konik”, wówczas „Cwajnos” starał się wydostać go za pomocą „blatu”. Gdy dostał się do więzienia, podawał mu przez cały czas pobytu w więzieniu „wałówkę”, gdy „konik” zaś nie posiadał sprytu i zdolności, jakiej wymaga fach złodziejski, starczało mu dla spokoju sumienia wypić z policjantem kieliszek „pejsachówki”. Knajpiarz, gdzie „Cwajnos” w takich wypadkach pił, doskonale orientował podług liczby wypitych kieliszków, ile też „koników” tego dnia zabrała policja.

„Koniki” rekrutowali się przeważnie z sierot „*Azgochas josemim*” (Opieka nad sierotami) w wieku od lat dwunastu wzwyż. Miał ich „Cwajnos”, ile serce zapragnęło. Mógł nawet wybierać. Zwykle brał pod uwagę spryt i siły fizyczne. Bywało też, że taki sierota przyprowadził takiego, co posiadał rodziców, tylko że w domu było mu za ciasno lub go bito może za to, że nie chciał przebywać w chederze. Tu zaś otrzymał dobre jedzenie, nocleg, nawet cukierek. Ubranie, to już zależało od zdolności samego „konika”...

Opiekunką — „matką” tych „koników” i przyszłych „kryminalistów” — była matka „Cwajnosa”, kobieta pięćdziesięciokilkuletnia, o wyglądzie czarownicy biblijnej.

Muszę jednak przyznać, że doskonale wywiązywała się ze swego zadania i potrafiła tę bandę utrzymać w karbach tak, że nie było wypadku, by „konik” na policji wydał opiekuna i jego matkę. Więc trzeba przyznać, że umiała sobie dobrać dzieci.

Na początku mojej kariery u „Cwajnosa” próbowała jego matka i mną kierować, ale Hanka uprzedziła ją i wyłącznie mną się opiekowała. Ten zaszczyt, który mnie spotkał, jak mi się ona sama przyznała, mam do zawdzięczenia umiejętności pisania i czytania. Odebrałem nieraz pochwałę za ładne listy, które im pisałem do krewnych w Ameryce. W odpowiedzi przychodziły dolary. Jednym słowem, uchodziłem tu za uczonego. Byłem tu uprzywilejowanym „konikiem” i brałem od pierwszego razu udział w lepszych wyprawach z samym „Cwajnosem”, co równało się wielkiemu zaszczytowi.

Tu muszę zaznaczyć, że Hanka mnie zapewniała, iż będzie też pilnować moich interesów, abym nie został oszukany przez brata, o którym się wyraziła, że na całym świecie nie ma większego lotra jak on. A brat mnie znów ostrzegwał, abym z nią był ostrożny i nie mówił o „robotach”, bo takiej łajdacznicy jaką ona jest, twierdził, nawet w piekle nie znajdzie.

Co do mnie zaś, uważałem, że możliwie oboje mają zupełną rację, przez co w duchu postanowiłem być ostrożny, dopóki nie wyrobię sobie własnego sądu o kochance i współniku.

Pewnego dnia z wieczora, gdy przybyłem do domu, nie zastałem Hanki. Natomiast z piętra, gdzie odbywały się orgie nocne i gdzie też mieszkała jej siostra, doleciały mnie śmiechy i głośne jakieś okrzyki. Odróżniłem zaraz między innymi też i śmiech Hanki. Zdziwiło mnie to tym bardziej, gdyż nie tylko że dotychczas nie brała udziału w orgiach nocnych, ale nigdy tam nie bywała. Więc poszedłem na górę, by zobaczyć, czy się nie mylę.

Drzwi były zamknięte.

Nie chciałem zastukać, by mi otworzono, tylko cichutko wytrychem otworzyłem drzwi i stanąłem w progu.

Moim oczom przedstawił się zabawny widok.

Dookoła stołu biegało w kalesonach dwóch mężczyzn, za którymi, wykrzykując, ugaśniało się kilka kobiet zupełnie nagich, tylko w pończochach! Między innymi poznałem i Hankę. Ta ostatnia siedziała na kolanach rosłego mężczyzny i śmiała się na wpół przytomnie, nerwowym, pijackim śmiechem. Opróżnionych butelek stało pełno na stole. Żal

<sup>106</sup>grasowa — zapewne od: grasować. [przypis edytorski]

mnie ogarnął i dziwnego doznałem uczucia. Co się zaś działo w mojej duszy, nie jestem zdolny opisać. Żeby nie strach przed nimi, gdyż dużo ich tam było, na pewno rzuciłbym się na niewierną kochankę. Chciałem już zawrócić, by na to nie patrzeć. Wtem siostra jej mnie spostrzegła, rzuciła się do mnie, ciągnąc mnie do środka. Chciałem się uwolnić, lecz dzielni oficerowie rosyjscy pospieszyli jej z pomocą i posadzono mnie gwałtem przy stole. Usiłowali mnie też rozebrać, lecz broniłem się zawzięcie. Jednak chcąc nie chcąc, pić musiałem z nimi i przy każdym kieliszku musiałem też wznosić toasty.

— *Da zdrawstwujejt wojna*<sup>107</sup>!

— *Dalaj Germania*<sup>108</sup>!

I jeszcze inne okrzyki na cześć wojny. Hanka uczepiła się mnie za szyję i płakała pijackimi łzami. Była zupełnie pijana. Nic nie rozumiałem, co tu zaszło, że ona się też tu znajduje. Zabawa trwała do późnej nocy. Dopiero po obiedzie, gdy się przebudziłem na swym posłaniu, zdziwiłem się, jak i kiedy mnie tu umieszczono.

Gdy się już ubrałem, było po trzeciej. Głowa mnie jeszcze bolała tak, że ledwie się na nogach trzymałem. Byłem zły sam na siebie. Postanowiłem się zaraz rozmówić z Hanką, co to ma znaczyć to jej zachowanie się i co się tu działo tej nocy.

W domu jej znów nie było. Zrozumiałem, że jest u siostry. Poszedłem na górę. Przywitano mnie tu wesoło. Był tam „Cwajnos” i matka. Wszyscy patrzyli ciekawie na mnie i zarazem wyzywająco, a siostra jej pierwsza cynicznie odezwała się do mnie:

— Co, szwagierku, z twoją ulubioną się stanie, gdy i ciebie wezmą na wojnę? — I wybuchnęła śmiechem.

— Na jaką wojnę? — spytałem. — Ja tam o żadnej wojnie nie wiem, to wódka wczorajsza wam w głowie rozum pomieszała.

— Co ty, z księżycą spadłeś? — odezwał się „Cwajnos”. — Wszyscy o niczym nie mówią teraz, tylko o wojnie z Niemcami.

Śluchałem ciekawie jego wywodów. Objął mi z zadowoleniem, że teraz dopiero przyjdą dobre czasy dla kobietki... przy czym pokazał w kierunku siostry.

Siostra wtrąciła się do rozmowy:

— Słuchaj, szwagierku, jeśli ty nie będziesz teraz głupi, to się dobrze odreperujesz. Hanka będzie miała powodzenie i dobrze zarobi. Widzisz, dopiero wczoraj wojna wybuchła, a już nas rozrywają. Teraz kobietki będą cenione na wagę złota. Patrz, przez wczorajszą noc ja i Hanka zarobiłyśmy sto pięćdziesiąt dziewięć rubli. No i dla was dobre czasy nastały. Policja będzie zajęta wojną, a wam dadzą zupełnie spokój, będziecie mogli kraść na całego.

Jeszcze różne korzyści wojny wskazywała, po czym znów bezmyślnie roześmiała się na cały głos.

Hanka przez cały czas tej rozmowy stała oparta przy oknie i smutno patrzyła w moją stronę. Widać, że po hucznej nocy nie odważyła się zbliżyć do mnie. Wiedziała, że ja nigdy na to nie zgodzę się, by ona zarabiała swym ciałem...

— Powiedz mi, Hanko — wreszcie spytałem — co to ma wszystko znaczyć?... Jak ci nie wstyd? — dodałem, zapalając się coraz bardziej, prawiąc morały jeden za drugim, które znałem z *Talmudu*. Doszło aż do kłótni między mną a rodzeństwem.

— Ty, brachu, nie bądź taki mądry — wtrącił się „Cwajnos”. Nie podnoś tu tak głosu, ja się potrafię z tobą raz dwa załatwić.

Powstała między nami groźna wymiana słów. Niedużo brakowało, aby doszło do bójki.

Hanka trzymała tu moją stronę. Stanęła między mną a bratem. Matka zaś wyrzucała mi, że jestem darmozjadem i że ze mnie nigdy nie będzie dobry złodziej.

Siostra zaś jej rzekła do mnie ze złością:

— Ładny kochanek! Przy takim kochanku można z głodu umrzeć. Fajny mi złodziej, co się daje nakryć w robocie i nic nigdy ukraść nie potrafi...

Awantura skończyła się wtedy, gdy Hanka pociągnęła mnie za sobą na dół.

Hanka była lekkomyślną dziewczyną, ale nigdy złą. Chowala się bez ojca, którego nigdy nie znała. Jestem pewny, że sama jej matka nie byłaby w stanie bliżej określić

<sup>107</sup>*da zdrawstwujejt wojna* (ros.) — niech żyje wojna. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>*dalaj Germania* (ros.) — precz z Niemcami. [przypis edytorski]

postaci ojca Hanki. Dzieci jej były zarobione, jak to ona zwykła była sama się o tym wyrażać, wcale się z tym nie kryła.

Matka jej miała za sobą bardzo burzliwą przeszłość. Opowiadała mi raz, że za młodu była piękna i niejedną awanturę wywołała między swoimi wielbicielami. Później utrzymywała pewien czas dom rozpusty w Charbinie<sup>109</sup>, a nawet w samych Chinach. Jako ślad po dawnej urodzie, którą się tak chwaliła, pozostały jej teraz tylko oczy, duże, czarne oczy jak noc. Nigdy nie mogłem wytrzymać jej przenikliwego wzroku. Córki miały też takie same niespokojne oczy, co dodawało im uroku. Utrzymywała też i teraz dom schadzek, a gdy córki dorosły, starsza prowadziła dalej interes. Ona zaś pomagała synowi, opiekując się, jak już wyżej rzekłem, „konikami”. Hanka długo opierała się, by nie zostać kontrolną. Nie pomagało naleganie matki, siostry i brata, który ją bił za to, że jest głupią gęsią.

Nieraz siostra mi mówiła, że Hanka jest urodziwa i powinna to umieć odpowiednio wykorzystać, by zrobić pieniądze, a nie trzymać się tam jednego kochanka... Siostra także jej tłumaczyła, że w ten sposób marnuje tylko swoją urodę bez żadnej korzyści...

Teraz uległa naporowi rodzeństwa. Podła matka wytłumaczyła, że teraz, gdy jest wojna, jest czas najlepszy i sposobność zrobić majątek. Jeszcze dużo innych pokus przedstawiała niedowierzającej córce. Hanka przyjmowała to niechętnie, ale uległa. Opowiadała mi wszystko, co się stało tej nocy. Dzielny oficer, który ją trzymał na kolanach, dał za to aż sto rubli, by ją pojąć. Nie chciała w żaden sposób, lecz zagrozili, że ją zupełnie z domu wyrzucą, o ile się na to nie zgodzi. Siostra narzekała, że przez nią goście przestaną i ją odwiedzać. Tak długo ją męczyli, aż się zgodziła.

Słuchając jej, żal mi się jej zrobiło. Snuła teraz przede mną plany na przyszłość:

— Widzisz, mój kochanku — mówiła — nie gniewaj się na mnie. Ja zarobię dużo, bardzo dużo pieniędzy, a potem wyjedziemy do Ameryki. Tam dopiero się „ożenimy” — zakończyła naiwnie.

Wyznała mi też, że mnie naprawdę kocha i postanowiła sama się poświęcić po to, jak mówiła, abym ja nie chodził kraść.

— Nie chcę, by tobie, mój kochany, groziło więzienie — mówiła — a mnie najwyżej grozi kilka dni w „łabaju”<sup>110</sup>, ale będę ostrożna — zakończyła smutnie.

Hanka wiedziała wszystko z mojego życia. Sam jej opowiedziałem o jesywecie, o matce, o Soni. Odczuwała to, że ja też niechętnie oddaję się temu życiu, przez co myślała, że się chętnie na to zgodzę, by ona szła zarabiać na ulicę. W zamian za to miałem dać słowo, że się z nią ożenię. Ja, prawdę mówiąc, wyczerpałem cały zapas swojej wymowy, by ją powstrzymać od tego kroku, gdyż przyznam się, że nie tak o nią mi chodziło, tylko że byłem zazdrosny.

Ona zaś uparcie twierdziła, że zarobi tyle pieniędzy, że dla nas obojga wystarczy. Ażeby mnie przekonać, wyciągnęła zza pończochy kilka banknotów po dziesięć rubli, prosząc, bym to przyjął.

Była to połowa pieniędzy z tej zarobionej setki. Resztę zabrała matka.

— Bierz — prosiła błagalnie, widząc moje wahanie. Jednak byłem już na tyle podły, że po krótkim wahaniu pieniądze schowałem do kieszeni, pomimo że dobrze wiedziałem, że zarobione zostały jej ciałem...

Upłynęło kilka tygodni. O wojnie już wróble na dachu i każde dziecko wiedziało. Wszędzie było widać wojsko, a nawet i rannych. Pomimo prośby Hanki, bym nie szedł kraść, teraz z jeszcze większym zapałem szukałem wrażeń w niebezpieczeństwie, które mi groziło w kradzieży. Robiłem to jej na złość, gdyż po całych nieomal nocach bawiła poza domem. Bywały też dni, że myśmy zupełnie się nie spotykali ze sobą. Porobiłem też różne znajomości. Miałem teraz dużo kolegów i koleżanek ze świata przestępczego.

Z dnia na dzień czułem to, że staczam się coraz niżej i niżej. Uprzytomniłem sobie swoje położenie, przypominając sobie matkę i dom ojca. Wtedy chciałem się oderwać od tego życia. Ale nie starczyło mi na to woli i choć czułem swój upadek, jednak nie mogłem się zatrzymać i brnąłem coraz dalej i dalej.

Różne wyrzuty sumienia trwały zaledwie jedną sekundę. A nawet po takim wstrząsie, z jeszcze większym zapałem oddawałem się w objęcia występkom i hulankom.

<sup>109</sup>Charbin (*Harbin*) — miasto w Mandżurii. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>łabaj — oddział szpitalny dla wenerycznie chorych. [przypis edytorski]

Jednym słowem z dnia na dzień zyskiwałem więcej przyjaciół i każdy z „naszych” chętnie chciał mieć mnie za współnika. Przyczyn tego powodzenia w dużej mierze należy szukać w tym, że miałem też za kochankę znaną w tej sferze piękną siostrę „Cwajnos”, do której każdy się umizgał, a także w mojej sile fizycznej, która tu jest najwięcej ceniona, no i w tym, jak już wspomniałem, że uchodziłem za uczonego. Zaimponowało im to, że były kandydat na rabina należy do ich zacnego grona. Zawsze okazywano mi z tego powodu szacunek, gdyż pomimo że byłem „początkujący”, zapraszano mnie i na „dintojrę”<sup>111</sup> i chętnie słuchano tam mojego zdania.

Wypadek, który się też wkrótce zdarzył, uczynił mnie więcej popularnym między swoimi, a więc i to czytelnikowi opowiem.

## XXXII

Pewnego dnia zapadła u nas decyzja, że w tę noc mamy się wybierać na pewną bardzo ryzykowną wyprawę. Robota polegała na tym, że mieliśmy opróżnić sklep jubilerski. A było to nie lada zadanie do wykonania, tym bardziej, że nocny stróż, znany nam ze swojej gorliwości, strzegł go pilnie i był na tyle ostrożny, że co parę minut macał zamki i oglądał sztaby żelazne przy okiennicach. Ten sam stróż niejednemu udaremnił robotę na sklepy przy tej ulicy, a nawet do więzienia kilku już w tym czasie wpakował. Więc nic w tym dziwnego, że pałałem do niego chęcią zemsty, a każdy z nas marzył, by mu jakiegoś figla wypłatać. A wtedy opinia jego, którą między właścicielami interesów się cieszył jako pogromca złodziei, spadłaby do zera.

Była chłodna, jesienna noc. O północy trzech nas, mężczyzn i jedna kobieta, sunęło jak cienie w kierunku tej ulicy, gdzie miał być wykonany plan, który ułożył „Cwajnos”. Każdy z nas znał dobrze swoją funkcję. Byliśmy gotowi nawet w ogień wskoczyć na rozkaz swego herszta. Jednogłośnie uznaliśmy, że plan jego jest wprost genialny i robota musi się nam udać. Jednakże, pomimo naszej pewności siebie, nie odbyło się to bez bicia serca, które zawsze podobnej wyprawie towarzyszyć jednak musi.

Nareszcie przystąpiliśmy do dzieła. Dziewczyna wręczyła nam statki, gdyż na kobietę nikt tak prędko nie zwraca uwagi. Dlatego też narzędzia złodziejskie ona zawsze nosiła. Następnie oddała się, by wykonać dalsze polecenie. Ja i „Cwajnos” w upatrzoną chwilę, by nie ściągnąć na siebie uwagi podejrzliwego stróża, skradaliśmy się po przeciwnej stronie ulicy i ukryliśmy się w bramie naprzeciw tego sklepu.

— Gwałt! — ratunek! — złodzieje! — bandyci! — usłyszeliśmy krzyk, dochodzący od rogu ulicy.

Jak już zaznaczyłem, ten stróż zawsze czuwał. Więc nic dziwnego, że na taki rozpaczliwy krzyk kobiety wołającej o pomoc, pospieszył tam galopem. Na to właśnie czekaliśmy, by wykorzystać moment i prędko doskoczyliśmy do drzwi sklepu i dobranym kluczem otworzyliśmy momentalnie zamki, a żaluzję powolnie, bez oporu podnieśliśmy w górę. „Cwajnos” wsunął się z dwoma skórzanymi workami do środka. Ja zaś powoli zsunąłem żaluzję i zamknąłem tak samo, jak w pierw było i oddaliłem się znowu do bramy naprzeciw, na umówiony posturunek, skąd miałem obserwować dalsze wypadki.

Stróża, dzięki temu wołaniu o pomoc, nie było z pół godziny. Obserwowałem go zaś, gdy powrócił. Próbował natychmiast zamki całego szeregu sklepów. Opukał wszędzie i przeklinał głośno, na czym świat stoi, łobuzów i złodziei, którzy spokoju ludziom i przechodniom nie dadzą.

Widziałem, jak zbliżył się do sklepu jubilerskiego. Oka z niego nie spuszczałem. Szarpnął ze złością zamki i obejrzał sztaby wystawnego okna. Zdawało mi się, że on coś tam spostrzegł, gdyż stał tam dłużej niż przy innych. Za chwilę oddalił się o kilka kroków i oparł się o ścianę. Postawił swój kij i zapalił papierosa. Następnie zaczął powolnym krokiem spacerować tam i z powrotem na kawałku ulicy, mrużąc coś pod nosem.

Stałem we „framudze” bramy, jakby przyklepiony do muru, obserwując każdy jego ruch. Każda minuta wydawała mi się tu wiekiem. Wtem furtka bramy, przy której stałem, otworzyła się. Drgnąłem. Był to spodziewany tu przeze mnie trzeci współnik.

Podszedł on do mnie tak cicho, jak wąż. Dopiero, gdy stanął przede mną, ujrzałem go.

<sup>111</sup>*dintojra* — sąd złodziejski. [przypis edytorski]



— Co słytać tu? — szepnął mi do ucha. — Wszystko, co do mnie należało, wykonałem, Plan się nam dotąd doskonale udał. A słyżaleś ten hałas, co ona narobiła? Udałem, że ją biję laską po głowie. Dopiero, gdy „skower”<sup>112</sup> się zbliżył, uciekłem. Zdaje mi się, że nawet zemdlala i telefonowano po pogotowie. Fest dziewczyna. Dobrze swoją rolę odegrała, później zgasilem też na ulicy latarnię, żeby nie było tak jasno. A tu jak wam poszło?

— Wszystko do tego czasu dobrze idzie — odrzekłem. — Tylko patrz, przeklęty stróż na krok stąd się nie oddala. Co będzie, gdy się i później stąd nie ruszy, a przyjdzie czas, by wypuścić go z roboty... Co wtedy, brachu, zrobimy?

— Co zrobimy? — odparł współnik. — Będziemy musieli wszelkich sposobów używać, by go koniecznie stąd usunąć. A nawet ostatecznie musielibyśmy i siły użyć...

Przy tym podsunął mi rewolwer pod sam nos, żeby mi pokazać, że on nie stchórzy.

Przyznam szczerze, że na widok tego przedmiotu morderczego, którego dotąd jak żyję nie miałem w ręku, niedobrze mi się zrobiło i dreszcz mnie przejął. Więc ja miałbym nawet i człowieka zamordować? Nie! Nigdy! Kradzież, to jest inna rzecz, ale stać się mordercą, za nic w świecie.

Nie mogłem sobie wtedy nawet tego wyobrazić, że człowiek może być w ogóle do tego zdolny.

Staliśmy obaj jeden przy drugim, wsłuchując się w ciszę nocną. Od czasu do czasu ciszę tę przerywał gwizdek nocnej policji lub też stuknięcie stróża okutą laską o asfalt. Pomimo naszej pewności siebie, którą jeden przed drugim starał się okazać, obaj słyżeliśmy bicie własnych serc. Jestem pewny, że obaj myśleliśmy o jednym i tym samym, żeby ta straszna niepewność jak najprędzej się skończyła.

Ten mój zacny kolega niedawno temu opuścił głośne mury więzienia w Orle<sup>113</sup>, gdzie odbył czteroletnią karę „aresztanckich rot”. W moich oczach wyrósł na bohatera. Cztery lata, pomyślałem...

Nigdy nie brałbym na wiarę, że jest to możliwe aż cztery lata siedzieć, gdybym nie znał tego człowieka. Jeszcze do tego siedzieć w Orle. Straszne rzeczy opowiadano. Za byle jakie przewinienie zachłostano tam na śmierć. „Cwajnos” przyjął go do tej wyprawy jako współnika. Przy tym nie dał mu bardzo ryzykować. Wolał sam, jak mówił, iść do środka interesu, gdyż stwierdził, że osiemdziesiąt procent powodzenia jest po stronie policji. Chciał dać możliwość łatwiejszego zarobku takiemu męczennikowi i starszemu koledze, który tak długo siedział za kratami.

Zwyczaj jest ściśle przestrzegany w tym świecie, że gdy złodziej odsiedzi większy wyrok, należy go brać na robotę, by zarobił, a przy tym nie dać mu ryzykować za bardzo, a „dole” zawsze otrzymuje na równi z innymi.

Nareszcie po długim i niecierpliwym oczekiwaniu ukazał się w oknie wystawowym umówiony „cynk”. Był to dany nam znak, że już robota jest skończona. Trzeba teraz myśleć tylko o wydostaniu go z matni razem z łupem... Ale jak?

Stróż teraz jakby się uwziął i na złość stanął przy trzecim sklepie, oparty na kij, jakby nie miał zamiaru zupełnie się stąd nigdy ruszyć. Czekaliśmy wytrwale, gdyż dobrze wiedzieliśmy, że do jego obowiązku należy pół ulicy. Pewni byliśmy, że w pierw czy później musi się oddalić.

Nareszcie ruszył. Odetchnęliśmy z ulgą. Ale co nastąpiło teraz, to nam krew w żyłach stanęła. Otóż zrobił kilka kroków, stanął przy tym sklepie, na który skierowana była cała nasza uwaga, obejrzał zamki, zajrzał do środka na chwilę i to trwało dłużej niż w pierw czynił. Następnie oparł się plecami o żaluzję od drzwi i wygwizdywał jakąś piosenkę.

Wyglądało to, jakby wiedział, co się tu dzieje i że my tu jesteśmy, jakby kpił sobie z nas. Pilnuje tylko teraz, by ptaszek został w sidle do rana.

Im dłużej się zastanawiałem nad jego zachowaniem się, tym mniej czułem się pewny i większa ogarniała mnie rozpacz.

— Coś się stać musiało, pewno on coś zauważył, ale co?

Wspólnik, który więcej znał się na tych sprawach niż ja, też zaczął się niepokoić i szepnął mi prosto do ucha:

<sup>112</sup>skower — stróż albo policjant. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>więzienie w Orle — ciężkie więzienie katorżnicze w Rosji, wzniesione w roku 1840. [przypis edytorski]

— Wiesz co, brachu... Jak tak dalej pójdzie i „skower” stąd nie odstąpi za jakąś gozdzinkę, będziemy musieli go „brać”. Zrozumiałeś?

Za dobrze go rozumiałem. Ciarki mnie przeszły po całym ciele. Nigdy przedtem nie znajdowałem się w takiej sytuacji. Zawrócić stąd znaczyło ściągnąć na siebie konsekwencje, wytoczą „dyntorię”<sup>114</sup>.

Wiedziałem już, co to znaczy „dyntoria”. Byłem raz świadkiem, jak ona smutnie zakończyła się dla oskarżonego. Widziałem, jak ten błagał, prosił, by mu przebaczone. Ale groźni sędziowie byli nieubłagani. Chodziło o to, że ten przyznał się na policji, gdy go aresztowano, że wie, kto tę kradzież popełnił, o którą jego posądzono. A cóż dopiero spotkałoby mnie, gdybym stchórzył i uciekł z posterunku, zostawiając współnika dla policji?

Przypomniałem sobie słowa „Cwajnosy”, które mi na wykładzie wciąż powtarzał: „Wspólnik dla złodzieja to jest wszystko, ojciec, brat, siostra, należy go szanować, a w razie niebezpieczeństwa za niego ostatnią kroplę krwi oddać”. A gdy go wówczas spytałem, dlaczego on tak nie postępuje z „konikiem”, to mi wtedy objaśnił, że co innego jest „konik”, a co innego jest stały współnik. Więc ja byłem jego stałym współnikiem, ba, nawet szwagrem, tym bardziej muszę go ratować. No i łup obfity też coś tam znaczy i nigdy by oni mi tej straty nie przebaczyli.

Tu spojrziałem na współnika i pomyślałem: Ten oto człowiek, który stoi przy mnie i nerwowo ściska w kieszeni rewolwer, gdy nie będę chciał mu pomóc, czy mnie zaraz nie ukarze? Na pewno on stąd tak na próżno nie odstąpi i nie cofnie się przed niczym.

Smutne to były myśli. Zrozumiałem też teraz, że takie życie, jakie sobie obrałem, jest więcej niebezpieczne niż to sobie wyobrażałem. Bo do tego czasu myślałem, że trzeba się strzec policji. Teraz zaś rozumiałem, że trzeba być bardzo ostrożnym we współżyciu z własnymi towarzyszami i że za najmniejsze uchybienie grozi mi „dyntoria”.

Stróż nie ustąpił. Już godzina upłynęła, która wydawała mi się wiecznością. Bezradnie stałem, patrząc na alarmujące znaki ze środka, które dawał nam „Cwajnos”, tylko dla nas rozumiałe. Widać, że on poczuł niebezpieczeństwo, które mu zagrażało.

Na niebie ukazały się pierwsze blaski dnia, a stróż nie ruszał się z miejsca, każda sekunda wydawała się nam teraz wiekiem. Sprawa nie cierpiała zwłoki. Za chwilę miało świtać, groziło nam odkrycie, a co gorzej, nasz współnik, o ile go nie zabiją, powędruje stąd prosto do więziennego szpitala.

Nagle wpadłem na pomysł, że sam się zdziwiłem, skąd powstał on w mojej frajerskiej głowie.

— Wiesz co — rzekłem do współnika, który już nalegał, by „brać” stróża i nie czekać więcej — ty tu zostań, masz tu klucze, a ja pójdę przez podwórze i wyjdę na drugą stronę ulicy. Tam zacznę głośno szabrem majstrować przy sklepie na rogu ulicy, tak by on to usłyszał. O ile tylko przypadkowo oparł się tu przy żaluzji, to zaraz przybiegnie do mnie, a ty wtedy nie trać czasu i wypuść go ze środka. Gdy zaś wie, że on tam jest, a tylko się z nas naigrawa, będziemy wtedy zmuszeni go „brać”. Zgoda?

Wspólnik mnie podejrzliwie zmierzył od góry do dołu i odparł:

— Ano! Spróbuj, ale jak się nie uda, to pamiętaj, nie ociągaj się i przychodź zaraz! Nie mamy jednej minuty do stracenia — dodał.

Przesunąłem się cicho przez podwórze, potem przez tylną uliczkę. Tu muszę zaznaczyć, że to podwórze było przechodnie, a obie furtki współnik otworzył wytrychem, byśmy mieli się którędy ulotnić. Prędko dążyłem tam jednak z myślą, że o ile mi się fortel nie uda, to wprost stamtąd będę dążył na dworzec, by uciekać z tego miasta.

Za chwilę stanąłem przy sklepie. Narobiłem takiego hałasu przy zamkach, że stróż oddalony o jakie sto kroków powinien usłyszeć.

Minęło kilka minut i kiedy pomyślałem już, że plan mój się nie udał, usłyszałem przytłumione kroki stróża. Odetchnąłem z ulgą. Plan się powiódł. Więc on nie wie o niczym — pomyślałem — i prędko teraz już biegłem z powrotem do współników.

Wszystko nadspodziewanie gładko poszło.

Stróż połapał się, że go wyprowadzono w pole, ale wtedy było już za późno. Z daleka doleciał nas jego alarm. Zdążyliśmy się jednak ulotnić z łupem.

<sup>114</sup>dyntoria — zniekształcona forma wyrazu: dintojra („koleżeński” sąd przestępczy). [przypis edytorski]

Nie trwało piętnaście minut, a już siedzieliśmy bezpiecznie na jednej z „melin” w pobliżu tejże ulicy, gdzie kradzież popełniono.

Gdy „Cwajnos” usłyszał fortel, jakiego użyłem, by go ratować, złapał mnie w objęcia i wychwalał pod niebiosa.

Wszyscy obecni klepali mnie po ramieniu na znak poszanowania. Prędko też rozniosło się to między naszymi i zyskałem na powadze. Nawet weterani fachu złodziejskiego, co z niejednego pieca więziennego chleb jedli, przy spotkaniu się ze mną podawali mi rękę, co należało uważać za wielki zaszczyt.

Łup był nadspodziewanie obfity. Na drugi dzień wszystką biżuterię i cenniejsze rzeczy sprzedano u pewnego jubilera, który też chętnie paserował.

Resztę zaś srebrnego wyrobu w sporej ilości przenieśliśmy do pasera mniej bogatego. Był to Żyd w starszym już wieku. Obejrzał wszystko i przy tym raz po raz spoglądał na nas. Mamrotał coś pod nosem, kiwając smutno brodą, jakby nam chciał powiedzieć: „nie takich bezwartościowych rzeczy spodziewałem się po was, możecie to zabrać sobie z powrotem!”

Po obejrzeniu wszystkiego zwrócił się do „Cwajnosa”, którego dobrze znał i nieraz od niego podobne rzeczy kupował i zagadnął go z miną zakłopotaną:

— Co ty chcesz za ten szmelc? — Przy tym pogardliwie pokazał palcem na przedmioty leżące na podłodze.

— Za jaki szmelc? — odparł „Cwajnos”, udając zdziwienie. — Tu wszystko jest nowe, nawet razu nie używane, prosto z fabryki. Ładny szmelc! — przy tym wykrzywił twarz, co wyglądało na uśmiech.

— Co? I ty już zwiariowałeś! — rzucił się paser. — Ja to muszę roztopić. Tak nie można tego trzymać, a do więzienia się dostać nie mam jeszcze ochoty. Dla mnie to jest tylko szmelc i nic więcej!

— No, no, stary! Ty się tak nie rzucaj — rzekł „Cwajnos” poufale — gadaj no, co naprawdę możesz nam zapłacić.

— Po pięć rubli za funt — odparł paser stanowczym tonem. — To więcej dla mnie niewarte.

Tu spojrzął spode łba na mnie, ponieważ po raz pierwszy mnie widział.

„Cwajnos” po namyśle odparł:

— Daj mi po dziesięć rubli za funt i będzie kwita. Wiesz, stary, że ja się nie lubię targować — dodał poufale.

— Co? Dziesięć rubli za funt? Czy ty czasem nie masz gorączki? Możesz to zabrać — rzucił się paser, jak opętany wymachując rękoma, a po chwili namysłu dodał: — Jak jestem Żydem! — tu uderzył się w piersi, że aż jęknął — więcej niż sześć rubli nie dam. Możesz z tym iść do Jankła, on ma dużo pieniędzy.

„Cwajnos” po chwili namysłu rzekł do mnie:

— Spakuj to wszystko z powrotem. Pójdziemy do Jankła, on na pewno więcej zapłaci.

Patrzyłem na ten targ po raz pierwszy, gdyż do tego czasu nigdy nie byłem obecny przy sprzedaży u pasera. Zrozumiałem wtedy, że złodziej kradnie tylko na pasera i chciałem już wykonać polecenie. Wtem paser doskoczył, odepchnął mnie tak gwałtownie, że się potoczyłem aż na ścianę.

— Co ty za frajera przyprowadziłeś ze sobą — krzyczał do „Cwajnosa” — on nic nie wie, że paser się targuje, ale „szorii”<sup>115</sup> już z domu nie wypuszcza, choćby mu przyszło do tego interesu dokładać cały majątek. Dam ci siedem za funt, przecież wiesz, że to szmelc i muszę go przetopić. Zgoda? — przy tym wyciągnął rękę do wspólnika, który się chytrze uśmiechał.

Ja, chcąc teraz się zemścić na paserze za to, że mnie tak popchnął i do tego nazwał frajerem, a widząc, że wspólnik jest już gotów się zgodzić, nic nie mówiąc, wszedłem do kuchni i zdjąłem tasak ze ściany. Nie odzywając się ani słowem do obecnych, którzy patrzyli ze zdziwieniem na mnie, zbliżyłem się do kupy srebra, wziąłem kielich i podniosłem tasak w górę. Już chciałem rękę opuścić, by go rozbić na szmelc, paser zbladł, podskoczył do mnie i chwycił mnie za rękę.

— Ny! Co robisz, wariacie?

<sup>115</sup>szorie — kradzione rzeczy. [przypis edytorski]

— Szmelc robię! Przecież pan płaci po siedem rubli tylko za szmelc, więc dam panu szmelc!

Odepchnąłem go przy tym, zabierając się do zniszczenia.

Paser spojrział mi teraz bystro w oczy i zwrócił się do współnika, który się śmiał na głos.

— Na jaką cholere go tu przyprowadziłeś? To pewno wariat jakiś, zatrzymaj go!

Wspólnik, wesoly, drażnił go:

— Co, na ładnego frajera popadłeś! Teraz się nie wtrącam, on sprzedaje, nie ja.

Paser zwrócił się łagodnie do mnie:

— Daj pokój, dam dziewięć rubli, tylko żebyś zawsze do mnie przynosił towar. Spodobałeś mi się. Niechaj będzie tak jak jest, w całości.

— Dwanaście rubli za funt, jak nie, to zrobię z tego szmelc.

Paser jęknął i upadł na krzesło.

— Co to za rozbójnik! — krzyczał, patrząc z wyrzutem na „Cwajnos”. — Jak ty go jeszcze raz tu przyprowadzisz, to cię wyrzucę razem z nim za drzwi. Nigdy już więcej od ciebie nie kupię.

— Jak będzie? — spytałem, obojętny na te pogrożki. — Mam zrobić szmelc?

— Nie, nie! Niech cię już diabli wezmą! Dam te dwanaście rubli pod warunkiem, żebyś więcej do mnie nie przyszedł, bym coś kupił — krzyczał do „Cwajnos”.

Sprawa została załatwiona. Było tego trzydzieści funtów. Wspólnik patrzył na mnie z zachwytem.

Od tego dnia paserzy mnie nienawidzili, mówiąc: „Ten „litwiak”<sup>116</sup> za mądry jest, a paserowi nie daje żyć!” „Cwajnos” odtąd tylko mnie powierzał załatwianie spraw z nimi.

Paserzy próbowali mnie przekupić i chcieli mi dać pewien procent bez wiedzy współników, aby im taniej sprzedać. Ale to im się nie udało. „Cwajnos” już od dnia tego ze mną się liczył. „Dole” otrzymywałem na równi. Nie oszukiwał mnie jak dawniej. Chwalił mnie nieraz do swoich przy kieliszku, pokazując palcem na mnie.

— Patrzcie na mojego terminatora, niedawno był dorożkarzem, a już jest „jęke” na całego. Wyrośnie z niego fest „urke”<sup>117</sup>.

Słowa jego: „gdą jest wojna, będzie lepiej kraść”, sprawdziły się. Nieomal co dzień wybieraliśmy się teraz na jakąś robotę, a wszystko było z dobrym rezultatem.

Policja rosyjska, zdawało się, jakby aresztowała tych złodziei, co kraść nie umieją i nie są zdolni, a tylko paskudzą. Byłem raz obecny przy okradzeniu sklepu obuwia. Gdy byliśmy zajęci przy opróżnianiu półek i pudełek, nagle otworzył ktoś drzwi i wypowiedział do środka sklepu te słowa:

— *Ładno! Ładno! Rebiata, możecie dalsze rabotat’, tolko na zawtra nužno mienia piat’ dziesiat’ rublej*<sup>118</sup>, no i paru *sapog*<sup>119</sup>. — Po czym drzwi się po cichu zamknęły.

Złąkłem się i spytałem współnika, co to ma znaczyć. Wspólnik uspokoił mnie.

— Rób dalej — mówił — to był rewiry tej dzielnicy. On nasz jest, „blatny”<sup>120</sup>. Dał nam tylko tym sposobem do zrozumienia, że wie, kto tu jest i kto robi robotę. Jutro mu się zanieś, co do niego należy.

Tak śmiało się kradło na prawo i lewo. Policja należała do „doli”, więc to dodawało nam odwagi. „Cwajnos” zawsze wiedział, jak ma podejść do jakiego dygnitarza. Temu, co krępował się brać jawnie gotówkę, posyłał do domu podarki. Naturalnie, że tych podarków nie kupował... Innym wysyłał ładną kobietkę. Z opornymi, których potrzebował, starał się przegrać w karty pewną sumę. Takim szczęśliwym graczem był pewien Al...ów.

Zdarzyło się jednego razu, że na gorącym uczynku został schwytany jeden z naszej szajki i odprowadzono go do więzienia. Groziło mu co najmniej cztery lata. Zdawało się tym razem, że wszystko przepadło i nic się tu nie da zrobić, gdyż nowy śledczy przybył w ten rewir, który nie przyjmował blatu i prowadził energicznie sprawy, by ująć jeszcze

<sup>116</sup>litwiak, popr. litwak — tak w Kongresówce nazywano Żydów pochodzących z obszaru dawnej Litwy. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>urke — wybitny złodziej, autorytet w świecie przestępczym. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>Ładno! Ładno! Rebiata, możecie dalsze rabotat’... (ros.) — W porządku, w porządku! Dzieci, możecie sobie dalej pracować, tylko na jutro potrzeba mi pięćdziesiąt rubli. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>sapoga (ros.) — buty. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>blatny — przekupny. [przypis edytorski]

wspólników. Jednak i na niego znalazł się sposób. Odkryli i jego słabą stronę. Ten na pozór groźny, nieprzekupny człowiek był zbrodźcą seksualnym. Przy tym postarali się dostać go w łapę tak, że ten, bojąc się wstydu, przyjął podyktowany mu warunek. Musiał teraz zatańczyć, jak mu grano. Nasz wspólnik został zwolniony.

### XXXIII

Tak, tak, stałem się znaną „osobistością” między swoimi i liczyli oni teraz z moim zdaniem, na dowód czego dano mi przezwisko.

Każdy szanujący się obywatel „złodziejskiego świata” musi takowe posiadać. Świat, zdaje mi się, nie mógłby istnieć, gdyby na nim nie istnieli tacy obywatele, jak Rudy-Felek, Drabuś, Diabeł, Cwajnos, no i Hipki-Wariaty itp. Tu bierze mnie chęć i nie mogę się powstrzymać, by trochę nie pofilozofować. Widok kraty w mojej celi kieruje zawsze moje myśli na drogę „filozoficzną”.

— Czytelniku, wiem to i rozumiem, że czytając moje pismo, mimo woli zapytasz, jak ten człowiek mógł być tak bezwstydnym, nawet podły, by tak bez ogródek chwalić się i opowiadać swoje zbrodnie. A po drugie, o ile autor już jest na tyle bezwstydnym, dlaczego jeszcze dotychczas, pomimo swej bezczelności, nie ma tyle cywilnej odwagi, by wyjawić swoje nazwisko.

Odpowiem: chcę opisać i przedstawić tu z całą nagością prawdę, by wskazać, jak podobni ludzie żyją i umierają, jak kochają i nienawidzą. Staram się odkryć obie strony medalu. Jestem bowiem tego zdania, że trzeba mieć więcej odwagi do przyznania się do zła, aniżeli do popełnienia go.

Na drugie pytanie doprawdy sam nie wiem, co odpowiedzieć, gdyż teraz, pisząc te słowa, nie posiadam nazwiska. Jestem tylko martwym, nic nie znaczącym numerem 183. O ile jednak chcesz wiedzieć, kto kryje się pod tym numerem, żeby zaspokoić Cię, powiem!

Nazywam się — nie... nie! — nie mogę Ci w żaden sposób powiedzieć. Osądz sam, zaczynam dopiero trzydziesty piąty rok życia, o ile można to tylko nazwać życiem. A może kiedyś, kiedyś... z martwego numeru 183 powstanie człowiek, człowiek odrodzony do nowego życia, człowiek o silnej woli, chcący naprawić błędy młodości. Ty jednak będziesz mnie wówczas wytykał palcem, że to ten zbrodniarz, co napisał pamiętnik w więzieniu, pomimo że grzechy moje zostały odkupione długoletnim więzieniem.

„Kara nigdy nie zmywa winy”.

Wszystkie cierpienia w więzieniu są niczym w porównaniu do tego, co czeka takiego jak ja po opuszczeniu więzienia.

Powtarzam to, że ludzie nigdy nie przebaczą. Nie jest złodziejem ten, kto kradnie i rabuje, tylko ten, o którym ludzie wiedzą, że siedział w więzieniu i nosił na grzbiecie chałat więzienny. Ten do grobu jest już napiętnowany, jest na zawsze zbrodniarzem...

Więc czyż mogę siebie reklamować i wyjawiać nazwisko? Sam siebie wystawiać mam na potępienie? Pół życia swego spędziłem za kratami. Za grzechy, które popełniłem jako głupi młodzik, a których wykonanie trwało jedną chwilę, przymuszony jestem cierpieć długie lata jako dorosły i podżyły<sup>121</sup> człowiek. Nie koniec jeszcze na tym, choćbym i dożył nawet do lat matuzalowych, będę cierpiał za to, co popełniłem, będąc jeszcze chłopcem.

Powiedz... powiedz, Czytelniku, czy nie tak jest? Czy w duchu nie przyznasz mi racji?

Jednak powiem ci swe przezwisko, jestem tego pewien, że „Ryszard Lwie Serce” nie był tak dumny ze swego przezwiska, jak ja jestem ze swojego.

Nazywają mnie „Nachalnik”.

Przyznam, że u ludzi z „fajerskiego” świata nie budzi ono bardzo zaufania, ale za to w naszym świecie przezwisko to jest bardzo ładne i szlachetne.

Zaręczam Wam, że dzięki tylko sławie i sprytowi na polu złodziejskim zdobyłem to pięknie brzmiące nazwisko.

Ach! Któż mi w to uwierzy, że ono kosztowało mnie sto razy więcej niż tytuł barona austriackiego, bo aż piętnaście lat i trzy miesiące więzienia.

<sup>121</sup> podżyły — dojrzały. [przypis edytorski]

Hanka też robiła niemniej dobre interesy. Miała powodzenie, nieomal ją rozrywano za jej urodę, górowała nad koleżankami. Bolałem nad jej położeniem, jak również i powodzeniem. Byłem o nią zazdrosny, a potem jako złodziej gardziłem tym jej zarobkiem. Wolałem sam ryzykować, niż brać od niej pieniądze zarobione jej ciałem. Pomimo uprzączego nalegania z jej strony, bym nie chodził kraść, nie usłuchałem. Trzymałem się prawa złodziejskiego, które potępia tego, co ciągnie korzyści od kochanki lub żony, taki jest pogardzany na każdym kroku.

Jednak czasem przymuszony byłem przyjąć od niej pewne niespodzianki, jak garnitury i bieliznę, krawaty i inne drobiazgi.

Bywało nieraz, że gdy kilka dni jej nie było w domu, a później przybyła, wyłącznie się mną zajmowała. W głębi duszy, zdaje mi się, oboje gardziliśmy własnymi stanowiskami. Znalazłszy się sami, robiliśmy sobie nawzajem wyrzuty, a nawet planowaliśmy jakąś uczciwą pracę, o którą nie było trudno, jednak dalej kroczyliśmy oboje tą drogą coraz dalej i dalej. Sami nie mogliśmy tego sobie wytłumaczyć, dlaczego to dalej robiliśmy.

Dzięki trybowi życia, jaki Hanka prowadziła, zrobiłem dużo znajomości z jej koleżankami.

Niejedną noc w czasie jej nieobecności przebywałem u nich. Wiedziałem, że ona jest też zazdrosna, przez co właśnie to uczyniłem. Sprawiało mi to poniekąd przyjemność, by się odegrać za swoje cierpienia. Wiedziałem, że ona wie o tym, bo koleżanki naumyślnie jej o tym opowiadały, by ją tym drażnić. Jednakże ona to gryzła w sobie i nigdy nie robiła mi sceny zazdrości, aż pewnego wieczora przez długie czasy uzbierane żale nareszcie wybuchły.

Było to, o ile się nie mylę, w listopadzie albo też już na początku grudnia, gdyż to pamiętam, że na dworze było znacznie chłodno.

W ów dzień przyszedłem do domu na obiad trochę później niż zwykle. Było już przed wieczorem, gdy wszedłem do pokoju i zastałem Hankę w dobrym humorze w towarzystwie jakiejś kobiety. Hanka zerwała się z miejsca. Nie zdążyłem jeszcze pałta zdjąć, a już przedstawiła mnie jako swego narzeczonego.

Kobieta ta była młoda i dobrze zbudowana. Przy wspólnym obiedzie, w toku rozmowy dowiedziałem się, że jest koleżanką Hanki i że siedziała także sześć miesięcy w więzieniu, a dziś właśnie została zwolniona.

Następnie dowiedziałem się, że gdy została aresztowana, zostawiła u Hanki różną garderobę na przechowanie. Po nią teraz przyszła. Podczas obiadu, gdy Hanka była zajęta obsługiwaniem nas, atakowała mnie tak bezwstydnie, że nawet mnie to krępowało. Po obiedzie poprosiła koleżankę, by ta zezwoliła, bym jej towarzyszył do jednego domu, gdzie miała załatwić pewną sprawę pieniężną. Hanka zezwoliła.

Gdy znaleźliśmy się na ulicy, ujęła mnie od razu pod ramię i przytuliła się do mnie. Jak na tak krótką znajomość było tego trochę za wiele. Próbowałem się bronić, ale nie dała mi przyjść do słowa.

Od razu zaczęła mi mówić per ty i namawiać, bym Hankę porzucił.

— Na co ci taka kobieta — mówiła do mnie — co oddaje się każdemu za pieniądze? Taka nigdy nie potrafi pokochać! Tylko strasznej choroby może się od niej nabyć. Ja jestem dobrą „doliniarką”<sup>122</sup>. Znają mnie chłopaki, mam dwóch braci, są także złodziejami. Nie jestem tam żadną „szlają”<sup>123</sup> — mówiła dumnie. — Jedź ze mną w moje strony, nie pożałujesz tego. Od pierwszej chwili poznania zakochałam się w tobie. Chciałam ci to zaraz wyznać, dlatego poprosiłam, żebyś mi towarzyszył.

I jeszcze inne obiecanki, co się tu nie oplaci opisywać, zrobiły swoje i ośmielony jej wyznaniem, poprosiłem tę cnotliwą koleżankę po fachu do hotelu. Tam, tłumaczyłem, nikt nam nie przeszkodzi w ułożeniu planu do dalszego działania. Chętnie się zgodziła.

W hotelu miałem znajomego numerowego. Znajomość ta datowała się od dawna. Był mi znany z tego, że ułatwiał sytuację zakochanym, by mogli się bliżej ze sobą poznać, naturalnie, że za ekstra wynagrodzeniem.

<sup>122</sup>doliniarka — złodziejka kieszonkowa. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>szlaja — prostytutka. [przypis edytorski]

Gdy weszliśmy do pokoju na trzecim piętrze, odwołałem go na stronę, prosząc, aby wiedział, co ma robić, jeśli Hanka przyjdzie tu i zapyta o mnie. Obiecał to załatwić, znał ją dobrze.

Ona prędko zdjęła wierzchnie okrycie i rzuciła je niedbale na kanapę, pociągając mnie ku sobie. Nie zdążyłem jednak usiąść, a usłyszałem głos Hanki na korytarzu, tuż za drzwiami. Klóciła się z numerowym. Słyszałem też, jak zapewniał ją, że tu mnie nie ma. Ona zaś uparcie twierdziła, że na własne oczy widziała, jak tu wszedłem razem z kobietą.

Nie zdążyłem pomyśleć, co należy teraz zrobić, gdyż już dobijano się gwałtownie do naszych drzwi. Przyjaciółka zaś odruchowo rzuciła się do okna. Złapałem ją za rękę, gdyż myślałem, że ona chce oknem wyskoczyć.

— Kto tam? — spokojnie zapytałem, a gdy krzyczała, bym natychmiast otworzył, odparłem:

— Nie bądź dzieckiem, idź do domu. Ja zaraz też przyjdę. Tu jest taki człowiek, który nie chce, aby go ktoś widział — dodałem.

Zrozumiałem sam niezręczność mojego tłumaczenia, że to nie poskutkuje i że Hanka nie uwierzy, ale co? Naprawdę nie wiedziałem, co mam zrobić.

Hanka wciąż nalegała, bym natychmiast otworzył drzwi. Najpierw prosiła mnie pół żartem, później groziła, a gdy i to nie poskutkowało, zaczęła walić do drzwi z całych sił, rzucając przy tym pod moim adresem grad ubliżających słów, co się tutaj nie da opisać. Czytelnikowi łatwo się domyśleć, że Hanka wychowana w takim środowisku, na pewno miała ich w swoim słowniku spory zapas.

Było tego już za wiele. Ze wszystkich numerów, a nawet z innych pięter mężczyźni, i to przeważnie oficerowie, zbierali się pod drzwiami. Śmiejąc się na głos, spodziewając się tu niezwykłego widowiska, zachęcali ją, by nie ustąpiła.

Ja przede wszystkim nie chciałem się spotkać z policją, która mogła na ten krzyk przybyć. Nie namyślając się dłużej, otworzyłem drzwi i sam dałem susa na korytarz, kierując się do wyjścia na ulicę.

Za jakieś pół godziny Hanka przybyła do domu. Kapelusz trzymała w ręku, włosy miała w nieładzie, a jedno oko było z lekka podbite.

Z góry przewidywałem ten rezultat, gdyż rywalka była silna i dobrze zbudowana. Gdy tylko weszła, od samego progu wzięła się za mnie, rzucając we mnie, co jej pod rękę wpadło. Podskoczyłem do niej, śmiejąc się, chwyciłem ją wpół i posadziłem jak dziecko na kanapkę, po czym zacząłem ją uspokajać i tłumaczyć, by się nie gniewała. Skończyło się na tym, że rozplakała się. Przysięgała przy tym, że wszystkie rzeczy rywalki własnoręcznie potnie nożem i spali.

Stanowczo zapowiedziałem, że na to nigdy nie pozwolę. Widząc mój upór, dała nareszcie za wygraną, jednak pod warunkiem, że tamtej więcej nie zobaczę.

Minęło kilka tygodni po tej awanturze. W sobotę Hanka pół żartem, pół serio, będąc w dobrym humorze poprosiła mnie, bym udał się z nią na jedną z ulic do słynnej wróżki. Zapewniała mnie, że wróżka wszystko wie i odgaduje przeszłość i przyszłość. Tłumaczyła mi też żartem, że chce się upewnić, czy ja jej nie zdradzam. Niechętnie się zgodziłem. Co prawda nie dlatego się zgodziłem, że jej nie zdradzałem, tylko chciałem jej zrobić tę przyjemność, a także przekonać się, czy ta baba naprawdę jest w stanie coś odgadnąć.

Hanka po drodze żartowała jak nigdy, była w bardzo dobrym humorze. Jednak jakoś czułem zdenerwowanie w jej śmiechu, co mnie trochę zdziwiło.

Wróżka przyjęła nas w na pół ciemnym pokoju. Była to stara, zgarbiona, bezzębna Żydówka. Patrząc na nią, mimo woli zadrzałem.

Popatrzyła na nas chwilę, jakby zamglonymi oczyma, po czym wyciągnęła zza stanika brudną talię kart i zapytała przy tym, czy oboje chcemy słuchać o sobie.

Hanka odparła, że oboje i że mnie pierwszemu ma rozkładać karty. Spojrzałem na Hankę. Była jakoś bledsza niż zwykle, przy czym nerwowo ścisnęła moją dłoń. Nie wypuściła jej z rąk od chwili, gdy tu weszliśmy.

Wróżka kazała sobie położyć pieniądze na jednej z kart, a następnie przystąpiła do wróżenia. Dosłownie powtarzam to, co z jej proroctwa jeszcze pamiętam:

— Ojciec pana więcej kocha niż matka... czeka pana wielkie nieszczęście i wystrzegaj się pan człowieka z orlim nosem. Pan jest nieślubne dziecko... Wielkie sumy pieniędzy

otrzyma pan w spadku od krewnego ze strony matki, który umarł dwa miesiące temu w Japonii. Czekaj też pana „kazienny”<sup>124</sup> dom! Wystrzegaj się pan człowieka z jednym okiem.

Tu pomyślałem w duchu o szamesie w Ł. i śmiać mi się zachciało, gdy teraz nie był on już dla mnie tak groźny.

— Plan, który pan powziął wykonać, jest bardzo dobry i może go pan śmiało wykonać. Masz pan szalone powodzenie u kobiet. Brunetka więcej kocha niż ta jasna blondynka. Wystrzegaj się pan mężatki z czarnymi oczyma i radzę z nią zupełnie zerwać. Ona tylko pana do zguby doprowadzi...

Hanka, podczas gdy wróżka mówiła o kobietach, zamieniła się cała w słuch. A że sama była szatynką, nie była zadowolona z wróżby. Jeszcze raz nalegała, by mi wróżyła z ręki. Może tak lepiej odgadnie, przy tym wręczyła znów datek pieniężny. Wróżka chytrze się uśmiechnęła. Zrozumiała, o co jej chodzi i kim ona jest dla mnie. Więc na nowo zaczęła bredzić, tym razem z ręki.

Wróżka mówiła teraz otwarcie, że ja ją zdradzam i że poprzednio z kart też to wyczytała, tylko nie chciała jej martwić. Teraz zaś mówi szczerą prawdę.

Ze złością wyrwałem rękę i odparłem:

— Wszystko, co pani wywróżyła, jest wierutnym kłamstwem (choć teraz faktycznie zgadła).

Krzyczałem, że ani jedno słowo nie zgadza się z prawdą.

— A co do przyszłości, pani wie tyle, co i ja. Pani jest oszustką — wołałem. — Szkoda, że pani się nie urodziła trzysta lat temu, to na pewno zrobiono by pieczeń na stosie.

Ta spokojnie, z powagą, na moje zarzuty odparła:

— Pan jest jeszcze młody i zarozumiały. Do mnie koronowane osoby, hrabianki i księżniczki przychodziły po poradę, a nie takie jak pan. Moje słowa są — tu podniosła ręce ku niebu — natchnieniem Jehowy. Nic innego nie mówię, tylko to, co widzę.

Po namyśle dodała:

— Wie pan, widzę, że pan jest niedowiarkiem. Więc panu powiem fakt, a wtedy pan uwierzy. Będzie temu kilka tygodni, złodzieje na jednej z głównych ulic okradli bogatego jubilera, policja nie mogła wykryć sprawców tej śmiałej kradzieży. Więc znając mnie od lat, że dla mnie nie ma tajemnic, zwróciła się do mnie o pomoc. Była to trudna sprawa, jednak w ciągu dwudziestu czterech godzin już wykazałam sprawców tej śmiałej kradzieży i także miejsce, gdzie sprzedano skradzione rzeczy, a nawet odebrano wszystko z powrotem. A! — zakończyła z triumfem, patrząc na mnie uparcie, zaropiałymi oczyma.

Bez słowa zwróciłem się do drzwi, pociągając Hankę za sobą, która niechętnie poszła za mną, gdyż chciała, aby jej jeszcze wróżyła.

Na ulicy nie odzywała się do mnie ani słowem, coś stało teraz między nami. Co do mnie, byłem już zupełnie przekonany, że ta wróżka beczelnie kłamie, gdyż o kradzieży, o której mówiła, mógłbym coś więcej powiedzieć niż ona... Do dnia dzisiejszego nikt nie odebrał z tej kradzieży i nikt nie był aresztowany. Zresztą powiem tu wyraźniej. Była to ta sama kradzież, którą czytelnik zna z historii ze stróżem. Hanka była jednak przekonana i uwierzyła w to, co o mnie mówiła. Nie opowiedziałem jej, że kradzież, której wróżka mówiła, ja zrobiłem.

Koledzy mnie pouczyli, że w moim fachu należy język trzymać za zębami, tym bardziej przed kobietami.

Do samego domu nie odzywała się do mnie. Nie mogłem zrozumieć, co się z nią stało i też się o to nie pytałem.

Nie wiem, czy ją kochałem, jednak coś było między nami, że jej smutek mnie się udzielił. W takich chwilach rzucałem się w wir zabawy i pijaństwa, by o tym nie myśleć.

## XXXIV

Jest już 1915 rok. Teraz byłem zadowolony z siebie, pieniędzy miałem dość, więc wszystko było w porządku. Tylko jedno mnie niepokoiło. Hanka jakoś zmieniła się teraz nie do poznania, przestała stroić się i nie wychodziła na krok z domu, stała się jakby niemową.

<sup>124</sup>kazienny (z ros.) — państwowy. [przypis edytorski]



Adoratorów nawet nie chciała na oczy widzieć. Matce i siostrze niechętnie odpowiadała. A pytano ją często, co jej tak dolega. Nieraz patrzyła na mnie, jakby mnie nie znała. Okropnie żał mi się jej zrobiło i próbowałem ją rozweselić, ale wszelkie moje próby były daremne. Bywało, że usiadłem przy niej. Ona tuliła się do mnie jak dziecko, łkała. Prosiłem ją i błagałem, by mi się zwierzyła, co jej tak dolega. Zapewniałem ją też, że ją kocham, a nawet że się ożenię, choćby i dziś. Wszystko daremnie — nie udało mi się z niej nic wydobyć. Taki stan rzeczy trwał przeszło miesiąc.

Pewnego dnia z rana, gdy po całonocnej mojej nieobecności szedłem ulicą, ujrzałem jakieś zbiegowisko koło naszego domu. Myślałem na pierwszy nut oka, że policja przeprowadza rewizję domową, więc ostrożnie zatrzymałem się z daleka i czekałem, by zapytać kogoś z przechodniów, co się tam stało.

Czekałem niedługo. Jakaś starsza kobieta z koszykiem w rękę zbliżała się.

— Co tam takiego zaszło, że tyle ludzi się tam skupiło? — zapytałem.

Kobieta zaczęła mi opowiadać. Słuchając, myślałem, że ziemia mi się ugina pod nogami. Pobiegłem co tchu w stronę domu. Przecisnąłem się zaledwie między tłumem i wpadłem na podwórze i do domu, skąd dochodził lament kobiety.

Moim oczom przedstawił się straszny widok. Skamieniałem.

Hanka leżała nieruchoma na łóżku. Rzuciłem się do niej z krzykiem na ustach. Policjant, który czuwał w pobliżu na krześle, zwrócił się do jej matki, rwącej sobie włosy z głowy i zapytał:

— Czy to ten jej narzeczony?

Ta kiwnęła głową. Policjant objaśnił mi, że jestem aresztowany. Sam nie wiedziałem, kiedy i jak zaprowadzono mnie na policję.

Na policji dopiero dowiedziałem się, że Hanka otruła się i że ja jestem przyczyną tego, co się stało. Zadrżałem i nawet słowa nie mogłem wypowiedzieć, po czym zaprowadzono mnie do aresztu.

W kozie było nas piętnastu aresztowanych. Tym razem miałem już tu znajomych. Pocieszali mnie, że sędzia śledczy musi mnie zwolnić.

Ja jednak, pomimo że zupełnie nie czułem się winny jej śmierci, wyrzucałem sobie w duchu, że kto wie, czy to naprawdę nie ja doprowadziłem ją do tego kroku, byłem przynęciony.

Przed wieczorem sam „Cwajnos” przyniósł mi obiad. Policjant pozwolił mi pomówić ze mną. Pocieszał mnie, że dziś jeszcze albo jutro sędzia śledczy na pewno mnie uwolni, gdyż Hanka zwierzyła się przed jedną z koleżanek, a ta ma zeznać u sędziego śledczego, co spowodowało ten stanowczy jej krok. „Cwajnos” zaś w sekrecie mi się zwierzył, że jest możliwe, że nabawiła się strasznej choroby i to ją doprowadziło do tego kroku.

Zbladłem, słysząc to, i momentalnie postanowiłem zerwać z tym życiem i wyjechać stąd, gdy mnie tylko zwolnią, gdzie mnie oczy poniosą.

Słuchając go, na koniec zapłakałem, brat jej też płakał. Smutno było patrzeć, jak ten człowiek płakał nad stratą siostry, którą za życia stale prześladował. Co do mnie pod tym względem nie miałem wyrzutów. Byłem dla niej dobry i cały czas naszego pożycia nie tylko, że jej nie biłem ani razu, ale nawet nie obraziłem słowem.

Dziś nawet, jako człowiek podżyły, czuję się dumny z tego powodu, pomimo że jestem nacechowany jako zbrodniarz. Nigdy w swoim życiu nie byłem brutalny wobec kobiet. W każdej kobiecie widziałem odbitkę mej kochanej matki. Nie powiem, że żadna z kobiet, które znałem bliżej, nie wspomina czasem źle o mnie. Może są i takie, ale te kobiety należały do tych, które same tego chcą, by mieć później na kogo narzekać.

Słowa jej brata sprawdziły się, sędzia śledczy na drugi dzień mnie zwolnił, jednak niezupełnie. Trzy dni po tym zajściu zostałem odtransportowany etapem do mojej guberni.

Nie będę opisywać, jakie męki i cierpienia przechodziłem podczas etapu, który trwał aż przeszło miesiąc. W każdym mieście po drodze przesiedziałem po kilka dni w areszcie, zanim dołączono mnie do dalszej partii aresztantów.

Gdy przybyłem na miejsce, zwolniono mnie, ale pod warunkiem, że mam się stawić na każde zawołanie policji. Cieszyłem się też w duchu, gdy dowiedziałem się, że wygnano z tego miasteczka Żydów. Przez to nie transportowano mnie do samego domu. Dopiero, pomyślałem, najadłbym się tam wstydu...

Gdzie się moja rodzina znajduje, wcale nie wiedziałem. Dowiedziałem się dopiero na drugi dzień od znajomego kupca. Opowiedział mi, że ojciec mój dużo z majątku postradał z powodu wojny. Wygnany został z domu w nocy przez kozaków, razem z innymi Żydami. Nie pomogło to ojcu, mówił, że w naszym domu był główny sztab i nawet to, że jakiś wyższej rangi oficer, który zamieszkiwał u nas, umizgał się do młodej żony ojca. Ojciec ledwie zdążył pozbiierać żywy inwentarz, trochę garderoby i pościeli, reszta została w rękach żołdaków. Gdy go zaś spytałem, gdzie teraz ojciec jest, nie umiał mi na to odpowiedzieć.

Ta smutna nowina dopełniła miarkę mojego cierpienia po śmierci nigdy niezapomnianej Hanki.

Tu w mieście Ł. ślady wojny można było poznać na każdym kroku. We dnie i po nocach słychać było strzały armatnie, widziałem też pełno samochodów z rannymi bez rąk i nóg.

Aeroplany niemieckie też krążyły nad miastem, siejąc zamieszanie i popłoch, rzucając bomby, gdzie popadło. Byłem też raz świadkiem śmiesznego, a zarazem smutnego widoku. Aeroplan niemiecki krążył tuż nad obszernym podwórzem jednego z domów, gdzie kwaterowało jakieś wojsko. Widziałem, jak oficer rosyjski stanął na środku ulicy i patrzył lornetką w górę, a potem dał rozkaz dwudziestu żołnierzom, by strzelali do aeroplanu z karabinów.

Żołnierze pukali zawzięcie raz po raz, a aeroplan, jakby sobie kpił z tego pukania, to się zniżył, to się znów podnosił w górę. Żołnierze wytrwale dalej pukali. Trwała dość długo ta zabawka, wtem usłyszałem krzyk, a straszny huk rozległ się wokół. Ja z innymi, co przyglądaliśmy się temu niezwykłemu widowisku, upadliśmy ze strachu na ziemię. Bomba upadła w sam środek między żołnierzy, uderzyła nieomal w głowę oficera. Został on rozszarpany na kawałki razem z innymi żołnierzami.

Na mieście pozostało kilku rannych, a na drutach telegraficznych wisiały kawałki tych nieszczęśliwych. Straszny, przejmujący grozą był to widok. Ludzie określają to na pozór nic nieznaczącym jednym słowem „wojna”. Więc to jest wojna — pomyślałem.

Aeroplany, ośmielone teraz, rzucały bomby na prawo i na lewo, rezultat był straszny. Po oddaleniu się aeroplanów sam pomogłem podnosić rannych przechodniów, którzy leżeli i wołali o pomoc. Strasznie było patrzeć na to. Od tej chwili nienawidziłem Niemców. Dużo razy jeszcze, niemal codziennie, byłem świadkiem takich morderstw niewinnych ludzi.

Miasto Ł. jest nieduże, ale za to przepiękne, a leży na samym wzgórzu przy Narwi, niedaleko niemieckiej granicy.

Mógłbym może wiele rzeczy opisać o wojnie, na co moje oczy patrzyły, a czego może nie zauważył kto inny lub nie chciał tego widzieć, ale przyznam się tu szczerze, że pióro moje jest za słabe, by móc to opisać. A więc nie chcę tu odstąpić zupełnie od tematu i zostawię to Remarque'owi<sup>125</sup>. Zapewne on to lepiej opisze niż ja.

Tu, w mieście Ł. miałem bardzo dużo znajomych jeszcze z czasów jesywetowskich, to miasto dużo rzeczy mi przypominało. Przede wszystkim przypomniałem sobie moją pierwszą opiekunkę i starałem się dowiedzieć, co ona teraz porabia. Kusilo mnie, by się zaprezentować przed nią jako już doświadczony, dziewiętnastoletni młodzieniec. Ciekawiło mnie też bardzo, jak ona mnie teraz przyjmie.

Tego samego dnia, co o niej pomyślałem, odszukałem jej adres, a wieczorem udałem się prosto do jej domu.

Jak też wielce mnie zdziwiło, gdy drzwi mi otworzyła jakaś kobieta, która mi się wydawała zupełnie nieznaną. Za to ona mnie od razu poznała. Zmieniła się zupełnie, nie do poznania. Zestarzała się o jakieś dziesięć lat. Gdy usiadłem na jej zaproszenie, zaczęła mi opowiadać o swej biedzie, że wyszła za męża po raz drugi i tym razem nieszczęśliwie trafiła, na dodatek męża jej zabrali na wojnę. Skarżyła się, że zostawił dwoje małych dzieci i że musi się utrzymać z robienia papierosów. Żal mi jej doprawdy było. Ale nie czułem już tego jak dawniej, że warta ona jeszcze zachodu. Więc też zaraz co prędzej ją pożegnałem i wyniosłem się. Daremnie sadziła się na uśmiechy, próbując mnie zatrzymać.

<sup>125</sup> *Remarque* — nawiązanie do książki niemieckiego pisarza Ericha Marii Remarque'a *Na Zachodzie bez zmian* (1929), opisującej okrucieństwa I wojny światowej. [przypis edytorski]

Obiecałem jej tylko, że jutro przyjdę na pewno, a tym razem mam ważne sprawy do załatwienia. Słowa danego nie dotrzymałem, tak jak wielu mężczyzn postąpiłoby w tym wypadku...

### XXXV

Parę dni tak się wałęsałem bez celu po mieście, pieniądze jeszcze miałem, więc jeszcze nie myślałem o występku. Po drugie w tym mieście, gdzie mnie znano i moją rodzinę, wstydziłem się i bałem o to, by ktoś się nie dowiedział, kim zostałem. Za nic w świecie nie chciałem im tu robić wstydu, nawet zacząłem nienawidzić teraz samego siebie, sam nie mogłem sobie tego wytłumaczyć, co ze mną zaszło.

Po śmierci Hanki zacząłem odczuwać jakby pewien wstręt do popełnionych przeze mnie występków. Czyżby dlatego, że ona za takie prowadzenie się tak haniebnie samobójstwem skończyła? A mnie, o ile będę tak dalej się prowadził, czy też nie spotka ten sam los? Kto wie, może być nawet ze mną jeszcze gorzej, umrę jako złodziej w więzieniu, pogardzony przez wszystkich. Postanowiłem naprawić swe postęпки i wydostać się z tego bagna, w którym już tkwiłem po szyję. Tu przyszło mi znów na myśl, jak skutecznie ten zamiar, kto przyjmie mnie do pracy, wiedząc, kim jestem? A jeśli mi się nawet to uda, czy ja, który jestem już przyzwyczajony do lekkiego życia, zabaw i hulank, będę teraz w stanie brać się do jakiegokolwiek pracy i zadowolić się jakimś marnym zarobkiem?

Wzdrygnąłem się na samą myśl o tym, że ja, który już poznałem łatwe sposoby zdobywania większych sum, co prawda wśród krótkich chwil strachu, za które jednak dużo się ma przyjemności, mogąc sobie pozwolić na wszystko, co serce zapragnie, nie zdobędę się chyba na mozolną pracę. Bałem się tego. Walka wewnętrzna nie dawała mi teraz spokoju. Z jednej strony pociągała mnie wesołość bezmyślnego trybu życia, a z drugiej strony odezwało się wpojone we mnie przez matkę pragnienie pozostania człowiekiem. Walka ta trwałaby, kto wie jak długo, gdyby przypadek nie przyspieszył decyzji.

Pewnego dnia na jednej z ulic spotkałem się z właścicielem piekarni, z tym samym, u którego kiedyś za czasów jesywetowskich się stołowałem. Chciałem go ominąć, jednak mnie poznał. Nie dając mi przyjść do słowa, pociągnął mnie do swego domu. Zaraz, gdy tam wszedłem, otoczony zostałem przez jego żonę i dzieci i wszyscy witali mnie jak domownika, a na pytania nie mogłem nadążyć odpowiadać.

Zdziwiło mnie tylko to, że z mojej wizyty starsza córka jakby nie była zadowolona. Ta sama, która się kiedyś mną interesowała. Za wspólne spacerowanie z nią zostałem przedstawiony przed rosajczywą. Wyrosła teraz i wyładniała i nie mogłem od niej oczu oderwać. Za to ona jakby jakoś inna była. Ona jedna ze wszystkich domowników chłodno mnie przywitała, jakby mnie nigdy nie znała i obojętnie odpowiadała na moje zachwyty nad jej urodą.

O, wy kobiety, kobiety... Jak ciężko jest was zrozumieć!...

Tu teraz dowiedziałem się, gdzie ojciec zamieszkuje. Dowiedziałem się także, że ojca spotkała nieprzyjemna historia, a nawet był aresztowany i okuty w kajdany.

Heć tę warto tutaj wspomnieć: We wsi K., niedaleko Białegostoku, gdzie ojciec wówczas zamieszkiwał z rodziną, otrzymano pewnego dnia rozkaz, by zaaresztować wszystkich Żydów, którzy posiadają rude brody. Przyjechało też z rozkazem kilku żandarmów, by go wykonać.

Wieś ta liczyła trzydzieści rodzin żydowskich. Łatwo sobie wyobrazić, jaki lament i rwetes tam powstał, gdy skuto wszystkich w kajdany. Rozstrzelywanie Żydów przez Rosjan o byle jakie podejrzenie było w tych stronach na porządku dziennym.

Jeden mi teraz opowiadał o tym, że w ich miasteczku Żyd, tragarz, odnosił worek mąki do sklepiku, a gdy wrócił spocony, czapką sobie chłodził twarz. Był to bardzo gorący dzień, a słońce niemiłosiernie piekło. Traf chciał, że aeroplan niemiecki się ukazał. Ktoś z rosyjskich żołnierzy, którzy stali tam w miasteczku, krzyknął, że ten Żyd daje znaki, jak aeroplan ma w gorze manewrować.

Nie pomógł płacz jego żony i dzieci, ani tłumaczenie Żyda, w ciągu godziny został postawiony pod mur i ochłodzony na dobre. Więc nic dziwnego, że pożegnano tych „rudych” jako na stracenie.

Ojciec mój na swoje nieszczęście także posiadał brodę rudą. Więc nic dziwnego, że znalazł się między rudymi zbrodniarzami. Co prawda, była to tylko „szpicbródka”, ale dość

duża, by ją spostrzec i jej kolor. Żony „rudych”, naturalnie te piękniejsze, nie wiedząc, tak samo jak mężowie, gdzie ich wiozą, już naprzód z wypchanymi portfelami podążyły, by trafić do rąk i serc władzy.

Tak ich gnano dziewiętnaście mil piechotą do guberni Ł. i oto co się tu okazało. Jakiś żołnierz skradł z pułku dwie krowy. Przylapano go i tłumaczył się, że sprzedał je we wsi K. Żydowi z rudą brodą, a nie wie, jak się on nazywa. Policmajster, bardzo mądry człowiek, chwycił się „salomonowego” wprost pomysłu. Kazał zaarrestować w tej wsi wszystkich rudych.

Teraz ich tu na policję przyprowadzono i ustawiono w rząd, by złodziej mógł wybrać tego, komu sprzedał.

Naturalnie, że wskazał na pierwszego lepszego, który mu się podobał.

Na szczęście był to akurat nie Żyd, tylko jakiś chłop także z rudą brodą, którego tu gwałtem też przywlekli, mając go w podejrzeniu, że jest Żydem. Złodziej z pewnością powędrował do więzienia, a Żydzi pojechali z powrotem do domu, chorzy ze strachu.

Ojca, co prawda, gdy tylko przywieziono ich na policję w Ł., jeszcze przed konfrontacją zwolniono, gdyż go tu znano osobiście jako kupca, a nawet przeproszono, kładąc winę na karb wojny.

Wywnioskowałem też, rozglądając się po pokoju, że tu wszyscy są bardzo zadowoleni z wojny, gdyż rodzina ta mieszkała teraz w pięciopokojowym mieszkaniu elegancko umeblowanym.

Zwierzyła mi się też gadatliwa kobieta w sekrecie, że teraz nareszcie piekarze wiedzą, że żyją na świecie i żeby tylko Jehowa był tak łaskaw, mówiła, aby wojna trwała choć ze dwa lata, to majątek na pewno zrobią.

Mówiła, że córkę swoją wyda tylko za prawdziwego doktora. Nareszcie zaczęła narzekać przede mną na brak pracowników, że są leniwi i nie chcą dużo pracować. Wspomniałem jej zaraz o tym, że ja też już pracowałem jako piekarz i coś niecoś potrafię.

— Ach, tak — mówiła — ojciec mi opowiadał, że źle się prowadzisz i że cię znać nie chce, coś i o tym wspominał.

Tu mnie wzięła chęć, by zostać piekarzem, naprawić to, co zbroilem do tego czasu. Ojciec, myślałem, na pewno się ucieszy moim nawróceniem. Nie namyślając się długo, głośno to wymówiłem. Popatrzyła chwilę na mnie, jakby się zawahała, jednak zgodziła się mnie przyjąć pod warunkiem, że będę posłuszny i nie zrobię żadnego głupstwa.

— Dla twojego ojca to zrobimy — dodała.

Tegoż wieczora jeszcze przeniosłem się do piekarni. Przy przebieraniu się wręczyłem majstrowi złoty zegarek i kilkadziesiąt rubli. Popatrzył na mnie, jakby chciał spytać o ich pochodzenie, jednak po namyśle przyjął, przy czym mrugnął do mnie prawym okiem na znak, że się domyśla, skąd pochodzą.

Wziąłem się gorliwie do pracy. Pieczono tu tylko dla wojska razowiec i duże, pszenne placki w blachach. Nic dziwnego, że znając trochę pracę, za miesiąc wykonałem już bez zarzutu swoją robotę.

Przyszedł też prędko maj. Pobierałem już osiem rubli na tydzień i życie. W czasie pokoju tego bym nie otrzymał. Byli już z mojej pracy zadowoleni.

Córka prawie nie odzywała się nigdy do mnie i ja nie wspominałem o naszej dawnej przyjaźni. Bolało mnie to, że traktuje mnie obojętnie, jak każdego robotnika. Starałem się jednak o tym nie myśleć. Często przypominałem sobie tragiczną śmierć Hanki, która — byłem teraz przekonany — nie z powodu choroby się otruliła, zaraz mi się też odechciało romansów. Oddawałem się tylko wyłącznie pracy, tak abym nie miał czasu myśleć o czym innym. Cieszyłem się w duchu, że znając hulaszczę życie i inne pokusy tego świata, mogę tu już drugi miesiąc wytrwać przy ciężkiej pracy. Dziwiło mnie to nieraz, jak mogę teraz pracować aż po czternaście godzin na dobę i więcej.

Bywało też, że przez cały tydzień nie zrzucąłem z siebie tego oryginalnego stroju piekarskiego.

Zawsze po skończonej pracy padałem gdzie bądź w kącie spichlerza na kupę opróżnionych worków. Zmordowany pracą zasypiałem łatwiej niż na najwykwintniejszej pościeli.

Prowadząc taki tryb życia, nie miałem czasu nawet pomyśleć o niczym innym. Z jakimś pobożnym zachwytem trzymałem się pracy i byłem zadowolony. Czulem to też, że tylko w pracy znajduję spokój na wyrzuty sumienia, które od czasu do czasu mną miotały.

Przypominałem sobie o występkach, które w tak stosunkowo krótkim czasie zdążyłem popełnić. Tu znowu czasami kusiło przelotne wspomnienie o wesołym, rozrzutnym życiu, które jednak miało swój powab.

W sobotę przybierałem wygląd normalnego człowieka. Gospodyni była bardzo dobra dla mnie ze względu, jak mówiła, na ojca. Gdy podawała mi mój zegarek, jedyny dowód mojego dawnego życia, czułem przy dotknięciu go ręką, jakbym się dotknął żarzącego węgla. Czułem, że gdyby mi policzek wymierzyła, ból nie przygnębiłby mnie tak, jak widok tego zegarka.

Z chwilą, gdy wkładałem zegarek do kieszeni, zjawiały się obrazy dawnego życia. Wspólnik „Cwajnos”, inżynier, stróż przy wystawie jubilera, skąd właśnie zegarek ten pochodził. Na samym ostatku wywędrował zawsze obraz, który zastałem w domu tej nocy, kiedy to Hanka po raz pierwszy przyłączyła się do siostry jako jawnogrzesznicza. Widziałem ją zawsze, jak przed moimi oczyma wywijają ręką, w której trzymała zarobioną sturublówkę. Dziwna rzecz, gdy żyła, mało co myślałem o niej, a teraz w snach i na jawie ukazuje mi się jej smutna twarz i wiotka postać. Widzę zawsze przed sobą jej połyskujące, czarne oczy, tak czarne jak obecna moja dola, wzrok ma utkwiony we mnie, wzrok pełen smutku i wyrzutów.

W sobotę, mimo upragnionego przeze mnie odpoczynku, więcej jeszcze cierpiałem niż przez cały tydzień. Po pierwsze, ten przeklęty zegarek, a po drugie, gdy wychodziłem w sobotę na ulicę, by przespacerować się, spostrzegałem zawsze dużo rzeczy, które mi przypominały wiele z dawnego, wesołego życia. Przede wszystkim spotykane kobiety. Ach! Te kobiety... albo też dorożki wiozące wesołe parki, dawały mi dużo, dużo do myślenia...

Gdy zaś słońce zachodziło, czas było wrócić do brudnej sutereny piekarskiej, by znów się zamienić w żywą maszynę pracy. Przez cały tydzień trzeba było łązić niewyspanym, brudnym, opapranym ciastem, niepodobnym do człowieka, a zamiast ubioru owiniętym w worek od mąki. Musiałem słuchać zleceń czeladników i majstrów, wykonywać bez szemrania każdą najnieprzyjemniejszą pracę. Wzdrażałem się wtedy, a złe podszepty zbierały się gromadnie, by mnie zbuntować:

„Porzuć jak najprędzej to przekłete, niemiłe życie robotnika, wróć do „Cwajnosy”, do kompanów, do kobiet, gdzie życie popłynie ci przyjemnie i wesoło”.

Straszna walka odbywała się wtedy we mnie. Nogi jakby naumyślnie odmawiały teraz posłuszeństwa, nie chcąc wrócić w kierunku piekarni. Natomiast rwały się do biegu w innym kierunku, do „domku” na jednej z ulic, gdzie przypadkowo się dowiedziałem, mieszka pewien chłopak i dwie wesołe dziewczyny. Tam znalazłbym chętnych towarzyszy, podobnych do tych, których przymusowo niedawno opuściłem.

W pewną sobotę musiałem opanować się całą siłą woli, by nie ulec pokusom. Byłem już tylko o jakie dwadzieścia kroków od tego domku, jednak w czas zawróciłem, pędziłem z całych sił, by jak najprędzej znaleźć się w pracy, przysięgając sobie w duchu, że nawet w sobotę zostaną w piekarni i nigdy na miasto więcej nie wyjdę.

## XXXVI

Słowa dotrzymałem, nie pomogły nalegania majstra, żony, bym poszedł trochę na świeże powietrze, a nawet córka, która wciąż stroniła jeszcze ode mnie, prosiła mnie teraz, bym się ubrał i szedł do wspólnego obiadu sobotniego. Doszło do tego, że chcieli zawezwać doktora, myśląc, że przyczyną tego, że wciąż leżę na swoim barłogu, jest choroba. Milczałem w odpowiedzi na wszelkie pytania, a piekarni nie opuszczałem.

Przy samej piekarni, w ciemnej suterenie, był pokój bez okien, stała też tam nara, na której leżały brudne sienniki. Ten piękny „piekarski przybytek” był znany w mieście Ł. między wszystkimi czeladnikami piekarskimi pod przezwiskiem „Hotel Bristol”. We dnie i w nocy palono tam lampkę naftową, bo zawsze tam ktoś przebywał. Grano tam w karty we dnie i w nocy, a który przegrał garnitur, przebywał tam tak długo, dopóki się nie odegrał. Ciepło tam zawsze było, a gości nigdy nie brakło.

Piekarze „rajzownicy”<sup>126</sup> mieli tam swój przytułek. Po większej części przebywali tu pijacy, niechętni do pracy.

<sup>126</sup>rajzownicy — podróżujący. [przypis edytorski]

Byli tu też tacy, co przez całe tygodnie nie wyglądali na świat. Pożywienie podawano im tam z piekarni, naturalnie, że bez wiedzy właściciela. Bułki, cukier i herbatę zawsze im dostarczono. Majster patrzył na to gniazdo przez palce, gdyż zawsze między tymi, co grali, znalazł taniego robotnika. Dawał niektórym i pożyczki na kupno garnitur. Taki „przeegrany” paradował przez cały tydzień tylko owinięty w worek od mąki i w brudnej koszuli. Po skończonej pracy miał tylko kilka kroków przez brudny, ciemny korytarz do „Bristolu”.

Najwięcej gości przebywało tam w sobotę i niedzielę, bez różnicy wyznań, a gdyż między robotnikami nie-Żydami więcej było ofiar dla właścicieli piekarń niż między Żydami. Stałym bywalcem „Bristolu” był Mytrofan, lat trzydzieści pięć, dobry werkmistrz<sup>127</sup> piekarski. Jednak rzadko kiedy udało mu się uwolnić od worka, którym był przez cały tydzień przy pracy owinięty. W sobotę całą wypłatę przyniósł prosto do „Bristolu” i grał całą noc, a zawsze do świtu był już goły. Więc musiał znów wleźć do worka, by przez cały tydzień na nowo zapracować na karty. Dobrze on zarabiał, do trzydziestu rubli tygodniowo. Ale gdy kupił garnitur, nie nosił go nigdy dłużej niż do soboty. Pracował w żydowskich piekarniach, a każdy z majstrów chciał, by u niego pracował, gdyż był specjalistą w tym fachu. Właśnie w owym czasie, gdy ja tam pracowałem, Mytrofan też tam pracował. Zgrał się on w „Bristolu” w ten sposób, że gospodarz po zabraniu mu garnituru w zastaw, zmusił go tu do pracy. Pracował on tu już trzy miesiące, jednak garnituru nie mógł wykupić. Co dzień próbował szczęścia, jednak mu nie szło. Żał mi go było, pracowałem pod jego ręką, a był olbrzymiego wzrostu, ale łagodny jak baranek.

Dziwiło mnie, że nigdy nie gniewał się, gdy wszystko przegrał. Zawsze wracał z zapalem znów do pracy po to, by mógł dalej grać. Dla mnie był bardzo dobry, uczył mnie pracy bezinteresownie. Jak się wyraził, lubił mnie za to, że zawsze byłem smutny i chętnie pracowałem.

W „Bristolu” przez cały czas, co tu pracowałem, ani razu nie brałem udziału w żadnej grze. Przyglądałem się tylko nieraz z zainteresowaniem ludziom, którzy z zapalem grali, cichuteńko i z uwagą. Dopiero po grze zaczynała się kłótnia i udzielano sobie nawzajem uwag co do błędów popełnionych podczas gry.

Czasem dochodziło do ostrej wymiany słów, jednak do bijatyki nigdy nie doszło. Wiedziałem o tym dobrze, że gospodarz zagroził, iż w razie awantury skasuje ów „Bristol”. Byli tacy, co jeszcze nie tracili nadziei, że wygrają, ci też nie dopuszczali do bijatyki.

Porządek trzymał tu Mytrofan. On właśnie był jednym z tych, co żyli zawsze tą nadzieją wygrania. Pomimo jego łagodności, każdy się go bał i do bójki nigdy nie doszło.

Na drugą sobotę po moim postanowieniu, że nie wyjdę na miasto, wieczorem z nudów zaszedłem do „Bristolu”. Grano tam jak zwykle w nabożnym skupieniu i nic dziwnego, że każdy tu grosz przegrany, był też krwią i potem zapracowany. Zauważyłem też, że Mytrofan jest ubrany w nowy, jasny garnitur. Koło niego zaś leży cała kupka srebrnych rubli i półrubłówek. Twarz jego promieniała z radości, karta mu szła jak nigdy, raz po raz zagarniał kilka banknotów. Wygrał też dwa garnitury, ci dwaj siedzieli już na stronie tylko w kalesonach. Byłem ciekawy, na czym się ta gra skończy. Wzięła mnie też chęć, bym i ja zagrał i próbował szczęścia, jednak dałem spokój. Staralem się teraz zawsze opanowywać swoje pragnienie, gdyż wiedziałem, że jest złe. Grałem w karty nieźle, a nawet znałem kilka sztuczek szulerskich, których „Cwajnos” mnie nauczył. Pewny byłem, że ograłbym ich. Jednak wiedząc, że ci ludzie ciężko pracują na grosz, nie mógłbym ich oszukać w żaden sposób.

Gra trwała już kilka godzin. Było już po północy, chodziło tylko o parę kamaszy, które były jeszcze do wygrania. Mytrofan wszystkich ograł, szczęście dopisało mu tym razem jak nigdy. Prosił mnie zaś, bym uważał na wygrane rzeczy. Teraz już pięciu siedziało na stronie niemal nago, nawet bieliznę przegrali. Mytrofan wziął się jeszcze te nieszczęsne kamasze wygrać. Chciałem go upomnieć, że już dość i że może wszystko teraz przegrać. Jednakże znając jego upór, dałem spokój, byłem jednak ciekaw, co z tego wyniknie.

Stało się tak, jak przewidywałem. Mytrofan począł przegrywać raz za razem. Nie upłynęła teraz godzina, a Mytrofan siedział już w kalesonach.

<sup>127</sup> *werkmistrz* — majster. [przypis edytorski]

Po skończeniu gry towarzysze rzucili pod jego adresem złośliwe słowa, a ten tylko spluwał i ani słowem się nie odezwał. Żal mi go było, a wszyscy żartowali z niego:

— Może masz kamasze, to jeszcze zagramy?

Ja się odezwałem:

— Panie Mytrofan! Ja panu dam, aby miał pan czym grać, chce pan?

Mytrofan spojrział bokiem. Tu muszę zaznaczyć, że wspomniany, pracując po większych piekarniach, dobrze znał mojego ojca. Nieraz mi o tym mówił, że mój ojciec jest skąpy i mało kiedy dawał na piwo, więc nic dziwnego, że i mnie uważał za takiego. Teraz, gdy mu zaproponowałem dać na grę, patrzył na mnie, jakby nie wierzył własnym uszom i odparł:

— A dużo ty masz pieniędzy? Mogę od ciebie pożyczyć — dodał.

— Pieniądzy dużo nie mam — odparłem — ale mam jeszcze coś lepszego od pieniędzy.

Wszyscy obecni, których było ośmiu, spojrzeli w moją stronę i ironicznie uśmiechali się, gdyż wiedzieli, że jestem tylko początkujący, co więc taki może mieć do przegrania, a jeszcze coś lepszego od pieniędzy.

Mytrofan jeden wiedział, kim jestem, więc zapytał zaraz niecierpliwie:

— Gadaj, co masz i dawaj tu!

Wyciągnąłem zegarek i dałem mu.

Wszyscy zdziwieni oglądali go.

Był to złoty, kryty zegarek „Omega”, a próba 54 stała na kopercie wryta jak byk, co ich ostatecznie utwierdziło, że zegarek jest z prawdziwego złota.

Niemniej zdziwiony był sam Mytrofan, gdyż nigdy go u mnie nie widział, bo był u gospodyni, a dopiero od przeszłej soboty nie oddałem go więcej na przechowanie. Postanowiłem się go pozbyć.

Mytrofan podejrzliwie zapytał, skąd go mam.

— Z domu jeszcze od ojca — odparłem.

Wszyscy znów patrzyli na mnie.

Mytrofan, widząc ich pytające spojrzenie, wyjaśnił, kim był mój ojciec. Nie chcieli wierzyć, gdyż okazało się, że go dobrze znają.

„Nie może być” — twierdzili — by ten zechciał mieć syna piekarza”. Nareszcie uwierzyli, gdy dałem odpowiedź na kilka pytań.

Poznałem też, że nie zyskałem tym zaufania, nie lubili oni oglądać tych, co dostarczali mąkę, by mieli nad czym się męczyć.

Zegarek został otaksowany na sto pięćdziesiąt rubli i grę rozpoczęto na nowo. Tym razem i ja przystąpiłem do gry do spółki z Mytrofanem. Graliśmy całą noc i cały dzień. Gospodarz ledwo wyciągnął nas wieczorem do pracy.

Pół zegarka było już przegrane.

Ja trzymałem się dobrze, za to Mytrofan przegrywał stale, pech go znów prześladował. Zaraz rano po pracy wzięto się znów do grania, a wieczorem w żaden sposób nie mogli nas wyciągnąć do pracy.

Postawiliśmy na swoje miejsce do pracy dwóch „przegranych”, a my graliśmy dalej.

Koniec końcem, nie będę opisywał szczegółów, dość że gra trwała do środy rano, mało co przy tym spaliśmy, aż nareszcie zegarek mój wsiąkł. Muszę też tu powiedzieć, że na początku siadałem do gry z myślą, by się go pozbyć, nawet chętnie chciałem go przegrać, jednak po przegraniu było mi go żal. Postanowiłem znów się odegrać.

Na sobotę na nowo obiecałem sobie razem z Mytrofanem zagrać. Odebrałem od majstra resztę kapitału: około pięćdziesięciu rubli. Mytrofan też wziął całą tygodniówkę i znów zasiedliśmy do gry. Na początku dobrze nam poszło. Pół zegarka znów należało do mnie, jednakże godzinę przed rozpoczęciem pracy obaj byliśmy na powrót ogołoceni. Wróciłem smutny do pracy.

Po tym, co zaszło, nie mogłem już spokojnie pracować. Pragnienie posiadania na nowo tego, co postradałem, nie odstępowało mnie na jedną minutę.

Cholera z tym Mytrofanem mnie nadała — pomyślałem.

Teraz postanowiłem grać na własną rękę i udać się do znanych mi sztuczek. Muszę wygrać, co przegrałem. Potem nigdy nie będę grał. Ale skąd teraz wziąć na nowo pieniądze? Tygodniówka? Nie warto tym nawet gry rozpoczynać, gdyż ci, co wygrali, objaśnili

nam przecież, że teraz inaczej nie zasiądą do gry, póki nie będą u nas widzieć przynajmniej po dwadzieścia pięć rubli w gotówce. Ale skąd je wziąć?

Nad sposobem zdobycia pieniędzy myślałem kilka dni. Sposobów takich, jak wiadomo, znałem z poprzednich praktyk u „Cwajnosy” bardzo wiele, ale ze wstrętem prawie tę myśl odrzuciłem. Spokoju jednak po przegraniu nie zaznałem.

To przyrzekałem sobie w duchu, że kart do rąk już nie wezmę, to znów uparta myśl moja krążyła koło zdobycia pieniędzy. Nie wiadomo, jak długo trwałaby ta walka we mnie, gdyby nie przypadek lub szatan rozstrzygnął o dalszych wypadkach.

Pewnego wieczora Mytrotfan zachorował, przez co sam majster pozostał w piekarni na noc, by przypilnować pracy. Kazał mi, abym go obudził, gdy już wszystko gotowe będzie do pieca. Po przygotowaniu wszystkiego obudziłem go. Za chwilę stanął na miejscu Mytrotfana przy piecu. Tymczasem miałem zrobić jeszcze jedno ciasto. W tym celu udałem się po sól. Nagle wzrok mój padł na żelazne łóżko, gdzie spał majster, a szatańska myśl jak błyskawica przemknęła mi przez głowę.

„Tam pod poduszką leży kamizelka z portfelem, zapewne zapomniał ją włożyć na siebie, korzystaj więc z okazji. On i tak twojemu ojcu zbankrutował cztery tysiące rubli. Bierz, to twoje jest”.

Sekunda wahania i jak zahipnotyzowany zbliżyłem się do łóżka i, sięgnąwszy pod poduszkę, wyciągnąłem kamizelkę. Serce uderzyło mi gwałtownie. Drżącymi rękoma wyciągnąłem portfel. Następnie z przegródki wyjąłem prędkim ruchem umiarkowanej grubości pakiecik pięciorubłówek. Byłem przezorny, by od razu nie rzuciło się w oczy schudnięcie portfela. Potem z powrotem ułożyłem portfel na swoim miejscu.

Trzeba tu wiedzieć, że w roku 1915 portfele właścicieli piekarń tyły z dnia na dzień. Wróciłem. Czeladnicy byli zajęci podawaniem do pieca. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Schowałem najpierw zdobycz w pewnym miejscu i zabrałem się do mieszania ciasta. Myślałem, co też będzie z tego, czy on pozna schudnięcie portfela? Starłem się sobie teraz uprzytomnić dokładnie grubość i wygląd portfela przed i po kradzieży. O ile budziły się po dokonaniu tej kradzieży jakiegokolwiek wyrzuty sumienia, to tylko jedynie dlatego, że wyrzucałem sobie, że może za gruby pakiecik wyciągnąłem, przez co może się połapać...

Po zrobieniu ciasta uważnie śledziłem każdy jego ruch. Wiedziałem, że dopiero nad ranem się ubiera, by pójść do domu. Pragnąłem, aby ta niepewność jak najprędzej się skończyła. Myślałem też i o tym, czy by lepiej nie było ukraść całego portfela i zupełnie się stąd ulotnić, jednakże rozsądek zwyciężył chciwość.

Nareszcie doczekałem się, że majster nas pożegnał. Odetchnąłem z ulgą. Pięciorubłówki, pomyślałem, są teraz moje.

Minęło kilka dni. Zdobytych pieniędzy nie śmiałem jeszcze wyciągnąć z ukrycia. Zdawało mi się, że jestem śledzony. Gdy ktoś z domowników przemówił do mnie lub spojrzął tylko na mnie, zdawało mi się, że inaczej na mnie patrzy niż do tego czasu i starając się omijać ich wzrok, chodziłem jakby nieprzytomny. Zdawało mi się też, że majster i jego żona doskonale o tym wiedzą, jednakże nie pytają mnie o nic.

Coś źle musi tu być ze mną, pomyślałem. Oni z pewnością dobrze wiedzą, że to ja ukradłem, tylko ze względu na ojca nie chcą mi robić wstydu... Ta niepewność tak mnie zaczęła dręczyć, że czułem, iż tak dalej być nie może i że dłużej tu nie wytrzymam. Postanowiłem temu koniec położyć.

Wieczorem niepostrzeżenie zbliżyłem się do tego miejsca, gdzie ukryłem ów pakiecik i włożyłem rękę do kryjówki. Co to? — nic nie mogę namacać. Serce zaczęło mocniej pukać. Nachyliłem się cały, zaglądając między stopy ułożonych worków mąki, gdzie pod samym spodem schowałem pieniądze, nie było tam nic. Nie dowierzałem jeszcze sobie, począłem odstawiać kilka worków mąki, nie patrząc na to, że ktoś może mnie tu zastać.

Wszystko było daremne, tam już nic nie było. Teraz to już zupełnie zgłupiałem i zaraz na drugi dzień pożegnałem majstra pod pozorem, że czuję się chory i jadę do domu.

Do dziś dnia nie wiem tego, czy majster z kryjówki zabrał mi pieniądze, czy też ktoś z robotników podpatrzył mnie. Dość na tym, że nigdy o tym się nie dowiedziałem. Może też być, że i szczury mi figla wystroili, bo tych żarłoków było tam dość sporo. Nie pojechałem jednak do domu, gdyż na drugi dzień po moim zwolnieniu się, Niemcy zaczęli szturmować miasto.



Rosjanie teraz w popłochu ustępowali. W centrum miasta granaty i szrapnele pękały po dachach, a mieszkańcy chowali się do piwnic domów.

Rodziny żydowskie skupiały się w piwnicach domów, gotując się do obrony portfeli i cnoty młodych Żydówek. Rozniosła się wieść, że kozacy będą rabować po mieście, a wiadomo przecież, że kozacy czuli słabość do kieszeni żydowskiej i do młodych Żydówek.

Po trzydniowym oblężeniu miasto wzięte zostało przez Niemców i rano byłem jednym z tych, co wylegli na ulicę, by przypatrzeć się Niemcom. Zdziwiło mnie to bardzo, że Żydzi witają ich jak zbawców i bohaterów, rozmawiając z nimi po żydowsku. Niektóre młode Żydówki, patrząc na Niemców, uśmiechały się tajemniczo i zapraszały gościnnie do mieszkania.

Co do mnie, przyznam szczerze, że wywarli oni na mnie bardzo ujemne wrażenie. Nie mogłem zrozumieć tego, że Rosjanie, którzy mają tyle zwinnych kozaków, dali się wykurzyć stąd takim brzuchaczom.

Po obiedzie tegoż dnia miałem sposobność własnymi oczyma oglądać prawdziwy plac boju. Niemcy łapali na ulicy ludzi mniej przyzwoicie ubranych, między którymi i ja się znalazłem. Zawieźli nas na miejsce boju i kazali zbierać na przestrzeni kilku wiorst na kupy wszystkie mordercze narzędzia i trupy. Straszego uczucia doznałem na widok poszarpanych ciał ludzkich i sinych, nabrzmiałych trupów, leżących jeden koło drugiego. Więc tak wygląda prawdziwa wojna. Dreszcze zgrozy mnie przejęły i postanowiłem w duchu nigdy już nie wojować.

Od tego dnia stałem się zatwardziałym wrogiem jakichkolwiek bądź wojen. Nawet postanowiłem stąd zaraz uciekać, by na to nie patrzeć. Niemcy zaś zauważyli moją chęć ucieczki, dali za mną kilka strzałów. Na szczęście chybili. Opuściłem to straszne miejsce ze wstrętem i narażeniem życia.

## XXXVII

Niemcy zaraz kilka dni po zajęciu miasta Ł. opieczętowali piekarnie i spisali zapas mąki. Braci piekarskiej groziło bezrobocie. Jak wpieryw słyszałem skargi, że za dużo roboty od nich wymagają, tak teraz wielu spotkanych przeze mnie robotników skarżyło się, że wymówiono im pracę i źle im się zaczyna dziać. Pewnego dnia po bezcelowym wałęsaniu się po mieście zaszedłem do pewnej kawiarenki, która jeszcze parę dni temu na tej ulicy nie istniała.

Kawiarenki jak grzyby po deszczu pojawiały się wraz z Niemcami. Każda powabna i lekkomyślna Żydówka czuła się w obowiązku założyć podobny interes. Były to przeważnie kawiarenki, że tak się wyrażę, zbudowane na „kurzej łapce”. Parę stolików, kilka krzeseł, bufet, a na talerzu kilka ciastek obłożonych żywymi muchami, parę tafli czekolady, garnek kawy, tylko nie mokka, torebka żółtego cukru, która też się pojawiła wraz z „Vaterlandem”, zamknięta w szufladzie razem z niemieckimi fenigami, to wszystko i łóżko żelazne w bocznym pokoju do podejrzanego użytku, ono dopełniało całości.

Tworzyły się też kawiarenki w rodzaju spółki akcyjnej. Właśnie do tej kawiarenki, co wszedłem, należały trzy młode wspólniczki: dwie młode Żydówki, a jedna Rosjanka. Przyjęty tam zostałem bardzo życzliwie przez wszystkie trzy. Nic dziwnego, interes był nowy, chciały sobie zdobyć klientelę. Obejrzałem się ciekawie, a jedno tylko spojrzenie wystarczyło mi, by ocenić, do jakiego celu powstała ta kawiarenka.

Kazałem sobie podać szklankę kawy i dwa ciastka bez much. Zanim ugotowano na prymusie kawę, musiałem czekać pół godziny. Wszystko tu było można dostać na zamówienie świeże. Rosjanka zabawiła mnie rozmową, sama mi się przedstawiła, że się nazywa Marysia i jest córką rosyjskiego pułkownika, że z powodu wojny przymuszona była założyć taki marny interes. Była też, jak mi opowiadała, i siostrą miłosierdzia. Jak się zaś później dowiedziałem, była ona faktycznie parę dni siostrą miłosierdzia, a także była i córką, jednakże nie pułkownika, tylko stróża tamtejszego cmentarza prawosławnego. Sama mi się później do tego przyznała. Przedstawiła się za córkę pułkownika jedynie dlatego, by mieć powodzenie. Pokazała mi też kilka zdjęć, na które się powoływała, mówiąc, że to jest jej rodzina. Na jednym ze zdjęć stała obok starego rozpustnika, który był w mundurze pułkownika, rzekomo ojca, na innej ona i dwóch oficerów, których przed-

stawiała jako braci. Sama śmiała się z naiwności Niemców, że z powodu tych fotografii ubiegali się o jej względy jeden przez drugiego.

Z towarzyszek zaś jej jedna była zawodową służącą „do wszystkiego”, druga uciekierką z jakiejś wsi. Marysia była postawną, może dwudziestoletnią kokotką i bardzo mi się podobała. Więc też nic dziwnego, że po wypiciu szklanki kawy rozmawialiśmy już jak starzy znajomi, po czym poszliśmy na dyskretną pogawędkę do pokoju, gdzie stały skromne łóżeczka panieńskie.

Gdy stamtąd wyszedłem, Żydówki patrzyły na mnie z wyrzutem. Zapewne uznały zasadę „swój do swego”. Ale cóż robić, stało się. Prosiły mnie też, bym był częstym gościem, co też przyrzekłem. Zapewniały, że u nich bywa każdy szanujący się człowiek. Między mną a piękną Marysią nawiązała się pewna nić sympatii, od tego dnia zacząłem ją często odwiedzać.

Tam to w tej kawiarence zapoznałem się z kilkoma „kawalerami nocy”, ale nie w przednim gatunku, po bliższej zaś znajomości z nimi zapoznałem się też z hersztem.

Ciągnęło mnie znów do dawnego życia. Jeszcze z większym zapałem rzuciłem się w to życie, chcąc swoim zwolennikom zaimponować znajomością fachu. Na pierwszy ogień poszedł pewien znany kupiec, u którego była służącą dawna kochanka jednego z moich znajomych. Ona to nadała robotę kochankowi, a ten musiał mi ją przedstawić, bym mógł osobiście ją wybadać. Doszedłem też do przekonania, że ona prawdę mówi i o ile nam się uda, będzie to niezły zarobek. Wspólnik mój, którym był sam herszt, już dawno o tym wiedział.

Jednakże nie zdecydował się tam udać. Nie znał bowiem żadnej techniki złodziejskiej oprócz noża i szabra, i to podobnego do stróżowskiego łomu. Wiedział o tym, że oni tam nic nie poradzą, gdy zaś opowiedziałem o moich dawnych sprawkach, obiecał mi ślepe posłuszeństwo.

Na drugi dzień po obejrzeniu interesu pokazałem mu przybory porobione u ślusarza według mojego modelu i dokończone przeze mnie osobiście. Nie mógł się mnie nachwalić.

Punktualnie o dwunastej w nocy wyszliśmy z tej kawiarni razem ze współnikiem, by się tam udać. Marysia od razu domyśliła się, kim jestem i jawnie się mną zajęła, chępiąc się tym, że jestem jej kochankiem.

Może kilka minut przed udaniem się na wyprawę prosiła mnie, abym, gdy nam się robota uda, kupił jej futerko. Co prawda zrobiłem głupią minę, jakbym jej zupełnie nie rozumiał, co niby ma mi się udać, wszakże pamiętam słowo „Cwajnos”, by wystrzegać się kobiet. Ta była na tyle chytra, że nic nie odpowiedziała na moje zdziwienie. Pogroziła mi tylko filuternie palcem i pocałowała w czoło.

Stanęliśmy na miejscu. W oknach pomieszczenia kupca paliło się jeszcze światło. Znaczyło to, że nie wszyscy tam już śpią. Odeszliśmy, by za pół godziny znów powrócić.

Było już po godzinie pierwszej, gdy przybyliśmy po raz drugi i wielce się zdziwiłem, gdyż w wielu jeszcze oknach paliło się światło.

— Olek! Co ty na to? — zagadnąłem współnika, który znał rozkład tych pokoi.

— Nie wiem, co to może być. Poprzednio paliło się w pokoju sypialnym, a teraz i w jadalnym.

— Może gości mają — zagadnąłem go — ale o tej porze?

Wtem ujrzelśmy jakiś cień zza rolet, przesuwały się tam i z powrotem. Pomyślałem, że pewno jakiś bal lub zaręczyny urządzili i zacząłem go na nowo wypytywać o stosunki rodzinne kupca. Z odpowiedzi jego nic nie mogłem wynioskować.

— Olek, może ktoś ich ostrzegł?

— Coś ty, wariat, tym bardziej dla pozorów nic nie daliby po sobie poznać.

— Więc co to może być?

Byłem zły sam na siebie z doznanego zawodu w swoich planach, gdyż już myślałem o tym, jak Marysia się ucieszy, gdy jej zrobię jutro prezent, a tu masz tobie, jakby na złość. Tu znów pomyślałem, że to dla mnie niepomyślnie, jak ja mam wrócić do Marysi z próżnymi rękoma i po raz pierwszy okazać się przed kochanką niedołączy? Co robić? Krążyłem koło tego domu, aż zaczęło dnieć, a tam ktoś całą noc czuwał. Więc dopiero nad ranem wróciłem z niczym.

Olek pocieszał mnie:

— Trudno — mówił. — Jak dziś się nie udało, jutro na pewno się uda, bo będą tam spać jak zabici.

Wysłałem rano Olka na zwiady koło tego domu. Dowiedziałem się, że żona kupca tej nocy wyprawiała Niemcom wieczorek. Zadowolony byłem z tego powodu, może więcej niż sam kupiec, gdyż przeczuwałem z doświadczenia, że dziś tam będą spać jak zabici, więc tym bardziej nam się przyda.

Dnia tego nie pokazywałem się Marysi, współnik mi mówił, że dowiadywała się o mnie i że jest bardzo zasmucona z tego powodu. Cały dzień niecierpliwiłem się, by już jak najprędzej przyszła północ i aby pokazać Olkowi, co ja potrafię.

Tym razem udałem się z Olkiem już o jedenastej, było tam jeszcze światło. Czekałszy w ukryciu może pół godziny, wszędzie zgaszone światło, tylko w sypialnym pokoju paliło się jeszcze. Pewno nocna lampka. Zaczekaliśmy jeszcze godzinę i następnie ostrożnie zbliżyłem się do roboty. Otworzyłem furtkę bramy wytrychem, po czym zamknąłem i weszliśmy na podwórze. Olek zajął pozycję przy jednym oknie, które miałem otworzyć ze środka. Następnie wyszedłem na korytarz i nasłuchiwałem przy drzwiach.

Zupełna cisza tu panowała, tak że nawet odróżniłem tykanie ściennego zegara ze środka. Żaden szelest się tu nie dał słyszeć. Cisza i ciemność ośmieliły mnie, drżącymi rękoma zacząłem majstrować przy zamku. Jakoś mi nie szło, nerwowo palcami przebiebrałem po omacku w przyniesionych przeze mnie wytrychach. Obawiałem się zaświecić, by nie zwrócić na siebie czasami czyjeś uwagi. Kroplisty pot zalewał mi twarz pomimo chłodniej jesiennej nocy. Wytrych żaden jakby się nie nadawał.

Zajrzałem jeszcze raz przez dziurkę od klucza, by się przekonać, czy tu czasem zamka nie zmieniono. Byłem pewny, że któryś z tych wytrychów musi otworzyć, jednak nie mogłem zauważyć który, znów więc kolejno zacząłem próbować jeden po drugim. Nareszcie cicho coś zgrzytnęło, a drzwi się otworzyły.

Odetchnąłem z ulgą, zatrzymałem się na chwilę, po czym upewniwszy się, że nie ma żadnej przyczyny się obawiać, próbowałem drzwi szeroko otworzyć, tu jednak doznałem rozczarowania, ze środka był tam jeszcze założony łańcuch. Potrzebne więc były nożyce.

Myślałem o tym już w domu i chciałem zabrać nożyce ze sobą, tylko przez zapomnienie nie zabrałem. Przymknąłem więc drzwi i wyszedłem zmartwiony do współnika. Ten, niecierpliwiąc się, że tak długo nie dawałem znać o sobie, zbliżył się prędko do mnie. Powiedziałem mu, co jest.

Wielce się zdziwiłem, gdy on bez słowa podał mi małego rozmiaru nożyce do przecięcia żelaza, to jest łańcucha. Wziąłem je również bez słowa. Nie było tu czasu na pytania i za chwilę znów uchyliłem trochę drzwi. Nożyce zgrzytnęły, a drzwi były zupełnie otwarte.

Serce w człowieku widać nie lubi złodzieja, gdyż w takich chwilach zaczyna gwałtownie bić, jakby chciało wyskoczyć, o czym się i teraz przekonałem. Zatrzymałem się wahająco, ale trwało. to tylko ułamek sekundy i zdjąwszy obuwie, wsunąłem się do środka.

Najpierw otworzyłem okna, gdzie stał współnik. Następnie wślizgnąłem się do pokoju sypialnego. Tu można było wszystko dokładnie odróżnić. Świeciła się tam zielonego koloru nocna lampka. Stały tam dwa niklowe łóżka, jedno obok drugiego, tylko wąski przedział był między nimi.

Na stoliku nocnym leżał rewolwer, zegarek i damska platynowa bransoletka. Drżącą ręką zaraz też po to sięgnąłem i wsunąłem do kieszeni. Na jednym łóżku leżała młoda kobieta, zupełnie odkryta, a na drugim widać leżał mąż. Był to chłop rosły, leżał plecami do mnie. Na końcu łóżka wisały spodnie, gdy uchwyciłem je do ręki, poczułem jakiś ciężar w kieszeniach. Tylna kieszeń była wypchana grubą paczką banknotów.

Wtem kobieta poruszyła się, a ręka mi drgnęła, spodnie wypadły z rąk. Brzęk srebra odbił się mocno w tej nocnej ciszy o moje uszy, jak uklucie sztyletu.

Skamieniałem.

Mężczyzna przewrócił się teraz twarzą do mnie, tak jakby na mnie patrzył, jednakże dalej spał.

Chwila strasznej niepewności.

Podniosłem ostrożnie spodnie i podałem je przez okno współnikowi razem z pieniędzmi. Mnie najbardziej chodziło teraz o portfel, a ten był w kamizelce pod poduszką kupca. Portfel był celem naszej wyprawy.

Znów stanąłem między łózkami. Zbliżyłem się do wezłowania, tak że czułem ich oddech na sobie. Kobieta teraz leżała w bardzo dla mnie kuszącej pozie. Całą siłą woli musiałem się skupić, by oczy odwrócić od tak magnetycznego widoku. Była to rosla w biodrach, piękna kobieta, może w wieku dwudziestu czterech lat z górą. Zdziwiło mnie to, że dziecka tu żadnego nie widzę.

Próbowałem rękę wsunąć pod poduszkę męża. Na nic, za blisko leżała kamizelka przy ścianie. Nachylić się nad nim nie mogłem, bo niechby się w tej chwili przekręcił i mnie tknął, a wszystko by przepadło. Nie namyślając się długo, próbowałem po raz drugi wsunąć rękę pod poduszkę. Wtem kupiec poruszył się tak gwałtownie, że serce zamarło mi ze strachu. Schyliłem się na dół, a ten niespodziewanie znów obrócił się plecami do mnie, a głowę niemal oparł o ścianę, tak że poduszka była wolna. Bez oporu teraz wyciągnąłem kamizelkę. Dzieło to jakby cudem było dokonane. Widać, że ta strata była mu z góry naznaczona...

Przeszukałem jeszcze w kilku pokojach, w szafach i komodach, wszędzie tam panowało bogactwo. W jednym z pokoi natknąłem się na łóżko, gdzie spała jakaś kobieta. Gospodarowałem po wszystkich pokojach, a było ich z dziesięć. Oprócz biżuterii i pieniędzy innych rzeczy nie tknąłem.

Tylko na widok kilku futer nie mogłem się powstrzymać, by którego nie zabrać dla Marysi. Po namyśle zaś dałem spokój i tak obładowany bogatym łupem wyniosłem się pełen otuchy w przyszłość...

Sam nie mógłbym wytłumaczyć, co się ze mną teraz stało. Zapomniałem zupełnie o poprawie, którą sobie przyrzekłem, kiedy to wziąłem się do pracy.

Przystąpiłem teraz do występnego życia z takim zapalem, jakbym chciał dogonić ten czas, co przepracowałem w piekarni. Dla spokoju sumienia wmawiałem sobie, że przecież teraz i tak pracy nigdzie nie ma. Piekarnie po większej części są pozamykane. Nawet powoli wyzbyłem się też wstydu, wcale się z tym nie kryłem, że teraz mam różnych znajomych nieodpowiednich dla mnie. Nieraz spacerowałem w towarzystwie wesołych kompanów i koleżanek, znanych tu na bruku ze złego prowadzenia się. Bawiło mnie, gdy zauważyłem nieraz, jak różni znajomi ojca pokazywali sobie mnie palcami i kiwali smutnie głowami w moją stronę.

Nic też dziwnego, że policja tamtejsza, która wówczas przeważnie składała się z Żydów, wzięła mnie na oko. Jednakże niewiele się tym krępowałem, wiedząc z doświadczenia, że mając pieniądze wszystko da się zrobić, a do tego z żydowską policją...

Po dokonaniu tej śmiałej kradzieży policja stanęła na nogach. Podobna kradzież nieczęsto się tu zdarzała. A gdy nawet taki wypadek miał miejsce, policja przypisywała go zawsze warszawiakom. Mówili, że przyjechali tu na gościnne występy!

Prowincjonalna policja ma już taki zwyczaj, by zaspokoić opinię publiczności. Policja aresztowała na prawo i lewo naturalnie takich, którzy kiedykolwiek siedzieli choćby trzy dni w kozie. Czułem, że i ja jestem tu śledzony. Co prawda, Marysia mnie o tym ostrzegła. Mieszkałem z Marysią w czteropokojowym, pięknie umeblowanym mieszkaniu. Ze spółki ona już dawno wystąpiła. Zrozumiałem też, że źle robię, że wprawdzie czy później, gdy tak będę hulał, to się wydam i wpadnę w ręce policji. Marysia zaś żartem mówiła do mnie: „Pamiętaj, że Rosjanie ze sobą żadnego więzienia nie zabrali i że jeszcze istnieją”. Postanowiłem więc być ostrożny.

Po upływie miesiąca od tej roboty dowiedziałem się, że rodzina znajduje się już w domu i że wszyscy Żydzi z miasta powrócili. Mając przy sobie wielką sumę pieniędzy i będąc wyposażony w ubiór, postanowiłem wrócić na jakiś czas do domu, póki tu wszystko nie ucichnie.

Pewnego dnia, nic nie mówiąc nawet kochance, bo ta nie wiedziała, skąd pochodzę, pojechałem do rodzinnego miasta.

W miasteczku panował ruch, gdyż Niemcy zaczęli tam budować szosę i most nad Narwią, który Rosjanie zniszczyli. Ojciec przyjął mnie jak zawsze chłodno.

Żał mi się go zrobiło, zestarzał się, nieznacznie przygarbił. Ojciec mój całą duszą nienawidził wojny, która go zrujnowała. A tym bardziej nie znosił Niemców, którzy go do

reszty zrujnowali. Ojciec, patrząc na moje pierścienie na palcach, smutno uśmiechnął się. Ja, biorąc ten uśmiech za dobrą monetę, pomyślałem, że trzeba spróbować szczęścia i go przekupić. Oddam mu niby to na przechowanie pewną sumę pieniędzy. Na drugi dzień po moim przybyciu zaproponowałem ojcu, że o ile potrzebuje pieniędzy, mogę mu pożyczyć. Ojciec drgnął, popatrzył na mnie długą chwilę i odparł zapytaniem:

— Komu te pieniądze zginęły? Ja nie chcę ciebie znać i twych pieniędzy, wynos mi się, złodzieju, razem z nimi.

Próbowałem mu opowiedzieć całą historię, że wygrałem to w karty, ale ojciec nie chciał słuchać, tylko machnął ręką i kazał mi się jak najprędzej wynosić z domu. Jak nie, groził, to każe mnie aresztować.

Znając charakter ojca, wiedziałem, że to może zrobić, więc dla pewności pochowałem prędko w pewnym miejscu pieniądze i postanowiłem jeszcze na razie pozostać w domu.

Żydzi w miasteczku przyjęli mnie tym razem bardziej życzliwie niż ojciec. Zwąchali, że mam pieniądze. Co dnia zgłaszali się do mnie po pożyczkę, dając mi lekko do zrozumienia, że co to człowiek nie robi podczas wojny dla pieniędzy. Nawet cnotliwa Sara, sąsiadka, uśmiechnęła się do mnie.

Tak minęły dwa tygodnie. W domu naszym kwaterował główny inżynier od budowy mostu. Kantyna oficerska też mieściła się w naszym domu. Porobiłem też znajomości, przyjmując posadę jako prowadzący transport. Do mojego obowiązku należało dawać baczenie na podwody<sup>128</sup>, którymi dwa lub trzy razy na tydzień jechało się do stacji kolejowej przy samej granicy niemieckiej. Wozilem stamtąd różne materiały do budowania mostu.

Okoliczni chłopci, gnani bez tchu do podwodów, byli ze mnie, jako tłumacza, bardzo zadowoleni. Byłem pomocnikiem kierownika transportu, którym był Niemiec. Umiałem im dużo ulżyć, trzymając stronę chłopów, a nie Niemców. Posadę tę przyjąłem, by ojciec widział, że jestem chętny do pracy. Ciężko nie pracowałem, zawsze byłem w drodze, więc spodobało mi się to bardzo. Po drugie, w moim umyśle, z powodu bywania na granicy, już kiełkowały różne nowe pomysły. Więc udawałem, że teraz chętnie pracuję. Wynagrodzenia brałem trzy marki dziennie i dwa pięćdziesiąt dodatku w drogę.

Transportowałem też raz lokomotywę do tartaku, który Niemcy wystawili. Transport odbywał się w bardzo trudnych warunkach. Od samej stacji na przestrzeni pięciu mil po śliskiej szosie, po całej drodze trzeba było sypać piasek, później cztery mile znów było błoto do kolan, transport trwał przeszło tydzień, a mróz przy końcu puścił zupełnie. Tylko dzięki mnie otrzymali dwie zmiany po dwadzieścia i kilka koni aż do samego miasteczka. Chłopcy byli ze mnie tak zadowoleni, że zaczęli mi znosić masło i jaja, których ze względu na ojca, którego dobrze znali, nie mogłem przyjąć.

Nieraz zauważyłem, że furman ma chęć przywłaszczyć sobie żelazo lub stal, które przychodziło wagonami, patrzyłem zawsze na to przez palce, a nieraz nawet sam im pomogłem coś świsnąć. Chłopcy strasznie bali się Niemców, a zarazem nienawidzili ich.

Byłem raz świadkiem takiego zajścia: mój zwierzchnik wyrwał bicz z ręki chłopca i bił go za to, że ten nie chciał jechać prędzej po błotnistej drodze, by nie męczyć koni, już i tak zmarnowanych. Chłopiec rzucił się tak gwałtownie na Niemca i tak go pobił, że ten stracił przytomność.

Nie lubiłem tego człowieka, jednak gdy widziałem, że ma już dosyć, a chłop się nie opamiętał, rozłączyłem ich. Chłop ten, gdyby Niemca zabił, na pewno stanąłby pod sąd wojenny. I tak o mało co go nie skazali na kilka lat więzienia. Tylko dzięki mnie dostał dwa miesiące więzienia, gdyż nauczyłem go, jak się ma tłumaczyć. Ja jeden, choć sąd na mnie liczył, że byłem po stronie Niemca, zeznałem prawdę i to było właśnie na niekorzyść Niemca. Dzięki też temu dzielnemu chłopu pozbyłem się na razie znenawidzonego zwierzchnika, który po tym zajściu już stale chorował. Miejsce jego zajął człowiek bardzo wyrozumiały i porządny, a nazywał się Schneider.

\*

<sup>128</sup>podwody — przymusowy transport dla wojska, wykonywany przez właścicieli wozów i koni. [przypis edytorski]

Nastał rok 1916, żegnano stary rok, który oplakiwały tysiące matek sierot. Chyba żaden rok z ubiegłego i bieżącego stulecia nie obfitował w tyle wypadków i nie przysporzył ludziom tylu łez i cierpień co ten stary piętnasty rok.

Widzę, że znów zabieram się do filozofowania... Ale tym razem stanowczo powstrzymam się i będę opowiadał tylko o dalszych wypadkach, które będą wyglądać na nieprawdopodobne, a jednak w moim życiu miejsce miały.

Nie będę się też rozpisywał o szczegółach mojej służby u Niemców i co przez ten czas uczyniłem dobrego lub też złego. Dość, że powiem sam, iż nigdy nie było mi przeznaczone długo wytrwać na jednym miejscu. Należałem do tych nieszczęśliwców, których los prowadzi za sobą, a nigdy nie mają wyraźnego celu przed sobą.

Będąc często na granicy niemieckiej, postanowiłem udać się w podróż. Zapragnąłem jechać do Niemiec tym bardziej, że nasłuchiłem się dawniej dużo od „Cwajnosy”, że tam można kraść na całego. Postanowiłem więc dać gościnny występ w samym Vaterlandzie.

Tu, w domu, nienawidzili mnie jeszcze bardziej. Sam nie wiem, skąd po miasteczku roznosiła się wieść, że widziano mnie, jak zjadalem z moim poczciwym Schneiderem prawdziwą szynkę. Przyznam się teraz, że pogłoska ta była prawdziwa.

Nowinę tę, wołającą o pomstę do nieba, podawali sobie Żydzi z ust do ust. Stare Żydówki o tym głośno mówiły, wspominając moją matkę i żalując jej, iż będąc tak nabożną, wychowała takiego zwyrodniałego syna. Chasydzi, patrząc na mnie, kiwali smutnie brodami, zapewniając jeden drugiego, że się zadławie. Ja natomiast kpiłem sobie z różnych przesądów i postanowiłem raz na zawsze pożegnać rodzinne strony.

Mając pieniądze, nie martwiłem się zbytnio, a dnia siedemnastego lutego 1916 roku, z pomocą i za poradą Schneidera, wyjechałem z domu bez pożegnania i bez określonego celu do Niemiec. Nigdy nawet w myślach nie przypuszczałem tego, że sam dążę szybkim krokiem ku przepaści, z której się już nigdy nie wydobędę. Popelnione przeze mnie przestępstwa, do tego czasu bezkarnie, domagały się teraz o swoje prawo. „Grzech zawsze mści się”. Sam szedłem po tej drodze, gdzie bym mógł otrzymać zasłużoną karę...

### XXXVIII

Dnia szesnastego maja 1916 roku aresztowano mnie w Berlinie i zaprowadzono do Prezydium Policji. Cały ten dzień, jak i następny dręczono na badaniach bez końca, a dnia pewnego w czerwcu wysłano mnie z Moabitu<sup>129</sup> do c. w.<sup>130</sup> X, jako już skazanego na dziesięć lat „Zuchthausu”<sup>131</sup>.

Gdy zostałem przywieziony na miejsce przeznaczenia, już dawno było po południu. W kancelarii więziennej zapisali mnie aż na dwa nazwiska. Przy aresztowaniu znaleziono przy mnie dwa paszporty. Po dokładnym zrewidowaniu oddano mnie dozorczy więzieniemu, który zaprowadził zaraz na czwarty oddział dla niebezpiecznych do przeznaczonej celi nr 227. Następnie dozorca zwrócił się do mnie z zapytaniem:

— *Verstehen sie deutsch?*<sup>132</sup>

Kiwnąłem głową, że tak.

Niemiec przybrał odpowiednią minę i zaczął mi tłumaczyć, gdzie się znajduję i co za znaczenie ma ten dom. Potem wziął książeczkę, która leżała w celi na stole, kazał mi stanąć pod samym oknem i począł czytać na głos przedmowę, którą powtórzę tu dosłownie w tłumaczeniu. Każde słowo jego tchnęło grozą i zwiastowało śmierć.

„Jesteś więźniem. Żelazne sztaby twego okna, zamknięte drzwi, kolor twego ubioru mówią ci, żeś wolność swoją postradał. Bóg nie chciał ścierpieć, żebyś dłużej nadużywał swojej wolności na dalsze grzechy i nieprawość, dlatego mówi ci: dotąd, ale nie dłużej!... Kara, którą nałożył na ciebie sędzia ziemski, pochodzi od sędziego wiecznego, którego porządek naruszyłeś i przykazanie przekroczyłeś. Jesteś tutaj, by odbyć karę, a każda kara musi być odczuta jako zło, nie zapominaj nigdy, że nikt temu nie winien, prócz ciebie samego.

Ale kara powinna ci wyjść na dobre, powinieneś się nauczyć opanowywać swe namiętności, wyzbyć się złych przyzwyczajzeń, być absolutnie posłuszny, szanować boskie

<sup>129</sup>Moabit — więzienie w Berlinie. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>c. w. — centralne więzienie. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>Zuchthaus (niem.) — ciężkie więzienie. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>Verstehen sie deutsch? (niem.) — czy rozumie pan po niemiecku? [przypis edytorski]

i ludzkie prawo, abyś szczerą skruchą zdjęty nad przeszłym życiem, zyskał siły do życia nowego, życia miłego Bogu i ludziom! Więc zegnij się przed potężną dłonią Boga! Zegnij się przed prawem państwa! Zegnij się także przed rygiem tego domu, a co on rozkazuje, musi być spełnione bez wahań, lepiej, że uczynisz to dobrowolnie, niż by twa zła wola miała być łamana!.. Wtedy czuć się będziesz dobrze i prawda słów Jego sprawdzi się na tobie.

Wszelka kara, póki ją odbywamy, wydaje się smutkiem, a nie radością, ale potem oddarza ona kojącym owocem sprawiedliwości tych, którzy przez nią przeszli.

Niech tak rządzi Bóg!”

Jeszcze dużo innych moralów mi prawił, jednak nie słuchałem go wcale. Nie to, co on mi prawił, było mi teraz w głowie. Przed moimi oczyma, oprócz cyfry 10, nic więcej nie widziałem.

Dozorca o wyglądzie prawdziwego typa, jakiego wymaga ta posada, zmiarkował wreszcie, że go wcale nie słucham. Spojrzał na mnie wzrokiem ludożercy i zagadnął, czy go rozumiałem.

Nie odpowiedziałem mu.

Zbliżył się, szarpnął mnie za rękaw i groźnie zapytał po raz drugi. Tym razem odrzekłem ze złością, żeby mi wpierw dał co zjeść, a później będę go słuchał, choćby do rana.

Pan Aufseher<sup>133</sup> przybliżył się jeszcze bardziej, tak że ja, odstępując w tył, plecami dotykałem już ściany. Ujął mnie pod brodę, a drugą ręką groził, pod nosem wymyślając:

— *Du verfluchter Jude, du bist zu frech, ich schlage dich, dass du umfällst. Bist du, verfluchter Russe, hier fressen blos gekommen.*<sup>134</sup>

— Lorentz! — krzyknął na kalefaktora<sup>135</sup>. — *Wasser*<sup>136</sup>.

Korytarzowy przyniósł mi dzbanek wody.

— *Hier hast die Kanne voll, kannst essen*<sup>137</sup> — roześmiał się szyderczo i wałnął drzwiami, wychodząc z celi.

Upadłem na stół, a rękoma chwyciłem się za głowę, w tej chwili przeżyłem na nowo to wszystko, co zaszło ze mną od dnia mojego aresztowania. Uprzytomniłem sobie, że już jest koniec ze mną, że nigdy już wolności nie ujrę. Łudzić się teraz byłoby szaleństwem, nigdy stąd nie wyjdę — myślałem.

Obrzuciłem wzrokiem swój grób, spostrzegłem, że jest podobny do celi, gdzie siedziałem w śledztwie, podobny też do celi rosyjskiego więzienia. Więc dla zbrodniarzy wszędzie jednakowe miejsce jest przeznaczone.

Wszędzie dla nich ten sam teren działania, cztery ściany, a w nich dwanaście stóp długa i pięć szeroka podłoga asfaltowa, okno, ach, to okno — pod samym sufitem, a umeblowanie? Wszędzie chyba, na całym świecie, w pojedynczych celach jednakowo jest, więc po cóż to tu opisywać?

Spojrzałem na kraty w oknie, a przez głowę przemknęła myśl: powiesić się albo uciekać stąd.

Wzdrygnąłem się na widok tej małej, czerwonej karteczki wiszącej w mojej celi, pokrytej kilkoma drobnymi literkami, które były dla mnie groźnym posłem, zwiastunem kajdan, nędzy, głodu i śmierci. Gdy na tym dokumencie spoczęły moje oczy, zdałem sobie wtedy sprawę, że przez dziesięcioletni okres czasu nie wolno mi będzie marzyć o innych potrawach i o żadnych wybrykach wolnego człowieka... Za każdym razem, gdy wzrok mój padał na tę kartkę, własnym oczom nie dowierzałem, że rzeczywistość jak stał twarda, nieubłagana, bije we mnie, aż schyliłem się — do ziemi. Jedynym wybawieniem przed tym, co mnie czeka, jest ucieczka.

<sup>133</sup> *Aufseher* (niem.) — dozorca. [przypis edytorski]

<sup>134</sup> *Du verfluchter Jude...* (niem.) — Ty przeklęty Żydzie, jesteś za bezczelny, grzmotną cię tak, że się wywrócisz. Czyś, przeklęty moskalu, po to tylko tu przyjechał, by żreć? [przypis edytorski]

<sup>135</sup> *kalefaktör* — pomocnik nadzorcy więziennego; więzień funkcyjny (po polsku zwany też korytarzowym). [przypis edytorski]

<sup>136</sup> *Wasser* (niem.) — woda. [przypis edytorski]

<sup>137</sup> *Hier hast die Kanne voll, kannst essen* (niem.) — Masz tu pełną konewkę, możesz jeść. [przypis edytorski]

Wówczas, gdy patrzyłem na tę straszną cyfrę „10”, serce mocniej uderzało w mojej piersi i miałem wrażenie, że jest już koniec świata i że żadna nadzieja dla mnie nie istnieje. Więc po cóż żyć?

Takie smutne rozmyślenia doprowadziły mnie nieomal do wariactwa. Jak zablakany ptak, który z wolności wpada do pokoju, tłucze się o ściany, szyby i sufit, chcąc się wydobyć, tak i ja wówczas tłukłem się po mojej celi w prawo i lewo, w strasznej rozpacz uderzając głową i piersią z rozmachem o cztery ściany mojego grobu, wołałem do jakiejś niewidzialnej siły: wolność, wolność!... Po doszczętnym wyczerpaniu oparłem się o ścianę, stałem nieruchomo, a wzrok wlepiłem w kraty, jak gdyby oczyma można je było przepiłować.

Zaraz po przekroczeniu granicy niemieckiej doznałem gwałtownego niepokoju i zdało mi się, że grozi mi jakieś wielkie niebezpieczeństwo. A teraz w więzieniu zrozumiałem już, skąd pochodził ten gwałtowny niepokój. Groza stawała mi przed oczyma. Przypominałem sobie, jak zapoznałem się w Berlinie z kolegami, jak przehulałem wszystkie pieniądze z kobietami i w karty, nie myśląc zupełnie o jutrze, będąc w obcym kraju. Przypominałem sobie też moje niespodziewane spotkanie się w kawiarence na Grenadierstrasse z dawnym współnikiem, tym samym, co to jak wspominałem poprzednio, siedział cztery lata w Orle, przez którego znów stałem się zbrodniarzem. Stało mi przed oczyma, jak to po raz ostatni, we czwórkę udaliśmy się na wyprawę na jedną z najruchliwszych ulic w Berlinie. Wyobraziłem sobie, jak to smutnie ona się zakończyła, jak mnie złapano, a współnicy, ostrzeliwując się, ledwo uciekli.

Przeżywałem to wszystko po wielokroć razy, co zaszło od chwili mojego aresztowania. Nudne, męczące śledztwo, potem sąd i... dziesięć lat Zuchthausu. Wyrok tak srogi otrzymałem za to, że nie chciałem wydać współników. Policja wszelkimi sposobami używała, by ze mnie coś wydobyć o współnikach i co ja za jeden, gdyż jak wspominałem, miałem przy sobie dwa paszporty i to oba lewe. Na wszystkie zaś pytania milczałem jak mur. Pewny byłem, że współnicy o mnie nie zapomną, tym bardziej że zdążyli ulotnić się z łupem. A gdybym ich wydał, to bym sobie w niczym i tak nie ulżył.

W moim nieszczęściu jedyną pociechą była myśl, że się uda stąd ucieczka z pomocą współników z wolności. Bez pomocy i nawet myśleć nie było co. Zdążyłem już poznać rygor i srogość niemieckich więzień.

Słowo nawet ukradkiem zaledwie udało się tu przemówić do towarzysza niedoli. Pukanie w ściany było srogo i często karane, tym bardziej że trzeba było się strzec i wiedzieć, do kogo się puka i kto jest sąsiadem. Jeszcze w śledztwie będąc, próbowałem raz zapukać do sąsiada, a ten dał zaraz dzwonek i zameldował dozorcę, że ja pukam do niego, za co też zostałem ukarany odmówieniem obiadu. Karę tę dostałem jako po raz pierwszy, a za drugim razem grożono mi karcerem.

Na wolnej godzinie też nie było można przemówić, gdyż otwierano cele kolejno i jeden za drugim, po dziesięć kroków od siebie oddaleni, wychodziliśmy z celi i w takim porządku szliśmy z powrotem. A jak znalazł się jaki śmiałek, co przemówił, momentalnie został zauważony. Na razie nic mu nie mówiono, tylko nagle, nieraz na drugi dzień lub za dni kilka, zależało to od tego, czy było wolne miejsce, zabrano go do karceru.

Tak straszne było to życie w więzieniu niemieckim. Do tego trzeba jeszcze dodać głód, który dał się we znaki, grając odwiecznie swego marsza w czasie wojny. Można sobie wyobrazić, jakie życie tam więźniowie pędzili.

Nie chcę rozpisywać się szczegółowo, co tam za tortury przeżyłem, to tylko powiem krótko, że nieraz przypominałem sobie te dobre czasy z rosyjskiego więzienia, gdy to „Beniek” przynosił mi „byki”, a gdy skwarki wyrzucałem jako hazer. Teraz liżałbym palce po tej kapuście ze skwarkami, która podczas pierwszego mojego pobytu w więzieniu mi nie smakowała. Tu gotowano suszoną kapustę i inne potrawy „głodowego wyrobu”.

Po pierwszej nocy tu spędzonej przebudzenie moje było straszne. Nie chciało mi się wstać, bo po co? Na to, by cały dzień cierpieć głód, patrzeć na cztery ściany grobu, albo tłuc się z kąta w kąt?

Jednak machinalnie na ogłos dzwonka więziennego wstałem w porę. Nie należało i to nawet do mojej woli. Musiałem co dzień wstawać po to jedynie, by zjeść przez cały dzień dwieście gramów chleba, wypić ćwierć litra kawy, zjeść na obiad jeden litr jakiejś zupy, a na kolację trzy czwarte litra zupy i tak codziennie to samo.



Po upływie dwóch miesięcy miałem już tego życia dość. Od chwili aresztowania myśl o ucieczce mnie nie opuszczała ani na chwilę. Tylko ta jedna nadzieja trzymała mnie przy życiu. Gdyby nie to, dawno bym sobie dyndał na kracie albo na centralnym ogrzewaniu, które zdaje mi się, w tym celu jest w więzieniach zrobione.

Przykład, jak się tak pozbawiać życia, dał mi niezadługo sąsiad. Kilka tygodni po moim tu przybyciu, pomimo srogiego rygoru, jaki tu panował, udało mi się z nim parę słów pomówić. Później zaś doskonale się już porozumiewałem pukaniem przez ścianę. Pewnego dnia z rana, gdy zapukałem do niego dwa razy, raz za razem, co miało znaczyć „dzień dobry”, nie odpowiedział mi. Zapukałem trochę głośniej po raz drugi, myśląc, że mnie nie słyszy. Głośnie pukanie zaraz sprowadziło „anioła stróża”, a jak nie jego samego, to jego pomocnika, psa, wilka. Ten ostatni za najmniejszym szmerem zjawiał się i stawał pod drzwiami, poszczekując, przez co zaraz sprowadził swego pana. Znow mi nie odpowiedział i zaniepokoiłem się na dobre. Chwilę podsłuchiwałem pod drzwiami i stwierdziłem, że tam u niego w celi już są. Udało mi się też podsłuchać kilka słów. Był to głos felczera więziennego, który objaśnił mi wszystko.

Więzień ten miał lat około trzydziestu pięciu. Był z miasta Łodzi i siedział już dłuższy czas, ciesząc się nadzieją, jak mi mówił, że wojna się prędko skończy i jego uwolnią. Widać doczekać się tego nie mógł i powiesił się na kracie.

Po tym wypadku dłuższy czas spokoju już nie zaznałem. Zdało mi się, jakby ktoś ciągle mnie namawiał, abym poszedł jego śladem. Kto wie, czy, bym tak nie zrobił, gdyby w moim życiu nie nastąpił niespodziewany zwrot.

Pewnego dnia zawezwano mnie na widzenie. O! Jakaż w tej chwili radość mnie opłoniła, że jeszcze ktoś na wolności pamięta o mnie, ale kto to być może? Serce mi biło. Wywnioskowałem, że to współnicy pamiętają i czuwają nade mną. Otucha jakaś na nowo wstąpiła we mnie.

Na widzeniu stanąłem jak wryty. Poznałem od razu piękną siostrę jednego z moich współników, u którego jakiś czas mieszkałem. Było to osiemnastoletnie dziecko ulicy. Popłakała się biedna, gdy mnie ujrzała tak nędznie wyglądającego. Dała mi do zrozumienia, że pamiętają o mnie współnicy. Teraz już uwierzyłem, że oni myślą o moim uwolnieniu.

Po piętnastominutowym widzeniu wręczyła mi przez dozorcę małe zawiniątko i pożegnała słodkim uśmiechem, wymachując rękawiczką. Co nie mogła dopowiedzieć mi na widzeniu w obecności dozorczy, dopowiedziała rękawiczką, ja jeden tylko to zrozumiałem.

Życie w więzieniu, nikt na pewno nie wątpi, jest straszne, więc tym bardziej każdy zrozumie, jak wielka jest uciecha więźnia, gdy go nagle ktoś odwiedza z wolności, a do tego, gdy dana osoba daje mu nadzieję, że wkrótce będzie wolny. Kto taką chwilę przeżyje, nigdy jej nie zapomni...

Ja też przyszedłszy z widzenia, skakałem niemal z radości. Więc nie jestem opuszczony przez współników, których już posądzałem, że o mnie zapomnieli! Gdybym nawet nagle odzyskał wolność, może by mnie to tak nie ucieszyło, jak ta nadzieja, którą mi dano.

Będąc wygłodniały, zabrałem się zaraz do jedzenia. Prawdę mówiąc, to do jedzenia nie było co. Nie pozwolono podać mi nic. Tylko dziewczyna ze łzami w pięknych oczach uprosiła zezwolenie podania mi tej małej paczki. Prawdopodobnie w czasie pokoju nie było wolno niczego podać, a coś dopiero w czasie wojny, gdy artykuły spożywcze były na kartki.

Rzuciłem się na to z wilczą żarłocznością. Najpierw ostrożnie zjadłem dwie tabliczki czekolady, później pudełko sardynek i kilka pomidorów. Wszystko oddał mi dozorca pokrojone w kawałki. Następnie zacząłem wędrować po celi, gryząc kawałki cukru.

Przyznam się, że, zwątpiłem w to, czy dobrze rozumiałem, co ona pokazała mi rękawiczką, rozumiałem bowiem, żebym dobrze uważał przy jedzeniu, że tam coś podano.

Zjadłem już wszystko to, co było można zjeść. Dozorca mi to wręczył i kazał zaraz zjeść. Pozostało mi z trzydzieści kawałków cukru w kostkach i nic takiego jeszcze nie znalazłem. Zacząłem się niepokoić. Może dozorca znalazł to i ona naraziła mnie tylko na niebezpieczeństwo. Wtem ugryzłem cukier i natrafiłem nagle na jakiś przedmiot. Tak, włos angielski<sup>138</sup> był już w moim posiadaniu. Ucieszyłem się niezmiernie tym odkryciem.

<sup>138</sup>włos angielski — rodzaj piłki do metalu. [przypis edytorski]

Nigdy nie przyszłoby mi na myśl, że należy tego szukać w kostkach cukru. Zacząłem teraz starannie oglądać każdą kostkę cukru. Stałem przy samych drzwiach tak, by przez judasza nie mógł mnie nikt podglądać. Odkryłem jeszcze osiem kawałków włosa i „gryps”. To wszystko tak po mistrzowsku było zamaskowane w kostkach, że ledwie po dłuższej obserwacji zauważyłem, w jaki to sposób było włożone. Przeczytałem gryps wielkości bibułki od papierosa. Było tam pismo małymi literami, szyfrem, znanym tylko mnie i współnikom.

Powtórzę tu dosłownie treść grypsu:

„Staraj się być w karcu na drugi tydzień w czwartek, zrób tam kratę, a gdy zegar wybije godzinę dwunastą, wyleź śmiało. Po lewej ręce w samym rogu parkanu przy szpitalu u będzie linka. Czuwaj”.

Zrozumiałem, że muszę tu dobrze znać rozkład tego więzienia i że trzeba się tak urządzić, jak mi kazano. Więc od dziś za kilka dni będę znów wolny? A jak się nie uda?... Nie chciałem w tej chwili myśleć o tym. Wiedziałem już, co mnie czeka, gdyby się nie udało. Zakują mnie w kajdany na nieokreślony termin i dadzą karcer przez cały miesiąc na chleb i wodę. Widziałem takich śmiałków przez okno, gdy ich prowadzono na spacer. Zdawało mi się, że gdyby mi założono te kajdany na ręce i nogi, z samego strachu umarłbym.

Starannie „zamelinowałem” włosy, jedyną nadzieję mojej wolności. Począłem teraz rozmyślać, jak się zabrać do tego. Od jakiego przestępstwa zaczynać, by się dostać do karcu, ale żeby czasem nie przeholować, wtedy bowiem zakują ręce i nogi i nic już nie zrobię w karcu. Tej nocy smacznie spałem. Nadzieja odzyskania wolności uprzyjemniała mi sen.

Dzień już zaświtał. Słońce powolnie przenikało do mojej celi. Zdrowodajne promienie zakradały się przez żelazne kraty, jakby się wstydyły zajrzeć do tej nory i spojrzeć na mnie pełnym blaskiem. Zdawało mi się, że jestem już wolny, że czerpię pełną piersią wolne powietrze. Doleciał mnie zapach łąk, pól i lasów, a gdy za chwilę ocknąłem się z marzeń, widziałem się znów pośród czterech ścian mojego grobu, przed kratami nie do przegryzienia.

Jednak wstałem tego dnia z większą ochotą do życia. W moim nieszczęściu, mówiłem sobie, jestem jeszcze szczęśliwy, choćby dlatego, że mnie tu umieszczono na czwartym piętrze, w celi, gdzie słońce często, choć ukradkiem, odwiedza mnie, gdzie mogę czasami niepostrzeżenie wyjrzeć na ulicę i oglądać ludzi wolnych, jak i pięknie wystrojone kobiety. Ach! Te kobiety... one są marzeniem więźnia po utracie wolności, one są dla więźnia całym jego wspomnieniem, do nich więźniń tęskni aż do bólu fizycznego, przez nie dziewięćdziesiąt dziewięć procent staje się więźniami...

Człowiek, który wegetował długie lata za kratami, ten tylko jest zdolny pojąć i ocenić wartość kobiety. Gdyby nie ona, więzienie byłoby mniej straszne, a wolność mniej ceniona... Zapytywałem raz pewnego więźnia, co by jeszcze zapragnął od życia. Przesiedział on już dwanaście lat, a miał jeden wyrok na bezterminowe więzienie i na dodatek z innych spraw dano mu jeszcze czterdzieści dwa lata. Odpowiedział mi:

— Raz jeszcze... pocałować kobietę, a później umrzeć.

Do tego stopnia kobiety są cenione niemal u wszystkich więźniów, bez względu na charakter przestępstwa, za które pokutują. Ba, nawet żonobójcy piszą tu wiersze o miłości. Zdaje mi się, że zagalopowałem się i zaczynam znów filozofować, gubiąc temat, więc wracam.

Gdy ubrałem się, stanąłem w oknie, patrząc w przestrzeń, w stronę, gdzie stał jakiś komin fabryczny. Wciągnąłem w płuca świeże powietrze, które sprawiło mi ulgę w cierpieniach. Myślałem tylko o ucieczce. Lecz im bardziej zastanawiałem się nad pomysłem, który mi podano, tym trudniejszy mi się wydawał do urzeczywistnienia.

Pomyśleć tylko, że okno okratowane grubymi prętami, że straż czuwa w dzień i w nocy. Drzwi mocno zaryglowane i zamknięte. Walka toczyła się w moim umyśle, czy ten plan, który współnicy podali, jest w ogóle wykonalny, czy nie lepiej szukać własnego planu? Chodziło mi o to, że gdy narażę się już na karcer, mogą mnie pomieścić akurat nie tam, gdzie oni mi wskazali. A wtedy co? Po odsiedzeniu już nie pójdem do tej samej celi, z którą się już tak zżyłem. Zdawało mi się, jak i każdemu więźniowi, że właśnie jego cela jest najlepsza i że słońce wyjątkowo tylko do niej zagląda.

W więzieniu staje się człowiek nieufny nawet wobec własnych myśli. Jeden pomysł odpycha drugi, tak, że wreszcie nie jest on zdolny na żadne decydowanie. Dręczy go też przy tym żądza walki.

Takich uczuć i ja doznałem, pragnąłem coś dokonać, bić, mordować. Starczyło jednak, aby pan „Aufseher” ukazał się w mojej celi, a stanąłem wtedy pokornie jak baranek przy ścianie, nie śmiać nawet głośno oddychać. O! Jakże wtedy uczułem swoją nicość i niemoc! Jestem tego pewny, że gdyby tak można myślami uśmiercić człowieka, to na pewno ten „Aufseher”, gdy wszedł do celi opukać kraty czy też na rewizję, albo tak sobie, by mi trochę zagrać na nerwach, nie wyszedłby z niej cały.

Myślami dokonywałem strasznych rzeczy, aby wolność osiągnąć, a ręce wieszaly się jednak bezwładnie jak u trupa. Wyrzucałem sobie nieraz własne tchórzostwo, wszakże na nic nie mogłem się zdecydować.

Trzy dni tylko pozostało mi do oznaczonego terminu, był już wtorek, od dnia widzenia upłynęło dni sześć. Przez ten czas ani razu nie wytarłem kurzu. Pragnąłem, aby pan „Aufseher” wziął mnie na oko.

Tak też było. Rano obejrzał porządek w celi, a czynił to zawsze we wtorek. Robił też często niespodzianki w inne dni. Począł mi pokazywać kurz, to na półce, to na piecu i pod łóżkiem, grożąc mi, że zakuje w kajdany i pośle do karcu, o ile jeszcze raz taki nieporządek zastanie.

Odpowiedziałem mu, że kurz dzisiaj dobrze wytarłem. Naumyślnie to zrobiłem, by go tym podrażnić. Niemiec, zły, pociągnął mnie za ucho do centralnego ogrzewania.

— Co to jest! — krzyknął groźnie, nabierając na palce kurzu, a widząc, że milczę, otarł palce silnie o mój nos.

W mnie krew zawrzała, miałem ochotę złapać mojego stałego prześladowcę za gardło i raz skończyć z tym wszystkim. Jednakże przypominając sobie, o co idzie, że tu w grę wchodzi wolność i że mogę gwałtownością zepsuć całą sprawę, uspokoiłem się.

Tegoż dnia obiadu za karę nie dostałem. Głodny i smutny poszedłem tego wieczora na mój barłóg z postanowieniem, że jutro na nowo muszę coś przeszkrobać i z tymi myślami zasnąłem.

Rano na spacerze zacząłem rozmawiać do więźnia, który szedł przede mną. Ten nie odpowiadał mi. Widziałem, że Niemiec mnie już zanotował. Rozmawiałem więc sobie dalej, lecz więzień milczał jak mur. Niemiec, widząc, że rozmawiam bez krępowania się i wyzywająco, krzyknął, bym natychmiast przystanął. Zbliżył się do mnie i groźnie zapytał:

— *Was hast du gesprochen? Weist du nicht, dass das Sprechen verboten ist*<sup>139</sup>?

— Prosiłem, by mi dał popalić papierosa — odparłem głupkowato.

Niemiec aż podskoczył ze złości i krzyknął:

— *Weist du nicht, dass das Rauchen hier verboten ist, du Lump? Wie lange sitzt du hier*<sup>140</sup>?

— Trzy miesiące — odparłem.

— *Drei Monate, und weist nicht, dass das Rauchen verboten ist? Im Arrest hast du schon gesessen*<sup>141</sup>?

— Nie jeszcze — odparłem.

— *Jetzt wirst du sitzen*<sup>142</sup> — odparł ironicznie i kazał mi iść przed sobą. Zaprowadził mnie tam, gdzie były karce. Karce mieściły się w suterenie, w samym rogu gmachu, o jakie trzy kroki od parkanu.

Zrozumiałem też, że na szczęście trafiłem do ostatniego karcu przy szpitalu, o którym wspólnicy wspomnieli. Było tu sześć karców. Trafiłem, że akurat stały próżne. Wszystko jakby mi teraz sprzyjało, bo nieraz bywało, że sąsiad, słysząc, że ktoś piłuje kratę, zaraz dzwonił, wołając dozorcę. Tu byłem sam oddalony od ogółu.

Za jakąś godzinę zawołano mnie do kancelarii, gdzie dostałem trzy dni karceru i z powrotem odprowadzono mnie do tegoż karceru. Dziwna rzecz, teraz głodu nie odczuwa-

<sup>139</sup> *Was hast du gesprochen...* (niem.) – Coś rozmawiał? Nie wiesz, że rozmowa zakazana? [przypis edytorski]

<sup>140</sup> *Weist du nicht (...) sitzt du hier?* (niem.) — Czy nie wiesz, że palenie tu wzbronione, ty galganie? Jak długo tu siedzisz? [przypis edytorski]

<sup>141</sup> *Drei Monate, und weist nicht (...) schon gesessen?* (niem.) — Trzy miesiące i nie wie, że palenie zakazane! W areszcie już siedziałeś? [przypis edytorski]

<sup>142</sup> *Jetzt wirst du sitzen* (niem.) — Teraz będziesz siedział. [przypis edytorski]

lem, choć byłem od wczoraj bez obiadu i od dziś skazany tylko na czterysta gramów chleba dziennie i na wodę, nie myślałem wcale o jedzeniu. Cała moja dusza i całe moje „ja” było zajęte jednym, żeby jak najprędzej doczekać się jutra dwunastej godziny w nocy. Każda minuta wydawała mi się latami. Zanim zegar wybił kwadranse, pięć minut, zdawało mi się, że upłynęły wieki całe.

Całą noc nie spałem, nad ranem jednak zasnąłem. Dzień cały, który przeżyłem w oczekiwaniu na noc, wydawał mi się dłuższy niż te dwadzieścia lat, które na świecie przeżyłem.

Nareszcie światło dzienne zaczęło ustępować, a zmrok coraz więcej wypełniał karcer. Tym razem ciemność sprawiła mi większą ulgę. Zbliżała się chwila mojego zbawienia albo też zupełna zguba, gdyby mi się nie powiodło.

Przez cały czas mojego pobytu w więzieniu ani razu nie pomodliłem się. Usta nie chciały wymawiać słów modlitwy, jednakże teraz, gdy zbliżała się tak poważna chwila, udałem się o pomoc do Boga, choć sam nie wiem, czy w ogóle kiedyś w niego naprawdę wierzyłem... Czy człowiek szczerze wierzący w Boga może zostać zbrodniarzem?

W całym swoim życiu, nawet podczas nauki w jeszywecie nie modliłem się tak gorąco i szczerze jak teraz. Modliłem się dość długo, przysięgając sobie, że o ile uda mi się stąd wyjść, stanę się uczciwym człowiekiem i nigdy, przenigdy już z kodeksem karnym nie będę miał nic wspólnego. Zegar więzienny począł wybijać godziny. Podniosłem głowę i nasłuchiwałem. Dziewięć tępych i obojętnych uderzeń zegara odbiło się o moją duszę. Co się ze mną stanie za trzy godziny? — pomyślałem. Tak, zbliża się stanowcza chwila zbawienia. A gdy się nie uda? Wtedy straszne, wolne konanie czeka mnie tu przez długie lata, a jedynym ratunkiem, który mi jeszcze wtedy pozostanie, będzie pójść w ślady nieszczęsnego sąsiada...

Należało się wziąć do dzieła. „Włosy” już sobie w dzień przygotowałem, na ich końcach przymocowałem patyczki, o które postarałem się poprzednio. Niepokój mnie teraz ogarnął. Musiałem skupić całą siłę woli, by opanować trapiące mnie zwątpienia. Najpierw należało rznąć kratę, która oddzielała mnie od okna.

Karcer był urządzony tam w ten sposób: cela miała długości dwanaście stóp, a szerokości siedem stóp. Była przegrodzona na pół żelazną kratą od sufitu do samego dołu. Więźnia wpuszczano tam przez małą furtkę znajdującą się w kratkach. Stała tam nara mrowana z cementu, dzbanek na wodę, kibel i gałgan do wycierania kurzu. Okno zaś było w drugiej połowie celi. Gdy dozorca wszedł do celi, stał właśnie z tej strony krat, a więzień za kratą wyglądał jakby jakieś zwierzę w menażerii.

Zrobiłem pierwszą kratę, przy której mi pękły dwa włosy, pozostało jeszcze siedem, z przerażeniem pomyślałem, co to będzie, gdy mi wszystkie włosy popękają przed skończeniem pracy. A tu trzeba było oprócz tej kraty przerznąć jeszcze o wiele grubszą.

Wtem usłyszałem otwieranie bramy żelaznej na korytarzu i kroki rozległy się głuchym, grobowym echem i zbliżyły się ku mnie. Od strachu włosy na głowie stanęły mi dęba. Wszakże byłem na tyle przytomny, że prędko ułożyłem się w pozycji śpiącego, zastanawiając się, co tu się stać mogło, że o tej porze idzie ktoś do mnie. Nasłuchiwałem, ktoś zbliżył się do karceru, stanął przy drzwiach i podsłuchiwał. Potem ktoś walnął pięścią w drzwi, nie odzywałem się, walnął po raz drugi i zawołał mnie po nazwisku.

Po chwili odezwałem się.

— *Gut, gut, kannst weiter schlafen*<sup>143</sup> — rzekł do mnie i słyszałem znów, jak kroki oddaliły się.

Domyśliłem się, że to jakiś litościwy Niemiec przyszedł sprawdzić, czy się jeszcze nie powiesiłem, co się często w karcach zdarzało.

Nie było minuty do stracenia. Przelazłem zaledwie przez kraty na drugie pół celi i jak najciszej wdrapałem się na okno. Nasłuchiwałem, co się dzieje na tym podwórku, lecz prócz ciężkiego stąpania straży więziennej nic nie doleciało do mych uszu. Wyteżyłem wzrok, lecz nic zobaczyć nie mogłem.

Ostatnia krata była po wielkich trudach zrobiona.

Teraz strach i trwoga mnie ogarnęła, tak, że na przejście przez otwór brakło mi już odwagi.

Pomyślałem, co będzie, zanim się dostanę tam do rogu parkanu. Straż więzienna

Modlitwa, Ucieczka,  
Więzienie

Ucieczka

<sup>143</sup> *Gut, gut, kannst weiter schlafen* (niem.) — Dobrze, dobrze, możesz dalej spać. [przypis edytorski]

spozrzeże mnie albo, co gorsze, współnicy nie dotrzymają słowa, a zbawcza linka nie będzie przerzucona. Co wtedy będzie? Żadna inna myśl nie miała w tej chwili do mnie dostępu. Pot kroplisty zalewał mi oczy, czułem też, że teraz nie ma czasu do namysłu i wahania. O naprawieniu tego, co już się dokonało i położeniu się spać nie mogło być mowy, trzeba było tu przymusowo działać dalej.

Zegar wybijał punktualnie dwunastą.

Zdobyłem się wreszcie na odwagę, wytknąłem głowę za kratę i obejrzałem się po stronach, a następnie, podpierając się całym wysiłkiem rękoma, wysunąłem się na ziemię, która była równo z oknem. Leżałem tak chwilę, potem podniosłem głowę, ale nic nadzwyczajnego nie spostrzegłem. Prędko podczołgałem się na brzuchu do wskazanego mi miejsca i już leżałem przy parkanie. Wszakże bałem się jeszcze podnieść głowę, by zobaczyć, czy jest zbawcza linka, bałem się, żebym czasem nie doznał zawodu. Podniosłem nareszcie głowę i nic, wyżej spoglądałem i tu też nic nie było.

Przepadłem — przemknęło mi przez głowę. Chciało mi się w tej chwili krzyknąć, płakać, tłuc głową o ścianę. Przerażenie doszło do tego punktu, że groziło mi utratą przytomności, byłem zgubiony. Jeszcze chwila, a wszystko spostrzegą. Patrzyłem na wartownika, który stał, wsparty na karabinie o jakieś dwieście kroków ode mnie, niedaleko latarni. Zdawało mi się, że on wciąż na mnie patrzy. Zamarłem w bezruchu, przylepiony do rogu muru, nie wiedząc, co robić ze sobą. Na szczęście mur był pobielony, a ja ubrany tylko w bieliznę, więc stojąc przy murze, nie mogłem być z daleka widziany. Do tego też końca wartownik nie dochodził, bo tu więźniowie zupełnie nie siedzieli.

Za chwilę usłyszałem poza murami turkot dorożki. Drgnąłem i cały zamieniłem się w słuch, słyszałem, jak stanęła tuż niedaleko. Przez myśl przesunęło mi się, że to na pewno oni, że spóźnili się, a teraz przybywają. Wtem linka uderzyła mnie tak silnie w głowę, że niemal nie krzyknąłem z bólu. Uchwyciłem się kurczowo za koniec linki i w panicznej trwodze, wysilając się, wciągnąłem się. Trzymano ją tam mocno, a co kawałek zrobiony był węzeł. Więc już bez trudności znalazłem się na parkanie i nie patrząc na znaczną wysokość, machinalnie zeskoczyłem na dół i czułem, że wpadłem w jakiś rów.

Za chwilę zarzucono na mnie bez słowa płaszcz i wrzucono do dorożki, która ruszyła momentalnie z miejsca.

Byłem uratowany w objęciach współników. Z nadmiaru szczęścia rozplakałem się. Wspólnicy zaopiekowali się mną i zawieźli do pewnego domu, gdzie oddano mnie pod opiekę starszej kobiety. Tam też przebywałem trzy tygodnie, zanim przyszedłem do siebie. Potem wyrobiono mi znów „lewy gryps”<sup>144</sup> i opuściłem Vaterland, przeklinając w duchu, że tu przyjechał.

Z wyjazdem do kraju musiałem być bardzo ostrożny. Niemcy porozysyłali za mną listy gończe. Sam tu czytałem o swej ucieczce. Opisano ją zupełnie inaczej niż w rzeczywistości było.

Tak zakończyły się moje krótkie znajomości z Vaterlandem, a kto wątpi w prawdziwość tego, co powyżej opisałem, trudno, nic więcej na razie nie mogę powiedzieć. Wystarczy, że twierdzę, że to jest fakt z mojego nędznego życia. A z jakiego więzienia uciekłem, musi ta wiadomość pozostać tylko dla mnie, bo i tak już zdaje mi się, że za wiele o ucieczce powiedziałem...

### XXXIX

Wrześniowego dnia 1916 roku przybyłem do Ojczyzny z silnym postanowieniem poprawy, jak mi się wtedy przynajmniej zdawało. Nic jednakże na świecie nie jest tak kruche, jak postanowienie człowieka o słabej woli. Przekonałem się o tym, że *Talmud* słusznie mówi: „*Ejzeu gyber akejwejsz es jicrej*” — „Ten jest silny, co potrafi siebie opanować”. Ja zaś, pomimo silnej budowy i siły fizycznej, tego nie potrafiłem. Z całą chęcią pragnąłem siebie zwalczyć, wszakże dokonać tego nie mogłem. Ileż to razy przysięgałem sobie raz na zawsze rzucić życie występne i dążyć ku poprawie. Nigdy długo nie wytrzymałem. Gdy nawet zdążyłem już zrobić jeden krok ku poprawie, to za to zrobiłem później dziesięć kroków ku złemu. Jakże boleśnie nieraz to odczuwałem, a jednak do walki ze sobą czułem się zupełnie niezdolny.

<sup>144</sup>*gryps* — tu: paszport. [przypis edytorski]

Więc i teraz obietnica poprawy, którą przyrzekłem sobie, modląc się w krytycznej chwili w karcerze, nie posunęła mnie ani kroku naprzód.

Dziwna to jest natura ludzka, że zawsze prędko zapomina o strasznych chwilach, gdy trochę lepiej się człowiekowi powodzi. Sam byłem najpewniejszy poprawy, gdy znajdowałem się tam za kratami, głodny i przygnębiony, bez żadnego widoku lepszego jutra. Czułem, że gdy się wydostanę na wolność, to już na pewno zerwę z życiem występny. A teraz jeszcze dwa tygodnie nie upłynęło, jak przybyłem do kraju, a już porobiłem znów świeże znajomości z tym światkiem, co go się wyrzekłem i znów zszedłem na bezdroża i mam już, znów, powabną kochankę przy ulicy Niskiej w Warszawie.

Przeniosłem się bowiem teraz do Warszawy, myśląc, że w wielkim mieście będę mógł się prędzej ukryć przed okiem policji niż w małym. Obawiałem się wciąż, że Niemcy mnie poszukują. Miałem już sporo przyjaciół, ponieważ czuli, że miałem jeszcze trochę pieniędzy, które otrzymałem od współników przy wyjeździe z Niemiec. Co prawda nic tu jeszcze takiego nie zrobiłem, ale czułem, że długo to nie potrwa. Pieniądze prędko mi topniały, a kochanka, którą już zdążyłem sobie zwerbować, była bardzo wymagająca i dość „cwana”.

Na tyle była ona cwana, że potrafiła ze mnie wydobyć większą część pieniędzy, które posiadałem. A w zamian za to dała mi to, co każdy mężczyzna mógłby od niej otrzymać za pewną opłatą...

Sam diabeł nie mógłby wytłumaczyć tego, jak to się stało, że zostałem jej kochankiem. Znajomość nasza datowała się od pewnej nocy, którą tam przebyłem jako zwykły śmiertelnik, ofiarowując piętnaście marek za noc, a zostałem już ubóstwianym jej kochankiem, jak ona mnie zapewniała.

Nie byłem co prawda na tyle naiwny, bym w to zupełnie wierzył, gdyż jak wiadomo, miałem sporo doświadczenia pod tym względem. Tylko po prostu wyznam, że nie miałem nic do stracenia. Byłem tu obcy i potrzebowałem znajomości i miejsca zamieszkania, więc udawałem zakochanego. Jednakże zdaje mi się, że oboje doskonale się zrozumieliśmy.

Mieszkała ona razem z dwiema innymi dziewczętami, dużo młodszymi od niej. Dziewczęta te były dla niej tym, czym ja kiedyś, na początku kariery złodziejskiej, byłem u „Cwajnosy”. W tym fachu też są „koniki”. Ona sama, jako zawodowa i doświadczona, była „gospodynią”. Prawie przed samym wybuchem wojny przyjechała z Buenos Aires, gdzie była kilka lat, a wyjechała tam jako szesnastoletnia dziewczyna. Nazywała się Liza i była o jakieś sześć lat starsza ode mnie, chciała koniecznie, bym się z nią ożenił. Tak mnie opanowała, że słuchałem ją we wszystkim oprócz namów do żeniaczki, tych nie bardzo słuchałem. Imponowało mi zresztą to, że ona jest moja, gdyż tam na bruku była znana jako niedostępna „grandesa”, a przez stosunki z nią byłem również przyjęty w odpowiednie towarzystwo.

Pewnego dnia z wieczora, gdy przybyłem do domu, ledwie tylko przestąpiłem próg, zauważyłem, że jakaś kobieta pomknęła do drugiego pokoju i drzwi prędko za sobą zamknęła. Zainteresowało mnie to. Kto tam być może?

Zapytałem się Lizy, ta jakoś niewyraźnie mi tłumaczyła, więc chciałem tam zajrzeć. Jednakże Liza mi tego stanowczo zabroniła, mówiąc, że tam jest taka osoba, której mnie nie wolno widzieć. Tym bardziej jeszcze zaintrygowała mnie tym. Pociągnąłem więc za drzwi, jednakże były zamknięte. Począłem też stukać, by mi otworzono. Nikt się nie odezwał. Prosiłem po raz drugi Lizę, żeby kazała otworzyć. Ta jednak stała na swoim, że to nie jest mój interes. Ze złością uderzyłem całą siłą plecami, a drzwi momentalnie otworzyły się.

Obrzuciłem spojrzeniem pokój, na razie nic nie widziałem, jednak za chwilę stanąłem jak wryty. W samym kącie stała ta dziewczyna, którą znałem od dziecka. Ta sama, co ją bronilem, gdy Srulek chciał ją wtedy wpakować do kufra i nam pokazać, jak to się ludzie żenią.

Widziałem ją po raz ostatni przed wyjazdem do stryja w roku 1913. Poznałem ją jednak od razu. Była to typowo piękna dziewczyna o kształtach wykwintnych, wysoka, o włosach złocistych i kędzierzawych. Patrzyła na mnie, mniej zdziwiona niż ja. Widać wiedziała, że tu jestem, uśmiechnęli się do mnie szyderczo, a zarazem wstydliwie. Płonęła cała. Nareszcie, po chwili milczenia, przemówiłem:

— Co ty tu robisz w tym domu? — zapytałem, postępując krok naprzód.

Nic nie odpowiedziała, tylko wybuchnęła płaczem. Liza podskoczyła do mnie.

— To nie twój interes — krzyczała ze złością. — Wynoś mi się zaraz stąd!

Obrzuciłem ją takim pogardliwym spojrzeniem, że od razu zamilkła i zbliżyłem się bardziej do dziewczyny.

— Słuchaj mnie, Belka — rzekłem tonem rozkazującym — masz natychmiast jechać do domu, ja nigdy na to nie pozwolę, abys tu była, słyszysz!

Spojrzała na mnie swoimi pięknymi oczyma i odparła wyzywająco:

— A ty co tu robisz? Jak tobie wolno, dlaczego mnie nie wolno?

— Ja, ja jestem mężczyzną, a ty... zastanów się i opowiedz mi, w jaki sposób aż tu się znalazłaś?

Liza, zła, stała teraz w pozycji tygrysy, której chcą odebrać dziecię. Myślałem, że rzuci się na mnie. Przez cały czas, blisko dwa miesiące, co mnie znała, widziała mnie zawsze uległym, więc myślała, że i teraz nade mną zapanuje, a gdy zobaczyła moją gniewną postawę, nie śmiała już nic mówić, tylko wzroku swojego od nas nie odwróciła.

Belka przyszła do siebie i prosiła, bym się z nią przespacerował, a na ulicy to ona mi wszystko o sobie powie. Zgodziłem się, pomimo protestu Lizy, który obawiała się, że wyrwę ofiarę z jej rąk, a zarazem widziała w niej groźną rywalkę dla siebie. Stanowczo zabraniała mi wyjść z nią, jednak nie usłuchałem i oboje wyszliśmy na ulicę.

Na ulicy przytuliła się do mnie z całym zaufaniem, znaliśmy się od dziecka i wiedziała, że ja jej żadnej krzywdy nie uczynię. Był to już koniec października i zauważyłem, że jak na zimę jest nieodpowiednio ubrana i że trzęsie się z zimna. Szliśmy tak aż do ulicy Okopowej bez słowa. Oboje na pewno myśleliśmy o tym, że w ładny sposób spotkaliśmy się i że oboje mamy się co wstydić.

Pierwszy znów odezwałem się:

— Belka, powiedz mi o sobie, chcę wszystko wiedzieć i dopomogę tobie we wszystkim, co tylko będzie w mojej mocy. Powiedz, w jaki sposób ty trafiłaś aż do tego domu i dlaczego chowałaś się przede mną. Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

Ociągała się dłuższą chwilę z odpowiedzią i nareszcie zaczęła cichym, ledwie dosłyszalnym głosem opowiadać o sobie.

— Za późno już, by mnie uratować — rzekła. — Już teraz mi nic nie grozi.

Tu uśmiechnęła się do mnie smutno, a ten jej uśmiech dopowiedział mi wszystko...

— Zaraz, jak wojna wybuchła — ciągnęła w zamyśleniu — umarł mi ojciec, zostało nas sześćoro dzieci, matka też zaczęła chorować. Ja, jako najstarsza, musiałam wszystkimi się opiekować. Później nas wygnano z miasteczka, a mnie gwałtem porwał oficer, który twierdził, że się we mnie zakochał. Trzymał mnie dwa tygodnie, później wyjechał na front, nie pożegnawszy się nawet ze mną. Co miałam robić? Wróciłam do Białegostoku, gdzie odnalazłam rodzinę, przyjęto mnie jednak tam tak, jak ciebie twój ojciec przyjmował, gdy wróciłeś do domu z więzienia. Długo też tam nie wytrzymałam i wyniosłam się, byłam tu i tam. Z początku nie mogłam się przyzwyczaić do tego życia. Ale teraz mi obojętne. W Warszawie jestem już dłuższy czas. Byłam w kilku miejscach, wszędzie wykorzystano mnie. Wszystko zabierała „gospodyni”, a ja mam tylko to, co na mnie widzisz — uśmiechnęła się gorzko. — Dwa dni temu poznałam Lizę, namówiła mnie, bym do niej chodziła, więc przyszedłam. Wiedziałam o tym, że ty też chodzisz po złej drodze, ale że cię tu spotkam, nigdy się tego nie spodziewałam. Dopiero tu dowiedziałam się od Lizy, że ona ma kochankę z moich stron i pokazała mi fotografię. Nie poznałam. Dopiero, gdy cię przez okno zobaczyłam, od razu cię poznałam i chciałam się ukryć, wstydząc się ciebie, ciebie, który mnie znasz, wiesz, z jakiego domu pochodzę, a teraz w tym rynsztoku... Tak samo byłam przekonana, że ty też nie życzysz sobie, bym ciebie tu widziała. — Po chwili dodała: — Nie warto było mnie bronić wtedy, gdy to Srulek chciał mnie pakować gwałtem do kufra... Czy ty to pamiętasz? To było już moje przeznaczenie — zakończyła smutno.

Myślałem, że mi serce pęknie z żalu, gdy słuchałem jej wyznania. Momentalnie stanął mi obraz z dzieciństwa, jakby to było dopiero wczoraj. Widziałem siebie, jako małego chłopca w chederze. Przed oczyma stanął mi cały obraz i zdarzenie z kufrem. Teraz stoi tu ta Belka przy mnie, w obcym, wielkim mieście, jako dorosła, złamana kobieta, narzekająca na los i ludzi. Ja, jako złodziej, a ona prostytutka...

Chciałem się rzucić jej na szyję, całować ją jako towarzyszkę niedoli i przeznaczenia. Ona, której ojciec był zamożnym i szanowanym człowiekiem! Kto by to pomyślał o tym, że tak się stanie z jego córką.

Szliśmy tak w milczeniu jeszcze przez dłuższą chwilę, potem, widząc, że ona drży z zimna, zaproponowałem zejść do znajomej kawiarni przy ulicy Pawiej.

Za chwilę już siedziała przy stoliku przy mnie, gdzie kazałem podać coś do jedzenia, przyznała się bowiem, że jest głodna.

Tutaj obserwowałem ją uważnie przez cały czas i pomyślałem sobie, że taka naiwna i szczerą nawet na prostytutkę się nie nadaje. Znałem dobrze ten rodzaj kobiet, co za oddanie się zamiast pieniędzy otrzymują zawsze szturchańca. Znałem to życie. Postanowiłem się nią opiekować i namówić, by pojechała natychmiast do domu, by nie dać jej zupełnie upaść.

Pomimo, że mi się podobała, nie pomyślałem nawet, by skorzystać z tej sytuacji. Dla mnie nie była ona materiałem do nabycia i zepsutą kobietą. Widziałem ją jako małą, niewinną dziewczynkę. Doskonale ją rozumiałem.

Tego samego wieczora kupiłem jej palto ciepłe i dużo innych fatalaszków i postanowiłem ją wyprawić do domu. Jednak ona była więcej uparta, niż ja to sobie myślałem. Do domu w żaden sposób wrócić nie chciała, twierdząc, że tam ją będą w miasteczku wytykać palcami i pluć w jej stronę, że woli tu już pozostać.

Próbowałem tłumaczyć, jednak ustąpiłem. Ja to doskonale znałem i wierzyłem, co ją czeka w tym zacofanym, żydowskim miasteczku.

Liza patrzyła na tę moją opiekę jak wściekła i podejrzewała ją, że została już moją kochanką. Na wszelkie wymówki nic nie odpowiadałem. Belkę umieściłem w pewnym miejscu, dałem jej pieniądze i kazałem się wystarać o jakąś pracę. A nawet sam się wystarałem dla niej o miejsce kelnerki w cukierni na pewnej ulicy. Gdy ją powiadomiłem o tym, że łzami w oczach dziękowała mi i zaraz też objęła posadę.

Upłynęło z tydzień czasu po objęciu posady. Postanowiłem ją raz odwiedzić. Zakażalem jej bowiem przychodzić do Lizy na spotkanie ze mną. Po pierwsze nie chciałem, by Liza wiedziała, że się jeszcze nią opiekuję, a po drugie obawiałem się, że nie wytrzymam i Belka zostanie naprawdę moją kochanką. Byliśmy oboje za młodzi i za wielcy przyjaciele, byśmy sobie jeden drugiemu czegoś podobnego mogli odmówić...

Pewnego dnia, gdy zaszedłem do tej cukierni, jak wielce się zdziwiłem, gdy jej tam nie zastałem. Próbowałem zapytać o nią. Tu dopiero dowiedziałem się, że od trzech dni jej tu nie ma. Gdy próbowałem się dowiedzieć coś więcej, jedna z kelnerek odwołała mnie na stronę i powiedziała mi, że agent policji obyczajowej zabrał ją i już nie wróciła. Z filuternym uśmiechem dodała:

— Na pewno znajdzie ją pan na Księżęcej ulicy w „łabaju”.

Zrozumiałem teraz wszystko, Liza zemściła się na niej i oddała w ręce policji obyczajowej, a ta ją aresztowała. W ten sam dzień jeszcze zerwałem z Lizą, zabierając wszystko co moje. Przyznała mi się beczelnie sama, że to ona zrobiła mi na złość, bym nie miał kochanki. Dodała również, że szkoda, iż ona nic nie wie takiego, by mogła i mnie oddać policji, jednak już się o to postara. Gdy mi tak groziła, tym bardziej postanowiłem od niej zaraz odejść i zerwałem z nią raz na zawsze.

Dowiedziałem się, że w „łabaju” na Księżęcej można te pensjonarki<sup>145</sup> odwiedzać dwa razy na tydzień. Pewnego dnia zrobiłem zakupy i udałem się tam na widzenie. Podałem się za krewnego. Za chwilę ujrzałem ją na sali widzeń. Ubrana była w krótki szpitalny chałat i drewniane trepy na nogach. Była też blada nie do poznania. Nie śmiała na mnie spojrzeć. Nareszcie delikatnie ją spytałem o zdrowie i za co ją tutaj zamknęli i jak długo ją będą tu trzymać. Obiecałem, że nie zapomnę o niej i że często ją będę odwiedzał.

Podniosła głowę, popatrzyła na mnie chwilę i wybuchnęła płaczem, po czym bez słowa wybiegła z sali. Czekałem jeszcze długo, myślałem, że wróci, nie wróciła jednak, musiałem iść do domu.

Nie mogłem zrozumieć jej dziwnego zachowania się. Byłem naprawdę gotów wszystko zrobić dla niej, by ją stamtąd wydostać. Nawet zdecydowałem się na to, by ją wziąć za narzeczoną, dowiedziałem się bowiem, że o ile ktoś podpisze, że ta kobieta jest jego na-

<sup>145</sup> pensjonarki — chodzi o pensjonariuszki. [przypis edytorski]



rzeczoną lub weźmie ją za żonę, to ją zwolnią. Jednakże zanim ten plan urzeczywistniłem, sam znalazłem się za kratami.

## XL

Dnia dziewiątego listopada 1916 roku znów aresztowano mnie w Ł., gdzie chwilowo zatrzymałem się, pod zarzutem dokonania włamania do prowiantury wojskowej, o której pojęcia nawet nie miałem. Pojechałem tam na moje nieszczęście, kiedy tu szukano złodziei. Jako obcy zostałem tam aresztowany za „gościnny występ”, a że znaleziono przy mnie przybory złodziejskie, od razu domyślano się, kim jestem i przypisywano mi wszystkie kradzieże, jakich tylko dokonano w okolicy. Akurat z tej nocy, której okradziony został magazyn, nie mogłem wykazać, z wielu tylko mnie znanych powodów, swojego alibi. Wzięto mnie przez to, słusznie, za tego złodzieja. Zaraz też znalazł się jeden Żyd, co twierdził, że tego samego wieczora widział mnie w towarzystwie dwóch jegomościów, jednego małego, grubego, a drugiego wysokiego i cienkiego i że kręciłem się po tej ulicy, gdzie mieścił się magazyn, co wcale nie było prawdą.

Dziś, po tylu latach jeszcze, gdy sobie o tym wspomnę, co wtedy ze mną na komendanturze robiono, bym się przyznał i wydał współników, dreszcze mnie przechodzą.

Komendant, który był sierżantem niemieckim, nie mogąc ode mnie nic wydobyć, nawet tego, co się tyczy mojej osoby, mało że się nie wściekł ze złości. Chwytał się różnych forteli. Ja jednak milczałem, gdyż naprawdę o niczym nie wiedziałem w tym przedmiocie, o który mnie pytano.

Na drugi dzień komendant kazał mnie znów prowadzić przed siebie i wzięto mnie tam w „krzyżowy ogień pytań”. Ostatnia to próba, której się chwyta policja chyba na całym świecie. Jednakże po tych „pytaniach” nic więcej ze mnie nie wydobyli, jak tylko trzy zęby, które pozostawiłem na podłodze.

Po upływie trzydniowego znęcania się nade mną, wygłodniałego obudzono mnie o północy i kazano wyjść z celi. Wyprowadzono mnie na podwórze, tu założono mi kajdanki na ręce i komendant razem z pięcioma żołnierzami umieścili nas w samochodzie i wywieźli za miasto.

Myślałem, że pewno wiozą mnie na karę śmierci. Ręce zaczęły mi drętwieć, gdyż kajdanki były tak ciasno przyciśnięte, że krew przestała krążyć.

Poznałem tę szosę, po której jechaliśmy. Myślałem, że mnie wiozą do fortu, by rozstrzelać i że odkryli, kim jestem. Przepadłem — pomyślałem sobie — może z Niemiec mnie poszukują.

Komendant kazał przystanąć, zwrócił się do mnie, bym wyszedł. Zbladłem, myśląc, że ostatnia moja chwila wybija, wojna, pomyślałem, u Niemców wszystko jest możliwe. Kto się kiedy dowie, że mnie tu zabito. Zawahałem się na chwilę, czy nie wyznać, gdzie byłem tej nocy i wykazać moje alibi, wyznać wszystko. Zrozumiałem również, że Niemcy podejrzewają mnie też o szpiegostwo, więc powiem lepiej, kim jestem i skąd pochodzę. Jednak odrzuciłem prędko tę myśl, gdyż za moje alibi groziłoby mi więcej niż za tę kantynę i postanowiłem milczeć, cokolwiek by się stało. Przecież niemożliwe, pocieszałem się w duchu, by za kradzież rozstrzeliwali. W Niemczech miałem sto razy gorsze sprawy, a nawet mnie nie tknęto. A może oni wiedzą o mojej ucieczce? Tu dreszcze mnie przeszły. Nie, to niemożliwe.

Komendant zwrócił się do mnie i po polsku zaczął mi tłumaczyć, że o ile nie powiem prawdy i nie wskażę współników, to mogę pożegnać się z życiem.

— Teraz jest wojna — mówił — nie mamy czasu bawić się z wami. Pomyśl, żal mi cię, jesteś jeszcze tak młody i na pewno masz rodziców, którzy będą płakać po tobie i wstydzić się, że syn nie umarł jak bohater na placu boju, tylko został rozstrzelany jako zbrodniarz.

Tu wyciągnął zegarek, a żołnierz przyświecił latarką.

— Patrz, za dziesięć minut piąta, pięć minut więc daję ci do namysłu. A potem... — i tu zrobił ruch w kierunku żołnierzy, którzy stali w pogotowiu oparci o karabiny. Zapytał mnie też, czy chcę zapalić i nie czekając na odpowiedź, podał mi cygaro, którego nie przyjąłem.

Nie jestem zdolny tu opisać, jaka walka odbywała się we mnie, czy przyznać się do niepopelnionego przeze mnie przestępstwa, czy nie. A gdy nawet przyznam się, kto wie,

czy tym bardziej mnie nie rozstrzelają za kradzież rządowych pieniędzy, ale czyż to naprawdę możliwe, żeby za to przestępstwo skazali mnie na śmierć i to tak bez sądu? Tu znów przypomniało mi się, jak oglądałem plac boju, gdzie leżało tylu zabitych. Co więc mogę znaczyć, tylu ludzi, którzy nigdzie nie kradli, zamordowano zupełnie niewinnie, dlaczegóż by ze mną nie można tak zrobić? Co prawda, jestem niewinny, ale za co innego należy mi się kara. Więc obojętnie, za jakie przestępstwo mnie ukarzą, dość że otrzymam zasłużoną karę. Tu znów otucha wstąpiła we mnie. Nie, to niemożliwe, oni mnie tylko próbują. Takie i inne myśli podobne krążyły mi po głowie przez pięć minut danych mi do namysłu.

Był zimny, listopadowy poranek, spojrzałem na niebo, jakbym tam szukał ratunku. Dziwna rzecz, że w groźnych zawsze dla mnie chwilach mimo woli zwracałem się do nieba, choć nie bardzo wierzyłem, że tam coś jest. Żał mi było naprawdę umierać w dwudziestym roku życia, ale cóż, trudno, widać taki już mój los.

Pięć minut upłynęło.

Komendant zwrócił się znów do mnie z zapytaniem, czy przyznaję się, bo nie ma czasu, a pięć minut już minęło.

— Nie znam żadnych współników i o żadnej kradzieży nic nie wiem. Nie jestem żadnym złodziejem — rzekłem niepewnym głosem, uśmiechając się smutnie.

Niemcy spojrzeli porozumiewawczo po sobie.

— Los! Los! — krzyknął komendant i popchnięto mnie w stronę lasu, który ciągnął się po obu stronach szosy.

Tu przywiązano mnie linką do drzewa, żołnierze naładowali broń, a komendant zwrócił się po raz ostatni do mnie:

— Patrz — mówił — jak piękny jest świat, żał mi cię, wiedz o tym, że my nie żartujemy. Powiedz prawdę, to cię puszcza zaraz wolnym, a jak nie, to za chwilę będzie z ciebie tylko trup.

Słuchałem ze spuszczoną głową i nic nie odpowiedziałem.

— No trudno — mówił komendant — jak nie chcesz żyć, to mi tam za jedno.

Przykuli mi teraz ręce w tył wokoło drzewa, tak że stałem przykuty do pnia. Zrobiłem się obojętny na wszystko, tylko by to się już jak najprędzej skończyło.

Znów zapytano mnie, czy oczy zawiązać.

Nie odpowiedziałem.

Pięciu Niemców stanęło naprzeciw mnie gotowych do strzału.

— Ostatni raz ci się pytam — zwrócił się do mnie jeszcze — przyznajesz się czy nie?

Parę sekund złowroga cisza.

— *Einz! Zwei! Drei!* —

Padła salwa i o moje uszy odbił się przeraźliwy śmiech, jakby wszyscy diabli w piekle roześmiali się tam na moje przybycie.

Nie jestem w możności opisać wrażenia, jakiego wówczas doznałem, trzeba być wielkim artystą, by móc wrażenie to opisać. Na początku, gdy usłyszałem huk i zarazem śmiech, a nie czułem żadnego bólu, zapytywałem siebie w duchu, czy ja jeszcze żyję, czy już nie żyję? A ponieważ jeszcze nigdy nie byłem zabity, pomyślałem, że może właśnie po śmierci człowiek tak się czuje, więc może jestem już naprawdę zabity? Bałem się oczy podnieść, by spojrzeć, co się wokoło mnie dzieje i zwiesiłem cały korpus. Potem czułem jakby atak serca, a nareszcie poczułem, że mi ktoś wlewa wódkę do ust.

Za chwilę odwieziono mnie i rozkuto zupełnie z kajdanek. Posadzono znów w samochód. Komendant poklepał mnie wesoło ręką po plecach, śmiejąc się z żołnierzami:

— *Guter Dieb, die Russen sind gute Diebe*<sup>146</sup>.

Poczęstowano mnie też chlebem, konserwami i rumem, po czym przywieziono z powrotem do Łomży. Oddano mnie w ręce Feldpolicji<sup>147</sup>, a stamtąd, po ponownym śledztwie, powędrowałem prościuteńko do „Czerwoniaka”.

<sup>146</sup> *Guter Dieb, die Russen sind gute Diebe* (niem.) — Dobry złodziej, Rosjanie są dobrymi złodziejami. [przypis edytorski]

<sup>147</sup> *Feldpolizei* (niem.) — policja polowa. [przypis edytorski]

„Czerwoniak” — pod tą skromną nazwą rozumie się wielkie więzienie w Łomży. Za czasów rosyjskich było ono znane jako straszne w swej grozie. Z głębi Rosji przysyłano tu za karę katorżników za bunt. Niejeden człowiek, który miał zaszczyt go poznać, czuje dreszcze przerażenia na sam dźwięk tej nazwy. „Czerwoniak” został wykończony lat kilka przed wybuchem wojny światowej. Zbudowany jest na wzór cel pojedynczych więzień niemieckich. Stoi on w formie rosyjskiej litery T, co zapewne miało znaczyć „Turma”<sup>148</sup>.

Zrewidowano mnie i załatwiono formalności, o których już nie warto tu wspominać, gdyż z pewnością we wszystkich więzieniach chyba całego świata odbywa się rytuał przyjęcia w tej samej formie. Naruszają wtedy całą rodzinę, która często nic nie jest winna, że w ich rodzie znalazł się przestępca, a jednak musi bezwiednie figurować po archiwach i księgach więziennych.

Zaprowadzono mnie na skrzydło pojedynek, po lewej ręce, jak się wychodzi z kancelarii. Jest tam sześćdziesiąt pojedynczych cel, gdzie za czasów rosyjskich siedziały wyłącznie kobiety. Teraz siedzieli tam mężczyźni, pojedynczo i po dwóch w jednej celi. Główne dwa skrzydła cel pojedynczych i cel ogólnych stały podówczas puste, przeprowadzano tam bowiem remont, gdyż z powodu wojny wszystkie urządzenia cel były zdemolowane. Więźniów wszystkich było wtedy około stu kilkunastu, wliczając więźniów siedzących w dwóch ogólnych celach, w pobliżu tychże pojedynek, gdzie za czasów rosyjskich tak samo siedziały kobiety. Mnie osadzono na trzecim piętrze, samego, w celi pod nr 245.

W celi nic nie było oprócz łóżka, stołka i podartego siennika. Sama cela była podobna do znanych mi już pojedynczych cel. Zimniej tu było niż na dworze. Centralne ogrzewanie nie funkcjonowało zupełnie i nigdy tu nie palono. Grube mury i asfaltowa podłoga wiały chłodem przejmującym do kości. Teraz nie rozpacziałem już jak dawniej, gdy mnie tylko przymknięto do celi. Za dużo już piekła przeszedłem, bym się miał teraz na widok tej celi przelęknąć. Uznawałem zasadę: „Jakoś to będzie”.

Za jakieś pół godziny po moim przybyciu rozdawano obiady. Przez otwór w drzwiach podawano mi w zardzewiałej bańce litrowej od konserw jakąś wstrętną zupę. Zapach, który bił od tej zardzewiałej bańki, wystarczył, aby być już najedzonym. Łyżek do jedzenia zupełnie tu nie używano, pomimo głodu nie mogłem tego przelknąć. Była to suszona kapusta i jeszcze jakieś korzenie, których rozpoznać nie potrafiłem.

Żołnierze na warcie zmieniali się co dwie godziny, na każdym oddziale stał Niemiec z karabinem, a gdy więzień ciągnął kłapę, puszczał go raz na dwie godziny na naturalną potrzebę, ponieważ w celi naczynia do tegoż użytku wcale nie było. Nikt tu nie dbał o porządek. Więźniowie byli w rękach wojskowych. Sierżant niemiecki był tu jako komendant. Do pomocy zaś oprócz warty, która zmieniała się co czternaście dni, miał trzech żołnierzy. I Niemiec, na wpół ślepy, trzymał dozór nad więźniami, którzy podawali nam raz na dwa szczytki, by wymiatać celę. Drugi był naszym karmicielem, miał kuchnię i prowiant pod swoim dozorem. Trzeci zaś, ogromnego wzrostu Niemiec, był pomocnikiem sierżanta, a chodził stale, jak i komendant, z bykowcem w ręku.

Muszę tu koniecznie scharakteryzować osobę komendanta. Nazywał się Szram. Mógł mieć około czterdziestu czterech lat, średniego wzrostu, nosił „szpicbródkę”, a wąs miał na wzór swojego monarchy. Suchy na twarzy, a oczy świeciły mu się jak u kota syberyjskiego. Podkradał się tak cichutko pod cele i podglądał przez judasza, po czym tak sprawnie otwierał drzwi, że więzień stojący na stole i wyglądający oknem, nic nie słyszał i prawie nigdy nie zdążył zeskoczyć w porę, zanim ten stanął w celi.

Za rozmowę i wyglądanie oknem nigdy nie darował. Bykowiec, który trzymał stale w ręce, nigdy nie próżnował. Przez więźniów był przezywany „zdrajcą”.

Skarżyć się tu nie było do kogo. Od pierwszej chwili, gdy Niemcy weszli do Łomży, był on tu panem życia i śmierci. Niejeden z więźniów zmarł z jego ręki. Dopiero gdy ja tu przybyłem, chodziły już pogłoski, że więzienie mają objąć władze cywilne, co też się wkrótce sprawdziło.

Jeżeli człowiek na wolności utracił zbyt wiele, pozostaje mu zawsze i jeszcze jakkolwiek nadzieja i ma rozwiązane ręce do działania. Ale gdy człowiek utraci wolność,

<sup>148</sup>turma (z ros.) — więzienie. [przypis edytorski]

popada wtedy w stan odrętwienia, pozostając nieczuły dla otoczenia... Tak samo ja, po paru dniach pobytu tamże, stałem się nieczuły na własny ból. Dość byłem przybity własnym smutkiem, by myśleć o innych. Jednakże były chwile, że uszy sobie zatykałem, by nie słyszeć jęków katowanych. Dostyc nas tu bił głód. Otrzymywaliśmy dwieście gramów chleba dziennie, litr zupy i dwa razy dziennie po pół litra kawy.

Spaceru żadnego nie było. Raz jeden tylko pamiętam, „zdrajca” kazał wszystkim wypuścić niespodzianie na „*Freistunde*”<sup>149</sup>. Ustawił nas po czterech w rząd, następnie oprowadził dwa razy wokół więziennego podwórza, Koniec zaś tego spaceru był straszny, może z kilkunastu więźniów „Zdrajca” razem ze swoim pomocnikiem zbili do utraty przytomności za to, że przemówili ze sobą.

Był to pierwszy i ostatni spacer za rządów „Zdrajcy” i prokuratora Lichnera. Obaj dobrali się. Tylko ten ostatni miał tę dobrą stronę, że o ile więzień miał ładną siostrę, żonę lub kochankę, wyrabiali u niego wszystko, nawet i wolność.

Tak przesiadziałem przeszło dwa tygodnie. Całymi godzinami stałem przy oknie, nie bacząc na to, że „Zdrajca” może mnie nakryć.

Żadna siła i kara nie jest zdolna powstrzymać więźnia, by nie wyjrzał oknem choćby ukradkiem. Najwięksi tchórze z więźniów to czynią, tym bardziej, gdy nie mają innego zajęcia.

Z okna mojej celi to prawda nic nie mogłem zobaczyć, gdyż wychodziło na dziedzińiec więzienia, pola tylko widziałem z daleka. Jednakże nieraz całymi godzinami stałem i patrzyłem w jeden punkt. To na wodo-kaczkę<sup>150</sup> stojącą na podwórku więziennym naprzeciw mojego okna, to obserwowałem jakiegoś przechodzącego chłopca, to znów kobietę, tak długo, aż zniknęła mi zupełnie z oczu. Często też z zimna biegałem po celi jak potępieniec, z jednego rogu do drugiego.

Jako pociechę w tym smutnym życiu miałem to, że żywiłem nadzieję, iż mnie zwolnią. Byłem tego nawet pewny, zadowolony też byłem, że ubrany jeszcze jestem we własne ubranie. Zawsze mniej odczuwałem zimna niż w więziennym. Każdy tu siedział we własnym ubraniu. Ten, co bielizny nie otrzymywał z domu, to chodził w jednej bieliźnie całe miesiące. Byli tacy, co jeszcze po roku chodzili w tej samej bieliźnie. Nawet wszy pogardzały tymi strzępami, a przenosiły się do świeżych gości. Z tego też powodu, pomimo że byłem zaciętym przeciwnikiem jakiej bądź wojny, to jednak tu musiałem rozpocząć wojnę z pchłami i pluskwami. W dzień ścigałem je zawzięcie, mordując bez litości, a za to one odwzajemniały się, szturmując mnie w nocy i nie dając mi spokoju.

Takie oto życie pędziłem w tym więzieniu od pierwszego dnia. Ale zdaje mi się, że uprzedzam tu wypadki, więc teraz przystąpię do opowiadania kolejności wypadków.

Punktualnie za tydzień zawezwano mnie ponownie do miasta na śledztwo. Prowadził mnie do komendantury żołnierz, po czym oficer delikatnie, aż za delikatnie wy badał mnie. Śledztwo trwało z godzinę, po czym odprowadzono mnie z powrotem do więzienia.

Po upływie trzech dni znów zawezwano mnie, tym razem objaśniono, że ma się odbyć rozprawa przed sądem. Włosy zjeżyły mi się na głowie na samo słowo „sąd”, a tu sąd wojenny. Myślałem, kto wie, czy mi nie dadzą kary śmierci, a może oni wiedzą jeszcze więcej o mnie niż mi się to wydaje. Smutne domysły mnie gnębiły. A nawet gdy mi dadzą wyrok, co wtedy? W takich warunkach jest niemożliwe siedzieć ani roku. Tu myśl przelotna zabłysła: „Spróbujesz, a może stąd ci się uda zwać, w gorszych opałach byłeś, a wydostałeś się”. Jednak myśl inna: „Raz ci się tylko udało, a więcej ci się to nie uda. Pamiętasz, jak przysięgałeś w karcu w ostatnią chwilę, że gdy się stąd wydostaniesz, to staniesz się uczciwym człowiekiem? A coś zrobił? Znów nabroiliłeś. Nie, teraz nic nie pomoże, musisz tu zgnieć”. Zgnębiony takimi mniej więcej myślami, stanąłem przed sądem.

W skład sądu wchodziło kilku oficerów i jeszcze jakiś wojskowy. Czytano mi może jakieś pół godziny akt oskarżenia, z tego wszystkiego odróżniłem tylko słowo „*Diebstahl*” i znów „*Diebstahl*”<sup>151</sup>. Więcej z tego ani słowa nie zrozumiałem. Potem pytano mnie, czy przyznaję się. Odpowiedziałem, że nic o niczym nie wiem. Znów tam coś pisano. Pano wie sędziowie podszeptali sobie coś na ucho, po czym odczytano wyrok: „*Zwei Jahre*

<sup>149</sup>*Freistunde* (niem.) — wolna godzina. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>*wodo-kaczka* — pompa. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>*Diebstahl* — kradzież. [przypis edytorski]

*Gefängnis für schweren Einbruchdiebstahl*<sup>152</sup>, po czym odprowadzono mnie z powrotem do więzienia.

Byłem tak przygnębiony i przybity tym wyrokiem, że nie byłem nawet zdolny do myślenia. W drodze z sali sądu aż do zamknięcia mnie w celi, znajdowałem się w stanie nieprzytomnym. Sam nie pamiętam, kiedy mnie z sądu wyprowadzono, kiedy szedłem ulicami z powrotem do więzienia, dopiero w celi oprzytomniałem. Potarłem sobie ręką czoło, jakbym chciał sobie coś przypomnieć. Tu dopiero sobie zdałem sprawę, co się ze mną stało.

Z rozpaczy począłem głową tłuc o mur. Nie mogłem się pogodzić z myślami, że zamiast spodziewanej wolności dostałem aż dwa lata i to będąc zupełnie niewinny. Przysięgam, że nie byłem winny. Dziś już wszystko jedno, bo to już dawno minęło. Jednakże te dwa lata otrzymałem dlatego, że potrzebna była ofiara, by zaspokoić kogoś. No i ja nią byłem.

Przyznaję się też i do tego, że chcąc policzyć przestępstwa, które popełniłem bezkarnie, należałby mi się o wiele większy wymiar kary. Jednak w tym, za co mnie skazali, nie byłem winny.

Pierwszą noc po wyroku ani na sekundę oka nie zmrużyłem, strachem objęty nie mogłem zasnąć. Ciężkie myśli jak stopy kamienne przygniatały mi głowę i spędzały sen z powiek. Wsłuchiwałem się tylko w miarowe kroki straży z okutymi butami. Każde uderzenie butem o bruk odbijało się o mój mózg, jakby mi po głowie deptał. O, jak straszne są bezsenne noce w więzieniu, sto razy straszniejsze niż w trumnie. Jedna taka noc wystarczy, by człowieka zrobić anormalnym na całe życie. Wiele takich nocy bezsennych przepędziłem, doprowadzały one mnie niemal do wariactwa. Zresztą po co się skarżyć, sam uznaję przysłowie:

„Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz”.

Upłynęło znów dni kilka, zupełnie oswoiłem się z dwoma latami. Myśląc, że mam dwa lata tylko, a nie dziesięć lat, jak już było poprzednio, zacząłem godzić się z losem. W takich chwilach ciężkich zawsze potrafiłem opanowywać wolę i patrzyłem na życie ze strony filozoficznej. Chcąc zapanować nad smutną rzeczywistością, pogrążyłem się w rozmyślniach. Przypomniałem sobie aforyzm Konfucjusza: „Ściśnij serce i trwaj”. A ja wtedy sobie mówiłem: „Ściśnij żołądek i trwaj”. Zdaje mi się doprawdy, że żołądek ścisnąć jest jeszcze trudniej niż serce.

Do diabła! Znów filozofuję! Jak mi jest ciężko od tego się odzwyczaić! Ale proszę cię, Czytelniku, przebac mi, to nie ja temu winien. Każdy kto przesiedział długie lata w pojedynczych celach, jak nie zidociejcie zupełnie, to staje się wtedy filozofem bez żadnych tam dyplomów.

Zacząłem sobie regulować życie w ten sposób: dwieście gramów chleba otrzymanego rano chowałem na wieczór, gdyż głód spać nie pozwalał. Wypiłem tylko kawę. Do obiadu prowadziłem wojnę z pluskwami, po obiedzie było już pochmurno w celi, więc do wieczora spędzałem czas na wałęsaniu się po celi i wyglądaniu przez okno. Książek tu nie dawano żadnych, żeby sobie nie uprzyjemniać czasu.

## XLII

Minął tak cały miesiąc. Pewnego dnia zostałem zawezwany do prokuratora Lichnera. Gdy stanąłem w jego gabinecie, siedział on pochylony nad papierami, podniósł głowę i utkwil we mnie wzrok, aby zobaczyć, z kim ma do czynienia. Był to oficer w średnim wieku, wysokiego wzrostu, o nieprzyjemnej twarzy, z nosem czerwonym, nosił binokle. Cała fizjonomia i ruchy jego przypominały lisa. Po chwili obserwowania rozpoczął badanie.

— Proszę sobie dokładnie to przypomnieć, gdzie wy byliście wieczorem o godzinie dwunastej dnia drugiego listopada. Muszę to dokładnie wiedzieć — dodał stanowczym, chrapliwym głosem.

<sup>152</sup>*Zwei Jahre Gefängnis für schweren Einbruchdiebstahl* (niem.) — Dwa lata więzienia za ciężką kradzież z włamaniem. [przypis edytorski]

— Ja? Tak, przypominam sobie. Właśnie o tej godzinie byłem tu, w Łomży i okradłem prowianturę, za co już otrzymałem od sądu wojennego dwa lata *Gefängnis*<sup>153</sup> — odparłem śmiało.

Prokurator zerwał się ze swego miejsca, stanął, kilka razy zdejmował binokle, to znów je nakładał, przypatrując mi się bystro i z całym natężeniem. Staralem się wytrzymać jego wzrok i nie zmieszać się przed jego badawczym spojrzeniem, po chwili mnie zapytał:

— Wiele wam już lat?

— Dwadzieścia lat — odparłem.

— Wiele razy byliście już karani?.

— Pierwszy raz — odparłem śmiało.

Znów mi się przypatrywał i rozkazał swojej sekretarce, która siedziała obok przy maszynie, żeby to zanotowała, następnie niespodziewanie mnie zagadnął:

— Czy wy byliście kiedyś w miasteczku T.?

Tu tak bystro wpatrywał się oczyma we mnie, jakby mnie chciał nimi przebić na wylot.

— Tak, znam to miasteczko — odpowiedziałem.

— Jak dawno, jak wy tam byliście?

— Może dwa lata, a może już więcej, dokładnie już tego nie pamiętam.

Sekretarka na maszynie pisała moje odpowiedzi.

Znów przypatrywał mi się chwilę, uśmiechnął się i kazał mi usiąść, co też nieśmiało uczyniłem, następnie poczęstował mnie cygarem, które przyjąłem, myśląc w duchu, że za nie dostanę od kucharzy „dolewkę”.

Zadał mi jeszcze inne pytania, które nie miały nic wspólnego ze śledztwem, co bardzo mnie dziwiło, ale o tym tu się rozpisywać nie myślę i będę tylko mówił, do czego on dążył.

Trzeba tu wiedzieć, że ten sam prokurator był od początku, gdy tylko Niemcy zajęli miasto, panem sprawiedliwości, sędzią śledczym, sędzią i prokuratorem, wszystkim w jednej osobie, istna „chodząca sprawiedliwość”. Gdy dał komu wyrok, śmiał się, że o ile mu się nie podoba, to może apelować do pana Boga. Opowiadało mi o tym kilku więźniów, którzy zostali przez niego skazani, a z którymi spotykałem się w ustępie albo rozmawiałem przez okno, kiedy stał „dobry” żołnierz na posterunku.

Zrozumiałem od razu, o co mu chodziło, a udawałem, jakbym się niczego nie domyślał.

Wtem niespodziewanie znów zagadnął mnie:

— Czy wiecie, że w miasteczku T. okradziono w nocy drugiego listopada „*Bauamt*”<sup>154</sup> i zabrano tam ogromną sumę pieniędzy przygotowaną dla trzech tysięcy robotników pracujących przy budowie mostów, szosy itd.?

— Nic o tym nie słyszałem — odparłem. — Mówiłem, że tej nocy okradłem prowianturę i zostałem zaraz aresztowany.

Uśmiechnął się do mnie szyderczo i odparł:

— Nie przyznałeś się do tej kradzieży, więc ty tam może nie byłeś?

— Jak to? A dwa lata za co dostałem? O ile nie byłbym winien, sąd niemiecki na pewno by niewinnego nie skazał.

Zdaje się, że nawet uśmiechnąłem się wtedy przy tej odpowiedzi, a on zagryzł wargi, co doskonale zauważyłem.

— A jednak wiem, że ty byłeś w T. i to jeszcze z dwoma z Warszawy, gdy okradziono „*Bauamt*”. Ja już jestem na śladzie — dodał.

— Panie prokuratorze — rzekłem śmiało. — Czarodziejem nie jestem, bym był widziany i bym mógł się przenieść z miejsca na miejsce, o ile dostałem dwa lata za to, że o godzinie mniej więcej dwunastej w nocy do drugiej dokonałem tu kradzieży, nie mogłem dokonać o tej samej porze kradzieży w miasteczku T., które, jeśli się nie mylę, jest stąd oddalone o pięćdziesiąt wiorst, a wiadomo, że koleje ani samochody tam nie kursują, a aeroplanem tam na pewno nie przybyłem — dodałem.

<sup>153</sup>*Gefängnis* (niem.) — więzienie. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>*Bauamt* (niem.) — biuro budowlane. [przypis edytorski]

Prokurator, widząc, że nie dają się złapać, coś na ucho szepnął sekretarce. Ona się roześmiała, a później zwrócił się do mnie z zapytaniem, czy nie jestem głodny, czy w więzieniu dają dosyć jeść?

Zrozumiałem znów, do czego dąży i odparłem:

— Pan prokurator lepiej wie ode mnie, że w więzieniu puchną i umierają z głodu.

— Ach, tak — odparł. — Ja o tym nie wiedziałem, a ty widzę dobrze wyglądasz, od dziś każę tobie przynosić obiad z kasyna, o ile macie pieniądze.

Własnym uszom nie dowierzałem. Albo żartuje, albo go źle zrozumiałem. Jednak powtórzył to po raz drugi.

— Tak, mam sześć i pół marki i dwieście dwadzieścia trzy ruble, które odebrano mi przy aresztowaniu.

— Te pieniądze są skonfiskowane — odparł — ale jak wam podadzą pieniądze z domu, to pozwolę wam codziennie z kantyny dostarczać obiad.

— Nie mam domu i nikogo, żeby mi podawał obiad — odparłem.

Popatrzył na mnie chytrze i zapytał:

— A narzeczona z Warszawy może wam podawać?

Drgnąłem. Czyżby on wiedział o Lizie? Ona coś działa na pewno źle na moją stronę. Tu przypomniały mi się jej groźby, gdy się z nią rozszedłem.

— Nie mam tam żadnej kobiety, a ta, którą miałem, każdy ją może mieć — odparłem.

— Ach tak? Wcale o tym nie wiedziałem. Ale szkoda mi was, chciałbym wam pomóc. Wiem, że niewinnie zostaliście skazani na dwa lata — tu znacząco spojrział na mnie i ironicznie uśmiechnął się. — Więc słuchaj, co powiem, potrzebny mi jest zdolny człowiek w więzieniu, na którym mógłbym polega, a dostanie on dubeltowe życie i codziennie dwie godziny „*Freistunde*”, o ile dobrze się wywiąże z tego, co mu zaproponuję, postaram się także o łaskę i wolność dla niego. Wiem, że wy jesteście niewinny — tu odchrząknął. — No jak, przystajecie na to, co wam teraz powiem?

Myślałem, co on może chcieć ode mnie, na pewno chce dostać mnie w łapy za ten „*Bauamt*”, postanowiłem być ostrożnym, nawet na myśl mi nie przyszło to, co od niego usłyszałem.

— Słuchajcie uważnie — rzekł do mnie, przy tym kazał mi przybliżyć się do siebie.

— Wiem, że jesteś mądry chłopak i ja takich lubię i mam nadzieję, że się akuratanie wywiążesz, a wtedy pomyślę o tobie... Chciecie być agentem w policji? — niespodziewanie zapytał.

Drgnąłem. Ja i agent, śmierci spodziewałbym się prędzej niż tego pytania, ale nic nie rzekłem, chcąc wysłuchać, do czego on właściwie dąży i kiwnąłem głową, a on ciągnął dalej:

— Wsadzę was do jednej celi do pewnego więźnia, a wy od niego starajcie się dowiedzieć, za co on siedzi i kto z nim był na tym napadzie i jakie jeszcze napady zrobił i gdzie. Wy dacie znać sierżantowi, a on mi już zatelefonuje. Wtedy was zawezwę do siebie, a gdy dobrze się wywiążesz z tej sprawy, to cię zwolnię i zrobię agentem. Tak zrób, żeby on się nie zmiarkował, że ty go śledzisz, ty możesz mu też opowiedzieć naumyślnie o kradzieżach, tak aby mieć jego zaufanie, zrozumiałeś?

— Tak, panie prokuratorze — odparłem, zapalając się do jego polecenia — ale pan prokurator zapomniał, że o ile on będzie wiedział, iż ja dostaję dubeltowe porcje i „*Freistunde*”, czego żaden więzień nie dostaje, to od razu się zmiarkuje i nie będzie do mnie nic mówił, a nawet może mnie zabić, o ile to jest bandyta.

Prokurator roześmiał się.

— Tak, jesteś mądry, dobrze mówisz, ja o tym nie pomyślałem, że masz „*Judas-Kopf*”<sup>155</sup>. Z ciebie będzie dobry agent. Więc teraz zrobimy w ten sposób, że jako skazany z sądu wojennego możesz dostać spacer, a podczas spaceru będziesz mógł zjeść obiad w dyżurce, a nikt o tym się nie dowie. Gdy się już dowiesz, co nam potrzeba, to znów pójdziesz do osobnej pojedynki, a tam będzie ci mógł sierżant podawać, dopóki cię nie zwolnię. Myślałem, tyś mądry, a ja też niegłupi, to co myślisz, już na początku przejrzałem.

Dał mi jeszcze kilka wskazówek i zostałem z powrotem odprowadzony do więzienia.

<sup>155</sup>*Judas-Kopf* (z niem.) — żydowska głowa. [przypis edytorski]

W więzieniu „Zdrajca” uśmiechnął się do mnie poufnie, pomimo że już przedtem zdążyłem dwa razy dostać od niego kilka bykówców za rozmowę przez okno. Teraz u siebie nasmarował mi kawał chleba z masłem, przełożył kielbasą i podał kubek kawy. Rzuciłem się na to, a on przy jedzeniu bacznie mnie obserwował, klepiąc przyjaźnie po plecach. Następnie zaprowadził mnie do celi nr 253, gdzie siedział rzekomy bandyta, z którego miałem wydobyć zeznanie.

Lokator celi nr 253 bardzo się ucieszył, gdy mnie spostrzegł, przywitaliśmy się, miał około trzydziestu lat, był wysokiego wzrostu, o chytrym spojrzeniu, dla sprawnego oka przestępcy wystarczyło, by poznać w nim zawodowego agenta tajnej policji. Teraz tym bardziej utwierdziłem się w moich domysłach, do czego pan prokurator dąży.

Niemcy często praktykowali to, że wsadzali agenta na parę dni do celi, ten czy się coś naprawdę dowiedział, czy też nie, świadczył potem, jak prokurator chciał. Więc obawiałem się, że choć nic mu nie wyznam o okradzeniu „*Bauamt*”, jednak może na lewo opowiadać, że się do tego przyznał. Usiadłem na łóżku, rozmyślając, co mi należy uczynić. Towarzysz niby był trochę zakłopotany, następnie zwrócił się wesoło do mnie:

— Nie martw się pan, teraz we dwoje będzie nam klawo, a za co pana wtrzyli?

— Za kradzież!

— Czy już po sprawie? — badał dalej.

— Tak!

— A wiele panu dali?

— Dwa lata przez sąd wojenny.

Tu zrobił wesołą minę.

— Co to jest dwa lata, mnie czeka ot to — tu pokazał ruchem na gardło — i się nie martwię. Raz się człowiek urodził i raz kofinie. Ale cieszy mnie choć to, że już niejednego wyprawilem na tamten świat — dodał tajemniczo.

— A za co pan teraz siedzi? — starałem się zapytać spokojnie.

— Za pięć napadów, ale jeszcze na to dość czasu, by opowiedzieć. Tylko nie smuć się — dodał cicho — „mortusu”<sup>156</sup> tu nie będziemy mieli, mam zaszyte pieniądze, a żołnierze przyniosą wszystko do jedzenia.

Myślałem, trudno, trzeba parę dni tu siedzieć i zobaczyć, co będzie dalej, a wtedy ja się z nim tu załatwię i śmiać mi się chciało w duchu z tego kawału, zobaczymy, kto kogo w butelkę nabije. Trzeba tymczasem skorzystać z okazji i trochę się podreperować. On ma forszę, a ja wiedziałem już od drugich więźniów, że za pieniądze, o ile stoją dobrzy żołnierze, to sprzedają chleb, marmeladę i inne rzeczy. Więc postanowiłem się nie zdradzać, że wiem, kim on jest.

Za jakąś godzinę po obiedzie przyszedł „Zdrajca”, przyniósł papier i odczytał, że jako skazanemu przez sąd wojenny przysługuje mi „*Freistun*” dwie godziny dziennie i że od jutra od godziny drugiej do czwartej będę spacer dostawał.

Udawałem, że bardzo się ucieszyłem tą nowiną. Zauważyłem też, jak „Zdrajca” z moim towarzyszem zamienili porozumiewawcze spojrzenie ze sobą.

Gdy wyszedł z celi, towarzysz mój wyciągnął spod siennika ze dwa funty kielbasy, chleb i miód i kazał jeść, jakby swoje. Dziś wieczorem, mówił, to mam świeże dostać. Dałem Niemcom dziesięć marek. Wszystko będzie dobrze, porozmawiamy sobie, a mam dobry pomysł, który nam obu się przyda.

Przy jedzeniu opowiadał mi o sobie i dał mi do zrozumienia, że stąd można „najechać”<sup>157</sup> i wyłożył mi swój plan. Następnie zaczął mi opowiadać swoje zbrodnie z przeszłości.

Myślałem, że trzeba jemu też coś „zalać” i opowiedziałem mu zmyśloną kradzież, której rzekomo dokonałem w Warszawie. Wypytywał mnie dokładnie o szczegóły. Zachęcał do jedzenia i tak zabawiliśmy do wieczora na rozmowie, na której czas prędko przeleciał. Postanowiłem nie nalegać tak bardzo i mieć się więcej na baczności.

Na drugi dzień nastąpiły pytania jeszcze więcej natarczywe niż poprzednio. Widać, że nie chciał długo tu ze mną siedzieć. Miałem ochotę w nocy tego gada wziąć i udusić, bo w otwarty sposób nie dałbym mu rady.

<sup>156</sup>*mortus* — brak pieniędzy. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>*najechać* — okraść. [przypis edytorski]



Jednakże postanowiłem być ostrożny i nie zdradzić się z tym, że wiem, kim on jest, iż jest szpiegiem. Odpowiadałem na pytania najspokojniej, co mi się ledwo udało.

Tak upłynęły trzy dni, na spacer nie poszedłem, nie chciałem skorzystać z tych przywilejów, bo wiedziałem, że dziś, jutro i tak mnie przymkną. W czwarty dzień objaśnił mi towarzysz, że miał dobry sen i że może dziś zawezwą go na śledztwo.

Tak też było, on doskonale wiedział, że go zwolnią. Po obiedzie zawołano go i już nie wrócił. Spodziewałem się tego. Przypomniałem sobie całą rozmowę z nim od pierwszej chwili i byłem zadowolony z siebie, że nic takiego mu nie powiedziałem.

Na drugi dzień rano przyszedł „Zdrajca” do celi i udawał zdziwienie, że tu siedzę sam. Uśmiechnął się i popatrzył na mnie bystro, po czym poczęstował mnie cygarem, mówiąc, że podobam mu się i jak chcę, to mi da Żyda do celi, żeby mi się nie przykrzyło.

Zapytałem go śmiało, czy też bandyta, roześmiał się i powiedział, że tym razem nie bandyta, że tylko szmugler. Jednak prosiłem go, by mi pozwolił siedzieć samemu.

Od dnia tego stał się „Zdrajca” dla mnie bardzo względny, nawet schwycił kilka razy na oknie i nie bił mnie. Wiedział, że ze mną mu się nic nie udało, był zadowolony.

### XLIII

Przyszedł rok 1917. Zaraz po Nowym Roku więzienie objęły niemieckie władze cywilne. Główne więzienie, dwa skrzydła pojedynków męskich były już gotowe i poczęto nas przebierać w ubrania aresztanckie. Przesadzono każdego do pojedynki. Zaraz od pierwszego dnia poznałem rygor, jaki się zaprowadza. Przyjechał tu z Niemiec „Oberaufseher”<sup>158</sup> Schreiber i dozorca Ról<sup>159</sup>. Oni to zaczęli wprowadzać rygor jak w niemieckich więzieniach. Nieraz więźniowie żalowali rządów „Zdrajcy”, bo co teraz nastąpiło, było wprost nie do wytrzymania.

Za rządów „Zdrajcy”, gdy na warcie stali dobrzy żołnierze, można było przez okno rozmawiać. Ze względu na kobiety, z którymi oni romansowali, dali i nam spokój. Kobiety wtedy w całym więzieniu było siedem. Chodziły po całych dniach na spacerze. A w nocy, gdy udawałem się do ustępu, sam kilka razy widziałem, że karabin tylko stał oparty o celę zamiast wartownika, a Niemiec był w środku i...

Jak już wspominałem, co czternaście dni zmieniała się warta, a żołnierze chodzili do cel kobiet, nie krępując się nami. Niejednemu z więźniów kobiety podawały palenie, które było srogo zabronione i ujmowały się za nami. Przypomina mi się też heca o paleniu, o której muszę tu wspomnieć.

Obok mnie siedział jeden więzień, postarał się od kobiety o papierosa, nie zdążył jeszcze popalić, gdy „Zdrajca” wpadł do jego celi, pociągnął nosem i zadał mu pytanie po polsku, gdyż nauczył się już kilku słów:

— Palić?

— Nie, panie.

— Palić! — krzyknął groźnie.

Więzień nie przyznawał się. „Zdrajca” zaczął tego więźnia rewidować i odkrył papierosa palącego się w ręce.

— Palić? — pytał go teraz, pokazując mu dym od papierosa snujący się z jego ręki.

— Nie, panie.

Niemiec począł go okładać bykowcem i krzyzczeć, jakby go ze skóry darli.

— Palić! Palić!

Więzień nie przyznawał się.

Nareszcie „Zdrajca” bierze papierosa z jego ręki, przykładą mu pod sam nos i krzyczy:

— Co to jest?

— Nie wiem, panie.

Niemiec, myślałem, że się wścieknie, jednak Bończuk, bo tak się nazywał, nie przyznał się. Zbił go niemal do utraty przytomności i wyszedł z celi, przeklinając upartość Polaków.

Jednakże od tego dnia „Zdrajca” sam mu dawał czasami papierosa i prymki<sup>160</sup>, a kazał mu również dawać „dolewkę”.

<sup>158</sup> *Oberaufseher* (niem.) — nadzorca. [przypis edytorski]

<sup>159</sup> *Ról* — zniekształcony zapis nazwiska Ruhl. [przypis edytorski]

<sup>160</sup> *prymka* — tytoń do żucia. [przypis edytorski]

Zaraz po objęciu więzienia przez władze cywilne zmniejszono nam porcje chleba do siedemdziesięciu pięciu gramów dziennie. Spacer zaczęto dawać po piętnaście minut dziennie. Spacer ten to tylko była okazja, by mieć za co karać i bić więźniów.

Wiadomo, że więzień mimo zakazu starał się przemówić do drugiego podczas spaceru, a to srogo karano, jednym słowem stało się gorzej. Nie ja byłem tam wyjątkiem, wszyscy więźniowie przewracali się wprost z głodu.

Podczas spaceru Ról stał pośrodku „Rajskiego podwórka”, a trzydziestu więźniów partiami kręciło się wkoło niego, jeden od drugiego o dziesięć kroków. Ręce musiał mieć więzień założone w tył. Co parę minut Ról podawał nam komendę:

— *Achtung*<sup>161</sup>!

Więźniowie momentalnie musieli stać, a nie daj Boże, by odstęp nie był równy, bił on wtedy więźnia do utraty przytomności, gdy zaś więźniowie stanęli, podawał znów komendę:

— *Mutze ab*<sup>162</sup>!

Wszyscy jednocześnie zrywali czapki z głowy.

— *Mutze auf*<sup>163</sup>!

Więźniowie wkładali czapki.

Tak codziennie podczas piętnastominutowego spaceru w kółko szukał on okazji, by do kogoś się przyczepić.

„Zdrajca” był w porównaniu z Rólem człowiekiem litościwym. Wyobrażam go sobie tak, jakby „Wampir z Düsseldorfu”<sup>164</sup> był jego synem, albo jakby on sam nim był. Wyglądał na lat czterdzieści, słusznego wzrostu, brunet, wąsy nosił po angielsku. Chodził z fajką w ustach, sztywny, jakby kij połknął, a twarz jego zdawała się zawsze wyrażać zdziwienie. Mówił chrapliwym głosem.

Bił strasznie i torturował więźniów za byle jakie przewinienie. Z jakąś sadystyczną rozkoszą upajał się jękami katowanych. Podczas egzekucji mierzył w najboleśniejsze miejsce. Oczy jego iskrzyły się wtedy jakimś osobliwym, nie dającym się określić blaskiem. Szatański uśmiech wykrzywił wtedy jego zwierzęce usta. Brak mi słów, by tego potwora w ludzkim ciele określić. Wystarczy, jeżeli powiem, że ten niemiecki nasz wychowawca podczas egzekucji był raczej podobny do średniowiecznego kata niż do człowieka z dwudziestego wieku i do tego urodzonego „w kulturalnym Vaterlandzie”.

Nie! Tu zupełnie nie przesadzam w określeniu go. Do dziś dnia na samo wspomnienie, co więźniowie od niego wycierpieli, dreszcze mnie przechodzą po całym ciele. Nieraz bił mnie do utraty przytomności, do dziś dnia noszę na sobie ślady jego katowskiej dłoni, mam bębenek w lewym uchu pęknięty.

Jestem tego zdania, że więzień, który przesiedział rok podczas okupacji w więzieniu, piekła się już nie złęknie. Ról tu był naprawdę samowładnym panem życia i śmierci, był też i naczelnik, ale nikt z więźniów go nie widział nigdy, nawet kary dyscyplinarne przysyłano więźniowi zaocznie, nie pytając go ani słowa.

O ile czasami więzień próbował hardo się postawić, czując się skrzywdzonym, natychmiast zlatywała się ich cała gromada, a wtedy był bity i kopany do utraty przytomności, o czym na własnej skórze się przekonałem. A jeżeli więzień umarł po takiej kaźni, pewno pisali w raporcie, że powiesił się, co się często tu zdarzało. Nie było nawet tygodnia, by się ktoś nie powiesił. Nikt się już nigdy o tym nie dowiedział, w jaki sposób niektórzy umierali. Grube mury „Czerwoniaka” i lochy podziemne potrafiły wchłonąć w siebie tę tajemnicę śmierci, nie dzieląc się tym z nikim. Straszne, włosy mi teraz dęba stają na głowie, gdy to piszę. Moje oczy patrzyły na tę bezradną mękę.

Ról przychodząc na służbę rano, przynosił pęk witek moczonych w wodzie, a do wieczora miał wszystkie potrzaskane. Gdy bił, starał się bić po twarzy, jęki katowanych i wołanie „o Jezus” było słyhać niemal co chwilę z innych cel. Przed Rólem drżeli niemal dozorczy, Polacy, których było tam już kilku. Ci ostatni starali się ulżyć więźniom, w czym tylko mogli.

<sup>161</sup>*Achtung* (niem.) — uwaga. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>*Mutze ab* (niem.) — zdjąć czapki. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>*Mutze auf* (niem.) — włożyć czapki. [przypis edytorski]

<sup>164</sup>*wampir z Düsseldorfu* — Peter Kürten, niemiecki seryjny morderca, skazany w 1931 roku. [przypis edytorski]

Muszę tu także wspomnieć ze wstydem, że było tam dwóch podłych dozorców Żydów, a nawet po nazwisku muszę tu tych nazwać: Lipszyc i Lustig. Ten ostatni to był istny typ „Judasza”, miał służbę tylko po nocach, od apelu wieczornego do rana. Więźniowie zadowoleni, że Róla nie ma, wieczorem często ryzykowali oknem wyglądać. A Lustig po cichutku podchodził do Judasza i zapisywał numer celi. Przez tego gada i ja kilku obiadów nie dostałem i kilka razy siedziałem w karcu po siedem dni.

Co prawda wolałem być w karcu niż w celi, tam przynajmniej dostawałem ze czterysta gramów chleba i wody.

Trzeba było się kłaść spać o godzinie czwartej po obiedzie, musieliśmy leżeć do dziewiątej rano, siedemnaście godzin i to o głodzie w zimnej celi, co za męki przechodziłem, a gdy więzień próbował wstać, to Lustig go zaraz sobie zanotował, a kara była już pewna.

Rano dawano nam ćwierć litra kawy, a na obiad litr śmierdzącej kapusty, o godzinie czwartej kartoflanka, albo raczej woda od kartofli i siedemdziesiąt pięć gramów chleba, na raz ugryźć. Wystarczy, gdy powiem, że do oddziału, gdzie siedziało sto osób, garbaty więzień nosił chleb dla wszystkich w małej skrzynce, na sznurku przez ramię przewieszzonej. Jak cień garbus ten przesuwiał się od lufcika do lufcika w drzwiach, gdzie chleb kładł bez słowa. Przy kolacji zaraz musiał więzień wypić supę i wyłożyć łyżkę i ubranie, łyżkę, którą teraz już każdy miał.

Tak przyszedł luty i pewnego dnia Ról otworzył niespodzianie drzwi mojej celi i zapytał, czy chcę groch przebrać. Oddech mi zaparło, myślałem, że on drwi ze mnie, groch przebrać, dopiero bym się tu najadł — pomyślałem. Ról zapytał po raz drugi, na co naturalnie przystałem. Za chwilę przyniesiono mi cały worek grochu, który w przeciągu dwóch tygodni miałem przebrać. Nie zdążył jeszcze zupełnie przymknąć celi, a pomimo jego zakazu, bym nie jadł grochu, bo będzie ważył go przy odbiorze, dopadłem do worka i całą garść grochu sypnąłem do ust. Groch był twardy, więc sobie na noc wsypałem do miski i nalałem wody, a rano groch był miękki.

Nastał teraz dla mnie lepszy czas, głodny już nie byłem. Nie mogłem też wytrzymać, bym nie poczęstował towarzyszy niedoli i nie podawał im grochu. Na tym oddziale, gdzie byłem, na trzydzieści pojedynek kilku nas tylko dostało groch do przebijania.

Niemcy, gdy dali komu pracę, to szukali takiego więźnia, który by był dobrze zbudowany, nawet do przebijania grochu. Wyjątku nie robili. Ponieważ jeszcze źle się nie trzymałem, zostałem wyróżniony i dano mi groch.

Wychodząc na spacer, ukradkiem towarzysze błagali mnie o groch podając mi chusteczki, a ja z prawdziwym poświęceniem podawałem każdemu, kto mnie tylko prosił, nie patrząc, co będzie później. Nie mogłem patrzeć na tych ludzi wyniszczonych, ledwo włączających nogami. Gdy zaś byłem w celi, pukano do mnie ze wszystkich stron, bym podał grochu.

Wieczorem z cel nade mną leżących spuszczano „windy” i woreczki, a ja podawałem, ile tylko mogłem. Tak z worka dwa i pół cetnarowego pozostało mi na drugi tydzień zaledwie z ćwierć worka. Tak źle i tak niedobrze — pomyślałem — i tak będzie brak przy wadze, więc rozdałem niemal wszystko. A gdy pewnego dnia usłyszałem, że Ról chodzi już zbierać groch, cały zdrząłem. Co prawda nabrałem sił trochę od grochu i byłem gotowy na wszystko...

Za chwilę drzwi się u mnie otworzyły.

— *Erbsen*<sup>165</sup>! — krzyknął groźnie Ról. Twarz miał zeszepeconą, gniewną. Przeklinał, że u drugich już brakowało po trzydzieści funtów do wagi.

Słyszając to, nie wiedziałem, co mam robić, niemalże traciłem przytomność umysłu.

Ról widząc, że nie ruszam się z miejsca, zrobił krok do celi i krzyknął po raz drugi. Instynktownie przytuliłem się do kąta, tak żebym mógł się skryć przy ścianie, gdyby mnie chciał bić. Ról spojrział na mnie straszonym wzrokiem i krzyknął:

— *Du verfluchter Jude, bist du noch frech? Wo sind die Erbsen?*<sup>166</sup>

Wtem spojrział na stół, tam w worku było zaledwie dziesięć funtów grochu. Twarz Róla w tej chwili wyrażała więcej zdziwienia niż gniewu i bez słowa zaczął mnie okładać bykowcem. Podniosłem taki krzyk, że z kancelarii wszyscy urzędnicy przybiegli. Ról

<sup>165</sup>*Erbsen* (niem.) — groch. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>*Du verfluchter Jude, bist du noch frech? Wo sind die Erbsen?* (niem.) — Przeklęty Żydzie, jeszcze jesteś zuchwały? Gdzie groch? [przypis edytorski]

musiał zaprzestać egzekucji i tylko ograniczył się do tego, że natychmiast zakął mnie na ręce i nogi i tak rzucono mnie do karcu.

Więźniowie byli tak przygnębieni, że słysząc, iż kogoś biją, nie śmieli się wcale odezwać. Ci, co mi pomagali groch zjeść, nawet nie odezwali się, gdy mnie katował. Skończyło się na tym, że czternaście dni siedziałem w karcu, a Ról miał mnie już odtąd na oku.

Właścicielem tego życiodajnego grochu, jak się później dowiedziałem, był pewien ziemianin niedaleko mieszkający. On to dał na początku sto cetnarów do przebierania za pewną opłatą, a odebrał tylko pięćdziesiąt cetnarów, resztę zjedli. Po tym wszystkim groch dano do przebierania tylko kobietom, których już teraz było sporo, bowiem przyszedł transport kobiet z „Pawiaka”.

Raz na miesiąc prowadzono też nas do łaźni, która była oddalona ze trzy wiorsty od miasta. Dzień ten był wielkim świętem dla nas, bowiem krewni i znajomi aresztantów odprowadzali każdą partię tam i z powrotem. A gdy byli dobrzy żołnierze, pozwalali podawać nam coś do jedzenia. Tego dnia niemalże każdy podjadł sobie, bo jeden drugiemu udzielał, gdyż i tak nie było wolno do więzienia brać. Żołnierze pilnowali, by ze sobą nic nie brać, obawiając się kozy.

Tu trzeba przyznać żołnierzom niemieckim, że niemal każdy posterunek niemiecki, co nas prowadził do łaźni, a było ich z piętnastu na jedną partię, pozwalał rozmawiać i przyjmować jedzenie. Bardzo współczuli nam.

Łaźnia trwała niemal cały dzień. Wychodziliśmy z więzienia o godzinie dziesiątej rano. Tam dopiero więźniowie na zmianę pompowali wodę, potem dopiero była łaźnia.

Niemcy, którzy obsługiwali łaźnię, byli bardzo złymi ludźmi, bili też więźniów za byle co. Ubrania wszystkie zostały wzięte do parowania, a gdy więzień nie odnalazł na czas ubrania z pieca albo nie podał prędko, oberwał zawsze szturchańca.

Najgorzej zaś było, gdy musieliśmy zaraz z łaźni wyjść na mróz i stać, zanim stu ludzi ustawiono w szeregi po czterech. Co prawda, mieliśmy koce ze sobą, jednakże jeden więzień się przeziębił i umarł po tej łaźni.

Taki tryb życia prowadziliśmy w tym przeklętym „Czerwoniaku”.

Trzeba przyznać, że ubranie więźniowie dostawali dobre, podobno zostało po Rosji. Bieliznę dostawaliśmy co tydzień, skarpetki, chustki do nosa i chustki na szyję, a nawet ci, co pracowali, otrzymywali ciepłą bieliznę.

Ale głód był straszny.

Naczelnikiem był oficer niemiecki, nazywał się Ring, ten mało co interesował się więźniami. Czasami tylko urządzał sobie małą rozrywkę w ten sposób: zachodził do próżnej celi, kładł aresztancką czapkę na głowę i wyglądał oknem, wołając różne imiona. Gdy zaś który się odezwał, zapisywał go, by ukarać karcem.

Później, gdy się więźniowie połapali, kto to woła: Stasiek, Franek, Maniek, nie odpowiadali już na wołanie, a trzeba wiedzieć, że tam skrzydła pojedynków stoją naprzeciw siebie, więc dlatego, gdy włożył czapkę aresztancką, myśleli, że to więzień.

Pewnego razu przebrał, się nawet w ubranie aresztanckie. Idąc do łaźni, musieliśmy przejść przez korytarz, skąd prowadziły drzwi do kancelarii. Naczelnik w przebraniu wkręcił się niespostrzeżenie między nas, owinięty kocami na głowie. Wszakże fortel mu się udał, ale niezupełnie. Korytarzowy ostrzegł nas, a my żołnierzy, by nie dopuszczali nikogo do nas. Dopiero gdy stanęliśmy na miejscu, zrzucając z siebie koce, krzyknął na więźnia, by mu ściągnął więzienne ubranie, stanął w swojej całej okazałości, ze szpicrutą w ręku, wodząc dumnie oczyma wokoło nędznych więźniów, jakby tymi dokonał wielkiego czynu bohaterckiego.

Następnie wypadł z łaźni, zawołał kilku Niemców i kazał aresztować wszystkie baby, które oczekiwały na nas. Popędził wszystkie do więzienia, może z pięćdziesiąt osób trzymał ze dwie godziny w jednej dużej celi, a gdy podniosły krzyk, wypuścił.

Ten sam pan naczelnik co chwila zmieniał sobie kucharkę, którą wybierał z kobiet aresztantek. Rzecz naturalna, że brzydkich kucharek nigdy nie brał. A miał z czego wybierać, bo kilka kobiet było bardzo urodnych, ale o tym jeszcze później wspomnę.

## XLIV

Starszy dozorca Schreiber był niezłym człowiekiem, nigdy więźnia nie bił. Był to człowiek pięćdziesięcioletni z czarną bródką przetkaną siwizną. Miał dwadzieścia dwa lata służby więziennej w „Zuchthausach”. Był on tu „Hausvaterem<sup>167</sup>”, a tak mało miał z więźniami do czynienia. Nieraz słyszano, jak wyrzucał Rólowi jego postępowanie. Jednak ten sobie z tego nic nie robił i z dnia na dzień stawał się dla nas gorszy.

Schreiber uczył się po polsku, a najlepiej z całego słownika polskiego podobały mu się i znał takie słowa, jak: słonina, masło, kielbasa, jaja, wódka, które często pakował w posyłki i wysyłał do „Vaterlandu”. Nieraz, chcąc się popisać swoją mową polską, przemawiał do więźniów po polsku tak, że sam diabeł by go nie zrozumiał. Zwykle tak się wyrażał do złodziejasków, którzy po wyjściu na wolność przyszlizli po raz drugi:

— Ty złodziej? — Ty głupi, nie złodziej. — Mądry złodziej, świnia na patelnia, a kobieta na łóżka. Niedobry złodziej tu siedzieć.

Schreiber nie lubił niedobrych złodziei.

Ról był katem, a zarazem felczerem. Codziennie o godzinie trzeciej po południu korytarzowy krzyczał:

— Kto jest chory?

Wówczas chorzy podawali dzwonek, a dozorca wypuszczał kolejno z celi. Chorzy zbierali się na środku centrali. Ról z rękoma założonymi w tył spacerował tam i z powrotem, puszczając dym z fajki i uśmiechając się do siebie.

Była to jedyna komunikacja między więźniami. Gdy kto chciał się zobaczyć z drugim, robił się chory, a Ról jakiś czas nie domyślał się. Dawał proszki, smarował jodyną i jeszcze innymi medykamentami, aż ktoś mu doniósł, że ekstra schadzki się tu odbywają, przychodzą na kombinacje, a proszki biorą po to, by mieli papierek potrzebny do palenia. Teraz Ról wziął się na inny sposób. Czekał, aż wszyscy się zbiorą na korytarzu ze wszystkich stron z oddziałów. Następnie zbliżał się do pierwszego z brzegu.

— *Was ist los?*<sup>168</sup>

— Tu, panie, boli! — pokazuje więzień na plecy.

Ról podniósł bykowiec i bije, gdzie popadnie. Więzień ten zmyka do celi, a on pyta dalej po kolei. Drudzy, widząc co się dzieje, zmykają póki czas.

Ról triumfująco uśmiechał się do dozorców, którzy przypatrywali się tej scenie, po czym zabierał z sobą kilku chorych, którzy pozostali, nie mając sił uciekać.

W ten sposób Ról odróżniał chorych od zdrowych.

Ról był też specjalistą od rwania zębów, jak tylko spostrzegł u więźnia złoty ząb, zaraz mu go wyrwał, twierdząc, że złota nie wolno mieć przy sobie.

Więźniowie umierali w pojedynkach, można powiedzieć bez zupełnej opieki<sup>169</sup> lekarskiej. Szpitala tu zupełnie nie było, jak kto miał rodzinę i już konał, to go wydali do szpitala na wolność. Co prawda, przychodził tu raz na tydzień lekarz, ale gdyby on zupełnie nie przychodził, byłoby lepiej.

Lekarz ten, szkoda, że hańbił tytuł, który nosił. Był to młodziak lat może dwudziestu pięciu, a nazywał się Lind, pochodził z Warszawy. O, chciałbym, aby przeczytał, co ja o nim piszę. Miał on pod sobą szpital dla kobiet kontrolnych na Rybakach<sup>170</sup>. Co miesiąc wystawiał więźniów i zaglądał do du-y, do dziś dnia nie wiem, co on tam takiego szukał...

Jak więzień skarżył się do niego, że jest chory, pytał na odległość, nie patrząc wcale na więźnia:

— Co cię boli?

— Pierś, panie doktorze.

— A co jeszcze?

— Głowa mnie też boli.

— A co jeszcze?

— W krzyżu mnie boli.

<sup>167</sup> *zapewne: Hauswart* (niem.) — dozorca. [przypis edytorski]

<sup>168</sup> *Was ist los?* (niem.) — co się dzieje? [przypis edytorski]

<sup>169</sup> *bez zupełnej opieki* — sens: zupełnie bez opieki. [przypis edytorski]

<sup>170</sup> *szpital na Rybakach* — szpital dla chorych wenerycznie w Łomży, od ulicy Rybaki, przy której się mieścił. [przypis edytorski]

— Co jeszcze?

Więzień, miarkując, że drwi z niego, odpowiada:

— Nic już więcej, panie doktorze.

— Możecie iść, święta ziemia wszystko wyciągnie.

Albo też nieraz odparł:

— Nie trzeba było kraść, rabować i przychodzić do więzienia.

Jak więzień się bardzo stawiał, kazał karać jako symulanta. A przychodził taki, co już umierał, mówił:

— Dlaczego wy nie przyszlście wpierw z tą chorobą? — i znów przedstawiał go do ukarania za ukrywanie choroby.

O ile więzień skarżył się przed nim, że go pobili, mówił:

— Pokażcie jakieś znaki.

Więzień obnażał się.

— Tylko tyle? To jeszcze nie jest tak źle, możecie iść.

Wiele więźniów wzięło się też na taki sposób: gdy słyszeli, że wydają obiad lub kolację, a są już blisko jego celi, wówczas prędko wieszał się, wtedy sadzali takiego na celę ogólną, by mu udaremnić ten zamiar. Niemcy zaś połapali się, dlaczego to robią akuratnie, gdy są już blisko celi i że tylko symulują, by się dostać na ogólną celę. Od tego czasu, gdy dozorca otwierał celę, a zauważył, że więzień wisi, śmiał się i przymykał z powrotem celę, a ten nieszczęśliwiec naprawdę zostawał nieboszczykiem.

Nie przesadzam tu wcale, o ile powiem, że takie wypadki bywały niemal co tydzień. Umarłych zanoszono zupełnie nago do „towarowej stacji”, leżeli oni tam tak długo, zanim zebrało się ich kilku, a czekać na to nigdy nie trzeba było długo.

Wówczas po trzech, a nawet czterech kładziono w zbitą pakę, zwaną przez więźniów „familijnym pokojem” i zawożono na cmentarz. Tam kilka razy wspólnie z innymi więźniami byliśmy brani do tej czynności jako grabarze. Chętnie szliśmy na cmentarz, gdyż tam jakaś litościwa kobieta podawała zawsze coś do jedzenia.

Jak już poprzednio zaznaczyłem, Niemcy do pracy brali tylko tych, co jeszcze jakoś się trzymali, a mnie jako więźnia karnego zaczęto stale brać do pracy, która była dla nas zbawieniem. Gdy zaś umarł rosły więzień, to go pakowano i odsyłano gdzieś koleją, gdzie, tego nie wiem. Więźniowie szepotali między sobą, że taka posyłka szła do „Vaterlandu”, przy czym żartowali jeden do drugiego, gdy który był rosły:

— Nie martw się, niezadługo pojedziesz do „Vaterlandu”.

Przeciężny nieboszczyk nie ważył więcej niż trzydzieści kilo. Same szkielety. Jednym słowem, trzeba tu mieć pióro Boya-Żeleńskiego, by móc to opisać i przedstawić całą zgrozę życia, brak mi jest słów, abym mógł wszystko przedstawić i opisać, co tam w „Czerwoniaku” się działo przez cały szesnasty rok i na początku siedemnastego. Później się polepszyło, gdyż zaczęli przyjmować podania chleba w małej ilości i po kawałku sera, więcej było wzbронione. Gdy komu, przeważnie ze wsi, przywieźli masło, słoninę, to przyjęto, ale więzień tylko dostał kawałek chleba i sera, a resztę panowie Niemcy niby to „skonfiskowali” na rzecz ogólnego kotła, a w rzeczywistości szło to w posyłkach do „Vaterlandu”, co na własne oczy później widziałem.

Podania przyjmowano tu co dwa tygodnie, zawsze w niedzielę. Wszystkiego chleba więzień nigdy nie otrzymał. Żeby mu podano bochen nawet taki wielki jak koło od wozu, nie dostał on z tego więcej niż ze trzy funty, a resztę „skonfiskowano”.

Więźniowi, któremu przynoszono bogate podania, nigdy nie dano widzenia. Dlatego oczywiście, by nie mógł powiedzieć, że on tego nie otrzymał, gdyż wtedy przestano by tak dużo nosić.

Katowanie więźniów w końcu siedemnastego roku też trochę uległo zmianie. Przybyło tu coraz więcej Polaków na służbę. To trochę krępowało Niemców. Polacy starali się nasze cierpienia załagodzić, w czym tylko mogli. Niemcy stawali się z dniem każdym mniej śmiali, widać przeczuwali bliski koniec swego panowania. Tylko jedyny Ról nie zmienił swego postępowania. A nawet stał się gorszy.

Pewnego dnia, a było to pamiętam w marcu, wzięto mnie do piwnicy do przebierania kartofli. Dozorca wpuścił nas, ze dwudziestu więźniów i zamknął do obiadu. Jeden z więźniów zwąchał w komórcie beczkę z kiszoną kapustą, wszyscy jak jeden rzuciliśmy się do jedzenia. Ja nawet posunąłem swoją odwagę do tego, iż postanowiłem i do celi

na jutro nabrać kapusty. Zawsze po skończonej pracy rewidowano nas, czy nie mamy surowych kartofli przy sobie, bo dużo brało surowe kartofle, które następnie rozgniatano łyżką, wkładano do potraw i tak jedzono. Byli też tacy, co wody zimnej dolewali do zupy, by mieć więcej. Ci strasznie puchli. Później już zarządzono, że przy obiedzie i kolacji musowo było wystawiać wodę na korytarz, dopiero po obiedzie dawano wodę z powrotem. Jednak byli łakomcy, co chowali sobie wodę do obiadu, a gdy Ról złapał takiego, zabrał mu obiad, zabił tak, że ten kilka dni nie mógł się ruszyć. Ale wracajmy do kapusty. Jak tu ją przenieść, pomyślałem, nareszcie wpadłem na sposób. Wiadomo przecież, że życie w więzieniu wymaga sprytu. Wycisnąłem dobrze kapustę i wpakowałem między nogawki, w kalesony. Zawołano nas na obiad. Przy rewizji dobrze przeszedłem, teraz stałem przy swojej celi nr 4, przy samej centrali, na dole. Na moje nieszczęście Ról szedł, by mi otworzyć drzwi i wpuścić do celi, już wsadził klucz, by przekręcić, gdy wtem nagle zauważył trochę wody przed drzwiami i zwrócił się do mnie.

— *Was ist los?* — pokazał palcem na asfalt.

— Nie wiem, ktoś musiał trochę wody wylać.

Ról, z natury bardzo podejrzliwy, nie bacząc na moją trafną odpowiedź, kazał mi się rozebrać.

Zdjąłem marynarkę, ciepłą koszulę i odpiąłem spodnie.

— *Alles! Alles!*<sup>171</sup>! — krzyknął Ról, widząc, że woda cieknie mi z nogawki. Chcąc nie chcąc, rozbierałem się dalej, przy rozwiązaniu sznurka nogawki kapusta wypadła na posadzkę.

Ról na ten widok z początku roześmiał się, później zaczął mnie okładać bykowcem, a za karę już tego dnia obiadu nie dostałem.

Ról od tego grochu już miał mnie, jak mówiłem, na oku, jednakże o tym już zapomniał, brał mnie często do pracy, a teraz znów mnie dostał i prześladował na nowo.

Tak minęła zima, przyszła wiosna. Pomimo, że nie miałem żadnej nadziei na lepsze jutro, samo nadejście wiosny i widok słońca zaglądnącego ciekawie do mojej celi, dodawały mi otuchy i energii.

Sytuacja moja po tej kapuście znów zaczęła się poprawiać. Brano mnie co dzień teraz do pracy, a że pracowałem chętnie, nie dano mi ani minuty siedzieć w celi. Przy pracy, jak wiadomo, nie byłem na tyle pilnowany, jak w celi. Pod tym względem Niemcy nie bardzo więźnia prześladowali przy pracy.

Zacząłem nawet marzyć o ucieczce, a głodu już tyle nie odczuwałem. Staralem się, jak mogłem. Tu ukradłem kartofli, tam buraków upiekłem albo ugotowałem, marchew należała do delikatesów i nieczęsto udawało mi się tego przysmaku ściągnąć.

Żołnierze na warcie w bramie czasem podawali coś, co pozostawało im z jedzenia, a były to okruchy z marnego stołu. Sami oni byli nieraz głodni. Ponieważ dobrze wyglądałem, Niemcy zwali mnie „*Dicker*”<sup>172</sup>.

Myślałem na to, że gdybym tak nagle tu umarł, znów znalazłbym się w „*Vaterlandzie*”. Staralem się jednak tego głupstwa nie robić. Nawet jako nieboszczyk bałem się tam wrócić.

Pracy żadnej się nie obawiałem, nawet przez cały tydzień Niemcy orali mną. Zaprzęgnięto sześciu więźniów do pługa i cały kawał pola przy więzieniu poorailiśmy. Dostaliśmy za to po czterysta gramów chleba dziennie i kubeczek dolewki.

Chłopi i baby przechodząc koło nas i widząc, jak Niemcy nas popędzają w pługu, żegnali się nabożnie rzucając nam kawałek chleba lub coś innego do zjedzenia.

Dziwna rzecz, byłem teraz nawet zadowolony z tego życia. Przychodząc na noc do celi, upadałem na łóżko i naprawdę mogę sobie powiedzieć, że wtedy spałem, jak to się mówi, snem sprawiedliwych.

Ról przestał zupełnie mnie prześladować, dowiedział się bowiem, że dobrze pracuję. Na dowód tego przynosił mi nieraz w niedzielę dolewki. Śmiał się nawet z moich psot, które od czasu do czasu jeszcze urządzałem.

<sup>171</sup>*alles* (niem.) — wszystko. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>*Dicker* (niem.) — grubas. [przypis edytorski]

## XLV

Pewnego dnia po obiedzie Niemiec wziął nas, czterech więźniów, do pracy, do kasyna oficerskiego. Kasyno stało przy ogrodzie publicznym, niedaleko więzienia. Niemiec rozkazał nam kubelkami z piwnicy wyczerpywać wodę, której się tam uzbierało dość sporo. Piwnica była dobrze zaopatrzona w różne trunki, stały tam półki pełne różnego wina i koniaku. Pomyślałem sobie, że niemieccy oficerowie nieźle żyją w Polsce, a okruchy z kasyna na pewno byłyby lepsze niż żołnierskie, o których wspomniałem.

Mnie, jako zaufanemu i dobremu robotnikowi, nakazał Niemiec stanąć na środku piwnicy, drugiemu zaś przy drzwiach, a trzeci stanął na schodach, zwarty znów wylewał wodę do rynsztoka. Niemiec stał z karabinem na podwórzu. Co chwilę krzyczał do mnie, bym prędzej podawał wodę w wiaderkach. Widać obawiał się, bym tam w piwnicy nie zgrzeszył.

Co do mnie, przyznam szczerze, że na widok tych życiodajnych napojów mdło mi się zrobiło i dusiło coś w gardle. Więc nic dziwnego, że jedną ręką podawałem wodę, a drugą szukając po omacku, ściągnąłem jakąś flaszkę z długą szyjką, wiedząc z doświadczenia, że taka nie zawodzi. Zbiłem szyjkę i wypilem zawartość jednym tchem, po czym flaszkę rzuciłem w ciemny kąt. Jednakże nie zauważyłem, że usta sobie skaleczyłem tak mocno, że z winem piłem własną krew, ledwo udało mi się krew zatamować, by dozorca tego nie zauważył.

Pomyślałem też o współtowarzyszach niedoli, by przy takiej okazji też sobie wypili. Nie myśląc długo, wpuściłem jedną flaszkę do nogawki. A spodnie mieliśmy grube i bardzo szerokie, przymocowałem ją do nogi podwiązką. Poprosiłem Niemca, że chcę iść do ustępu, ten pozwolił, nie rewidował wcale, pozostawiłem tam flachę i mrugnąłem do kolegów. Oni mnie doskonale zrozumieli, wiedząc, że jestem bardzo przedsiębiorczy i że razem pracuję zawsze. Muszę tu powiedzieć, że dobrze żyliśmy ze sobą, pomagając sobie nawzajem. Najmniejszy zarobek dzieliliśmy między sobą. Kwestia żydowska tu nie istniała. Byliśmy sobie braćmi.

Tak w tej przerwie wyniosłem trzy flaszki do ustępu. Sam sobie jeszcze wyciągnąłem jakąś flaszkę smacznego wina. Na ostatku przywiązałem sobie jeszcze do nogi płaską butelczynę, by przenieść ją do więzienia.

Przy rewizji dozorca nie znalazł u mnie nic, bo tylko powierzchownie nas obmacał, na korytarzu już „odpalilem” flaszkę korytarzowemu, a on mi za to miał dać dwadzieścia „klamotów”<sup>173</sup> po siedemdziesiąt pięć gramów.

W celi dopiero w głowie zaczęło mi się mieszać. Przy kolacji korytarzowy, widząc, że jestem podpity, zabrał mi prędko ubranie i zamknął celę, abym mógł się położyć spać, tak że Ról mnie już nie widział.

Noc spędziłem strasznie, wymiotowałem wszystko. Za łakomstwo cierpiałem okropnie. Dopiero nad ranem wytrzeźwiałem zupełnie.

Całą celę moją czuć było alkoholem. Prędko zerwałem się z łóżka, by ślady zatrzeć. Wymyłem podłogę, jednakże czuć było tu jeszcze winem. Byłem zgubiony.

Ról, jak tylko rano otworzył celę, od razu poczuł, przystąpił do mnie i kazał mi chuchać na siebie. Następnie zrewidował celę. Domyślał się wszystkiego, wiedząc, gdzie byłem wczoraj przy pracy. Jednakże nie bił mnie, tylko pogroził mi palcem i kazał jeszcze raz dobrze wyszorować celę.

Zrozumiałem, że nie chciał tego poruszać, bo odpowiedzialność spadłaby wtedy na niemieckiego dozorcę. A gdyby nad nami dozorował Polak, na pewno nie podarowałby mi tego.

Zaraz z początkiem maja zaczęto budować tu łaźnię i pralnię, przerabiano je z dawnej łaźni, więc potrzebni byli murarze. Werkmistrz chodził po celach i pytał, kto jest murarzem. A że ja nosiłem się wciąż jeszcze z zamiarem ucieczki i szukałem jeszcze lepszej okazji, więc chwytalem się wszystkich fachów, może z murarki lepiej mi się uda, myślałem. Podałem się więc za murarza.

Werkmeister był bardzo zadowolony, że znalazł murarza i do tego takiego, co rozumie po niemiecku. Patrząc na mnie, zem więzień karny i do tego mam nieduży wyrok, bez

<sup>173</sup>klamot — porcja chleba więziennego. [przypis edytorski]



słowa wziął mnie zaraz ze sobą. Nie pytał Róla, który był na obiedzie. Ten z pewnością odpowiedziałby, co ja za gość i nic by z tego nie było. Korzystając z tego, że go nie ma, zaprowadził mnie do budynku, który miano przerobić na łaźnię. Tu wyjął plan i począł mi tłumaczyć, jak tu będzie wszystko przebudowane. Przytakiwałem mu we wszystkim. Następnie objaśnił mi, że potrzebuje aż dziesięciu murarzy i dwóch malarzy. A znalazł tu tylko mnie jednego. Mówił, że sprowadzi murarzy z innego więzienia, a na razie mogą się tu rozejrzeć. Pokazał mi zbitą z desek formę do odlewania cementowych korytek dla świń, przy czym pokazał również plan budowli chlewa dla świń. Następnie objaśnił, gdzie stoi cement i kazał mi wziąć się do tych korytek. Sam zabrał się i poszedł na obiad.

Po upewnieniu się, że werkmistrz oddalił się, wybiegłem z budynku na podwórkę, aby się rozejrzeć, czy nie ma tu jakiej drogi. Doznałem rozczarowania, bo nic tu nie dało się dokonać. Wróciłem więc do budynku i stałem nad beczką z cementem, rozmyślając, jak się wziąć do tego. Najmniejszego pojęcia nie miałem o robieniu korytek. Zarazem zrozumiałem, że jednak trzeba tu coś zrobić, otworzyłem beczkę i nabrałem pełne wiadro cementu i wysypałem na podłogę. Następnie, nie będąc pewny, czy dobrze robię, dosypałem pół wiadra piachu, po czym wyszedłem na podwórkę i napompowałem wiaderko wody, zabierając się do mieszania.

Okazało się, że za rzadko zrobiłem, dosypałem więc cementu, zdawało mi się, że już za gęste, więc poszedłem znów po wodę i tak mieszałem dalej zawzięcie.

Myślałem, co on powie, gdy przyjdzie z obiadu. Coś niecoś widziałem w domu, jak murarze robili przy budowie naszego domu, zresztą nieraz im pomagałem, o czym już wspominałem. Na myśl mi nawet nie przyszło, że psuję cement, a do odlewania korytek nie tak trzeba robić.

Nareszcie przyszedł majster, zaraz od progu zauważyłem, że rusza wąsami. Doszedł do mnie blisko i zagadnął mnie ze złością:

— *Du Maurer?*<sup>174</sup>

Nic nie odpowiedziałem.

Zapytał mnie po raz drugi, a gdy nie otrzymał odpowiedzi, złapał za gracę<sup>175</sup>.

Ja od razu zmiarkowałem, że tu źle będzie i próbowałem uciekać. Niemiec pędził mnie po całym podwórku aż do gmachu i okładał gracą, krzycząc ciągle:

— *Du Maurer, verfluchter Spitzbube!*<sup>176</sup>

Następnie, gdy mi już drugi dozorca otworzył pierwsze kraty, pędził mnie jeszcze przez korytarz i znów przez kratę, a potem do samej celi.

Ról śmiał się do rozpuku, gdy werkmistrz mu opowiadał, jak to on mi pokazywał plany budowli i jak przytakiwałem mu, że wszystko zrobię i jak cement rozrobiłem.

Za tę swoją pracę murarską otrzymałem w nagrodę siedem dni karceru.

Tymczasem przyszedł transport więźniów z Warszawy, a między nimi piętnastu murarzy, tych zaraz wzięto do roboty. Między piętnastoma murarzami, specjalnie tu wysłanymi, było zaledwie dwóch rzeczywistych murarzy, a reszta to tacy sami murarze jak ja.

Po odsiedzeniu karcu znów zabrał mnie werkmistrz do roboty, potrzebował zdrowych i mocnych chłopów, a tych nie było. Murarze, którzy przyjechali z Warszawy, wyglądali strasznie, istne szkielety. Byli oni, jak mi opowiadali, w głośniejszym „Białej-Podlasce” na robocie w lasach. Straszne rzeczy opowiadali, co tam się działo.

Posłano tam w roku szesnastym nieomal z wszystkich więzień kilkuset więźniów do wykarczowania pni, a przez parę miesięcy do siedemnastego roku pozostało kilkudziesięciu więźniów. Tych rozbitków odesłano z powrotem do więzienia z rozkazu jakiegoś generała, który zwiedzał to piekło i natychmiast kazał wszystkich odesłać do więzień z powrotem.

Więziem murarz, który był tam przez ten czas naocznym świadkiem, opowiadał mi straszne rzeczy. Mówił, że „Czerwoniak” z jego Rólem jest rajem.

Muszę tu powtórzyć fakty, które niejednego więźnia, który tam był, opowiadał mi tak samo.

<sup>174</sup>*Du Maurer?* (niem.) — ty murarz? [przypis edytorski]

<sup>175</sup>*graca* — motyka. [przypis edytorski]

<sup>176</sup>*Du Maurer, verfluchter Spitzbube?* (niem.) — Tyś murarz, hultaju przekłety? [przypis edytorski]

\*

Do jednego baraku w zimie szesnastego roku spędzono z różnych więzień po dwieście i więcej ludzi. Śniegi i deszcze padały wprost na głowy, spać musieli na gołej podłodze, a każdy otrzymał tylko jedną podartą derkę. Do roboty gnano ich rano od godziny czwartej do szóstej wieczorem. Więźniowie, kładąc się spać, aby było ciepło, układali się jeden przy drugim, jak śledzie. Wpierw wszyscy kładli się na prawym boku, później zaś o północy, jakby na komendę, wszyscy przewracali się na lewy bok.

Nie było też dnia, by nie umarło kilku więźniów. Wyobraź sobie, mówił do mnie któryś, jaki był wielki głód: gdy w nocy ktoś z nas zmarł, nie meldowano, aby brać za niego jedzenie.

Były nawet takie wypadki, że po kilka dni przechowywali nieboszczyków, by tylko jedzenie za niego brać. Bójki i klótnie tam nie ustawały, tworzyły się bandy po kilkunastu i napadały na słabszych, rzecz naturalna, że na chamów i frajerów i odbierano im chleb, a chamem i frajerem był każdy, kto był słabszy od innych.

Straszne rzeczy tam się działy, wokół baraków był naciągnięty drut kolczasty i elektryzowany. Wojsko krążyło też wokół. Do środka baraków Niemcy wcale nie wchodziłi. Trupy polewano naftą i palono w lesie na stosie. Bito więźniów na każdym kroku pałkami. W największy śnieg pędzono w trepach do pracy. Ubranie było wyrobu papierowego.

Bywało nieraz, że po drodze do pracy więzień gubił sandałek w śniegu. Niemcy, nie chcąc zatrzymać całej partii i zaczekać, aż ten odnajdzie zgubę, pędzili go dalej zupełnie boso. Ci śmiałkowie, co próbowali ucieczki, zostali schwytani i zmasakrowani kolbami niemal na oczach więźniów, dla odstraszenia.

Między kryminalnymi było bardzo dużo jeńców wojennych, którzy pouciekali z obozów dla nich, a gdy ich złapano, trzymano potem w więzieniu. Było też dużo chłopów, którym za broń Niemcy dawali karę śmierci, dożywotnie więzienie lub piętnaście lat.

Rozdawanie obiadu ani razu nie odbyło się, by Niemcy kogoś nie zbili. „Pewnego razu ja sam — mówił murarz — gdy nabrałem kawy, potknąłem się i upadłem, więc kawa mi się wylała. Błagałem Niemca, aby mi dał drugi raz kawy, ale ten tak mnie zbił drągiem, że dwa tygodnie leżałem w baraku i ruszyć się nie mogłem.

Pewnego wieczora „sporutowaliśmy”<sup>177</sup>, że w baraku nad nami jest magazyn z prowiantami, nie namyślając się długo, zrobiliśmy otwór w suficie i nie myśląc wcale o karze, wszyscy postanowiliśmy się raz najeść, potem możemy „zakitować”. Zabrano tam ze dwieście bochenków chleba i wędzonej słoniny, dużo konserw, dwie beczułki rumu, tytoń, papierosy, cygara, jednym słowem wszystko, co się dało zgryźć i podulić<sup>178</sup>. Przez całą noc trzystu wygłodniałych ludzi z dwóch baraków, które ze sobą się łączyły, wszystko opchnęli. Dopiero nad ranem Szwaby tropnęli się i wściekli wpadli do baraków i kolbami bili nas na prawo i na lewo, gdzie i kogo popadło, całe trzy dni prowadzili śledztwo. Po jednym nas wołano, jednak nic nie pomogło, winowajców nie znaleźli, a z nas nikt się nie „pucował”<sup>179</sup>. Wszyscy jednogłośnie twierdziliśmy, że wszyscy kradzież popełniliśmy, nie jeden.

Po tym zajściu Niemcy odegrali się i zmniejszyli nam porcje chleba ze stu pięćdziesięciu gramów na sto, a do jedzenia dawali samą „wachę”<sup>180</sup>.

Więźniowie też czym mogli, odpłacali się, jedni zakradali się do dyżurki komendanta, który był sierżantem i tam Wilhelmowi oczy wydłubali<sup>181</sup> i zabrali całe pudło cygar. Jeszcze dużo innych psot mu wyrządzili. Istne piekło tam było” — zakończył.

A więzień ten, przez czas opowiadania mienił się na twarzy na samo wspomnienie, co się tam działo.

\*

<sup>177</sup>sporutować — spostrzec się. [przypis edytorski]

<sup>178</sup>podulić — popalić. [przypis edytorski]

<sup>179</sup>pucować się — obciążać kogoś winą w zeznaniach. [przypis edytorski]

<sup>180</sup>wacha — tu: wodnista zupa. [przypis edytorski]

<sup>181</sup>Wilhelmowi oczy wydłubali — chodzi o portret cesarza Niemiec. [przypis edytorski]

Raz też byłem świadkiem takiej hecy. W celi ogólnej, gdzie siedziało po dwudziestu czterech więźniów, podczas obiadu więźniowie zawsze stawali w ogonek, a korytarzowy nalewał każdemu obiad, drugi zaś więzień liczył na głos: raz, dwa, trzy, itd. Podczas tych czynności uważał na wszystko Niemiec, który niedawno przybył z „Vaterlandu”, aby się znęcać nad nami. Zauważyłem, że nic nie mówił, póki liczono do dziesięciu, a gdy usłyszał jedenaście, dwanaście, trzynaście itd., jak krzyknie: „*Donnerwetter*<sup>182</sup>, naście i naście, *los*<sup>183</sup>!”

Kocioł zabrano, kilku więźniów zostało bez obiadu. Nie pomogły żadne tłumaczenia. Niemiec słuchać nawet nic nie chciał, mówił, że go chcemy oszukać. Po tym zajściu korytarzowy musiał się nauczyć liczyć po niemiecku do dwudziestu czterech.

Co prawda było dużo takich, co się starali pokierować dwa razy po obiad, nie patrząc na to, że gdy go Niemiec na tym złapie, to ten ani jednego nie zje, a do tego będzie jeszcze bity i kopany.

Murarską robotę robiłem do lipca, później chodziłem na polne roboty. Pompowałem też „knoty”<sup>184</sup> do beczek i jeszcze inne „przyjemne” roboty robiłem.

Pewnego dnia, a było to, o ile pamiętam, we wrześniu, zawołano mnie do kancelarii. Jakiś wojskowy wypytywał mnie, jak długo tu już siedzę i co mam zamiar zrobić, gdyby mnie teraz chciano zwolnić.

Myślałem, że Lichner mnie sobie przypomina i świeżą pułapkę szykuje na mnie. Próbowałem spytać go, co ma znaczyć to pytanie. Nic nie odpowiedział, tylko się do mnie dobrotliwie uśmiechnął i kazał mnie odprowadzić.

Nie mogłem zrozumieć, co to mogło znaczyć. Wszystkie domysły były na nic. Po upływie miesiąca przyszedłem akurat z pracy na obiad, gdy Schreiber zawołał mnie do kancelarii, a tam objaśniono mi, że jako skazany przez sąd wojenny, mam darowane resztę kary, że jestem wolny.

Na początku, słysząc to, własnym uszom nie wierzyłem. Jednakże, gdy zaraz wzięto mnie do przebierania, zrozumiałem, że to fakt.

Dnia 28 października o godzinie drugiej po obiedzie, po raz trzeci w swoim nędznym życiu pożegnałem więzienne mury.

## XLVI

Wychodząc z więzienia, poczułem dopiero cały ciężar swojego położenia. Po odzyskaniu upragnionej przeze mnie wolności, do której tęskniłam całą duszą, teraz, gdy furta więzienna wyrzuciła mnie na ulicę, stanąłem przed bramą i jakaś tęsknota mnie ogarnęła.

Rzecz dziwna, że gdy się jest więźniem, rozkoszą jest marzyć o wolności, gdy się zaś odzyska wolność i nie ma już o czym marzyć, to życie wydaje się niemiłe. Jakoś niechętnie ruszyłem stąd. Czyżby dlatego, że już przeczuwałem nowe nieszczęście, które mi na wolności groziło?

Stanąłem i chwilę myślałem, dokąd się udać. Do domu? — nigdy! Nie śmiałybym po tym wszystkim ojcu w oczy spojrzeć. Do współników niesumiennych, którzy przez cały ten czas znaku życia po sobie nie dali? Albo może szukać świeżej znajomości i odegrać się za to, że cierpiałem niewinnie i znowu kraść? Przejrzałem w myśli porobione przeze mnie znajomości tu, w więzieniu. Przypomniałem sobie jedną tutejszą kobietę zwaną „Kosą Mańką”.

Znajomość nasza datowała się od czasu jej pobytu tu, w więzieniu. Prosiła mnie, abym, gdy zostanę zwolniony, do niej zawitał. Kusiło mnie coś, by ją odwiedzić. Stała mi w całej wyobraźni jej piękna figura i złociste włosy, jej wesołe usposobienie, nawet w więzieniu stale śmiała się do chłopaków.

Przypomniałem sobie, jak głodny pewnego dnia przyszedłem drzewo rąbać na podwórko administracji, jak zaniósłem jej drzewo do kuchni naczelnika, a ona nakarmiła mnie w samą porę. Ona to mi opowiadała jeszcze w więzieniu, że jest kochanką naczelnika, śmiejąc się, że już niedługo druga ładniejsza ma ją zastąpić.

<sup>182</sup>*Donnerwetter* (niem.) — do pioruna! [przypis edytorski]

<sup>183</sup>*los!* (niem.) — jazda! [przypis edytorski]

<sup>184</sup>*knoty* — kal. [przypis edytorski]

Była około sześciu tygodni u naczelnika. Cały ten czas, co tylko mogła, dawała więźniom do jedzenia. Zwierzyła mi się, że ona tam jest na to, by tylko nam ulżyć. Wyrok miała nieduży, bo tylko trzy miesiące. Była i tak kontrolną, więc nie miała nic do stracenia, jak się sama o tym do mnie żartobliwie wyraziła. Spodobała mi się i pragnąłem ją odwiedzić. Ale zarazem zrozumiałem, że odwiedziny te równają się powrotowi na tę samą drogę występku, do której naprawdę podczas pobytu w „Czerwoniaku” wstręt czułem.

Wiedziałem też o tym, że spotkam tam dużo znajomych z więzienia. Tej właśnie znajomości obawiałem się, wahanie trwało u mnie krótko. Przez te parę minut namysłu pod bramą więzienną, gdy wiatr wolnościowy wziął mnie w objęcia, momentalnie rozprysły się moje obawy, jakbym już zapomniał przeżyte cierpienia, o Rólu i innych męczarniach. Gnany nowymi myślami szedłem na ulicę do domku, gdzie mieszka „Kosa Mańka”.

Po drodze ogoliłem się i zaszedłem do krawca, który na poczekaniu wyprasował mi garnitur i płaszcz, tak że oprócz zapachu naftaliny, który bił ode mnie, wyglądałem „niczego sobie”. Pragnąłem zrobić jak najkorzystniejsze wrażenie i tak odświeżony stanąłem wieczorem u celu.

Zaraz od progu „Kosa Mańka” mnie poznała. Stała zrazu zdziwiona. Wiedziała bowiem, że mam jeszcze rok do siedzenia, potem przywitała mnie bardzo życzliwie. Wytłumaczyłem jej moje nagłe przybycie. Ucieszyła się bardzo. Przedstawiła mi zaraz swoje dwie przyjaciółki, które z nią razem mieszkały. Za chwilę już siedziała u mnie na kolanach, zachęcając mnie do wódki i zakąski, którą obficie postawiła na stół. Jednym słowem znalazłem się w wymarzonym otoczeniu. Nie dała mi już odejść i zostałem tam na noc...

Noc ta była bardzo urozmaicona i przeleciała jakby jedna chwila. „Kosa Mańka” zaraz z rana mianowała się oficjalnie moją kochanką. Na drugi dzień przed wieczorem przybyło trzech mężczyzn, by się zabawić. Wszyscy trzej byli ubrani dość przyzwoicie. Jednak jedno moje spojrzenie wystarczyło, by poznać kolegów po fachu. Gdy mnie zobaczyli, zaczęli spoglądać po sobie, jakby chcieli spytać, co ja za jeden. Mania, widząc ich spojrzenia rzucone w moją stronę, odwołała jednego na stronę i coś szepnęła. Ten doszedł do mnie i podał mi rękę, przedstawił siebie i kolegów, po czym zaprosił do drugiego pokoju. Wódka i różne likiery, wino i zakąski wędrowały na stół, a zabawa poszła „na całego”.

Przy kieliszku zwierzyli mi się, że są „hołociarze”<sup>185</sup>, a od czasu do czasu i „stój”<sup>186</sup> potrafią zrobić. Przy tym jeden, sam herszt, wyciągnął dwa rewolwery, pokazał mi je, a następnie wyjął portfel wypchany pieniędzmi i rzekł do mnie:

— Może chcesz przystąpić do nas, wiem, że wyszedłeś z „Czerwoniaka” i jesteś na pewno mortusowy<sup>187</sup>. U nas wnet się podreperujesz. Wiem, że dla takiego eleganta — tu zmierzył mnie od stóp do głowy — może się to nie podoba, ale spróbować nie szkodzi.

Począłem mu tłumaczyć:

— Ja nigdy jeszcze „hołoty”<sup>188</sup> nie kradłem i nie mam zupełnie pojęcia, jak to się robi. A po drugie, Niemcy dają za broń karę śmierci, więc dlaczego nosisz ją przy sobie?

On na to wybuchnął śmiechem i odparł:

— Jak widzę, ty się, brachu, Szwabów boisz, co do nas, to my nie bardzo.

Tu pokazał na swoich współników i rzekł:

— Prawda Maniek? Prawda? My się tam Niemców nie boimy.

— Prędzej oni nas — odparł Maniek.

Nareszcie dałem się przekonać, bo na gwałt potrzebowałem pieniędzy. Zapewniali mnie także, że nie dadzą mi zbyt ryzykować, jak to zazwyczaj bywa, a „dole” dostaną na równi z nimi.

Wieczorem tego dnia, odprowadzeni przez dziewczęta aż za miasto, wyszliśmy we czterech na wyprawę.

Była pochmurna noc listopadowa, już było zimno, tak że szliśmy pieszo jakieś osiem wiorst od miasta, by się zagrać. Po drodze herszt, jak przy zabawie był gadatliwy, tak teraz uparcie milczał. Prawdopodobnie rozmyślał, w którą stronę ma się udać. Był to dwudziestokilkuletni mężczyzna, bardzo przystojny, energiczny i ze stalowym wzrokiem.

<sup>185</sup> *hołociarz* — koniokrad. [przypis edytorski]

<sup>186</sup> *stój* — napad. [przypis edytorski]

<sup>187</sup> *mortusowy* — bez pieniędzy. [przypis edytorski]

<sup>188</sup> *holota* — koń. [przypis edytorski]

Nazywał się Stasiék. Drugi był niskiego wzrostu, krępy i o wesołym, bezmyślnym wygładzie. Nazywał się Maniek. Ostatni nazywał się Wojtek, istne dziecię „Lombroso”<sup>189</sup>.

Ten ostatni przez cały czas przy zabawie nie odzywał się, tylko przytakiwał głową na wszystko, przymrużając małe oczka i prędko przenosząc je z jednego przedmiotu na drugi. Po drodze grał sobie na organkach.

Maniek rozmawiał ze mną, opowiadając mi o sobie. Okazało się, że tylko Stasiék dwa razy siedział w więzieniu, a drudzy nie siedzieli ani dnia. Przyznał mi się, że już za Rosji chodził kraść, a jednak jeszcze nie siedział.

Opowiadałem mu o Rólu, o życiu w „Czerwoniaku”. Wojtek przerwał grę na organkach i również przysłuchiwał się z natężeniem o życiu w więzieniu. Widać, że zrobiło to na nich wrażenie, gdyż resztę drogi szliśmy już zupełnie w milczeniu. Na każdym z nas było widać smutek i przygnębienie. Stasiék prowadził nas przez pola i lasy, a potem stanęliśmy niedaleko jednej wsi, skąd dochodziło szczekanie psów.

Przystanęliśmy i Stasiék nareszcie przemówił:

— Ty — mówił do Mańka — pójdziesz ze mną po jednej stronie wsi, a Wojtek pójdzie sam po drugiej stronie.

Po czym zwrócił się do mnie:

— Jak chcesz, bym cię nazywał?

— Nachalnik mnie zwą.

— Więc dobrze, „Nachalnik”, ty tu zostaniesz, a gdy powrócimy, to cię zabierzemy.

Zaprotestowałem:

— Jak to, za kogo ty mnie masz? Z wami pójdę.

— Nie pójdziesz — stanowczo odparł Stasiék. — Ty tu zostaniesz. Bo widzisz, brachu, wiem, że ty nie jesteś tchórzem. Tylko że tu jest bardzo „ślisko”, bo z tej wsi zabrałem już trzy pary „hołoty”. Warta teraz na pewno dobrze tam pilnuje, więc nie chcę, abyś zanadto ryzykował. Pamiętaj, że dopiero dwa dni, jak wyszedłeś z „Czerwoniaka”.

Chcąc nie chcąc, zostałem, co prawda nie tyle chęć wzięcia udziału w tej robocie mnie tam pociągała, ile wołałem już iść w towarzystwie niż zostać tu sam wśród nocy w nieznaney mi zupełnie stronie.

Spacerowałem sobie tam i z powrotem, nasłuchując za najmniejszym szelestem, który mnie dochodził z lasu. Po raz drugi drgnąłem. Stała mi przed oczyma cała straszna przeszłość. Myślałem, nie rozumiejąc samego siebie, jak to ja, człowiek, który tyle wycierpiał w „Czerwoniaku”, mogę znów krążyć po tej drodze i staczać się tak nisko, by zostać podłym koniokrądem. Zarazem czułem, że sił do walki ze sobą nie stanie mi i nie dam rady już się uporać ze złem, które coraz więcej oplata mnie wężowym uściskiem i spycha do zguby.

— Źle, bardzo źle z tobą — przemawiałem beznadziejnie sam do siebie. — „Czerwoniak” cię znów nie minie.

Różne jeszcze zjawiały się wspomnienia o ukochanej matce, która w chwilach wyrzutów sumienia zawsze występowała. Strach niewytłumaczony jakoś mnie ogarnął. Zdawało mi się, że już wieki tu stoję.

Nareszcie usłyszałem jakieś skrzypnięcie wozu. Zadrzałem i w trwodze natężyłem słuch i wzrok. Po chwili już mogłem odróżnić zbliżającą się ku mnie furmankę. Skryłem się za drzewo przydrożne.

Furmanka zaprzęgnięta w trzy rosłe konie przejechała obok mnie. Poznałem współników, prędko zbliżyłem się z ukrycia i usiadłem, a konie ruszyły zaraz żwawo. Dopiero, gdy dostaliśmy się na szosę, zaczęliśmy jechać i poganiać konie „po złodziejsku”. Maniek poganiał, Wojtek siedział obok z widłami w ręku, gotowy do obrony, a Stasiék spokojnie zapalał papierosa. Maniek mu na to zaraz zwrócił uwagę.

— Co ty, brachu, robisz? Może być pogoń za nami, ogień może na nas ślad naprowadzić.

Stasiék, widać niezadowolony z uwagi, palił dalej papierosa. Ja siedziałem w tyle i niepokojnie nasłuchiwałem. Każdy z nas jakoś się czuł nieswojo. Maniek znów się odezwał:

— Na jaką drogę mam skrócić i do którego pasera te konie pójdą?

<sup>189</sup> *dziecię Lombroso* — zapewne nawiązanie do typologii kryminalistów, według włoskiego psychiatry Cesare Lombroso. [przypis edytorski]

Stasiek zadał mu kierunek. Maniek znów odezwał się:

— Wiesz ty co, Stachu? Z tej roboty kupię dla Zochy palto, bo jej obiecałem.

Wtem Stasiek kazał stanąć. Zszedł z wozu i przyłożył ucho do szosy i mnie kazał to samo czynić, po czym zapytał:

— Czy ty nic nie słyszysz?

— Nie — odparłem. — A co mam słyszeć?

— Jak to, nie rozumiesz, że może być pogoń? A jak głowę w nocy przyłożysz do ziemi, na kilka wiorst nawet usłyszysz.

Zaczęliśmy znów siadać na wóz. Jednakże nie zdążyliśmy ujechać od tej chwili dwustu metrów, gdy usłyszeliśmy krzyki:

— Trzymaj! Łapaj złodziei!

Momentalnie zeskoczyli do lasu.

Ja po raz pierwszy, nie wiedząc co robić ze sobą, zeskoczyłem po prawej stronie. Wszak widząc, że oni wpadli po lewej stronie do lasu, podążyłem za nimi. Wtem uderzyłem głową o drzewo i upadłem. Widziałem z bliska koło mnie pędzących na koniach chłopów. Wcale nie zatrzymali się na widok opróżnionego wozu i koni, tylko pędzili dalej, rycząc: „Trzymaj! Łapaj!” Cud, że chłopie mnie wtedy nie spostrzegli leżącego w rowie. Na pewno nie pisałbym dziś tego.

Przyszedłem po chwili do siebie, krew lała mi się z nosa i guz momentalnie wyrósł mi na czole. Podniosłem się i szedłem w las, sam nie wiedząc, dokąd idę.

Naokoło było tylko słyhać nawoływania się chłopów. Wtem usłyszałem jakiś szmer i szepty. Serce zamarło ze strachu. Chłopi, pomyślałem. Miałem już raz przedtem sposobność być w rękach chłopskich, o czym w noweli *Josek Goj*<sup>190</sup> opisuję.

Skończyło się teraz na przestraszu. Byli to współnicy, którzy właśnie wrócili, by mnie odnaleźć.

Stasiek znów nas prowadził przez las, a potem znów przez pole i tak po dwóch godzinach dotarliśmy do pewnej wsi, gdzie Stasiek nam objaśnił, że tu mieszka jego matka.

Po naradzie, odbytej naprędce za stodołą, stanęło na tym, że teraz udać się do Ł. jest rzeczą niemożliwą, ponieważ po drodze możemy się natknąć na żandarmów albo na pogoń, która z pewnością nie omieszka podążyć za nami. Więc postanowiono się tu „zamelinować”.

Stasiek udał się na pewne podwórko, gdzie miał przytrzymać psa uwiązanego na łańcuchu, a my podążyliśmy za nim. Potem wleźliśmy na siano, by się tam ukryć. Stasiek poszedł na zwiady jako mieszkaniec tejże wsi.

Gdy na strychu już ułożyliśmy się, pies zaczął szczekać, mieliśmy już zamiar stąd się wynosić. Jednakże pies trochę poszczekał i ucichł.

Było już dawno po północy. Do uszu naszych dochodził to odgłos kopyt końskich, to nawoływania chłopów. Widać, wpadli na nasze ślady. Zachowywaliśmy się tu bardzo cicho, by nie zdradzić naszej obecności. Myślałem sobie, że jak ujdę stąd cały, to już nigdy po konie nie pójde, a z chłopskimi „patykami” nie chcę się po raz drugi zapoznawać. Za chwilę wszystko ucichło i we wsi zapanował znów spokój.

Przekonani, że niebezpieczeństwo minęło, ułożyliśmy się, by trochę się przespać, aż Stasiek nas obudzi podług umowy.

Przebudziłem się pierwszy, bo i tak jednym okiem spałem. Na dworze świtać już zaczęło, chciałem obudzić współników, którzy mimo okropnych wrażeń, jakich doznaliśmy tego wieczora i niespokojnego sumienia, spali snem sprawiedliwych. Tak przeraźliwie chrapali, że wszystkie psy we wsi zaczęły ujadać. Wtem usłyszałem, że ktoś po drabinie wchodzi do nas. Na pewno Stasiek, pomyślałem. Wysunąłem trochę głowę z siana. Już chciałem zawołać go po imieniu. Wtem usłyszałem, że ktoś zagarnia siano. Gospodarz, pomyślałem, bo ujrzyć go nie było można. Wtem poczułem, że jestem ciągnięty za nogi razem z sianem, szarpnąłem się, a chłop począł wołać przerażonym głosem:

— Kto tu! Kto tu!

Wszyscy trzej, jak jeden, prosto wpadliśmy na chłopca i zeskoczyliśmy jeden za drugim na dół.

<sup>190</sup>Josek Goj — nowela z tomu *Miłość przestępcy* (1933). [przypis edytorski]

Pies ze strachu urwał się z łańcucha i zmykał nawet przed nami. Pędziliśmy tak przez pole w stronę lasu, a strach, by się nie dostać do rąk chłopskich, dodawał nam sił. Biegliśmy kawałek lasem, zostawiając wieś poza sobą, tu odpoczęliśmy. Dopiero przekonani, że nikt nas nie ściga, po radzie udaliśmy się już polami, żartując jeden z drugiego z powodu nieudanej naszej wyprawy. Szliśmy w kierunku Ł.

Gdy Mańka ujrzała, że zamiast spodziewanego łupu zarobiłem tylko wielkiego guza na czole, śmiała się do rozpuku. Widząc zaś, że jestem zły, pocieszała mnie, że i tak jeszcze dobrze, że chłopci mnie nie dosięgli i że wróciłem, choć z guzem.

Wieczorem przybył Stasiak. Opowiadał, że cała wieś podążyła na alarm chłopca za nami i wielkie szczęście, że nas nie chwycili.

Tak zakończyła się moja pierwsza wyprawa za żywym towarem.

Upłynął tydzień, współnicy przez ten czas zrobili dwie wyprawy, także po żywy towar i to z powodzeniem. Ja zaś po tym, co zaszło, nie chciałem im więcej towarzyszyć. Jednakże uważali mnie za współnika i dawali mi „dolę” na równi ze sobą. Ten sprawiedliwy podział i ich obchodzenie się ze mną ujęło mnie i postanowiłem nie rozłączać się z nimi i nauczyć ich za to innej, popłatniejszej kradzieży niż kradzież koni.

Za parę dobrych koni, które według ceny rynkowej kosztowały dwa tysiące i więcej rubli, paserzy płacili sześćset i mniej. Zależało to od odległości, skąd je skradziono. Im odległość, skąd pochodziły konie, była większa, tym więcej za nie płacono. Konie te szły do Niemiec.

Każdego konia, zanim został skradziony, mierzono zaraz w stajni, musiał mieć metr sześćdziesiąt pięć wzrostu i nie przekraczać pięciu lat. Paserzy byli przeważnie handlarzami koni do remontu, i to Żydzi. W każdym wagonie między końmi transportowanymi do Niemiec można było trafić i kradzione. Doszło do tego, że gdy chłopcu skradziono konia, nigdzie go nie szukał, tylko po stacjach, gdzie ładowano konie do Niemiec. Było też dużo wypadków, że poznano tam swoją własność. Po całej guberni łomżyńskiej z powodu bliskości granicy niemieckiej kradziono konie bez ustanku. Nie było wsi, gdzie by jakiegось chłopca nie okradziono. Nie pomagały ani warty, ani skargi chłopów. Niemcy patrzyli na to przez palce, wiedząc, że złodzieje kradną te konie dla „Vaterlandu”.

Za konie, od czasu gdy tu Niemcy weszli, aż do roku siedemnastego karano bardzo względnie. Kara od trzech miesięcy do roku zachęcała złodziei do tego rzemiosła. Później już, gdy w końcu roku siedemnastego władze polskie objęły sądy, karano już srogo. Śmieszna wprost kara była też powodem, że nawet kasiarze, doliniarze i inni tego rodzaju fachowcy przerzucali się na kradzież koni. Robili to tym bardziej, że za czasów okupacji nie pozostało nic innego do kradzieży, jak tylko konie, za które dobrze płacono. Jak wiadomo, handel wtedy zupełnie ustał. Więc z dnia na dzień mnożyła się liczba poszkodowanych kmiotków. Z jednej strony, Niemcy zabierali im lepsze konie, płacąc nowymi, bezwartościowymi sturubłówkami, namnożonymi podczas wojny, resztę zaś „kupowali” złodzieje.

Nigdy chyba w żadnym roku nie skradziono tyle koni co w roku szesnastym i siedemnastym. Jestem tego pewny, że nawet kronika policyjna o tym fakcie nic nie wie, a to z tego powodu, że najwięcej koni kradziono na Kurpiach, Bo wieść o tej kradzieży dalej nie doszła niż do posterunku Niemców. Ci oddalali chłopca, nie chcąc nawet słuchać jego skargi.

Puszczyk<sup>191</sup> wówczas wziął kilka par łapciów, bochenek chleba do torby i na własną rękę zaczął poszukiwanie. Po większej części wracał do domu z niczym. Konie przeważnie brano w ten sposób, że zaprzęgano je do furmanki, a o ile na miejscu czego nie było, to pożyczano u jednego chłopca wóz, u drugiego zaprzęgi, a u trzeciego konie.

Znam takie wypadki, że nieraz do jednego zaprzęgu łączono kilku kmiotków, aż stanęła całość. Złodzieje wchodzili do wsi, pewni siebie, wiedząc, że chłopci nie posiadają broni, za którą karano nawet śmiercią. A po drugie byli oni bardzo gnębieni przez Niemców, więc oporu nie stawiali.

Stasiak mi opowiadał, że pewnego razu wyprowadził z pewnej wsi konia ze stajni, a chłop niespodziewanie uczeplił się ogona, prosząc, by mu konia pozostawił, gdyż nie

<sup>191</sup>Puszczyk — chłop mazurski; chłop z puszczy. [przypis edytorski]

ma za po kupić innego. Zostawił mu konia pod warunkiem, że chłop ten chodził z nim i pokazywał, kto ma lepsze konie we wsi. Zabrali oni wtedy trzy pary.

Chcąc nie chcąc i ja zostałem koniokrada. Najgorzej było pierwszy raz, jak to z każdym występkiem bywa, a później już pogodziłem się z myślą, że spadłem do najniższej branży złodziejskiej i szedłem już jak po swoje. Nie będę opisywał, jak i gdzie kradłem. Wystarczy, że w streszczeniu opowiadam, w jaki sposób kradziono i gdzie oraz komu sprzedawano. Za to opowiem parę ważniejszych wypadków z mojego życia jako koniokrada.

## XLVII

Pewnego dnia zaraz na początku udaliśmy się ze Staśkiem do miasteczka G., położonego nad samą granicą niemiecką. Do tego miasta sprowadził nas pewien Żyd.

Stanęliśmy obydwa w jego domu dopiero wieczorem o godzinie dziesiątej. Mieszkał przyzwoicie, jako zamożny handlarz bydła. Miał rok więzienia za jakieś „szmukle”<sup>192</sup>. On to zapoznał się ze mną w więzieniu, a teraz spotkawszy się ze mną, nadał mi robotę u pewnego „waluciarza” i zabrał nas ze sobą, by się odegrać, jak mówił, temu kupcowi, który oskarżył go i przez którego siedział w więzieniu.

Przenocowaliśmy u niego i przez cały dzień nie pokazywaliśmy się nikomu. Dopiero wieczorem wyszliśmy sobie na miasto. Pokazał on nam miejsce zamieszkania tego waluciarza, a zarazem mieliśmy tam parę koni zabrać, by zaraz stąd odjechać. Robota po wielu specjalnych zabiegach, w strachu dokonanych, doskonale się udała, po czym na parze ładnych kasztanów, zaprzęgniętych w sanie, ruszyliśmy w drogę.

Dopiero rano, o godzinie jedenastej, stanęliśmy u pewnego pasera o dziewięć mil od miejsca kradzieży. Paser obejrzał konie i uprzęż, pokiwał głową i rzekł:

— Hołotę od was wezmę, ale pieniądze dam wam dopiero w niedzielę, będę w Łomży, tam wszystko zapłacę.

— Dlaczego dopiero w niedzielę? — spytałem.

— Dlatego, mój kochany, że jak mi się zdaje po całym zaprzęgu, to konie te są żydowskie.

— Więc cóż, że żydowskie? — próbowałem zapytać.

Paser spojrzał na mnie ze zgorszeniem i odparł po żydowsku:

— Ny, nie dziwiłbym się temu gojowi, gdyby się o to pytał, ale ty się o to pytasz? — to mnie bardzo dziwi.

— Nic z tego nie rozumiem — odparłem.

Paser popatrzył na mnie chwilę i niedowierzająco zagadnął:

— Jak długo jesteś hołociarzem?

— Ja wcale nim nie jestem, tylko chwilowo to robię.

— Ach, tak, to co innego, więc ci powiem: żaden porządny paser koni kradzionych u Żydów i za darmo nawet nie weźmie. Chamskie konie, to rzecz inna, daj jak najwięcej, a zawsze kupię.

Po tym objaśnieniu, pomimo naszych zapewnień, że konie pochodzą od gojów, paser nam pieniędzy nie dał. Wypito flaszkę pejsachówki i po umówieniu się, co ma nam za konie zapłacić, odstawił nas jego parobek własnymi końmi do Łomży.

W niedzielę przyszedłem do zajazdu, gdzie miałem go spotkać i bez słowa zapłacił umówioną sumę nowymi sturublówkami i kazał więcej takich koni przyprowadzać, to zawsze kupi.

Myślałem w duchu, że nareszcie złapał się paser, konie były naprawdę żydowskie. Dziwiłem się, że przez te cztery dni nie dowiedział się.

Upłynęło już ze dwa tygodnie czasu i pewnego dnia spotkał mnie na ulicy pewien paser zwany „Złoty ząb”.

— Ach, to ty, „Nachalnik”? Ja cię już właśnie po całym mieście poszukuję. Chodź jeno ze mną.

— Dokąd? — próbowałem się dowiadywać, widząc jego rozgorączkowanie.

— Ny, chodź no ze mną prędzej do Jechona, tam się dowiesz.

<sup>192</sup>szmukle — zapewne: szmugle. [przypis edytorski]



Gdy stanęliśmy u tego Jechona, gdzie właśnie paserzy się zawsze zjeżdżali, od razu ujrzałem tego pasera, co kupił od nas żydowskie konie. Ten zaraz od progu skoczył na mnie.

— Ty cholernik „szejgic”<sup>193</sup>, te konie przecież były żydowskie, co teraz będzie?

— Co ma być? — spytałem ironicznie. — Ten Żyd kupi sobie drugie.

— Ty ze mną nie żartuj — pogroził mi. — Siadaj tu! Musimy pomówić.

Zauważyłem, że jeden z obecnych, których tu było kilku, a którego nie znałem, zamknął drzwi pokoju na klucz. „Dintojra”, pomyślałem.

Jeden z obecnych paserów, między którymi byli i złodzieje, zwrócił się do mnie:

— Jak ty będziesz tak dalej robił, to źle będzie z tobą. Paserowi należy mówić prawdę, skąd kradzież pochodzi, żeby wiedział, skąd i dokąd można towar sprzedać. Czyś ty wiedział, że te hołoty są żydowskie?

— Ja — odparłem — po raz pierwszy byłem w tym miasteczku i na ślepo zrobiłem tę „robotę”, skądże mogłem wiedzieć, że konie te są żydowskie, czy nieżydowskie. Konie nie przemówiły do mnie ani po żydowsku, ani po polsku, gdy im żelazne pęta zdejmowałem i wyprowadziłem ze stajni — zakończyłem szydlerczo.

Paserzy spojrzeli po sobie, a jeden z kóz bródką krzyknął:

— Ty nie bądź taki „fetniak”<sup>194</sup>. U nas, jak my zechcemy, wnet przestaniesz być mądry.

Zmierzyłem go śmiało i wyzywająco, a kto wie, do czego by doszło, gdyby paser, który żydowskie konie kupił, nie stanął nagle po mojej stronie.

— Słuchaj, „Smerke”, ty go tam nie strasz, on jest dobry „urke” i znają go między naszymi, możemy załatwić po dobremu, on zna prawo złodziejskie lepiej niż ty.

Tu zwrócił się do mnie:

— Konie mnie sprzedaliście, a „szmuk”<sup>195</sup>, który zabraliście, komu sprzedaliście? — pogroził mi żartobliwie palcem.

— Nie wiedziałem, że pan żydowską biżuterię kupuje — odparłem.

— Jak to — krzyczał — „szmuk” ja bym nie kupił? Ładny interes! Ny, co teraz będzie?

— Ale gdzie twoi współnicy? Może i ich trzeba zawołać? — zapytał jeden z sędziów.

— To zbytuczne — odparłem — oni zgodzą się na to, co ja zrobię.

Więc słuchaj, opowiem ci, co zaszło — mówił paser. — Do niedzieli trzymałem konie i nic nie słyszałem, akurat nawinał mi się kupiec i sprzedałem je do Niemiec za dwa tysiące czterysta rubli. Dopiero trzy dni temu, przed wieczorem, przychodzę do bóżnicy, patrzę, jakiś obcy Żyd stoi w kółku i opowiada Żydom, że okradziono bogatego walutnika, który też mieszka w tym domu. Przy tym jemu skradziono konie, które były całym jego majątkiem. A Żydzi mu doradzili, żeby się mnie poradził i... sumienie mnie ruszyło. Zawolałem go do rabina i pod przysięgą, że nie wyda, kto mu zapłacił za konie, bo kupiec zgłosiłby się do mnie i po biżuterię, o której nic nie wiem, więc zapłaciłem mu wartość tych koni. A moje dwa tysiące rubli diabli wzięli — zakończył ze smutkiem.

— Kto się panu kazał przyznawać samemu, gdy nikt o niczym nie wiedział?

— Jak to, ty myślisz, że przez te pieniądze będę miał na sumieniu żydowskie konie? Dotychczas, a już Bogu dzięki dwadzieścia pięć lat, jak paseruję, nie miałem tego na sumieniu, i dalej nie chcę mieć.

Obecni uśmiechnęli się z jego wywodów. Był to znany paser i bogaty handlarz koni. W miasteczku miał ze dwieście własnych domów. Miał też „za Rosji” pięć lat roty, a za co, warto tu nawet wspomnieć, od niego to słyszałem:

Miał zatarg z naczelnikiem tajnej policji rosyjskiej z powodu tego, że za małe łapówki dawał. Oni to umówili się, żeby go wyśledzić. Sam naczelnik go śledził. Był jednakże nieuchwytny. Całe bandy Cyganów dostarczały mu towar. On pchał to wszystko do Niemiec, bogacąc się coraz więcej. Pewnego razu skradziono w okolicy, u pewnego hrabiego, parę wyścigowych koni wielkiej wartości, podobno konie te zastał naczelnik u niego w stajni, gdzie zawsze stało do stu i więcej koni. Spytał go o świadectwo. Ten mówił, że dopiero jutro może je okazać, gdyż syn wyjechał, a ten miał świadectwo przy sobie. Naczelnik

<sup>193</sup>szejgic (szejgęc) — łobuz, zuchwalec. [przypis edytorski]

<sup>194</sup>fetniak — cwaniak, zawadiaka. [przypis edytorski]

<sup>195</sup>szmuk — biżuteria. [przypis edytorski]

obłożył konie aresztem do rana. Rano ten zgłosił się ze świadectwami, gdy jednak udali się do stajni, by obejrzeć, czy opisane znaki z maścią się zgadzają, koni już nie było, a wszystkie zamki były nienaruszone. Policja musiała zapłacić mu za konie. Jednakże zaprzysięgli mu zemstę. Pół roku jeździł naczelnik po jarmarkach w różnym przebraniu, aż pewnego dnia, przebrany za Cygana, nakrył go przy odbiorze pary koni od Cyganów i zaraz go aresztował.

Więc jak z tego wynika, miał niejedne sprawy na sumieniu, a to go nie wzruszało, tylko kradzież koni żydowskiego pochodzenia uznawał za grzech.

Po dłuższej naradzie, na której zostały wchłonięte ze trzy gęsi i kilka flaszek wódki, naturalnie, że na mój koszt, stało na tym, że ja i Stasiak mieliśmy w ciągu tygodnia dostarczyć parę dobrych koni, za które nie mieliśmy nic dostać.

Zgodziłem się, widząc, że zadzierać tu nie warto, a gdy potem Staśkowi opowiadałem o tym, od razu też przystał, mówiąc mi, że on zaraz wiedział, iż tak będzie, bo paserzy nigdy żydowskich koni nie kupują.

Upłynęło już dwa miesiące po moim zwolnieniu, stosunki moje z „Kosą Mańką” uznałem od razu za szkodliwe dla mnie. Przez stosunki z nią poznała mnie policja, rekrutująca się przeważnie z Żydów, których musiałem opłacać często.

Pewien starszy agent Żyd B., najślawniejszy pogromca złodziei, zaczął mnie często zapraszać do siebie na obiady. Zrozumiałem, co on ma na myśli i trzymałem się ostrożnie.

Ten sam pan B. był już podobno kilka lat w Ameryce detektywem. Wystarczyło tylko spojrzeć na jego „cyferblat”<sup>196</sup>, by poznać w nim szpiega. Był wysokiego wzrostu, szeroki w barach, lat czterdzieści sześć, w binoklach. Nos zaś miał taki, że gdyby w Europie ogłoszono konkurs na największy nos, niewątpliwie on dostałby nagrodę. Chytry był jak lis, starał się dla pozorów żyć w przyjaznych stosunkach z lepszymi włamywaczami. Często byłem zapraszany przez niego do jego domu na obiad. A że się go bałem i nie chciałem go sobie zrazić, musiałem dla pozorów przyjmować zaproszenia. Wiedziałem, że on coś knuje, by mnie dostać. Wszakże to mu nie szkodziło, by brać łapówki i różne prezenty w rodzaju sztuki dobrego towaru czy ładnego zegarka itp.

Mieszkał przy ulicy Długiej, żona zaś jego była bezdzietna, więc chętnie mnie po macierzyńsku przyjęła, udzielając rady z serca, bym porzucił to życie. „Szkoda twych młodych lat” — tłumaczyła mi. Ostrzegła mnie też przed mężem, bym mu nic nie opowiadał. Jednym słowem była bardzo szanującą się kobietą, w przeciwieństwie do męża.

Pewnego razu przyszedłem do jednej znajomej dziewczyny z półświatka i ujrzałem tam parę męskich kaloszy stojących przy drzwiach. „Czyje to są?” — spytałem ją. Ta mi odpowiedziała, że pana B. „Był tu” — mówiła — „kilka godzin temu i zapomniał kaloszy”. Namówiłem ją, by takowe odesłała mu do jego domu. Nie namyślając się długo, zapakowała je i odniosła przez posłańca do jego domu z kartką tej treści: „Zwracam kalosze, które pan zostawił u mnie”. Żona zrobiła mu gwałtowną scenę, nigdy nie dowiedział się, że ja mu to zrobiłem. Dziewczyna tłumaczyła się, że nic złego nie myślała, tylko chciała kalosze oddać, nie wiedząc, że jest żonaty.

Skarżyła się często jego żona przede mną, wzdychając, że służąc w policji mąż się zdemoralizował i że przedtem taki nie był.

Razu pewnego starał się mnie nawet zwolnić, gdy zostałem aresztowany w podejrzeniu o kradzież. Zrozumiałem, że stara się uzyskać moje zaufanie, by mnie pociągnąć za język. Ale to mu się długi czas nie udało.

On był cwany, przechodząc praktykę amerykańską, ale i ja nie darmo przechodziłem praktykę u „Cwajnosy”. Jednakże po pewnym czasie jego chytryść przewyciężyła moją lekkomyślność, o czym później się przekonałem.

## XLVIII

Dnia pewnego cała nasza zacna czwórka postanowiła udać się na drugi dzień wieczorem na pewną wyprawę. O, na bardzo ryzykowną wyprawę! A kilka dni przedtem Stasiak uczył mnie w lesie obchodzenia się z krótką bronią. Zepsułem około stu naboju, za które płaciłem po jednej marce. Nauka trwała kilka godzin, aż Stasiak uznał, że mi można powierzyć broń, z którą po raz pierwszy w życiu miałem do czynienia.

<sup>196</sup>cyferblat — w gwarze warszawskiej: twarz. [przypis edytorski]

Broń mieliśmy używać tylko dla własnej obrony, a celem wyprawy była rządowa instytucja. Tego dnia po obiedzie udaliśmy się ze Staśkiem do pewnego ślusarza, u którego zamówiłem, za wielką opłatą, narzędzia do włamania do kasy. Było to moje pierwsze podjęcie podobnej roboty na własną rękę. Będąc jeszcze u „Cwajnosy”, poduczyłem się, jak trzeba się zabierać do tego rodzaju robót, a nawet raz byłem z nim przy takim włamaniu. Grunt, mówił „Cwajnos”, żeby znać, jakiej marki ta kasa jest, a wtedy już wiadomo, czy się da zrobić zwykłym sposobem, to jest rakiem<sup>197</sup>, czy też nie. A ponieważ to pudło, co miałem robić, było starej marki, co się drze pod rakiem jak stary chałat żydowski, postanowiłem próbować szczęścia.

Nazwa firmy, która takie kasy wyrabia, musi pozostać dla mnie, nie chcę psuć jej klienteli, a kolegom po fachu interesu.

Wszystko u ślusarza było wykończony, zapłaciłem umówioną cenę i ułożyliśmy przybory w walizki skórzane. Stasiak miał to do następnego dnia wieczorem przechować w domu u swej matki, która jak wspomniałem, mieszkała niedaleko Ł.

Miejscem, gdzie zwykle zbieraliśmy się, by wyruszyć na wyprawę, była pewna kawiarenka. Stamtąd dopiero jeden po drugim, w pewnej odległości od siebie, udawaliśmy się za miasto. Tam już na czas czekał pojazd. Był to pewien furman, który był zawsze gotów na nasze zawołanie. Zapytałem więc i teraz Staśka, czy mamy się jutro zbierać tak samo w tej kawiarence.

Stasiak, znając tu lepiej wszystko niż ja, zamyślił się i odparł:

— Wiesz ty co? Mnie się zdaje, że B. nas śledzi, a tam przybyć z tą walizką jest dla mnie zbyt ryzykowne, musimy pomyśleć o innym miejscu spotkania.

— Więc powiedz, gdzie — zawołałem — żeby w odpowiedniej porze wszyscy byli na miejscu i żeby jeden na drugiego nie potrzebował czekać.

— Dobrze — odparł po dłuższym namyśle. — Maniek i Wojtek mogą o godzinie czwartej prosto wyjść za miasto, na tę drogę, gdzie mamy jechać. Ty wpierw zawiadomisz Żyda i on też zaraz tam musi wyjechać furmanką. Potem zaś przyjdiesz do mnie i razem pójdziemy.

— Gdzie mam przyjść do ciebie? — spytałem.

Stasiak, jakby się zawahał chwilę i odparł:

— Będę u swojej narzeczonej na Dwornej ulicy pod nr X. Przyjdiesz tam jutro po czwartej. Tam na ciebie będę czekać.

— Dobrze, dobrze — roześmiałem się. — Więc ty masz narzeczoną, a ja myślałem, że ty tylko u „Kosej Mańki” bywasz.

Stasiak zmarszczył się i pożegnał mnie, mówiąc, że udaje się do matki, którą, trzeba przyznać, bardzo szanował.

Wąleśsałem się jeszcze godzinę po mieście zaglądając to tu, to tam. Nie miałem akurat się gdzie udać, by spędzić czas i nie wiem sam, jak się znalazłem na ulicy Dwornej. Spojrzałem na numer domu i akuratnie stałem przy tym numerze, gdzie miała mieszkać narzeczoną Staśka. Po krótkim namyśle wszedłem w bramę.

Ujrzałem tam starszego człowieka zamiatającego śnieg. „Stróż”, pomyślałem. Zbliżyłem się do niego i spytałem, gdzie tu mieszka Antoni D. Człowiek wyprostował się, spojrział na mnie podejrzliwie i po chwili zagadnął:

— Po co panu ten człowiek?

— Chciałbym się o pewną rzecz dowiedzieć, proszę mi wskazać, gdzie on tu mieszka.

Zmierzył mnie od stóp do głowy, widać, że zrobiłem na nim dodatnie wrażenie, bo odparł:

— To ja jestem.

— Bardzo dobrze — odparłem i podałem mi rękę, on zaś, mrugając do mnie znacząco lewym okiem, wskazał, gdzie mieszka.

Przekroczyłem próg, przy kuchni stała otyła kobieta zasłonięta parą i dymem. Spojrzała na mnie jeszcze bardziej podejrzliwie niż to uczynił mąż i ocierając twarz fartuchem, zagadnęła:

— Czego pan tu szuka?

— Czy, proszę pani, nie ma tu Staśka? Mam do niego interes.

<sup>197</sup>rak — narzędzie do rozcinania kas pancernych. [przypis edytorski]

— Staśka, Staśka — zrobiła zdziwioną minę — my, proszę pana, żadnego Staśka tu nie znamy.

Wtem drzwi z drugiego pokoju otworzyły się i na progu stanęła, jak zjawą, piękna blondynka, w moim guście, uśmiechnęła się do mnie, pokazując dwa rzędy białych jak perły zębów i rzekła:

— Proszę, proszę, ja już wiem — rzekła do matki, widząc jej pytające spojrzenie.

Ukloniłem się jak najgrzeczniej, jak to tylko koniokrad potrafi i wszedłem do jej pokoiku. Pokoik ten był skromnie umeblowany, ale w pewnym guście.

Prosiła mnie, bym usiadł, a sama usiadła tak blisko mnie i patrzyła mi prosto w oczy, że zmieszałem się. Spytała, skąd jestem, pytała po żydowsku. Widząc, że patrzę na nią ze zdziwieniem, zagadnęła, śmiejąc się:

— Pana to dziwi, że mówię po żydowsku, ha, ha — śmiała się. — Wychowałam się między Żydami, a przeszło pięć lat byłam kelnerką w „Barze Amerykańskim”, gdzie właścicielem był Żyd, a i klientela składała się w większości z Żydów.

Ośmieliłem się trochę, ale oczu od niej nie mogłem oderwać. Dziewczyna ta spodobała mi się i zakochałem się, jak ludzie mówią, na pierwszy rzut oka. Jak mi się zdawało i ja na niej zrobiłem korzystne wrażenie.

Po upływie pół godziny rozmawialiśmy jak starzy przyjaciele. Wywnioskowałem, że ona dopiero „praktykuje” i należy do tego rodzaju kobiet, co po przejściu „praktyki” stają się kontrolnymi.

Myślałem: szkoda, że Stasiak z nią romansuje i do tego jako mój współnik. Gdyby nie to, za wszelką cenę starałbym się ją mieć. Nawet głośno to wymówiłem. Roześmiała się i rzekła:

— Jeszcze nic nie ma straconego, jak pan tylko zechce, to wszystko da się ułożyć.

Ucisnąłem jej dłoń, nie bronila się. Więc ośmielony zapytałem, czy mogę posłać po wódkę.

— Owszem — powiedziała — mój ojciec panu dotrzyma towarzystwa, on chętnie zagląda do kieliszka.

— A pani? — zapytałem.

— Ja — śmiała się — dobrze, jak panu na tym zależy, to chętnie.

Wyciągnąłem sturublówkę, chcąc zaimponować swoją zamożnością, położyłem ją na stół i rzekłem:

— Proszę kogoś posłać po to wszystko, co pani uważa za potrzebne.

— Mamu, mamu — zawołała.

— Czego ty chcesz, kochana?

— O, tu są pieniądze, proszę posłać Władkę po to wszystko, co napiszę na kartce.

Matka z niedowierzaniem oglądała te sto rubli na wszystkie strony i rzekła, patrząc na mnie:

— Ja myślałam, że pan jest od policji i pyta o naszego Staśka, jak to można się mylić — dodała jakby sama do siebie.

Córka napisała kartkę i wręczyła matce, szepcząc coś do tego na ucho. Matka wyszła. Ona zaś znowu usiadła przy mnie. Ale tym razem jeszcze bliżej niż to poprzednio uczyniła, nasze kolana zetknęły się z sobą.

Czułem, że mdło mi się robi. Żar taki bił od niej, że pomyślałem: „Ot, rozkoszna kobieta. Taką mieć za kochankę”. Ona zaś, jakby odgadła moje myśli, starała się w ruchach być jeszcze powabniejsza.

Za jakieś piętnaście minut wszedł ojciec, podkręcając siwego wąsa. Córka prosiła go, by usiadł. Popatrzył na nią mrugając lewym okiem, jak to na podwórku do mnie czynił; teraz rozumiałem, że znaczyło to tyle, jakby mówił: „Rozumiem dobrze, o co ci tu chodzi”. Co do mnie, od razu pomyślałem, że ta rodzina jest podobna do rodziny „Cwajnosy”.

Za chwilę powróciła Władka z naładowanym koszem. Postawiła go na stole, a sama, jakby wstydliwie, odsunęła się na stronę.

Dziewczyna ta mogła mieć lat dwanaście do trzynastu. Piękniejsza była i świeższa niż siostra. Na tej ostatniej, która też nie miała więcej niż lat dziewiętnaście, bystre oko mogło już poznać pewne awanturnicze przeżycia. Ojciec posadził matkę przy sobie i zaczęła się biesiada. Podczas biesiady dowiedziałem się, że przedmiot mojego zainteresowania nazywa

się Frania. Ojciec zaś opowiadał mi, że też siedział kilka razy „za Rosji” i teraz na starość pokutuje jako stróż. Zrozumiałem, że całym chlebodawcą jest tu Stasiak. Dowiedziałem się, że on nie bardzo tu jest hojny i że wszystkie pieniądze oddaje matce. A nawet kupił dwudziestomorgowe gospodarstwo.

Siostra od czasu do czasu była wołana do stołu i ojciec podawał jej własnoręcznie niepełną szklankę wódki lub kawał salcesonu, a ta, wstydliwie rumieniając się, wszystko przyjęła, nie chcąc w żaden sposób usiąść z nami do stołu.

Widać zapewne sama uznawała, że jest jeszcze za młoda do brania w pełni udziału w uczcie, a obserwowała tylko z boku. Praktykowała. Pijatyka miała się już ku końcowi. Frania, zauważyłem, pod wpływem alkoholu była rozmarzona. Oparła jedną rękę o moje krzesło i coś opowiadała. Ojciec i matka, już pod dobrą datą, obrzucali się nawzajem porozumiewawczymi spojrzeniami. Ja zaś przez cały czas piłem po żydowsku, znaczy to, że byłem zupełnie pod tym względem przytomny. Tylko widok Frani ciągnął mnie ku niej i upajał.

Rodzice już zabierali się do wyjścia, widać zrozumieli, że są tu zbyt tacy. Nagle, jakby piorun spadł z nieba, drzwi się otworzyły, a w nich stanął Stasiak. Spojrzał po nas, jakby nieprzytomnymi oczyma i zawrócił.

Frانيا momentalnie zerwała się z miejsca i wybiegła za nim. Matka, pomimo że była na pół pijana, zaczęła zawodzić na głos, wołając wszystkich świętych w pomoc.

— O! On ją zabije! — powtarzała niewyraźnie, załamując ręce.

Ojciec dopijał z tego zmartwienia wszystkie resztki z butelek i rozkazał Władzi, by sprzątnęła ze stołu. Ja zaś siedziałem chwilę na miejscu, rozmyślając nad grozą położenia. Jak się tu wytłumaczyć z tego wszystkiego? Jednakże, ufając w swoją pewną wyższość nad nim, podniosłem się i wyszedłem z mieszkania.

Na podwórzu Frania trzymała go w objęciach i całując, tłumaczyła mu, że nic nie zaszło. On zaś ciągle groził, że kogoś zabije. Domyślałem się, że mówi o mnie. Zbliżyłem się do nich. Księżyc oświecał nas tak, że widziałem jego twarz pełną nienawiści.

— Co, Staśku, tak uciekleś, gdyś mnie tu ujrzał? Ot, tak sobie tu zaszedłem, nie mając akuratnie nic innego do roboty. A ty, jak widzę, masz to za złe? — wymówiłem to pół żartem, pół serio.

Stasiak zrobił krok ku mnie. Frania uczepliła mu się za szyję.

Instynktownie zrobiłem krok w tył.

— Ty, Żydzio, pamiętaj, ja cię nauczę rozumu. Ty myślisz, że nie znam się na twojej żydowskiej kombinacji?

Groził mi pięścią.

— Ostrożnie, Staśku — rzekłem. — Możesz okropnie się mylić. Zapomniałeś, że uczyłeś mnie strzelać, a od tej chwili noszę rewolwer zawsze przy sobie.

— Co! — ryknął teraz i rzucił się ku mnie.

Zauważyłem, że ręką sięgnął do tylnej kieszeni.

Frانيا uczepliła mu się cała na szyi, zasłaniając mnie sobą. Zbliżyłem się znów.

— Sluchaj, Staśku — rzekłem już poważnie — miałem cię za współnika i mądrzejszego chłopaka, a teraz przekonałeś mnie, że jesteś chamem. Więc żegnam cię, od dziś nie mamy nic wspólnego. Co do Frani, to już ona zadecyduje.

Ukloniłem się wtedy Frani, naprawdę, jak mi się zdaje, jako bohater romansu i oddaliłem się.

Przez całą tę noc w hotelu, gdzie stałem, nie mogłem zasnąć. Frania ciągle stała mi przed oczyma. Teraz, po tym zajściu, koniecznie pragnąłem ją mieć. Byłem nawet przekonany, że teraz nareszcie trafiłem na swój ideał. W tym wieku, co ja wtedy byłem, każda świeżo upodobana kobieta zdaje się tą właśnie wymarzoną, a nie inną.

## XLIX

Rano wstałem pełen apatii i zniechęcenia, zrozumiałem, że między mną a Staśkiem jeszcze nie koniec.

Przed południem przybył do mnie Maniek, zgrał się w karty, a wiedząc, pod jakim numerem stoję w hotelu, przyszedł mnie odwiedzić. Maniek był moim przyjacielem od

pierwszego razu. Jak już wspomniałem, był on zawsze wesoły, czy to z pieniędzmi, czy bez nich.

Muszę też tu wspomnieć, że marnie skończył, został on zastrzelony w dwudziestym roku podczas ucieczki z więzienia wojskowego przy Dzikiej w Warszawie.

— Co słychać, Maniek? — spytałem go po dokładnym zamknięciu drzwi.

— Co ma być słychać? — odparł wesoło — „blaty”<sup>198</sup> przegrałem, trzeba starać się już o świeże. O której godzinie dziś jedziemy?

— Wcale już nie jedziemy — odparłem.

— Jak to, a to dlaczego?

— Dlatego, że Stasiak już nie jest moim współnikiem, a jeszcze co i z wami wszystkimi zrywam i odjadę dziś do Warszawy.

— Nic, brachu, cię nie rozumiem — odparł i zrobił wielkie oczy.

— Zaraz zrozumiesz wszystko, brachu — odparłem i opowiedziałem mu całe zajście u Frani.

— Źle, bardzo źle, a wszędzie, psiakrew, kobieta. Co teraz będzie? — zapytał smutno.

— Myślałem — ciągnął w zadumaniu — że już teraz się dobraćaliśmy, chłopaki jak należy, jak jeden mąż, a tu masz tobie — zakończył roztargniony.

— Trudno, tak się stało — odparłem. — Mnie już i tak tu duszno, a do „Czerwoniaka” się dostać, by mnie Ról na nowo przywitał, nie życzę sobie. Wiesz, jak my zaczniemy między sobą zadzierać, to wszyscy tam powędrujemy. Więc ja wam ustąpię — dodałem.

— Ależ zlituj się — zbliżył się do mnie. — Ja akurat wszystko przegrałem, a Wojtek tak samo. Bez ciebie, wiesz, tej roboty nigdy nie zrobimy. A doprawdy tam można się porządnie podreperować, także nawet kraść więcej nie będzie nam trzeba. Teraz dzień przed pierwszym. Wszystkie „blaty” będą na miejscu. Zrób to dla mnie i Wojtka — prosił.

— Dobrze, więc ja się zgadzam — odparłem. Stały mi przed oczyma różnej wielkości paczki z pieniędzmi i cyfry. — Pojedziemy tam we trzech, a „dole” damy mu i tak. Tylko statki są u niego, trzeba, abys je odebrał.

— Nie, tak nam to nie pójdzie bez Staśka. Wiesz sam, że takiego chłopaka do roboty, jak on, trudno znaleźć. Ja was pogodzę, to będzie najlepiej — dodał już weselej.

— Mnie on już nie bardzo potrzebny — dodałem. — Nie zapominaj, że tym razem nie udajemy się po „hołotę”, a przy tej robocie on prawie nic nie rozumie — dodałem ironicznie, czując się nad nimi wyższym pod względem techniki złodziejskiej.

— Tak, to prawda — odparł. — Ale diabeł czasem nie śpi, kto wie, czasami po cichu może nam się nie udać, a trzeba będzie robotę zrobić na „stój”, a wiesz przecież, że do tego Stasiak jest specjalistą.

Ma on rację, pomyślałem, tę robotę trzeba zrobić na razie jeszcze z nim, a potem stąd umykać. B. jakoś tajemniczo uśmiecha się do mnie, gdy mnie widzi, a to niedobry znak.

— Słuchaj, co ci teraz powiem. Przede wszystkim powiedz mi, brachu, czy już jadłeś obiad, bo pewno przegrałeś i obiad? Przyznaj się.

— Tak, nie tylko obiad przegrałem, ale i śniadania jeszcze dziś nie jadłem — uśmiechnął się szczerze.

— Więc nie traćmy czasu — odparłem — i chodź ze mną na obiad do Czech... Tam porozumiemy się i muszę pomyśleć nad tym. Wiesz, że tam są dobre obiady i doskonale to działa na uspokojenie. Kelner mnie tam zna, a głodny nie wyjdiesz stamtąd. Pokażesz mu palce, a on już wie, to jest mój znak, wiele „frajerskich obiadów” ma dla mnie razem złączyć. Co do mnie — dodałem — pokażę mu trzy palce. A ty zaś, brachu, wiele?

— Powiedz mi — odparł, śmiejąc się — co tam ten twój kelner podaje, gdy wskażę mu jeden palec? Wtedy będę wiedział, wiele palców mam mu pokazać, bo jestem tak głodny, jak gdybym wyszedł dziś z twojego „Czerwoniaka”.

— Palec jeden oznacza jedną porcję obiadu. Więc kotlet, szklanka rosółu, trochę jarzynki, trzy kartofelki i kufel piwa, wiesz, po „frajersku”.

— W takim razie — odparł — muszę wskazać mu całą rękę, myślę, że to mi wystarczy — dodał wesoło.

Za chwilę wyszliśmy razem, by się tam udać na obiad.

<sup>198</sup>blaty — pieniądze. [przypis edytorski]

Po obiedzie, wychodząc z restauracji, spotkaliśmy się oko w oko z Wojtkiem. Ten, o niczym nie wiedząc, już był gotowy do drogi i nas poszukiwał.

Po przywitaniu się powiedziałem mu, co zaszło. Po raz pierwszy ujrzałem go rozmownego. Zaczął mnie prosić, tłumaczyć, że on bierze wszystko na siebie, pójdzie po Staśka, przyprowadzi go i że musi nas pogodzić. Po chwili namysłu przystałem na to, a Wojtek po umówieniu się z nami, gdzie mamy się spotkać, udał się do Staśka. Wojtek doskonale znał Franię, będąc przyjacielem Staśka i wiedział, że go tam spotka.

Przed wieczorem, około piątej godziny, wraz z Mańkiem udaliśmy się za miasto, a za nami w pewnej odległości podążyli Stasiak i Wojtek. Ten ostatni dźwigał walizkę ze statkami. Za chwilę nadjechał nasz pojazd. Usadowiliśmy się na furmankę, a ta, zaprzężnięta w parę dobrych koni, ruszyła galopem.

Po drodze cały czas trwała przykra cisza. Żaden z nas nie odzywał się ani słowem. Tylko furman, starszy już wiekiem Żyd, podśpiewywał sobie pod nosem stary, popularny „Majufes”<sup>199</sup>.

Myślałem sobie, kto wie, czy Stasiak się nie nosi ze złym zamiarem zemsty na mnie i postanowiłem mieć się tu na baczności.

Na miejscu występuku stanęliśmy około godziny dwunastej. Stanęliśmy w lesie pod szopą na pół rozwalonej smolarni, żywej duszy tam nie było. Tam ustawiono konie i dano im obroku. Po wypiciu dwóch butelek wódki, by się rozgrzać i zjedzeniu zakąski, której Stasiak odmówił, udaliśmy się do „roboty” oddalonej stąd o jedną wiorstę.

Była widna, gwiazdzista noc. Ubrani byliśmy lekko, ale ciepło, uszliśmy może ze dwadzieścia kroków, a Maniek, który szedł ze mną na przedzie, szarpnął mnie nagle za rękaw, abym przystanął.

— Niech oni idą na przedzie — mówili do mnie z jakimś drżeniem w głosie. Przystanąłem.

Stasiak i Wojtek zbliżyli się ku nam i również przystanęli. Chwilę tak patrzyliśmy na siebie. Wtem Maniek prędkim ruchem wydobył rewolwer i krzyknął do Staśka:

— Ręce do góry i ani słowa, bo kulę w łeb.

Ja, widząc to, tak samo skierowałem lufę rewolweru w tym kierunku. Stasiak po chwili wahania podniósł ręce do góry, z szyderczym uśmiechem na ustach. Wojtek sięgnął zaś ręką do kieszeni futerka i wyciągnął mu rewolwer.

— Teraz, kolezko, jesteś wolny — odezwali się obaj ze śmiechem. Stasiak stał chwilę i ze złości zaczął mi grozić, że musi mnie zabić, jak nie dziś, to jutro na pewno. Wywiązała się między nami kłótnia. Dopiero teraz dowiedziałem się, że Stasiak miał mnie zabić w lesie, do czego też namawiał Wojtka. Ten bez mojej wiedzy umówił się z Mańkiem, by go rozbroić. Słyszając, co mi tu groziło, zawróciłem zaraz do furmanki.

— Ja już nie idę z wami na tę robotę — objaśniłem głosem stanowczym.

Żyd, słyszając nasz spór, zbliżył się ku nam.

— Co się tu stało? — spytał przelekniony, widząc stojących nas przed sobą, uzbrojonych.

Maniek opowiadał mu, o co chodzi i że przez dziewczynę chcemy się pozabijać.

Żyd, weteran zbrodni, wybuchnął szyderczym śmiechem.

— Ładni z was złodzieje i bandyci, idą ryzykować życie i o spódniczkę im chodzi — wypluł z dziesięć razy z pogardą w naszą stronę. — Kto chce, niech siada. Nie chcę z wami mieć od dziś nic wspólnego, dosyć „za Rosji” się nasiedziałem, a już na stare lata nie chcę gnić w „Czerwoniaku” — zakończył i podążył w stronę furmanki.

— Co teraz będzie? — odezwał się pierwszy Maniek, łapiąc Żyda za kołnierz.

Żyd szarpnął się, przeklinając takich złodziei „powstańców”, jak mówił o nas pogardliwie i groził, że nas tu zostawi. Teraz Maniek i Wojtek groźnie zwrócili się do Staśka, widząc, że ja i furman zabieramy się i gotowi jesteśmy do odjazdu.

— Jak ty się nie uspokoisz, to wpierv ciebie zabijemy, niż ty to jemu zrobisz.

Maniek też prosił Żyda i po krótkiej naradzie postanowiono, że Stasiak pozostanie przy furmanie, a my we trzech udamy się na roboty, a co do doli, otrzyma on na równi z nami.

<sup>199</sup>*Majufes* — żydowska pieśń śpiewana podczas niektórych obrzędów religijnych i zwyczajowych. [przypis edytorski]

Stasiek, chcąc nie chcąc, musiał zostać przy furmance, a my zaś w trzech udaliśmy się na robotę.

Jak została ta robota wykonana, tego opisać nie mogę...

Po północy dopiero wróciliśmy z łupem, a już nad ranem byliśmy w mieście, każdy ze swoją dolą w kieszeni. Rozeszliśmy się, jakby nigdy nic, każdy do meliny.

Po tej robocie krzyk był wielki. Policja szukała na wszystkie strony. Po mieście, na rogach ulic, nalepiono ogłoszenie: „Pięć tysięcy marek nagrody, kto coś powie, by można natrafić na ślady zbrodniarzy”. Ja, widząc ten ruch, postanowiłem na razie wyjechać, tym bardziej, że obawiałem się zemsty zakochanego Staśka i na drugi dzień wyjechałem. do Warszawy.

W Warszawie nie bawiłem dłużej niż dwa tygodnie. Przyznam się, że mając ogromną sumę pieniędzy przy sobie, przez ten cały czas spokoju nie zaznałem. Koledzy i koleżanki na krok mnie nie opuszczali, dopiero gdy dowiedzieli się, że przegrałem niemal wszystko w karty, dano mi wtedy odetchnąć.

Złodziej, gdy ma pieniądze, rozum traci, a gdy odzyska rozum, nie ma już pieniędzy. Mówię to z praktyki, a mało zaś jest złodziei, którzy by potrafili zrobić użytek ze zrabowanych pieniędzy. Przysłowie dotyczące złodziei: „Lekko przyszło, lekko poszło” niezupełnie jest trafne. Należy raczej mówić: „Ciężko przyszło, a lekko poszło”.

Zdrowie i krew, których ubywa podczas „roboty” i śmiertelny lęk, który złodziej przechodzi, nie dadzą się przywrócić za żadne pieniądze. Ludzie zaś mają bardzo mylny sąd o tym, że złodzieje działają śmiało i bez obawy. To jest nieprawda.

Przy każdej robocie cierpią oni okropne męki. Dziewięćdziesiąt procent recydywistów twierdzi stanowczo, że idą wtedy kraść, gdy są już goli, a grosz zarobiony uczciwie więcej u nich znaczy niż złoty kradziony.

Ten zaś idzie z lekkim sercem i śmiało do „roboty”, co jeszcze nie siedział w więzieniu, nie myśli o karze dlatego, że jej nie zna. W naszym świecie jest nawet o tym przysłowie. O ile ktoś zbyt śmiało postępuje przy robocie, mówią: „Ten ma frajerską parę”. Znaczy to, że jeszcze się nie oparzył i nie zna skutków, jakie za sobą pociągnąć może.

Każdy recydywista jest ostrożny, bardzo ostrożny i idzie kraść jedynie dlatego właśnie, że jest recydywistą. Kto bowiem pracę takiemu da? A jeść codziennie musi i „recydywista”, jak każdy najporządniejszy człowiek pod słońcem. Nawet twierdzą, że każdy recydywista czuje wstręt do swego rzemiosła, jedynie warunki życiowe zmuszają go do dalszej kradzieży. Nie ma on bowiem już nic do stracenia. Są i zwyrodnialcy, ale bardzo ich mało.

\*

Belki szukałem również po różnych „domkach” i dopytywałem się o nią w wielu miejscach. A nawet z Lizą starałem się nawiązać znów przyjaźń, by się coś dowiedzieć od niej. Jednakże wszystko było daremne, wszelkie po niej ślady w szpitalu po trzech miesiącach zagięły. Do dziś dnia nic o jej losach powiedzieć nie mogę. Może też być, że padła ofiarą sutenerów, którym nie chciała ulegać, albo też umarła w rynsztoku, nie poznana przez nikogo.

Po upływie dwóch tygodni wróciłem do Ł. Coś do Frani mnie tam ciągnęło i nie dało mi spokoju. W ten sam dzień jeszcze, wieczorem, udałem się do Frani. Pochodziłem tam wpiersz pod oknami, by przekonać się, czy nie ma Staśka, przed którym przyznać muszę, stchórzyłem, potem wszedłem do mieszkania.

— Boże! Pan jest tu?! — krzyknęła jej matka, gdy stanąłem na progu, po czym prosiła mnie dalej. Ojciec jej przywitał mnie serdecznie, jak zazwyczaj mrugając do mnie lewym okiem. Rozejrzałem się ciekawie po mieszkaniu, a potem spojrzałem na drzwi pokoju Frani, matka jej podchwyciła moje spojrzenie, zakłopotana z pobożnym westchnieniem rzekła:

— Frania zaraz tu przyjdzie, wyszła biedna niedawno trochę na świeże powietrze — i znów westchnęła.

Zrozumiałem, że w czasie mojej nieobecności zaszło tu coś nadzwyczajnego. Jednakże nie śmiałem o to spytać. Przez głowę przemknęła mi myśl, że może Stasiek ją zamordo-

Złodziej



wał i nie chcą mi tego powiedzieć. Widząc przygnębienie i przykrość, którą, jak mi się zdawało, spowodowałem swoim przybyciem, zapytałem:

— Co tu zaszło, że pani taka smutna?

Kobieta spojrzała pytająco na męża, który kończył wieczerzę, obgryzając zawzięcie wielką kość, a ten, zauważyłem, mrugnął do niej lewym okiem. Po chwili odparła:

— Boże, jak go bili...

Tu nie wytrzymałem i spytałem porywczo:

— Kogo i gdzie? Proszę mi wyraźnie mówić, o kim pani to mówi, nic nie rozumiem.

— Jak widzę, to pan o niczym nie wie. O kim miałabym mówić, jak nie o naszym Staśku. Biedy Staśku! — dodała z westchnieniem i ciągnęła dalej: — Będzie temu już trzeci dzień, jak on nieborak siedzi w „Czerwoniaku” razem ze współnikami. Przy aresztowaniu tak Staśka zbili, że ledwo żyje biedak — dokończyła, załamując ręce.

Począłem wypytywać o szczegóły, myśląc, że siedzą za tę wspólną naszą robotę. Cieszyłem się przy tym w duchu, że nikt mi teraz nie przeszkodzi w moim zamiarze względem Frani, a z jej strony, odczuwałem, łatwo mi to pójdzie.

Do tej pory zawierałem stosunki z kobietami w sposób łatwy, a rozstawałem się z nimi po krótkim czasie w sposób jeszcze łatwiejszy. Więc byłem teraz niemal pewny wygranej. Gdy zaś dowiedziałem się, że Stasiak został schwytany na gorącym uczynku w pewnej firmie manufaktury i do tego za opór wobec policji, nie dał się bowiem aresztować, pomyślałem: pięć wiosenek murowane. Byłem niemal zadowolony, chcąc przerwać panujący tu smutek, przywołałem zaraz siostrę Frani, która obserwowała mnie z boku i posłałem po obfite trunki i zakąski, prosząc ją zarazem, by odszukała siostrę.

Za jakieś pół godziny obie wróciły, Frania przywitała mnie jak starego przyjaciela, wydawała mi się ładniejsza niż wtedy. Szelmowskie oczy świeciły zdrowym, wesołym blaskiem, a policzki rumiane od mrozu wabiły mnie do pocałunku. Pociągnęła mnie też zaraz za sobą do swojego pokoiku.

— Kiedy pan przyjechał? — rzuciła pytanie, grożąc mi paluszkami. — Żyd zawsze jest tchórzem i pan stchórzył przed Staśkiem — dodała po żydowsku. Nie zważając na moje zaprzeczenie, ciągnęła dalej:

— Pan już na pewno wszystko wie, co tu zaszło, nareszcie jestem panną na wydaniu — zakończyła wesoło, a nawet za wesoło.

Mierzyłem ją chwilę badawczo, bo uraził mnie jej lekko traktujący ton i zapytałem:

— Czy pani odwiedza choć Staśka?

— Co, ja? — zapytała. — Jego matka go odwiedza, cóż on mnie teraz obchodzi? Ja lubię chłopców, gdy są przy mnie — dodała kapryśnie. — Zresztą po tym zajściu z panem już go nie kochałam, zaczęłam z nim zrywać, zanudził mnie na śmierć swoją zazdrością, jestem zadowolona, że mnie policja uwolniła od jego osoby — zakończyła. — Czy pan też jest zazdrosny? — zwróciła się do mnie kokieteryjnie po chwili milczenia.

— Ja, ja sam tego nie wiem — odparłem. — Ale gdybym miał taką kobietę jak pani, nie ręczę za siebie.

Zakrzętała się przy tym do przyszykowania przyniesionej wypitki, a siostra jej pomagała. Potem wzięła dwie butelki napojów, zakąskę i kazała siostrze podać ojcu i matce w kuchni. Ja widząc to, zaprotestowałem i prosiłem, by razem z nami wypili, na co po krótkim wahaniu się zgodziła. Zaczęła się biesiada.

Dziwiło mnie to, że przy rodzicach nie krępowała się zupełnie i rzucała mi coraz więcej dwuznacznych półsłówek. Nareszcie ojciec i matka zrozumieli, że są tu już zbyt liczni, zawołali też młodszą córkę i wynieśli się. Ojciec podał mi rękę i wychodząc, mrugnął do mnie, pokazując na córkę. Frania teraz, rozmarzona i podniecona alkoholem, usiadła mi na kolanach.

— Co, ciężka jestem, to zejść?

— Nie, chciałbym całe życie ten ciężar nosić, aż do grobu — odparłem ośmielony.

Wybuchnęła śmiechem.

— Wy, wszyscy mężczyźni tak zawsze mówicie na początku, a później stajecie się wprost nieznosi. O, ja was znam dobrze — dodała, grożąc mi pięścią pod samym nosem.

— Pani mnie jeszcze nie zna — zaprzeczyłem gorąco. — Nigdy nie opuściłbym pani...

— Tu próbowałem przycisnąć ją do siebie.

Momentalnie zerwała się i wyprostowała.

— Jak widzę, pan sobie za dużo pozwala, pan już mnie liczy za zdobytą? O, nie tak prędko się Franię zdobywa — dodała dumnie. — Na moje zawołanie, jakbym tylko zagwizdała, to będą za mną chłopcy latali, jak psy. Pan sobie myśli, że za kieliszek Frania się już oddaje? O nie, mój panie, gdy pan tak myśli, to pan się okropnie myli — zakończyła nieomal ze złością.

— Proszę o mnie tak źle nie sądzić, ja o tym wcale nie myślałem, niech pani mi wybaczy, ale pokochałem panią od pierwszego spojrzenia. Wyjechałem stąd nie dlatego, że obawiałem się Staśka, tylko że jako współnikowi nie chciałem i nie mogłem tej przykrości robić. Jednakże po oddaleniu się od pani przekonałem się, że żyć bez niej nie mogę i przyjechałem, by ujrzeć panią i starać się o jej względy.

Gdy zaś skończyłem swoje wyznanie, ze wzruszeniem jednym tchnieniem wypowiedziane, ona patrzyła na mnie chwilę i wybuchnęła niepohamowanym śmiechem, siadając mi znów na kolanach.

— Tylko ręce proszę trzymać na razie przy sobie — rzekła, śmiejąc się jeszcze.

Myślałem, do czego ona właściwie dąży, ta kapryśna dziewczyna, kroplisty pot wystąpił mi na czoło, żar od niej bił jak z rozgrzanego pieca. Były momenty, że chciałem ją gwałtem rzucić na podłogę i zmusić do uległości, ale świadomość, że za drzwiami są rodzice, powstrzymała mnie od tego szalonego zamiaru i postanowiłem opanować namiętność i czekać końca. Wiedziałem, że ona się tylko drażni, a myśli i dąży do tego, co i ja.

— Frania, najdroższa — począłem błagać — zlituj się nade mną, zejdź mi z kolan lub pozwól się ucałować!

— Dobrze — odparła — pozwolę się pocałować aż dwa razy, gdy staniesz na stole i trzy razy krzykniesz, że jesteś we mnie zakochany i że się przechrzisz, zgoda?

Jednym susem wskoczyłem na stół i wołałem jej słowa tak długo, aż sama uznała, że już dosyć i kazała mi znów usiąść. Sama usiadła na moje kolana i rzekła:

— Teraz pocałuj mnie, byś miał dowód, że dotrzymuję zawsze słowa.

Wykonałem polecenie, w głowie zawirowało mi, a wypite trunki zaczęły działać we mnie wspólnie ze zmysłami i nie patrząc już na nic, objąłem ją wpół.

Zręcznym ruchem uwolniła się.

— Jak nie będzie pan spokojny, to wyproszę za drzwi — groziła — i słuchaj pan, co dalej powiem: — Kochasz mnie pan?

— O, tak! Bardzo panią kocham — odparłem prawie że nieprzytomny, robiąc ruch, jakbym chciał ją uchwycić.

— Więc dobrze — odparła — oddaj mi pan portfel na dowód, że mówisz prawdę.

Oprzytomniałem od razu.

— Aha! Teraz widzę, że pan kłamie — rzekła, śmiejąc się, skoro spostrzegła moje wahanie. — Dobranoc — dodała — może mnie pan pożegnać.

Pokazała przy tym w kierunku drzwi.

Stałem chwilę niezdecydowany jeszcze, wydała mi się szatańsko piękna i machinalnie wręczyłem jej portfel.

— Zobaczmy, czy on czasem nie jest próżny — zaśmiała się i zaczęła wykladać zawartość na stół.

— Oho! Pan ma dużo forsy, ale na to, żeby osiąść Franię — rzekła — jest to jeszcze trochę za mało; oddaj pan tu swój zegarek.

Zdjąłem bez słowa zegarek, chcąc się przekonać, do czego ona dąży.

— Zdejm pan teraz pierścionek, który pan nosi na palcu, zobaczmy czy mi pasuje.

Wykonałem i to polecenie.

Popatrzyła z natężeniem na mnie dłuższą chwilę, rozglądając się po pokoju, po czym podskoczyła do ściany i zdjęła krucyfiks.

Czekałem z zaciekawieniem, co ona teraz zrobi, wtem zbliżyła się do mnie.

— Jeszcze daj mi ostatni dowód, że mnie naprawdę kochasz, masz tu, pocałuj krzyż.

Zawahałem się chwilę, chciałem już i to uczynić. Wtem odskoczyła nagle w bok, wieszając krzyż na swoim miejscu i śmiejąc się, wybiegła z pokoju. Pomyślałem, że na pewno zwariowała i już chciałem zbierać swoje rzeczy i portfel, który zostawiła na stole, gdy wtem z powrotem wpadła, uchwyciła mnie w objęcia, obsypując całusami, po czym

posadziła mnie na kanapce, tłumacząc, że o ile ją kocham i zostanie moją kochanką, to niejedną jej kapryśną będę musiał wypełnić. Przyrzekłem, że wszystko to uczynię.

Byłem tak oszołomiony jej urokiem, że gdyby w tej chwili wymagała, abym popełnił nawet zabójstwo, kto wie, czy oparłbym się. Korzystając teraz z jej przychylności dla mnie, delikatnie objąłem jej kibić i zaproponowałem nieśmiało, by udała się ze mną do hotelu.

— Dlaczego do hotelu? — filuternie zapytała. — Czy tu ci źle ze mną?

— Tu przecież nie można — odparłem, pokazując na drzwi, za którymi byli rodzice.

— To mi wcale nie przeszkadza — odparła. — Tylko powiem ci prawdę... dziś nie mogę...

— Dlaczego? — nalegałem, przyciskając ją namiętnie do siebie.

Tu szelmowsko szepnęła mi do ucha: „Mam m... więc trochę zaczekaj”.

Wziąłem to za wykręt z jej strony i począłem nalegać.

— Więc dobrze — rzekła po chwili namysłu — położymy się spać do mojego łóżka, ale daj słowo, że mnie nie dotkniesz — śmiała mi się cynicznie w oczy.

— Co do tego, nie obiecuję. Powiedz sama — mówiłem, przyciskając ją do siebie z całych sił — czy to byłoby możliwe z tobą, rozebraną, leżeć w jednym łóżku i me tknąć cię? To jest nad moje siły — dodałem.

Roześmiała się. — No, lubię cię za szczerość — rzekła — więc prędko rozbieraj się.

Mnie tego nie trzeba było dwa razy powtarzać i za chwilę oboje byliśmy rozebrani w łóżku.

Zauważyłem przy zgaszeniu przez nią lampy, że jest zupełnie naga, po chwili oboje zwarliśmy się w drżącą całość...

Nie jestem tu zdolny opisać wyrafinowanych sztuczek miłosnych i potwornego cynizmu mojej kochanki. Rozkoszna noc, którą z nią przeżyłem, przewyższała wszystkie przygody tego rodzaju, com kiedykolwiek przeżył w swym burzliwym życiu.

W ciągu nocy, którą spędziłem w jej łóżku, nie dała mi ani na chwilę wytchnienia i spokoju. Wyrabiała ze mną, co jej się tylko spodobało. Tkwiły w mej jakiejś siły piekielne. Nie pomogły moje zapewnienia i prośby, że umieram ze zmęczenia. Ona, nie patrząc na to, wyprawiała ze mną istne podrygi szatańskie.

Myślałem sobie w duchu, żeby już dzień jak najprędzej przyszedł, a zostałbym od niej uwolniony. A zarazem czułem, że opanowała mnie zupełnie. Fizycznie byłem nasycony, ale zmysły w dalszym ciągu na mnie działały i chciałem, aby nigdy to się nie skończyło... Rano pokazała mi na ścianie jakieś kreski wydrapane paznokciem i kazała przeliczyć.

Naliczyłem, nie bez dumy, osiem kresek, na które ku memu zdziwieniu rzekła:

— To wszystko, mój kochany, mało; jesteś niedołągą. Takiego kochanką nie zostanę, chyba że powoli się wprawisz.

Rano, przyznam szczerze, ledwo stałem na nogach, razem też zjedliśmy śniadanie, po czym już tu zamieszkałem.

Powodzenie każdej kobiety u mężczyzny, uważam, zależy od pierwszej miłości, pierwszego zbliżenia się. O ile kobieta potrafi jakimś nie dającym się określić wyczynem czysto fizycznym mężczyznę zadowolić, zostanie on już na pewno jej niewolnikiem. Tak było ze mną. Podlegałem zupełnie jej woli i codziennie inne jej kapryśności i zachcianki musiałem spełniać.

Przez współżycie z nią miałem dużo wrogów między złodziejami, a nawet grozili mi „dintojrą”. Mówili, że to nie jest „po złodziejsku”, o czym ja sam dobrze wiedziałem, zabierać kochankę współnikowi, gdy ten wpada do więzienia. Ja to, jak wyżej nadmieniałem, doskonale wiedziałem, że źle postąpiłem, ale Frania była zbyt rozkoszna i warta grzechu, bym ją miał opuścić. Z dnia na dzień też stawała się więcej panią mej woli.

Dla zaspokojenia sumienia, spotykając nieraz matkę Staśka, dawałem jej pieniądze dla niego na „wałówkę”. A nawet kilka razy „zblatowałem”<sup>200</sup> pewnego dozorcę, który nosił papierosy do więzienia dla Staśka.

## LI

Pewnego dnia byłem trochę podпиты, a Frania namówiła mnie, bym się z nią udał na spacer, jak twierdziła, na świeże powietrze, aby wytrzeźwieć. Wzięła mnie pod ramię

<sup>200</sup>zblatować — przekupić. [przypis edytorski]

i zaprowadziła pod sam „Czerwoniak”. Więźniowie wyglądający oknami poczęli wołać na Staśka, że tu Frania przysła z kochankiem pod jego okno. Oprzytomniałem od razu.

Stasiek począł robić mi wyrzuty, że nie dość, że mu ją zabrałem, ale jeszcze pod więzienie przychodzę z nią, by mu się pokazać, a nie patrzę na jego cierpienia. Frania, śmiejąc się cynicznie, zadawała mu pytania, czy mu się tam nie przykrzy bez kobiet. Inni więźniowie, widząc to i słysząc jej szydercze uwagi, poczęli na głos wołać:

— Kur... do wórka!

Pociągnąłem ją za sobą, robiąc jej w drodze wymówki, że mnie aż tu zaprowadziła. Śmiała się tylko do mnie, mówiąc:

— Jak ty tam będziesz za kratami siedział, to też przyjdę pod okno z drugim kochankiem, co ty mi wtedy zrobisz, będąc za kratami?

— Frania! — próbowałem ją skarcić — jak ty możesz tak mówić. Twe kaprysy stają się wprost już nie do zniesienia, wystrzegaj się — próbowałem jej pogrozić.

— Co ty mi zrobisz? Gwiżdżę na was wszystkich — odparła i poczęła sobie naprawdę wygwizdywać melodię swojej ulubionej piosenki: „Moja mama, daj mnie za męża, rym-cim-cim. Jak ja męża nie dostanę” itd.

Pobić jej nigdy nie mogłem, gdyż momentalnie wszystko zamieniała w żart. Niepodobna było też na nią długo się gniewać. Lubilem słuchać jej śpiewu, śliczny miała głos i przy tym akompaniowała na gitarze. Gdy czuła, że przeciągnęła już strunę ze swoimi kapryсами i że jestem naprawdę zły, zabierała się wtedy do śpiewu i tym mnie momentalnie rozbijała. Żadna kobieta, którą znałem do tego czasu, tak mną nie władała jak Frania. Byłem gotów za nią, jak to się mówi, w ogień skoczyć.

Taki stan rzeczy trwał ze sześć tygodni. Frania była nienasycona fizycznie, a ja będąc zmysłowo zakochany i obawiając się, by nie skierowała swoich względów w inną stronę, dotrzymywałem jej kroku i stale byłem przy niej. Znosiłem jej kaprysy z pewnym zrezygnowaniem. Ale ponieważ pod słońcem nie ma nic trwałego, więc i ja zbuntowałem się i zacząłem ją zaniedbywać.

Co prawda winna tu była pewna Żydóweczka, którą wówczas zapoznałem, chociaż była to brunetka i mężatka, w czym nie gustowałem. Wszakże ona to potrafiła mnie do siebie zwabić.

Znajomość nasza datowała się od pewnego dnia, kiedy wstąpiłem do fryzjerni jej męża, by się ogolić. Pomagała mu nieraz w pracy, gdy było dużo gości. Sama też, jak twierdziła, była z zawodu fryzjerką, jak się zaś później przekonałem, robił to jej mąż z pewnym wyrachowaniem, by zwabić tu młodzież za pomocą młodej i pięknej żony.

Każdy niemal z gości tak się kierował, by ona gołysła. Na początku co prawda krępowało mnie to, gdy ona mnie gołysła. Jednak po niedługim czasie tak mi się ona spodobała, że niemal codziennie chodziłem się golić, choć nie miałem co.

Pewnego razu, któregoś zimowego dnia przed wieczorem, zaszedłem do tej wspomnianej fryzjerni i dobrze trafiłem; gości tu nie było żadnych, a co lepsze i męża tu nie było. Przywitała mnie bardzo, jak na mężatkę, przychylnie, po zamienieniu kilku słów, raczej dlatego, by coś mówić niż z potrzeby, usiadłem na krześle i poczęła mnie swoją ręką mydlić. Robiła to jakoś dłużej niż zwykle, po czym przystąpiła do golenia. Przy tej czynności zauważyłem, że jakby naumyślnie stawia swoją nogę między moje. Czulem ciepło jej kolan i... tak, że nie mogłem usiedzieć.

Nareszcie skończyła, wyjąłem prędko pieniądze, by już zapłacić i chciałem się wynosić. Czulem, że ona zmiarkowała, co się stało, gdy swoje kolano przycisnęła do najdrażliwszego miejsca. Wstydzilem się tego, myśląc, że może przez nieuwagę to uczyniła.

— Co pan się tak śpieszy? — zapytała.

— Ja, ja nie mam czasu — odparłem, kładąc dwie marki na stole.

— Mam dwa, mogę jeden panu odstąpić — odparła, śmiejąc się, po czym dodała:

— Niech pan pozwoli na chwilę do mieszkania — i otworzyła drzwi do pokoju, który łączył się z fryzjernią.

Wszedłem.

Wskazała mi krzesło, a sama wzięła dziecko z wózka i dała mu pierś.

Zauważyłem, że ona chce, bym widział, że ma białe, ładne, pełne piersi.

— Dlaczego pan nic nie mówi? — zapytała mnie po chwili krępującej ciszy.

— Doprawdy nie wiem, o czym mówić — odparłem, patrząc na nią, jak mieniła się na twarzy pod moim wzrokiem.

— Czy pan żonaty? — zapytała nagle.

— Nie jeszcze.

— A dlaczego pan się nie żeni? Taki przystojny kawaler łatwo dostanie żonę.

Spojrzałem na nią, nie rozumiejąc, do czego zdąży, i odparłem:

— Nie spotkałem jeszcze kobiety, bym ją naprawdę pokochał.

— A Frania? — odparła.

— Jaka Frania? — próbowałem nie rozumieć.

— No, ta Frania, pańska kochanka.

— Skąd pani wie o tym?

— Ja jeszcze coś więcej wiem — dodała tajemniczo

Mierzyliśmy się chwilę wzrokiem.

— Czy pan wie, że jestem akuszerką?

— Skąd bym miał o tym wiedzieć — odparłem. — Mnie akuszerki nie są potrzebne — śmiałem się.

— Wiem, że panu niepotrzebne, ale komu innemu, kto jest blisko pana, może być potrzebna.

— Nic nie rozumiem — odparłem.

— Tym lepiej — rzekła i przysunęła się bliżej mnie.

— Pan wiele ma lat?

— Dwadzieścia jeden.

— Pan bardzo lubi kobiety?

— To zależy — odparłem, nabierając odwagi.

— Pan musi być straszny kobieciarz, że może dogodzić takiej wymagającej, jaka jest Frania.

— Skąd pani o tym wie?

— Mówiłam już panu — odparła — że jeszcze więcej wiem, niż mówię.

Chwila przerwy. Myślałem, co ona chce z tymi zapytaniami? Byłem wtedy jeszcze za głupi pod tym względem, bym się znał na różnych kobiecych sprawach i na myśl mi nie przyszło, że Frania była kiedyś jej klientką, nareszcie spytałem:

— Dlaczego mnie pani o to wszystko pyta?

— Dlatego, że mnie pana żal — odparła. — Pan się tylko zmarnuje z tą „sikszą”.

— Kiedy nie mam innej — odparłem. Prędko zaś dodałem: — O, żebym miał taką kobietę jak pani, czułbym się szczęśliwy.

— Dlaczego pan nie może takiej mieć, i to Żydówki. — Mówiąc to, patrzyła mi uparcie w oczy i rumieniła się.

— Za późno panią poznałem — odparłem — pani należy już do innego, pani ma męża.

— Czy to panu przeszkadza? — spytała, wykręcając głowę w inną stronę.

Dłużej nie wytrzymałem, wszystkie te jej pytania zapaliły we krwi mojej żądze, nie mogłem oderwać wzroku od białej jej piersi, zerwałem się z miejsca i zbliżyłem się do niej, uchwyciłem ją za ramię.

— Niech pani położy dziecko!

— Dlaczego? — próbowała się słabo bronić.

— Niedobrze jest przyzwyczajając dzieci na rękach stale nosić — i podniosłem ją z krzesła, popychając lekko w stronę wózka.

Machinalnie położyła dziecko, a ja przycisnąłem ją namiętnie do siebie, nie broniła się, tylko urywanym głosem zawołała:

— Przecież ja mam męża... Co pan chce robić?

Nie odpowiedziałem, tylko uchwyciłem ją za rękę, po czym zaniósłem do drugiego pokoju i złożyłem na łóżku. Nie stawiała oporu, tylko prosiła, abym drzwi od fryzjerni zamknął na klucz, by ktoś nie wszedł.

Żał mi było przerwać ten czarowny moment, jednakże zrozumiałem, że ktoś nieproszony może nam przeszkodzić, więc wykonałem prędko polecenie i wróciłem. Ona leżała jeszcze w tej samej pozycji, w jakiej ją położyłem, chciałem się dobrać do miodu, jednak reformy przeszkadzały. Prosiłem, by je zdjęła, a ona urwanym głosem prosiła: „Ach, rwij

pan... prędej...” No i podarłem, droga stała otworem. Dała się posiąć bez oporu, szepcząc tylko błagalnie: „Proszę cię tylko, żeby cztery oczy o tym wiedziały. Od dziś, kiedy tylko zechcesz, jestem twoja...”

Naopowiadała mi strasznych rzeczy na Franię, chcąc mi ją obrzydzić, i po zapewnieniu z mojej strony, że będę ją często odwiedzał, wyniosłem się.

Od tego dnia byłem wzięty w dwa ognie. Frania poznała od razu, że ją zaniedbuję, pilnowała, bym się nigdy na krok nie oddalał. Jednakże pod pozorem udania się na robotę, odwiedzałem fryzjernię.

Dawała mi często znać, kiedy męża nie ma w domu. Umawiałem w różnych miejscach spotkania, była tak samo „wymagająca” jak Frania. Co do mnie, doszło do tego, że ledwo na nogach się trzymałem i począłem odczuwać do nich wstręt, gdy je ujrzałem. Przypadek też zdradził nas przed jej mężem, który domyślił się wszystkiego. Było to tak:

Kilka dni potem zostałem aresztowany, trzymano mnie pięć dni, byłem nieomal zadowolony, że trochę odpocząłem, zaraz też po zwolnieniu zaszedłem na swoje nieszczęście do tego fryzjera, by się dać ogolić. Ona zaś wiedziała o tym że byłem aresztowany, więc gdy mnie ujrzała, podskoczyła nagle do mnie:

— Co, jesteś, mój ko... — i urwała.

Słyszając to, mąż zbladł, ona zaś połapała się, że sama się zdradziła, chciała wszystko naprawić i obrócić w żart, jednak to się jej nie udało, sama się „wsypała”. Co prawda w spodniach ona chodziła, a nie mąż, jednak źle się stało.

Od tego dnia czułem, że mąż śledzi mnie. On już dawno domyślił się, do jakiej branży należą. Ten romans też wkrótce mnie zgubił, o czym później będę mówił.

## LII

Piątnica, przedmieście Ł.<sup>201</sup>, przedzielona dwoma mostami nad Narwią, leży dwie wiorsty od Ł. Przy drugim moście na Piątnicy stał zawsze za Niemców posterunkowy i sierżant niemiecki, którzy kontrolowali paszporty i przepustki, furmanki i przechodniów. Bardzo surowo odbywała się „za Niemców” ta czynność.

Zmuszony i ja byłem często przez te mosty przechodzić. Po pierwsze, jeden z moich już świeżych współników tam mieszkał. Wspólnik ten był żonaty i figurował tam jako handlarz koni i stąd wybieraliśmy się zawsze na wyprawę. Po drugie, po tej stronie najczęściej grasowaliśmy, bo było tam bliżej granicy niemieckiej.

Raz wieczorem o godzinie dziewiątej, odprowadzony przez Franię do pierwszego mostu, pożegnałem ją i udałem się do współników, skąd mieliśmy wyruszyć na pewną wyprawę. Gdy stanąłem przy budzie, gdzie sierżant przeglądał paszporty, zauważyłem, że ściślej się tym razem to czyni niż zwykle. Przebiegłem w myślach, czy nie mam czego na sumieniu, co by tu policja już wiedziała. Nic takiego sobie nie przypomniałem. Zbliżyłem się i wyciągnąłem pas, sierżant obejrzał go na wszystkie strony, potem popatrzył na fotografię, to znów na mnie. Źle, pomyślałem, jestem zgubiony. Nim zdążyłem pomyśleć o ratunku, gdy sierżant zwrócił się do mnie grzecznie, żebym szedł z nim na posterunek.

— Co to ma znaczyć? — próbowałem spokojnie zaprotestować.

— Nic takiego — odparł — tylko, że znaleziono paszport na podobne nazwisko, więc chcemy tylko tam sprawdzić i zaraz pana zwolnimy.

Zrozumiałem, że to jest tylko pozór, aby mnie dostać na posterunek. Co robić? Uciekać? Na nic to się nie przyda, z jednej strony jest most, a z drugiej posterunek, który za mną zaraz podąży. Machinalnie szedłem za sierżantem. Była bardzo ciemna noc, a posterunek mieścił się o jakieś pięćdziesiąt kroków od mostu.

Po drodze sierżant starał się ocierać o moje ramię tak, by mnie czuć przy sobie. Zauważyłem też, że w ręce coś trzyma, na pewno rewolwer, pomyślałem. Wtem nagłym ruchem rzuciłem w stronę wody rewolwer, który miałem przy sobie, a za który groziła mi kara śmierci. Sierżant uchwycił mnie zaraz za ramię.

— Co tam rzuciłeś?

— Chleb — odpowiedziałem.

I tak trzymał mnie już za rękę, dopóki nie weszliśmy na posterunek.

---

<sup>201</sup>Ł. — Łomża. [przypis edytorski]

Otoczony zostałem tu przez żołnierzy i za chwilę zjawił się oficer, sam komendant posterunku, z listą w ręku. Przyglądał mi się bacznie, po czym na głos czytał nazwiska poszukiwanych przez policję. Wyczytał też moje nazwisko, na które siedziałem w Niemczech, nie zatrzymując się, czytał dalej. Odetchnąłem z ulgą.

Spojrzał też na mój paszport, mojego nazwiska tam nie było, potem zaczął fotografie oglądać. Zapytał mnie też, co ja wyrzuciłem podczas aresztowania do wody.

— Chleb — odparłem.

Uśmiechnął się i kazał mnie zrewidować.

Nic takiego u mnie nie znaleziono, oprócz jeszcze jednego paszportu

— Czyj to jest? — pytał.

— Kuzyna mojego — wyjaśniłem — zapomniał o nim i zostawił u mnie. Znowu począł szukać, czy tego nazwiska nie ma na liście. Po przekonaniu się, że nie, zwrócił się do żołnierzy.

— Który z was podejmie się odprowadzić go do Ł. na „Feldpolizei”. To musi być dobry ptaszek. Tam mają fotografie i sprawdzą, co on za jeden.

— *Ich*<sup>202</sup>! — zaszalutował średniego wzrostu żołnierz.

— Dobrze — odparł komendant — możesz się szykować, tylko uważaj, gdy popróbuje uciekać, możesz go zabić, nic ci za to nie będzie.

Mówił po niemiecku i patrzył na mnie, jakie to wrażenie na mnie zrobi.

— Po co mi uciekać — zauważyłem — nie jestem żaden złodziej.

— Zobaczymy — odpowiedział i odszedł.

Za jakieś piętnaście minut stanął przede mną Niemiec w pełnym rynsztunku bojowym i pokazał mi pod sam nos karabin.

— Wiesz, co to jest?

— Karabin — odrzekłem.

— A to, wiesz co jest? — tu pokazał na medal na swojej piersi.

— Nie wiem.

— To jest medal za strzelanie, ja nigdy nie chybię, możesz uciekać. — Roześmiał się.

Żołnierze, obserwując nas, klepali go po ramieniu, śmiejąc się, a jeden żołnierz, widać Polak, odezwał się do mnie po polsku:

— Możesz uciekać i spróbować, czy Franc dobrze strzela — i mrugnął do mnie znacząco.

Ja doskonale zrozumiałem, że on by nie wiem co dał, abym zwił temu Niemcowi. Więc postanowiłem uciec, żeby się nie zawiódł na mnie.

Franc pod samym moim nosem ładował karabin, pokazując mi przy tym kule, i jeszcze raz mnie napomniął groźnie, że za najmniejszym ruchem zastrzeli mnie.

— Los! — zakomenderował i ruszyliśmy w drogę.

Żołnierze rzucili Francowi dwuznaczne słowa, żeby dobrze na mnie uważał. Muszę tu zaznaczyć, że „za Niemców” cywilnym nie wolno było przechodzić przez mosty od godziny dziesiątej wieczór do czwartej rano.

Przeszliśmy pierwszy most, gdzie żołnierz nas przepuścił, a następnie drugi most, po czym zmuszeni byliśmy z powodu błota na szosie iść z boku po ścieżce wydeptanej przez przechodniów. Niemiec od czasu do czasu przyświecał mi drogę lampką, trzymał się równo ze mną, tak że starał się ocierać o mnie. Wyczułem drżenie w jego głosie, kiedy po przekroczeniu drugiego mostu począł mnie wypytywać, skąd jestem i czy mam żonę lub narzeczoną. Pytał także, czy mam siostrę i czy ładną. Starłem się spokojnie mu odpowiadać. Mówił mi też, że na „Feldpolizei” tylko sprawdzą coś i zaraz mnie uwolnią.

Myślałem gorączkowo, jak mu tu „najechać”. Już pół drogi przeszliśmy i nic jeszcze nie postanowiłem. Wiedziałem o tym dobrze, słysząc na liście moje nazwisko z Niemiec, że gdy zajdę tam na „Feldpolizei”, jestem zgubiony.

Droga od Ł. do mostu jest sypana groblą na wysokość dwóch metrów, a w niektórych miejscach i więcej. Z obu stron w pewnej odległości od siebie stoją drzewa. Starłem się nieznacznie popchnąć go do brzegu, udając, że tu nie mogę iść w błocie.

Niemiec, nie orientując się zupełnie, do czego dążę, kazał mi przejść na drugą stronę do szosy, a sam szedł przy brzegu grobli. Serce mi biło tak gwałtownie, że poczułem

---

<sup>202</sup>*Ich* (niem.) — ja. [przypis edytorski]

głośno rozmawiać, by się nie zdradzić z myślami. Wtem niespodziewanie wymierzyłem mu z całej siły cios w twarz, tak że momentalnie potoczył się w dół i zacząłem uciekać, będąc pewnym, że tu po drodze nikogo już nie spotkam. Przy samym mieście dopiero zwolniłem kroku i podążyłem na jedną z „melin”, gdzie przespałem się do rana. Rano posłałem po Franię i kazałem sobie przynieść inny garnitur i palto, mówiąc jej, że muszę wyjechać na kilka dni.

Próbowała się dowiedzieć, co to ma wszystko znaczyć. Jednakże nic jej nie opowiadałem i wyjechałem tym razem do Wilna.

Dawno już nie filozofowałem. Nie wiem naprawdę, co jest ze mną, czuję to sam, że ostatnie moje rozdziały jakoś źle opisuję. Już od przeszło trzech miesięcy przestałem pisać swój pamiętnik, z którego przyznam szczerze, nie jestem zadowolony. Dręczy mnie trochę brak wymowy w języku polskim.

Wiem to i rozumiem, że teraz, żyjąc w samotności, w murach więziennych, przemyśliwując po raz setny swoją przeszłość, gdyż nic do roboty tu nie pozostaje, zawsze będę tu sam, a ze mną tylko moje zbrodnicze wspomnienia. Zdawało mi się, że mam pewną zdolność, o której do tego czasu nie pomyślałem, to jest, usiłowałem opisać historię mojego nędznego życia, które mnie kiedyś tak pociągało, a któremu nie umiałem się oprzeć. Teraz, gdy mam trzydzieści pięć lat, budzi się we mnie tylko wstręt do przeszłości. Sam nie traktuję swojej bazgraniny zupełnie poważnie. Wiem to z przekonania, że ludzie po długoletnim pobycie w więzieniu dziecinnieją lub wariują. Więzienie to kraj ludzi chorych na manię wielkości. Jeden sobie marzy w celi pojedynczej o zdjęciu gwiazdy z nieba, drugi obmyśla dokonanie jakiejś genialnej zbrodni po wyjściu na wolność.

Tu, w ciszy pojedynczej celi więziennej ma on czas, by po raz setny przemyśleć swoją przyszlą zbrodnię z matematyczną dokładnością, zanim jej dokona. Wszystkie rekordowe przestępstwa, dokonane wprost genialnie, są obmyślane starannie i szczegółowo w pojedynczej celi więziennej. Pojedynek jest matką zbrodni.

Tu też po dłuższym czasie staje się on filozofem, poetą, wynalazcą, artystą, a nareszcie idiotą lub „Kürtenem, upiorem z Düsseldorfu”.

Podlegając temu prawu, podczas pierwszego pobytu w pojedynczej celi już zacząłem pisać wiersze. Z braku jednak materiału piśmiennego, który był wówczas srogo wzbromiony dla więźniów drapałem wiersze na ścianie i uczyłem się ich na pamięć. Teraz, po kilkuletnim pobycie za kratami w pojedynczych celach, próbowałem niepewną ręką pisać nowele i powieści, oparte na materiale osobistych przeżyć. Nieraz spłodzę i wiersz niedołączny. No i nareszcie wziąłem się do napisania pamiętnika. Wątpię tylko, czy znajdzie dla niego chętnych czytelników.

Ale cóż mam robić?

To nie jest moja wina... Winna jest ta przeklęta jedynka. Ona to zrobiła ze mnie nieuleczalnego grafomana. Przyznam się szczerze, że zniszczyłem już kilka razy swoje nieszczęsne utwory, wszakże spokoju nie zaznałem, dopóki nie pozbierałem tych podartych arkuszy i nie zlepiłem, by je przepisać na nowo.

Nieraz bierze mnie chęć, by spalić i połamać materiały piśmienne. Wtedy to skupiam całą siłę woli, by tego nie uczynić, znając siebie, że nie przeżyłbym tej straty. Na przykład, z pamiętnika swego już przy końcu roku 1930 miałem napisanych trzydzieści rozdziałów na czysto i cóż? Popadłem w taki szalony moment, któremu nieomal każdy więzień ulega i podarłem to wszystko. Na razie poczułem jakby pewną ulgę, trwało to jednak zaledwie do wieczora, zbierałem na nowo strzępy papieru, by skleić i znów na nowo przepisać. Pracowałem następnie cały tydzień nad ułożeniem kawałków i nic mi z tego nie wyszło. Ze złości chciałem to już wyrzucić, jednakże znając i swoją słabą stronę, złożyłem starannie i zabrałem się na nowo do pracy.

Czy to nie są już pewne oznaki obłądzenia?

Otóż dziś, po trzymiesięcznej przerwie zabieram się znów do pisania. Na nic się nie zdało słowo, które dałem sobie, że raz na zawsze zerwę z grafomanią. Wmawiałem nawet sobie, że czuję wprost wstręt do pisania i że się wezmę lepiej do nauki i będę starał kształcić się w tym względzie, tak bezlitośnie zaniedbany przez zacofany cheder. Dłużej wszakże niż trzy miesiące nie wytrzymałem i zasiadam teraz znów z zapalem, by powiększyć napoczęte przeze mnie utwory grafomanii.

Zbrodnia



## LIII

Przyjechawszy do Wilna, postanowiłem trzymać się ostrożnie, nie zadawać się po pierwsze z kobietami i wystrzegać się policji. Miałem tu jednego znajomego po fachu, który zamieszkiwał na Zawalnej. Miał już markę wyrobioną. Zaraz też zostałem przyjęty do spółki. Jednakże tego zaszczytu odmówiłem. Mając pieniądze, chciałem trochę sobie odpocząć i prowadzić życie spokojne. Ale koledzy, czując u mnie pieniądze, nie dali mi spokoju i znów wciągnęli w różne pijatyki i awanturki z „kobietami”, których miałem w moim awanturniczym życiu wiele i o których nie myślę się rozpisywać. Jedna miłostka była podobna do drugiej i zawsze kończyła się tak samo... Do kobietek tej sfery, w której przebywałem, przystęp był łatwy, jak wejście do sklepu. Nawiązywałem do tego czasu przeważnie znajomości z kobietami z półświatka, nie stawiających oporu dla płacących. Więc po cóż tu opisywać rzeczy nie przynoszące nic nowego. O jednej tylko z tych kobiet jednak muszę tu wspomnieć.

Pewnego wieczora w hotelu, gdzie mieszkalem, numerowy dał mi do zrozumienia, że o ile mnie samemu się nudzi, to może mi przyprowadzić towarzyszkę i to bardzo ładną. Przystałem na to pod warunkiem, żeby to było coś nadzwyczajnego.

Za jakąś godzinę zapukano do moich drzwi.

— Wejść! — krzyknąłem w tonie wielkiego pana.

Słyszałem, jak drzwi się po cichu otworzyły i ktoś wszedł, ja jednak udawałem, że czytam książkę, nie patrząc wcale na wchodzącego. Za chwilę obojętnie podniosłem głowę. Przy piecu kafłowym ujrzałem młodą kobietę, obserwującą mnie bacznie. Po chwili, cicho i nieśmiało wymówiła:

— Czy to pan posłał po mnie?

— A kto panią tu sprowadził?

— Numerowy, proszę pana.

— Dobrze — odparłem. — Może się pani rozgościć jak u siebie.

Kobieta ze smutkiem patrzyła na mnie, aż żal mi się jej zrobiło i znów zapytała:

— Czy pan chce mnie na chwilę, czy też na całą noc?

Zarumieniła się przy tym. Musiała niedawno rozpocząć swój „fach”.

— Zobaczymy — odparłem — na razie może zjemy kolację.

Zawołałem na numerowego i zabraliśmy się do zjedzenia kolacji. Jadła z apetytem, przyznając mi się, że jest głodna. Zachęcałem ją do jedzenia i picia, za co dziękowała oczyma. Po kolacji nieśmiało prosiła, żebym powiedział, czy ma tu zostać i na jak długo.

— Czego pani tak śpieszy? — zapytałem.

— Bo widzi pan — odparła — nam wolno chodzić po ulicy tylko do dziesiątej, więc za godzinę już mi nie będzie wolno iść z powrotem do domu.

— Pani tu zostanie, o ile zechce, do rana.

— Dobrze — odparła zadowolona i zaczęła rozpuszczać piękne blond włosy, po czym posłała łóżko, obserwowałem ją. Była bardzo wytworna w ruchach i zacząłem wypytywać ją, jak długo się już puszcza i czy ma rodzinę. Zawsze lubiłem tego rodzaju kobiety wypytywać, by sobie wyrobić własny sąd, co je do tego doprowadziło, litowałem się bardzo nad nimi.

Dla tego rodzaju kobiet miałem zawsze dużo serca. Bywało, że nieraz oddawałem ostatnie pieniądze, aby ich nie skrzywdzić. Najczęściej, jak, przekonałem się, popychała je na tę drogę nieszczęśliwa miłość z winy mężczyzn i warunki społeczne.

Ta kobieta mogła mieć z górą lat dwadzieścia trzy i opowiadała mi, że na imię jej Jadzia i że jest córką fabrykanta, tam ją pracownik zwabił i zmusił do uległości, obiecując się z nią ożenić. Później ją bił i znęcał się nad nią, gdy upominała się o obietnicę. Przechodziła różne koleje, zanim zdecydowała się zostać „kontrolną”. Mówiła, że została dlatego kontrolną, aby mogła wychować dziecko, które miała i by nie była zmuszoną oddać się każdemu łobuzowi pod groźbą, że ją zamelduje.

— Teraz — mówiła — mogę zarobić dla mnie i córki, a wprawdzie robili mi „manifesty” jeden za drugim i często mnie pobili. Teraz boją się policji.

Słuchając jej, przykro mi się zrobiło i postanowiłem nie tknąć jej wcale. Przewróciłem się w łóżku zaraz twarzą do ściany, by zasnąć. Za chwilę odwróciłem głowę, by zobaczyć, co ona robi, zauważyłem, że płacze. Przekręciłem się i spytałem:

— Dlaczego pani płacze?

Nie odpowiedziała, tylko przytuliła się do mnie. — Pan taki młody i taki dobry dla mnie — mówiła.

Chciałem ją delikatnie odsunąć, gdyż żądza zaczęła mnie opanowywać i myślałem, że jej tym sprawię przykrość... Przycisnęła się do mnie bardziej.

— Czy pan gardzi mną? — spytała cicho, urywanym głosem.

— Nie gardzę, bardzo ładna jesteś — odparłem — tylko nie chcę ci przykrości robić.

— Takiego jak pan, ach, chciałabym całe życie mieć — odparła i sam nie wiem jak to się stało, że zwarłem się z nią w uścisku miłosnym.

Rano prosiła mnie, abym ją odprowadził do domu i zjadł u niej w domu śniadanie.

Zgodziłem się i wyszliśmy z hotelu, by się udać do jej mieszkania. Mieszkała za zielonym mostem, dosyć przyzwoicie, w dwóch pokojach i kuchni. Prosiła, bym usiadł, po czym z sypialnego pokoju wprowadziła małą, pięcioletnią dziewczynkę, była to jej córeczka, owoc pierwszej miłości... Dziecko było nad wiek rozwinięte fizycznie i umysłowo. Dziewczynka widać zwykła widzieć tu często obcych mężczyzn, zaraz wdrapała mi się na kolana i zadawała różne pytania, po czym zwróciła się do matki, która w lustrze poprawiała sobie włosy.

— Mama, czy dziś idziesz do kontroli? Bo ja też pójdę.

— Cicho mi bądź — odparła matka.

Ta jednak dziecięcym głosem wołała dalej:

— Ja sobie też podmyję i zrobię zastrzyk — szczebiotała sama do siebie.

Matka, widząc moje zdziwienie, tłumaczyła mi, że tu mieszkają jeszcze dwie jej koleżanki, również kontrolne, więc dziecko, słysząc często te rozmowy, powtarza je, nie rozumiejąc ich znaczenia.

Pomyślałem, że cud wielki będzie, gdy ta dziewczyna, wychowana w tym środowisku, wytrzyma w cnocie do lat dziesięciu. Zauważyłem też, że jest za śmiała jak na jej wiek. Za chwilę przyszły wspomniane koleżanki z nocnego połowu, obie sublokatorki weszły z głośnym śmiechem, a gdy mnie ujrzały z dziewczynką na kolanach, stropiły się, patrząc pytająco na Jadzię. Ta im tłumaczyła, że jestem jej przyjacielem i zaznajomiła mnie z nimi.

Podano zaraz śniadanie i w towarzystwie trzech kobiet i małej dziewczynki zasiedliśmy do jedzenia. Przy jedzeniu jedna z nich zaczęła opowiadać, jak spędziła noc w hotelu, nie krępując się wcale moją obecnością, widać uznała mnie za swojego.

— Co ty powiesz, Jadziu, pierwszy raz trafia mi się taki frajer, że nie chciał wcale... tylko mnie namawiał, że mi zrobi po „francusku”. Dałam się namówić. Wiesz, że frajer potrafił mnie tak rozdrażnić, że dobrze mnie przy tym zmordował. Doprawdy nigdy nie uwierzyłabym, że to sprawia tyle przyjemności. Zaproponował mi też, żebym dała się psu, w podobny sposób, a on będzie na to patrzył. Tego to już nie chciałam spróbować, pomimo że dobrze płacił.

— Ha! Ha! — wybuchnęła śmiechem — ci mężczyźni mają czasami dziwne gusta!

Małe dziecko słyszało wszystko.

Drugą koleżanką zaczęła jej uwagę zwracać, że nie należy przy obcym mężczyźnie opowiadać podobnych głupstw. Mówiła to, patrząc na mnie.

— Mnie to obojętnie — odparłem — są rozmaite zboczenia na świecie, a ludzi chorych nie ma co brać pod uwagę i traktować tak jak wszystkich mężczyzn.

— Masz rację — odparła Jadzia. — Przeważnie są to ludzie chorzy, a o ile chcesz, to ci opowiem, co mnie się raz zdarzyło.

— Chętnie słucham — odparłem.

— Pan lubi takie opowiadania, co? — śmiała się ta sama, co opowiadała o mężczyźnie, a na imię jej było, jak się później dowiedziałem, „Władka z dużymi cyckami”. — To działa na zmysły — dodała. — Jadzia, opowiedz nam, będzie on miał lepszy apetyt do ciebie — i znów śmiała się.

— Przystań już klepać, co ci na język przyjdzie — odparła Jadzia i zaczęła opowiadać.

— Pewnego wieczora w kilka dni po otrzymaniu „książki”<sup>203</sup>, na rogu jak zwykle, spacerując tam i z powrotem, szukając sobie zarobku zauważyłam, że za mną krok w krok

<sup>203</sup>otrzymanie książki — chodzi o kartę badań kontrolnych, które musiały odbywać zarejestrowane prostytutki. [przypis edytorski]

idzie jakiś mężczyzna elegancko ubrany. Obejrzałam się parę razy w jego stronę, uśmiechając się, by mu dać do zrozumienia i ośmielić go. Ten nie dał po sobie poznać, tylko kroczył uparcie dalej za mną. Nareszcie mnie to już zgniewało i zwróciłam się do niego z pytaniem, dlaczego tak uparcie mnie śledzi, po co za mną tak chodzi i czego sobie życzy. Staął przy mnie, kłaniając mi się za każdym słowem, i niezrozumiale przeproszał mnie. Zaczęłam mu tłumaczyć, że może śmiało ze mną mówić i przedstawić, czego chce. Wówczas uklonił mi się do samej ziemi, mówiąc mi takie komplementy, jakich nigdy jeszcze od nikogo nie słyszałam. Pomyślałam, że jest to człowiek nie z naszej sfery. Jak wiadomo, mężczyzna z naszej sfery z takimi kobietami jak my nie robi żadnej „ceremonii” i od razu przystępuje do rzeczy. Ale z elegantem to rzecz inna, trzeba z nimi ostrożnie, trzeba wysłuchać wpiery kupę komplementów i zachwyty, zanim półsłówkami daje do zrozumienia, o co mu chodzi. Ten tak samo, po dłuższej wspólnej przechadzce zaproponował mi dopiero, abym na drugi dzień o godzinie dziesiątej w nocy przybyła do jego domu na ulicę D... pod nr X, gdzie mieszka i tam ma do mnie pewien interes. Wyjął przy tym dwadzieścia pięć rubli, mówiąc: „Niech pani będzie tak łaskawa na razie to przyjąć, a jak pani dotrzyma słowa, to jeszcze trzy takie banknoty dopłacę”. Obiecałam mu, że na pewno przyjdę. Sto rubli nie chodzi piechotą, pomyślałam i akurat to było na samym początku, jak się puściłam i potrzebne mi były pieniądze.

Na drugi dzień wieczorem o umówionej godzinie przyszedłam do niego. Drzwi otworzył mi ten sam jegomość, ubrany był cały na czarno. Wziął mnie zaraz od progu pod ramię i poważnym krokiem przywiódł mnie przez poczekalny pokój, pchnął potem drzwi do bocznego pokoju i zaraz na progu stanęłam przerażona. Cały pokój był również ubrany na czarno, nawet umeblowanie. Na środku stał stół, okryty na czarno, a na nim stała wielkiego rozmiaru trumna. Nad stołem zwieszały się dwa pałaki z płomiennymi świecami, a w węzłowi trumny stały też dwa lichtarze z zapalonymi świecami. On, widząc moje wahanie i przerażenie, objaśnił mi błagalnym przerywanym głosem:

— Proszę się nie obawiać, nic złego nie myślę pani tu uczynić i nic się pani tu nie stanie. Widzi pani — tu zniżył głos, żem go ledwie zrozumiała — ten obraz kobiety wiszący naprzeciw trumny, to była moja ukochana żona, z którą żyłem zaledwie pięć miesięcy i umarła. Pani ma pewne podobieństwo do zmarłej. Za podobizną taką już od dłuższego czasu się uganiałem, ale zawsze było to daremne, aż nareszcie panią znalazłem. Błagam panią, aby pani się rozebrała zupełnie do naga i położyła w trumnie, tam jest wyścielone bardzo wygodnie i... wtedy wyobraź sobie, że mam stosunek z nią. Niech pani mi tego nie odmówi, błagam, zlituj się pani nade mną, wiele pani tylko zechce, zapłacę i proszę mi zupełnie zaufać.

Widząc, że faktycznie mi nic złego tu nie grozi, zgodziłam się pod warunkiem, że tylko jeden raz... Nie zdążyłam przekroczyć progu do tego żałobnego pokoju, jak mnie uchwycił uradowany i wniósł delikatnie do tego pokoju, posadził na kanapę, a następnie pomógł mi się rozebrać. Przy zdjęciu pantofli obsypywał mi nogi namiętymi całusami, że mnie aż wstyd było. Gdy już byłam na pół naga, podał mi jedwabną, krótką koszulkę, prosząc, abym to na siebie włożyła, po czym uchwycił mnie wpół, czego mu nie broniałam i złożył w trumnę. Strach mnie ogarnął, gdy się do mnie zbliżył. Twarz jego wykrzywiła się z namiętności. Podczas aktu miłosnego wciąż mnie całował. Czułam już obrzydzenie, a zarazem litość do tego człowieka. Ten musiał naprawdę kochać swoją żonę aż do obłędu...

Tu zamyśliła się chwilę, patrząc w dal. Słuchaliśmy jej dziwnego opowiadania z zainteresowaniem, a słuchaczka przewzana „Władką z dużymi cyckami”, podrażniona tym opowiadaniem, pierwsza przerwała milczenie i nagle zawołała:

— No, dokończ, co się z tobą dalej stało?

Jadzia, jakby przebudzona ze snu, spoglądała na nas, jakby dopiero co zobaczyła nas i po ciężkim westchnieniu odparła:

— Co się miało stać ze mną? Nic złego on mi tam nie zrobił. Odprowadził mnie potem do drzwi z honorami, prosząc, abym raz na miesiąc go odwiedzała, co też przez czas jakiś chętnie czyniłam. Zarobek od dziwnego człowieka dał mi możliwość wyżywienia i nie potrzebowałam wychodzić na róg ulicy.

Aż pewnego dnia z wieczora, gdy tam przybyłam, ujrzałam przed jego domem grupkę ludzi, rozpowiadali coś między sobą półgłosem. Coś mnie tknęło i poczęłam się dopytywać, co tu takiego zaszło. Dopiero dowiedziałam się, że on tegoż dnia po obiedzie

zastrzelił się, co było do przewidzenia. Zaraz też zawróciłam do domu, obawiając się jakiegoś śledztwa. Nikt jednak o mnie nie myślał.

— Tak — dodała — straciłam dobrego gościa, sto rubli to nie żart, no i był bardzo dobry dla mnie, robił mi różne podarki — zakończyła, uśmiechając się smętnie.

Teraz nastąpiły stawiane przez obie koleżanki pytania i uwagi.

— Wiele razy tam byłaś? — spytała Władka.

— Pięć razy wszystkiego.

— Stary to był człowiek? — pytała druga.

— Nie tak stary — odparła Jadzia — mógł mieć lat czterdzieści z górą.

— A co on był za jeden? — dopytywała się Władka. — Czy też był bogaty?

— Tego nie wiem — powiedziała. — Ale ładnie mieszkał, miał lokaja, więc musiał być i bogaty, mówił mi też, że jest wojskowym i na lato miał wyjechać na Kaukaz do swoich dóbr.

— O! O, żeby on był biedny — odparła Władzia — nie chciałoby mu się takich wariackich wybryków i nie płaciłby po sto rubli naraz. Ja bym chciała takiego frajera złapać, co tak hojnie płaci — dodała, trącając mnie przy tym kolaniem.

Trzecia koleżanka, już nie pierwszej młodości, bardzo skromna na wygląd, też chciała coś o sobie opowiedzieć ciekawego i już otworzyła usta. Wtem dało się słyszeć silne pukanie w drzwi frontowego pokoju. Wszyscy spojrzeliśmy po sobie. Władka skoczyła, by tam otworzyć. Zanim jednak otworzyła, spytała wprawdzie, kto to śmiał nam przerwać przyjemne pogadanki.

— Policja — brzmiała odpowiedź, która od razu mnie poderwała z miejsca.

Jadzia spojrzała na mnie przestraszona, widząc, jakie te słowa zrobiły na mnie wrażenie. Nie zdążyłem się zorientować, co mam czynić, gdy wtem do pokoju wpadło kilku mężczyzn, jeden za drugim, z wielkim hałasem.

— Jeden tu już jest — krzyknął barczysty agent do towarzyszy.

— Ręce do góry i ani rusz! — krzyknęło do mnie kilku naraz, a dwóch skierowało lufy rewolwerów w moją stronę.

Zaraz mi jeden agent zrewidował kieszenie. Kobiety stały wylęknione tym nagłym przybyciem policji, nie śmiały się ruszyć z miejsca.

Policja przeprowadziła rewizję we wszystkich pokojach. Ja zaś znalazłem się tu bardzo głupio. Po pierwsze nie wiedziałem, czy to właśnie mnie poszukują, po drugie myślałem, że może wpadłem zbiegiem okoliczności w jakąś paskudną sprawę, której skutki zwykle stają się gorsze niż za czyny popełnione.

Tak myśląc, chciałem wyczytać w tych marsowych twarzach, jak daleko i o co mnie tu posadzają. Wtem nagle jeden agent krzyknął z drugiego pokoju:

— Mam to, co szukałem!

Na te słowa zdębiałem i spojrzałem w tę stronę. Agent trzymał w ręku jakąś flaszkę, obwąchał, po czym podawał ją z ręki do ręki i wszyscy agenci to samo uczynili.

Nic już z tego nie rozumiałem.

— No, kawalerze — zawołał agent — prosimy z nami.

Drugi agent znów bez słowa założył mi łańcuszki na ręce.

— Panowie, o co tu chodzi? — zawołałem.

— Dowiesz się później — odparł agent.

— Nie bądź taki ciekawy — dodał drugi rosły agent, który uporał się z Jadzią, nie dając jej wyjść za nami.

Po drodze rozważałem swoje położenie, robiąc rachunek sumienia. Nic takiego jeszcze na bruku tutejszym nie popełniłem. Przed nikim też słowem jednym nie zdradziłem się o mojej ucieczce i smutnej przeszłości.

Więc co to być może, myślałam i co ta flaszką ma znaczyć? Daremnie próbowałem zrozumieć, co tu zaszło, wszak jedno tylko rozumiałem, że o ile zaczną poszukiwać, kim właściwie jestem, będę wtedy zgubiony. Wtem cały orszak zatrzymał się przy jakimś sklepie i za chwilę wprowadzono mnie, a widząc tam dziurę w suficie, wszystko zrozumiałem.

Wkrótce przybył właściciel, obejrzał mnie uważnie, a jeden z agentów spytał go:

— Czy pan tego ptaszka widział kiedy? Przypatrz mu się pan dobrze.

— Nie, nigdy tego człowieka na oczy nie widziałem.

— Zobacz no pan tę flaszkę — zawołał agent.

Właściciel obejrzał podaną mu flaszkę na wszystkie strony i odparł:

— Takie wino co prawda jest u mnie, ale tak samo i w innych firmach można takowe nabyć.

Agent mu przerwał.

— Ta flaszka pochodzi z pańskiego interesu, a to jest bez wątpienia ten złodziej, co pana dziś w nocy okradł. Zastaliśmy go w dobrym miejscu, gdzie z pewnością całą noc pili, a przez zapomnienie zostawili tę jedną tylko flaszkę.

Jadzia, pomimo zakazu policji, przybyła tu za mną i słysząc to, poczęła krzyczeć, żem nie winien i że ona wskaże tego człowieka, który dwa dni temu tam przyniósł tę flaszkę wina i że jeśli o to chodzi, wskaże, gdzie ja byłem całą noc.

Słyszając jej obronę, uśmiechnąłem się do niej, uspokajając ją, że mnie się nic nie stanie, bo nie jestem tym, za którego policja mnie bierze. Starąłem się to wymówić jak najspokojniej i naprawdę teraz byłem już pewny siebie.

Za chwilę policja, widząc, że poszkodowany nie chce kłamać i wyrzecz na mnie zemsty za swoją stratę, której było, jak sam mówił, na kilkanaście tysięcy marek, zaprowadziła mnie na posterunek. Tam zrewidowano mnie powtórnie i mieli już, jak widziałem, ochotę brać mnie w „ogień krzyżowych pytań”, gdy wtem weszła Jadzia z numerowym hotelu, gdzie oboje nocowaliśmy. Ten doręczył komisarzowi książkę meldunkową. Komisarz, Niemiec, zwrócił się z pytaniem:

— Która godzina mogła być, gdy ten oto człowiek przyszedł do numeru i o której go opuścił? Proszę mi dokładnie powiedzieć, czy nie mógł wychodzić wśród nocy z hotelu, a nad ranem dopiero niepostrzeżenie wrócić.

— Nigdy! — odparł numerowy. — Ja mam swoją dyżurkę przy samych drzwiach i nikt bez mojej wiedzy nie może ani wejść, ani wyjść z hotelu.

Komisarz, widząc, że ofiara mu się wyslizguje z rąk, zaczął z innej beczki.

— Skąd właściwie jesteś? — zawołał.

— Z Warszawy, proszę pana — odpowiedziałem — proszę się przekonać w paszporcie, który mi tu zabrano.

Rzucił na mnie chytre spojrzenie i wypytywał mnie, jak się nazywam, ile mam lat, jak rodzice moi się nazywają itd. Patrzył przy tym w paszport, który trzymał w ręku i dalej zapytał:

— Co wy tu jednak robicie w tym mieście i po co tu przyjechaliście?

— Mam tu stryja i do niego właśnie przyjechałem.

— Na której ulicy ten stryj mieszka i jak się nazywa?

— Mieszkał kiedyś przy ulicy Wielkiej Stefańskiej, a teraz jest w Rosji, o czym wczoraj dopiero się przekonałem.

— Więc go tu nie ma w Wilnie — zauważył, przy tym patrzył na mnie podejrzliwie.

— Nie, nie ma go już dawno, wyjechał razem z Rosjanami.

— Skąd wy znacie tę kobietę, co z wami nocowała w hotelu?

— Nie znałem jej, tylko przypadkowo na ulicy zapoznałem ją.

— Aha, a jak ja was teraz zwolnię, dokąd się udacie?

— Pojadę do domu, nie mam tu nic do roboty, o ile stryja nie zastałem.

— Skąd macie ten sygnet i zegarek? — zawołał, pokazując na stole moją własność.

— Jak to skąd — udawałem zdumienie. — Mam to jeszcze od lat przedwojennych, ojciec mi kupił w Rosji.

Widziałem, jak komisarzowi oczy się świeciły do tych rzeczy, a wiedziałem z doświadczenia, że gdy Niemcom dostał się jaki złoty przedmiot w łapy, to już było ciężko go z powrotem wydostać.

Obawiając się, żeby przez ten zegarek i pierścionek mnie tu nie zatrzymał, dodałem:

— Pan komisarz może go zatrzymać i sprawdzić, ja mam na to świadków, że to jest moja własność.

Komisarz zamyślił się chwilę i powiedział:

— Więc dobrze, zwalniam was, a za trzy dni przyjdziecie po paszport i te rzeczy.

Zanotował nazwiska osób, które miały zaświadczyć, że to moja własność. Nazwiska podałem, jakie mi na myśl przyszły. Wołałem stracić rzeczy niż wolność. Potem w towarzystwie Jadzi opuściłem komisariat.

Jeden dzień bawiłem jeszcze u Jadzi, którą z żalem musiałem pożegnać i wyjechałem z powrotem do Ł.

## LIV

Dwa tygodnie zaledwie upłynęło od mego wyjazdu z Ł., a zmuszony byłem wrócić. Wraciałem tu nie bez obawy przed policją. Myśl, że czeka tam na mnie zmysłowa miłość Frani, pociągnęła mnie tam. Nie zwracałem uwagi na dręczące mnie przecucie, że zbliżam się prędkim krokiem do zguby. Ale dokąd to mężczyzna nie podąży, gdy kobieta opanuje zupełnie jego zmysły. Przecucie mnie nie zawiodło, o czym czytelnik się przekona.

Przyjechałem do Ł. wieczorem, w połowie kwietnia 1918 roku, więc wiosną. Jednakże w mojej duszy była zupełna zima. Na to składało się kilka przyczyn. Myślałem o tym, jak Frania mnie przyjmie. Dręczyła mnie też zazdrość. Znając jej usposobienie do mężczyzn, domyślałem się, że przez te dwa tygodnie na pewno nie próżnowała... Najglówniejszą zaś przyczyną mojego smutku było to, że byłem niemal ogolony z kosztowności i z forsy. Cały mój kapitał po hojnym obdarzeniu Jadzi stanowiło dwadzieścia marek.

Wiedziałem, że Frania, widząc mnie teraz po tak długim czasie, pomyśli, że zrobiłem jakąś tłustą robotę. Będzie sypać kaprysy jeden za drugim, domagając się nad to pieniędzy. Jednym słowem z ciężkim sercem szedłem do swojej kochanej.

Zaraz też od progu zostałem przyjęty przez teściów z otwartymi rękoma. Za chwilę wyszła na moje przywitanie i Frania, przyjęła mnie bardzo życzliwie, wszakże zdziwiło mnie, że nie pociąga od razu do swego pokoju, skąd wyszła. Na pewno tam ma kogoś, pomyślałem, ale widząc jej spokojną twarz, uspokoiłem się trochę, nie odwracając jednak wzroku od drzwi jej pokoju.

Zadawała mi różne pytania, po czym pociągnęła mnie za sobą do swego pokoju. Oburziliem ciekawym wzrokiem to gniazdko, a mój bystry wzrok spostrzegł kilka szczegółów, co zazdrosnemu kochankowi dało dużo do myślenia. Najwięcej niepokoiło mnie uchylone nieznacznie okno, które wychodziło do ogrodu i wazon zestawiony na podłogę. Pomyślałem, że pewnie, gdy mnie tu usłyszała, wypuściła amanta tym oknem, to było powodem, że starała się mnie w kuchni zatrzymać.

Frانيا widać domyśliła się mego podejrzenia, przytuliwszy się do mnie zawołała:

— Co jesteś taki smutny? Już dawno nie śpiewałam, moje kochanie, może cię rozweselić? — Zdjęła gitarę, usiadła mi na kolanach i poczęła śpiewać miłosne piosenki.

Odpychając ją nagle od siebie, zawołałem:

— Kto tu był u ciebie przed chwilą? Powiedz prawdę, bo zapomniałaś okno zamknąć i wazon na miejsce postawić — tu pokazałem palcem na wazon i okno, przy czym przybliżyłem się i spostrzegłem wyraźne ślady, że ktoś przed chwilą tędy wyszedł.

Frانيا stała chwilę nieruchoma jak posąg, a w jej oczach zabłyśły jakieś ogniki. O! Dobrze znałem ten wzrok, nieraz go spostrzegłem u kobiet występnych. Po chwili zbliżyła się do mnie tak, że cofnąłem się. Powiedziała cynicznie:

— Co ty, mój kochany, myślisz? Sądzisz, że jak ciebie przy mnie nie ma, to moja krew zmienia się w wodę? O, nie! Ja już na początku naszej znajomości mówiłam, że muszę mieć takiego kochanka, co na każde zawołanie będzie przy mnie... A ty coś robił? Nagle wyjechałeś sobie, nie mówiąc nawet, gdzie i po co. Kto wiedział, że ty do mnie jeszcze wrócisz? Myślałam — dodała szyderczo — że ty mnie zamieniłeś na tę parszywą fryzjerkę.

Tu chciałem jej przerwać, ale nie dała mi zaprzeczyć i ciągnęła dalej:

— Nie myśl, mój kochany, że ja nie wiem, iż ty z nią byłeś. Właśnie jej mąż wie też o tym i zaprzysiągł, że się na tobie zemści. Ona, bezwstydną Żydówką i do tego matka, nie wstydziła się pod moim oknem kilka razy podglądać, czy ciebie tu nie ma. Więc, mój kochany, gdy ja byłam przy tobie, zdradziłeś mnie. Dlaczego więc mnie, gdy ciebie nie było tu wcale, nie wolno było cię zdradzić? Pięknym za nadobne płacę, mój kochany. Po chwili namysłu dodała: — Na pewno przez te dwa tygodnie nie próżnowałeś, o znam cię dobrze pod tym względem. Opowiedz mi, jestem ciekawa, czy choć ta kobieta, z którą tam używałeś, była ładniejsza i mniej kosztowna ode mnie — zakończyła cynicznie.

Słuchając jej przemowy i wyrzutów, jakie mi czyniła, pomyślałem, że ona ma rację i nic nie mam na swoje usprawiedliwienie. Nie chcąc jednakże jej przyznać racji, jak

to zwykle czynią mężczyźni, myśląc, że mają prawo to robić, czego kobiecie stanowczo zabraniają, nazywając to zdradą, powiedziałem:

— Nie mam wcale zamiaru przed tobą spowiadać się ze swoich uczynków, ale ty też nie potrzebujesz tak otwarcie postępować ze mną i robić, co ci twój kaprys wskaże, to do niczego dobrego nie doprowadzi... — zdaje mi się, że te ostatnie słowa rzuciłem wtedy jako groźbę.

Frania na te słowa zerwała się z krzesła, na którym siedziała w kuszającej pozie i, wymachując przede mną gitarą pod samym nosem, odparowała:

— Wynoś mi się stąd. Tak, ja mam kochanka. Mam ich aż trzech w zapasie, jak wiesz, zmiana nigdy nie zaszkodzi. Gwiżdżę na ciebie, możesz iść do tej swojej fryzjerki. No już, marsz! — krzyknęła, wskazując mi, niestety, drzwi.

Chciałem jej dać do zrozumienia, że ona więcej razy chodziła do tej fryzjerki, która, jak wspomniałem, była akuszerką, co „psuła”. Ale widząc jej zdecydowaną postawę, że gotowa jest mnie naprawdę wypędzić, dałem spokój, a nie chcąc jej więcej rozdrażniać, spuściłem trochę z tonu i przybrałem minę zakochanego, co jest gotów wszystko przebaczyć.

— Frania — rzekłem z wyrzutem. — Ty naprawdę mnie wyganiaasz? Uspokój się, ty wiesz, że przeze mnie mówi tylko zazdrość.

— Tak, to ja rozumiem — zawołała rozpromieniona. — Lubię zazdrosnych kochanków.

Roześmiała się tak, jak to ona tylko potrafiła i wyciągnęła do mnie obie ręce. Za chwilę akt zgody został przypieczętowany wspólną kolacją, a potem wspólnym łóżem... Rano, po całonocnych wylewach miłosnych, zupełnie oprzytomniałem. Frania przede wszystkim ostrzegła mnie, że agent B. parę razy się o mnie dopytywał i wspomniała, żebym był ostrożny. Prosiła też o dwieście rubli, które musi mieć na różne wydatki, a także zapraszała mnie, abym wieczorem szedł z nią do kina.

Frania była miłośniczką kina, teatru, a nawet marzyła kiedyś, aby zostać artystką filmową, co zdaje się nigdy nie miało się sprawdzić.

— Dobrze — odpowiedziałem — pieniądze dostaniesz dopiero po obiedzie, a do kina pójde, o ile nie wyjadę dziś na „robotę”.

— Co, znów „robota”? Wczoraj dopiero przyjechałeś, a pewno miałeś tam dobrą robotę, że aż trwała ona dwa tygodnie... — tu uśmiechnęła się ironicznie i ciągnęła dalej: — Znów chcesz mnie opuścić, ty naprawdę stajesz się nieznośny, będę musiała rzeczywiście postarać się o innego kochanka, który nie będzie miał tyle do roboty co ty.

— Widzisz, Frania — próbowałem jej wytłumaczyć — w naszym fachu nie zawsze robota nam się udaje, to nie jest pewien sklep. Właśnie ta robota, te dwa tygodnie, nie udała się, a nawet dużo tam straciłem.

— Tak — rzekła chłodno — więc ty nie masz „forsy”, a ja myślałem, że ty przybywasz do mnie bogaty i że będę mogła kupić, co mi jest potrzebne.

— Mówiłem, ci, że dostaniesz dziś pieniądze, więc o co ci jeszcze chodzi? Jak widzę, to tęskniłaś bardziej do mojego portfela niż do mnie.

— Jakbyś zgadł — zawołała — bo widzisz, mój kochany, gdy mężczyzna ma pieniądze, to kobieta go zawsze lepiej kocha niż gdy ich nie ma. Po chwili dodała filozoficzną uwagę: — Samą miłością przecież nie można żyć, trzeba do tego jeszcze coś więcej, aby egzystować.

— Masz zupełną rację, moja kochana — przyznałem. — Nie wiedziałem, że ty tak praktycznie zapatrujesz się na życie, a ja w zupełności popieram twoje zdanie. Więc na razie ubierajmy się, bo zaraz południe.

Przy tych słowach wyskoczyłem z łóżka i zacząłem się ubierać. Frania obserwowała mnie przy ubieraniu się, a gdy już stanąłem gotowy do wyjścia, zawołała:

— No, kiedy wrócisz? Wpierw nie ubiorę się, zanim forsy nie otrzymam. — Po chwili dorzuciła: — Tylko nie zabłądź czasami do tej twojej Żydówki, możesz się golić gdzie indziej — zakończyła ironicznie.

— Bądź o to spokojna — odparłem — już z nią nic więcej nie będę miał.

— Aha! — krzyknęła wesoło — mam cię. Ty sam mówisz, że nic już więcej nie będziesz miał z nią, znaczy to, że coś z nią w pierw miałeś. Sam wyklepałeś się, dotychczas doprawdy były to tylko z mojej strony domysły.

Śmiałem się z jej uwagi.

— No, już idę — rzekłem — bądź zdrowa.

— A nie pocałujesz mnie na fant? — spytała i nadstawiła różowy policzek z tymi słowami: — Kochasz ty Franię, to pocałuj ją tu — przy czym paluszką wskazała mi miejsce, gdzie mam ucałować.

Wykonałem i ten nie pierwszy już jej kaprys i zabierałem się do wyjścia. Do moich uszu doleciały jeszcze słowa jej matki:

— Niech pan przyjdzie prędzej na obiad.

— Dobrze, dobrze — powiedziałem i wyszedłem.

Na dworze już było ciepło, a wiosna obudziła się zupełnie, wchłaniałem w siebie świeże powietrze po spędzonej nocy w dusznym pokoju kochanki, gdzie oddychałem powietrzem przesyconym tanimi perfumami i innymi rzeczami o specyficznych zapachach kobiecych. Czułem się prawie dobrze, gdybym jeszcze miał forszę i mógł te obiecane dwieście rubli dać Frani! Szedłem tak zatopiony w myślach w kierunku Rybaków.

Rybaki to długa ulica nad samą Narwią. Tam w pewnym domu u pasera spodziewałem się otrzymać tę sumę i zarazem zobaczyć się ze współnikami, których spodziewałem się u niego zastać.

Paser przyjął mnie życzliwie, dopytując się, gdzie się tak długo chowałem i że współnicy niepokoili się o mnie, nie wiedząc, co się ze mną stało. Mówił mi też, że zaraz usłyszeli o historii z tym żołnierzem, który został rzucony w przepaść przez uciekającego, a który nieomal tam zmarł. Opowiadał mi, że dopiero po jakichś dwóch godzinach zauważono na posterunku, że go jeszcze nie ma z powrotem, komendant wysłał dwóch żołnierzy na poszukiwanie, ci usłyszeli jęki dochodzące z dołu, z którego go zaraz wydobyto. Był tak potłuczony o karcz<sup>204</sup>, które tam rosły, że musiano go odesłać do szpitala, współnicy, słysząc o tym, zaraz się domyślili, że to twoja robota, ale nikt nie wiedział, gdzie jesteś. Rano aresztowano każdego, kto tylko wpadł pod rękę, ale na nic to się nie przydało.

— Radzę ci ostrożnie kręcić się po mieście, bo który z Niemców może cię poznać — zakończył.

Zaraz też jego żona postawiła poczęstunek, a chłopca wysłano dla ostrożności na zwady, czy z policji ktoś nie kręci się w pobliżu domu.

— Może masz co dla mnie? — nagle zapytał paser.

— Nic, nic na razie nie mam, a nawet chciałem od ciebie pożyczkę zaciągnąć, dziś, jutro zarobię, to ci oddam.

— Dobrze, wiele ty tak potrzebujesz?

— Niedużo, dwieście rubli.

Paser zamyślił się.

— Dobrze — rzekł po chwili — dostaniesz je, a nawet jeśli więcej potrzebujesz, to też dostaniesz, tylko mam do ciebie *fein*<sup>205</sup> interes i dobrze zarobisz — dodał, głaszcząc pieszczotliwie swoją rudą brodę.

— Jaki to interes, mów, bo jestem goły.

Paser chwilę zawahał się, a potem zapytał:

— Znasz ty tego parcha „*meszumed*”<sup>206</sup> Joska, który zrobił się też paserem i krzywdzi złodziei, zabierając wszystko za pół darmo? Ten cholernik mi żyć nie daje, ja muszę go nauczyć rozumu. Mnie, staremu paserowi, taki smarkacz zabiera wszystkie dobre interesy pod nosem.

Patrzyłem na niego, nie rozumiejąc, do czego zmierza, ale zrozumiałem, że ten jego interes polega coś na zemście. Więc nie przerywałem mu, czekając końca, widząc, że się waha od razu wyjaśnić, o co mu chodzi. Po chwili milczenia ciągnął dalej:

— Ja obmyślałem taki figiel na niego, że on się z rozumu nie „połapi” — tu zbliżył się do mnie ze swoim krzesłem i spytał — wiesz, co to ma być za figiel?

— Nie, nie wiem, a skąd bym miał o tym wiedzieć?

— No to słuchaj, ja tobie dam do ręki trochę „szmuku” na ładną sumę, tak żeby on się do tego zapalił, ty pójdziesz do niego i powiesz, że to jest kradzione i możesz jemu to sprzedać, bo ze mną nie chcesz więcej nic mieć. Staraj się jak najwięcej forsy od niego

<sup>204</sup>karcz — pniak pozostały po wycięciu drzewa. [przypis edytorski]

<sup>205</sup>*fein* (jid.) — fajny. [przypis edytorski]

<sup>206</sup>*meszumed* (hebr.) — przechrzta. [przypis edytorski]



wyciągnąć, a za drzwiami będzie stał mój „blatny”<sup>207</sup> Niemiec z rewolwerem, gdy ty już będziesz miał pieniądze w rękę, ten wejdzie i zaaresztuje was. A resztę już rozumiesz?

— Nie, nie rozumiem — odparłem.

— Widzę, mój kochany, że ty już ogłupiałeś, że nie domyślasz się reszty. Więc wyłóż ci już wszystko na talerz. Gdy Niemiec was zaaresztuje, to zaczynaj prosić Niemca i mów, że te pieniądze i biżuteria jest twoja, a Jasek nie chciał od ciebie tego kupić, prosz, żeby jego nie aresztował. Jasek też zobaczy, że wpadł i będzie się bał aresztowania, więc też tak samo powie. Niemiec będzie udawał, że chce was koniecznie zaaresztować, wtedy on na pewno jeszcze i „blatu” Niemcowi da. Teraz rozumiesz?

— Tak, rozumiem, ale to mi się zupełnie nie podoba. Dla złodzieja nie jest to czysta robota, szukaj kogo innego.

Paser zerwał się z miejsca.

— To u ciebie nieczysta robota? — zawołał. — Ja tobie daję chleb i nóż do ręki, nie chcę z tego grosza mieć, aby tylko ten parch pieniądze postradał i abym ja się mógł później z tego śmiać, doprawdy, tyś już ogłupiał, jeśli nie chcesz tego dokonać.

Po namyśle zgodziłem się, a paser zadowolony dał mi dwieście rubli. Posłał też żonę swoją zawiadomić dwóch współników, że będą mogli zobaczyć się ze mną u niego.

Frania dotrzymała słowa, nie ubierała się, a gdy wróciłem, leżała jeszcze w łóżku. Rzuciłem jej pieniądze, wtedy wesoło z ulubioną piosenką na ustach zaczęła się ubierać.

— Jedno słowo dotrzymałeś już, mój kochany — zawołała — a teraz drugą obietnicę musisz spełnić.

— Jaką jeszcze obietnicę? — niepewny siebie spytałem.

— Obiecałeś mi, że dziś razem ze mną pójdziesz do kina.

— Ach, tak! — odparłem — ale wierz mi, że nie mogę.

— Dlaczego nie możesz?

— Dlatego, że policja mnie śledzi — powiedziałem.

Frania zasmuciła się. Widząc, że sprawiłem jej smutek, dodałem:

— Dobrze, pójde z tobą do kina, gdy chcesz, aby policja zabrała mnie do „Czerwoniaka”, więc pójde.

— O nie — zawołała z uniesieniem. — Tylko zauważyłam, że ty niechętnie ze mną się ukazujesz na ulicy. Przyznaj się, że się mnie wstydzisz.

— Cóż znowu? Pójde już, więc o której godzinie chcesz?

— Możemy od ósmej do dziesiątej.

— Dobra, zgadzam się na wszystko.

Po obiedzie udałem się znów do pasera, gdzie obaj współnicy już na mnie czekali, ucieszyli się bardzo moim przybyciem. Wspólnik, którego zwano „Szofer” i który był hersztem, odezwał się do mnie:

— Jutro mamy zamiar jechać na jedną robotę. Na pewno pojedziesz z nami, co?

— Tak, pojedę, potrzebuję forsy.

— Mogę ci pożyczyć — odparł drugi współnik, nie Żyd, a nazywał się Antek.

Nie potrzebuję, już pożyczyłem. Ostrzegli mnie też, abym się miał na baczności i nie kręcił się, bo mogą mnie poznać.

Po umówieniu się ze współnikami na następny wieczór rozeszliśmy się do domu.

## LV

Paser po ich odejściu zawołał mnie do sypialnego pokoju, przekręcił klucz w drzwiach, wyciągnął czerwoną chustkę, rozwinął ją i ujrzałem biżuterię. Oświadczył mi, że zaraz tu przyjdzie ten Niemiec. Jak tylko się ściemni, to pójdziemy we trzech i dopiero w sieni da mi wszystko do ręki.

Zrozumiałem, że mi nie wierzy, co mnie wcale nie zdziwiło. W tej sferze nikt nikomu nie wierzy. Dopiero jak się ściemniło, przybył Niemiec, przywitał się poufale z młodą, drugą już żoną pasera. Widać, że ona miała wpływ na niego. Potem paser zapoznał mnie z nim i po chwili we trzech udaliśmy się do Joska. Jasek mieszkał na tej samej ulicy, o parę domów tylko od pasera. Był to podług oceny pasera „powstaniec”<sup>208</sup>. W gałęzi

<sup>207</sup>blatny — przekupiony. [przypis edytorski]

<sup>208</sup>powstaniec — nowicjusz w rzemiośle złodziejskim. [przypis edytorski]

paserskiej ten chciał go koniecznie zniszczyć, a wiedział o tym, że mnie Josek zna, więc chętnie ode mnie kupi. W sieni drżącymi rękami wręczył mi paser biżuterię, po czym śmiało wszedłem. Zastałem Joska akurat przy kolacji. Prosił mnie z całym zaufaniem, bym wszedł dalej, zaraz zawołał na żonę, aby podała wódkę i zakąskę, przemawiając do mnie wesoło.

Początkujący paserzy starają się zawsze ująć złodziei. Josek, sam będąc młody, przybył tu niedawno z prowincji z młodą żoną. Dla oka, jak mówił, handlował końmi, a w samej rzeczy garnął się do paserstwa. Żał co prawda mi go było „nabrać”, ale potrzebowałem pieniędzy, a po drugie Josek był bogaty, jak o nim mówiono i doprawdy trochę krętacz.

Po chwili mnie zapytał:

— No i co słyhać nowego?

— Nic takiego — odparłem spokojnie. — Przyjechałem wczoraj z drogi.

— Udało się wam, co?

— Tak, trochę tam zarobiłem.

— Nu, może dla mnie masz co?

— Prawdę mówiąc, mam, ale nie wiem, czy ty będziesz amatorem na takie coś.

— Co to jest takiego? — zapalił się Josek. — Ja wszystko od ciebie kupuję.

Wyciągnąłem zawiniątko z kieszeni. Joskowi oczy się zaświeciły, a żona przymierzyła sobie platynowe bransoletki wysadzane kamieniami.

— Co to ma kosztować? Gadaj! — zapytał gorączkowo. Ociągałem się z odpowiedzią.

— A bo to ja wiem.

— Powiedz, co chcesz, a ja potem powiem, co dać mogę.

— Pięć tysięcy rubli to jest warte — oświadczyłem.

— To trochę za dużo — odezwała się żona — to będzie trzeba przerobić, ale mąż to kupuje.

— Skąd to pochodzi? — zagadnął Josek — i jak daleko stąd są zarobione?

— To zarobione jest na Litwie. Tutaj śmiało można nosić. Josek wyciągnął do mnie rękę.

— Ostatnią powiedz cenę i już płacę pieniądze.

Żona podała mu z drugiego pokoju wypchany portfel.

— Cztery tysiące pięćset rubli, ani grosza mniej, to warte najmniej piętnaście tysięcy rubli — dodałem stanowczo.

Josek popatrzył na żonę, ta zauważyłem, kiwała mu głową na znak, że może dać.

— Dam ci równe cztery tysiące: o, tu są pieniądze — i począł liczyć.

— Nie, nie mogę, nas jest do tego trzech współników.

Żona wtrąciła się.

— Ja was pogodzę, te pięćset rubli na pół zrobić, zgoda?

— Zgoda — powiedziałem i zacząłem liczyć pieniądze, wkładając je do swojego portfela.

Po ulokowaniu ostatniego banknotu głośno zakaszlałem. Drzwi nagle się otworzyły i Niemiec z rewolwerem w rękę stanął przed nami. Jedną ręką uchwycił mnie za kołnierz, a drugą położył na zawiniątko, którego nie zdążono sprzątnąć ze stołu. Udawałem, że drżę ze strachu.

Josek i żona stali jakby przykuci do miejsca, z rozwartymi oczyma, nie rozumiejąc, co tu zaszło.

Niemiec schował zawiniątko do kieszeni, a mnie założył łańcuszki na ręce, po czym zwrócił się do struchlałego Joska, że go tak samo aresztuje.

Josek i żona na te słowa odzyskali mowę i zaczęli prosić, że są nic nie winni. Ja zacząłem też błagać Niemca, że tylko co tu przyszedłem i że zaproponowałem im sprzedaż tego, ale kupiec tego ode mnie nie chciał kupić.

Josek, słysząc moją rozmowę z Niemcem, odzyskał zupełnie przytomność umysłu i uchwycił się moich słów. Mówił, że mnie wcale nie zna i że on, widząc tę biżuterię, domyślił się, że to jest kradziona i właśnie chciał mnie sam zatrzymać i posłać po policję. Niemiec udawał, że zaczyna w to wierzyć i wymierzył mi policzek, mówiąc:

— Ja już za tobą śledzę dwa tygodnie, teraz nie wymkniesz mi się z rąk.

Żona Joska zaczęła się uśmiechać do Niemca, a do mnie mrugnęła, abym pieniądze niepostrzeżenie zostawił. Udawałem, że chcę to zrobić, tylko że nie mogę. Niemiec spisał

na miejscu protokół, obiecując, że kupiec będzie zawezwany jutro na policję, a na razie nie aresztuje go, do mnie zaś groźnie się zwrócił i wyprowadził mnie z mieszkania. Paser nas oczekiwał, stał za drzwiami i napawał się, jak mówił, rozkoszą.

Kawał ten doskonale się udał. Nie później niż na drugi dzień Josek wiedział, że padł ofiarą. Sam paser mu to mówił, śmiejąc się z niego, że dał się nabrać dwom złodziejom, z których jeden przebrany był za Niemca. Twierdził, że i u niego byli i chcieli go „skantować”, ale on za stary lis, mówił, by się dał na taki „kant” złapać. Josek cierpiał pewnie tym bardziej, że złodzieje i paserzy śmiali mu się w oczy, że jest taki „frajer” i jeszcze więcej był przygnębiony, że musiał milczeć, nie mogąc nawet meldować o tym do policji.

Przybyłem do Frani już kilka minut po ósmej, ale za to w różowym humorze, miałem znów pieniądze, a wyrzutów sumienia po dokonanych występku prawie nie miałem żadnych, tym bardziej, że skrzywdzonym tym razem był paser, a jak już poprzednio wspomniałem, złodziej nienawidzi pasera.

Frania stała już kompletnie ubrana do wyjścia do kina. Nie obyło się też bez wymówki za niepunktualność z mojej strony. Co prawda obawiałem się tam iść, bo mógłby mnie kto poznać, ale nie chcąc uchodzić w jej oczach za tchórza, zgodziłem się i razem wyszliśmy do kina.

W poczekalni kręciło się kilka kobiet i dwóch mężczyzn. Czekali tu widać na antrakt. Po naszym przybyciu, jakby na złość, zaczęło napływać więcej ludzi. Frania śmiała się na głos i rzucała mi różne uwagi. Wszyscy nieomal na nas patrzyli, a raczej na Franię.

Zachowywała się swobodnie i wyzywająco. Światło elektryczne robiło ją jeszcze piękniejszą. Strzelała oczyma na wszystkie strony ku przybyłym mężczyznom, tak że musiałem ją skarcić uwagą. Nic to jednak nie pomagało.

Staralem się i pragnąłem w duchu, aby być tu jak najmniej widzianym, a ona, jakby na złość, ściągała wzrok wszystkich na siebie, a przy tym i na mnie. Próbowałem się od niej trochę niepostrzeżenie oddalić i udawałem, że idę do lustra, które stało o kilka kroków, ale ona też podążyła za mną i zaczęła się przeglądać w wielkim lustrze, wyprężając swoją kształtną figurę. Żalowałem w duchu, że dałem się namówić.

Nareszcie nastąpił antrakt, odetchnąłem z ulgą. Staralem się wybrać miejsce jak najmniej widoczne. Ale Frania pociągnęła mnie za sobą na sam środek sali. Co było robić, musiałem i tym razem być posłuszny, zarazem dałem sobie słowo, że nigdy już publicznie z nią się nie pokażę.

Podczas seansu na początku patrzyłem na film z zainteresowaniem, jednak po drugim antrakcie znudziłem się i prosiłem w duchu, żeby to jak najprędzej się skończyło. Lubię co prawda kino, ale tym razem coś mnie dręczyło i nie znalazłem spokoju, chciałem już stąd wyjść, ale obawiałem się tego głośno wypowiedzieć, widząc, że Frania doskonale się tu czuje. Czekałem więc cierpliwie, a żeby zaś sobie czas skrócić, zdrzemnąłem się.

Dziwna rzecz, że w te parę minut drzemki miałem, że tak się wyrażę, proroczy sen. Widziałem siebie elegancko ubranego na pięknej sali, sala ta była tak oświetlona elektrycznością, że aż światło raziło mnie w oczy. Wszędzie na ścianach i suficie, nawet po bokach na podłodze były lampki elektryczne, które rzucały blaski wprost niemożliwe dla ludzkiego oka. Muzyka pięknie grała. Wystrojone kobiety i mężczyźni tańczyli i bawili się wesoło. Kelnerzy ubrani na biało roznosili na tackach ciastka i różne cukierki i napoje. Przy mnie widzę Hanke, całą w bieli, a śni mi się zarazem, że dziwię się, skąd ona się wzięła na sali, gdyż już dawno nie żyje. Zbliżam się do niej, by ją zapytać. Nagle światło wszędzie gaśnie, a zjawy znika. Czuję się wrzucony do ciemnego, ciasnego lochu. Wtem ktoś mnie trącił i przebudziłem się.

Przed oczyma na płótnie mignął mi obraz seansu, sekund kilka trwało, zanim uprzytomniłem sobie, gdzie jestem. Ujrzałem, jak Frania w najlepsze kokietuje jakiegoś mężczyznę z pobliskiego rzędu krzeseł.

— Frania — zawołałem. — Powiedz mi, co tu grano.

Myślałem bowiem, że to nie był sen tylko, że widziałem coś podobnego na obrazie.

— Ty śpiochu, ty byś ciągle spał — i opowiadała mi, że na obrazie pokazywano różne góry i odlewanie metalu.

Przez wychowanie w chederach stałem się bardzo zabobonny, zasmuciłem się, wróżąc sobie z tego snu, że mnie czeka jakieś nieszczęście, co też w krótkim czasie się sprawdziło.

Wychodząc z kina, natknąłem się oko w oko z agentem B. Widać, że był bardzo dobrze poinformowany o moim pobycie w kinie. Przywitał mnie niedbale, a Frani począł robić komplementy. Potem przeprosił ją, a mnie odwołał na stronę i przemówił do mnie w te słowa:

— Powiedz, „Nachalnik”, gdzie byłeś przez tyle tygodni. Mów tylko prawdę, bo wszystko o tobie wiem.

— Gdzie miałem być? — zapytałem. — Wszak pan wie, więc po co się pan pyta?

— Ty ze mną nie żartuj, tylko odpowiadaj na pytania.

— Ja nie żartuję i może mnie pan aresztować, jak jest za co — rzekłem śmiało.

B. patrzył na mnie przenikliwie i dodał:

— Tymczasem możesz jeszcze pobujać na wolności, nie mam zamiaru cię teraz aresztować. I na to przyjdzie czas. Tylko to ci mogę powiedzieć, że żał mi cię, moja żona mnie ciągle pyta o ciebie, wiedząc o twoim pochodzeniu. Nie chciałbym cię skrzywdzić, ale będę do tego wreszcie zmuszony. Ty jesteś bardzo nieostrożny, włócząc się z tego rodzaju kobietami po kinie.

Mówił do mnie tonem ojcowskim, z czego zmiarkowałem, że trzeba mu dać w łapę. Wyciągnąłem też niepostrzeżenie pięćset rubli w papierku i przy pożegnaniu wręczyłem mu nieznacznie w rękę.

Prosił też, bym do niego przybył jutro na obiad, po czym z Franią wróciłem do domu.

Smutno spędziłem w objęciach Frani tę noc, wszelkie jej starania, by mnie rozweselić, nie udawały się. Przez całą noc oka nie zmrzyłem, rozmyślając o przeszłości. Zerwać z tym wszystkim i wrócić do domu! Nie, to niemożliwe, czułem, że nie mógłbym teraz żyć jednostajnym małomiasteczkowym życiem.

Życie, które do tego czasu prowadziłem, pomimo że znałem jego złe skutki, miało jednak dla mnie jakąś ponętę i pociągało mnie ku sobie.

Rozmyślałem też nad słowami B., które do mnie w zaufaniu mówił. Wiedziałem, że on tylko tak mówi, a inaczej sobie myśli. Chce złapać mnie na gorącym uczynku, gdyż to było jego punktem honoru. Razu pewnego, gdy byłem u niego na obiedzie, chwalił się przede mną swoją znajomością fachu. Chcąc mu zaimponować, powiedziałem, że o ile on by nie miał donosicieli, byłby głupi jak but. Rozzłościł się wtedy i odparł dwuznacznie, że mnie kiedy przekona, kto jest głupszy. Potem dodał, że bym sobie to dobrze zapamiętał. Odpowiedziałem mu na to, że mnie nigdy nie schwyta na gorącym uczynku. Więc zrozumiałem teraz, że pomimo łapówek, które bierze, jak dużo innych z policji wówczas brało, odda mnie do „Czerwoniaka”, gdy tylko znajdzie dobrą okazję.

Samo już wspomnienie o „Czerwoniaku” i Rólu spędzało mi sen z powiek, popatrzyłem na Franię, która leżała przy mnie i pomyślałem: ta mnie zgubi, przez nią znów będę tam, a jednak do zerwania z nią czułem się zupełnie niezdolny...

Dobrze też o tym wiedziałem, że ona mnie nie kocha, a nawet sama mi o tym powiedziała, że nie wierzy w ogóle w miłość i że pod tym względem nic nie obiecuje. Co robić? Co robić?... Czuję, że ziemia, po której chodzę, pali mi się pod nogami i dni mojej wolności są policzone. Sen w kinie utwierdził mnie w tym przekonaniu.

Przy takich smutnych myślach zastał mnie poranek. Frania wciąż spała, a dopiero razem z porankiem się przebudziła. Twierdziła zawsze, że poranek jest najlepszą porą miłości i też nigdy podczas naszego pożycia o tym nie zapomniła. Chcąc nie chcąc, musiałem się oddać do jej dyspozycji...

Przy śniadaniu nieprzewidziane doszło między nami do wymiany złośliwych słów i nieomal, żeby nie jej matka, doszłoby na dobre do kłótni. Powód ku temu był na pozór dość błahy, a jednak mnie to zabolowało do głębi.

Gdyśmy siedzieli z Franią przy śniadaniu, zrobionym starannie przez jej matkę, weszła jakaś Żydówka z workiem na plecach, co „za stare nowe daje” i prosiła, czy nie ma tu czegoś na sprzedaż, że ona wszystko kupuje. Matka Frani odparła, że nic takiego nie ma. Kobieta z wytrwałością handlową zwróciła się po raz drugi do Frani, czy nie ma czegoś na sprzedaż. Frania powiedziała złośliwie:

— Nic tu nie ma, nie jesteśmy handlarzami.

Kobieta, nie dając jeszcze za wygraną, zwróciła się tym razem do mnie, widać poznała współwynawcę. Spojrzałem na nią i żał mi się jej zrobiło, bardzo źle wyglądała.

— Doprawdy, co by jej tu sprzedać? — zawołałem do Frani.

Frania krzyknęła, tym razem ze złością:

— To parszywa Żydówka, sto razy jej mów, że nic nie ma, a ona tu stoi.

Zauważyłem, że kobiecie lzy stanęły w oczach. Spojrzałem piorunującym wzrokiem na Franię, powstałem z miejsca i wyciągnąłem parę moich prawie nowych kamaszy i podałem kobiecie ze słowami:

— Niech pani to kupi.

Kobieta niedowierzająco wyciągnęła rękę i nieśmiało spytała:

— Naprawdę pan sprzedaje?

— No tak, naprawdę.

— Wiele pan żąda?

— Niedużo, dwadzieścia marek.

Trzeba dodać, że ta para obuwia wtedy kosztowała sto osiemdziesiąt marek. Kobieta widać zrozumiała, że chcę jej dopomóc, drżącą dłonią położyła na stół wspomnianą sumę i dziękując ze łzami w oczach, wyszła.

Frania, widząc to, odezwała się do mnie.

— Gdyby ta kobieta nie była Żydówką, ciekawam, czy byś tak postąpił.

— Jeszcze lepiej postąpiłbym — zapewniłem.

Przyszło między nami do ostrej wymiany słów. Tylko jej matka złagodziła nasz spór i uznała, że dobrze zrobiłem.

Słowa „parszywa Żydówka” utkwily mi głęboko w pamięci i poczułem od tej chwili jakby żal do Frani, że ona, wiedząc, kim jestem, nie liczyła się ze słowami i jawnie okazywała swój wstręt. Od tej pory między mną a Franią jakby coś stanęło i straciła u mnie dużo na wartości, sam nie potrafiłbym powiedzieć, dlaczego.

Tegoż dnia przed wieczorem udałem się na umówione miejsce, gdzie miałem się spotkać ze współnikami. Po drodze spotkałem się oko w oko z żoną fryzjera, robiła mi wyrzuty, dlaczego się nie pokazuję, że uciekam od niej, itd.

Zapewniała mnie, że ona jedynie mnie naprawdę kocha, na dowód czego prosiła, abym jutro o godzinie ósmej przybył tam, a ona wystara się męża gdzieś wyprawić i że ma mi ważną rzecz do zakomunikowania. Obiecałem, że o ile nie wyjadę, to na pewno przyjdę. Przyznała mi się, że wiedziała, iż tu będę i na mnie specjalnie czekała. Ponieważ miejsce, gdzie mnie oczekiwała, było nieoświetlone i słabo zaludnione, a w pobliżu stała jakaś rozwalona stara szopa, nie opuściła mnie wpierw, zanim jej po tak długim rozstaniu jako tako nie pocałowałem...

Ta kobieta była zaciętą samicą, gryzła i skomlała przy przybliżeniu się, jakby była przez samego diabła opętana. Gdy na następny dzień do niej poszedł, namawiała mnie do ucieczki z nią do Niemiec, a nawet dała mi do zrozumienia, że gotowa jest na wszystko, nawet męża zamordować. Pokazała mi przy tym swoją biżuterię i pieniądze, które były w jej posiadaniu, chcąc mnie zachęcić do swej propozycji.

Ta samica też odegrała ważną rolę w moim życiu, o czym jeszcze później nieraz wspomnę.

## LVI

Tydzień mniej więcej po opowiadanych tu wypadkach przyszedłem, po dwudniowej nieobecności, do domu. Frania rozpromieniona podskoczyła do mnie i zaraz od progu zawołała:

— Jesteś, mój kochany! Mam dla ciebie dobrą nowinę. — Pociągając mnie zaś za sobą, dodała: — No, zgadnij, co ci mam do powiedzenia — nalegała naiwnie, a widząc, że nie dzielam jej wesołości, rzekła: — Jak mnie nie pytasz, to ci nie powiem.

Myślałem, że znów jakichś nowych głupstw musiała narobić, ale zaciekawiło mnie to, bo cały tydzień po zejściu z tą handlarką byliśmy nie bardzo ze sobą, a teraz mnie nagle tak wesoło przywitała, to musi być naprawdę coś ważnego.

— Powiedz mi, to będę wiedział, bo nic się nie domyślam.

Frania zrobiła tajemniczą minę i wyciągnęła jakiś list.

— Zgadnij, co to za list — rzekła, wymachując nim w powietrzu. Wyciągnąłem rękę.

— Pokaż mi ten list i skąd go masz?

Frania znów go schowała za siebie, mówiąc:

— Siadaj tu na kanapie, bo muszę ci wpieryw wszystko opowiedzieć.

Zaciekawiony wykonałem jej rozkaz.

— Masz ty rodzinę? — nagle zapytała.

— Na co ona ci jest potrzebna? — próbowałem się uśmiechnąć.

— Powiedz! — nalegała.

— Otóż twój ojciec był tu u mnie wczoraj.

— Kto!... mój... ojciec?!

Zerwałem się przy tym jak piorunem rażony i uchwyciłem ją tak silnie za ramię, że aż krzyknęła ze strachu.

— Gadaj mi tu prędzej!

Frania, widząc moje uniesienie, podała mi bez słowa list.

Drżącą ręką chwyciłem go i poznałem od razu charakter pisma ojca, zrobiło mi się niedobrze, tak, że musiałem się oprzeć o stół. Litery skakały mi przed oczyma, nic nie rozumiałem, a w głowie szumiało: „mój ojciec tu był”. Wielkiego wstydu i upokorzenia musiał zaznać, zanim zdecydował, się tu, do tej nory wejść i pytać o występnego syna. Czytałem list kilka razy. Własnym oczom nie wierzyłem, że to do mnie ojciec tak pisze, ten sam ojciec, którego zawsze uważałem za najgorszego mojego wroga. Łzy zalały mi oczy przy czytaniu. Z wysiłkiem, kilkakrotnie wracając, ledwie go odczytałem.

Otóż opiszę treść tego listu, który do dziś dnia został w mojej pamięci i nieraz niektóre słowa przypominam sobie po kilka razy dziennie:

„Kochany, nieszczęśliwy synu! Zaklinam cię na pamięć twojej matki, która przez ciebie jeszcze w kwiecie życia zesłała ze świata, abyś porzucił to życie występne i natychmiast przyjechał do domu. Ja tak samo, jak twoja matka, przez ciebie zejść do grobu. Ze wszystkich stron dochodzą mnie słuchy, co ty wyrabiasz i wstydę się na ulicy pokazać. Jak tak dalej pójdzie, to ja tego nie przeżyję. Może też być, kochany, a wyrodny synu, że nieraz byłem za srogi dla ciebie, ale wierz mi, że miałem tylko na myśli twoje dobro. Porzuc tę kobietę, którą widziałem i tę występłą miłość, bo to do niczego dobrego nie doprowadzi. Przyjedziesz do domu, a dam ci za żonę ładną i porządną kobietę, która nam nie przysporzy wstydu. Błagam cię, porzuc to życie, póki jeszcze czas. To są ostatnie moje słowa, o ile nie wysłuchasz mojej prośby, to bądź przeklęty na wieki, a pamiętaj, że całe życie będziesz tego żałował i nieraz wspomnisz o mojej klątwie, ale wtedy będzie już za późno... Twój ojciec S... ”

Co się stało, pomyślałem, patrząc to na list, to na Franię. Ojciec mój prosi mnie, abym przyjechał do domu, tu musi być jakieś nieporozumienie.

Zacząłem wypytywać Franię o szczegóły. Frania opowiadała mi:

— Wczoraj wieczorem siedziałam sobie i śpiewałam, jak zwykle, gdy mi się nudzi i grałam na gitarze. Wtem ktoś zapukał do drzwi frontowych.

Tu muszę zaznaczyć, że do pokoju, gdzie mieszkałem z Franią, były drzwi wprost z ulicy. Tylko porą zimową były one nieczynne, a trzeba było do nas iść przez kuchnię. Latem były otwarte.

— Poszłam więc i otworzyłam. Patrę, jakiś nie znany mi, wysoki mężczyzna. Pytam: — A do kogo pań? A on na to:

— Czy tu mieszka niejaka Frania D...?

— Tak, tu — odparłam i zaprosiłam go do pokoju. Obejrzał się ciekawie po pokoju, a na moje zaproszenie usiadł. Dłuższą chwilę milczał, obrzucając mnie tak przenikliwym wzrokiem, że nie śmiałam tego poważnego człowieka o nic zapytać. Nareszcie on sam do mnie pierwszy odezwał się:

— Pani jest tą Franią, czy tak?

— Tak — odpowiedziałam. Milczał znów chwilę i już chciałam go ze złością zapytać, co oznaczają te pytania. Wtem on nagle rzekł:

— Mój syn u pani mieszka, czy tak? Wymówił to ze wzruszeniem. Ja, słysząc, że to jest twój ojciec, zaczęłam go przepraszać i chciałam go przyjąć poczęstunkiem, ale mi stanowczo odmówił, tłumacząc się, że nie ma dużo czasu. Zaczął mnie prosić ze łzami w oczach, abym namówiła cię, byś wrócił do domu. Obiecałam mu to, mówiąc z nim po żydowsku. Smutno roześmiał się, pochwalił, że dobrze mówię po żydowsku. Mówił, że o ile chcę, mogę też przyjechać tam do was na letnisko i że będę dobrze przyjęta.

Jeszcze dużo opowiadała mi o ojcu, chwalać, że choć Żyd, ale bardzo przystojny i do-

Ojciec, Syn marnotrawny

Ojciec, Syn marnotrawny,  
Żyd

bry człowiek. Cały czas, słuchając jej, doznawałem dziwnego uczucia. Znając nieugięty charakter ojca, nie mogłem tego wszystkiego w żaden sposób w głowie pomieścić. Po prostu nie do uwierzenia. Mój ojciec zgadza się na przyjazd syna-złodzieja do tego zacofanego miasteczka, a nawet zaprasza kochankę, a do tego gojkę? A co gorsze, kobietę nie bardzo surowych obyczajów? To... być nie może. Jeszcze kilka razy czytałem list ojca, pisany po żydowsku, w obecności Frani.

Uśmiechnął mi się odpoczynek w domu i życie spokojne. Do mojego burzliwego życia zacząłem się zniechęcać. Ale jak tu się rozstać z Franią? Brać ją ze sobą jest niemożliwe. Znałem za dobrze ojca i rozumiałem go, on tylko przez delikatność to zrobił, nie chciał jej urazić, a pewnie zrozumiał, że ta dziewczyna ma na mnie wpływ, więc chciał ją ująć i zaproponował, że może także przyjechać latem do nas. Nie, to wprost nie do uwierzenia.

Po drugie, myślałem, że gdyby nawet i tak było i pojechałbym z nią, to czy będę tam bezpieczny? Nie, za dużo już zbroilem, abym mógł w domu być bezpieczny. O! Jaki by był wielki wstyd dla ojca, gdyby policja aresztowała mnie w domu. Nie, nigdy tam nie pojedę.

Frانيا, widząc mój smutek i zamyślenie, zbliżyła się do mnie pieszczotliwie, jak nigdy do tego czasu; widać zyskałem na wartości, gdy dowiedziała się o moim pochodzeniu. Ona była już zdecydowana, że ze mną tam pojedzie. Na jej propozycję wybuchnąłem gorzkim śmiechem.

— Co, ty się wstydzisz ze mną tam jechać? A mówisz, że mnie kochasz? Ojciec twój mnie się nie wstydzi, choć nie jestem Żydówką, a ty... — mówiła to z wielkim oburzeniem, z oczyma tryskającymi ogniem zemsty.

— To niemożliwe — powiedziałem. — Ojciec mój, chcąc mnie zwabić do domu, robi z siebie ofiarę i godzi się na twój przyjazd, co prawda mój ojciec jest Żydem postępowym, trochę filozofem i nie odróżnia przekonań religijnych, ale co na to ludzie w miasteczku powiedzą? Będą nas wytykać palcami. Nie, nigdy się na to nie zgodzę.

Frانيا robiła mi jeszcze wyrzuty i potem ubrawszy się, prędko wybiegła na ulicę.

Myślałem teraz nad swoim położeniem. Skąd ojciec mógł się dowiedzieć, że tu jestem i że z nią tu mieszkam? Widocznie ktoś mnie śledzi.

Wiedziałem, że w tym mieście jest dużo ludzi, którzy znają dobrze całą moją rodzinę, a także i mnie. Żał mi było ojca. Martwiłem się i postanowiłem stąd wyjechać do Warszawy, bo tam słuch po mnie zginie. Postanowiłem też Frani zaproponować, aby ze mną wyjechała, ale nie do mojego domu, tylko do Warszawy, tym bardziej, że czułem, iż tu w powietrzu coś złego nade mną wisi.

Czekałem cały niemal dzień na Franię, jakoś nie zjawiała się, dopiero wieczorem przyszła kompletnie pijana, padła mi na piersi i rozplakała się. Wspólnie z jej matką rozebrałem ją i ułożyłem do łóżka. Całą tę noc przesiedziałem, nie rozbierając się wcale, i rozmyślałem nad swoim położeniem.

Na domiar złego „po Josku” nic mi się nie wiodło, dwa razy udałem się z współnikami na wyprawę i jakoś nie udało się. A nawet trzeci raz ledwo uszliśmy z życiem.

Rano Frانيا przebudziła się i apatycznie patrzyła na mnie, jakby dopiero sobie zdała sprawę, że coś zaszło i po chwili mnie spytała:

— Dlaczego nie rozebrałeś się? Co, gniewasz się na mnie?

— Jak to, mam się nie gniewać? — wybuchnąłem. — Przyszedłeś zupełnie pijana i cała w nieładzie. Ładną synową sprowadziłbym ojcu do domu — roześmiałem się z goryczą.

— Właśnie tylko z żalu do ciebie upiłam się — oznajmiła — a będzie ze mną jeszcze gorzej.

— Już gorzej, jak się teraz prowadzisz, nie potrzeba — zauważyłem i zabierałem się do wyjścia.

— Gdzie ty znów, uciekasz? — wołała za mną.

— Idę też z żalu do ciebie się upić, jak ty to wczoraj zrobiłaś — odparłem i walnąłem drzwiami, wychodząc z pokoju.

Na obiad jednak przyszedłem i zaraz na progu stanąłem jak wryty, brat mój, młodszy ode mnie o półtora roku, siedział naprzeciw Frani, a ona, mówiąc z nim, głośno się śmiała. Brat, widząc mnie, wstał, wyciągnął rękę. Ucałowałem go z całego serca, jednak w jego pocałunku i podaniu dłoni poczułem pewną niechęć. Tu powtórzę naszą rozmowę. O ile pamiętam, to ja pierwszy odezwałem się do brata:

— Co ty tu robisz?

— Ojciec mnie tu wysłał po ciebie.

— Za późno już — odpowiedziałem z goryczą. — Trzeba było mnie lepiej w domu przyjąć, gdy pierwszy raz „za Rosji” wyszedłem z więzienia, może by do tego nie doszło.

Brat popatrzył na mnie z wyrzutem.

— Przez ciebie umarła matka i zostaliśmy sierotami, a teraz chcesz i ojca do grobu wpędzić. Ojciec z dnia na dzień czuje się coraz gorzej, był u różnych doktorów w kraju i za granicą. Doktorzy mówią, że na chorobę ojca nie mają żadnego lekarstwa, gdyż ojciec cierpi moralnie, gryzie go jakiś robak, którym ty właśnie jesteś. Mówią, że wpada w galopujące suchoty. Ojciec nasz, który żelazo mógł łamać w rękach, teraz ledwo na nogach się trzyma. Ty go zabiłeś... jak zabiłeś naszą matkę. Chcesz mnie z dwiema siostrami zgubić. Gdy, broń Boże, ojca nam nie stanie, co stanie się z młodszym rodzeństwem? Opamiętaj się, póki jeszcze czas, minęło przeszło dwa lata, jak cię ojciec ani nikt z domu na oczy nie widział. Z początku szesnastego roku słuch po tobie zaginął, a później mówiono, że siedzisz w jakimś tam „Czerwoniaku”. Od jakiegoś czasu wstydzimy się oczy na ulicę pokazać gdzie tylko w okolicy popełniają kradzieże albo napad zrobiją, ludzie szepczą sobie na ucho, że to ty. Wysłuchaj mnie już do końca — wołał brat, widząc, że chcę mu przerwać jego morały, które mi prawił. — Ojciec tu był parę dni temu, o czym na pewno już wiesz. Wyobraź sobie, bracie, wiele się najadł wstydu i wiele go to zdrowia kosztowało, gdy dopytywał się o ciebie w różnych szynkach i kawiarniach, aż cię tu znalazł. Jedź ze mną do domu, a nikt ci marnego słowa nie powie, nikt ci nie przypomni twojej przeszłości. Co było to już przeszło, pomożesz mi w handlu i będzie ci dobrze. Nie zapomnij też, że dzbanek nosi dotąd wodę, zanim ucho się nie urwie, zabiją cię gdzie na kradzieży albo zginiesz marnie w więzieniu, a hańba spadnie wtedy na naszą całą rodzinę — zakończył jakby w natchnieniu.

Podczas słów brata, Frania miała łzy w oczach i patrzyła tak na mojego brata, że poczułem zazdrość. Brat mój był to piękny, dziewiętnastoletni młodzieniec, wysokiego wzrostu i był podobny do ojca. Wstyd mi było, że brat jest młodszy, a poważniejszy ode mnie. Był wychowany pod kierownictwem ojca. Nie uczył się on w brudnych chederach i zacofanych jeszywetach. Przewyższał mnie wymową i inteligencją, był przy ojcu i prowadził teraz cały handel, który dawniej chylił się ku upadkowi. Nie chciałem przy niej dużo mówić z bratem i poprosiłem go na osobność. Brat pożegnał Franię i zabrał mnie do hotelu, gdzie mieszkał.

Tu opowiedziałem mu, że mój powrót na razie jest niemożliwy, gdyż zdaje mi się, że policja mnie poszukuje.

— Zaczekaj — rzekłem — a za jakie dwa, trzy tygodnie, jak się upewnię, że nie ma się czego obawiać, to przyjadę.

Brat, słysząc to, bardziej posmutniał.

— O! Bracie — zawołał w rozpacz — co ty z siebie zrobiłeś? Wielkie jest szczęście, że matka nasza nie żyje, stokroć szczęśliwsza jest od ojca, że nie widziała twojego upadku... Przyznaj też, że ci żal zostawić dziewczkę. O ile ci o nią więcej chodzi niż o ojca, możesz ją zabrać ze sobą. Ojciec mi o tym mówił, że może z tobą przyjechać. Na wszystko się godzi, abys tylko był w domu i porzucił to życie. Ojciec mówił, że woli już, abys żył z kim tylko zechcesz, byle bys był człowiekiem.

— Co ty wygadujesz, bracie — powiedziałem. — Pomyśl, czy to jest możliwe w takim zacofanym, żydowskim miasteczku sprowadzić sobie nie-Żydówkę, kamieniami zatłukliby nas i świeżą hańbę tylko na wasz dom sprowadziłbym, a przyznam ci się szczerze, że nie mogę z nią się rozstać, sam nie wiem dlaczego. Nie wiem, co mi takiego zadała, znoszę jej kaprysy, i nie mogę się z nią rozstać.

— Mój bracie, ty nie byłeś w domu przeszło dwa lata, a wielka zmiana zaszła w naszym miasteczku, w czasie spokojnym przez wieki całe nie stałoby się to, co się u nas teraz dzieje w czasie wojny. Żydzi handlują, szmuglują nawet słoninę, dziewczęta, córki chasydów i innych Żydów spacerują otwarcie z żołnierzami, robią, co im się żywnie podoba. Młode chłopaki w miasteczku jedzą chazer, palą papierosy i handlują w sobotę. Nawet kilka Żydówek jawnie uprawia prostytutkę. Nikt teraz się nie będzie gorszył twoją kobietą, tym bardziej że, jak muszę przyznać, masz gust, bo jest bardzo ładna — mówił to brat, uśmiechając się ironicznie.



Wypytywałem go też o siostry, a najwięcej interesował mnie los najmłodszej, która gdy matka umarła, miała zaledwie kilka miesięcy. Zapytywałem również o macochę. Brat mówił, że jest dobra jak dawniej i że właśnie ona to nalega, abym przyjechał do domu. Opowiadał mi też, że macocha jeździła do doktorów aż do Berlina, chcąc mieć dzieci. Widać, że ona nie wierzyła w cuda cadyków i wolała się udać do doktorów, którzy jednak cudu nie dokonali i ona pozostawała nadal bezdzietną.

Po dwóch godzinach rozmowy z bratem wyszedłem z nim na miasto, gdzie miał kilka interesów do załatwienia. Kupiłem też podarki dla siostrzyczek, które brat wahał się przyjąć, wiedząc, że pieniądze, za które to kupuję, były podejrzanego pochodzenia. Kupiłem też macosze kilka metrów dobrego jedwabiu na kostium, chcąc jej zrobić prezent. Brat w żaden sposób nie chciał tego przyjąć, twierdząc, że ona tego nigdy nie przyjmie. Oddałem więc to Frani, która myślała, że specjalnie dla niej to kupiłem i ucieszyła się bardzo. Po upewnieniu brata, że przyjadę, wyprawilem go do domu.

Pożegnanie nasze było bardzo przykre, a nawet rozplakałem się. Doznałem wtedy przecucia, które sprawdziło się, że lata całe upłyną, zanim go znów zobaczę.

Po wyjeździe brata upłynęło kilka dni. Stosunek Frani do mnie był już błogosławiony. Stała się nawet nieznośna. Jej kaprysy stały się niewykonalne. Odgrywała się za to, że nie chciałem z nią jechać do naszego domu. Pożycie nasze stało się bardzo przykre, żona fryzjera zaczęła mnie również prześladować, a nawet groziła mi, że o ile nie odwiedzę jej, to ona wie, co ma zrobić. Nie wiedziałem, co począć ze sobą. Tegoż dnia przychodzę do domu i myślę rozmówić się z Franią, by ze mną wyjechała do Warszawy. Czekałem do wieczora, a Frani nie było. Poszedłem ze złości zalać robaka i już zostałem w pewnym domu na noc. Rano szedłem z myślą, że ją zastanę, że przywita mnie z wymówkami. Jak wielkie było moje zdziwienie, gdy zobaczyłem, że łóżko jej stało nietknięte. Począłem wypytywać jej rodziców, ci zbyli mnie milczeniem. Zajrzałem do jej kufrów z ubraniami. Były na pół próżne, jak również i szafa. Dopiero na moje nalegania dowiedziałem się od rodziców, że Frania gdzieś wyjechała, ponieważ zakochał się w niej wyższej rangi oficer niemiecki i zabrał ją z sobą.

— Ciesz się mnie to bardzo, że choć Frania poszła wyżej — powiedziałem do jej rodziców z udaną obojętnością. — Wspólnik mój odebrał ją podobno z ręki właściciela, gdzie była kelnerką. Ja ją odebrałem od wspólnika. A ode mnie aż do wyższej rangi sięgnęła. Jestem zadowolony.

Zacząłem pakować moje manatki. Najwięcej bolała mnie obojętność jej rodziców, którym niczego nigdy nie odmówiłem, znosząc do domu, co tylko mogłem. Jedna tylko młodsza siostra mnie żalowała, która by tak nigdy nie postąpiła jak Frania. Pomagała mi też pakować manatki, a na pożegnanie pocałowała mnie i wybiegła wstydliwie z pokoju.

Straty Frani nie mogłem przeboleć. Zrozumiałem, że ona od dawna musiała mnie zdradzać z tym wojskowym i żalowałem, że z nią nie pojechałem do mojego domu. Sprowadziłem się po ucieczce Frani do jednej „meliny”, oddalonej o cztery wiorsty od Ł. O miejsce to wystarał mi się wspólnik, tam czułem się bezpieczny. Żona fryzjera, dowiedziawszy się o ucieczce Frani, wynalazła miejsce mojej kryjówki i często mnie odwiedzała. Ta kobieta po prostu obrzydła mi, gdyż prześladowała mnie stale swoją miłością.

W dzień nie ruszałem się nigdzie, gdyż dowiedziałem się, że policja mnie tropi, tylko wieczorem ośmielałem się przyjść do miasta. Wspólnicy odwiedzali mnie tu i stąd prosto udawałem się z nimi na wyprawy, które nie udawały się. Nareszcie postanowiłem udać się na wyprawę aż na Litwę. Mimo że postanowiłem, iż w pierwszym tomie mojego pamiętnika nie będę opisywał już żadnych robót i wychwalał się moimi zbrodniami, jednakże ta robota ze względu na wypadki, które jej towarzyszyły, zasługuje na opis szczegółowy.

## LVII

Na początku maja 1918 roku we trzech wyjechaliśmy do miasteczka S. na Litwie. Tam dopiero mieliśmy się dowiedzieć, gdzie i co ma być celem naszej wyprawy. Wspólnik mój, „Szofer”, został tam nagle zawezwany przez znanego mu i zaufanego pasera, aby natychmiast przyjechał z dwoma odpowiednimi wspólnikami, ponieważ „jest dobry interes”, który nie cierpi zwłoki.

Właśnie w tym celu, pięknego dnia majowego stanęliśmy przed paserem, który nas przyjął z radością.

Muszę tu określić oryginalną postać pasera. Był to człowiek taki, że gdybym nie wiedział, co on za jeden, nigdy nie uwierzyłbym, że należy do naszej branży. Mógł mieć lat około pięćdziesięciu, średniego wzrostu i tuszy, o zdrowym wyglądzie, z czarnymi przenikliwymi oczyma, długą czarną brodą i tegoż koloru długimi pejsami. Każdy, na pierwszy rzut oka z jego całej powierzchowności, wziąłby go przynajmniej za podrabina.

Mówił cicho i z powagą. Nad każdym słowem się zastanawiał, zanim je wyrzekł, głaskał przy tym pieścizotliwie swoją imponującą brodę, Trudnił się lichwą, a kupował tylko, jak sam mówił, od „pewnych ludzi” i to papiery wartościowe, walutę i „szmuk”. „Szofera” znał jeszcze z czasów lepszych i jak mówił, tylko jemu ufa i że my dwaj nie jesteśmy godni znać jego.

Mieszkał bardzo przyzwoicie. Był wdowcem. Dom prowadziła starsza córka, lat dwadzieścia pięć, o której mówiono, że przy potrzebie i dla oszczędności zastępuje mu także i żonę. Widocznie też z tego powodu, pomimo że była niebrzydka i niebiedna, nie wydawał jej za męża.

Miał jeszcze dwie córki, z których średnia nie była tu obecna, a najmłodsza miała lat siedemnaście i była najładniejsza. Przynajmniej ja tak twierdzę. O niej muszę dużo napisać ze względu na ważną rolę, jaką odegrała w moim życiu, ale o tym później opowiem.

Po krótkiej, wstępnej rozmowie i zaznajomieniu się zaproszono nas do wspólnego obiadu, przy którym obsługiwani byliśmy przez obie córki. Przy stole wywiązała się rozmowa, a „Szofer” przedstawił mnie paserowi, mówiąc do niego:

— Tu masz okazję omówić trochę „Tojre”<sup>209</sup>. On się uczył za rabina.

Paser bardzo się tym ucieszył i zaczął wyłącznie tylko ze mną rozmawiać. Okazało się przy dyskusji, że znał *Talmud* lepiej niż ja, a to wcale nie przeszkadzało mu należeć do „naszych”. Udowadniał mi on zawzięcie, że goja okradać nie jest grzechem. Opierał swoje wywody na *Talmudzie*, gdzie w jednym rozdziale pewien rabin tak mówi:

„Gezeł kusy muter”. Rabować goja jest dozwolone.

Zaprzeczyłem temu, mówiąc mu, że to tylko podczas dyskusji w podobny sposób się wyraził, iż tak się robi, ale nie jest to ustalone. On jednak uparcie udowadniał mi z różnych źródeł *Talmudu* i przekonał mnie, że ma rację. Podczas naszej dyskusji, która trwała dość długo i której nie mam zamiaru tu opisać, Antek w najlepsze romansował ze starszą córką. Stary, widząc to, poruszał się coraz bardziej niecierpliwie. „Szofer” i najmłodsza córka ciekawie nam się przysłuchiwali. Ona uparcie patrzyła na ojca, a więcej na mnie, poczułem chęć poromansować i starałem się rozmowę tę zakończyć.

Paser dał znak córkom, aby stąd się wyniosły i przystąpił do omawiania z nami szczegółów wyprawy.

— Robota jest „fajna”, ale bardzo śliska, można tam dobrze trafić. — tu zamyślił się trochę, po czym ciągnął dalej — Ja chcę mieć z tego równą dolę. Za dobry wynik wyprawy ręczę. Gotówki tam będzie bardzo dużo i ładny szmuk, a około dziesięciu tysięcy rubli w samym złocie. Wszystko to leży w stalowej kasetce, wmurowanej w ścianę w sypialnym pokoju i przykryte dywanem, tak że nic nie widać. Właścicielem tego jest bogaty kupiec leśny i mieszka z młodą żoną we własnej willi za miastem, niedaleko swoich tartaków i składów drzewnych. Na początku musicie spróbować na czysto to zrobić, a gdy się nie da po cichu, to... — nie domówił, a my spojrzeliśmy po sobie, doskonale zrozumieliśmy, co ma na myśli.

— Czy broń macie przy sobie? — zapytał nagle.

— Nie, nie mamy — odparł „Szofer”, do którego paser przez cały czas się zwracał, na nas wcale nie patrząc.

— Ja nie wiedziałem — dodał po chwili „Szofer” — że to robota na „duś”, wzięliśmy tylko ze sobą „statki” i nic więcej. Po drugie, nigdy bym nie przypuszczał, znając cię, stary, że się zgodzisz na podobne roboty.

— Widzisz, mój bracie — mówił poważnie paser, gryząc przy tym niemilosiernie swoją brodę. — Co innego było dawniej, a co innego jest dziś. Przed wojną tego, co dla zdobycia pieniędzy zabiłby kogoś, spaliłbym żywcem, a dziś... Wojna pokazała nam, że

<sup>209</sup> *Tojre* (jid.) — Tora. [przypis edytorski]

zniszczyć życie ludzkie to to samo, jak zabić kurę albo zająca. Nie robi to już wcale wrażenia. Miałem sposobność parę razy przekradać się przez front rosyjsko-niemiecki, chodząc po trupach jak po kamieniach, i nic z tego sobie nie robiłem. Teraz ty pomyśl, śmierć tych ludzi nie dała zabójcom ani grosza zysku, a jednak zabijali jeden drugiego. A wy przynajmniej, gdyby do tego doszło, zrobicie to dla własnej obrony. No i dla zdobycia tych pieniędzy. Powtarzam wam jeszcze raz, że o ile wam się uda po cichu, to nie tknąć nikogo, ale jak przebudzą się, wtedy już sami wiecie, co należy robić. Broń wam wypożyczę. U mnie wszystko jest. Dwa rewolwery wam na to wystarczą — dodał, uśmiechając się chytrze.

Obserwowałem tego człowieka i dziwnego doznawałem uczucia, patrząc na jego pobożny wygląd i długi chałat, jak to wszystko było sprzeczne z mową, którą z nami prowadził.

Ten człowiek, jak mi „Szofer” w sekrecie później mówił, pochodził ze znanej rodziny z Rosji, z miasta N. Był kiedyś postrachem policji rosyjskiej, odsiedział też osiem lat katorgi w głębi Rosji, a tu zapuścił sobie brodę i pejsy, ubierał się długo<sup>210</sup> i mieszkał nieznany nikomu. Nikt nie wiedział skąd przybył. Prowadził tu życie spokojne. Tylko od czasu do czasu coś zbroił, nadając robotę u tych ludzi, u których miał interesy finansowe. Komu by to na myśl przyszło, że pod jego długą kapotą kryje się weteran zbrodni i występku?

Po omówieniu różnych szczegółów dotyczących wyprawy postanowiono, że „Szofer” i paser mają się tam wpierv udać, gdzie „Szofer” sam obejrzy, jak należy przystąpić do działania. Tegoż dnia wieczorem wyjechali obydwaj. Ja zaś i współnik pozostaliśmy tu. Ostrzeżono nas, byśmy nie wałęsali się po mieście i nie pokazywali nikomu. Zająłem się więc po ich wyjeździe młodszą córką, której na imię było Elcia.

Wziąłem się do interesu bardzo gorliwie, czując świeży kąsek, więc mimo zakazu, który otrzymałem od jej ojca, abym nie wychodził z domu, namówiłem ją, aby udała się ze mną trochę na spacer, na co zgodziła się.

Piękna majowa noc rozmarzyła mnie tak, że nie zdążyliśmy ująć kawałka drogi za miasto, a już zaproponowałem jej odpoczynek. Usiedliśmy na trawie, byłem już pewny siebie, że gdyby ona była cnotliwą dziewczyną, nie poszłaby wieczorem z mężczyzną bliżej jej nie znanym za miasto.

Po drugie, mając takiego ojca, na pewno już próbowała zakazanego owocu. Będąc z natury śmiały, czyli jak mnie przezywano „nachalny”, zacząłem jej niedwuznacznie dawać do zrozumienia, co ja od niej chcę. Zdawało mi się, że tu powodzenie pewne, nie zwątpiłem na chwilę, że moje domysły są trafne. Na przykład, gdy usiadła przy mnie, sukienkę tak podniosła, że byłem pewny, iż już osiągnąłem cel.

— Nie powinna pani nosić takiej długiej sukni, takie piękne nóżki to grzech zakrywać — zauważyłem.

Obejrzała się z uśmiechem i wcale nie ściągając sukienki, powiedziała:

— Jak wyjdę za mąż, to włożę jeszcze dłuższą suknię, a teraz niech chłopcy widzą, że mam naprawdę ładne nóżki.

Słuchając takiej odpowiedzi, stałem się pewny siebie i atakowałem śmiało.

Ona zaś śmiała się trzepotliwie, odpowiadając bez ceremonii na moje uwagi o jej piersiach, że okrągłe i twarde, które zacząłem z miną znawcy obmacywać i zachwycać się nimi, czego wcale nie broniła. Posuwałem się coraz dalej, byłem już niemal pewny, iż jestem bliski wygranej... Nagle zerwała się z miejsca z oburzeniem, widząc nareszcie, do czego dążę.

— Pan jest łobuzem, świnia — rzuciła z oburzeniem i poprawiając suknię, odeszła.

Podążyłem za nią. Prosiłem i błagałem, przysięgając się, że nie chciałem jej nic złego zrobić. Po długich ceremoniach i zakłęciach dała się ubłagać i już pogodzeni ze sobą szliśmy z powrotem do domu.

Myślałem sobie, cwana jest, nie darmo jest córką takiego ojca. Na pewno się tylko droży i dałem sobie w duchu słowo, że muszę się przekonać o jej cnocie i że nie ustąpię. Z takimi myślami przybyłem z nią do domu. W domu prowadziłem jeszcze pogawędkę z siostrami, po czym udaliśmy się na spoczynek.

<sup>210</sup>ubierać się długo — nosić strój pobożnego Żyda. [przypis edytorski]

Całą noc nie mogłem zasnąć, kusila mnie ta nowa znajomość z Elcią. Nie była ona ładna, ale miała coś w sobie, co mnie pociągało, postanowiłem z rana przypuścić nowy atak do jej cnoty.

Dziwna rzecz, gdy ją ujrzałem, wcale nie myślałem o niej. Po takiej kochance, jaką była Frania, pierwsza lepsza spotkana kobieta nie mogła mi się podobać. Udałem się z nią na spacer ot, tak sobie, dla rozrywki. Przypuszczałem atak, jednakże gdy oparła się, zacząłem teraz o niej więcej myśleć i zaczęła mi się podobać.

Myślę, że kobieta niczym tak nie pociągnie mężczyzny, jak oporem. Kobieta łatwa do ustępstwa traci zupełnie na wartości w oczach mężczyzny, choćby nawet w ogóle oddała się po raz pierwszy w życiu. Rozmyślałem też o współniku, który tu spał przy mnie, a któremu jako nie-Żydowi lepiej się tu powiodło niż mnie, Żydowi. Mówił mi, że ta starsza o mało go nie udusiła, obejmując go kolanami. Była to rozrośła, tęga dziewczyna, o zmysłowym spojrzeniu i pełna kobiecości.

Tak rozmyślając, dopiero nad ranem zasnąłem. Dnia tego po obiedzie przybył „Szofer” z paserem w bardzo dobrym humorze. Na moje zapytanie, czy wszystko tam zastali po naszej myśli i czy robota da się zrobić, odpowiedział:

— Wszystko dobrze pójdzie, tylko ty przestań się umizgać do tej dziewczyny i nie zrób tu głupstwa, bo stary gotów ci łeb urwać. Ty nie myśl, że to Frania — dodał.

Ojciec patrzył też na mnie podejrzliwie. Ale ja już byłem bliżej wygranej. Czulem, że ona mi długo się nie oprze i postanowiłem iść do celu, nie patrząc, co będzie. Starsza siostra starała się teraz mnie pociągnąć. Zrozumiała, że atakuję Elcię i wołała mi sama dogodzić niż siostrę narażać. Ale ja udawałem, że nie spostrzegam jej uśmiechów i wzywania.

Na robotę postanowiono udać się dopiero w sobotę wieczorem. Ponieważ była dopiero środa, miałem trzy dni czasu na romans z Elcią i starałem się to odpowiednio wykorzystać.

Paser zaprowadził mnie do pewnego domu i tam kazał mi być do piątku rano. Stary twierdził, że u niego przez trzy dni wszyscy być nie możemy, tylko „Szofer” może zostać, a Antka też gdzieś umieścić. Jednak nie dałem za wygraną. Elka przybiegła do mnie przed wieczorem tegoż jeszcze dnia. Już zdążyłem zdobyć jej zaufanie i już się mnie nie bała. Pierwszego wieczoru spędziła u mnie parę godzin na niewinnych pieszczotach i przed dziesiątą czule mnie pożegnała. Drugiego wieczoru znów przyszła i na moje nalegania ustąpiła. Oddała mi się ze łzami w oczach dopiero na moje przysięgi, że gdy przekonam się, że jest niewinna, to jej nie będę wcale ruszał. Uwierzyła mi. Jednak tej próby nie wytrzymałem i cnota jej pękła na niewinnym drewnianym kufrze...

Ze łzami w oczach odprowadziłem ją do domu, przysięgając, że się z nią ożenię. Była ona faktycznie niewinną dziewczynką i do dziś dnia uważam to zajście z nią za największą podłość, jaką kiedykolwiek uczyniłem w swoim życiu. A dlaczego tak uważam, to się okaże.

Na drugi dzień zaraz z rana przybiegła do mnie, wiedząc, że tego dnia wyjeżdżam na robotę, tuliła się do mnie i lkała.

— Co będzie teraz ze mną — mówiła — gdy ojciec się dowie, on mnie zabije.

Pocieszałem ją, jak tylko mogłem i znów, tym razem sama, pociągnęła mnie ku kufrowi i oddała się już namiętnie, wołając:

— O! Nie wiedziałam, że to jest tak dobrze. Prawda, że się ze mną ożenisz? — dodała naiwnie.

— Prawda, moja kochana, przyjadę z roboty do ciebie i poproszę ojca o twoją rękę.

Mówiłem to, nie wierząc sam w swoje słowa.

## LVIII

W piątek po obiedzie pojazd zaprzężony w parę koni, stalowanych<sup>211</sup> przez pasera, wioził nas trzech do tego miasteczka odległego o dwadzieścia osiem wiorst, mieliśmy wrócić bogato. Droga ciągnęła się między lasami i byliśmy bardzo weseli.

Furman, zaufany pasera, opowiadał wesołe anegdotki, pociągając z butelki, którą „Szofer” mu od czasu do czasu podawał. Byliśmy wszyscy w wesołym usposobieniu, nikomu z nas nawet nie przyszło na myśl, że robota może się nie udać. Jednym słowem,

<sup>211</sup>stalowany — tu: załatwiony. [przypis edytorski]

byliśmy pewni siebie. Mając takiego nadawcę, jakim był ten paser i tak dobraną trójkę do wykonania, czyż można było wątpić w powodzenie?

Śpiew i świergot ptasząt, który towarzyszył nam po całej drodze, umiliły nam chwilę i nareszcie wieczorem stanęliśmy w lesie, na znanym furmanowi miejscu. Stąd do miejsca naszego celu mieliśmy trzy wiorsty drogi. Naradzając się ze sobą, postanowiono, że furman tu zostanie pomiędzy zaroślami, dopóki nie wrócimy z powrotem.

Ja zaś z „Szoferem” mieliśmy się udać do tego miejsca i on miał mi wskazać i objaśnić rozkład pokoi w tej willi. „Szofer” mnie poprowadził poprzez pole, a potem przeszliśmy przez jakiś parkan, gdzie między topolami stała wspomniana willa. Mówił mi, że muszę użyć sprytu i odwagi, by się dostać do środka. Tłumaczył, że w domu jest obecnie tylko służąca, on uda się tam przez frontowe drzwi i będzie starał się nawiązać z nią rozmowę. Ja zaś od ogrodu miałem otworzyć drzwi wprost do sypialnego pokoju i ukryć się tam pod łóżkiem.

Była to robota bardzo trudna do wykonania, ale łup za to miał być bardzo obfity. Więc po wzajemnych, dokładnych wskazówkach, „Szofer” udał się z ulicy do willi jako interesant, a ja, miarkując, że on zabawia rozmową służącą, prędko i sprawnie, używając moich zdolności, otworzyłem drzwi i cicho zamykając je za sobą, jakby nigdy nic, wślizgnąłem się do środka.

Doleciała mnie tam rozmowa prowadzona po żydowsku między współnikiem a służącą. Rozmowa przybierała coraz poufalszy ton. Służąca, jak służąca, jest przeważnie łatwowierna i w każdym mężczyźnie, którego pozna, widzi dla siebie męża. Starałem się podług wskazówek pasera wymacać miejsce ukrycia kasetki. Po dłuższym poszukiwaniu i obmacywaniu dywanu natrafiłem nad samym łóżkiem na kasetkę, podniosłem dywan i ujrzałem dość dużego rozmiaru kasetkę, całą ukrytą wewnątrz ściany. Obejrzałem ją naprędce, a słysząc, że ich rozmowa ucichła, zmiarkowałem, że współnik odszedł; wlałem prędko pod angielskie, szerokie łóżko, których tam stały dwa.

Leżąc pod łóżkiem, miałem czas obmyślić sposoby działania. Wiedziałem, że w sobotę wieczór małżonkowie są w mieście na kolacji u teściowej i że tu dopiero mogą przybyć o jakiejś dziesiątej lub jedenastej. A było dopiero po ósmej.

Chodziło też o to, że młoda żona właściciela willi miała na sobie drogi naszyjnik i brylantowe kolczyki wielkiej wartości, które na noc chowała do kasy, o czym paser nam chytrze wspomniał i przez co trzeba było czekać, aż się ułożą do snu.

Miałem też uważać, gdzie chowa klucz na noc, który by nam ułatwił sytuację. Z początku, leżąc pod łóżkiem, mogłem głowę zupełnie wytknąć i swobodnie oddychać, ale za jakąś godzinkę po moim tu przybyciu weszła służąca i zaczęła słać łóżka. Światło nocnej lampy było już z wieczora, z powodu soboty, zapalone. Dzięki światłu mogłem dobrze obejrzeć ten pokój. Teraz widziałem tylko nogi służącej, po których zorientowałem się, że ich właścicielka musi być dość młoda. Śpiewała sobie przy śłaniu jakieś urywki żydowskiej piosenki miłosnej. Dwa razy stanęła przy wielkim lustrze i zaśmiała się sama do siebie. Na pewno przyglądała się i była zadowolona ze swojego wyglądu. Kręciła się jeszcze chwilę po pokoju, po czym wyszła, zamykając drzwi za sobą.

Teraz znów wytknąłem głowę, oddychając pełną piersią i nabierając w płuca zapasu powietrza, abym mógł tam dalej wytrzymać. Było mi bardzo niewygodnie. Ale czegoż człowiek nie robi dla zdobycia pieniędzy?

Leżąc tak pod łóżkiem, przemyślałem swoje życie, które teraz wydawało mi się strasznie nędzne. Przyszło mi na myśl, że mogę zdradzić się tu moją obecnością, a wtedy mogą mnie zastrzelić jak psa. Ostrzegł nas paser, że kupiec ma broń i że jest silny i młody. Różne inne strachy stanęły mi przed oczyma. Wtem drzwi otworzyły się z hałasem i ze śmiechem weszła najpierw kobieta, a za nią mężczyzna. Serce zaczęło mi bić gwałtownie. Była mi tak strasznie, że bałem się, że mi serce pęknie. Krew uderzyła mi do głowy, zrobiło mi się duszno i gorąco. Bałem się oddychać, by się nie zdradzić.

Kobieta usiadła na łóżku, pod którym leżałem. Mężczyzna zaś opowiadał jej coś wesołego o jakiejś kobiecie, a ona śmiała się coraz głośniejszym głosem, prosząc go, aby zaprzestał. Jej śmiech był mi na rękę, mogłem głośniejszym głosem oddychać. Potem padły głośne pocałunki.

Po chwili kobieta wstała i słyszałem, jak otwierała kasę i coś tam robiła. Mężczyzna również po chwili nachylił się razem z nią nad łóżkiem i coś tam w kasie przekładali, słyszałem, jak ją zamknęła, mówiąc do męża:

— Masz klucz.

On zaś powiedział:

— Włóż go pod poduszkę

Więc klucz jest pod poduszką, myślałem, dobrze idzie. Mężczyzna pierwszy począł się teraz rozbierać i wlaź do łóżka, pod którym leżałem, prosząc, aby i ona się rozbierała.

— Zaraz, zaraz — odparła kobieta, śmiejąc się — nie gorączkuj się tak, mój kochany, ty jeszcze zdążysz swoje zrobić.

I zaczęła się powoli rozbierać. Gdy już stanęła w bieliźnie, mężczyzna pociągnął ją do swego łóżka. Roześmiała się i ułożyła do tego samego łóżka. Musiała być odpowiedniej tuszy, gdyż materace wyginały się pod ciężarem i oparły się niemal na moich plecach. Ładny interes, pomyślałem, uduszą mnie.

Zaczęły się, jak zwykle w tych chwilach między młodym małżeństwem najprzód pocałunki i zapewnienia miłości, a potem głośnie sapania...

Materace raz podnosiły się, to znów opierały się o moje plecy. Pot kroplisty oblewał mnie całego, myślałem, jak tak dalej pójdzie, to nie wytrzymam. Znalazłem się tu bardzo śmiesznie. Domyśliłem się, że to może potrwać dość długo, w czym się też nie myliłem. Sapanie stało się coraz głośniejsze i zawziętsze. Pocałunki odbijały się po pokoju jeden za drugim. Zmysły zaczęły u mnie działać, jak jeszcze nigdy. Musiałem skupić całą swoją siłę woli, by nie popełnić tu głupstwa...

Nagle kobieta zawołała namiętnie urwanym głosem:

— *Tie-tie-tie-fer...*<sup>212</sup>

Mąż zaś odparł, dysząc ciężko:

— *Gut, gut...*<sup>213</sup>

Na te słowa zaledwie nie wybuchnąłem śmiechem. Jednakże wstrzymałem się, było mi duszno aż do mdłości, w tej chwili wyrzekłbym się zarobku, aby tylko ktoś mnie wybawił z tej sytuacji.

Zabawa trwałaby kto wie jak długo, gdyby nie mąż, który zaklinał się, że już na dziś dalej nie może...

„Druga Frania”, pomyślałem.

Miałem straszną ochotę zobaczyć tę kobietę, Czy ona jest ładna. Wtem kobieta wyskoczyła z łóżka i z nocnej szafy wyciągnęła miednicę z wodą. Zmiarkowałem, co tu się teraz stanie i zamknąłem oczy, bałem się, że nie wytrzymam. Słyszę plusk wody i otworzyłem jednak oczy. Mogłem teraz oglądać całe jej kobiece wdzięki i widzieć to, czego może mąż nie widział. Uczuć, których wtedy doznałem i dzikiej żądzy, która mnie ogarnęła, nigdy nie zapomnę. Byłem, że tak się wyrażę, na ten widok bliski oblędu.

Kobieta mogła mieć z górą lat dwadzieścia trzy, rosła w biodrach i piękna, w całym tego słowa znaczeniu. Dłuższy czas po tym pamiętnym dla mnie obrazie z owej nocy stała mi przed oczyma i spędzała sen z powiek.

Po tym co się stało, myślałem, że teraz na pewno już koniec zabawy, że ona ułoży się do swego łóżka na spoczynek, ale pomyliłem się. Wlaźła z powrotem do łóżka męża i zaczęły się różne wynurzenia. Trwało to dość długo, a jak mi się wydawało, wieki całe.

Zegar wybił dwunastą. Myślałem, kto wie, kiedy zasną. Cieszyło mnie tylko to, że o ile zasną, to będą na pewno spać po takich zawziętych atakach jak zabici. Po dłuższej chwili rozmowa zaczęła się urywać. Mąż odpowiadał jej sennym głosem, prosząc ją, aby nareszcie dała mu spokój i że chce spać, potem nastąpiły dwa głośnie pocałunki i cisza...

Było już w sam czas, bo czułem, że dłużej tam nie wytrzymam w żaden sposób. Jednakże musiałem jeszcze leżeć pod łóżkiem dość długo, zanim usłyszałem głośnie oddechy, a potem chrapanie śpiących. Byłem teraz pewny, że po takiej fizycznej pracy, której byłem świadkiem, tak prędko nie przebudzą się.

Ostrożnie i cichutko wylazłem spod łóżka, z wysiłkiem prostując członki i ocierając pot z czoła, pozwoliłem sobie na głośniejsze oddychanie. Spojrzałem na śpiącą parę.

<sup>212</sup>*tiefer* (jid.) — głębiej. [przypis edytorski]

<sup>213</sup>*gut* (jid.) — dobrze. [przypis edytorski]

Żona, leżąc przy brzegu łóżka, miała zarzuconą prawą rękę na szyi męża. Pierwszą moją czynnością było odsunąć ze środka rygiel i potem kluczem otworzyć drzwi wychodzące do ogrodu, te same, przez które tu wszedłem.

Drzwi skrzyknęły tak silnie, że obawiałem się, iż się przebudzą. Wspólnicy, jak dwa cienie, cichutko wsunęli się do pokoju i zaraz za nimi drzwi przymknąłem. Pokazałem palcem na miejsce kasetki. „Szofer” machnął głową na znak, że rozumie, iż myślę, że w bardzo złym miejscu jest ona umieszczona i trudno będzie do niej dostąpić. Na domiar złego leżeli oboje w łóżku od ściany. Gdyby nie to, można by było łóżko odsunąć nieznacznie od ściany, ale z nimi trudno to będzie zrobić. Nachylać się nad nimi jest bardzo ryzykowne, mogą się przebudzić. Staliśmy tak chwilę bezradni, patrząc jeden na drugiego. „Szofer” cicho szepnął do ucha Antkowi, aby poszedł do drugiego pokoju trzymać straż nad służącą, która może się obudzić, co też wykonał. Ja zaś próbowałem klucze wy dostać spod poduszki, jednak daremnie, nie mogłem na nie trafić. Najpierw odsunęliśmy łóżko próżne, a następnie próbowaliśmy całym wysiłkiem od strony nóg i tamto łóżko odsunąć. Po wielkich wysiłkach odsunęliśmy je ostrożnie, aby ich nie obudzić. Udało się.

„Szofer” stanął teraz nad nimi z rewolwerem w rękę, a ja, mając już dostęp do ściany, podniosłem dywan zakrywający kasetkę i przystąpiłem do roboty. Pracowałem cicho i sprawnie, tylko palce nerwowo mi drgały. Robota szła bardzo opornie. „Rak” był źle hartowany, a kasetka z twardej i grubej stali, tak że bor<sup>214</sup> ślizgał się, zanim zaczął boro wać.

„Szofer”, widząc, że się denerwuję, podał mi rewolwer i sam wziął się do pracy. Z początku szło mu lepiej niż mnie. Tu muszę zaznaczyć, że był on z zawodu wykwalifikowanym ślusarzem-mechanikiem, mimo to po chwili tak samo spociał się, a „raki” nie chciały brać. Znów zluzowałem go, będąc silniejszy niż on, chciałem się dołożyć więcej siłą, ale on szarpnął mnie ze ramię, gdyż robiłem dużo hałasu.

Borowałem dziurę jedną przy drugiej, tak aby „rak” mógł prędzej brać. Zegar wskazywał już po wpół do drugiej, tu źle idzie, lada chwila „dolatorzy”<sup>215</sup> mogą się przebudzić. Będąc coraz bardziej zdenerwowany, robiłem więcej hałasu przy pracy. Upłynęło już pięćdziesiąt minut, jak pracowaliśmy, a oni spali, zacząłem już nabierać otuchy, że robota się uda. Jeszcze jedna strona pozostała do rozprucia, a dostanę się do środka. Wtem bor mi się nagle poślizgnął i korba upadła z hałasem na podłogę, odbijając się o krawędź łóżka tak silnie, że oboje jednocześnie przebudzili się i wydali okrzyk:

— Oj!...

Na widok rewolweru dalszy okrzyk zamarł im na ustach.

Zły i doprowadzony do ostateczności tym, co się stało, zawołałem groźnie:

— Proszę dać klucz od kasy!

Nie odpowiedzieli.

Powtórzyłem; i teraz nie otrzymałem odpowiedzi. Szarpnąłem go wówczas za ramię, zdawało się, że odzyskał przytomność umysłu. Na widok lufy rewolweru potracili oboje mowę, a może myśleli, że śnią.

— Nie mam klucza przy sobie — odparł.

Kobieta patrzyła na mnie ze strachem w oczach, a zarazem jakby mnie błagała o coś. Bez słowa podniosłem poduszkę i złapałem za klucze. Kobieta na widok kluczy w mojej ręce wydała straszny okrzyk i dostała spazmów czy też je udawała. Z pokoju, gdzie Antek stał nad służącą, dolatywały również do nas wołania o pomoc:

— Gwałt! Gwałt! Bandyci!

Mąż, widząc nasze wahanie, począł na całe gardło tak samo wzywać o pomoc. Wszystko tu było stracone, nie było czasu do namysłu, pociągnąłem za sobą „Szofera”, który, jak zauważyłem, miał chęć użyć broni i rzuciłem się do ucieczki.

Koniec końców, ledwie z życiem stamtąd uszliśmy, dążąc ku naszemu pojazdowi.

Furman spał smacznie na wozie, widać marzył o łupie, co miał nadejść, obudziliśmy go i ruszyliśmy stąd jak najprędzej. Furman domyślił się, że źle i że nic się nie udało. Wspólnicy robili mi po drodze wyrzuty, że przeze mnie robota się nie udała i że trzeba było nie uciekać, a walić w łeb. Próbowałem tłumaczyć, że ta robota i tak by się nie udała

<sup>214</sup>bor — wiertło. [przypis edytorski]

<sup>215</sup>dolator — uszkodzony. [przypis edytorski]

i że ja, leżąc tam kilka godzin pod łóżkiem, więcej ryzykowałem niż oni. Opowiadałem im też o całym zajściu, którego byłem świadkiem. To ich trochę rozweseliło, ale nie na długo. Dla nich nie było to nic nowego. Niemal każdemu złodziejowi, który chodzi na „ślam”<sup>216</sup>, zdarza się widzieć podobne sceny i to często.

Tak w smutnym nastroju wróciliśmy do pasera. Stary, słysząc o naszym niepowodzeniu i że do tego ja się przyczyniłem, skakał ze złości, pluł, zesmarkał się i groził, że nam tego nigdy nie przebaczy.

— Taki złoty interes — mówił — i tak spaskudzić... „Szofer”! Ja od dziś nie chcę cię znać, nigdy bym się nie spodziewał, że ty masz takich frajerów za współników — tu pokazał na mnie i ze złością spluwając przed siebie, dodał: — Trzeba było lepiej zostać już rabinem, a nie złodziejem.

„Szofer” też był zły. Tylko Antek śmiał się, mówiąc:

— No, trudno mówi się, dziś nie udało się, drugim razem się uda — i poprosił mnie, abym mu opowiadał dokładnie, co widziałem podczas leżenia pod łóżkiem, śmiał się przy tym ze mnie.

Paser objaśnił nam, że możemy go już pożegnać, że nie chce więcej nas znać i że możemy odjechać, skąd przybyliśmy.

— Trzeba było robić na mokro, a nie stchórzyć. Prawdziwi złodzieje waliliby w łeb, a nie uciekaliby z wiatrem — powiedział z wyrzutem.

Jedyna Elka ucieszyła się moim powrotem, nie wiedząc, co zaszło. Tu muszę zaznaczyć, że córki o niczym nie wiedziały. Stary się ich strzegł, aby nie wiedziały o jego sprawach. Tegoż jeszcze dnia, nie żegnając się z Elką, która prosiła, abym został i zapewniała przy tym, że mnie kocha, wyjechałem do Ł.

## LIX

Upłynęło parę dni po tych wypadkach. O miłostce z Elką starałem się zapomnieć, próbowałem znów szczęścia, ale jakoś nie szło. Jakby na złość, gdzie tylko udałem się na wyprawę, nic się nie wiodło. Tu ktoś z domowników nagle przebudził się, tam znów spłoszył nas pies, ten największy wróg przestępców, gdzie indziej spostrzegł nas stróż nocny, niemniej groźny. Byłem w rozpacz i podrażniony. Szedłem już na ślepo ryzykować, jakbym sam chciał się dostać do „Czerwoniaka”.

Wspólnicy spostrzegli moje rozdrażnienie, gdyż oprócz tej roboty na Litwie, jeszcze dwie roboty z mojej przyczyny nie powiodły się. Uznali zgodnie, że mnie pech prześladowuje i poczęli stronić ode mnie.

Na drugi dzień po moim tu przybyciu przybyła do mnie fryzjerka i opowiedziała mi, że wie na pewno, iż policja mnie poszukuje z agentem B. na czele. Więc jako jedyna przyjaciółka radziła mi, abym z nią stąd wyjechał.

Zwierzyła mi się też w sekrecie, że jej mąż jest u Niemców konfidentem i że kochając złodzieja, nie chce być więcej żoną konfidenta. Prześladowała mnie na każdym kroku, jak dawniej, ze swoją zmysłową miłością. Nawet groziła mi, że źle będzie, o ile ją opuszczę.

Ja sobie z jej pogroźki nic nie robiłem i jawnie zacząłem jej okazywać swój wstręt. Ona nie ustąpiła, a nawet nie krępując się już przed mężem, przychodziła do mnie na moją „melinę”.

Zrozumiałem, że tak długo być nie może, czy wpierw, czy później naprowadzi policję do mojej kryjówki. Postanowiłem więc wyjechać do Warszawy. Na to potrzebne mi były pieniądze. Sprzedałem zbędne rzeczy, których miałem sporo i szykowałem się do wyjazdu, co też nie uszło jej uwadze.

Dnia 18 maja oświadczyła mi stanowczo, że stąd nie wyjadę, na co wybuchnąłem śmiechem i zauważyłem:

— Proszę cię, raz na zawsze wybij sobie to z głowy, masz męża i dziecko, co więc chcesz ode mnie? Zapomnij, co było między nami, bo ja o tym dawno zapomniałem.

Na te słowa rzuciła się do mnie z pazurami. Odepchnąłem ją lekko, upadła na kanapę i zaczęła zawodzić na cały głos, nie zważając na to, że nie byliśmy tu sami. Chcąc uzyskać jeden dzień czasu, abym mógł następnego dnia wyjechać, zacząłem ją uspokajać. To mi

<sup>216</sup>ślam — kradzież podczas snu. [przypis edytorski]



się udało. Odprowadziłem ją potem kawał drogi do domu i wróciłem z postanowieniem, że jutro po obiedzie wyjeżdżam.

Po zjedzeniu kolacji ułożyłem się do snu, długo nie mogłem zasnąć, miałem jakieś złe przeczucie. Dręczyło mnie to tak, że nawet chciałem ubrać się i stąd wyjść, by przemocować gdzie indziej.

„Meliniarka”, u której mieszkalem, widząc, mój niepokój i zdenerwowanie, starała się mnie uspokoić i tłumaczyła, że nic mi tu nie grozi, zapewniała mnie, że nikt oprócz fryzjerki nie wie, że tu mieszkam, a ona zanadto mnie kocha, by mogła zdradzić moją kryjówkę i oddać policji.

Nareszcie uspokojony zasnąłem.

Miałem zaraz sen, który do dnia dzisiejszego utkwił mi w pamięci i pamiętam go, jakbym to przeżył na jawie.

Śniło mi się, że płynę okrętem po morzu. Pokład cały jest oświetlony, wielu ludzi, a między nimi przeważnie piękne i wystrojone kobiety, tańczą wokół mnie, jest bardzo wesoło. Muzyka pięknie gra. Wtem słyszę jakiś wybuch, światła pogasły i robi się ścisk i zamieszanie. Okręt zaczyna tonąć. Widzę, jak ludzie przeraźliwie wymachują rękami, wołając o pomoc. Muzyka nie przestaje jednak grać, tylko zamiast skocznych marszów jak przedtem, gra marsz żałobny. Ja stoję na pokładzie i wsłuchuję się w dźwięki smutnych tonów muzyki. Okręt już do połowy zatonął, stojąc już do połowy w wodzie, rozglądam się wokół i dziwię się, że ludzie wszyscy stąd znikli. Jestem tu tylko sam. Okręt się zagłębia. Woda sięga mi po szyję. Czuję, że już ostatnia chwila nadchodzi. Wtem spostrzegam w pobliżu łąd, rzucam się do morza. Płynę, a łąd się zbliża ku mnie, myślę, że uratowany. Jeszcze pozostaje mi kilkanaście kroków, natężam siły i już, już jestem przy brzegu morza, gdy nagle wyrósł i stanął przede mną wysoki mur, na podobieństwo muru „Czerwoniaka”. Zbieram resztę sił i zaczynam płynąć wzdłuż tego muru. Może się skończy? Daremnie, płynę, płynę i czuję, że siły mnie opuszczają, a mur ciągnie się coraz dalej i dalej, myślę, śmierć nadchodzi, nie widzę znikąd ratunku. Czuję skurcz i bezwład w członkach. Wtem spostrzegam, że blisko mnie na murze siedzi jakaś kobieta i daje mi znaki, abym się zbliżył, zbieram resztę sił, patrzę, linka się zwiesza z muru, a koniec jej jest tuż przy mnie. Więc chwyciłem się rękoma za zbawczy sznur. Odpocząłem chwilę, oddychając ciężko, i zaczynam się wspinać po ścianie. Kobieta, trzymając linkę, zachęca mnie, abym się wdrapywał w górę, a będę uratowany. Wtem poznaję tę kobietę, to ona... Zachichotała nagle szatańskim śmiechem i czuję, że sznur urywa się, a ja lecę i lecę w jakąś otchłań...

Budzę się, cały zlany potem i zastanawiam się chwilę, zanim mogłem się zorientować, gdzie jestem i co się ze mną dzieje, słyszę wkoło siebie jakiś hałas i głośną rozmowę. Przecieram oczy, jakbym chciał odpędzić przykry widok. Patrzę przed siebie i to, co ujrzałem i poczułem w tej chwili, niepodobna jest opisać. Uczucie, którego doznałem, było jednym z najstraszniejszych, jakich kiedykolwiek zaznałem w życiu. Ciemno mi się zrobiło w oczach i jak przez mgłę widziałem dwie lufy rewolweru skierowane w moją stronę. Wszystko nareszcie zrozumiałem. Serce ścisnęło mi się i dreszcz przeszedł wskroś ciała, tak jakby śmierć stanęła obok mnie i zajrzała mi w oczy.

— Jazda, ubieraj się — zabrzmiał szyderyczy głos.

Drgnąłem na te słowa i spojrzałem, odzyskując już przytomność umysłu. Był to agent B. Oczy nasze spotkały się. W jego oczach był triumf i duma zwycięzcy.

Nie zdążyłem się namyślić, gdy drugi agent szarpnął mnie za ramię, ściągając ze mnie koc.

— Ubieraj się prędko — mruknął mi jeszcze groźniej niż B.

Zacząłem się ubierać. Ubrania moje były już dokładnie zrewidowane, a całe mieszkanie wyglądało tak, jakby tu Tatarzy przeszli. Było tu aż kilkunastu z policji, zrywano w podejrzanych miejscach podłogę i wszystko przewrócono do góry nogami. „Meliniarka” stała w nocnej bieliźnie, tylko chustkę miała zarzuconą i cała drżała, a jej troje dzieci, trzymając się jej za koszulę, płakało na głos. Ubrałem się, z płaczem żegnała mnie ta biedna rodzina, nałożono mi kajdanki i wyprowadzono z mieszkania.

Gdy mi się to śniło, agenci już stali nade mną i wtedy zrewidowano cały dom, znaleziono moje przybory, które jeden z agentów w skórzanej walizce z ledwością dźwigał za mną.

Po drodze śmiali się ze mnie, że się już teraz nie wymknę z ich rąk i że dość już nabroilem. Najwięcej drwił agent B. i dawał mi dwuznacznie do zrozumienia, że to żona fryzjera ich tu sprowadziła, czego się i tak sam domyśliłem. Tak, zemściła się strasznie nade mną. A raczej jej mąż ją do tego nakłonił, jak się to później okazało. Przyprawiono mnie na policję. Tam dopiero oprzytomniałem zupełnie, aby zdać sobie sprawę, że jestem zgubiony.

Oj! Jak chciałbym się w tej chwili zapaść pod ziemię. Gdzie tylko spojrziałem, spostrzegłem wzgardę i potępienie. Ten sam agent B., który z tych, co mnie aresztowali, najwięcej ode mnie brał łapówek, teraz szydził ze mnie i napawał się moim upadkiem...

Spisano tu na razie protokół i wzięto mnie w „krzyżowy ogień pytań”, potem całość dopelniona została kilkoma porządnymi kulakami i kopniakami, wśród szyderczych uwag przedstawicieli sprawiedliwości zostałem popchnięty po schodach do kozy. Drzwi żelazne, podwójne dla niebezpiecznych, z hałasem się za mną zamknęły.

Zakuty jeszcze za ręce, upadłem na brudne nary i zacząłem łkać. Tu, między czterema ścianami celi mogłem swobodnie rozpaczać. Nikt tu tego nie widział i ja nie widziałem nikogo. Czulem żal sam do siebie, do całego świata, do Boga, do wszystkiego, co tylko istnieje, że stałem się tym, kim jestem.

Dzień już zaczął się przedzierać przez kraty do mojej celi. Byłem aresztowany o drugiej w nocy. Tym razem światło dzienne budziło we mnie tylko lęk. Myślałem o strasznej przyszłości, która mnie czeka. Nie wiedziałem wprawdzie, za co mnie aresztowano, ponieważ przez te sześć i pół miesiąca, gdy byłem na wolności, dużo nabroilem. Zrozumiałem jednak, że jestem zgubiony.

Zacząłem biegać po celi, przypominając sobie przestępstwa od pierwszego do ostatniego, aby sobie zdać sprawę, za co mnie właśnie aresztowano i co mi grozi.

Doszedłem sam do wniosku, że jestem strasznym potworem i sam siebie się zląkłem, że przez taki krótki okres potrafiłem aż tyle nabroić. Nawet sam musiałem w duchu przyznać, że już najwyższy czas byłoby mnie unieszkodliwić. Straszne, straszne było moje położenie. Powiesić się! — zabłysła mi myśl w głowie, mimo woli obejrzałem się po celi, wzrok mój padł na kraty. Tak! Powieszę się, pomyślałem. Przyszły mi na myśl kiedyś przeczytane przeze mnie słowa filozofa Otto Weininger<sup>217</sup>, który twierdzi: „Każdy przyzwoity człowiek sam powinien zadać sobie śmierć, gdy czuje, że staje się absolutnie zły”. Ale byłem już na tyle podły, że do samobójstwa zabrakło mi odwagi. Potem wyczerpany rzuciłem się na gołe nary i zasnąłem. Obudziło mnie silne szarpnięcie za nogi. Wstałem. Przedstawiono mnie komisarzowi policji, który był mi znany z opowiadań kobiet kontrolnych, że lubił się z nimi często zabawiać. Popatrzył na mnie podejrzliwie, zadał kilka pytań i rozkazał dwóm policjantom odstawić mnie natychmiast do „Czerwoniaka”.

## LX

Pierwszą osobą, która mnie tu przywitała w kancelarii więziennej, był nie kto inny jak Ról. W życiu już zawsze tak bywa, że tych ludzi, których się nie chce oglądać, zawsze pierwszych się na swej drodze spotyka. Przywitał mnie od samego progu groźnym warknięciem:

— Lump!

On mnie przyjął, ponieważ był to dzień jakiegoś święta, a zastępował tu wszystkich.

Pisarek więzienny spisywał i załatwiał formalności przyjęcia. Na pytania pisarza, jak się nazywam i czy już kiedy siedziałem w więzieniu, zamiast mnie Ról odpowiadał. A widząc, że zaprzeczam co do imienia i nazwiska, chciał mnie już bykowcem przeciągnąć, jednak policjanci, którzy byli jeszcze obecnie ze mną, twierdzili, że się już tak nie nazywam i że wtedy siedziałem na lewe nazwisko.

Ról, słysząc to, pogroził mi pięścią i zawołał groźnie, że on mnie teraz nauczy rozumu.

— Los!

Wyprowadził mnie z kancelarii do centrali. Prowadzony przez długi korytarz, gdzie po obu stronach mieszczą się cele ogólne, mające drzwi kratowe, słyszałem za sobą, jak jeden więzień do drugiego szeptał:

— Patrz, Nachalnika już przytachali.

<sup>217</sup> Weininger, Otto (1880–1903) — filozof austriacki, autor m.in. rozprawy *Pleć i charakter*. [przypis edytorski]

Ujrzałem też kilka znajomych twarzy przy kratkach — patrzono na mnie z politowaniem.

Ról zaprowadził mnie, o dolo, pod tę samą celę, z której tu wyszedłem pół roku temu na wolność. Przemówił do mnie w swoim stylu. Jeszcze raz mi pogroził, że tym razem wie już dobrze, kto to taki i wałnął złośliwie drzwiami, wychodząc z celi.

Gdy się tu ujrzałem sam między czterema ścianami, w znanym mi pokoju, skoro Ról przekręcił klucz w zamku, zrobiło mi się śmiertelnie ciężko i słabo, w głowie mi się kręciło. Pomyślałem: zapadło wieko mojej trumny, w której pochowano mnie i moją młodość. Przedstawiłem sobie tu przyszłe życie w całej żywotności i okropności. Skończyło się wszystko, zamarała moja wola, przestałem być sobą. Stałem się od tej chwili tylko martwym, nic nie znaczącym numerem. Dusza moja z chwilą, gdy przekroczyłem próg więzienny, została mi odebrana i włożona wraz z portfelem do depozytu, a tu tylko rzucili kadłub. Zgnębiony i skołatany, stałem chwilę pośrodku mojego grobu. Powietrze było duszne, czuć było wilgoć i stęchliznę jak w piwnicy i dobrze mi znaną woń więzienną. W każdym więzieniu, mimo czystości korytarzy, w celach pojedynczych panuje okropny odór, który nowo przybyłego, zanim się oswoi z tym zapachem, przyprawia nieomal o mdłości.

Woń ta na pewno jest gruzlicza, skraca zbyt długoletnią karę, mierzoną hojną ręką sędziego. Otworzyłem wąski lufcik, owionęła mnie fala chłodnego wiatru, który odświeżył mi twarz. Powoli wracała mi zupełnie świadomość cierpienia. Głód dokuczał, przybyłem tu po obiedzie, więc już byłem na to przygotowany, że pójdę głodny spać. Stojąc zaś przy oknie, myślałem:

Dziś 19 maja, jak pięknie jest na dworze, a ja tu będęgnił, kto wie jak długo. Przypomniałem sobie, z jaką to uciechą przywitałem ten miesiąc, myśląc, jak to lato 1916 i 1917 roku przesiedziałem w więzieniu, a obecnie będę się wygrzewał na słońcu, na wolności, a tymczasem...

Uświadomiłem sobie zupełnie, że od dnia dzisiejszego skołała moja wolność, wszystkie pragnienia i plany. Odwróciłem głowę od okna, opuściłem ją na piersi bezwładnie i zapłakałem. Były to łzy człowieka krzywdzonego przez los, pochowanego żywcem w trumnie, co wie dokładnie, jakie męki go tu czekają. Czy warto cokolwiek oplakiwać więcej niż wolność?

Na korytarzu rozległ się znany mi już od dawna okrzyk: „Kalefaktoży”. To Ról zwoływał po kolację — gdy tylko to czarodziejskie jedno słowo zostało z jego ust wyrzucone, ze wszystkich stron po schodach biegli korytarzowi, a echo drewnianych trepów roznosiło się po ponurych korytarzach i odbijało o dusze więźniów. Więc zaraz dostanę kolację, po której to człowiek zaczyna czuć się głodniejszym niż przedtem, kolację, której widok wywołuje łzy w oczach. O! Niejedną łzę wypilem wraz z taką kolacją. A potem, potem aż do rana siedemnaście godzin leżeć głodny na swoim barłogu, przewracać się z boku na bok, wsłuchując się w odgłos własnych kiszek, wygrywających marsze, jakby umieszczony tam był jakiś gramofon — to straszne. Słyszę trzaskanie drzwiami, zbliżające się coraz bardziej do mnie. Stoję z miską w ręku przy drzwiach, już rozebrany. Drzwi się otworzyły, a na widok dymiącego cebra pragnienie i głód stokrotnie się powiększyły, coś brunatnego koloru wpływa mi do miski. Wystawiam stołek z ubraniem i drzwi z hałasem zapadają.

Stoję pośrodku celi, patrzę na miski i rozpacz mnie ogarnia na widok tego płynu nieokreślonego koloru. Nic dziwnego, pierwszy dzień dopiero jestem w więzieniu, więc nie śpieszę się. Ale po chwili piję zawartość i spostrzegam, że na dnie jest trochę mułu od pietruszki.

Głód po tej kolacji, jak przewidywałem, tylko się zwiększył. Zacząłem biegać po celi tam i z powrotem. Przyszły, jakby na złość wspomnienia, jak to niedawno siedziałem u Czecha... przy obficie zastawionym stole z jedzeniem, które mi usłużny kelner dostarczał na kiwnięcie palcem. Chciałem o tym nie myśleć, ale głód stale kierował moją myśl ku jedzeniu.

Na korytarzach więzienia panowało głębokie milczenie i cisza, tylko z cel od czasu do czasu dolatywały ciężkie westchnienia. Zbliżyłem się do okna, bo usłyszałem rozmowę ludzką. To więźniowie, ci odważniejsi i nie dbający już o swoją skórę, po całodziennym milczeniu zaczynają ze sobą rozmawiać, gdyż Ról z dozorcami rozeszli się do domu.

Nadsluchuję z natężeniem, gdyż usłyszałem i moje przezwisko — zmiarkowałem, że to więźniowie o mnie mówią.

— Janek! Janek! Ty! Słyszysz?

— No, gadaj!

— Ty wiesz, kogo tu przyprowadzili?

— Nie wiem.

— Ty! Słyszysz? Kalefaktor mi mówił, że „Nachalnika” przyprowadzili, wiesz, ten Żyd, współnik Staśka, ten sam, co mu Franię odbił.

— Aha! Wiem już, to ten sam, co niedawno stąd wyszedł.

— Tak!

— Gdzie go „wychłali”<sup>218</sup>?

— Tego jeszcze dobrze nie wiem, ale podobno „zasypany” jest na dobre.

— Stasiak już wie o tym?

— Nie wiem tego, ale Maniek, jego współnik siedzi nad tobą, zapukaj do niego.

Za chwilę usłyszałem i poznałem głos Mańka, brzmiał jakoś smutno.

— Kto mnie woła?

— To ja! — odparł ten sam, co kazał do niego zapukać w ścianę.

— Ty! Maniek, słyszysz? „Nachalnika” przyprowadzili.

— To być nie może — odparł Maniek żywiej. — Gadaj, kto ci o tym powiedział?

— Kalefaktor.

Słyszając głos Mańka, chciałem się odezwać, ale wstrzymałem się, aby słyszeć, co on myśli o mnie. Wtem wartownik przechodził pod oknem i nakazał milczenie.

Po chwili, gdy wartownik oddalił się, znów zaczęto z sobą rozmawiać, ale tym razem głosy rozmawiających zwiększyły się, padały różne pytania i odpowiedzi co do mojej osoby. Czyjś nie znany mi głos o mnie się tak wyraził:

— Czy to ten sam Żyd, co przechodził z Franią tu pod murem?

— Tak — odparł ktoś.

— Ja, będąc Staśkiem — odezwał się tenże głos — takiego współnika bym...

Kilka głosów to potwierdziło, tylko jeden Maniek tak się odezwał:

— To był dobry chłopak i fest z niego „urke”, a w to, co jest między współnikami, nie ma nikt prawa się wtrącać. A pod jaką celą on siedzi?

Na te słowa żal mi się zrobiło tego biednego Mańka, który był zawsze dobry dla mnie i nie wytrzymałem, wlałem na stół i czepiając się kraty, zawołałem go po imieniu.

— Jak się masz, brachu? — odezwał się. — Ty tu?

— Tak, bracie, to ja.

— Za co cię wtrynili?

— Sam jeszcze nie wiem za co.

— To jeszcze gorzej, bo pewno masz tyle grzechów, że nie wiesz, za które cię „wypili”<sup>219</sup>, co?

— Tak i mnie się zdaje, trudno, co robić, przyjdzie się „pokiwać”<sup>220</sup>.

— Co słyhać na wolności? — zapytał jakiś głos

— Co ma być słyhać — odparłem — kto ma forszę, ten pije, je i bawi się.

— Tak jak było zawsze — zawołał ktoś smutno.

— *A wojna skoro konczyjsja?*<sup>221</sup> — rozległ się jakiś basowy głos po rosyjsku. Widać, był to jeniec wojenny.

— Mówią, że tak — odpowiedziałem — ale nie wiem jeszcze nic pewnego.

Ten sam głos chciał jeszcze o coś zapytać, ale ktoś mu przerwał.

— Dajcie współnikom najpierw pomówić, później my pogadamy.

— Tak, ma rację, cicho tam bądź — zawołał ktoś.

— Źle, bracie, żeś ty przyszedł i ja teraz będę siedział bez kawałka „koku”<sup>222</sup> — powiedział Maniek smutno.

<sup>218</sup>wychłać — aresztować. [przypis edytorski]

<sup>219</sup>wypić — być aresztowanym. [przypis edytorski]

<sup>220</sup>kiwać — siedzieć w więzieniu. [przypis edytorski]

<sup>221</sup>wojna skoro konczyjsja? (ros.) — wojna kiedy się skończy? [przypis edytorski]

<sup>222</sup>koks — chleb. [przypis edytorski]

Tu muszę zaznaczyć, że tego dnia, kiedy było wolno podawać „wałówkę”, pamiętałem o Mańku. Więc nic dziwnego, że żalował, iż ja tu wpadłem.

— Co robić, brachu, może ty będziesz wolny ze sprawy?

— O nie, trzy wiosenki ja i Staśku mamy jak w banku, o ile nie więcej.

— Stasiak gdzie siedzi? — zapytałem nie bez obawy.

— Stasiak ma się dobrze, jest kalefaktorem na lewym skrzydle z drugiej strony.

— Ma pewno żal do mnie, co?

— Ty sam najlepiej o tym wiesz, podobno i od ciebie „brykła”<sup>223</sup>. Doprawdy, nie wiem, że i ty dałeś się zbajerować taką „szlają”.

— To już nie wróci, nie ma o czym mówić — powiedziałem, nie chcąc tego drażliwego dla mnie tematu poruszać.

— A Wojtek gdzie tu siedzi?

— Wojtek — zaśmiał się gorzko — leży już, a nie siedzi.

— Jak to leży?

— Tak, „zakitował” już miesiąc temu — odparł obojętnie.

— No i dobrze zrobił — dorzucił ktoś nade mną — nie będzie się tu mordował więcej.

— A ty, Maniek, się trzymasz?

— Ja jeszcze na razie oddycham, ale jak Szwaby tu dłużej będą, to też pojedę.

— Tak, tak — odezwało się kilka głosów z rezygnacją. — Jak te Szwaby będą dłużej, to wszyscy „kójfniem”.

— Jak ten Ról cię przyjął? — zapytał nagle Maniek.

— Ten gad nas wszystkich pomorduje — dorzucił ktoś.

— „Zeks”! „Poruta”<sup>224</sup>! — zawołał ktoś przytłumionym głosem.

— Lustig już nas i tak wszystkich sporutował<sup>225</sup> — dodał ktoś.

— Ról będzie miał jutro robotę — zauważył drugi.

Nastąpiło milczenie przez chwilę, chciałem też zejść z okna. Wtem ktoś głośno krzyknął:

— *Mat’jowo job i tak nas wszech wie ta mendewoszka zapisał*<sup>226</sup>. Był to ten sam głos, co pytał o wojnę.

— Tak — zawołał Maniek — teraz możemy już „grebsować”<sup>227</sup> choćby do rana, i tak pójdziemy jutro do „mamra”<sup>228</sup>.

— Ról groził mi, że mnie teraz nauczy rozumu — odezwałem się po chwili.

— Tak, tak, on nas wszystkich nauczył tu rozumu. Ale że się też nie znalazł jeszcze taki, co by jego na wolności nauczył rozumu, jeszcze mu się kłaniają, gdy go widzą — rzekł z żalem Maniek.

Chciałem mu odpowiedzieć, gdy wtem ktoś zaczął walić w moje drzwi i musiałem zejść.

Tak samo słyszałem, jak walono do innych drzwi i wszystko potem ucichło.

Położyłem się na łóżko. Myślałem o Wojtku, któremu już Ról nie jest zdolny nic zrobić i w tej chwili nawet zazdrościłem, że on już żadnego cierpienia teraz się nie lęka. Przez głowę przesuwały się obrazy przeżyć od chwili, gdy ten ponury grób opuściłem, pierwsza spędzona noc u „Kosej Mańki”, aż do chwili obecnej. Zdawało mi się, że nie ja jestem winien, iż stałem się tym, kim jestem. Czułem się strasznie pokrzywdzony przez los i przez szeroki świat, że dla mnie więcej nie ma miejsca na nim niż dwanaście stóp długości i pięć szerokości. Żal miałem do losu, że nie pokierował mnie na inną drogę. Tak rozmyślając, głodny, zasnąłem snem gorączkowym.

Wydawało mi się, że pracuję w piekarni i wypiekam okrągłe, pachnące bochenki chleba. Biorę jeden chleb, kroję, smaruję go masłem i jem z wielkim apetytem. Mytrotan patrzy na mnie ponuro i tłumaczy mi, że zachoruję od tak gorącego chleba. Wzywa, abym natychmiast przestał jeść. Ja go wcale nie słucham, jem i jem z coraz większym apetytem.

<sup>223</sup>bryknąć — uciec. [przypis edytorski]

<sup>224</sup>poruta — ostrzeżenie przed władzą. [przypis edytorski]

<sup>225</sup>sporutować — spoztrzec. [przypis edytorski]

<sup>226</sup>Mat’jowo job i tak... (z ros.) — kurwa mać i tak nas wszystkich ta menda zapisała. [przypis edytorski]

<sup>227</sup>grebsować, grypsować — nielegalnie porozumiewać się (między więźniami). [przypis edytorski]

<sup>228</sup>do mamra — tu: do karceru. [przypis edytorski]

Wtem wpada właściciel piekarni, wrywa mi chleb z ręki, krzycząc, abym się stąd natychmiast wynosił. Zaczynam go błagać, ażeby mi dał się najieść, gdyż jestem głodny. On każe mnie wyrzucić z piekarni. Mytrofan i jeszcze jakiś puciołowaty czeladnik chwytają mnie wpół i wyrzucają z piekarni do „Bristolu” i budzę się.

Usiadłem na łóżku. Pierwsze, co sobie uświadomiłem, gdy otworzyłem oczy, to fakt, że jestem w „Czerwoniaku”. Tylko jakoś nie umiałem sobie tego wytłumaczyć, w jaki sposób się to stało. Zakłopotany, patrzyłem dłuższą chwilę po celi, zanim zrozumiałem wszystko. Nie chcąc o tym rozmyślać, zmęczony zamknąłem oczy, by znów wpaść w przyjemny jakiś sen. Ale usnąć już nie mogłem. Ten sen powiększył mi głód. Byłem wtedy gotów na wszystko, aby zdobyć jeden jedyny kęs chleba. Głód niestety jest najstraszniejszy, gdy ciągle o nim się myśli. Rozmyślałem teraz nad tym snem, chciałem odgadnąć jego znaczenie.

Dla więźnia sny są naprawdę balsamem w jego cierpieniu, bo gdyby nie to, życie długie lata w więzieniu stałoby się nie do zniesienia. Sny pozwalają więźniowi bujać po tak upragnionej na jawie wolności. Po części działają kojąco na więźnia, urozmaicając mu jednostajne życie. Sny podają mu świeże tematy do myślenia. Każdy więzień na swój sposób przewiduje ze snów dalsze wypadki swego życia. Więźniowie po długoletnim pobycie w murach, śledzą sny z dokładnością i zainteresowaniem. Dochodzą w tym kierunku do takiej wprawy, że na podstawie tego, co sam nieraz słyszałem od wielu więźniów, opowiadających co im się śniło i przepowiadających, co z tego wyniknie, muszę przyznać, że w większości wypadków, może zbiegiem okoliczności, przepowiednia sprawdzała się. W każdym bądź razie, lepiej odgadują niż to czynią autorzy senników arabskich, egipskich itp.

Tej nocy już oka nie zmrzyłem.

Zaraz z rana po kawie i po zjedzeniu siedemdziesięćpięciogramowej porcji chleba, złożył mi wizytę Ról i za nocną rozmowę tak mnie zbił, że upadłem na asfalt niemal bez przytomności. Każdemu z rozmawiających dostało się po trosze. „Nieźle przyjęcie jak na początek”, pomyślałem.

Zaraz po wyjściu Rola zabrał mnie „Hausvater” do przebrania. Poszedłem w milczeniu za nim.

Przeszedłszy przez długi korytarz, doszliśmy do schodów prowadzących na górę, gdzie były magazyny z ubraniami. Tam wziął dla mnie tradycyjny mundur tegoż domu i bieliznę, drewniane trepy i zaprowadził do łaźni, którą ja kiedyś pomagałem budować. Tu wykąpano mnie i wyparowano, nie obeszło się też bez szturchańców, które oberwałem, nie chcąc iść pod zimną wodę, potem prowadził mnie z powrotem do centrali. Tam mnie znów przyjął Ról, czystego, jak nowo narodzonego i wyznaczył mi celę aż na czwartym piętrze pod numerem 187, w samym rogu lewego skrzydła.

Niemcy zwykle tak praktykowali, że gdy komuś nie ufali, dawali go na samą górę, myśląc, że tak wysoko utrudniona będzie ucieczka.

Gdy Ról prowadził mnie przed sobą do przeznaczonej celi, ujrzałem na korytarzu Staśka. Udawał, że mnie nie widzi. Serce zaczęło we mnie uderzać prędeej. Akurat pod jego rękę popadłem.

Trzeba wiedzieć, że u Niemców taki „kalefaktór” był panem położenia i los więźnia był w jego rękach. No, pomyślałem, teraz odegra się za Franię. Drzwi zapadły się i słyszałem jeszcze, jak Ról coś tłumaczył Staśkowi o mnie. Tu muszę też zaznaczyć, że Stasiak włada dobrze językiem niemieckim, gdyż jego matka wyjeżdżała często na sezonowe roboty przed wojną do Niemiec, a brała go, jako dziecko „zarobione”, zawsze ze sobą. To mu się teraz tu przydało. Myślałem, jak on się teraz będzie ze mną obchodził. Chodziłem z kąta w kąt. Nagle usłyszałem łoskot drzwi, pośpiesznie otwierających się wzdłuż galerii. Spacer, pomyślałem, a po chwili i moje drzwi otworzyły się. Wysunąłem się z mej nory razem z innymi, wykęcąc się twarzą od drzwi i oczekując na komendę.

Nareszcie padła komenda i automatycznie powlekliśmy się po schodach jeden za drugim, w pewnym odstępnie, aż stanęliśmy w takim porządku w centrali. Tu zrewidowano nas i znów powlekliśmy się w tym samym porządku na półgodzinny spacer, na tak zwane przez więźniów „rajskie podwórko”. Zaczęliśmy bezmyślną wędrówkę z rękoma założonymi w tył. Jeden od drugiego szedł w odległości dziesięciu kroków, kręcąc się w takt ospale dokoła. Jedni byli strasznie chudzi, istne szkielety, inni zaniedbani i niechętni

do życia. Tam znów widać pewno niedawno tu przyjętego w gościnę, rozglądającego się jeszcze wokoło, widać, jak on tęskni jeszcze za wolnością, którą niedawno stracił. Drugi znów czyha, by mógł ukradkiem bąknąć towarzyszowi niedoli kilka słów i usłyszeć mowę ludzką. Wszyscy zresztą są prawie podobni do siebie, tylko oczy, ach, te oczy bezsilnego człowieka błyszczą jakimś przygnębieniem, a ruchy są automatyczne.

Wszyscy równi, nie odróżnisz tutaj mordercy od gorzelnika, koniokrada od takiego, co bochenek chleba przeschmugłował, by nakarmić rodzinę. Wszyscy połączeni są wolą wszechwładnego Róla, który z miną władcy wschodu spaceruje sobie tam i z powrotem, uzbrojony w rewolwer za pasem, z bykowcem w rękę i z dużego rozmiaru fajką w zębach, z której puszcza dym jak z komina fabrycznego. Na ten ostatni przedmiot są skierowane pożądliwe, zazdrosne oczy palących.

Gdy patrzył teraz na to wszystko, więzienie stało się dla mnie prawdziwym grobem i zrobiłem się obojętny na własne bóle, widząc, co się z innymi wokoło mnie dzieje.

Wracając z przechadzki, na schodach zdążyłem ukradkiem zamienić parę słów. Kilku więźniów pytało mnie, czy nie mam co „podulić”, wiedzieli bowiem, że dopiero z wolności przybył, więc na pewno trochę tego zakazanego owocu tu przeschmugłowałem. Niestety, nie jestem palący — odpowiedziałem.

Byli tacy więźniowie, co za tytoń swój chleb kalefaktorowi oddawali, ten dawał im pół prymki lub parę niedopałków, które zbierał po dozorcach w spluwacze na korytarzu. Znałem jednego, który pomimo głodu ani razu chleba nie jadł przez półtora roku, a oddawał go za prymkę, był to istny szkielet i też po długim konaniu zmarł.

Gdy wszedłem do celi, za mną wpadł Stasiek. Patrzyliśmy na siebie chwilę i myślałem, że rzuci się na mnie, byłem przygotowany na to. Ale jak wielce się zdziwiłem, gdy wyciągnął do mnie rękę, mówiąc:

— Jak się masz, kochany bracie? — a widząc moje wahanie, dodał — Tu żalu do Ciebie nie mam, bądź o to spokojny. Stałem się teraz innym człowiekiem. Tylko szkoda, że ty tu wpadłeś.

Wyciągnąłem do niego rękę i nie wytrzymałem, oczy napłynęły mi łzami i zaszczołałem. On też zapłakał i pocieszał mnie, że o mnie tak samo nie zapomni, jak ja o nim na wolności nie zapominałem. Tylko mówił, że bym się strzegł, aby Ról nie dowiedział się, że on jest moim współnikiem.

Opowiadałem mu o sobie, a on zadawał mi różne pytania, gdy począłem mówić o Franu, ręką mi zamknął usta, nie dając ani słówka mówić dalej.

— Na wolności o tym pomówimy — rzekł, uśmiechając się smutno — o ile tu nie „zakitujemy”.

Był u mnie w celi jakieś pół godziny, przyniósł mi ze dwa funty chleba i sera, potem zamknął celę, zapewniając mnie, że głodny u niego nie będę.

Zamki przy drzwiach są tam urządzone w ten sposób, że do otworzenia drzwi jest potrzebny klucz, a do zamykania wcale się tu klucza nie używa, tylko rączkę przy zamku się naciska, a drzwi są zamknięte. Toteż kalefaktor czy to podczas rozdawania jedzenia, czy podczas powrotu ze spaceru sam celę zamyka. Z tego też powodu dozorczy wybierali sobie z więźniów jako pomocników ludzi zaufanych. Przez to czasami mocno się mylili, wszelkie kombinacje oni załatwiali.

Naturalnie, że kalefaktor musiał człowieka znać, bo mógłby się narazić na degradację i, co gorsze, w razie zawodu Ról mu życie obrzydził i niekiedy bez powodu wpadł do takiego „wykolejeńca” do celi i bił go bykowcem, gdzie popadło.

Stasiek, mając mnie na swojej galerii, narażał się na zdegradowanie i przez to postanowiłem jak najmniej go używać. Po jego wyjściu z celi zrobiło mi się lżej na sercu i nabrałem otuchy co do przyszłości, myśląc, abym tylko tu głodu nie cierpiał, to o reszcie się pomyśli.

## LXI

Dnia 6 czerwca wezwano mnie na śledztwo. Tu dopiero do reszty oprzytomniałem, zarzucano mi aż cztery kradzieże z ciężkim włamaniem. Dowiedziałem się też, że na mnie „kapuje” jakiś Kamer, który twierdził, że byłem z nim razem na robocie, gdzie on został złapany, a ja rzekomo miałem się ostrzeliwać i uciekłem. Nic z tego nie rozumiałem.

Śledczy trzymał mnie kilka godzin, po czym wróciłem przygnębiony smutkiem do obrzydliwej mojej celi. Stasiak zaraz przybiegł do drzwi.

— No i co, gdzie ty byłeś?

— U śledczego byłem — odparłem przygnębiony.

— Co nowego ci mówił?

— Źle, bracie, ze mną, nie przypuszczałem wcale, o co mnie oskarżają, czy ty nie znasz tu jakiegoś Kamera?

— Tak, znam, to ten sam, co przyprowadziłem go wtedy do ciebie i miał należeć do tej ostatniej naszej roboty, a ty wówczas go nie chciałeś. On teraz tu siedzi na drugim oddziale, jest strasznie pobity, złapano go na gorącym uczynku.

Teraz oświetliło mi się w głowie i powiedziałem:

— Czy ty wiesz o tym, że on mnie bierze do sprawy? Ja go wcale doprawdy nie znam i z nim nigdzie nie byłem. On dał pierwszy powód, by mnie aresztowano.

Stasiak patrzył na mnie, chwilę nie dowierzając, i odparł:

— To być nie może, przecież to stary „urke”, on by tego nigdy nie zrobił, może się mylisz?

— Ja się się wcale nie myślę, tak jest, on bierze mnie do sprawy. Odegrał się widać za to, że go nie chciałem wziąć wtedy na robotę.

— Ja się będę starał dowiedzieć o tym — rzekł Stasiak i zamknął moją celę.

Nazajutrz zawołano mnie znów do śledczego, a za mną wprowadzono tego Kamera. Był to olbrzymi chłop lat czterdzieści pięć. Mówił mi w oczy, że z nim tam byłem. Chciałem z rozpaczy rzucić się na niego, ale zaraz nas rozłączono.

Od tego dnia zrozumiałem, co mnie czeka, zacząłem uparcie myśleć o ucieczce. Stasiak mnie zapewniał, że o ile jemu się nie uda „zwiąc”, gdy pójdzie na sprawę, to obaj stąd „brykniemy”, a plan, mówił, ma już gotowy. Nalegałem, aby mi o tym planie mówił. Bardzo mi się on podobał i od tej chwili we śnie i na jawie marzyłem tylko o ucieczce. Oprócz planu Staśka układałem sobie własny.

Stasiak o mnie nie zapomniiał, rano, gdy podałem dzbanek na wodę, nalał mi tam zupy, którą dla mnie naszykował od obiadu z jednego dnia na drugi, bo inaczej nie można było zrobić. Gdy zaś dostawał „wałówkę” z domu, większą część dla Mańka i dla mnie rozdzielił, a resztę sobie zostawił. Miałem tylko jedyny raz sposobność od tego czasu widzieć Mańka. Nie poznałem dawnego wesołego chłopaka, teraz wyglądał strasznie, gdyż często zadzierał z Rólem i więcej siedział w lochu niż w celi. Żał mi się go zrobiło, gdy myślałem o tym, że może wkrótce podążyć za Wojtkiem.

Zarobiłem też z rana siedem dni karcu znów za rozmowę przez okno, a z powodu braku próżnych karców zabrano mi z celi siennik i koc i żyłem o czterystu gramach chleba dziennie i o wodzie. Taka kara była gorsza od karcu, bo tam przynajmniej była nara zbity z desek, na której można się było położyć, a tu w celi żelazne pręty łóżka wrzynały się w ciało i w żaden sposób nie można było ani chwili uleżeć. Wyczerpany musiałem się ułożyć na gołej, asfaltowej podłodze, od której mimo że było lato, strasznie ciągnęło.

Niemcy już od dawna praktykowali karanie w ten sposób za rozmowy lub wyglądanie oknem. Kara ta jednak nic nie pomagała, nie było dnia, aby ten przeklęty Lustig nie dostarczał Rólowi takich ofiar. Ja sam nie mogłem się opanować, by nie wyjrzeć na słońce, które tu do mnie nigdy nie dochodziło i usłyszeć głos ludzki. Ach! — co za męki cierpiałem tu, w tym grobie, podczas takich pięknych, dłuższych dni czerwcowych, siedząc bez żadnego zajęcia i książek. A co gorsze, stosunek władzy więziennej do mnie stał się nad wyraz przykry. W mojej ponurej celi nie pozostało mi teraz nic innego do roboty, jak wyglądać oknem i śledzić z daleka przechodnia albo obserwować ptaka przefruającego przez podwórze więzienne.

Nieraz ze śmiertelnych nudów liczyłem cegły czerwonego parkanu albo cegły muru z prawego skrzydła. Co ja tam nie wyrabiałem. Dla urozmaicenia sobie czasu codziennie postanowiłem złapać pewną ilość much i co dziesiątą muchę znaczyłem własną krwią, którą przez ukłucie igłą puszczałem sobie z palca, potem puszczałem je żywe przez okno. Później codziennie przy łapaniu świeżych much oglądałem, czy nie ma na której mojego znaku.

Nuda



Much to tu było tyle, że usnąć nie było można. W żadnym więzieniu nie spotkałem tyle much, co tam. Tłumaczyć to trzeba różnymi zaraźliwymi chorobami, które tam panowały.

Oknem najczęściej rozmawialiśmy po apelu, który zawsze był o godzinie czwartej po południu. Ról za to przestępstwo urozmaicał nam kary, to karał karcerem, to znów zadowolili się, gdy wyliczył kilkanaście bykowców, a kiedy indziej znów skopał nogami i nie dał obiadu. Widać dbał o to, aby nas nie przyzwyczaić do jednego rodzaju kary, obawiając się, że ta kara nie będzie już działać. Jednym słowem, Ról był co do tego trochę psychologiem i wszystko naprzód już przewidział.

Stasiek z Mańkiem poszli jednego dnia na rozprawę. Tegoż dnia biegałem jak szalony po celi, nie mogąc się doczekać ich powrotu, byłem bardzo zdenerwowany, z jednej strony życzyłem Staśkowi, aby mu się udało bryknąć, z drugiej strony pomyślałem, co się ze mną stanie, jak Staśka tu nie będzie, będę znów głodny.

Gdy tak rozmyślałem, nareszcie przed wieczorem drugi kalefaktora przyszedł pod drzwi i opowiedział mi, że obydwaj dostali po cztery lata i że próbowali zwać, ale nie udało im się, więc siedzą już zakuci na ręce i nogi w lochu.

Ta nowina uderzyła we mnie jak piorun. Przepadłem teraz, pomyślałem i z rozpacz zacząłem biegać po celi jak zwierzę raniony. Co robić? Przypomniałem sobie słowo ojca: „Będziesz żałował, ale już poniewczasie”. Właśnie teraz przekonałem się, że miał rację. O! Jak teraz ubolewałem nad samym sobą, że go wtedy nie usłuchałem i nie wróciłem do domu. Teraz, teraz wszystko przypadło bezpowrotnie. Po kolacji włożyłem na okno, całe więzienie było poruszone nieudaną ucieczką. Teraz dowiedziałem się jeszcze szczegółów, opowiadano sobie różnie o tym.

Dla więźnia siedzącego w celi bez żadnej nowiny, wystarczy uchwycić jedno słowo o jakimś wypadku, a już resztę sam dodaje.

Tak i teraz, pomimo że tu nikt nie ruszył się ze swej nory i tyle wiedział, co i ja, jednakowoż sobie o tym opowiadali, jakby byli tam obecni i spierali się ze sobą. Rezultat był taki, że Lustig znów zapisał mnie razem z innymi do ukarania. Tym razem rozmawiałem już na złość do jakiej dziesiątej godziny, nie mając już nic do stracenia.

Ułożyłem się do snu ze smutną myślą, że jutro czeka mnie kara i, co gorsze, dzbanek nie przywędruje z zupą, gdyż nie ma już Staśka. Długo nie mogłem zasnąć, rozmyślając o ucieczce. Umrzeć albo uciekać stąd, z tą jedną myślą tym razem zasnąłem.

Pod koniec czerwca zostałem znów zawezwany do sędziego śledczego. Wszedłem, dręczony jakimś nowym, przewidywanym nieszczęściem. Tam w jego pokoju przy kancelarii więziennej siedziała jakaś dama, obejrzała mnie uważnie, po czym kazał mnie śledczy odprowadzić do celi, nie mówiąc ani słowa.

Zrozumiałem, że to była konfrontacja, ale o co mnie oskarżają teraz, naprawdę znów nie wiedziałem. Upłynęło parę smutnych, długich dni. Myślałem, że zwariuję z nudów, zacząłem układać teraz wiersze i igłą wydrapywałem je po ścianach, aż nauczyłem się na pamięć. Wtedy zatarłem i pisałem inne. Muszę niektóre z moich wierszy pisanych w takim nastroju tu zamieścić.

Nikt mi ran serca nie goił,  
Powiedzieć to mogę śmiało.  
Żółcią jam bliźnich poił,  
Tej mi do woli zostało...

Czy to w zimie, czy to w lecie,  
Jednaki mam w duszy ból,  
Gdy tak pięknie jest na świecie,  
Ja nie widzę lasów, pól.

Świat mój to kamienne mury,  
Radość dla mnie nie istnieje.  
W grobowcu krążę ponury,  
Z rozpacz dusza szaleje.

Między kraty wciskam głowę,  
By się przekonać, czy jest świat.  
Chcę uchwycić ludzką mowę,  
Czy tam istnieje człowiek, brat!

Jest to mój pierwszy wiersz, który utworzyłem za kratami, a potem nastąpiły inne, które umilały mi smutne życie w więzieniu i za które Ról wyliczał mi bykowcem odpowiednie honorarium autorskie, gdy spostrzegł, że na ścianie mojej celi są jakieś bazgraliny. To tak poskutkowało, że wziąłem się jeszcze gorliwiej do klepania wierszy, mając takiego odpowiedniego wydawcę.

Więźniowie pomimo nędzy i głodu nieraz lubili przez okno zażartować ze sobą, a niektóre żarty nie były pozbawione humoru. Tak na przykład raz słyszałem taką rozmowę:

- Ty skąd przyjechałeś?
- Od Ostrołęki.
- Wiele masz siedzieć?
- „Kolo”<sup>229</sup>.
- Tylko tyle, a za co?
- Za głupstwo!
- Ciekaw jestem, za jakie głupstwo już dają taki wyrok.

Drugi więzień dorzucił:

- Pewnie pogłaskał kogoś patykiem.
- To było tak — odparł zagadnięty — zabrałem chłopu krowę, ten mnie złapał, a ja go w łeb, potem krowę przyprowadziłem do „Machabejbusa”<sup>230</sup>, a ten, psiakrew, niechrzczona dusza, dał znać do policji. No i za to mi dali „kolo”.

— No, brachu — zauważył jeden poważnie — tyś bardzo źle zrobił. Można było to zrobić, ale odwrotnie, dać krowie w łeb, a przyprowadzić chłopca do „Machabejbusa”, a na pewno nie dostałbyś tyle.

Na ten dowcip kilku więźniów naraz roześmiało się głośno. Między nimi i ja byłem. Drugim razem znów podsłyszałem, jak więzień wychodzący na wolność żegnał się z towarzyszami, mówiąc:

- Żegnam was, chłopaki! Życzę wam też wkrótce wolności.

A jeden filut, podając mu rękę, życzył mu:

- No, idź z Bogiem, a przyjdź z policjantem.

Trafne życzenie, które się też wkrótce sprawdziło. Sam widziałem tego samego więźnia między więźniami spacerującymi na „rajskim podwórku”, zaledwie dwa tygodnie po jego zwolnieniu.

Mimo nędzy i głodu prawdziwy wisielczy humor tu nieraz panował. Gdybym chciał opisać tragedię życia więźniów w całej jej okrutnej rzeczywistości na podstawie szczegółowych, codziennych wydarzeń, nie mógłbym nigdy tego doprowadzić do skutku. Trzeba by tym zapelnąć całe tomy. Zaznaczam przez to, że w pierwszym tomie pamiętnika mam na celu przedstawić tylko swe życie w streszczeniu i życie w niemieckim więzieniu, ujęte w formie krótkiej. Piszę wszystko to, co uważam, że zasługuje na baczniejszą uwagę. O szczegółowym zaś życiu w więzieniu we wszystkich jego przejawach, opiszę obszernie w drugim tomie *Pamiętnika*.

## LXII

Do najsmutniejszych dni w miesiącu należała niedziela, kiedy to przyjmowano wałówki. Co prawda nie spodziewałem się tu kogoś ujrzyć z wolności, bo kto by tam o mnie pamiętał. Tym bardziej, że i współlnicy, „Szofer” i Antek tu już zamieszkiwali. Po moim aresztowaniu i oni zostali aresztowani do mojej sprawy. Jednakowoż w owym dniu nie znalazłem spokoju. Zaraz od samego rana do wieczora stałem wytrwale przy drzwiach i nasłuchiwałem, czy i mnie czasami nie zawołają. Słyszac wywoływane przez dozorcę nazwiska tych szczęśliwców, słuchałem z natężeniem. Przy każdym wywołanym nazwisku, którego końcówka podobna była do mojego, zdawało mi się, że to właśnie mnie wołają.

<sup>229</sup> *kolo* — dożywocie. [przypis edytorski]

<sup>230</sup> *Machabejbus* — Żyd. [przypis edytorski]

Serce wtedy głośniejsz uderzało. Niestety, do tego czasu doznałem tylko rozczarowania. Razu pewnego wydało mi się, że nie omyliłem się i że mnie na pewno wołali. Nasłuchiwałem, tak, to do mnie zbliżają się kroki dozorczy rozlegające się po galerii. Słyszę je coraz bliżej mojej celi, tak, to do mnie. Myślałem, że serce wyleci mi z radości, zacierałem z zadowolenia i z radości ręce, jak to mam w zwyczaju i z rozkoszą wsłuchiwałem się w kroki dozorczy zbliżającego się coraz bardziej ku mnie, jak w dźwięki muzyki. Już czuję, że jest przy mojej celi. Słyszę już brzęk jego kluczy i po chwili klucz zgrzytnął w zamku. Odskakując od ściany na przepisowe miejsce pod okno. Słyszę wyraźnie zgrzyt klucza. Wtem drzwi się otworzyły, ale nie u mnie, tylko u sąsiada.

Jakiego bólu doznałem w tej chwili z rozczarowania, niezdolny jestem tego wyrazić słowami. Nie zdawałem sobie co prawda sprawy, kto to ma być ten, co ma mi podać wałówkę albo odwiedzić. Ale byłem pewny, że ktoś taki musi być. Nawet marzyłem niewyraźnie, że gdy się z domu dowiedzą, iż tu siedzę, to przyjadą.

Tak mnie zastał pierwszy lipca. I tym razem od rana na najmniejszy szmer z dołu przylegałem do drzwi. Nie wiem sam, dlaczego tegoż dnia miałem przeczucie, że dziś na pewno coś będzie. Nareszcie o godzinie dziesiątej wołano na widzenia, już zaraz będzie obiad, pomyślałem. Widzenia są już na ukończeniu, a mnie nikt nie myśli wołać. Ze smutkiem więc zjadłem obiad. Nastąpiła godzina trzecia, kiedy to Ról wraca z obiadu, wołając po wałóWKi. Nasłuchiwałem dalej, jedna partia już wróciła, wywołują nowe nazwiska. Zdaje mi się, że znów mnie wołali, ale boję się już myśleć o tym, aby później nie rozpaczać tak samo jak wtedy. Słyszę teraz wyraźnie zbliżające się kroki. Już, już jest przy mojej celi, myślę, że na pewno, znów do sąsiada. Słyszę już klucz w drzwiach. Jeszcze nie dowierzałem, myśląc, że się ludzę. Wtem, gdy popchnięty zostałem drzwiami, dopiero odskoczyłem pod okno.

— Jazda na dół po wałóWKę.

Nie ruszyłem się z miejsca, własnym uszom nie dowierzałem.

Dozorca powtórzył:

— Co, nie chcecie jeść? Jazda po wałóWKę.

Miałem wtedy ochotę rzucić mu się na szyję i uściskać go z radości.

Za chwilę wróciłem, przyciskając pieścizotliwie pół bochenka razowca, ze dwa funty sera i kubek masła. W drugiej połowie osiemnastego roku wolno było już podobne rzeczy podawać. Podałem też zaraz Mańkowi z tego część, a sam zabrałem się gorliwie do pracy.

Więc jeszcze nie wszystko stracone? Ktoś pamięta o mnie. Ale kto to być może? Nie mogłem w żaden sposób się domyśleć. Może to „fryzjerka”, przeleciało mi przez głowę. Na tę myśl przez moment przestałem jeść. Nigdy bym od niej nic nie przyjął.

Czekałem teraz z cierpliwością dnia piętnastego. W nocy z czternastego na piętnastego nie mogłem zasnąć. Zaraz rano stanąłem na posterunku przy drzwiach. Może dziś będę miał widzenie, myślałem, pierwsze śledztwo już ukończone, to dostanę widzenie. Dręczony różnymi domysłami doczekałem się chwili, gdy wołano na widzenia. Usłyszałem teraz najwyraźniej w świecie wywołane moje nazwisko. Serce mi oddech zaparło ze wzruszenia, tak że myślałem, iż upadnę. Znów słyszę zbliżające się kroki i drzwi mojej celi otworzyły się. Był to ten sam dozorca, Polak, których tu teraz z dnia na dzień więcej przybywało.

— Jazda na widzenie — zawołał.

Poszedłem za nim, nogi pode mną się uginały i cały drżałem. Kogo ja tam ujrę, pomyślałem. Nareszcie stanąłem u klatki, oczekując na osobę, którą wpuszczą. Wtem drzwi się otworzyły i usłyszałem w korytarzu głośnie łkanie. Właśnie ta, co łkała, została wepchnięta do tej przegródki naprzeciw mnie. Przede mną stała jakaś młoda kobieta, zasłaniając sobie twarz chusteczką i łkała. Nie poznawałem.

— Do kogo pani? — spytałem. Ta odkryła twarz i to, co ujrzałem, zelektryzowało mnie całego. Przede mną stała Elcia. Nie mogła słowa wymówić, tylko łkała. Mnie zaś na ten widok łzy stanęły w oczach i zawołałem wzruszony:

— Elciu! Proszę cię, przestań. Piętnaście minut mamy tylko na rozmowę. Mówże, co masz do mnie, bo nas zaraz rozłączą.

Spojrzała na mnie załzawionymi oczyma, a przypatrując mi się chwilę, rzekła:

— Boże! Jak ty strasznie wyglądasz!...

— Mniejsza o mnie, powiedz, co tu robisz?

Zamiast spodziewanej odpowiedzi wybuchnęła głośnym płaczem. Widząc to, zacząłem ją błagać, aby mówiła, a płakać ma czas w domu. Oprzytomniała i zaczęła mi opowiadać.

— Trzy tygodnie temu dowiedziałam się dopiero, że ciebie aresztowano i natychmiast przyjechałam, i już pozostanę. Nie opuszczę cię. Moje miejsce — zakończyła — jest tu, przy tobie.

Serce krajało mi się z rozpaczy, doznałem litości nad moją nędzną osobą ze strony najmniej spodziewanej, ze strony tej, którą zhańbiłem.

— Elciu — błagałem wzruszony — wróć do domu, co ty będziesz tu robiła?

— Nie martw się o mnie, już postarałam się o posadę sklepowej, mam trochę pieniędzy z domu i nie zginę, tu muszę cię ratować.

— Co twój ojciec i ludzie na to powiedzą? — spytałem po namyśle.

— Ojciec? — mówiła w zamyśleniu — któż tu jest temu winien, co się ze mną stało, jak nie on, a ludzie mnie wcale nie obchodzą.

Zrozumiałem znaczenie i gorycz tych słów i powiedziałem ze łzami w oczach, widząc, że już rozłączają nas:

— Żegnaj, kochana, chyba że stąd nigdy nie wyjdę...

Nie dokończyłem, gdyż Ról wpadł i rozłączył nas. Łkając, pożegnała mnie.

Przyszedłem do celi, cały wzruszony, złamany moralnie i fizycznie. Od razu przestałem myśleć o jedzeniu i cała moja myśl krążyła wokoło tego, co się stało. Więc ze wszystkich przyjaciół i przyjaciółek, dla których kradłem i ryzykowałem życie, tylko ta, którą skrzywdziłem i traktowałem jako przelotną miłośćkę, ma dla mnie aż tyle serca? O, jakbym wtedy pragnął upaść jej do nóg i błagać o przebaczenie!

Nie mam słów na wyrażenie tego, jakiego na jej widok doznałem wrażenia. Przysiągłem między czterema ścianami mojej celi, mówiąc głośno sam do siebie, że o ile stąd wyjdę, to zostanę jej dożgonnym przyjacielem i wiernym do grobu. Wyobraziłem sobie ten jej smutek, jaki często gnębić ją musiał i krzywdę, jaką jej wyrządziłem, więc głęboko mnie trawił niepokój.

Po obiedzie tegoż dnia przyniesiono podanie. Mimo głodu nie tknąłem go. Na wołanie mnie po apelu na okno nie odezwałem się. Coś mnie dusiło w gardle. Wreszcie zapłakałem i to mi ulżyło. Pomodliłem się tego wieczora po raz pierwszy od chwili mojego tu pobytu i zmęczony rzuciłem się potem bez kolacji na siennik i zasnąłem.

Rano, gdy obudziłem się, odczuwałem silny ból głowy i taką gorączkę, że ledwo mogłem się trzymać na nogach. Wszystko mnie bolało. Meldowałem też dozorczy o moim stanie. Przyszedł felczer, którym był, jak już wspominałem, „błogosławiony” Ról. Pierwsze jego słowa były:

— *Lump, du hast dich tot gefressen*<sup>231</sup>!

Nie odpowiedziałem.

Obracał mnie, opukał i rzekł, że mi nic nie jest i kazał natychmiast łóżko podnieść i ubierać się, po czym łóżko zamknął na klucz, zawołał też „kalefaktora” i rozkazał mu zabrać wszystko, co mam do jedzenia. Patrzyłem smutno na tę grabież i nic nie mówiłem.

Od tego dnia zacząłem wątpić w sprawiedliwość ludzką i w mojej duszy zakorzeniło się pragnienie zemsty i chęć odwetu. Poczulem też z tego powodu nienawiść do wykonawców wszelkiej sprawiedliwości. Dnia następnego wszelkie dolegliwości ustały. Po jednodniowym poście głód mi dokuczał, ale nie miałem co do jedzenia, zabranego z celi pożywienia już więcej nie widziałem.

Pierwszej soboty po widzeniu się z Elcią, przed wieczorem, wołano mnie po imieniu poza murami. Wdrapałem się więc do okienka i uczepiwszy się kraty usłyszałem głos kobiety. Poznałem ten miły głos. Więźniowie rozmawiający oknami nakazali jeden drugiemu milczenie, a ja zacząłem z nią na odległość rozmowę. Na szczęście tego wieczora mieliśmy dobrych żołnierzy na warcie, więc nie przeszkadzali nam. Elcia, bo to była ona, pocieszyła mnie naiwnie tymi słowami:

— Nie martw się, na drugi tydzień będziesz z pewnością wolny, bo ja się o to staram.

Uśmiechnąłem się gorzko sam do siebie i odparłem:

— Dobra, dobra, ale zdaje mi się, że trochę dłużej to potrwa, zanim mnie zwolnią.

— Co, ty mi nie wierzysz? Patrz!

<sup>231</sup>*Lump, du hast dich tot gefressen* (niem.) — Łajdaku, obżarłeś się na śmierć. [przypis edytorski]

Przy tym pokazała mi jakiś papier.

— Co to za czarodziejski papier, że mam być z tego powodu wolny? — zapytałem ironicznie.

— Pisałam prośbę do prokuratora — rzekła.

— Aha! I co tam piszesz? — spytałem.

— Piszę, że ty wcale nie jesteś winien i żeby cię zwolnili.

Nie mogłem się powstrzymać od śmiechu i zawołałem: — No, w takim razie będę na pewno wolny.

— Już możesz dać garnitur do odprasowania — zaśmiał się mój sąsiad.

Więźniowie po oknach wybuchnęli też śmiechem na te jej naiwne wnioski, jeden się odezwał:

— Do kogo ta frajerka tu mówi i do kogo tu przyszła?

— Ty bądź cicho — ostrzegł go drugi — ona do „urki” tu przyszła i mówi do „Nachalnika”.

Porozmawiała z pół godziny ze mną, posiedziała jeszcze do zmierzchu za murem i pożegnała mnie, posyłając całusy.

Od tego dnia niemal codziennie przed wieczorem przychodziła pod mur, a w sobotę niemal cały dzień przesiedziała tu z książką w ręku i od czasu do czasu wpatrywała się smutno w moje okienko.

Nie była wyjątkiem, przychodziły pod mur matki, żony, siostry, kochanki i narzeczone, jak na cmentarz w dzień zaduszny, przypatrując się żywemu grobowcowi, gdzie biło dla nich kochające serce.

Więźniowie siedzący na czwartej galerii mogli z powodu bliskości parkanu rozmawiać i to nawet nie bardzo głośno i patrzeć na bliskich bez wyężenia wzroku. Niejeden te widzenia i rozmowy przez okno przyplacił życiem. Wsadzano za te wykroczenia do ciemnicy, głodzono, bito i kuto w kajdany. Ja sam byłem parę razy karany karcem i bity do utraty przytomności. Jednakże nie wytrzymałem, gdy usłyszałem jej wołanie za murem, momentalnie znalazłem się na oknie.

Bywało, że na rozmowę sobotnią dostałem się do karcu, a wtedy moja niedzielna wałówka została skonfiskowana. Przeto ostrzegłem ją, że zanim poda do bramy, niech najpierw przyjdzie pod mur, a gdy ją pokażę się w oknie, to znak, że może podać. Więc tak robiła. Ja wtenczas krzyknąłem jedno tylko słowo: „tak”, wtedy szła do bramy, by oddać wałówkę. Jednakże nie zdążyłem jeszcze zeskoczyć ze stołu, a już Ról stał przede mną w celi i za chwilę już mieszkalem na dole w karcu.

Straszny był wtedy mój żal, spodziewałem się zaspokoić głód, a tu masz tobie. Gdy dowiedziała się o tym, co ja cierpię przez to okno, przestała przychodzić, zaklinałem ją wtedy, żeby przychodziła. Wolę wszystko znosić, abym mógł tylko ją widzieć.

## LXIII

Taki stan rzeczy trwał do września. Na śledztwo byłem zawezwany jeszcze raz i coraz to nowe sprawy mi dawano. Myśl o ucieczce nie opuszczała mnie ani na jedną chwilę, ale nie widziałem sposobu, aby móc ją skutecznić. Nareszcie przypadek przyszedł mi w pomoc.

Na początku września Ról wyjechał do „Vaterlandu” na urlop. Oddychaliśmy wszyscy trochę lżej. Mniej było teraz słychać krzyku, jęku i wołania „o Jezus!”, tym bardziej że polskich dozorców tu coraz więcej przybywało, a nawet w kancelarii urzędował jakiś wysmukły mężczyzna wyglądający na lat trzydzieści, wysokiego wzrostu, przystojny brunet, o twarzy i oczach marzyciela, wyglądał on na wojskowego i nazywał się Jun-ys<sup>232</sup>. Różnie sobie więźniowie mówili o nim. Jedni twierdzili, że on ma być naczelnikiem, drudzy, że to delegat z sądownictwa, które już było w polskich rękach. Domyślniejsi przebąkiwali nawet, że Niemców ma on stąd wyganiać i objąć więzienie. Tych wszyscy wyśmiali, uważając to za niemożliwe. Tylko o tym każdy wiedział i jednogłośnie twierdzono, że jest to człowiek bardzo dobry, pomimo że mówi z Niemcami po niemiecku, jest Polakiem i lituje się nad nami. Przybył tu niedawno, w maju czy też w czerwcu, razem z kilkoma dozorcami polskimi. Chodził ubrany po cywilnemu, tylko „trencz” nosił błyszczący i ja-

<sup>232</sup>Jun-ys — Junczys, został pierwszym polskim naczelnikiem więzienia w Łomży. [przypis edytorski]

sny, jak to nosili oficerowie rosyjscy. Chodził nieraz po galerii i zaglądał do cel, patrzył na nędzne nasze postawy, mówił z nami po polsku i kiwał smutno głową.

Raz sam nawet słyszałem, jak na widok denata, który powiesił się na kracie, tak się wyraził do siebie: „Jakie życie, taka śmierć”. Musiał on być tu ważną figurą, gdyż chodził często z „Vorsteherem”<sup>233</sup>, a nawet sam Ról okazywał mu uszanowanie i nieraz musiał przerywać egzekucję podczas jego ukazywania się.

Na czwartej galerii, gdzie siedziałem, stał niedawno przybyły dozorca z Niemiec, Weber. Był to dobry starowina, zaraz jak tylko tu przybył, upodobał sobie mnie jako kandydata na „kalefaktora”, a ponieważ rozumiałem po niemiecku, nie stało nic na przeszkodzie, abym dosięgnął tego zaszczytu. Tylko jeden Ról przeszkadzałby, a ponieważ ten był na urlopie, a Weber go zastępował, wypuścił mnie na korytarz, naturalnie dopiero po półgodzinnym prawieniu moralów.

Obiecałem mu, że będę się starał jak najlepiej wywiązać z zadania na stanowisku „kalefaktora”, jak to Niemcy takiego funkcjonariusza nazywali.

Pomyślałem sobie: „teraz lub nigdy”. Wiedziałem dobrze o tym, że jak Ról przyjedzie, to zaraz mnie przymknie do celi, więc postanowiłem wykorzystać okazję. Plan miałem już dawno obmyślony, ale potrzebny mi był współnik do wykonania go. Ponieważ zaś nikt z moich współników na tym skrzydle nie siedział, postanowiłem znaleźć tu jednego.

Na drugi dzień po moim królowaniu na korytarzu, obejrzałem wszystkich więźniów, aż nareszcie znalazłem znajomego jeszcze z czasów przebywania u „Kosej Mańki”, niejakiego „Kapa”. Siedział też w śledztwie, a groziło mu kilka lat więzienia. Ostrożnie wyłożyłem mu plan ucieczki, na co się też z zachwytem zgodził.

Dozorca Weber, jak się okazało, miał też żyłkę handlową, kazał mi, abym mu się postarał o parę cholew chromowych do butów. Weber marzył, aby sobie sprawić prawdziwe, jak mówią, „*Russenstiefel*”<sup>234</sup>, a gdy zobaczył, że jeniec siedzący w pobliżu mnie ma takowe, kazał mi je za wszelką cenę nabyć. Dał mi nawet własny nóż do odcięcia tych cholew. Jeniec dostał dziesięć prymek i dwa kilo chleba, a cholewy wywedrowały za bramę na własnym brzuchu pana Webera. Sam mu je tam włożyłem.

Wiedząc, że ten Weber jest „blatny” i mając go już w ręku, posłałem go w pewne miejsce, skąd przyniósł wszystko, co było mi tu potrzebne. Sam nie wiedział, że przynosi mi narzędzia potrzebne do ucieczki. Postanowiłem dokonać tego bez zwłoki, zanim Ról przyjedzie z urlopu, bo wtedy wszystko na nic.

Za trzy dni wszystko przyszykowałem i poduczyłem współnika, jak i co ma robić. Po kolacji, kiedy to wszystkich „kalefaktorów” zamykają, przymknięto i mnie do celi.

Znów po raz drugi w moim życiu przeżyłem emocjonujące chwile oczekiwania; za najmniejszym szmerem pochodzącym z korytarza, nasłuchiwałem z obawą i bijącym sercem, czy to ktoś nie przybył, by mi popsuć sprawę. Było teraz po czwartej, jeszcze osiem godzin czekać trzeba do dwunastej w nocy.

Jak wiadomo, w takich chwilach czas staje się stokrotnie dłuższy niż zwykle. Na wołanie mnie na oknie nie odezwałem się, nie chcąc zwrócić na siebie uwagi nocnego dozorca, a zależało mi na tym, by tu do mnie wcale nie zaglądał.

Położyłem się zaraz na łóżko, ale nie po to, by spać, tylko by udawać, że śpię. Leżąc twarzą do ściany, przemyślałem każdy szczegół ucieczki. Zdawało mi się, że nic nie powinno stać mi na przeszkodzie. Modliłem się w duchu o powodzenie. Człowiek jest już taki, że gdy leży na śmiertelnym łożu albo gdy grozi mu wielkie nieszczęście, staje się na tę chwilę wierzący. Przez cały czas mojego tu pobytu usta nigdy nie chciały wymawiać słów modlitwy. Teraz znów modliłem się i postanowiłem, że gdy mi się uda tym razem, na pewno porzucę to życie przeklęte. Myślałem o tym, jak to Elcia się ucieszy, gdy mnie ujrzy wolnego u siebie, postanowiłem jej już nigdy nie opuszczać.

Tak marząc, wpadłem w półsen, a gdy przebudziłem się, na dworze było już dobrze ciemno, deszcz mżył i silny wiatr poruszał zardzewiałe i odarte blachy na murach. Zerwałem się na równe nogi i po cichu wlałem na okno, chcąc się zorientować, która to może być godzina. Domyśliłem się, patrząc na pogaszone światła w prywatnych domkach, że już będzie koło tej godziny, na którą czekam. Ułożyłem się cichutko przy drzwiach, nastu-

<sup>233</sup>*Vorsteher* (niem.) — zwierzchnik. [przypis edytorski]

<sup>234</sup>*Russenstiefel* (niem.) — rosyjskie boty. [przypis edytorski]

chując. W całym więzieniu nie dał się słyszeć najmniejszy szmer. Zacząłem się niepokoić, leżałem może z pół godziny na podłodze. Wtem usłyszałem ciche stągnięcie i trzask łączników światła elektrycznego. Położyłem się prędko cały drżący na łóżko. Trzask łączników coraz więcej się zbliżał i za chwilę u mnie zaświecono światło i zaraz zgaszono, więc po północy, pomyślałem.

Parę nocy już przedtem śledziłem, nie śpiąc wcale, jak wiele razy Lustig zagląda po nocach do celi. Przekonałem się, że trzy razy. Raz o ósmej, drugi raz o dwunastej, a ostatni raz o czwartej. Naturalnie tylko wtedy, o ile pensjonariusze cicho się zachowywali.

Znów wstałem z łóżka, będąc pewny, że upragniona chwila już nastąpiła. Zaczekałem z pół godziny, znów cisza zapanowała. Zacząłem się strasznie niepokoić. Nie mogąc się doczekać współnika, który miał podług wskazówek już tu być, założyłem żelazo między drzwi i cicho je otworzyłem.

Tu muszę zaznaczyć, że drzwi otwierały się do wnętrza celi. Już w dzień, będąc na korytarzu, powykręcałem śrubki, którymi zamek przymocowany był do drzwi, a na ich miejsce powtykałem patyki, tak że zamek jako tako trzymał się na miejscu. Umówiliśmy się w ten sposób, że on, siedząc bliżej schodów, ma pierwszy wyjść z celi, a potem mnie wypuścić. Nie mogąc się jednak go doczekać, sam wylazłem, myśląc, że zasnął. Sprawy nie było można odłożyć do jutra, gdyż rano dozorca mógłby przy otwieraniu drzwi za mocno szarpnąć, a zamek spadłby zupełnie.

Odemknąłem drzwi, zdjąłem zamek i położyłem go na stronę. Ubrojony w żelazną nóżkę, odłamaną już w tym celu od łóżka, posunąłem się przy ścianie do piątej celi współnika. Jak wielkie było moje zdziwienie, gdy go tam nie zastałem. Chwilę stanąłem niezdecydowany, nie rozumiejąc, co tu takiego zaszło. Po cichu nachyliłem się, patrząc na korytarz dolnej galerii. Może go tam spostrzegę i rzeczywiście zauważyłem jakiś cień w bieliźnie, suwający się na samym dole korytarza. Poznałem go. Byłem zły sam na siebie, zrozumiałem, że on może zepsuć całą sprawę.

Umówiliśmy się w ten sposób, że musimy się trzymać razem, tak, żeby naprzód podejść po cichu dozorcę. Mieliśmy ukryć się we framudze w drzwiach, a kiedy będzie chciał przejść z jednego skrzydła galerii na drugie, niespodziewanie wtedy mieliśmy rzucić się na niego, zakneblować mu usta i obezwładnić go zupełnie. Później zaś mieliśmy się posunąć dalej. Jeden z nas miał się przebrać w jego ubranie i stanąć tyłem do bramy, która prowadziła od korytarza kancelarii do środka, a gdy będzie nadchodził dyżurny i jego mieliśmy obezwładnić, zabrać mu klucze, a bylibyśmy panami położenia. Potem mieliśmy wypuścić swoich współników i tych, którzy byliby godni zaufania...

Plan był śmiały i bardzo ryzykowny, ale miał pewne widoki powodzenia. Teraz on swoim pośpiechem i chytryością mógł zepsuć całą sprawę, bo chciał najpierw wybrać od nowo przybyłych więźniów cywilne ubranie, które oni na stołku poukładali na korytarzu.

Chciałem się po cichu dostać do niego i powstrzymać go, już zacząłem schodzić na dół po schodach, gdy wtem usłyszałem nagle głośnie stąpanie i przeraźliwy okrzyk:

— Kto tam?! Kto tam?!

Stanąłem jak skamieniały.

— Kto tam, bo będę strzelał! — krzyknął ten sam groźący głos. Zrozumiałem, że to nie do mnie.

„Wszystko przepadło” — pomyślałem i prędko pobiegłem z powrotem do celi.

Doleciały mnie już za chwilę okrzyki rozlegające się po całym korytarzu i kroki biegnących dozorców. Zrozumiałem, że dano znaki na alarm. Przepadłem, pomyślałem sobie. Stałem tak bezradny, w bieliźnie, na środku celi, nogę od łóżka rzuciłem, rozumiejąc, że już na nic ona teraz się nie przyda. Po chwili słyszałem już głośnie okrzyki katowanego i w tej chwili muszę przyznać, że gdybym go dostał do rąk, to bym go zabił. Słyszałem już następnie próbowanie zamków przy drzwiach.

Dozorcy, widząc, jakim sposobem wylazł z celi, próbowali wszystkie drzwi. Po chwili byli już u mnie. Nie zdążyłem wydać pary z ust, jak i mnie powlekli do ciemnego lochu. Zbito, skopano i za chwilę okuto mnie w kajdany na ręce i nogi i rzucono w kąt. Nawet sam naczelnik zaszczyił mnie tym razem swoją obecnością, choć zwykle go nikt z więźniów nigdy na oczy nie widział. Wypadki te postąpiły za sobą w zbyt szybkim tempie. Nie zdążyłem objąć myślami wszystkiego, co się stało teraz ze mną w przeciągu pół godziny. Straciłem przytomność, zachwiałem się i upadłem całym ciężarem na mokry asfalt.

Gdy zbudziłem się z długiego omdlenia, przypomniałem sobie wszystko, co mnie spotkało. Było mi strasznie zimno, stałem boso i tylko w białej bieliźnie i do tego zakuty byłem w zimne łańcuchy. Cały drżałem. Upadłem na deski, przymocowane przy ścianie w rodzaju trumny i z tego wszystkiego wpadłem w odrętwienie, nawet nie narzekałem już. Z ust i nosa sączyła mi się jakaś lepka masa, domiarkowałem się, że to krew. „Jeszcze dwa zęby ci wybito”, pomyślałem i tak leżałem w bezruchu do rana.

Wszystko mnie bolało. O, jak pragnąłem śmierci wtedy, ale niestety, ona nigdy nie przychodziła na zawołanie, kiedy to człowiek przyjąłby ją z otwartymi rękoma...

Rano, jak przewidywałem, każdy z dozorców uważał za obowiązek obejrzeć mnie. Szczęście jeszcze, pomyślałem, że Róla tu nie ma, ale ten miał przybyć już za dwa dni. Wspólnik w sprawie nieszczęsnej ucieczki wszystko zganiał na mnie. Na śledztwie tłumaczył też, że ja, będąc kalefaktorem, zdjąłem mu sam zamek z drzwi, grożąc, że go zabiję, gdyby mi współudziału odmówił. Twierdził, że ja namówiłem go też do zabójstwa nocnego dozorcę, którym miał być Lustig.

Tu muszę zaznaczyć, że na moje nieszczęście tej nocy była akurat zmiana dozorców i stał tej nocy czujny i fizycznie dobrze zbudowany dozorca, bo gdyby faktycznie stał jeszcze wtedy słabowity i tchórzliwy weneryk<sup>235</sup> Lustig, który zawsze po północy chrapał tak, że aż było go słycać w celach, nie wątpię, żeby się to udało.

Jednym słowem wszystko na mnie walił, czym sobie też ulżył, ponieważ dostał tylko siedem dni karceru, a ja otrzymałem cały miesiąc karceru i bezterminowe kajdany na ręce i nogi i do tego przykuty byłem do ściany.

Teraz dopiero poznałem co to jest cierpienie.

Niemcy nalegali, abym powiedział, co miałem zamiar zrobić, a ja trzymałem się jednego, że umówiłem się z nim, by dostać się do dyżurki, gdzie był chleb, marmelada i papierosy dla dozorców. Było to trochę z mojej strony naiwne tłumaczenie, ale trudno, musiałem coś mówić.

Teraz stałem się z dnia na dzień hardy i opryskliwy wobec swoich dręczycieli. Czy jest się co dziwić temu? Nawet pies trzymany na łańcuchu staje się w końcu wściekły.

Szkoda mi było tego Webera, który za to, że mnie wziął za kalefaktora, został oddalony ze służby i odebrali mu nawet cholewy, bo ktoś i o tym doniósł.

## LXIV

Przyszły święta żydowskie, rabin postarał się o to, że teraz codziennie przyjmowano dla Żydów jedzenie rytualne. Elka ze łzami w oczach wybłagała to, że i dla mnie w dniu, który miałem „wolny”, przyjmowano też jedzenie.

Miesiąc karcu odbywałem w ten sposób:

Pierwsze piętnaście dni miałem po trzy dni z rzędu ciemnicę i twarde łoże, czterysta gramów chleba i wodę. Co czwarty dzień otrzymywałem siennik i normalne odżywianie więzienne. W drugiej połowie kary co trzeci dzień miałem „wolny”, a dwa dni jak dotąd.

Wielkie szczęście miałem jeszcze, że przypadły te święta żydowskie, przynajmniej wtedy byłem zadowolony, że jestem Żydem, nie cierpiałem tyle głodu. Kajdany spać mi nie dały, wrzynały się w ręce i nogi i tamowały krew w żyłach.

„Ober” przychodził do celi dwa razy wśród nocy, by sprawdzić czy kajdany są w porządku, zawsze mi je naumyślnie zatrząskiwał na ostatni ząb.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego ten Niemiec specjalnie się znęca nade mną. Później dowiedziałem się, że fryzjerka mnie nawet tu w więzieniu prześladowała. To ona z tym Niemcem zapoznała się i namówiła go, aby mnie dręczył tak, żebym stąd już nie wyszedł — to nazywała ona miłością.

Elcia była też nieraz prześladowana przez tę kobietę, zrobiła ona to, że nie dawano mi się więcej widzieć z nią. Co ta dziewczyna nie wycierpiała od niej, jednak nic nie pomogło i o mnie nie zapomniła. Mogę śmiało powiedzieć, że gdyby nie ona, nie przeżyłbym tego wszystkiego.

Nic wiecznego nie ma na tym świecie, więc i mój miesiąc karcu przeszedł. Przenaczono mnie do celi, gdzie do ściany było przymocowane wielkie, żelazne łóżko i tak,

<sup>235</sup>weneryk — osoba chora wenerycznie. [przypis edytorski]



zakuty na ręce i nogi, przez dzień cały przykuty byłem łańcuchem do ściany. Teraz było mi gorzej niż w karcu.

Ról często mnie odwiedzał, naigrawając się z mego cierpienia. Nieraz, gdy do jedzenia rozkuto mi ręce, a gdy był dobry dozorca, naumyślnie zapominał i parę godzin ręce miałem wolne. Ról wówczas sam zaczął dopilnowywać, aby natychmiast po spożyciu zakuto mnie. Jednym słowem, nawet gdybym życie chciał sobie odebrać, nie byłem w możności tego zrobić.

Po apelu, gdy ułożyłem się na łożu, kalefaktor przykrywał mnie derką, a gdy w nocy ona spadła, żadnym sposobem nie mogłem się już przykryć. Męczyłem się nieraz, próbując zębami derkę wciągnąć, ale nie mogłem tego w żaden sposób dokonać i z zimna cały drżałem. Ręce były przykute w ten sposób, że łańcuch, który ciągnął się od nóg, łączył się z łańcuchem, który obejmował mnie wkoło bioder w rodzaju pasa, a ręce były przykute do boku tegoż pasa tak, że podnieść ich w żaden sposób nie mogłem. Zresztą, człowiek, który nie widział tych narzędzi tortur XX wieku, nie może sobie wyobrazić, co to za wyrafinowany sposób. Te łańcuchy są dla mordowania ludzi.

W takim położeniu zastał mnie pierwszy listopada, teraz z powodu zimna więcej cierpiałem. Nie jestem zdolny tego wszystkiego opisać, co za tortury duchowe i fizyczne przechodzi żywy, myślący człowiek, stojąc na łańcuchu i zakuty do tego w kajdany. Nic też dziwnego, że pan „Vorsteher” przyprowadzał do mojej celi Niemki, by im pokazać mnie stojącego na łańcuchu. Jedna nawet kobieta była na tyle odważna, że własnoręcznie obmacała koniec łańcucha i śmiała się przy tym na głos. Bawiła ją, widać wcale nieźle, moja nędzna osoba.

Pewnego razu przyprowadził kilkanaście tych kobiet, by im mnie pokazać. Widząc, że przychodzą mnie tu oglądać jak do zwierzyńca, zacząłem sam wierzyć w to, że zamieniłem się w jakieś przedpotopowe zwierzę, trochę tylko podobne do ludzi XX wieku.

Nie wiem, czemu mnie pan „Vorsteher” sobie upodobał, że mnie wystawił na widok publiczny, w takich chwilach przymykałem oczy, by na to nie patrzeć. Jednego dnia na początku listopada dozorca z politowaniem rozkuł mi ręce jeszcze godzinę przed obiadem i widząc, że prawą rękę mam zupełnie opuchniętą od kajdan, bardzo mnie z tego powodu żałował i rzekł:

— Już niedługo, a może i was zwolnią z tych mąk.

Spojrzałem na niego pytająco, ale więcej nic o tym nie mówił. Spojrzał na kartkę, która wisiała na drzwiach i zapytał mnie:

— Skąd wy jesteście?

Odpowiedziałem mu, skąd.

Obejrzał mnie uważnie. — Czy nie jesteście synem kupca S.?

— Tak — odparłem zdumiony.

Człowiek ten popatrzył na mnie jeszcze ciekawiej i ukradkiem otarł łzę, która spłynęła mu po twarzy i zawołał smutno:

— S. ma takiego syna! Kto by to uwierzył — mówił jakby sam do siebie.

Zacząłem go prosić, aby mi powiedział, skąd zna ojca i skąd on pochodzi.

Zamyślił się znów i powiedział:

— Znałem waszego nieboszczyka ojca, niechaj mu ziemia lekką będzie, bardzo uczciwy to...

Szarpnąłem się na łańcuchu tak silnie, że się przeląkł i nie skończył zdania, lecz odskoczył w bok.

— Jak to — krzyknąłem nieswoim głosem — ojciec mój już nie żyje? Powiedz pan, powiedz — prosiłem go błagalnie, widząc, że ma chęć zamknąć już celę, gdy zmiarkował, że za dużo powiedział.

Wszakże widząc moją rozpacz, odparł: — Uspokój się pan, to ja powiem.

Przyrzekłem mu to, więc po chwili mówił:

— Ojciec już umarł na końcu sierpnia. Do ostatniego dnia chodził, ale niki w oczach. Szkoda! Był to bardzo porządny i dobry człowiek. Znałem go długie lata, gdy jeszcze byłem rządcą na folwarku J.

Chciał jeszcze mówić, ale obawiał się Róla, który się zbliżał, więc wyszedł z celi.

Po jego wyjściu oparłem głowę o ścianę, a dusza z bólu nawet zapłakać nie mogła. Czulem, że tego nie przeżyję. Stałem tak dłuższą chwilę, potem wpadłem w szal, skakałem

na łańcuchu jak wściekły pies i ryczałem na cały głos sam do siebie, biłem głową o mur i wołałem w rozpacz: Ojcz! Ojcz!

Przybył zaraz Ról, słysząc moje wybryki, przeklinał mnie, na czym świat stoi i groził, że jak się nie uspokoję, to założy mi wariacki kaftan, a ręce zakuje do tyłu i rzuci do lochu. Oj, jak żałowałem w tej chwili, że nie mogę się rzucić na niego i skończyć raz na zawsze z tym przeklętym życiem. Czyż mogłem temu katowi powiedzieć, że rozpaczam z powodu wiadomości, którą mi dozorca udzielił o śmierci ojca, śmierci, której ja byłem przyczyną?

To, co przecierpiałem od tego dnia, nie da się określić, przestałem jeść i miałem silną gorączkę.

Stan mojego zdrowia pogarszał się z dniem każdym. Męki moralne, jakie przeżywałem, były jeszcze silniejsze niż męki fizyczne. Ról, widząc, że już trzeci dzień nic w usta nie biorę i że lewa ręka bardziej mi spuchła od kajdan, zadawał się teraz, kując mnie tylko na prawą rękę i nogi, i kto wie, co by się ze mną dalej stało, gdyby nie nagły i niespodziewany zwrot, jaki zaszedł w życiu więźniów.

\*

Otóż nastał i dla nas, jak i dla wszystkich, pamiętny dzień 11 listopada.

Rano tegoż dnia wcale nie wstawałem z łóżka, czułem się bardzo słaby. Tak przeleżałem do obiadu i dziwiło mnie to, że jakoś Ról jeszcze nie przybył, by mnie rozruszać. Cały ten dzień, pamiętam, jakaś wroga cisza panowała po korytarzach więzienia. Pamiętam, jak pod wieczór znalazłem ze swojego barłogu, by przed kolacją trochę świeżego powietrza się nalykać. Przez okno, które teraz otworzyłem, słyszałem głośną rozmowę więźniów. Bardzo mnie zdziwiło, że Ról jeszcze obecny, a już rozmawiają. Potem słyszałem kilka przytłumionych strzałów, wgramoliłem się na okno, wlokąc za sobą kajdany. Lewą rękę, jak wiadomo, miałem wolną, więc chociaż z trudem, ale wlałem.

Więźniowie już na głos rozmawiali ze sobą o jakiejś rewolucji, a nawet byli tacy, co twierdzili, że ludzie przyszedli, by nas zwolnić. Wszyscy więźniowie rozmawiali głośno. Jakaś kobieta za murem wołała do nas na głos:

— Chłopcy! — wyganiają Szwabów, jutro was wszystkich zwolnią.

Po tej radosnej nowinie głosu więźniów było słycać wszędzie. Nabrałem i ja mentalnie sił i drżącym głosem zapytałem, co jest.

— Co jest? — odparł zagadnięty sąsiad radośnie — jutro idziemy wszyscy na wolność.

Słyszając to, pomyślałem, że z radości serce mi pęknie. Zeskoczyłem ze stołu. Pomimo kajdan zjadłem całodzienne jedzenie, które stało nie tknięte od rana. Kolację dano też jakoś później niż zwykle. Dozorcy Polacy przy kolacji każdemu powiedzieli „dobranoc”. Radość zapanowała między więźniami nie do opisania. Znow wgramoliłem się na okno. Wszyscy jak jeden mąż byli teraz w oknach. Krzyczeli i rozmawiali na cały głos.

Kilku z dawnych gości, co tu siedzieli, przybyło też pod mur i krzyczało do nas, że na pewno jutro nas uwolnią. Pokazywali też rewolwery, które odebrali Niemcom i wystrzelili na wiwat dwa razy, twierdząc, że czekają na Róla i że muszą go dostać. Niezadługo pojawili się też polscy żołnierze na warcie na więziennym podwórzu.

— Czołem, chłopcy! — zawołał wartownik. My odpowiedzieliśmy mu na głos. Później śmielsi poprosili go o papierosa, żołnierz podawał, co miał przy sobie, mówiąc, że jutro już sami sobie będziemy mogli kupić papierosy. Zadawaliśmy mu różne pytania. On nam tłumaczył, co się stało. Można było też słyszeć takie rozmowy:

— Ty, Felek, ubranie masz na wychód?

— Tak, mam, ale letnie.

— To nic — radził tamten — jak jutro nas zwolnią, to się postaramy.

— Józek! — wołał ktoś — wieleś już „odkiwał”<sup>236</sup>?

— Niedługo będzie trzy wiosenki.

— A wiele tobie jeszcze pozostało?

— Mam przecież „dychę” całą.

— To resztę już za ciebie prokurator odsiedzi.

<sup>236</sup>odkiwać — odsiedzieć. [przypis edytorski]

— Ty, słyszysz — wołał piskliwy, ledwie dosłyszalny głos — dopiero on teraz powstał do życia.

— Szkoda, że Róla nie dostaniemy do naszych rąk.

— Jutro go dostaniemy — zapewniał ktoś basowym głosem.

Tu kilku już zaczęło radzić, co zrobią z nim, gdy się tu dostanie do rąk.

Kilku Żydów rozmawiało ze sobą po żydowsku. Żołnierz zawołał:

— Dużo Żydów tu u was siedzi?

— Jest sporo — odezwał się ktoś żartobliwie Żyd się wszędzie potrafi wślizgnąć.

Żołnierz zaśmiał się i oświadczył:

— Żydzi też dostaną swoją Palestynę, a kto będzie chciał, będzie mógł tam jechać.

Od dziś już nie będzie zaborców. Każdy naród ma odzyskać swoją ziemię ojczystą.

— Ty! „Nachalnik” — Wołał na mnie sąsiad. — Słyszysz, jutro jedziesz do Palestyny.

Nic nie odpowiedziałem, bo nie bardzo chciało mi się wierzyć w tyle szczęścia od razu po tylu mękach. Tymczasem jeszcze kajdany brzęczały mi na rękach. Wtem usłyszałem kroki po korytarzu, zląłem z przyzwyczajenia ze stołu, za chwilę drzwi moje otworzyły się i stanął w nich dozorca.

— Proszę pana zejść na dół!

Nie ruszyłem się jednak z miejsca.

Dozorca powtórzył delikatnie to samo, teraz powlokłem się na dół.

Pośrodku centrali stały już cztery wynędzniałe postacie, pobrzękując kajdanami, między nimi poznałem też Mańka. Na stronie stał jakiś oficer i cywil. Bliżej nas stał ten sam brunet o postawie wojskowej, o którym to wspomniałem, że nazywał się Jun-ys.

Zwrócił się do nas ze słowami:

— Chłopcy! Od dziś jesteśmy wolnym narodem polskim. Niemiec został wygnany na zbity łeb z naszej ziemi ojczystej. Nie będzie on was więcej katował. Wkrótce przejrzy się wasze papiery i po kolei pójdziecie do waszych rodziców, do matek i do sióstr. Nie będziemy was więcej kuć w kajdany, starajcie się od dziś zostać pożytecznymi dla społeczeństwa, a wszystkie wasze grzechy pójdą w zapomnienie.

Po tych słowach dał rozkaz, aby natychmiast zdjęto nam kajdany. Łzy radości stanęły nam w oczach. Maniek uradowany krzyknął:

— Niech żyje Polska!

— Niech żyje! — podchwyciliśmy jednogłośnie z zachwytem.

Na nasz okrzyk więźniowie z cel jak jeden mąż zawołali:

— Niech żyje Polska! — a echo wśród ciszy nocnej po ponurych korytarzach wiernie powtórzyło:

Niech żyje!...

## DO WIEŻNIA

Czemu się skarżysz na swój los,  
A dusza w tobie cicho łka?  
Na głowie srebrzy ci się włos,  
A z oczu płynie gorzka łza?

Czy to, że tobą gardzi świat,  
Ogarnia cię tak wielki ból?  
Czy życie daje go z za krat  
Bez słońca, lasów i pól?

A może twa przeszłość smutna  
W duszy ślady wznosiła?  
Może przyszłość okrutna  
Swą tajemnicę zdradziła?

Ja jeden rozumiem twój żal...  
I duszy twej odczuwam lęk,

Bo sam płynąłem wśród tych fal,  
Słyszając także kajdan brzęk.

Wspomnienie zbyt ci szkodzi  
Zapomnij żal, cierp i trwaj.  
Cierpienie twe wolność rodzi  
Zakwitnie też i tobie maj.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/nachalnik-zyciorys-wlasny-przestepcy/>

Tekst opracowany na podstawie: Urke Nachalnik, *Życiorys własny przestępcy*, Łódź 1989.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Stawiarska, Aleksandra Kopec-Gryz, Aleksandra Sekuła, Iwona Kociszewska, Zuzanna Pyzikiewicz.

ISBN 978-83-288-6258-6

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).